STEPHEN

KING

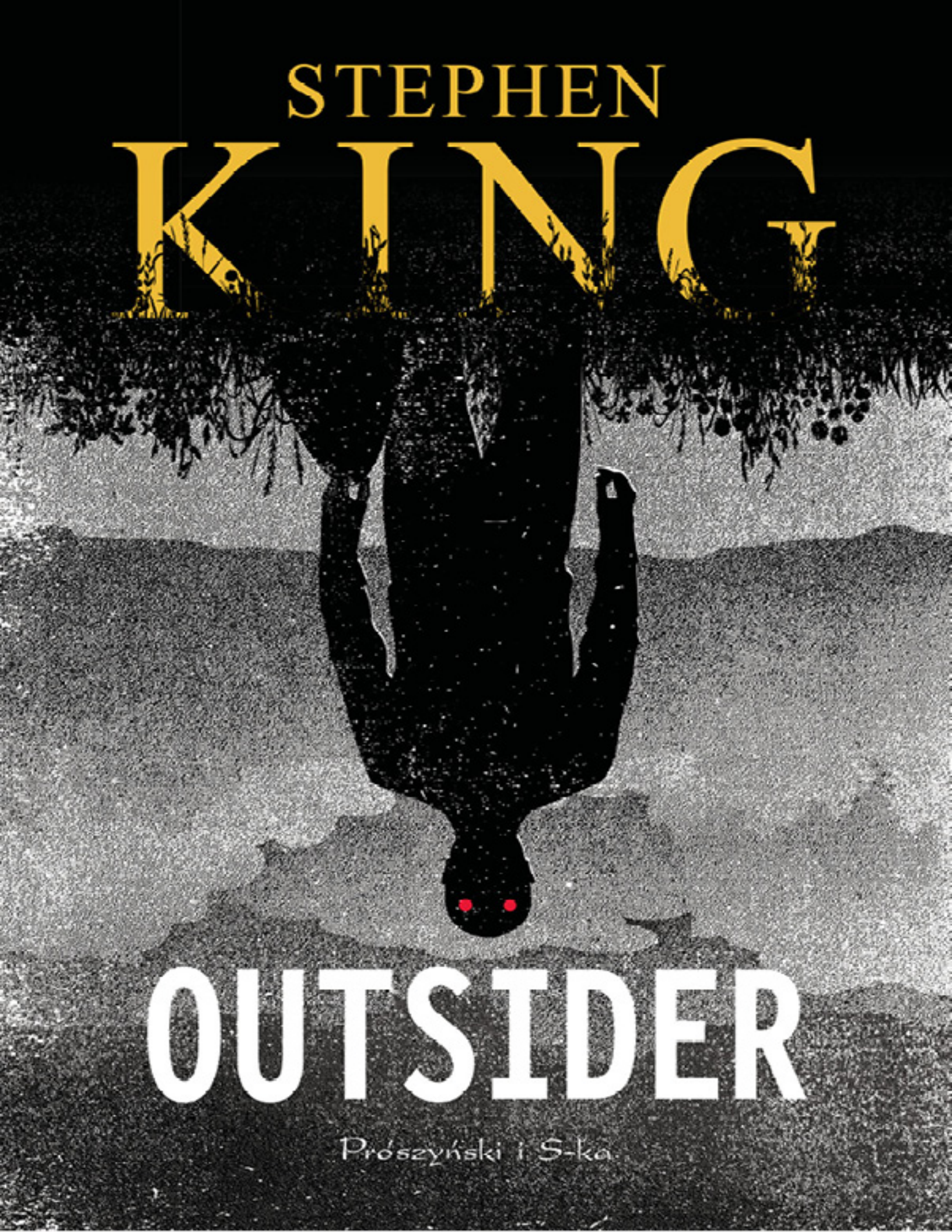

OUTSIDER

Prószyński i S-ka

STEPHEN

KING

OUTSIDER

Przełożył
Tomasz Wilusz

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
THE OUTSIDER

Copyright © 2018 by Stephen King
All rights reserved

Projekt okładki i ilustracja na okładce
Will Staehle/Unusual Corporation

Opracowanie graficzne okładki
Ewa Wójcik

Redaktor serii
Joanna Maciuk

Redakcja
Anna Płaskoń-Sokołowska

Korekta
Katarzyna Kusojć, Grażyna Nawrocka

ISBN 978-83-8123-772-7

Warszawa 2018

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Gintrowskiego 28
www.proszynski.pl

Randowi i Judy Holstonom

Myśl nadaje światu pozory ładu tylko w oczach człowieka na tyle słabego, że daje się tym pozorom zwieść.

Colin Wilson
Kraina ślepców

ARESZTOWANIE

14 lipca

1

Samochód był nieoznakowany, ot, nijaki kilkuletni, amerykański sedan, ale zdradzały go czarne opony i trzyosobowa załoga. Z przodu dwóch w niebieskich mundurach, z tyłu wielki jak dom facet w marynarce. Dwaj czarni chłopcy stojący na chodniku – jeden z nogą opartą na porysowanej pomarańczowej deskorolce, drugi z limonkową deską pod pachą – patrzyli, jak wóz skręca na parking parku Rekreacji imienia Estelle Bargi, po czym spojrzeli na siebie.

– Gliny – orzekł jeden.

– Co ty powiesz – odparł drugi.

Nie mówiąc ani słowa więcej, odjechali na deskorolkach. Zasada była prosta: kiedy zjawiają się gliny, pora wiać. Życie czarnych się liczy, wpoili im rodzice, ale niekoniecznie dla policji. Na stadionie bejsbolowym publiczność zaczęła wiwatować i rytmicznie klaskać – trwała ostatnia, dziewiąta runda. Flint City Golden Dragons, przegrywający jednym punktem, byli stroną atakującą.

Chłopcy nie obejrzeli się za siebie.

2

Zeznanie Jonathana Ritza (10 lipca, 21:30, przesłuchujący detektyw Ralph Anderson)

Detektyw Anderson: Wiem, że jest pan zdenerwowany, panie Ritz, to zrozumiałe, ale muszę wiedzieć, co dokładnie widział pan dzisiejszego wieczoru.

Ritz: Nigdy tego nie zapomnę. Nigdy. Chyba potrzeba mi procha. Valium czy czegoś. Nigdy nie brałem, ale teraz byłoby jak znalazł. Do tej pory mam serce w gardle. Trzeba uprzedzić waszych techników, że jeśli znajdą na miejscu rzygi, a pewnie znajdą, to te rzygi są moje. I wcale się tego nie wstydzę. Każdy puściłby pawia, gdyby coś takiego zobaczył.

Detektyw Anderson: Jestem pewien, że po naszej rozmowie lekarz przepisze panu coś na uspokojenie. Chyba mogę to załatwić, na razie jednak chcę, żeby myślał pan trzeźwo. Rozumie to pan, prawda?

Ritz: Tak. Oczywiście.

Detektyw Anderson: Proszę po prostu powiedzieć, co pan widział, i na dzisiaj skończymy. Może pan to dla mnie zrobić?

Ritz: Dobrze. Koło szóstej wyszedłem z Dave'em na spacer. Dave to nasz beagle. O piątej dostaje kolację. Ja i żona jemy o wpół do szóstej. O szóstej Dave jest gotów załatwić, co ma do załatwienia – to znaczy grubsze i drobniejsze sprawy, rozumie pan. Ja go wyprowadzam, a Sandy, moja żona, zmywa naczynia. To sprawiedliwy podział obowiązków. Sprawiedliwy podział obowiązków jest bardzo ważny w małżeństwie, zwłaszcza jak już dzieci dorosną, oboje tak uważamy. Oj, za bardzo się rozgadałem, prawda?

Detektyw Anderson: To nic, panie Ritz. Niech pan mówi po swojemu.

Ritz: Och, proszę mi mówić Jon. Nie znoszę, kiedy ludzie nazywają mnie panem Ritzem. Jakbym był krakersem. Tak na mnie wołali w szkole. Krakers Ritz.

Detektyw Anderson: Mhm. A więc był pan z psem na spacerze…

Ritz: Zgadza się. I kiedy złapał mocny trop – zapach śmierci, jak się domyślam – musiałem trzymać smycz obiema rękami, choć Dave to mała psina. Wyrywał się do tego, co poczuł. Wtedy…

Detektyw Anderson: Chwileczkę, cofnijmy się. Wyszedł pan ze swojego domu na Mulberry Avenue 249 o godzinie szóstej…

Ritz: Może trochę wcześniej. Poszliśmy z Dave'em w dół wzgórza, do Gerald's, to te delikatesy na rogu, w których sprzedają różne specjały, potem na Barnum Street i stamtąd do Figgis Park. Dzieciaki nazywają go Fagas Park. Myślą, że dorośli nie wiedzą, że nie słuchamy, co mówią, ale my słuchamy, pewnie, że tak. Przynajmniej niektórzy z nas.

Detektyw Anderson: Czy co wieczór chodzicie tą samą trasą?

Ritz: Och, czasem trochę ją zmieniamy, żeby nam się nie znudziło, ale przed powrotem do domu prawie zawsze zahaczamy o park, bo tam Dave ma dużo rzeczy do obwąchania. Koło parku jest parking, o tej porze zazwyczaj pusty, chyba że dzieciaki ze szkoły średniej akurat grają w tenisa. Dzisiaj ich nie było, bo korty są ziemne, a wcześniej padało. Na parkingu stał tylko biały van.

Detektyw Anderson: Dostawczy?

Ritz: Zgadza się. Z tyłu żadnych okien, tylko podwójne drzwi. Taki, w jakich małe firmy przewożą towar. Możliwe, że econoline, ale głowy bym nie dał.

Detektyw Anderson: Czy była na nim wypisana nazwa firmy? Na przykład Klimatyzacja Sam's albo Okna Bob's? Coś w tym rodzaju?

Ritz: Nie, nie. Zupełnie nic. Był brudny, tyle mogę panu powiedzieć. Dawno niemyty. Opony były uwalane błotem, pewnie jechał w deszczu. Dave obwąchał koła i poszliśmy jedną ze żwirowych ścieżek przez park. Kilkaset metrów dalej Dave zaczął szczekać i wbiegł w krzaki po prawej stronie. To wtedy złowił ten zapach. Mało mi smyczy nie wyrwał. Ciągnąłem go do siebie, ale nie chciał przyjść, przewrócił się tylko na bok, drapał ziemię łapami i dalej szczekał. Przykróciłem więc smycz – jest automatyczna, to duże ułatwienie – i poszedłem za nim. Nie jest już szczeniakiem, więc wiewiórki niezbyt go interesują, ale pomyślałem, że może wyczuł szopa. Po kilku krokach zamierzałem zmusić go do powrotu

na ścieżkę – czy tego chce, czy nie, psu trzeba pokazać, kto rządzi – tyle że właśnie wtedy zauważyłem pierwsze krople krwi. Były na liściu brzozy, mniej więcej na wysokości mojej piersi, czyli pewnie z półtora metra nad ziemią. Kawałek dalej była następna kropla, też na liściu, a potem cała plama na krzakach. Jeszcze czerwona i mokra. Dave obwąchał ją, ale ciągnął mnie dalej. I proszę posłuchać, zanim zapomnę: mniej więcej wtedy usłyszałem za sobą dźwięk zapalanego silnika. Może nie zwróciłbym na to uwagi, tyle że był dość głośny, jakby tłumik nawalił. To było takie dudnienie, rozumie pan?

Detektyw Anderson: Uhm, rozumiem.

Ritz: Nie mogę przysiąc, że to był ten biały van, a potem wracałem inną trasą, więc nie wiem, czy rzeczywiście odjechał, ale idę o zakład, że tak. Wie pan, co to znaczy?

Detektyw Anderson: Powiedz mi, co to według ciebie znaczy, Jon.

Ritz: Że być może mnie obserwował. Morderca. Stał wśród drzew i na mnie patrzył. Skóra cierpnie, kiedy o tym myślę. Teraz, bo wtedy to byłem skupiony głównie na krwi. I na tym, żeby Dave nie wyrwał mi ręki ze stawu. Zaczynałem się bać, przyznaję bez wstydu. Żaden ze mnie kawał chłopa i choć staram się trzymać formę, mam sześć krzyżyków na karku. Nawet jako dwudziestolatek nie byłem skory do bitki. Ale musiałem to sprawdzić. A nuż ktoś był ranny.

Detektyw Anderson: To ci się chwali. Która mniej więcej była godzina, kiedy zobaczyłeś ślady krwi?

Ritz: Nie spojrzałem na zegarek, ale gdzieś tak dwadzieścia po szóstej. Może dwadzieścia pięć. Pozwoliłem, żeby Dave mnie prowadził, trzymałem go blisko, tak żebym mógł się przedzierać przez gałęzie, pod którymi on swobodnie przechodził na swoich krótkich nóżkach. Wie pan, co się mówi o beagle'ach – wysoko zadarty nos, ale niskie zawieszenie. Ujadał jak szalony. Wyszliśmy na polanę, taką jakby… nie wiem, taki zakątek, gdzie zakochane pary mogą się poprzytulać. Na środku stała granitowa ławka, cała zalana krwią. Ileż tam jej było. I na ławce, i pod ławką. Ciało leżało w trawie obok niej. Biedny chłopaczyna. Głowę miał odwróconą do mnie, oczy otwarte, a z gardła nie zostało nic. Tylko czerwona dziura. Jego dżinsy i majtki były zsunięte do kostek i zobaczyłem coś… chyba uschniętą gałąź… sterczącą z jego… jego… wie pan z czego.

Detektyw Anderson: Tak, wiem, ale musi pan to podać do protokołu, panie Ritz.

Ritz: Leżał na brzuchu, a gałąź sterczała mu z tyłka. Też zakrwawiona. Była częściowo obdarta z kory i był na niej ślad dłoni. Widziałem go wyraźnie. Dave już nie szczekał, tylko wył. Biedak… Nie wiem, kto mógłby zrobić coś takiego. To musiał być jakiś psychol. Dorwiecie go, detektywie Anderson?

Detektyw Anderson: Tak. Dorwiemy go.

3

Parking przy Estelle Barga Field był prawie tak duży jak ten koło Krogera, sklepu, w którym Ralph Anderson robił z żoną zakupy w sobotnie popołudnia, i tego lipcowego wieczoru zapełnił się do ostatniego miejsca. Na wielu zderzakach widniały naklejki Golden Dragons, kilka tylnych szyb zdobiły wypisane mydłem entuzjastyczne hasła: „We will rock you”; „Dragonsi spuszczą łomot Bearsom”; „Cap City, szykujcie się na nas!”; „To będzie nasz rok”. Ze stadionu, na którym zapalono jupitery (choć do zachodu słońca zostało jeszcze sporo czasu), dobiegła wrzawa i rytmiczne klaskanie.

Troy Ramage, policjant z dwudziestoletnim stażem, siedział za kierownicą nieoznakowanego radiowozu. Przejechał wzdłuż jednego, potem drugiego szczelnie zastawionego rzędu.

– Ile razy tu przychodzę, zawsze się zastanawiam, kim, do cholery, była Estelle Barga.

Ralph nie odpowiedział. Jego mięśnie były napięte, skóra rozpalona, tętno zdawało się niebezpiecznie wysokie. Przez lata aresztował wielu złoczyńców, ale tym razem było inaczej. Ta sprawa była wyjątkowo paskudna. I osobista. To w tym wszystkim najgorsze – dotknęła go osobiście. Nie powinien brać udziału w zatrzymaniu, wiedział o tym, ale po ostatnich cięciach budżetowych w jednostce policji we Flint City zostało tylko trzech pełnoetatowych detektywów. Jack Hoskins wyjechał na urlop, łowił ryby na jakimś odludziu; krzyżyk mu na drogę. Betsy Riggins, która powinna już odejść na macierzyński, pomoże policji stanowej w innych czynnościach związanych z dzisiejszą akcją.

Miał nadzieję, że nie działają za szybko. Zdradził tę obawę Billowi Samuelsowi, prokuratorowi okręgu Flint, dziś po południu, na ich ostatnim spotkaniu przed zatrzymaniem podejrzanego. Samuels był trochę za młody na to stanowisko – miał dopiero trzydzieści pięć lat, ale należał do właściwej partii politycznej i był pewny siebie. Może nie zadufany w sobie, dobre i to, ale niewątpliwie nadgorliwy.

– Zostały pewne kanty, które chciałbym wygładzić – wyjaśnił mu Ralph. – Nie mamy pełnego obrazu. Poza tym powie, że ma alibi. Jeśli nie przyzna się od razu, możemy być tego pewni.

– To je obalimy – odparł Samuels. – Wiesz o tym.

Ralph w to nie wątpił, wiedział, że mają właściwego człowieka, jednak wolałby jeszcze sprawdzić parę rzeczy, zanim pociągnie za spust. Znaleźć luki w alibi sukinsyna, poszerzyć je tak, żeby mogła w nie wjechać ciężarówka, i dopiero wtedy go zgarnąć. W większości przypadków taka byłaby procedura. Ale nie tym razem.

– Trzy sprawy – powiedział Samuels. – Czy jesteś gotów wysłuchać, o co chodzi?

Ralph skinął głową. Było nie było, musiał współpracować z tym człowiekiem.

– Po pierwsze, ludzie w tym mieście, zwłaszcza rodzice małych dzieci, są przerażeni i wściekli. Chcą szybkiego aresztowania, żeby znów poczuć się bezpiecznie. Po drugie, dowody nie pozostawiają żadnych wątpliwości. W życiu nie prowadziłem sprawy, w której wszystko byłoby tak jasne. Zgadzasz się co do tego?

– Tak.

– Dobra, w takim razie trzeci argument. Najważniejszy. – Samuels wychylił się do przodu. – Nie możemy powiedzieć, że robił to już wcześniej… choć jeśli tak, pewnie przekonamy się o tym, kiedy zaczniemy grzebać w jego przeszłości… ale na pewno zrobił to teraz. Zerwał się ze smyczy. Stracił dziewictwo. A kiedy tak się stanie…

– Może zrobić to znowu – dokończył Ralph.

– Właśnie. Scenariusz mało prawdopodobny tak od razu po Petersonie, ale niewykluczony. Na litość boską, stale przebywa w towarzystwie dzieci! Młodych chłopców. Gdyby jednego z nich zabił, już mniejsza, że obaj stracilibyśmy pracę, przede wszystkim nigdy byśmy sobie tego nie darowali.

Ralph już teraz nie mógł sobie wybaczyć, że nie dostrzegł tego wcześniej. Irracjonalne uczucie – trudno spojrzeć człowiekowi w oczy na grillu z okazji zakończenia rozgrywek ligi juniorskiej i wywnioskować, że planuje akt bestialskiego okrucieństwa – że pielęgnuje w sobie chorą żądzę, podsyca ją, patrzy, jak rośnie – ale nie dawało mu to spokoju.

Nachylił się między policjantami na przednich siedzeniach i pokazał palcem.

– Tam. Może miejsca dla niepełnosprawnych są wolne.

– Za to jest dwieście dolarów grzywny, szefie – stwierdził posterunkowy Tom Yates, siedzący na miejscu obok kierowcy.

– Tym razem chyba nam się upiecze.

– Żartowałem.

Ralph milczał. Nie był w nastroju na gliniarskie przekomarzanki.

– Miejsca dla kalek na horyzoncie – zawołał Ramage. – I widzę dwa wolne.

Gdy zajął jedno z nich, załoga wysiadła. Widząc, że Yates odpiął pasek kabury glocka, Ralph pokręcił głową.

– Zwariowałeś? Na meczu jest półtora tysiąca ludzi.

– A jeśli będzie uciekał?

– To za nim pobiegniesz.

Ralph oparł się o maskę nieoznakowanego radiowozu i patrzył, jak dwaj funkcjonariusze policji Flint City ruszyli w stronę boiska, jupiterów i pełnych trybun, rozbrzmiewających coraz głośniejszą, coraz gorętszą wrzawą i oklaskami. Decyzję o szybkim aresztowaniu zabójcy Petersona podjął razem z Samuelsem (choć niechętnie). O tym, by zatrzymać go na meczu, zadecydował sam.

Ramage się obejrzał.

– Idziesz?

– Nie. Wy zróbcie, co trzeba, głośno i wyraźnie przeczytajcie mu jego prawa, a potem przyprowadźcie go tutaj. Tom, w drodze powrotnej usiądziesz z nim z tyłu. Ja i Troy będziemy z przodu. Bill Samuels czeka na mój telefon, wtedy przyjedzie do nas na komisariat. Do tej sprawy przydzielili najmocniejszą ekipę. Samo aresztowanie zostawiam wam.

– Przecież to twoje śledztwo – zauważył Yates. – Dlaczego nie chcesz osobiście zawinąć skurwysyna?

Ralph dalej stał ze skrzyżowanymi ramionami.

– Dlatego że człowiek, który zgwałcił Frankiego Petersona gałęzią, a potem rozszarpał mu gardło, przez cztery lata trenował mojego syna: dwa lata w młodzikach, dwa w juniorach. Dotykał go, mojego syna, kiedy pokazywał mu, jak trzymać kij. Po prostu nie ręczę za siebie.

– Jasne, jasne.

Troy Ramage i Yates ruszyli w stronę boiska.

– Jeszcze jedno.

Odwrócili się.

– Skujcie go na miejscu. Z rękami do przodu.

– Nie taka jest procedura, szefie – stwierdził Ramage.

– Wiem i mam to gdzieś. Chcę, żeby wszyscy widzieli, jak zabieramy go w kajdankach. Jasne?

Kiedy odeszli, Ralph odpiął od paska telefon komórkowy. Numer Betsy Riggins miał w opcji szybkiego wybierania.

– Jesteście na miejscu?

– Tak. Przed jego domem. Ja i czterej stanowi.

– Nakaz rewizji?

– W mojej gorącej rączce.

– Dobrze. – Już miał się rozłączyć, ale coś jeszcze przyszło mu do głowy. – Bets, kiedy masz termin?

– Minął wczoraj. Dlatego się, kurde, sprężaj. – Rozłączyła się pierwsza.

4

Zeznanie Arlene Stanhope (12 lipca, 13:00, przesłuchujący detektyw Ralph Anderson)

Stanhope: Czy to potrwa długo, panie detektywie?

Detektyw Anderson: Nie, skądże. Proszę po prostu powiedzieć, co pani widziała po południu we wtorek dziesiątego lipca, i będzie po wszystkim.

Stanhope: Dobrze. Wychodziłam z Gerald's Fine Groceries. We wtorki zawsze robię tam zakupy. W Gerald's wszystko jest droższe, ale do Krogera nie chodzę od czasu, gdy przestałam prowadzić. Oddałam prawko rok po śmierci męża, bo nie ufałam już swojemu refleksowi. Miałam parę wypadków. Nic groźnego, stłuczki, wie pan, ale to mi wystarczyło. Gerald's jest raptem dwie przecznice od mieszkania, do którego się przeniosłam, kiedy sprzedałam dom, a lekarz mówi, że spacery dobrze mi robią. Pomagają na serce, wie pan. Właśnie wychodziłam z trzema siatkami w moim małym wózku – tylko na tyle zakupów mnie teraz stać, ceny, zwłaszcza mięsa, są koszmarne, nie pamiętam, kiedy ostatnio jadłam bekon – i wtedy zobaczyłam tego małego Petersona.

Detektyw Anderson: Jest pani pewna, że to był Frank Peterson?

Stanhope: O tak, to był Frank. Biedaczek, tak mi przykro, że spotkał go taki los, ale teraz jest w niebie, jego ból się skończył. Tym trzeba się pocieszać. Jest dwóch młodych Petersonów, wie pan, obaj rudzi, włosy mają w takim okropnym marchewkowym odcieniu, jest między nimi co najmniej pięć lat różnicy. Starszy, Oliver, chyba tak mu na imię, kiedyś dostarczał nam gazetę. Frank ma rower, taki z wysoką kierownicą i wąskim siodełkiem…

Detektyw Anderson: Banan, tak nazywają takie siodełka.

Stanhope: Tego to ja nie wiem, wiem tylko, że rower był jasny, jasnozielony, okropny kolor, szczerze mówiąc, i na siodełku miał naklejkę. Z napisem „Flint City High". Tyle że do liceum to on już nie pójdzie, prawda? Biedny, biedny chłopiec.

Detektyw Anderson: Pani Stanhope, czy chce pani, żebyśmy zrobili krótką przerwę?

Stanhope: Nie, wolałabym to dokończyć. Muszę wrócić do domu i nakarmić kotkę. Zawsze daję jej jeść o trzeciej, na pewno jest już głodna. I zastanawia się, gdzie się podziewam. Ale może dałby mi pan chusteczkę? Na pewno fatalnie wyglądam. Dziękuję.

Detektyw Anderson: Jak to możliwe, że widziała pani naklejkę na siodełku roweru Franka Petersona?

Stanhope: Och, dlatego że na nim nie siedział. Prowadził go przez parking Gerald's. Łańcuch był zerwany i ciągnął się po asfalcie.

Detektyw Anderson: Zauważyła pani, jak był ubrany Frank?

Stanhope: W T-shirt z nazwą jakiegoś zespołu rockandrollowego. Nie wiem jakiego, nie znam się na tej muzyce. Przykro mi, bo może to ważne. I miał bejsbolówkę Rangersów, zsuniętą na tył głowy, tak że widziałam te jego rude włosy. Rudzielcy zwykle bardzo szybko łysieją, wie pan. Teraz już nigdy nie będzie się musiał tym martwić, prawda? Och, jakie to smutne. W każdym razie na drugim końcu parkingu stał brudny biały van. Wysiadł z niego mężczyzna i podszedł do Franka. To był…

Detektyw Anderson: Dojdziemy do tego, jednak najpierw chciałbym, żeby powiedziała pani coś więcej o tym vanie. To był taki model bez okien?

Stanhope: Tak.

Detektyw Anderson: Bez napisów? Żadnej nazwy firmy ani nic takiego?

Stanhope: Ja żadnych nie zauważyłam.

Detektyw Anderson: No dobrze, pomówmy o człowieku, którego pani zobaczyła. Czy rozpoznała go pani, pani Stanhope?

Stanhope: Och, oczywiście. To był Terry Maitland. Całe West Side zna trenera T. Nawet w liceum tak go nazywają. Uczy tam angielskiego, wie pan. Mój mąż uczył razem z nim, zanim przeszedł na emeryturę. Nazywają go trener T, bo trenuje juniorską drużynę bejsbolu i drużynę w lidze miejskiej, kiedy rozgrywki juniorskie się kończą, a jesienią prowadzi zajęcia dla małych chłopców, którzy lubią grać w futbol amerykański. Ta liga też jakoś się nazywa, ale nie pamiętam jak.

Detektyw Anderson: Może wróćmy do tego, co widziała pani wtorkowego popołudnia…

Stanhope: Właściwie niewiele jest do dodania. Frank porozmawiał z trenerem T i pokazał palcem zerwany łańcuch. Trener T kiwnął głową i otworzył tył białego vana. Swoją drogą to nie mógł być jego wóz…

Detektyw Anderson: Dlaczego pani tak uważa, pani Stanhope?

Stanhope: Bo miał pomarańczową tablicę rejestracyjną. Nie wiem, z jakiego to stanu, na odległość nie widzę tak dobrze jak kiedyś, ale wiem, że rejestracje z Oklahomy są niebiesko-białe. W każdym razie nie widziałam, co było na tyle vana, dostrzegłam tylko jakiś podłużny, zielony przedmiot, który wyglądał jak skrzynka z narzędziami. Czy to była skrzynka z narzędziami, panie detektywie?

Detektyw Anderson: Co się stało potem?

Stanhope: Cóż, trener T włożył rower Franka na tył vana i zamknął drzwi. Klepnął Franka w plecy. Potem on podszedł do drzwi kierowcy, a Frank do drzwi pasażera. Obaj wsiedli i wóz pojechał na Mulberry Avenue. Myślałam, że trener T odwiezie chłopaka do domu. Pewnie, że tak. Co innego miałam myśleć? Terry Maitland mieszka na West Side prawie dwadzieścia lat, ma przemiłą rodzinę: żonę i dwie córki… Czy mogę prosić o jeszcze jedną chusteczkę? Dziękuję. Już prawie kończymy, mam nadzieję?

Detektyw Anderson: Tak. Bardzo nam pani pomogła. O ile pamiętam, zanim zacząłem nagrywać, powiedziała pani, że zdarzyło się to około trzeciej?

Stanhope: Punkt trzecia. Słyszałam, jak zegar ratusza wybijał godzinę, kiedy wyszłam ze sklepu z moim małym wózkiem. Chciałam wrócić do domu i nakarmić kotkę.

Detektyw Anderson: Chłopcem, którego pani widziała, tym z rudymi włosami, był Frank Peterson.

Stanhope: Tak. Petersonowie mieszkają tuż za rogiem. Ollie kiedyś dostarczał mi gazetę. Widuję tych chłopców na co dzień.

Detektyw Anderson: A mężczyzną, który włożył rower na tył białego vana i odjechał z Frankiem Petersonem, był Terence Maitland, znany też jako trener Terry albo trener T.

Stanhope: Tak.

Detektyw Anderson: Jest pani tego pewna.

Stanhope: O tak.

Detektyw Anderson: Dziękuję, pani Stanhope.

Stanhope: Kto mógł przypuszczać, że Terry zrobi coś takiego? Sądzi pan, że były inne ofiary?

Detektyw Anderson: Ustalimy to w toku śledztwa.

5

Ponieważ wszystkie mecze ligi miejskiej rozgrywane były na Estelle Barga Field – najlepszym bejsbolowym stadionie w okręgu, jedynym wyposażonym w jupitery umożliwiające grę po zmroku – o tym, która drużyna będzie pełniła rolę gospodarza, rozstrzygał rzut monetą. Terry Maitland przed meczem wybrał reszkę, jak zawsze – przesąd przejęty od jego trenera z czasów, gdy sam grał w lidze miejskiej – i wypadła reszka. „Nieważne, gdzie gramy, po prostu lubię, kiedy to my atakujemy ostatni", mówił swoim chłopakom.

I tego wieczoru okazało się to korzystne. Trwała druga połowa dziewiątej rundy i Bearsi prowadzili jednym punktem w półfinale ligi. Drużynie Golden Dragons został już tylko jeden niewyautowany pałkarz, ale jej zawodnicy byli na trzech bazach. Cztery błędy, jeden nieudany rzut miotacza i stan meczu zostanie wyrównany, jedno odbicie piłki w miejsce niestrzeżone przez broniących będzie oznaczać zwycięstwo. Kibice klaskali, tupali w metalowe trybuny i wiwatowali, kiedy mały Trevor Michaels wszedł na pozycję pałkarza. Jego kask był najmniejszym w wyposażeniu drużyny, a mimo to opadał mu na oczy i chłopak musiał go co chwila poprawiać. Nerwowo poruszał kijem w przód i w tył.

Terry myślał, czy go nie zmienić, ale jako że Trevor miał niewiele ponad półtora metra wzrostu, często zmuszał miotaczy do błędów i zdobywał bazy za darmo. I choć nie był materiałem na łowcę home runów, czasem udawało mu się trafić piłkę kijem. Nie za często, ale od czasu do czasu. Gdyby Terry teraz zdjął go z boiska, biedak musiałby żyć z tym upokorzeniem przez cały następny rok gimnazjum. Z drugiej strony, jeśli uda mu się zdobyć bazę, będzie to

wspominał przy piwie na ogródkowych grillach do końca życia. Terry to wiedział. Sam był w podobnej sytuacji dawno, dawno temu, w zamierzchłych czasach, gdy jeszcze nie grało się w bejsbol kijami aluminiowymi.

Miotacz Bearsów – mocno rzucający, wprowadzany pod koniec każdej rundy – wziął zamach i cisnął piłkę nad środkiem bazy domowej. Trevor tylko patrzył z konsternacją, jak śmignęła obok niego. Sędzia wywołał pierwszy strike. Tłum jęknął przeciągle.

Gavin Frick, asystent Terry'ego, chodził w tę i z powrotem przed ławką rezerwowych z notatnikiem trenera zwiniętym w dłoni (ile razy Terry prosił go, żeby tak nie robił?). Jego koszulka Golden Dragons w rozmiarze XXL opinała brzuch w rozmiarze co najmniej XXXL.

– Mam nadzieję, że wpuszczenie Trevora nie okaże się błędem, Ter – powiedział. Pot ściekał mu po policzkach. – Wygląda na śmiertelnie przerażonego i chyba nawet rakietą tenisową nie odbiłby zagrywki tego chłopaka.

– Zobaczymy – odparł Terry. – Mam dobre przeczucie. – Nieprawda. Nie miał.

Miotacz Bearsów wziął zamach i znów rzucił z całej siły, ale tym razem piłka wylądowała na ziemi przed pozycją pałkarza. Kiedy Baibir Patel, zawodnik Dragonsów na trzeciej bazie, zrobił kilka małych kroków w stronę bazy domowej, widzowie zerwali się na nogi. Z jękiem zawodu usiedli z powrotem, gdy piłka odbiła się i wpadła prosto w rękawicę łapacza. Łapacz Bearsów odwrócił się w stronę trzeciej bazy. Chociaż twarz miał schowaną pod maską, Terry wyczytał z niej ostrzeżenie: Spróbuj szczęścia, koleś. Baibir nie podjął wyzwania.

Następny rzut poszedł obok bazy, ale Trevor i tak próbował odbić piłkę.

– Wyautuj go, Fritz! – wysoko na trybunach krzyknął jakiś mordowyjec, prawie na pewno ojciec miotacza, bo chłopak odwrócił głowę w tamtym kierunku. – Wyaaaautuj goooo!

Kij Trevora nie drgnął przy następnym rzucie, po którym piłka przeleciała blisko bazy – w zasadzie za blisko, by ocenić, czy rzut był prawidłowy, ale sędzia orzekł, że nie, i tym razem to kibice Bearsów wydali z siebie jęk zawodu. Ktoś zasugerował, że sędzia powinien

sobie sprawić mocniejsze okulary. Inny kibic wspomniał coś o psie przewodniku.

Dwa strike'i, dwa nieprawidłowe rzuty; Terry miał silne przeczucie, że następna zagrywka rozstrzygnie, czy ten sezon będzie dla Dragonsów udany. Albo zagrają z Panthersami o mistrzostwo ligi miejskiej i wezmą udział w rozgrywkach krajowych – transmitowanych w telewizji – albo wrócą do domu i spotkają się jeszcze tylko raz, na grillu w ogródku Maitlandów, tradycyjnie organizowanym na koniec sezonu.

Odwrócił się, żeby spojrzeć na Marcy i dziewczynki. Siedziały tam gdzie zwykle, na krzesłach ogrodowych za osłoną bazy domowej – żona w środku, córki po bokach, jak dwie śliczne podpórki do książki. Wszystkie trzy pokazały, że trzymają kciuki. Terry puścił do nich oko, uśmiechnął się i też podniósł oba kciuki, choć nadal czuł się nieswojo. Nie tylko z powodu meczu. Czuł się tak od pewnego czasu. Jakby coś z nim było nie całkiem w porządku.

Uśmiech, którym odpowiedziała Marcy, przygasł, ustępując miejsca zdziwionej, zasępionej minie. Popatrzyła w lewo i wskazała coś palcem. Terry odwrócił się i zobaczył dwóch policjantów; szli równym krokiem wzdłuż linii łączącej trzecią bazę z bazą domową. Minęli Barry'ego Houlihana, członka sztabu szkoleniowego.

– Przerwa, przerwa! – ryknął sędzia, powstrzymując miotacza Bearsów, który już brał zamach przed kolejnym rzutem.

Trevor Michaels zszedł ze stanowiska pałkarza – Terry miał wrażenie, że ulżyło mu z tego powodu. Publiczność zamilkła, wszyscy patrzyli na dwóch policjantów. Jeden wsunął rękę za plecy. Drugi trzymał dłoń na rękojeści broni służbowej schowanej w zapiętej kaburze.

– Zejść z boiska! – krzyczał sędzia. – Zejść z boiska!

Troy Ramage i Tom Yates zignorowali go. Weszli do boksu Dragonsów – prowizorycznego, z długą ławką, trzema koszami ze sprzętem i wiadrem pełnym brudnych piłek treningowych – i skierowali się prosto do Terry'ego. Ramage wyjął zza pleców kajdanki. Po trybunach przeszedł szmer zdumienia zaprawionego szczyptą emocji: Uuuuu.

– Hej, panowie! – zawołał Gavin w biegu (omal nie przewrócił się o rzuconą na ziemię rękawicę pierwszobazowego Richiego Gallanta). – My tu gramy mecz!

Yates odepchnął go, kręcąc głową. Widownia milczała jak grób. Zawodnicy Bearsów, czekający w napięciu na zagranie pałkarza, rozluźnili się i tylko patrzyli, z rękawicami dyndającymi u dłoni. Łapacz potruchtał do miotacza i stanęli razem w połowie drogi między jego stanowiskiem a bazą domową.

Terry znał z widzenia policjanta trzymającego kajdanki; jesienią przychodził z bratem na niektóre mecze młodzieżowej drużyny futbolowej.

– Troy? Co to ma znaczyć? O co chodzi?

Ramage nie widział w twarzy tego człowieka nic oprócz szczerego zdumienia, ale służył w policji od lat dziewięćdziesiątych i wiedział, że ci najgorsi opanowali do perfekcji niewinną minę pytającą „Kto? Ja?". A ten typ był najgorszym z najgorszych. Przypominając sobie instrukcje Andersona (i osobiście nie mając nic a nic przeciwko temu), podniósł głos, żeby usłyszeli go wszyscy widzowie, których, jak poda jutrzejsze wydanie gazety, było tysiąc pięćset osiemdziesięcioro ośmioro.

– Terensie Maitlandzie, aresztuję cię za zabójstwo Franka Petersona.

Kolejne „uuuuu" z trybun, tym razem głośniejsze, jak szum wzmagającego się wiatru.

Terry patrzył na Ramage'a spod zmarszczonych brwi. Rozumiał wypowiedziane przez niego słowa – to były proste angielskie słowa tworzące proste zdanie oznajmujące – wiedział, kim był Frankie Peterson i jaki spotkał go los, ale wymykało się mu znaczenie całości.

– Co? Żartujesz sobie? – zdołał tylko rzucić i właśnie wtedy fotograf z rubryki sportowej „Flint City Call" pstryknął mu zdjęcie, to, które nazajutrz trafiło na pierwszą stronę. Usta Terry'ego były na nim rozchylone, oczy szeroko otwarte, włosy sterczały spod bejsbolówki Golden Dragons. Wyglądał na człowieka niedołężnego i winnego jednocześnie.

– Co powiedziałeś?

– Ręce do przodu, proszę.

Terry spojrzał na Marcy i swoje córki; wciąż siedziały na krzesłach za drucianą siatką, patrzyły na niego z identycznymi, zaskoczonymi minami zastygłymi na twarzach. Przerażenie przyjdzie potem. Baibir Patel zszedł z trzeciej bazy i ruszył w stronę boksu drużyny, zdejmując kask, spod którego wyłoniły się spocone, splątane czarne włosy; Terry poznał, że chłopak zaczyna płakać.

– Wracaj na miejsce! – krzyknął do niego Gavin. – Mecz się nie skończył.

Baibir jednak tylko stał na aucie, patrzył na Terry'ego i ryczał. Terry spojrzał mu w oczy, pewien (prawie pewien), że to wszystko mu się śni, po czym, mocno pociągnięty za ręce przez Toma Yatesa, zatoczył się do przodu. Ramage zatrzasnął kajdanki. Prawdziwe, nie plastikowe, duże i ciężkie, błyszczące w późnym słońcu. Potem tym samym grzmiącym głosem oznajmił:

– Masz prawo zachować milczenie i odmówić odpowiedzi na pytania, ale jeśli zdecydujesz się mówić, wszystko, co powiesz, może zostać użyte przeciwko tobie w sądzie. Masz prawo do obecności adwokata podczas przesłuchania, teraz i w przyszłości. Rozumiesz?

– Troy? – Terry ledwo słyszał własny głos. Miał wrażenie, że całe powietrze uszło mu z płuc. – Co to ma znaczyć, na litość boską?

Ramage puścił jego pytanie mimo uszu.

– Rozumiesz? – powtórzył.

Marcy podeszła do drucianej siatki, wczepiła się w nią palcami i potrząsnęła. Sarah i Grace płakały za jej plecami. Grace klęczała obok krzesła ogrodowego siostry; jej własne przewróciło się na ziemię.

– Co wy robicie? – krzyknęła Marcy. – Na miłość boską, co wy robicie? I dlaczego robicie to tutaj?

– Rozumiesz? – padło po raz trzeci.

Terry przede wszystkim rozumiał, że został skuty i właśnie odczytywano mu jego prawa w obecności półtora tysiąca wpatrzonych w niego ludzi, wśród których były jego żona i dwie małe córki. To nie był sen, nie było to też zwykłe zatrzymanie. To było, z powodów dla niego niepojętych, publiczne pohańbienie. Najlepiej mieć to jak najszybciej z głowy i spokojnie sprawę

naprostować. Nawet zszokowany i oszołomiony, jak teraz, zachował dość przytomności umysłu, by wiedzieć, że jego życie nieprędko wróci do normy.

– Rozumiem – powiedział, po czym rzucił: – Trenerze Frick, proszę się cofnąć.

Gavin, który już podchodził do gliniarzy, z zaciśniętymi pięściami i tłustą twarzą płonącą gniewnym rumieńcem, opuścił ręce i zrobił krok w tył. Spojrzał przez drucianą siatkę na Marcy, uniósł ogromne ramiona i rozłożył pulchne dłonie.

Troy Ramage mówił dalej, wciąż tym samym gromkim głosem herolda miejskiego obwieszczającego wieści tygodnia na rynku nowoangielskiego miasteczka. Ralph Anderson słyszał go z miejsca, w którym stał, oparty o nieoznakowany radiowóz. Troy dobrze robił swoje. Wyglądało to paskudnie, owszem, i Ralph się domyślał, że pewnie dostanie za to reprymendę, ale nie od rodziców Frankiego Petersona. Nie, nie od nich.

– Jeśli nie stać cię na adwokata, przed przesłuchaniem możesz sobie zażyczyć wyznaczenia obrońcy z urzędu. Rozumiesz?

– Tak. Rozumiem też coś innego. – Terry zwrócił się do widzów: – Nie mam pojęcia, dlaczego mnie aresztują! Gavin Frick poprowadzi drużynę do końca meczu! – A potem, po krótkim namyśle: – Baibir, wracaj na trzecią bazę i pamiętaj, żeby biec za linią autu.

Rozległy się pojedyncze oklaski. Tylko pojedyncze. Mordowyjec z góry trybun znów wrzasnął:

– Powiedziałeś, że co zrobił?

W odpowiedzi widownia wymamrotała dwa słowa, które wkrótce rozejdą się po całym West Side i reszcie miasta: nazwisko Franka Petersona.

Yates złapał Terry’ego za ramię i pociągnął w stronę parkingu za budką gastronomiczną.

– Na kazania przed tłumem przyjdzie jeszcze czas, Maitland. Teraz idziesz do pierdla. I wiesz co? W tym stanie obowiązuje kara śmierci. Przez zastrzyk. Ale pewnie już to wiedziałeś. W końcu jesteś nauczycielem.

Nie przeszli dwudziestu kroków od prowizorycznego boksu, kiedy Marcy Maitland dogoniła ich i chwyciła Toma Yatesa za ramię.

– Na litość boską, co wy wyprawiacie?

Yates strącił jej dłoń, a gdy spróbowała złapać męża za rękę, Troy Ramage odsunął ją – delikatnie, ale stanowczo. Przez chwilę stała oszołomiona, po czym zauważyła Ralpha Andersona, który szedł naprzeciw swoim podkomendnym. Znała go z ligi juniorskiej; Derek Anderson grał w drużynie Terry'ego, Gerald's Fine Groceries Lions. Oczywiście, Ralph nie na wszystkich meczach mógł być, ale przychodził, kiedy tylko czas mu pozwalał. Wtedy jeszcze nosił mundur. Kiedy awansował na detektywa, Terry wysłał mu maila z gratulacjami.

Teraz Marcy popędziła do niego po trawie w swoich starych tenisówkach, które zawsze wkładała na mecze Terry'ego, przekonana, że przynoszą mu szczęście.

– Ralph! – zawołała. – Co się dzieje? To jakaś pomyłka!

– Obawiam się, że nie.

Ten moment był dla niego szczególnie przykry, bo lubił Marcy. Z drugiej strony zawsze lubił też Terry'ego – facet zapewne tylko troszeczkę zmienił życie Dereka, dał mu odrobinę pewności siebie, ale kiedy masz jedenaście lat, odrobina pewności siebie to duża rzecz. I było coś jeszcze. Możliwe, że Marcy wiedziała, kim naprawdę był jej mąż, nawet jeśli nie dopuszczała tego do świadomości. Maitlandowie długo byli małżeństwem, a takie koszmary jak morderstwo małego Petersona nie biorą się z niczego. Nie i już. Dojrzewają w człowieku, dopóki nie wcieli ich w czyn.

– Jedź do domu, Marcy. Natychmiast. Dziewczynki lepiej zostaw u znajomych, bo na miejscu czeka policja.

Patrzyła na niego pustym wzrokiem.

Z tyłu dobiegł brzęk. Aluminiowy kij soczyście uderzył piłkę. Oklaski jednak były skąpe; widzów, wciąż zszokowanych, bardziej interesowało to, czego świadkami byli przed chwilą, niż mecz toczący się na ich oczach. A szkoda. Trevor Michaels właśnie rąbnął w piłkę mocno jak nigdy w życiu, nawet mocniej niż na treningu, kiedy trener T posyłał im łatwe zagrywki. Niestety, poleciała prosto do łącznika Bearsów. Nawet nie musiał podskoczyć, żeby ją złapać.

Po zawodach.

6

Zeznanie June Morris (12 lipca, 17:45, przesłuchujący detektyw Ralph Anderson, w przesłuchaniu uczestniczyła Francine Morris)

Detektyw Anderson: Dziękuję, że przyprowadziła pani córkę na komisariat, pani Morris. June, smakuje ci napój?

June Morris: Jest dobry. Czy zrobiłam coś złego?

Detektyw Anderson: Nie, wcale nie. Chcę tylko zadać ci parę pytań o to, co widziałaś przedwczoraj.

June Morris: Wtedy, kiedy zobaczyłam trenera Terry'ego?

Detektyw Anderson: Właśnie. Wtedy, kiedy zobaczyłaś trenera Terry'ego.

Francine Morris: Odkąd skończyła dziewięć lat, puszczamy ją samą do koleżanki, Helen. Tylko kiedy jest widno. Nie chcemy być nadopiekuńczymi rodzicami. Po tym, co się stało, więcej tego nie zrobię, może pan być pewien.

Detektyw Anderson: Widziałaś go po kolacji, June? Mam rację?

June Morris: Tak. Jedliśmy klops. Wczoraj była ryba. Nie lubię ryb, ale tak to już jest.

Francine Morris: Idąc do Helen, nie musi przechodzić przez ulicę ani nic takiego. Myśleliśmy, że nic złego się nie stanie, bo przecież mieszkamy w takiej porządnej dzielnicy. Tak przynajmniej sądziłam.

Detektyw Anderson: Trudno wyczuć, kiedy można zacząć powierzać dzieciom odpowiedzialność. June – poszłaś w dół ulicy i po drodze minęłaś parking przy Figgis Park, dobrze mówię?

June Morris: Tak. My z Helen…

Francine Morris: Helen i ja…

June Morris: Helen i ja miałyśmy dokończyć mapę Ameryki Południowej. To na półkolonie. Każde państwo malujemy na inny kolor. Prawie skończyłyśmy, tylko zapomniałyśmy o Paragwaju, więc trzeba było zacząć wszystko od nowa. Ale tak to już jest. Potem miałyśmy pograć w Angry Birds i Corgi Hop na iPadzie Helen, dopóki tata po mnie nie przyjdzie. Bo do tego czasu mogło się zrobić ciemno.

Detektyw Anderson: Może twoja mama mi powie, o której to mniej więcej było godzinie?

Francine Morris: Kiedy Junie wychodziła, nadawano lokalne wiadomości. Norm oglądał, ja zmywałam. Czyli między szóstą a wpół do siódmej. Pewnie piętnaście po, bo zdaje się, trwała prognoza pogody.

Detektyw Anderson: Powiedz mi, June, co widziałaś, kiedy przechodziłaś obok parkingu?

June Morris: Przecież mówiłam: trenera Terry'ego. Mieszka przy naszej ulicy i raz, jak nasz pies się zgubił, trener T przyprowadził go z powrotem. Czasem bawię się z Gracie Maitland, ale nie za często. Jest rok starsza i lubi chłopaków. Był cały we krwi. Bo miał rozbity nos.

Detektyw Anderson: Uhm. Co robił, kiedy go zobaczyłaś?

June Morris: Wyszedł z parku. Zobaczył, że na niego patrzę, i pomachał. Odmachnęłam mu i zawołałam: „Hej, trenerze T, co się panu stało?", a on odpowiedział, że gałąź uderzyła go w twarz. Powiedział: „Nie bój się, to tylko rozkwaszony nos, często tak mam". A ja powiedziałam: „Nie boję się, ale tej koszuli to już pan nie będzie mógł nosić, bo krwi się nie spierze. Tak mówi moja mama". Uśmiechnął się i powiedział: „Całe szczęście, że mam dużo koszul". Ale krew miał też na spodniach. I na rękach.

Francine Morris: Była tak blisko niego. Nie mogę przestać o tym myśleć.

June Morris: Dlaczego? Bo krew mu leciała z nosa? Rolf Jacobs też rozwalił sobie nos rok temu, kiedy upadł na placu zabaw, i wcale się nie przestraszyłam. Chciałam dać mu moją chusteczkę, ale nie zdążyłam, bo pani Grisha zabrała go do pielęgniarki.

Detektyw Anderson: Jak blisko niego byłaś?

June Morris: Ojej, nie wiem. On był na parkingu, ja na chodniku. Jaka to odległość?

Detektyw Anderson: Ja też nie wiem, ale na pewno się dowiem. Smakuje ci napój?

June Morris: Już pan pytał.

Detektyw Anderson: Ano tak, rzeczywiście.

June Morris: Starsi ludzie są zapominalscy, tak mówi dziadzio.

Francine Morris: Junie, to niełądnie.

Detektyw Anderson: Nic się nie stało. Wygląda na to, że masz mądrego dziadzia, June. Co się stało potem?

June Morris: Nic. Trener Terry wsiadł do vana i pojechał.

Detektyw Anderson: Jakiego koloru był ten van?

June Morris: No, byłby biały, gdyby był umyty, ale był raczej brudny. Poza tym bardzo hałasował i wypuszczał dużo niebieskiego dymu. Fuj.

Detektyw Anderson: Czy było na nim coś napisane? Na przykład nazwa firmy?

June Morris: Nie. To był zwykły biały van.

Detektyw Anderson: Widziałaś może, jaką miał rejestrację?

June Morris: Nie.

Detektyw Anderson: W którą stronę pojechał?

June Morris: W głąb Barnum Street.

Detektyw Anderson: I jesteś pewna, że mężczyzną, który powiedział ci, że rozkwasił sobie nos, był Terry Maitland?

June Morris: Oczywiście, trener Terry, trener T. Widuję go na co dzień. Nic mu nie jest? Coś przeskrobał? Mama nie pozwala mi czytać gazety ani oglądać wiadomości w telewizji, ale jestem prawie pewna, że coś niedobrego stało się w parku. Wiedziałabym na pewno, gdybym miała teraz szkołę, bo tam wszyscy chlapią jęzorami. Czy trener Terry pobił się z jakimś złym człowiekiem? Czy dlatego miał rozkwaszony…

Francine Morris: Mam nadzieję, że zaraz skończymy, detektywie? Wiem, że potrzebujecie informacji, ale proszę pamiętać, że to ja będę musiała położyć ją dziś spać.

June Morris: Sama kładę się spać!

Detektyw Anderson: Tak, tak, już prawie po wszystkim. Ale, June, zanim pójdziesz, chciałbym zagrać z tobą w pewną grę. Lubisz gry?

June Morris: Raczej tak, chyba że są nudne.

Detektyw Anderson: Położę na stole zdjęcia sześciu różnych ludzi… o tak… którzy są trochę podobni do trenera Terry'ego. Chcę, żebyś mi powiedziała…

June Morris: Ten. Czwórka. To trener Terry.

7

Troy Ramage otworzył tylne drzwi nieoznakowanego radiowozu. Terry obejrzał się przez ramię i zobaczył Marcy. Stała na skraju parkingu; jej twarz wyrażała bolesne zdumienie. Zza niej wyłonił się fotograf „Call", który robił zdjęcia, biegnąc po trawie. Ni cholery nie będą warte, pomyślał Terry nie bez satysfakcji. A potem krzyknął do Marcy:

– Zadzwoń do Howiego Golda! Powiedz mu, że mnie aresztowali! Powiedz mu…

Yates położył dłoń na czubku głowy Terry'ego i wepchnął go do radiowozu.

– Przesuń się w bok. I trzymaj ręce na kolanach, dopóki nie zapnę ci pasa – polecił.

Terry się przesunął. Trzymał ręce na kolanach. Przez przednią szybę widział wielką elektroniczną tablicę wyników na stadionie; dwa lata temu jego żona prowadziła zbiórkę funduszy, żeby ją zakupić. Teraz stała tam, na skraju parkingu. Nigdy nie zapomni jej miny – wyglądała jak kobieta z kraju Trzeciego Świata, która patrzy, jak płonie jej wioska.

Potem Ramage usiadł za kierownicą, Ralph Anderson wsunął się na miejsce pasażera i jeszcze zanim zamknął drzwi, nieoznakowany radiowóz z piskiem opon wyjechał tyłem z miejsca parkingowego dla niepełnosprawnych. Ramage ostro skręcił, obracając kierownicę nasadą dłoni, i ruszył w stronę Tinsley Avenue. Nie włączyli sygnału dźwiękowego, ale niebieski kogut przyczepiony do deski rozdzielczej rozbłysnął i poszedł w ruch. Terry uświadomił sobie, że w samochodzie czuć meksykańskim jedzeniem. Dziwne, jakie rzeczy

się zauważa, kiedy cały twój dzień – całe twoje życie – nagle leci z urwiska, którego istnienia nawet nie byłeś świadom.

Wychylił się do przodu.

– Ralph, posłuchaj mnie.

Ralph patrzył przed siebie. Ciasno splótł dłonie.

– Na komisariacie będziesz mógł się nagadać za wszystkie czasy.

– Chce, to niech mówi – wtrącił Ramage. – Oszczędzi nam zachodu.

– Zamknij się, Troy – rzucił Ralph. Wciąż patrzył na drogę ciągnącą się przed nimi. Terry widział dwa wystające ścięgna na jego karku, tworzące jedenastkę.

– Ralph, nie wiem, co was do mnie doprowadziło ani dlaczego postanowiłeś mnie aresztować na oczach połowy miasta, ale jesteś na złym tropie.

– Wszyscy tak mówią – stwierdził siedzący obok niego Tom Yates tonem pogawędki prowadzonej dla zabicia czasu. – Ręce na kolanach, Maitland. Nawet nie drap się w nos.

Terry'emu powoli rozjaśniało się w głowie – może nie całkiem, ale przynajmniej trochę – i posłusznie wykonał polecenie posterunkowego Yatesa (nazwisko widniało na identyfikatorze przypiętym do mundurowej koszuli). Yates miał taką minę, jakby tylko czekał na pretekst, żeby przyłożyć zatrzymanemu – obojętnie, czy był skuty, czy nie.

Ktoś jadł enchilady w tym samochodzie, Terry był tego pewien. Pewnie kupione w Señor Joe's. To ulubiona knajpa jego córek, które zawsze dużo się śmiały przy jedzeniu – kurczę, wszyscy się śmiali – a w drodze powrotnej do domu oskarżały się nawzajem o puszczanie bąków.

– Posłuchaj mnie, Ralph. Proszę.

– No dobra, słucham.

– Wszyscy słuchamy – powiedział Ramage. – Uszy szeroko otwarte, kolego, uszy szeroko otwarte.

– Frank Peterson został zamordowany we wtorek. We wtorek po południu. Tak pisali w gazetach, tak mówili w wiadomościach. Ja we wtorek wieczorem i przez większą część środy byłem w Cap City. Wróciłem o dziewiątej, może wpół do dziesiątej wieczorem w środę.

Gavin Frick, Barry Houlihan i Lukesh Patel, ojciec Baibira, prowadzili treningi w te dni.

W samochodzie zapadła cisza. Nikt nic nie mówił, radio było wyłączone. Przez jedną błogą chwilę Terry wierzył – naprawdę całym sercem – że Ralph każe potężnemu glinie zjechać na pobocze. Potem odwróci się, z szeroko otwartymi, pełnymi wstydu oczami, i powie: Chryste, a tośmy się wygłupili, co?

Ralph jednak się nie odwrócił. Rzucił tylko:

– Ach. Pora na sławetne alibi.

– Co? Nie rozumiem, co masz na…

– Jesteś bystry facet, Terry. Wiedziałem to od naszego pierwszego spotkania, w czasach, gdy trenowałeś Dereka w juniorach. Byłem pewien, że jeśli się nie przyznasz od razu… na co liczyłem, choć bez większej nadziei… przedstawisz jakieś alibi. – Wreszcie się odwrócił; twarz, którą zobaczył Terry, należała jednak do zupełnie obcego człowieka. – I jestem równie pewien, że je obalimy. Bo mamy na ciebie wszystko, czego nam trzeba. Wszystko.

– A cóż pan robił w Cap City, trenerze? – spytał Yates. Człowiek, który dopiero co powiedział Terry'emu, żeby nawet nie drapał się w nos, nagle wydawał się przyjazny, zainteresowany.

Terry miał odpowiedź na końcu języka, ale postanowił milczeć. Rozwaga zaczynała zastępować odruchowe reakcje i uświadomił sobie, że ten samochód, wypełniony słabnącym zapachem enchilad, jest dla niego wrogim terytorium. Pora się zamknąć, dopóki Howie Gold nie przyjedzie na komisariat. Razem wyjaśnią całe nieporozumienie. Nie powinno to długo potrwać.

Uświadomił sobie też coś innego – był wściekły, wściekły jak chyba nigdy w życiu. Dlatego kiedy skręcili na Main Street i skierowali się w stronę komisariatu policji Flint City, złożył sobie obietnicę: jeszcze tej jesieni, może nawet wcześniej, człowiek siedzący na miejscu pasażera, ten, którego do niedawna uważał za swojego przyjaciela, będzie szukał nowej pracy. Może przyjmą go na strażnika banku w Tulsie lub Amarillo.

8

Zeznanie Carltona Scowcrofta (12 lipca, 21:30, przesłuchujący detektyw Ralph Anderson)

Scowcroft: Długo to potrwa, detektywie? Bo zwykle wcześnie chodzę spać. Pracuję przy konserwacji torów i jeśli nie stawię się w robocie na siódmą, będę miał przerąbane.

Detektyw Anderson: Postaram się uwinąć jak najszybciej, panie Scowcroft, ale sprawa jest poważna.

Scowcroft: Wiem. Pomogę na tyle, na ile będę mógł. Po prostu mam niewiele do powiedzenia i chcę jak najszybciej wrócić do domu. Chociaż nie wiem, jak mi się będzie spało. Nie byłem tu, na komisariacie, od zakrapianej imprezy, na którą poszedłem, jak miałem siedemnaście lat. Wtedy komendantem był Charlie Borton. Ojcowie wyciągnęli nas z kicia, ale dostałem szlaban na całe lato.

Detektyw Anderson: Cóż, jesteśmy wdzięczni, że dziś pan przyszedł. Proszę powiedzieć, gdzie pan był o siódmej wieczorem dziesiątego lipca?

Scowcroft: Jak już powiedziałem dziewczynie z dyżurki, byłem w pubie Shorty's i widziałem tego białego vana i faceta, który trenuje młodzieżowe drużyny bejsbolu i futbolu na West Side. Nazwiska nie pamiętam, ale w gazecie na okrągło dają jego zdjęcia, bo w tym roku ma dobrą ekipę. Pisali, że mogą nawet zdobyć mistrzostwo. Moreland, tak się nazywa? Był cały we krwi.

Detektyw Anderson: Jak to się stało, że pan go zobaczył?

Scowcroft: Cóż, po robocie mam taką ustaloną rutynę, bo w domu nie czeka na mnie żona, a kucharz ze mnie żaden, rozumie pan. W poniedziałki i środy chodzę do Flint City Diner. W piątki do Bonanza Steakhouse.

A we wtorki i czwartki wpadam do Shorty's na żeberka i piwo. W ten wtorek przyszedłem do Shorty's o… nie wiem, może piętnaście po szóstej. Chłopak wtedy dawno już nie żył, prawda?

Detektyw Anderson: Ale około siódmej był pan na tyłach, prawda? Za pubem Shorty's.

Scowcroft: Tak, z Rileyem Franklinem. Przypadkiem się spotkaliśmy i zjedliśmy razem. Na tyłach jest miejsce, gdzie można zapalić. Idzie się w głąb korytarza, między ubikacjami, a potem tylnymi drzwiami na zewnątrz. Jest tam wiadro na popiół i w ogóle. Zjedliśmy więc, ja żeberka, on makaron z serem, zamówiliśmy deser i zanim go przynieśli, poszliśmy na fajkę. Kiedy tak staliśmy i gadaliśmy o tym i owym, przyjechał brudny biały van. Miał nowojorską rejestrację, to pamiętam. Zaparkował obok małego subaru kombi – chyba subaru – i wysiadł ten facet. Moreland czy jak go zwał.

Detektyw Anderson: Jak był ubrany?

Scowcroft: Hm. Nie jestem pewien, jakie miał spodnie. Chinosy? Riley może pamiętać. Ale koszula była biała. Zapamiętałem to, bo z przodu była na niej krew, dużo krwi. Spodnie były tylko trochę pochlapane. Miał też krew na twarzy. Pod nosem, dookoła ust, na brodzie. Makabra, kurczę. I wtedy Riley – chyba walnął parę browarów, zanim przyszedłem, ja tylko jednego – Riley mówi: „A przeciwnik jak wygląda, trenerze T?".

Detektyw Anderson: Nazwał go trenerem T?

Scowcroft: Jasne. Trener się zaśmiał i powiedział: „Żadnego przeciwnika nie było. Coś mi pękło w nosie, to wszystko, i buchnęło jak z gejzera. Jest tu gdzieś przychodnia, w której przyjmują od ręki?".

Detektyw Anderson: Uznał pan, że chodziło mu o przychodnię typu MedNOW lub Quick Care?

Scowcroft: No bo o co innego? Chciał, żeby lekarz zobaczył, czy nie trzeba mu tam czegoś kauteryzować. Auć, co? Powiedział, że raz już miał coś podobnego. Kazałem mu pojechać Burrfield przez jakieś półtora kilometra, na drugich światłach skręcić w lewo, a tam już zobaczy tablicę. Wie pan, ten billboard koło Coney Ford. Podaje, ile trzeba czekać na lekarza i w ogóle. Potem zapytał, czy może zostawić vana na tym małym parkingu za pubem, bo na tylnej ścianie budynku wisi tabliczka, że jest tylko dla pracowników. Ja powiedziałem: „To nie mój parking, ale jeśli wóz nie postoi za długo, pewnie nic się nie stanie". Na co on mówi – i obu nam wydało się to dziwne, zwłaszcza w dzisiejszych czasach – że zostawi

kluczyki w uchwycie na kubek na wypadek, gdyby vana trzeba było przestawić. Riley powiedział: „To pewny sposób na to, żeby go ukradli, trenerze T". Ale on powtórzył, że niedługo wróci i że może do tego czasu ktoś będzie chciał ten wóz przestawić. Wie pan, co myślę? Że chciał, żeby ktoś go ukradł, może nawet ja lub Riley. Myśli pan, że to możliwe, detektywie?

Detektyw Anderson: Co się stało potem?

Scowcroft: Wsiadł do tego małego zielonego subaru i pojechał. Co też wydało mi się dziwne.

Detektyw Anderson: Co w tym było dziwnego?

Scowcroft: Zapytał, czy może na krótko zostawić swojego vana – jakby się bał, że go odholują czy coś – chociaż jego drugi samochód przez cały czas stał tam nietknięty. Nie dziwne?

Detektyw Anderson: Panie Scowcroft, położę przed panem sześć zdjęć sześciu różnych mężczyzn. Chcę, żeby wskazał pan człowieka, którego widział za Shorty's. Wszyscy są do siebie podobni, więc proszę uważnie im się przyjrzeć. Może pan to dla mnie zrobić?

Scowcroft: Pewnie, ale nie muszę się uważnie przyglądać. Od razu widzę, że to ten. Moreland czy jak mu tam. Mogę już iść do domu?

9

W nieoznakowanym radiowozie nikt więcej się nie odezwał do chwili, kiedy wjechali na parking komisariatu i zatrzymali się na jednym z miejsc oznaczonych tabliczką „Tylko dla pojazdów służbowych”. Wtedy Ralph odwrócił się, żeby popatrzeć na byłego trenera jego syna. Bejsbolówka Dragonsów na głowie Terry’ego Maitlanda lekko się przekrzywiła, tak że wyglądał trochę jak raper; koszulka Dragonsów z jednej strony wyszła ze spodni; twarz ociekała potem. W tej chwili wszystko w nim sprawiało wrażenie, że jest winny jak jasna cholera. Może z wyjątkiem jego oczu, które śmiało napotkały spojrzenie Ralpha. Były szeroko otwarte, pełne wyrzutu.

Ralph miał pytanie, które nie mogło czekać.

– Dlaczego on, Terry? Dlaczego Frankie Peterson? Był w drużynie juniorów w tym roku? Wpadł ci w oko? Czy po prostu przypadkiem się napatoczył?

Terry otworzył usta, żeby ponownie zaprzeczyć, ale jaki to miało sens? Ralph i tak nie posłucha, przynajmniej jeszcze nie teraz. Ani Ralph, ani żaden z nich. Lepiej się wstrzymać. To trudne, ale w ostatecznym rozrachunku może oszczędzi wszystkim czasu.

– Powiedz – ciągnął Ralph cicho i swobodnie. – Przedtem chciałeś mówić, więc śmiało. Mów. Wytłumacz mi. Tu i teraz, zanim wysiądziemy.

– Wolę poczekać na adwokata – odparł Terry.

– Jeśli jesteś niewinny – odezwał się Yates – adwokat ci niepotrzebny. Rozwiej nasze podejrzenia, jeśli możesz. A wtedy jeszcze odwieziemy cię do domu.

Wciąż patrząc w oczy Ralpha Andersona, Terry mówił tak cicho, że ledwo było go słychać.

– To niedopuszczalne. Nawet nie sprawdziliście, gdzie byłem we wtorek, prawda? Nie spodziewałem się tego po tobie. – Przerwał, jakby się zamyślił, po czym dodał: – Ty draniu.

Ralph nie miał zamiaru powiedzieć Terry'emu, że rozmawiał o tym z Samuelsem, choć rozmowa nie trwała długo. Miasto jest małe. Woleli nie zadawać pytań, które mogłyby dotrzeć do Maitlanda.

– To był jeden z rzadkich przypadków, kiedy nie musieliśmy tego sprawdzać. – Ralph otworzył swoje drzwi. – Chodźmy. Spiszemy protokół z zatrzymania, pobierzemy odciski palców i zrobimy zdjęcia, zanim przyjedzie twój adwo…

– Terry! Terry!

Zamiast pójść za radą Ralpha, Marcy Maitland przyjechała swoją toyotą za radiowozem. Jamie Mattingly, sąsiadka, zaoferowała, że zabierze Sarah i Grace do swojego domu. Obie dziewczynki płakały. Jamie też.

– Terry, co oni robią? Co ja mam robić?

Na chwilę wyrwał się Yatesowi, który trzymał go za ramię.

– Zadzwoń do Howiego!

Nic więcej nie zdążył powiedzieć. Ramage otworzył drzwi z tabliczką „Wejście służbowe" i Yates wprowadził Terry'ego do środka, niezbyt delikatnie, naciskając na jego plecy.

Ralph został z tyłu i przytrzymał drzwi.

– Jedź do domu, Marcy – powiedział. – Zanim zlecą się tam media. – Prawie dodał: Przykro mi, że tak się stało. Ale nie zrobił tego. Dlatego że nie było mu przykro. Przed domem zastanie Betsy Riggins i policję stanową, ale tak czy owak, to najlepsze, co mogła zrobić. Jedyne, co mogła zrobić. I może był jej coś winien. Ze względu na jej córki, oczywiście – one w tej sprawie były niewinne – ale też…

To niedopuszczalne. Nie spodziewałem się tego po tobie.

Przygana człowieka, który zgwałcił i zamordował dziecko, nie powinna obudzić w Ralphie wyrzutów sumienia, nie było po temu żadnego powodu, a mimo to przez chwilę je odczuwał. Potem pomyślał o zdjęciach z miejsca zbrodni, tak obrzydliwych, że prawie się chciało oślepnąć. Pomyślał o gałęzi sterczącej z odbytu chłopca.

Pomyślał o krwawym śladzie na gładkim drewnie. Gładkim, dlatego że odciśnięta na nim dłoń wepchnęła gałąź tak mocno, że odpadła.

Bill Samuels przedstawił dwa proste argumenty. Ralph zgodził się z nim, podobnie jak sędzia Carter, do którego Samuels poszedł po niezbędne nakazy. Po pierwsze, sprawa była z góry wygrana. Nie było sensu czekać, skoro mieli wszystko, czego potrzebowali. Po drugie, gdyby dali Terry'emu czas, mógłby uciec, po czym musieliby go wytropić, zanim zgwałciłby i zabił następnego Franka Petersona.

10

Zeznanie Rileya Franklina (13 lipca, 7:45, przesłuchujący detektyw Ralph Anderson)

Detektyw Anderson: Pokażę panu sześć zdjęć sześciu różnych mężczyzn, panie Franklin, i chciałbym, żeby wskazał pan człowieka, którego widział pan na tyłach pubu Shorty's wieczorem dziesiątego lipca. Proszę się uważnie przyjrzeć.

Franklin: Nie muszę. To ten. Dwójka. To trener T. Nie do wiary. Trenował mojego syna w juniorach.

Detektyw Anderson: Tak się składa, że mojego też. Dziękuję, panie Franklin.

Franklin: Zastrzyk to dla niego za łagodna kara. Powinni go powiesić na powoli zaciskającym się stryczku.

11

Marcy wjechała na parking Burger Kinga przy Tinsley Avenue i wyjęła z torebki telefon komórkowy. Jej drżące ręce upuściły go na podłogę. Schylając się po niego, uderzyła głową w kierownicę i znów zaczęła płakać. Przewinęła listę kontaktów i znalazła numer Howiego Golda – Maitlandowie nie mieli powodu być w stałym kontakcie z adwokatem, ale Howie w ostatnich dwóch sezonach trenował futbolową drużynę młodzieżową razem z Terrym.

Odebrał po drugim sygnale.

– Howie? Tu Marcy Maitland. Żona Terry'ego… – Jakby od dwa tysiące szesnastego nie spotykali się prawie co miesiąc na kolacji.

– Marcy? Ty płaczesz? Co się stało?

To było tak przytłaczające, że początkowo nie mogła wydobyć głosu.

– Marcy? Jesteś tam? Miałaś wypadek czy coś?

– Jestem. Nie chodzi o mnie, tylko o Terry'ego. Aresztowali go. Ralph Anderson aresztował Terry'ego. Za zabójstwo tego chłopca. Tak powiedzieli. Za zabójstwo małego Petersona.

– Co takiego? Żartujesz ze mnie?

– Nawet nie było go w mieście! – zawyła Marcy. Słyszała swój głos, pomyślała, że brzmi jak rozhisteryzowana nastolatka, ale nie mogła się powstrzymać. – Aresztowali go i powiedzieli, że policja czeka pod moim domem!

– Gdzie Sarah i Grace?

– Zabrała je sąsiadka, Jamie Mattingly. Na razie wszystko z nimi dobrze. – Czy można tak powiedzieć, skoro dopiero co widziały ojca aresztowanego i wyprowadzonego w kajdankach?

Potarła czoło, ciekawa, czy kierownica zostawiła ślad. Dlaczego w ogóle przyszło jej to do głowy? Bo może dziennikarze już na nią czekają? Bo jeśli zobaczą ów ślad, pomyślą, że Terry ją bije?

– Howie, pomożesz mi? Pomożesz nam?

– Oczywiście. Zabrali Terry'ego na komisariat?

– Tak! W kajdankach!

– Dobrze. Już jadę. Wracaj do domu, Marce. Zobacz, czego chce policja. Jeśli będą mieli nakaz rewizji… na pewno dlatego tam są, nie widzę innego powodu… przeczytaj go, sprawdź, czego szukają, wpuść ich, ale nic nie mów. Zrozumiałaś? Nic nie mów.

– Ja… Dobrze.

– Mały Peterson zginął w ten wtorek, jeśli się nie mylę. Chwilę… – Po drugiej stronie rozległy się szepty, najpierw Howiego, potem kobiety, pewnie jego żony, Elaine. Howie wrócił do telefonu. – Tak, to było we wtorek. Gdzie Terry był we wtorek?

– W Cap City! Pojechał…

– Na razie mniejsza z tym. Policja może cię o to zapytać. Mogą cię pytać o różne sprawy. Powiedz im, że za radą swojego adwokata odmawiasz odpowiedzi. Rozumiesz?

– T-tak…

– Nie daj im się przekonać, zastraszyć ani zwabić w pułapkę. Są w tym dobrzy.

– Dobrze. Dobrze, nie dam się.

– Gdzie teraz jesteś?

Wiedziała to – wjeżdżając na parking, widziała logo restauracji – ale musiała spojrzeć raz jeszcze, żeby się upewnić.

– Pod Burger Kingiem. Na Tinsley. Zatrzymałam się, żeby do ciebie zadzwonić.

– Jesteś w stanie prowadzić?

Prawie mu powiedziała, że uderzyła się w głowę, ale powstrzymała się.

– Tak.

– Weź głęboki oddech. Weź trzy, jeśli musisz. Potem jedź do domu. Przez całą drogę przestrzegaj ograniczeń prędkości, przed każdym skrętem włączaj migacz. Czy Terry ma komputer?

– Jasne. I iPada, choć rzadko z niego korzysta. Oboje mamy też laptopy. Dziewczynki mają własne iPady mini. I telefony, oczywiście, wszyscy mamy telefony. Grace dostała swój na urodziny trzy miesiące temu.

– Dadzą ci listę rzeczy, które będą chcieli zabrać.

– Wolno im? Poważnie? – Znowu była bliska płaczu. – Tak po prostu zabrać nasze rzeczy? Gdzie my jesteśmy? W Rosji, w Korei Północnej?

– Mogą zabrać wszystko, co jest wyszczególnione w nakazie rewizji, ale chcę, żebyś zrobiła własną listę. Czy dziewczynki mają przy sobie swoje telefony?

– No ba. Praktycznie przyrosły im do rąk.

– Dobrze. Gliny mogą chcieć zabrać twój. Odmów.

– A jeśli i tak go zabiorą? – I czy to ważne? Czy to w ogóle ważne?

– Nie zrobią tego. Nie mają prawa, jeśli nie jesteś o nic oskarżona. Jedź już. Dołączę do ciebie najszybciej, jak się da. Wyjaśnimy to, obiecuję.

– Dziękuję, Howie. – Już płakała. – Bardzo, bardzo ci dziękuję.

– Nie ma sprawy. I pamiętaj: nie przekraczaj prędkości, stawaj przed znakami stopu, włączaj kierunkowskaz. Rozumiemy się?

– Tak.

– Jadę na komisariat. – Rozłączył się.

Marcy wrzuciła bieg, po czym przesunęła dźwignię z powrotem do pozycji „park". Wzięła głęboki oddech. Drugi. Trzeci. To koszmar, ale przynajmniej szybko się skończy. Terry był w Cap City. Przekonają się o tym i go zwolnią.

– A wtedy – powiedziała do swojego samochodu (bez dziewczynek chichoczących i sprzeczających się na tylnym siedzeniu wydawał się taki pusty) – podamy ich do sądu i puścimy w skarpetkach. – Na tę myśl plecy jej się wyprężyły, a świat na nowo zyskał ostrość.

Pojechała do domu na Barnum Court, przestrzegając ograniczeń prędkości i zatrzymując się przed każdym znakiem stopu.

12

Zeznanie George'a Czerny'ego (13 lipca, 8:15, przesłuchujący posterunkowy Ronald Wilberforce)

Posterunkowy Wilberforce: Dziękuję, że pan przyszedł, panie Czerny…

Czerny: Mówi się „Zerny". Z-E-R-N-Y. C jest nieme.

Posterunkowy Wilberforce: Mhm, dzięki, zapamiętam na przyszłość. Detektyw Ralph Anderson też będzie chciał z panem porozmawiać, na razie jednak przesłuchuje kogoś innego, dlatego poprosił, żebym ustalił podstawowe fakty, dopóki ma je pan świeżo w pamięci.

Czerny: Odholujecie ten samochód? To subaru? Powinniście je zabrać na policyjny parking, żeby nikt nie zatarł śladów. A jest ich tam dużo, proszę mi wierzyć.

Posterunkowy Wilberforce: Już się tym zajęliśmy. O ile dobrze zrozumiałem, dziś rano łowił pan ryby?

Czerny: No, taki miałem zamiar, ale nawet nie umoczyłem kija. Wyjechałem zaraz po wschodzie słońca na most, ten, który nazywają Iron Bridge. Wie pan, na Old Forge Road?

Posterunkowy Wilberforce: Tak, proszę pana, wiem.

Czerny: Sumy tam biorą jak marzenie. Wielu ludzi nie lubi ich łowić, bo są brzydkie – nie wspominając o tym, że czasem taki potrafi ugryźć, kiedy człowiek próbuje wyciągnąć z niego haczyk – ale żona smaży je z solą i sokiem z cytryny, no i są palce lizać. Sekretem jest cytryna, wie pan. I trzeba je smażyć na żelaznej patelni. Moja mama nazywała taką pająkiem.

Posterunkowy Wilberforce: Czyli zaparkował pan na końcu mostu…

Czerny: Tak, ale nie przy samej drodze. Tam na dole jest taka stara przystań. Kilka lat temu ktoś kupił ziemię, na której leży, i ogrodził ją drucianą siatką z tabliczkami „Zakaz wstępu". Nic jeszcze jednak nie zbudował. Te parę hektarów tylko zarasta chwastami, a przystań jest częściowo zalana wodą. Zawsze parkuję na bocznej dróżce, która prowadzi do tego ogrodzenia. To samo zrobiłem dziś rano. I co zobaczyłem? Ogrodzenie przewrócone, a na skraju tej podtopionej przystani stoi mały, zielony samochód tak blisko wody, że przednie koła ugrzęzły w mule. Poszedłem tam więc, bo pomyślałem, że jakiś facet wracał nawalony z baru ze striptizem i wypadł z drogi. I że może nadal siedzi nieprzytomny w środku.

Posterunkowy Wilberforce: Kiedy używa pan określenia „bar ze striptizem", czy ma pan na myśli Gentlemen, Please, lokal położony na granicy miasta?

Czerny: Uhm. Tak. Faceci chodzą tam, chleją na umór, wciskają jedno- i pięciodolarówki dziewczynom pod majtki, aż się całkiem spłuczą, a potem na bani jadą do domu. Nie rozumiem, co to za atrakcja.

Posterunkowy Wilberforce: Mhm. Czyli poszedł pan tam i zajrzał do samochodu.

Czerny: To było małe zielone subaru. W środku nie było nikogo, ale na miejscu pasażera leżały zakrwawione ubrania i od razu pomyślałem o tym zamordowanym chłopcu, bo w wiadomościach mówili, że policja szuka zielonego subaru w związku z tą zbrodnią.

Posterunkowy Wilberforce: Czy zobaczył pan coś jeszcze?

Czerny: Adidasy. Na podłodze po stronie pasażera. Też były zakrwawione.

Posterunkowy Wilberforce: Dotykał pan czegoś? Może próbował pan otworzyć drzwi?

Czerny: A gdzie tam. Dopóki *CSI* leciało w telewizji, nie opuściliśmy z żoną żadnego odcinka.

Posterunkowy Wilberforce: Co zatem pan zrobił?

Czerny: Zadzwoniłem na dziewięćset jedenaście.

13

Terry Maitland siedział w pokoju przesłuchań. Czekał. Zdjęto mu kajdanki, żeby jego adwokat nie zrobił awantury, kiedy przyjedzie – co miało nastąpić wkrótce. Ralph Anderson stał w pozycji „spocznij”, z rękami założonymi za plecy, i patrzył przez lustro weneckie na dawnego trenera swego syna. Odprawił Yatesa i Ramage’a. Porozmawiał z Betsy Riggins – powiedziała, że pani Maitland jeszcze nie wróciła do domu. Teraz, kiedy po aresztowaniu sprawcy krew trochę ostygła mu w żyłach, Ralph znów poczuł się nieswojo na myśl o tym, jak szybko to wszystko się odbywało. Nie był zaskoczony, że Terry twierdził, iż ma alibi, na pewno okaże się wątłe, ale…

– Cześć, Ralph. – Bill Samuels podszedł szybkim krokiem, poprawiając węzeł krawata. Włosy miał czarne jak pasta do butów i krótko obcięte, ale z tyłu sterczał mu kogut, z którym wyglądał niespodziewanie młodo. Ralph wiedział, że Samuels prowadził tuzin spraw o morderstwo, wszystkie zakończone wyrokiem skazującym, i że dwóch z zabójców, których postawił przed sądem (nazywał ich swoimi „chłopcami”), obecnie przebywa w celach śmierci w McAlester. I bardzo dobrze, nie zaszkodzi mieć w zespole cudowne dziecko, ale tego wieczoru prokurator okręgu Flint osobliwie przypominał Alfalfę ze starego *Klanu urwisów*.

– Cześć, Bill.

– Oto i on. – Samuels patrzył przez szybę na Terry’ego. – Nie podoba mi się, że jest w koszulce sportowej i bejsbolówce Dragonsów. Będę zadowolony, kiedy przebierze się w porządny strój aresztancki. A jeszcze bardziej, jak już wyląduje w celi, kilka metrów od stołu, na którym go uśpią.

Ralph milczał. Myślał o Marcy, stojącej na skraju parkingu policyjnego jak zagubione dziecko, załamującej ręce i patrzącej na niego, jakby był obcym człowiekiem. Albo potworem. Tyle że potworem był jej mąż.

Samuels jakby czytał mu w myślach.

– Nie wygląda jak potwór, co?

– Mało który tak wygląda.

Samuels sięgnął do kieszeni sportowej marynarki i wyjął kilka złożonych kartek. Jedną była kopia linii papilarnych Terry'ego Maitlanda, pochodząca ze szkolnych akt. Wszystkim nauczycielom pobierano odciski palców, zanim po raz pierwszy przestępowali próg klasy. Pozostałe dwie nosiły nagłówek: „Stanowe laboratorium kryminalistyczne". Samuels podniósł je i potrząsnął.

– Najnowsze i najlepsze.

– Z subaru?

– Uhm. Stanowi zabezpieczyli w sumie ponad siedemdziesiąt odcisków, z czego pięćdziesiąt siedem należy do Maitlanda. Według technika, który zrobił porównania, pozostałe są znacznie mniejsze, pewnie zostawiła je kobieta z Cap City, która przed dwoma tygodniami zgłosiła kradzież tego auta. Nazywa się Barbara Nearing. Jej odciski są dużo starsze, co znaczy, że nie brała udziału w zabójstwie Petersona.

– No dobra, tak czy inaczej, potrzebujemy DNA. Nie zgodził się na pobranie wymazów. – W odróżnieniu od zdejmowania odcisków palców pobieranie wymazów z policzka uznawano w tym stanie za technikę inwazyjną.

– Doskonale wiesz, że obejdziemy się bez nich. Riggins i stanowi zabiorą jego maszynkę do golenia, szczoteczkę do zębów i włosy, które znajdą na jego poduszce.

– To za mało. Musimy porównać to, co mamy, z próbkami pobranymi tutaj.

Samuels spojrzał na niego, przechylając głowę. Teraz przywodził na myśl nie Alfalfę z *Klanu urwisów*, tylko nadzwyczaj inteligentnego gryzonia. Albo wronę, której wpadła w oko błyskotka.

– Zaczynasz mieć wątpliwości? Powiedz, proszę, że nie. Zwłaszcza że dziś rano rwałeś się do działania równie mocno jak ja.

Wtedy myślałem o Dereku, pomyślał Ralph. To było, zanim Terry spojrzał mi w oczy, jakby miał do tego prawo. I zanim nazwał mnie draniem, co powinno było po mnie spłynąć, ale nie spłynęło.

– Żadnych wątpliwości. Po prostu niepokoi mnie, że tak szybko z tym lecimy. Przywykłem do starannej pracy śledczej. Nie miałem nawet nakazu aresztowania.

– Czy potrzebowałbyś nakazu, gdybyś zobaczył małolata handlującego crackiem na rynku?

– Oczywiście, że nie. Ale to co innego.

– Niekoniecznie, nie całkiem, ale tak się składa, że mam nakaz, który wydał sędzia Carter, zanim dokonałeś zatrzymania. Powinien już być w twoim faksie. To co, wejdziemy do środka i omówimy sprawę? – Oczy Samuelsa błyszczały jak nigdy.

– Pewnie nie będzie chciał z nami rozmawiać.

– Pewnie nie.

Samuels uśmiechnął się i w tym uśmiechu Ralph zobaczył człowieka, który posłał dwóch morderców do cel śmierci. I który wkrótce, nie miał co do tego większych wątpliwości, pośle tam też byłego trenera drużyny juniorów, byłego trenera Dereka Andersona. Zrobi z niego kolejnego ze swoich „chłopców".

– Ale my możemy mu to i owo powiedzieć, prawda? Możemy mu pokazać, że ściany zaciskają się wokół niego i wkrótce zmiażdżą go na dżem.

14

Zeznanie Willow Rainwater (13 lipca, 11:40, przesłuchujący detektyw Ralph Anderson)

Rainwater: Może pan to śmiało przyznać, detektywie – choć moje imię znaczy „wierzba”, jestem najmniej wiotką wierzbą, jaką pan w życiu widział.

Detektyw Anderson: Pani kształty nie są tu istotne, pani Rainwater. Chciałbym z panią pomówić o…

Rainwater: Właśnie że są, tylko pan jeszcze tego nie wie. To ze względu na moje kształty tam byłam. O jedenastej wieczorem pod tym przybytkiem rozpusty przeważnie stoi dziesięć, może dwanaście taksówek, a ja jestem jedyną kobietą. Dlaczego? Bo żaden z klientów nie próbuje mnie podrywać, nawet ci najbardziej pijani. W liceum załapałabym się do drużyny futbolowej, gdyby przyjmowali do niej dziewczyny. I, kurczę, połowa tych gości nawet nie zauważa, że jestem kobietą, kiedy wsiadają do mojej taryfy, ba, wielu wysiada i dalej tego nie wie. Mnie to pasuje. Pomyślałam tylko, że pewnie ciekawi pana, co tam robiłam.

Detektyw Anderson: Dobrze, dzięki.

Rainwater: Ale to nie było o jedenastej, tylko około wpół do dziewiątej.

Detektyw Anderson: Wieczorem we wtorek dziesiątego lipca.

Rainwater: Właśnie. Odkąd pole naftowe praktycznie wyschło, w dni robocze wieczorami w mieście mało się dzieje. Wielu taksówkarzy siedzi w garażu, gadają o bzdetach, rżną w pokera i świntuszą, ale mnie szkoda na to czasu, więc przeważnie jeżdżę pod hotel Flint, Holiday Inn lub Doubletree. Albo pod Gentlemen, Please. Mają tam postój taksówek, wie pan, dla tych, co nie głupieją po pijaku na tyle, żeby siadać za kółkiem,

i jeśli przyjadę wcześnie, zwykle jestem pierwsza w kolejce. W najgorszym razie druga albo trzecia. Siedzę sobie, czytam na kindle'u i czekam na klienta. Po zmroku trudno czytać normalną książkę, ale kindle jest w sam raz. Zajebisty wynalazek, jak powiedzieliby moi indiańscy przodkowie.

Detektyw Anderson: Mogłaby mi pani powiedzieć…

Rainwater: Przecież panu mówię, tylko że mam swój specyficzny sposób mówienia, taka już jestem od kołyski, więc proszę mi nie przerywać. Wiem, czego pan chce, i dam to panu. Tutaj i w sądzie też. Potem, kiedy poślą tego parszywego dzieciobójcę do piekła, nałożę gatki z koźlej skóry, pióropusz i będę odstawiała taniec dziękczynny, póki nie padnę. Rozumiemy się?

Detektyw Anderson: Tak.

Rainwater: Tamtego wieczoru było jeszcze wcześnie, więc byłam sama na postoju. Nie widziałam, kiedy wszedł do środka. Mam własną teorię na ten temat, stawiam pięć dolców, że jest słuszna. Myślę, że nie był tam po to, żeby oglądać gołe cipy. Myślę, że zjawił się, zanim przyjechałam – może chwilę wcześniej – i wszedł tylko po to, żeby zamówić taksówkę.

Detektyw Anderson: Wygrałaby pani ten zakład, pani Rainwater. Pani dyspozytor…

Rainwater: We wtorek wieczorem dyżur miał Clint Ellenquist.

Detektyw Anderson: Istotnie. Pan Ellenquist kazał zamawiającemu zajrzeć na postój przed budynkiem, bo, jak powiedział, taksówka zaraz będzie, a może już jest. Ta rozmowa została zarejestrowana o ósmej czterdzieści.

Rainwater: To by się zgadzało. Facet więc wychodzi, idzie prosto do mojej taksówki…

Detektyw Anderson: Może mi pani powiedzieć, jak był ubrany?

Rainwater: W niebieskie dżinsy i porządną koszulę z kołnierzykiem. Dżinsy były wypłowiałe, ale czyste. Trudno to było poznać w świetle tych lamp sodowych na parkingu, ale koszula, zdaje się, była żółta. Aha, a jego pasek miał elegancką sprzączkę – z głową konia. W sam raz na rodeo. Dopóki się nie schylił, myślałam, że to pewnie kolejny nafciarzyna, który jakimś cudem nie stracił roboty, kiedy cena ropy poleciała na łeb na szyję, a może budowlaniec. Wtedy jednak zobaczyłam, że to Terry Maitland.

Detektyw Anderson: Jest pani tego pewna.

Rainwater: Jak tego, że tu siedzę. Kiedy zapalą na tym parkingu światła, jest jasno jak w dzień. To niby ma zapobiegać napadom, bójkom

i handlowi narkotykami. Bo ich klientela to sami dżentelmeni, rozumie pan. Poza tym prowadzę treningi koszykówki w YMCA. Drużyny są mieszane, ale więcej jest chłopców. Maitland tam przychodził – nie w każdą sobotę, ale często – siedział na trybunach z rodzicami dzieciaków i oglądał mecze. Powiedział mi, że szukał talentów do drużyny bejsbolowej, że po tym, jak ktoś gra w kosza, można poznać, czy ma wrodzony dar do gry obronnej, a ja, głupia, uwierzyłam. Pewnie siedział tam i zastanawiał się, którego by tu posunąć w dupala. Oceniał ich tak, jak faceci oceniają kobiety w barze. Obleśny, jebany zbok. Łowca talentów, też mi, kurwa, coś!

Detektyw Anderson: Kiedy podszedł do pani taksówki, powiedziała mu pani, że go rozpoznała?

Rainwater: O tak. Niektórzy może i umieją zachować dyskrecję, ale ja nie. Mówię: „Siemanko, Terry! Żona wie, gdzie się dziś wybrałeś?". A ten mi odpowiada: „Miałem coś do załatwienia". To pytam: „Ta twoja sprawa do załatwienia miała coś wspólnego z tańcem erotycznym?". Na co on: „Może trzeba dać znać dyspozytorowi, że mnie pani zabiera?". Powiedziałam więc: „Już się robi. Jedziemy do domu, trenerze T?". A on na to: „Nie, proszę pani. Do Dubrow. Na dworzec kolejowy". Kiedy uprzedziłam: „To kurs za czterdzieści dolarów", obiecał: „Jeśli zdążymy na pociąg do Dallas, dorzucę dwie dychy napiwku". No to mówię: „Wskakuj, trenerze, i trzymaj się mocno, ruszamy".

Detektyw Anderson: Czyli zawiozła go pani na dworzec Amtrak w Dubrow?

Rainwater: A jakże. I swobodnie zdążyłam przed przyjazdem nocnego pociągu do Dallas-Fort Worth.

Detektyw Anderson: Rozmawiała z nim pani po drodze? Pytam, bo sprawia pani wrażenie osoby rozmownej.

Rainwater: Pewnie, że jestem rozmowna! Język mi lata jak taśmociąg w supermarkecie w dniu wypłaty. Każdy to panu powie. Na początek zapytałam go o ligę miejską, czy wygrają z Bearsami. Odpowiedział: „Przewiduję, że będzie dobrze". Jakby rozmawiać z jarmarczną wróżką, nie? Założę się, że myślał o tym, co zrobił, i jak by tu szybko nawiać. Kiedy ma się takie rzeczy na głowie, pewnie nie chce się prowadzić towarzyskich pogaduch. Mam do pana pytanie, detektywie: dlaczego, do cholery, wrócił do Flint City? Czemu nie uciekł przez Teksas do starego dobrego Me-hi-ko?

Detektyw Anderson: Co jeszcze powiedział?

Rainwater: Niewiele. Że spróbuje się zdrzemnąć. Zamknął oczy, ale chyba udawał. Myślę, że mnie ukradkiem obserwował, może korciło go, żeby się ze mną spróbować. Szkoda, że się nie odważył. I żałuję, że wtedy nie wiedziałam, co zrobił. Wyciągnęłabym go z taksówki i urwała mu hydraulikę. Słowo honoru.

Detektyw Anderson: Co się działo, kiedy przyjechaliście pod dworzec?

Rainwater: Zatrzymałam się przed wejściem, a on rzucił trzy dwudziestki na przednie siedzenie. Chciałam mu powiedzieć, żeby pozdrowił żonę, ale już go nie było. Czy poszedł do Gentlemen też po to, żeby przebrać się w męskim kiblu? Bo miał krew na ubraniu?

Detektyw Anderson: Położę przed panią sześć zdjęć sześciu różnych ludzi. Wszyscy są do siebie podobni, więc proszę się uważnie…

Rainwater: Szkoda czasu. To ten. Maitland. Zgarnijcie go. Mam nadzieję, że będzie stawiał opór przy aresztowaniu. Oszczędziłoby się pieniądze podatników.

15

Kiedy Marcy Maitland była w gimnazjum (wtedy jeszcze były gimnazja), czasem śnił się jej koszmar, że przyszła na pierwszą lekcję naga i wszyscy się śmiali. „Głupia Marcy Gibson zapomniała się ubrać! Patrzcie, wszystko jej widać!”. W czasach liceum ten sen lękowy przybrał nieco bardziej finezyjną postać: przychodziła do klasy ubrana, ale orientowała się, że zaraz czeka ją najważniejsza klasówka w życiu, a zapomniała się do niej przygotować.

Gdy skręciła z Barnum Street na Barnum Court, powróciły przerażenie i bezradność z tamtych snów, tym razem jednak nie będzie błogiej ulgi i wymamrotanego „Dzięki Bogu” po przebudzeniu. Na jej podjeździe stał policyjny wóz, bliźniaczo podobny do tego, który zabrał Terry’ego na komisariat. Za nim była furgonetka bez okien z dużym niebieskim napisem „Laboratorium mobilne policji stanowej” z boku. Po obu stronach podjazdu ulokowały się dwa czarne radiowozy drogówki, z kogutami błyskającymi w zapadającym zmroku. Czterej potężni policjanci stanowi, w kapeluszach, w których wyglądali, jakby mieli co najmniej dwa metry wzrostu, stali w rozkroku na chodniku (jakby mieli za duże jaja, żeby złączyć nogi, pomyślała). To wszystko jednak nie było najgorsze. Najgorsze było to, że sąsiedzi wylegli na swoje trawniki i patrzyli. Czy wiedzieli, dlaczego policja nagle zmaterializowała się przed schludnym domem Maitlandów? Domyślała się, że większość już tak – przekleństwo telefonów komórkowych – i wkrótce podzielą się tą wiedzą z pozostałymi.

Jeden z policjantów stanowych wyszedł na ulicę i podniósł dłoń. Zatrzymała się i opuściła szybę.

– Pani Marcia Maitland?

– Tak. Nie mogę się dostać do garażu, kiedy te samochody zastawiają mój podjazd.

– Proszę zaparkować tam, przy krawężniku. – Wskazał za jeden z radiowozów.

Marcy odczuła pokusę, żeby wychylić się przez otwarte okno i wrzasnąć temu człowiekowi w twarz: To MÓJ podjazd! MÓJ garaż! Zabierzcie stąd swój szajs!

Zamiast tego zjechała na bok i wysiadła. Chciało się jej sikać, i to bardzo. Pewnie wstrzymywała się od czasu, kiedy glina skuł Terry'ego, i dopiero teraz to sobie uświadomiła.

Jeden z pozostałych policjantów mówił coś do nadajnika na ramieniu, gdy zza rogu domu, z walkie-talkie w dłoni, wyłoniło się żywe ukoronowanie tego koszmarnie surrealistycznego wieczoru: kobieta w mocno zaawansowanej ciąży, ubrana w kwiecistą sukienkę bez rękawów. Przeszła przez trawnik Maitlandów tym osobliwym kaczym – prawie kolebiącym się – chodem, który mają chyba wszystkie ciężarne pod koniec ostatniego trymestru. Nie uśmiechnęła się, podchodząc do Marcy. Na jej szyi wisiał laminowany identyfikator. Do sukienki, na krzywiźnie ogromnej piersi, przyczepiona była odznaka policji Flint City, pasująca do całego zestawu jak psie ciasteczko do pateny na hostię.

– Pani Maitland? Detektyw Betsy Riggins.

Wyciągnęła dłoń. Marcy jej nie uścisnęła. I choć Howie ją uprzedzał, co się będzie działo, zapytała:

– Czego chcecie?

Riggins spojrzała za ramię Marcy. Stał tam jeden z policjantów stanowych. Chyba szef tego kwartetu, bo miał paski na rękawie. W wyciągniętej dłoni trzymał kartkę.

– Pani Maitland, jestem porucznik Yunel Sablo. Mamy nakaz przeszukania tego budynku i zarekwirowania rzeczy należących do pani męża, Terence'a Johna Maitlanda.

Chwyciła kartkę. U góry widniały wydrukowane gotycką czcionką słowa: „Nakaz rewizji". Dalej było jakieś prawnicze ple-ple, podpisane u dołu nazwiskiem, które w pierwszej chwili mylnie odczytała jako „sędzia Crater". A on aby nie zaginął wiele lat temu? –

pomyślała, po czym zamrugała, żeby osuszyć oczy – może z potu, może z łez – i zobaczyła, że to Carter, nie Crater. Nakaz nosił dzisiejszą datę i wyglądało na to, że podpisany został niespełna sześć godzin wcześniej.

Odwróciła go na drugą stronę i zmarszczyła brwi.

– Nie ma tu listy rzeczy, które was interesują. Czy to znaczy, że możecie wziąć nawet jego majtki, jeśli chcecie?

Betsy Riggins, która wiedziała, że zabiorą wszystkie pary majtek – męskich i damskich – które znajdą w koszu z brudami Maitlandów, powiedziała:

– Podejmiemy decyzję według własnego uznania, pani Maitland.

– Według waszego uznania? Waszego uznania? Gdzie my jesteśmy? W nazistowskich Niemczech?

– Prowadzimy śledztwo w sprawie najbardziej bestialskiego zabójstwa w tym stanie podczas dwudziestu lat mojej służby. I zabierzemy wszystko, co uznamy za stosowne. Przez grzeczność zaczekaliśmy z tym, aż wróci pani do domu…

– Wsadźcie sobie swoją grzeczność. Co zrobilibyście, gdybym przyjechała późno? Wyważylibyście drzwi?

Riggins wyglądała, jakby fatalnie się czuła – nie z powodu tego pytania, pomyślała Marcy, tylko z uwagi na pasażera, którego nosiła w sobie tego upalnego lipcowego wieczoru. Powinna siedzieć w klimatyzowanym domu i odpoczywać. Marcy jednak miała to gdzieś. Łupało ją w głowie, pęcherz pękał, oczy wzbierały łzami.

– Tylko w ostateczności – odparł policjant stanowy z pierdółkami na rękawie. – Ale na mocy nakazu, który pani pokazałem, mielibyśmy pełne prawo tak zrobić.

– Proszę nas wpuścić, pani Maitland – znów odezwała się Riggins. – Im szybciej zaczniemy, tym szybciej będzie pani miała nas z głowy.

– Ej, Loot – zawołał jeden z policjantów stanowych. – Sępy się zlatują.

Marcy się odwróciła, akurat gdy zza rogu wyłonił się wóz transmisyjny z jeszcze opuszczoną anteną satelitarną na dachu. Za nim nadciągał SUV z wielkimi białymi literami „KYO” na masce. Dalej, prawie na zderzaku pojazdu, jechał wóz transmisyjny innej stacji.

– Proszę wejść z nami do środka. – Riggins już prawie namawiała. – Nie radzę stać na chodniku, kiedy tu dotrą.

Marcy poddała się, myśląc, że być może to jej pierwsza kapitulacja z wielu. Straci swoją prywatność. Swoją godność. Jej dzieci stracą poczucie bezpieczeństwa. A co będzie z jej mężem? Czy Terry'ego też będzie musiała stracić? Wykluczone. To, o co go oskarżają, to zupełny obłęd. Równie dobrze mogliby mu zarzucić uprowadzenie dziecka Lindbergha.

– Dobrze. Ale nie będę z wami rozmawiać, więc nawet nie próbujcie o nic pytać. I nie muszę wam oddać mojego telefonu. Tak powiedział mój adwokat.

– W porządku. – Riggins wzięła ją za ramię, choć, zważywszy na jej gabaryty, powinno być raczej odwrotnie: to Marcy powinna podtrzymywać tę kobietę, żeby się nie potknęła i nie upadła na swój ogromny brzuch.

Chevy tahoe należący do stacji KYO – „Ki-Jo", jak o sobie mówili – zatrzymał się na środku ulicy i jedna z ich korespondentek, ta ładna blondynka, wyskoczyła tak szybko, że spódniczka podjechała jej do bioder. Nie umknęło to policjantom stanowym.

– Pani Maitland! Pani Maitland, tylko parę pytań!

Marcy nie pamiętała, że wysiadając z samochodu, wzięła torebkę, ale miała ją na ramieniu – i teraz bez trudu wyjęła klucz z bocznej kieszonki. Gorzej było, kiedy spróbowała otworzyć nim drzwi. Ręka za mocno jej drżała. Riggins nie zabrała klucza, ale objęła dłonią dłoń Marcy i pomogła wsunąć go do zamka.

Za plecami usłyszała:

– Pani Maitland, czy to prawda, że pani mąż został aresztowany za zabójstwo Franka Petersona?

– Cofnąć się – powiedział jeden z policjantów stanowych. – Macie zostać na chodniku.

– Pani Maitland!

Już były w środku. Tak było dobrze, nawet z ciężarną detektyw u boku, jednak dom wyglądał inaczej i Marcy wiedziała, że już nigdy nie będzie taki jak kiedyś. Pomyślała o kobiecie, która wyszła stąd ze swoimi córkami, roześmiana i podekscytowana jak one, i to było tak, jakby wspominać kobietę, którą kochałaś, ale która umarła.

Nogi ugięły się pod nią i opadła na ławę w przedpokoju, na której dziewczynki siadały zimą, żeby włożyć buty. Na której czasem (jak dziś) siadał Terry, żeby jeszcze raz przejrzeć skład drużyny, zanim pojedzie na mecz. Betsy Riggins zwaliła się obok niej ze stęknięciem ulgi; jej mięsiste prawe biodro uderzyło w mniej nabite lewe biodro Marcy. Policjant z pierdółkami na rękawie, Sablo, i dwaj inni przeszli przez przedpokój, nie patrząc na nie i naciągając na dłonie niebieskie foliowe rękawice. Na butach mieli już nakładki w identycznym odcieniu niebieskiego. Marcy domyślała się, że czwarty pilnuje tłumu reporterów. Tłumu reporterów przed ich domem na sennej Barnum Court.

– Muszę się wysikać – powiedziała do Riggins.

– Ja też – odparła detektyw. – Poruczniku Sablo! Można na słówko?

Ten z pierdółkami na rękawie zawrócił i podszedł do ławy. Pozostali dwaj zniknęli w kuchni, gdzie nie znajdą nic bardziej złowrogiego od połówki diabelskiego ciasta w lodówce.

Riggins zwróciła się do Marcy:

– Macie łazienkę na dole?

– Tak, za spiżarką. Terry sam ją dobudował rok temu.

– Mhm. Poruczniku, panie muszą się wysikać, więc to tam zaczniecie. Załatwicie to jak najszybciej. – I znów do Marcy: – Czy pani mąż ma gabinet?

– Właściwie nie. Ma swój kącik na końcu pokoju stołowego.

– Dziękuję. To wasz następny przystanek, poruczniku. – Ponownie odwróciła się do Marcy. – Skoro i tak musimy czekać, czy mogę zadać pani jedno krótkie pytanie?

– Nie.

Riggins puściła jej odpowiedź mimo uszu.

– Czy zauważyła pani w ostatnich tygodniach coś dziwnego w zachowaniu męża?

Marcy zaśmiała się bez cienia wesołości.

– Pyta pani, czy szykował się na to, żeby kogoś zabić? Czy chodził z kąta w kąt, zacierając ręce, a może śliniąc się i mamrocząc do siebie? Ciąża rzuciła się pani na mózg, pani detektyw.

– Rozumiem, że to znaczy „nie”.

– Brawo. I proszę mnie więcej nie nękać!

Riggins odchyliła się do tyłu i splotła dłonie na brzuchu. Zostawiła Marcy samą z jej pękającym pęcherzem i wspomnieniem czegoś, co Gavin Frick powiedział raptem tydzień temu po treningu: „Gdzie Terry ostatnio jest myślami? Chwilami wydaje się jakiś nieobecny. Zupełnie jakby walczył z grypą czy coś".

– Pani Maitland?

– Co?

– Wyglądała pani tak, jakby coś jej przyszło do głowy.

– Rzeczywiście. Pomyślałam, że bardzo niewygodnie się koło pani siedzi. To tak, jakby siedzieć przy piecu, który umie oddychać.

Rumiane policzki Betsy Riggins zaczerwieniły się jeszcze bardziej. Z jednej strony Marcy była przerażona tym, co powiedziała – okrucieństwem swoich słów. Z drugiej ucieszyła się, że zadała cios, który najwyraźniej sięgnął celu.

Tak czy owak, Riggins o nic więcej nie pytała.

Wydawało się, że minęła cała wieczność, zanim wrócił Sablo – z przezroczystą foliową torebką zawierającą wszystkie tabletki z apteczki na dole (same prochy dostępne bez recepty; nieliczne przepisane przez lekarza trzymali w dwóch łazienkach na górze) i krem Terry'ego na hemoroidy.

– Już można – oświadczył.

– Pani pierwsza – powiedziała Riggins.

W innych okolicznościach Marcy na pewno ustąpiłaby pierwszeństwa kobiecie w ciąży i jeszcze parę minut wytrzymała, ale nie tym razem. Weszła, zamknęła się w środku i zobaczyła, że pokrywa spłuczki jest przekrzywiona. Bóg wie czego tam szukali – najpewniej narkotyków. Oddała mocz ze spuszczoną głową i twarzą skrytą w dłoniach, żeby nie patrzeć na resztę tego bałaganu. Czy wieczorem przywiezie tu Sarah i Grace? Przeprowadzi je przez oślepiający blask reflektorów telewizyjnych, które do tego czasu bez wątpienia staną przed domem? A jeśli nie tutaj, to dokąd? Do hotelu? Czy tam mogłyby je wytropić te sępy, jak ich nazwał policjant stanowy? Pewnie tak.

Kiedy już opróżniła pęcherz, wpuściła Betsy Riggins. Sama wśliznęła się do salonu, ani myślała znów siedzieć na ławie w sieni

z detektyw Wielorybicą. Gliny przeszukiwały biurko Terry'ego, nawet nie tyle przeszukiwały, ile je gwałciły – wszystkie szuflady były powyciągane, większość zawartości wywalona na podłogę. Jego komputer został rozmontowany, części składowe były opatrzone żółtymi nalepkami, jakby w przygotowaniu do wyprzedaży.

A jeszcze godzinę temu najważniejszą rzeczą w moim życiu było zwycięstwo Golden Dragons i wyjazd na finały, pomyślała Marcy.

– Och, co za ulga. – Betsy Riggins wróciła i usiadła przy stole jadalnym. – Mam spokój na całe piętnaście minut.

Marcy otworzyła usta i prawie wyszły z nich słowa: Oby twoje dziecko umarło. Zamiast tego powiedziała:

– Miło, że ktoś się czuje lepiej. Nawet przez piętnaście minut.

16

Zeznanie Claude'a Boltona (13 lipca, 16:30, przesłuchujący detektyw Ralph Anderson)

Detektyw Anderson: Cóż, Claude, to dla ciebie pewnie miła odmiana być tutaj, kiedy nic nie nabroiłeś.

Bolton: A wie pan, że trochę tak. No i fajnie się przejechać na przednim siedzeniu radiowozu zamiast z tyłu. Sto trzydzieści na godzinę przez prawie całą drogę z Cap City. Kogut, syrena, pełen luksus. Ma pan rację. To było miłe.

Detektyw Anderson: Co robiłeś w Cap?

Bolton: Zwiedzałem. Miałem parę wolnych wieczorów, więc dlaczego nie? To chyba nie jest zabronione, co?

Detektyw Anderson: Z tego, co słyszałem, w zwiedzaniu towarzyszyła ci Carla Jeppeson, w swoim miejscu pracy znana pod pseudonimem Pixie Dreamboat.

Bolton: I nic dziwnego, że pan słyszał, skoro przyjechała radiowozem ze mną. Swoją drogą jej też się podobało. Powiedziała, że to bez porównania lepsze, niż telepać się autobusem.

Detektyw Anderson: Rozumiem, że zwiedzaliście głównie pokój 509 w motelu Western Vista przy drodze numer 40?

Bolton: Och, nie tylko. Dwa razy poszliśmy na kolację do Bonanzy. Dobrze karmią. I tanio. Poza tym Carla wyciągnęła mnie do centrum handlowego. Mają tam ścianę wspinaczkową, zaliczyłem ją z palcem w nosie.

Detektyw Anderson: Nie wątpię. Słyszałeś, że tu, we Flint City, zamordowano chłopca?

Bolton: Kojarzę, że widziałem coś na ten temat w wiadomościach. Nie myśli pan chyba, że miałem z tym coś wspólnego?

Detektyw Anderson: Nie, ale możesz mieć informacje o człowieku, który jest w to zamieszany.

Bolton: Skąd miałbym…

Detektyw Anderson: Pracujesz jako wykidajło w Gentlemen, Please, prawda?

Bolton: Jestem pracownikiem ochrony. Nie używamy określenia „wykidajło". Gentlemen, Please to lokal z klasą.

Detektyw Anderson: Nie będziemy się o to spierać. Słyszałem, że byłeś w pracy we wtorek wieczorem. I wyjechałeś z Flint City dopiero w środę po południu.

Bolton: To Tony Ross powiedział wam, że pojechaliśmy z Carlą do Cap City?

Detektyw Anderson: Tak.

Bolton: Dostaliśmy zniżkę w tym motelu, bo jego właścicielem jest wujek Tony'ego. Tony też miał dyżur we wtorek wieczorem; to wtedy go poprosiłem, żeby zadzwonił do wujka. Jesteśmy dobrymi kumplami, ja i Tony. Od czwartej do ósmej staliśmy przy drzwiach, od ósmej do północy w kanale, czyli przed sceną, tam, gdzie siedzą panowie.

Detektyw Anderson: Pan Ross powiedział mi też, że około wpół do dziewiątej zobaczyłeś kogoś znajomego.

Bolton: Ach, chodzi o trenera T. Chyba nie myśli pan, że to on załatwił tego dzieciaka, co? Bo trener T to porządny gość. Trenował siostrzeńców Tony'ego w drużynach młodzieżowych. Futbolowej i bejsbolowej. Byłem zaskoczony, że przyszedł do naszego lokalu, ale nie zaszokowany. Nawet się pan nie domyśla, jacy ludzie u nas bywają – bankowcy, prawnicy, nawet paru duchownych. Ale to tak, jak mówią o Vegas: co się dzieje w Gent's, zostaje w…

Detektyw Anderson: Mhm, nie wątpię, że jesteście dyskretni jak księża w konfesjonale.

Bolton: Żarty żartami, ale taka jest prawda. Jeśli chcemy, żeby klienci do nas wracali, nie mamy innego wyjścia.

Detektyw Anderson: Tak dla formalności, Claude: kiedy mówisz „trener T", masz na myśli Terry'ego Maitlanda.

Bolton: Jasne.

Detektyw Anderson: Powiedz, w jakich okolicznościach go zobaczyłeś.

Bolton: Nie sterczymy przez cały czas w kanale, no nie? Nie na tym ta robota polega. Przez większość czasu krążymy po lokalu, pilnujemy, żeby klienci nie dotykali dziewczyn, przerywamy bójki, zanim się rozkręcą – kiedy faceci się napalą, bywa, że stają się agresywni, jako policjant na pewno pan to wie. Awantury nie zawsze wybuchają w kanale, ale przeważnie tak, więc jeden z nas się stamtąd nie rusza. Drugi chodzi to tu, to tam – zagląda do baru, małej wnęki, w której stoi kilka automatów do gry i stół bilardowy na monety, do boksów na prywatne tańce, no i oczywiście do męskiej ubikacji; tam najczęściej odchodzi handel narkotykami. Tych, których na tym łapiemy, wywalamy na zbity pysk.

Detektyw Anderson: Powiedział człowiek z wyrokami za posiadanie i posiadanie z zamiarem sprzedaży.

Bolton: Z całym szacunkiem, panie detektywie, to cios poniżej pasa. Sześć lat jestem czysty. Chodzę na spotkania anonimowych narkomanów i w ogóle. Chce pan, żebym oddał mocz do analizy? Jestem gotów.

Detektyw Anderson: Nie ma takiej potrzeby. Gratuluję trzeźwości. A zatem około wpół do dziewiątej krążyłeś po lokalu…

Bolton: Zgadza się. Zajrzałem do baru, a potem poszedłem w głąb korytarza, żeby rzucić okiem do męskiego WC. I wtedy zobaczyłem trenera T. Właśnie odwieszał słuchawkę. Są tam dwa automaty, ale tylko jeden działa. Trener…

Detektyw Anderson: Claude? Przez chwilę mi tu odpłynąłeś.

Bolton: Zamyśliłem się. Próbowałem sobie przypomnieć. Dziwnie wyglądał. Był taki otumaniony. Naprawdę myślicie, że zabił tego dzieciaka? Ja uznałem, że to po prostu dlatego, że pierwszy raz przyszedł do lokalu, w którym dziewczyny się rozbierają. Na niektórych facetów tak to działa, ogłupia ich. A może był na haju. Powiedziałem: „Hej, trenerze, jak idzie pańskiej drużynie?”. A ten patrzy, jakby widział mnie pierwszy raz w życiu, chociaż byłem praktycznie na wszystkich meczach, w których grali Stevie i Stanley, i nawet powiedziałem mu, na czym polega atak z podwójną zmianą kierunku, z czego jednak nigdy nie skorzystał, bo stwierdził, że dla dzieci to za trudne. Chociaż jeśli można je nauczyć dzielenia pisemnego, to z czymś takim też powinny sobie poradzić, nie sądzi pan?

Detektyw Anderson: I jesteś pewien, że to był Terence Maitland.

Bolton: Boże, jasne, że tak. Powiedział, że drużynie idzie nieźle i że wpadł tylko zadzwonić po taksówkę. Tak jak kiedyś wszyscy mówiliśmy, że czytamy „Playboya” dla artykułów, kiedy nasze żony znajdowały go obok

sedesu. Ale udawałem, że mu wierzę, w Gentlemen's klient zawsze ma rację, przynajmniej dopóki nie spróbuje złapać dziewczyny za cyca. Powiedziałem, że przed klubem pewnie stoją już jakieś taksówki. On na to, że to samo usłyszał od dyspozytora. A potem podziękował i poszedł.

Detektyw Anderson: Jak był ubrany?

Bolton: W żółtą koszulę i dżinsy. Jego pasek miał sprzączkę z głową konia. Na nogach fajne adidasy. Pamiętam je, bo wyglądały na dość drogie.

Detektyw Anderson: Ty jeden widziałeś go w klubie?

Bolton: Nie, zauważyłem, że paru facetów pomachało do niego, kiedy wychodził. Nie wiem, kim byli, i chyba niełatwo wam będzie ich znaleźć, bo wielu mężczyzn za nic się nie przyzna, że lubią odwiedzać lokale typu Gent's. Taka jest smutna rzeczywistość. Nie zdziwiłem się, że go rozpoznali, bo Terry jest dość sławny w tych stronach. Kilka lat temu nawet dostał jakąś nagrodę, czytałem o tym w gazecie. Nazwa Flint City brzmi dumnie, ale tak naprawdę to mała mieścina, w której wszyscy znają wszystkich, przynajmniej z widzenia. A każdy, kto ma synów, że tak powiem, ze smykałką do sportu, zna trenera T z bejsbolu albo futbolu.

Detektyw Anderson: Dziękuję, Claude. Bardzo nam pomogłeś.

Bolton: Pamiętam jeszcze jedno. Niby nic takiego, ale trochę mrozi krew w żyłach, jeśli to rzeczywiście on zabił tego dzieciaka.

Detektyw Anderson: Słucham.

Bolton: To się stało zupełnym przypadkiem, z niczyjej winy. Właśnie wychodził, żeby zobaczyć, czy jest już taksówka. Podałem mu rękę i powiedziałem: „Chcę panu podziękować za wszystko, co pan zrobił dla siostrzeńców Tony'ego, trenerze. To dobre chłopaki, ale trochę niesforne, może dlatego, że ich rodzice się rozwiedli i w ogóle. Dzięki panu mieli coś do roboty, zamiast rozrabiać w mieście". Chyba go zaskoczyłem, bo lekko odskoczył do tyłu, zanim chwycił moją rękę. Miał jednak porządny, mocny uścisk i… widzi pan tego małego strupa na grzbiecie mojej dłoni? Zrobił mi to paznokciem u małego palca, kiedy uścisnęliśmy sobie ręce. Właściwie już się zagoiło, w sumie to było tylko małe draśnięcie, ale przez chwilę przypomniały mi się czasy ćpania.

Detektyw Anderson: Jak to?

Bolton: Niektórzy kolesie – głównie z Hells Angels i Devils Diciples – zapuszczali sobie paznokieć na małym palcu. Widziałem kilku, u których był

długi jak u chińskich cesarzy. Harleyowcy czasem nawet ozdabiają je kalkomanią, jak kobiety. Mówią, że to paznokieć do koki.

17

Po aresztowaniu na stadionie bejsbolowym Ralph nie miał szans wcielić się w rolę dobrego gliny, więc tylko stał oparty o ścianę pokoju przesłuchań i patrzył. Był przygotowany na kolejne spojrzenie pełne wyrzutu, ale Terry jedynie zerknął na niego przelotnie, z twarzą pozbawioną wyrazu, po czym skierował wzrok na Billa Samuelsa, który usiadł na jednym z trzech krzeseł po drugiej stronie stołu.

Uważnie obserwując Samuelsa, Ralph zaczął się domyślać, czemu facet zawdzięczał swój szybki awans. Kiedy stali we dwóch za lustrem weneckim, prokurator okręgowy wydawał się po prostu trochę za młody na to stanowisko. Teraz, naprzeciwko gwałciciela i mordercy Frankiego Petersona, wyglądał jeszcze młodziej, jak stażysta z kancelarii prawniczej, któremu (pewnie przez pomyłkę) kazano przesłuchać groźnego przestępcę. Nawet mały kogut sterczący z tyłu jego głowy pasował do roli, jaką sobie wyznaczył: nieopierzonego młodziaka, niezmiernie uradowanego, że w ogóle może tu być. Możesz mi wszystko powiedzieć, przekonywały szeroko otwarte, zainteresowane oczy, a ja ci uwierzę. Pierwszy raz gram o wysoką stawkę i po prostu inaczej nie potrafię.

– Dzień dobry, panie Maitland – powiedział Samuels. – Pracuję w prokuraturze okręgowej.

Dobry początek, pomyślał Ralph. Przecież prokuratura okręgowa to ty.

– Tracicie czas – rzucił Terry. – Nie będę z wami rozmawiał, dopóki nie przyjdzie mój adwokat. Powiem tylko tyle: przewiduję, że czeka was pozew o bezzasadne zatrzymanie.

– Rozumiem, że jest pan zdenerwowany, każdy byłby na pańskim miejscu. Może uda się nam wyjaśnić wszystko od ręki. Zechce pan powiedzieć, gdzie pan był, kiedy zginął mały Peterson? To było we wtorek po południu. Jeśli przebywał pan wtedy gdzie indziej…

– Tak, przebywałem gdzie indziej – odparł Terry. – Ale zanim wam powiem gdzie, chcę to omówić z moim adwokatem. Nazywa się Howard Gold. Kiedy przyjdzie, chcę porozmawiać z nim na osobności. Rozumiem, że mam do tego prawo? Skoro jestem niewinny, dopóki nie udowodnicie mi winy?

Szybko odzyskał rezon, pomyślał Ralph. Zatwardziały kryminalista nie poradziłby sobie lepiej.

– W istocie – przyznał Samuels. – Ale jeśli nie zrobił pan nic złego…

– Niech pan nawet nie próbuje, panie Samuels. Nie ściągnął mnie pan tu dlatego, że jest pan miłym człowiekiem.

– Ależ jestem. Jeśli doszło do nieporozumienia, równie mocno jak pan pragnę je wyjaśnić.

– Włosy panu sterczą z tyłu – powiedział Terry. – Może wypadałoby coś z tym zrobić. Wygląda pan jak ten mały Alfalfa ze starych komedii, które oglądałem w dzieciństwie.

Ralphowi zupełnie nie było do śmiechu, ale kącik jego ust drgnął; nie mógł tego powstrzymać.

Na chwilę wytrącony z równowagi Samuels podniósł dłoń, żeby przygładzić koguta. Kosmyk oklapł, lecz zaraz poderwał się z powrotem.

– Jest pan pewien, że nie chce tego wyjaśnić? – Wychylił się do przodu ze stropioną miną sugerującą, że Terry popełnia duży błąd.

– Jestem pewien – odparł Terry. – Tak samo jak tego, że złożę pozew. Chyba nie ma na tyle wysokiego odszkodowania, żeby zadośćuczynić za to, co dziś zrobiliście, sukinsyny… nie tylko mnie, ale i mojej żonie i dziewczynkom. Ale chętnie się o tym przekonam.

Samuels przez chwilę siedział nieruchomo – wychylony do przodu, z oczami pełnymi niewinnej nadziei utkwionymi w oczach Terry'ego – po czym wstał. Mina niewiniątka zniknęła bez śladu.

– Dobrze. Zgoda. Może pan się naradzić z adwokatem, panie Maitland, ma pan do tego prawo. Nie będziemy nagrywać,

zaciągniemy nawet zasłonę. Jeśli się pospieszycie, może jeszcze dziś ze wszystkim się uwiniemy. Z samego rana mam partyjkę golfa.

Terry wyglądał, jakby nie wierzył własnym uszom.

– Golfa?

– Golfa. To taka gra, w której trzeba trafić małą piłką do dołka. Szczerze mówiąc, średnio mi to wychodzi. Za to w grze, którą tu ze sobą prowadzimy, jestem mistrzem, panie Maitland. I jak powie panu wielce szanowny pan Gold, możemy zatrzymać pana na czterdzieści osiem godzin bez przedstawienia zarzutów. Nie potrzeba nam jednak aż tyle czasu. Jeśli dziś nie zdołamy wyjaśnić tej sprawy, w poniedziałek z samego rana zabierzemy pana do sądu, gdzie zostanie pan postawiony w stan oskarżenia. Do tego czasu o pańskim aresztowaniu dowie się cały stan, więc może pan liczyć na wielkie zainteresowanie mediów. Nie wątpię, że fotografowie uchwycą pana od tej lepszej strony.

Przekonany, że ostatnie słowo należało do niego, Samuels pomaszerował niemal dumnym krokiem do drzwi (Ralph domyślał się, że wciąż był rozdrażniony komentarzem Terry'ego na temat koguta). Zanim zdołał je otworzyć, Terry zawołał:

– Hej, Ralph.

Ralph się odwrócił. Terry wydawał się spokojny, co w tych okolicznościach było niezwykłe. A może nie. Ci najbardziej bezwzględni, socjopaci, po pierwszym szoku czasem odnajdują ten spokój, zbierają siły przed długą walką. Ralph widział to nie pierwszy raz.

– Obiecałem Howiemu, że będę milczał, dopóki nie przyjdzie, chcę ci jednak coś powiedzieć.

– Śmiało. – To Samuels. Starał się nie okazywać zapału, ale mina mu zrzedła, kiedy usłyszał następne słowa Terry'ego:

– Derek grał skróty najlepiej ze wszystkich zawodników, jakich miałem.

– O nie. – Ralph słyszał w swoim głosie drżące vibrato furii. – Nie waż się. Nie chcę słyszeć imienia mojego syna w twoich ustach. Ani dziś, ani nigdy.

Terry kiwnął głową.

– Wiem, co czujesz, bo ja nigdy nie chciałem zostać aresztowany na oczach mojej żony, córek i tysiąca innych ludzi, w tym wielu moich sąsiadów. Dlatego nie obchodzi mnie, co chcesz słyszeć, a czego nie. Posłuchaj mnie chwilę. Myślę, że jesteś mi to winien po tym, jak się ze mną obszedłeś.

Ralph otworzył drzwi, ale Samuels położył dłoń na jego ramieniu, pokręcił głową i lekkim ruchem oczu wskazał kamerę w kącie; paliło się na niej małe czerwone światełko. Ralph ponownie zamknął drzwi i odwrócił się do Terry'ego, zaplatając ramiona na piersi. Podejrzewał, że jego odpłata za publiczne aresztowanie będzie bolesna, ale Samuels miał rację – podejrzany, który mówi, zawsze jest lepszy od podejrzanego, który trzyma gębę na kłódkę do przyjścia adwokata. Bo jedno słowo może pociągnąć za sobą następne.

– Derek miał metr czterdzieści pięć, może metr pięćdziesiąt wzrostu, kiedy grał w juniorach. Widziałem go od tego czasu… w zeszłym roku nawet próbowałem go namówić do gry w lidze miejskiej… i przybyło mu kilkanaście centymetrów. Założę się, że kiedy skończy liceum, będzie wyższy od ciebie.

Ralph czekał.

– Był mikrusem, ale na pozycji pałkarza nie znał strachu. Wielu się boi, on jednak dzielnie stawał naprzeciwko miotaczy, którzy rzucali ile sił i nie dbali o to, dokąd poleci piłka. Kilka razy oberwał, ale nigdy się nie poddawał.

To była prawda. Kiedy D po niektórych meczach zdejmował strój bejsbolowy, Ralph widział siniaki na jego tyłku, udzie, ramieniu, barku. Raz miał idealnie równe sinoczarne kółko na karku. Jeanette wściekała się na widok tych urazów, a fakt, że Derek nosił kask ochronny, nie był dla niej żadnym pocieszeniem; ilekroć wchodził na stanowisko pałkarza, ściskała ramię Ralpha prawie do krwi, drżała, że mały kiedyś w końcu dostanie między oczy i zapadnie w śpiączkę. Ralph przekonywał, że nie ma takiego zagrożenia, ale był niemal równie zadowolony jak Jeannie, kiedy Derek przerzucił się na tenis. Piłki były bardziej miękkie.

Terry wychylił się i, o dziwo, lekko uśmiechnął.

– Dzieciaki tak niskie często zmuszają miotaczy do błędów… prawdę mówiąc, poniekąd na to liczyłem dzisiaj, kiedy wpuściłem na boisko Trevora Michaelsa… ale Derek chciał zdobywać bazy sam, nie liczyć na cudze gafy. Próbował odbijać każdą piłkę, czy szła nad bazą, czy obok, nad jego głową, czy nisko nad ziemią. Niektóre dzieciaki zaczęły na niego wołać Świstek Anderson, bo piłki tylko świszczały mu koło ucha, potem ktoś zmienił to na Swiffer, od nazwy mopa, i przezwisko się przyjęło. Przynajmniej na jakiś czas.

– Bardzo ciekawe – powiedział Samuels. – Ale może jednak pomówimy o Franku Petersonie?

Terry nie odrywał wzroku od Ralpha.

– Krótko mówiąc, kiedy się zorientowałem, że chłopak uparcie nie chce czekać na błędy przeciwnika, nauczyłem go grać skróty. Wielu jego rówieśników, dziesięcio-, jedenastolatków, wzbrania się przed tym. Wiedzą, na czym to polega, ale nie chcą trzymać kija przed sobą, zwłaszcza kiedy są na wprost silnego miotacza. Myślą o tym, jak bardzo będą bolały palce, jeśli dostaną w nie piłką. Derek był inny. Twój chłopak miał kupę ikry. Poza tym szybko biegał i wiele razy, kiedy kazałem mu odbić piłkę lekko na zasadzie „ciebie wyautują, ale ktoś inny w tym czasie zdobędzie punkt", ostatecznie zajmował bazę.

Ralph nie kiwnął głową, w żaden sposób nie okazał, że go to obchodzi, ale wiedział, o czym mówi Terry. Bił brawo po wielu z tych skrótów i widział, jak mały śmigał od bazy do bazy, jakby włosy mu się fajczyły i tyłek się od nich zajmował.

– Trzeba go było tylko nauczyć ustawiać kij pod odpowiednim kątem – powiedział Terry i podniósł dłonie, żeby zademonstrować. Były umorusane ziemią, pewnie od rzucania piłek na treningu przed dzisiejszym meczem. – Przechylasz w lewo, piłka turla się w stronę trzeciej bazy. Przechylasz w prawo, w stronę pierwszej bazy. Nie wolno wysuwać kija do przodu, bo wtedy piłka przeważnie leci prosto do miotacza, wystarczy lekko nim szarpnąć w ostatnim ułamku sekundy. Szybko się uczył. Dzieciaki przestały nazywać go Swifferem i nadały mu nową ksywkę. Bywało, że pod koniec meczu mieliśmy chłopaków na pierwszej i trzeciej bazie, i przeciwnicy z góry wiedzieli, że Derek zagra skrót; nie robił żadnych zmyłek, ustawiał kij

w poprzek, kiedy tylko miotacz brał zamach, i cała ławka rezerwowych wrzeszczała: „Puknij to, Derek, puknij to!”. Ja i Gavin też. I tak właśnie wołali na niego przez cały ostatni rok, kiedy zdobyliśmy mistrzostwo okręgu. Puknij To Anderson. Wiedziałeś o tym?

Ralph nie wiedział. Może dlatego, że to była jedna z tych spraw, które zostają w szatni. Wiedział za to, że tamtego lata Derek bardzo dojrzał. Częściej się śmiał, po meczach chciał zostać na stadionie, zamiast wracać do samochodu ze spuszczoną głową i smętnie zwisającą rękawicą.

– Zawdzięczał to głównie sobie, trenował jak szatan, dopóki tego nie opanował… ale to ja namówiłem go, żeby spróbował takiego zagrania. – Terry zawiesił głos, po czym bardzo cicho dodał: – A ty robisz mi coś takiego. Na oczach wszystkich robisz mi coś takiego.

Ralphowi zapłonęły policzki. Otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale Samuels już wyprowadzał go na zewnątrz, prawie ciągnął za sobą. Prokurator zatrzymał się tylko na chwilę, żeby rzucić przez ramię:

– Nie Ralph ci to zrobił, Maitland. Ani nie ja. Sam to sobie zrobiłeś.

Po chwili obaj znów patrzyli przez lustro weneckie. Samuels zapytał Ralpha, czy wszystko z nim w porządku.

– Tak – powiedział, choć policzki nadal go paliły.

– Niektórzy z nich są mistrzami prowokacji. Wiesz o tym, prawda?

– Tak.

– I wiesz, że to zrobił, prawda? Nie miałem jeszcze sprawy, w której wszystko byłoby tak oczywiste.

I to mnie niepokoi, pomyślał Ralph. Wcześniej nie niepokoiło, ale teraz tak. Nie powinno, bo Samuels ma rację, a jednak.

– Zwróciłeś uwagę na jego dłonie? – spytał Ralph. – Kiedy pokazywał, jak uczył Dereka grać skróty, widziałeś jego dłonie?

– Tak. I co z tego?

– Nie ma długiego paznokcia na małym palcu – powiedział Ralph. – Ani na jednej, ani na drugiej dłoni.

Samuels wzruszył ramionami.

– Czyli go obciął. Jesteś pewien, że wszystko w porządku?

– Tak – odparł Ralph. – Tylko…

Drzwi między częścią biurową a izbą zatrzymań zabrzęczały i otworzyły się z hukiem. Mężczyzna, który nadciągnął korytarzem, był ubrany w typowy strój do relaksu w sobotni wieczór – wypłowiałe dżinsy i koszulkę Texas Christian University z podskakującą Superżabą – ale pokaźna teczka, którą niósł, wyraźnie świadczyła o tym, że jest prawnikiem.

– Cześć, Bill – odezwał się. – Dzień dobry panu, detektywie Anderson. Może któryś z was raczy mi wyjaśnić, dlaczego aresztowaliście laureata nagrody Flint City dla człowieka roku dwa tysiące piętnastego? Czy to pomyłka, którą może uda się nam jakoś załagodzić, czy też padło wam na mózgi?

Przybył Howard Gold.

18

Do: Prokurator okręgowy William Samuels
Komendant policji Flint City Rodney Geller
Szeryf okręgu Flint Richard Doolin
kpt. Avery Rudolph, policja stanowa, jednostka 7
det. Ralph Anderson, policja Flint City

Od: por. Yunel Sablo, policja stanowa, jednostka 7

Data: 13 lipca

Temat: Dworzec Vogel w Dubrow

Na prośbę prokuratora okręgowego i detektywa Andersona o godz. 14.30 wskazanego dnia przybyłem na dworzec Vogel. Vogel to główny węzeł transportowy w południowej części stanu, zatrzymują się tam autobusy trzech dużych przewoźników (Greyhound, Trailways, Mid-State), jak również pociągi Amtrak. Swoje filie mają tam też wszystkie znane wypożyczalnie samochodów (Hertz, Avis, Enterprise, Alamo). Ponieważ teren dworca jest pod ścisłą obserwacją kamer, udałem się prosto do biura ochrony, gdzie przyjął mnie Michael Camp, dyrektor ochrony. Był przygotowany na moją wizytę. Nagrania z monitoringu przechowywane są przez trzydzieści dni i cały system jest skomputeryzowany, więc mogłem obejrzeć wszystkie materiały z wieczoru dziesiątego lipca, nagrane przez szesnaście kamer.

Według Clintona Ellenquista, dyspozytora firmy taksówkarskiej z Flint City, który pełnił dyżur wieczorem dziesiątego lipca, taksówkarka Willow Rainwater zgłosiła się o 21:30, by zameldować, że odstawiła klienta na miejsce. Southern Limited, pociąg, którym według zeznania pani Rainwater zamierzał pojechać podejrzany, przybył na Vogel o 21:50. Pasażerowie wysiedli na peronie trzecim. Podróżni wybierający się do Dallas-Fort Worth zostali wpuszczeni do pociągu siedem minut później, o 21:57. Southern Limited odjechał o 22:12. Podane godziny są precyzyjne, ponieważ wszystkie przyjazdy i odjazdy są monitorowane i nagrywane przez komputer.

Wraz z dyrektorem ochrony Campem obejrzałem nagrania ze wszystkich szesnastu kamer monitoringowych, poczynając od 21:00 dziesiątego lipca (na wszelki wypadek) i kończąc na 23:00, około pięćdziesięciu minut po odjeździe pociągu Southern Limited. Wszelkie szczegóły dotyczące zawartości nagrań mam na moim iPadzie, ale ponieważ prokurator Samuels w rozmowie ze mną podkreślił, że sprawa jest pilna, w niniejszym wstępnym raporcie przedstawię tylko ogólne podsumowanie.

21:33 – Podejrzany wchodzi na dworzec wejściem północnym, pod które zwykle podjeżdżają taksówki i którędy wchodzi większość podróżnych. Przechodzi przez halę główną. Żółta koszula, niebieskie dżinsy. Nie ma bagażu. Wyraźne ujęcie jego twarzy przez 2–4 sekundy, kiedy podnosi wzrok na duży zegar pod sufitem (kadr przesłałem mailem prokuratorowi Samuelsowi i detektywowi Andersonowi).

21:35 – Podejrzany zatrzymuje się przy kiosku na środku hali. Kupuje książkę w miękkiej oprawie, płaci gotówką. Tytułu nie można odczytać, ale przypuszczam, że w razie potrzeby jest do ustalenia. Na tym ujęciu widać sprzączkę z końską głową (kadr przesłałem mailem prokuratorowi Samuelsowi i detektywowi Andersonowi).

21:39 – Podejrzany wychodzi z dworca drzwiami od Montrose Avenue (wejście południowe). Chociaż to wyjście/wejście jest otwarte dla wszystkich, korzystają z niego głównie pracownicy Vogel, ponieważ od tamtej strony budynku znajduje się parking służbowy. Jego teren obserwują dwie kamery. Żadna z nich nie uchwyciła podejrzanego, ale Camp i ja przez ułamek sekundy dostrzegliśmy cień, być może podejrzanego, przemieszczający się w prawo, w stronę drogi dojazdowej do parkingu.

Podejrzany nie nabył biletu na Southern Limited ani za gotówkę w kasie, ani kartą kredytową. Po kilkukrotnym obejrzeniu nagrania z peronu trzeciego, które jest wyraźne i moim zdaniem pełne, mogę stwierdzić z względną pewnością, że podejrzany nie wrócił na dworzec ani nie wsiadł do pociągu.

Z tego wnioskuję, że wyjazd podejrzanego do Dubrow mógł być próbą zostawienia fałszywego tropu w celu zmylenia pościgu. Przypuszczam, że podejrzany wrócił do Flint City albo z pomocą wspólnika, albo autostopem. Mógł też ukraść samochód. Policja z Dubrow interesującego nas wieczoru nie otrzymała zgłoszeń o kradzieży pojazdów w pobliżu dworca Vogel, ale, jak zaznacza dyrektor ochrony Camp, zniknięcie samochodu z parkingu długoterminowego może pozostać niezauważone przez tydzień, nawet dłużej.

Nagrania z kamer na parkingu długoterminowym są dostępne i zostaną ponownie odtworzone, jeśli wyrazimy takie życzenie, ale zainstalowany tam monitoring nie obejmuje całego terenu. Co więcej, dyrektor ochrony Camp poinformował mnie, że kamery często się psują i są przeznaczone do wymiany. Myślę, że przynajmniej na razie korzystniej będzie poszukać tropów gdzie indziej.

Z poważaniem
por. Y. Sablo
Zob. załączniki

19

Howie Gold podał rękę Samuelsowi i Ralphowi Andersonowi. Potem spojrzał przez lustro weneckie na Terry'ego Maitlanda, ubranego w koszulkę Dragonsów i jego szczęśliwą bejsbolówkę. Plecy Terry'ego były wyprostowane, głowa podniesiona, dłonie starannie splecione na stole. Żadnych tików, żadnego wiercenia się, żadnych nerwowych zerknięć w bok. Nie wyglądał na winnego – Ralph musiał to przyznać przed samym sobą.

Wreszcie Gold odwrócił się do Samuelsa.

– Mów – powiedział, jakby zachęcał psa do zrobienia sztuczki.

– Na razie niewiele jest do powiedzenia, Howard. – Dłoń Samuelsa powędrowała na tył głowy. Przygładził koguta. Chwilę leżał na płasko, po czym znów poderwał się w górę. Ralph mimo woli przypomniał sobie tekst Alfalfy, z którego śmiał się z bratem, kiedy byli mali: „Przyjaciół na całe życie poznaje się tylko raz w życiu". – Tylko że to nie jest pomyłka i nie, nie padło nam na mózgi.

– Co mówi Terry?

– Jak dotąd nic – powiedział Ralph.

Gold obrócił się do niego. Jego błyszczące jasnoniebieskie oczy były nieco powiększone przez okrągłe szkła okularów.

– Źle mnie zrozumiałeś, Anderson. Nie tu i teraz, wiem, że tu i teraz nic wam nie powiedział, nie jest aż tak głupi. Mówię o przesłuchaniu wstępnym. Możesz mi powiedzieć, bo przecież i tak poznam szczegóły od niego.

– Nie było przesłuchania wstępnego – odparł Ralph. Nie musiał się czuć z tego powodu niezręcznie, nie ze wszystkimi dowodami, jakie zebrali w raptem cztery krótkie dni, a jednak tak właśnie się czuł. Po

części dlatego, że Howie Gold zwrócił się do niego po nazwisku, jakby nigdy nie stawiali sobie drinków w Wagon Wheel naprzeciwko sądu okręgowego. Czuł idiotyczną pokusę, by powiedzieć Howiemu: Nie patrz na mnie, spójrz na gościa, który stoi obok mnie. To on dał gaz do dechy.

– Co takiego? Chwila, moment. Chwila, kurde, moment. – Gold wcisnął dłonie do kieszeni i zaczął się kołysać na palcach stóp. Ralph widział to wiele razy, w sądzie rejonowym i okręgowym. Zebrał się w sobie. Przesłuchanie świadka prowadzone przez Howiego Golda nie było przyjemnym doświadczeniem. Nigdy jednak nie miał mu tego za złe; to tylko jeden z wielu elementów tańca proceduralnego. – Chcesz powiedzieć, że aresztowałeś go na oczach dwóch tysięcy ludzi i nawet nie dałeś mu szansy się wytłumaczyć?

– Jesteś dobrym adwokatem, ale sam Bóg nie wyciągnąłby Maitlanda z tej kabały. A ludzi, ściśle mówiąc, było tysiąc dwieście, góra półtora tysiąca. Estelle Barga Field nie pomieściłoby dwóch tysięcy; trybuny by się zawaliły.

Gold zignorował tę nieudolną próbę rozładowania atmosfery. Patrzył na Ralpha jak na właśnie odkryty gatunek robaka.

– Ale aresztowałeś go w miejscu publicznym, w chwili, można rzec, jego apoteozy…

– Jego apote… czego? – spytał Samuels z uśmiechem.

To też Gold zignorował. Nadal wpatrywał się w Ralpha.

– Zrobiłeś to, mimo że mogłeś dyskretnie obstawić stadion, a potem zaczekać, aż mecz się skończy, i aresztować go w domu. Zrobiłeś to na oczach jego żony i córek, musiała to więc być twoja świadoma decyzja. Co cię opętało? Na miły Bóg, co cię opętało?

Ralphowi znów zrobiło się ciepło.

– Naprawdę chcesz wiedzieć, mecenasie?

– Ralph. – Samuels położył dłoń na jego ramieniu, próbując go powstrzymać, ale Ralph ją strząsnął.

– Nie ja go aresztowałem. Wysłałem po niego dwóch funkcjonariuszy, bo bałem się, że sam złapałbym go za gardło i dusił, aż gęba by mu zsiniała. A to takiemu bystremu prawnikowi jak ty dałoby trochę za duże pole do popisu. – Zrobił krok do przodu, wchodząc w prywatną przestrzeń Golda, pragnąc zmusić go, by

przestał się kołysać. – Porwał Franka Petersona i zabrał go do Figgis Park. Tam zgwałcił chłopaka gałęzią, a potem zabił. Chcesz wiedzieć, jak go zabił?

– Ralph, to tajemnica śledztwa! – skrzeknął Samuels.

Ralph jednak nie zważał na niego.

– Ze wstępnych ustaleń wynika, że rozszarpał mu gardło zębami. Możliwe nawet, że połknął przy tym trochę mięsa, rozumiesz? To wszystko tak go podnieciło, że ściągnął gacie i spuścił się na uda dzieciaka. Najohydniejsze, najpotworniejsze i najbardziej bestialskie morderstwo, z jakim mieliśmy do czynienia. Pierwsze takie i oby ostatnie. Ta żądza musiała w nim długo narastać. Każdy, kto był na miejscu zbrodni, nigdy tego nie zapomni. I zrobił to Terry Maitland. Zrobił to trener T, który nie tak dawno dotykał rąk mojego syna, kiedy pokazywał mu, jak rozgrywać skróty. Właśnie mi o tym opowiedział, jakby to miało dowieść jego niewinności czy coś.

Gold nie patrzył już na niego jak na robaka. Teraz jego twarz wyrażała zdziwienie człowieka, który odnalazł przedmiot pozostawiony przez jakiś nieznany pozaziemski gatunek. Ralpha to nie obchodziło. Nic już go nie obchodziło.

– Sam masz syna… na imię ma Tommy, prawda? Czy nie dlatego zacząłeś prowadzić treningi razem z Terrym, że Tommy grał w jego drużynie? Twojego syna też dotykał. I teraz będziesz go bronił?

– Na litość boską, zamknij jadaczkę – warknął Samuels.

Gold przestał się kołysać, ale nie ustąpił o krok; wciąż patrzył na Ralpha z niemal antropologicznym zaskoczeniem.

– Nawet go nie przesłuchałeś – szepnął. – Nawet. Nie. Przesłuchałeś. Jeszcze nigdy… nigdy…

– Oj, bez takich – rzucił Samuels z wymuszoną wesołością. – Wszystko już w życiu widziałeś, Howie. Większość z tego dwa razy.

– Chcę się z nim naradzić – zdecydował dziarsko Gold – więc wyłączcie sprzęt nagrywający i zaciągnijcie zasłonę.

– W porządku – zgodził się Samuels. – Masz piętnaście minut, potem do was dołączymy. Zobaczymy, czy trener będzie miał coś do powiedzenia.

– Godzinę, prokuratorze.

– Pół godziny. Potem albo wysłuchamy, jak przyznaje się do winy… co mogłoby oznaczać dożywocie w McAlester zamiast zastrzyku z trucizną… albo zamkniemy go do poniedziałku, kiedy zostanie postawiony w stan oskarżenia. To zależy od was. Jeśli jednak myślisz, że przyszło nam to lekko, mylisz się jak nigdy w życiu.

Gold podszedł do drzwi. Ralph przeciągnął swoją kartę przez czytnik – rozległ się szczęk otwierających się zamków – po czym wrócił do lustra weneckiego i patrzył, jak adwokat wchodzi do pokoju przesłuchań. Samuels zesztywniał, kiedy Maitland wstał z krzesła i ruszył w stronę Golda z wyciągniętymi ramionami, ale na twarzy aresztanta malowała się ulga, nie agresja. Objął prawnika, który upuścił swoją pokaźną teczkę i odwzajemnił uścisk.

– Robią niedźwiedzia – odezwał się Samuels. – Jak słodko.

Gold odwrócił się, jakby go usłyszał; wskazał na kamerę z zapalonym czerwonym światełkiem.

– Wyłączcie to – dobiegło z głośnika nad ich głowami. – Fonię też. A potem zaciągnijcie zasłonę.

Wyłączniki były na konsoli ściennej, która zawierała też sprzęt nagrywający audio i wideo. Ralph pstryknął nimi. Czerwone światełko na kamerze w kącie pokoju przesłuchań zgasło. Kiwnął głową Samuelsowi, który szarpnął za zasłonę. Dźwięk, z jakim zakryła lustro weneckie, obudził w Ralphie nieprzyjemne wspomnienia. Trzy razy – jeszcze zanim w prokuraturze okręgowej nastały czasy Billa Samuelsa – uczestniczył w egzekucjach w McAlester. Tam, na długim oknie oddzielającym komorę śmierci od sali obserwacyjnej, wisiała podobna zasłona (może nawet wyprodukowana przez tę samą firmę!). Rozsuwano ją, gdy świadkowie wchodzili do sali obserwacyjnej, i zaciągano zaraz po ogłoszeniu zgonu skazańca. Wydawała ten sam niemiły, zgrzytliwy dźwięk.

– Skoczę naprzeciwko, do Zoney’s, po hamburgera i coś do picia – powiedział Samuels. – Wcześniej z nerwów nie mogłem jeść. Przynieść ci coś?

– Chętnie napiłbym się kawy. Bez mleka, jedna kostka cukru.

– Jesteś pewien? Piłem kawę z Zoney’s i nie bez powodu nazywają ją czarną śmiercią.

– Zaryzykuję.

– Dobrze. Wracam za piętnaście minut. Nie zaczynaj beze mnie, jeśli skończą wcześniej.

Nawet nie brał tego pod uwagę. Od tej pory to był show Billa Samuelsa. Niech cała chwała spadnie na niego, jeśli taki koszmar w ogóle mógł przysporzyć komuś chwały. Na drugim końcu korytarza stał rząd krzeseł. Ralph usiadł na tym najbliższym kserokopiarki, która szumiała cicho w stanie uśpienia, i spojrzał na zaciągniętą zasłonę. Był ciekaw, co Terry Maitland mówi tam, w środku, jakie wydumane alibi sprawdza na byłym współtrenerze jego drużyny futbolowej.

Mimowolnie pomyślał o potężnej Indiance, która zabrała Maitlanda spod Gentlemen, Please i zawiozła go na dworzec w Dubrow. „Prowadzę treningi koszykówki w YMCA. Maitland tam przychodził… siedział na trybunach z rodzicami dzieciaków i oglądał mecze. Powiedział mi, że szukał talentów do drużyny bejsbolowej…”

Znała go, a on musiał znać ją – kobietę o tych gabarytach i tego pochodzenia trudno zapomnieć. Mimo to w taksówce zwracał się do niej per „pani”. Dlaczego? Bo nawet jeśli kojarzył jej twarz z YMCA, to nie pamiętał jej imienia? Całkiem możliwe, ale jakoś mało przekonujące. Takie nazwisko jak Willow Rainwater też trudno zapomnieć.

– Cóż, był w stresie – mruknął Ralph do siebie albo do drzemiącej kopiarki. – Poza tym…

Przyszło kolejne wspomnienie, a z nim bardziej sensowny powód, dla którego Maitland mógł nie mówić tej kobiecie po imieniu. Brat Ralpha, Johnny, trzy lata od niego młodszy, był kiepski w zabawie w chowanego. Często po prostu uciekał do sypialni i zagrzebywał głowę w pościeli, najwyraźniej przekonany, że skoro nie widzi Ralphiego, to Ralphie jego też nie zobaczy. Czy nie jest możliwe, że człowiek, który dopiero co popełnił potworne morderstwo, też ma skłonność do tego rodzaju magicznego myślenia? Jeśli ja nie znam ciebie, to ty nie znasz mnie. Rozumowanie szaleńca – ale przecież trzeba być szaleńcem, żeby dopuścić się takiej zbrodni. Poza tym mogło to tłumaczyć więcej niż tylko reakcję Terry’ego na Rainwater; także to, dlaczego uważał, że może się z tego wywinąć, mimo że

znało go wielu ludzi z Flint City, a dla miłośników sportu był niemal celebrytą.

Tyle że był jeszcze Carlton Scowcroft. Zamykając oczy, Ralph wręcz widział, jak Gold podkreśla kluczowy fragment zeznania Scowcrofta i przygotowuje mowę końcową, może kradnąc pomysł adwokatowi O.J. Simpsona. „Jeśli rękawiczka nie wchodzi, skazać się nie godzi", powiedział Johnnie Cochran. Wersja Golda, niemal równie chwytliwa, mogłaby brzmieć: Skoro tego nie wiedział, nie godzi się, by siedział.

To by się nie powiodło, dwie zupełnie różne sprawy, ale…

Według Scowcrofta Maitland wyjaśnił obecność krwi na swojej twarzy i ubraniu tym, że coś mu pękło w nosie. „Buchnęło jak z gejzera. Jest tu gdzieś przychodnia, w której przyjmują od ręki?".

Sęk w tym, że Terry Maitland, wyjąwszy cztery lata studiów, spędził we Flint City całe życie. Wiedział, gdzie jest Quick Care, trafiłby tam i bez pomocy billboardu koło Coney Ford; w ogóle nie musiał pytać o drogę. Dlaczego więc to zrobił?

Samuels wrócił z colą, hamburgerem, zawiniętym w folię aluminiową, i tekturowym kubkiem kawy, który podał Ralphowi.

– Cisza i spokój?

– Tak. Zgodnie z moim zegarkiem mają jeszcze dwadzieścia minut. Kiedy skończą, spróbuję go namówić, żeby zgodził się na pobranie wymazu z policzka.

Samuels rozpakował hamburgera, ostrożnie uniósł górną połowę bułki i zajrzał do środka.

– Boże mój… – westchnął. – Wygląda jak coś zeskrobanego z ofiary pożaru. – Mimo to zaczął jeść.

Ralph zastanowił się, czy wspomnieć o rozmowie Terry'ego z Rainwater i o dziwnym pytaniu Terry'ego o przychodnię, ale ostatecznie zrezygnował. Pomyślał o tym, że Terry nawet nie próbował się maskować ani choćby zasłonić twarzy ciemnymi okularami, jednak to też przemilczał. Rozmawiali już o tych szczegółach i Samuels zbył je machnięciem ręki, twierdząc – skądinąd słusznie – że są nieistotne w obliczu zeznań świadków i obciążających wyników ekspertyz kryminalistycznych.

Kawa była tak wstrętna, jak Samuels przewidywał, ale Ralph niemal opróżnił kubek, zanim Gold dał sygnał brzęczykiem, że chce

wyjść z pokoju przesłuchań. Na widok jego miny Ralpha Andersona ścisnęło w żołądku. Nie wyrażała niepokoju, gniewu czy teatralnego oburzenia, jakie niektórzy prawnicy mogą z siebie wykrzesać, uświadomiwszy sobie, że ich klient siedzi po uszy w gównie. Nie, na twarzy Golda malowało się współczucie, i to chyba szczere.

– Aj waj – powiedział. – Panowie, ale się wkopaliście.

20

SZPITAL OGÓLNY WE FLINT CITY
ZAKŁAD PATOLOGII I SEROLOGII

Do: Detektyw Ralph Anderson
Porucznik Yunel Sablo
Prokurator okręgowy William Samuels

Od: dr Edward Bogan

Data: 14 lipca

Temat: Oznaczenie grupy krwi i badanie DNA

Krew:
Zbadano krew na kilku przedmiotach.

Pierwszym była gałąź, którą zgwałcono ofiarę, Franka Petersona, białe dziecko płci męskiej w wieku lat 11. Gałąź ta miała około 56 cm długości i 7 cm średnicy. Odcinek w mniej więcej połowie jej długości został obdarty z kory, prawdopodobnie w wyniku brutalnych działań sprawcy (zob. załączone zdjęcie). Na tym gładkim odcinku gałęzi znaleziono ślady linii papilarnych; zostały one sfotografowane i zabezpieczone przez kryminologów z policji stanowej, zanim dowody przekazali mi detektyw Ralph Anderson (policja Flint City) oraz porucznik Yunel Sablo (policja

stanowa, jednostka 7). Tym samym oświadczam, że łańcuch dowodowy został zachowany.

Krew na ostatnich dwunastu centymetrach gałęzi jest grupy 0 Rh+, która jest grupą krwi ofiary, co potwierdził Horace Connolly, lekarz rodzinny Franka Petersona. Na gałęzi jest również wiele innych śladów krwi 0 Rh+, pozostawionych w wyniku zjawiska zwanego „rozpryskiem" albo „spienianiem". Krople krwi prawdopodobnie wzlatywały w powietrze, kiedy ofiara była poddawana gwałtowi, i można domniemywać, że ochlapały też skórę i ubrania sprawcy.

Na badanym dowodzie wykryto też ślady krwi innej grupy. Była to grupa AB Rh+, znacznie rzadsza (występuje u 3% populacji). Uważam, że jest to krew sprawcy, i przypuszczam, że mógł on skaleczyć się w dłoń, którą manipulował gałęzią, co musiał robić z wielką siłą.

Dużą ilość krwi grupy 0 Rh+ znaleziono na fotelu kierowcy, kierownicy i desce rozdzielczej vana econoline rocznik 2007 porzuconego na parkingu dla pracowników pubu Shorty's (Main Street 1124). Na kierownicy vana wykryto również plamki krwi AB Rh+. Próbki te przekazali mi sierżant Elmer Stanton i sierżant Richard Spencer z wydziału kryminalistyki policji stanowej, niniejszym oświadczam więc, że łańcuch dowodowy został zachowany.

Krew grupy 0 Rh+ wykryto też w dużych ilościach na ubraniach (koszula, spodnie, skarpety, buty marki Adidas, bokserki marki Jockey) znalezionych w subaru rocznik 2011 porzuconym na opuszczonej przystani w pobliżu drogi numer 72 (znanej też jako Old Forge Road). Na lewym mankiecie koszuli jest również plamka krwi AB Rh+. Próbki te przekazali mi posterunkowy John Koryta (jednostka 7 policji stanowej) oraz sierżant Spencer z wydziału kryminalistyki policji stanowej, tym samym oświadczam więc, że łańcuch dowodowy został zachowany. Jak dotąd wewnątrz subaru outback nie znaleziono krwi AB Rh+. Być może krew tej grupy ostatecznie zostanie tam odnaleziona, nie można jednak wykluczyć, że wszelkie zadrapania, których sprawca doznał podczas popełniania zbrodni, w momencie porzucenia subaru już się zagoiły. Jest też możliwe, że je opatrzył, choć próbki są tak małe, że w moim przekonaniu to mało prawdopodobne. Były to co najwyżej drobne skaleczenia.

Zalecam, aby możliwie najszybciej ustalono grupę krwi podejrzanego z uwagi na względnie rzadkie występowanie grupy AB Rh+.

DNA:

Kolejka próbek oczekujących na badanie DNA w Cap City zawsze jest bardzo długa i w normalnych okolicznościach wyniki otrzymuje się po kilku tygodniach, a nawet miesiącach, jednak z uwagi na niespotykaną brutalność tego morderstwa i wiek ofiary próbki pobrane na miejscu zbrodni zostały umieszczone „na czele kolejki".

Najważniejszą z nich jest próbka spermy znalezionej na udach i pośladkach ofiary, pobrano też próbki skóry z gałęzi, która posłużyła do zgwałcenia Petersona. Do tego oczywiście dochodzą wyżej wspomniane próbki krwi. Wynik badania DNA ze spermy znalezionej na miejscu zbrodni powinien być gotowy do testów porównawczych w przyszłym tygodniu. Sierżant Stanton powiedział mi, że ostateczny raport może powstać nawet szybciej, ale z moich dotychczasowych doświadczeń z analizami DNA wynika, że wcześniej niż w przyszły piątek nie ma co na to liczyć, nawet w tak priorytetowej sprawie.

Chociaż odbiega to od przyjętych zasad, pragnę dołączyć uwagę o charakterze osobistym. Badałem dowody pobrane z ciał wielu ofiar morderstw, jednak ta zbrodnia jest zdecydowanie najgorszą, z jaką miałem do czynienia, i moim zdaniem jej sprawca musi zostać ujęty najszybciej, jak to możliwe.

Notatka podyktowana o 11:00
przez dr. Edwarda Bogana

21

Howie Gold zakończył naradę z Terrym o 20:40, całe dziesięć minut przed upływem wyznaczonego czasu. Wtedy do Ralpha i Billa dołączyli już Troy Ramage i Stephanie Gould, policjantka patrolowa, która o ósmej zaczęła służbę. Miała zestaw do pobierania DNA, schowany w foliowej torebce. Puszczając mimo uszu „Aj waj, ale się wkopaliście" Howiego, Ralph spytał adwokata, czy on i jego klient zgodzą się na pobranie wymazu z policzka.

Howie przytrzymywał nogą drzwi pokoju przesłuchań, żeby ponownie się nie zatrzasnęły.

– Chcą pobrać wymazy z policzków, Terry. Masz coś przeciwko? Prędzej czy później i tak je dostaną, a ja muszę szybko zadzwonić do paru osób.

– W porządku – odparł Terry. Pod jego oczami zaczynały się tworzyć ciemne kręgi, ale głos miał spokojny. – Zróbmy wszystko, co konieczne, żebym mógł stąd wyjść przed północą. – Wydawał się całkowicie pewny, że tak się stanie.

Ralph i Samuels wymienili spojrzenia. Samuels uniósł brwi, co jeszcze bardziej upodobniło go do Alfalfy.

– Zadzwoń do mojej żony – dodał Terry. – Daj jej znać, że wszystko gra.

Howie uśmiechnął się szeroko.

– Numer jeden na mojej liście.

– Idź na koniec korytarza – poradził Ralph. – Tam złapiesz pięć kresek.

– Wiem. Nie pierwszy raz tu jestem. To rodzaj reinkarnacji – odparł Howie, a potem zwrócił się do Terry'ego: – Nic nie mów, dopóki nie

wrócę.

Posterunkowy Ramage pobrał wymazy – po jednym z każdego policzka – po czym podniósł je do kamery i włożył do małych fiolek. Posterunkowa Gould schowała fiolki z powrotem do torebki, pokazała ją do kamery i zakleiła czerwoną naklejką zabezpieczającą. Następnie podpisała poświadczenie pobrania dowodu. Dwaj funkcjonariusze zaniosą próbki do pokoju wielkości szafy, który służył policji Flint City jako magazyn dowodów. Tam torebka zostanie jeszcze raz pokazana do kamery i włączona do materiałów śledztwa. Dwaj inni funkcjonariusze, zapewne z policji stanowej, nazajutrz zawiozą ją do Cap City. Tym samym łańcuch dowodowy zostanie zachowany, jak powiedziałby doktor Bogan. Może i trochę dęte określenie, ale nic, co można traktować z przymrużeniem oka. Ralph dopilnuje, żeby nie było w tym łańcuchu słabych ogniw. Żadnych niedopatrzeń. Żadnej luki, którą można by się wyśliznąć na wolność. Nie w tym przypadku.

Kiedy Howie zaczął rozmawiać przez telefon przy drzwiach do części biurowej, prokurator Samuels ruszył do pokoju przesłuchań, ale Ralph go zatrzymał. Chciał posłuchać. Howie chwilę pogadał z żoną Terry'ego – Ralph usłyszał: „Wszystko będzie dobrze, Marcy" – po czym jeszcze krócej rozmawiał z kimś innym, komu powiedział, gdzie są córki Terry'ego, i przypomniał, żeby miał na uwadze, że Barnum Court będzie obstawiona przez media. Potem wrócił do pokoju przesłuchań.

– No dobra, zobaczmy, czy uda się nam jakoś uprzątnąć ten bajzel.

Ralph i Samuels usiedli naprzeciwko Terry'ego. Miejsce między nimi pozostało puste. Howie postanowił stać obok klienta – z ręką na jego ramieniu.

Samuels zaczął z uśmiechem:

– Lubi pan małych chłopców, co, trenerze?

– Bardzo – odparł Terry bez najmniejszego wahania. – Lubię też małe dziewczynki, bo mam dwie córki.

– Jestem pewien, że pańskie córki uprawiają sport, bo jakżeby inaczej, skoro ich tatą jest trener T, nie trenuje pan jednak drużyn dziewczęcych, co? Ani piłki nożnej, ani softballu, ani lacrosse. Zostaje pan przy chłopcach. Latem bejsbol, jesienią futbol

amerykański, koszykówka w YMCA zimą, choć akurat te rozgrywki śledzi pan tylko jako kibic. Wszystkie te wizyty w YMCA w sobotnie popołudnia służyły, można powiedzieć, poszukiwaniu talentów, prawda? Wypatrywał pan zwinnych, szybkich chłopców. I może przy okazji sprawdzał, jak wyglądają w szortach.

Ralph czekał, aż Howie mu przerwie, adwokat jednak milczał. Jego twarz nie wyrażała zupełnie nic, poruszały się tylko oczy, wędrujące od jednego mówiącego do drugiego. Musi być świetnym pokerzystą, pomyślał Ralph.

Terry jednak, o dziwo, się uśmiechnął.

– Powiedziała wam to Willow Rainwater. Na pewno. Niezłe z niej ziółko, co? Żebyście słyszeli, jak wrzeszczy na meczach. „Blokuj, blokuj, ruszże się, już! WEJDŹ POD KOSZ!". Co u niej słychać?

– To ja powinienem pana o to spytać – powiedział Samuels. – W końcu widział ją pan we wtorek wieczorem.

– Wcale jej nie…

Nagle Howie złapał Terry'ego za ramię i ścisnął.

– Może dajmy sobie spokój z tym amatorskim przesłuchaniem? Po prostu powiedz, dlaczego Terry tu jest. Wyłóż kawę na ławę.

– Proszę powiedzieć, gdzie pan był we wtorek – odparował Samuels. – Zaczął pan, więc proszę skończyć.

– Byłem…

Howie Gold znów ścisnął ramię swojego klienta, tym razem mocniej.

– Nie, Bill, nic z tego. Powiedz nam, co macie, inaczej pójdę prosto do mediów i ogłoszę, że aresztowaliście jednego z najbardziej zasłużonych obywateli Flint City za zabójstwo Franka Petersona, zszargaliście jego reputację, przeraziliście jego żonę i dzieci, i w dodatku nie chcecie podać powodów swojego postępowania.

Samuels spojrzał na Ralpha, a ten wzruszył ramionami. Gdyby nie było tu prokuratora okręgowego, Ralph już przedstawiałby dowody w nadziei na uzyskanie szybkiego przyznania się do winy.

– Śmiało, Bill – powiedział Howie. – Ten człowiek musi wrócić do domu, do swojej rodziny.

Samuels się uśmiechnął, ale w oczach nie miał wesołości; to było zwykłe obnażenie zębów.

– Zobaczy ją w sądzie, Howard. W poniedziałek, kiedy zostanie postawiony w stan oskarżenia.

Ralph czuł, że pozory uprzejmości zaczynają zanikać – winą za to obarczał głównie Billa, autentycznie zbulwersowanego tą zbrodnią i wściekłego na człowieka, który ją popełnił. Każdy byłby zbulwersowany i wściekły… ale pługa tym nie pociągniesz, jak powiedziałby dziadek Ralpha.

– Hej, zanim zaczniemy, mam jedno pytanie. – Ralph usiłował przybrać lekki ton. – Tylko jedno. Zgoda, mecenasie? Odpowiedź poznamy tak czy inaczej.

Howie wydawał się wdzięczny, że może oderwać wzrok od Samuelsa.

– Słuchamy.

– Jaką masz grupę krwi, Terry? Wiesz może?

Terry spojrzał na Howiego, który wzruszył ramionami, a potem wrócił wzrokiem do Ralpha.

– Trudno, żebym nie wiedział. Sześć razy w roku oddaję krew w Czerwonym Krzyżu, bo moja grupa jest dość rzadka.

– AB Rh plus?

Terry zamrugał.

– Skąd wiesz? – A potem dotarło do niego, jaka zapewne jest odpowiedź na to pytanie. – Ale nie aż tak rzadka. AB Rh minus występuje jeszcze rzadziej. U jednego procentu populacji. Czerwony Krzyż ma ludzi z tą grupą na szybkim wybieraniu numeru, możecie mi wierzyć.

– Kiedy jest mowa o czymś, co występuje rzadko, zawsze przychodzą mi na myśl odciski palców – stwierdził Samuels tonem niezobowiązującej pogawędki. – Pewnie dlatego, że tak często powołuje się na nie w sądzie.

– Gdzie rzadko mają wpływ na decyzję ławy przysięgłych – zauważył Howie.

Samuels go zignorował.

– Nie ma dwóch takich samych zestawów linii papilarnych. Nawet w odciskach identycznych bliźniąt występują drobne różnice. Nie masz identycznego bliźniaka, co, Terry?

– Chyba nie twierdzicie, że moje odciski palców znaleziono na miejscu zabójstwa małego Petersona? – Twarz Terry'ego wyrażała czyste niedowierzanie. Ralph musiał mu to oddać; był z niego kawał aktora i najwyraźniej zamierzał się trzymać obranej linii do samego końca.

– Mamy tyle odcisków, że ledwo mogę je zliczyć – powiedział Ralph. – Są w białym vanie, którym uprowadziłeś małego Petersona. Są na rowerze chłopca, który znaleźliśmy w tylnej części vana. Są w całym subaru, do którego przesiadłeś się na tyłach pubu Shorty's. – Zrobił pauzę. – I są na gałęzi, którą zgwałcono małego Petersona tak brutalnie, że już same obrażenia wewnętrzne mogły go zabić.

– I nie trzeba było proszku daktyloskopijnego ani światła ultrafioletowego, żeby je znaleźć – dodał Samuels. – Są całe we krwi chłopca.

W tej chwili większość sprawców – pewnie dziewięćdziesiąt pięć procent – załamałaby się, czy mieliby adwokata, czy nie. Ale nie ten. Na twarzy Terry'ego Ralph zobaczył szok i zdumienie, jednak ani śladu poczucia winy.

Howie odzyskał rezon.

– Macie odciski. W porządku. Nie byłby to pierwszy przypadek, kiedy je podłożono.

– Kilka może i tak – zauważył Ralph. – Ale siedemdziesiąt? Osiemdziesiąt? I naznaczonych krwią, na narzędziu zbrodni?

– Mamy też świadków – wtrącił Samuels i zaczął wyliczać na palcach: – Widziano cię, kiedy zaczepiłeś Petersona na parkingu Gerald's Fine Groceries. Widziano, jak włożyłeś jego rower na tył vana, z którego korzystałeś. Widziano, jak Peterson wsiadł z tobą do tego vana. Widziano cię, kiedy wychodziłeś z parku, w którym doszło do morderstwa, uwalany krwią… Mógłbym mówić dalej, ale mama zawsze mi powtarzała, że coś trzeba zachować na później.

– Naoczni świadkowie rzadko są wiarygodni – stwierdził Howie. – Odciski palców to wątpliwy dowód, ale świadkowie… – Pokręcił głową.

Ralph dorzucił swoje trzy grosze:

– Normalnie zgodziłbym się… no, w większości przypadków. Ale nie tym razem. Ktoś, kogo ostatnio przesłuchiwałem, stwierdził, że Flint

City to tak naprawdę mała mieścina. Nie wiem, czy podpisałbym się pod tym, ale West Side to rzeczywiście dość zżyta społeczność, a pan Maitland jest powszechnie znany. Terry, kobieta, która widziała cię pod Gerald's, jest twoją sąsiadką, a dziewczynka, która zobaczyła cię, kiedy wyszedłeś z zarośli w Figgis Park, doskonale cię zna nie tylko dlatego, że mieszka niedaleko ciebie, ale i z uwagi na to, że kiedyś przyprowadziłeś jej zaginionego psa.

– June Morris? – Terry patrzył na Ralpha ze szczerym niedowierzaniem. – Junie?

– Są jeszcze inni – powiedział Samuels. – Wielu.

– Willow? – Terry mówił zduszonym głosem, jakby dostał cios pięścią. – Ona też?

– Wielu – powtórzył Samuels.

– Każdy z nich cię rozpoznał, wskazał twoje zdjęcie w zestawie sześciu fotografii – powiedział Ralph. – Bez wahania.

– Czy fotografia mojego klienta przedstawiała go w bejsbolówce drużyny Golden Dragons i koszulce z wielkim C? – spytał Howie. – A może przypadkiem stukał w nią palec przesłuchującego?

– Wiesz, że nie robimy takich rzeczy – obruszył się Ralph. – Przynajmniej mam nadzieję, że wiesz.

– To jakiś koszmar – stwierdził Terry.

Samuels uśmiechnął się ze współczuciem.

– Rozumiem, co czujesz. Możemy go przerwać. Wystarczy, że powiesz nam, dlaczego to zrobiłeś.

Jakby na tym bożym świecie istniał jakikolwiek powód, który mógłby pojąć normalny człowiek, pomyślał Ralph.

– To mogłoby zmienić twoją sytuację. – Samuels już niemal kusił. – Radzę się zdecydować, zanim dostaniemy wyniki badań DNA. Próbek mamy sporo i kiedy okażą się zgodne z wymazami z twoich policzków… – Lekko rozłożył ręce.

– Powiedz nam – dodał Ralph. – Nie wiem, czy to była chwilowa niepoczytalność, działanie w stanie fugi dysocjacyjnej, popęd seksualny czy coś innego, po prostu nam powiedz i tyle. – Słyszał, jak jego głos się podnosi, i pomyślał, że może powinien trochę się pohamować, ale uznał, że do licha z tym. – Bądź mężczyzną i zacznij mówić!

– Nic nie rozumiem – mruknął Terry, bardziej do siebie niż do mężczyzn po drugiej stronie stołu. – We wtorek nawet nie było mnie w mieście.

– Gdzie więc byłeś? – spytał Samuels. – Wal śmiało. Uwielbiam dobre historie. W liceum przeczytałem prawie wszystko Agathy Christie.

Terry odwrócił się i podniósł wzrok na Golda, który skinął głową. Ralph miał jednak wrażenie, że Howie wygląda na zaniepokojonego. Informacje o grupie krwi i odciskach palców mocno nim wstrząsnęły, te o świadkach jeszcze mocniej. Jednak chyba najbardziej poruszyło go to, że wśród świadków była mała Junie Morris, której zaginionego psiaka przyprowadził stary dobry trener T.

– Byłem w Cap City. Wyjechałem we wtorek o dziesiątej rano, wróciłem w środę późno wieczorem. No, około wpół do dziesiątej, to późno jak na mnie.

– Domyślam się, że nikt ci nie towarzyszył – powiedział Samuels. – Wyjechałeś sam, żeby zebrać myśli, prawda? Przygotować się psychicznie na ważny mecz?

– Ja…

– Pojechałeś swoim samochodem czy białym vanem? Swoją drogą gdzie przechowywałeś tego vana? I jak to się stało, że w ogóle ukradłeś wóz z nowojorską rejestracją? Mam pewną teorię na ten temat, ale chciałbym, żebyś potwierdził albo zaprzeczył…

– Wysłucha mnie pan czy nie? – przerwał mu Terry. Nie do wiary, ale znów się uśmiechał. – Może boi się pan to usłyszeć. I chyba słusznie, bo siedzi pan po pas w gównie, panie Samuels, i zapada się coraz głębiej.

– Tak uważasz? To dlaczego z nas dwóch to ja po zakończeniu przesłuchania będę mógł stąd wyjść i wrócić do domu?

– Uspokój się – powiedział cicho Ralph.

Samuels odwrócił się do niego, kogut na jego głowie się zakołysał. Tym razem Ralph nie widział w tym nic komicznego.

– Proszę mi nie mówić, żebym się uspokoił, detektywie. Siedzimy tu z człowiekiem, który zgwałcił dziecko gałęzią, a potem rozszarpał mu gardło jak… jak pierdolony kanibal!

Gold spojrzał prosto w kamerę w kącie i przemówił takim tonem, jakby zwracał się do przyszłego sędziego i ławy przysięgłych:

– Proszę się nie zachowywać jak rozkapryszone dziecko, panie prokuratorze, bo zaraz zakończę to przesłuchanie.

– Nie byłem sam – odezwał się Terry. – I nie wiem nic o białym vanie. Pojechałem z Everettem Roundhillem, Billym Quade'em i Debbie Grant. Innymi słowy: z całą kadrą anglistów z liceum we Flint. Mój expedition był u mechanika, bo padła klimatyzacja, więc zabraliśmy się samochodem Eva. Jest szefem anglistów i ma bmw. Miejsca pod dostatkiem. Wyjechaliśmy spod szkoły o dziesiątej.

Samuels w pierwszej chwili wydawał się zbyt zbity z tropu, żeby zadać oczywiste pytanie, więc Ralph go wyręczył.

– Co takiego było w Cap City, że czworo anglistów postanowiło się tam wybrać w środku letnich wakacji?

– Harlan Coben – odparł Terry.

– Kto to jest Harlan Coben? – spytał Bill Samuels. Jego zainteresowanie kryminałami najwyraźniej zatrzymało się na Agacie Christie.

Ralph znał odpowiedź; nie był wielkim miłośnikiem literatury, ale jego żona owszem.

– Ten autor kryminałów?

– Ten autor kryminałów – przytaknął Terry. – Słuchajcie, jest taka grupa zapaleńców, którzy nazwali siebie Międzystanowym Kołem Nauczycieli Angielskiego i co roku latem organizują trzydniową konferencję. Tylko wtedy mogą się spotkać w pełnym gronie. Są seminaria, dyskusje panelowe i tak dalej. Konferencja co roku odbywa się w innym mieście. W tym roku przypadła kolej na Cap City. Tyle że nauczyciele angielskiego to też zwyczajni ludzie, nawet latem trudno wszystkich zebrać, bo mają na głowie wiele spraw: remonty, malowanie, wszystko, czego nie można było załatwić w trakcie roku szkolnego, wyjazdy rodzinne, różne letnie zajęcia. Mnie, na przykład, zaprzątają rozgrywki juniorskie i liga miejska. Dlatego żeby przyciągnąć jak najwięcej ludzi, Międzystanowe Koło Nauczycieli Angielskiego zawsze stara się zaprosić kogoś znanego, by

wygłosił odczyt drugiego dnia konferencji. Wtedy zjeżdża się większość uczestników.

– A w tym przypadku to było w ostatni wtorek? – spytał Ralph.

– Otóż to. Tegoroczna konferencja trwała w Sheratonie od dziewiątego lipca, czyli poniedziałku, do jedenastego, czyli środy. Pięć lat nie byłem na żadnym z tych zlotów, ale kiedy Ev powiedział mi, że zaproszonym mówcą będzie Harlan Coben i że reszta anglistów jedzie, uzgodniłem z Gavinem Frickiem i tatą Baibira Patela, że poprowadzą treningi we wtorek i środę. Zrobiłem to z ciężkim sercem, bo zbliżał się półfinał, ale wiedziałem, że na treningi w czwartek i piątek wrócę, a nie chciałem przegapić spotkania z Cobenem. Przeczytałem wszystkie jego książki. Świetnie prowadzi fabułę i ma poczucie humoru. Poza tym tegoroczna konferencja poświęcona była nauczaniu literatury popularnej dla dorosłych w klasach od siódmej do dwunastej, a to od lat drażliwy temat, zwłaszcza w tej części kraju.

– Daruj sobie wstęp – rzucił Samuels. – Do rzeczy.

– Dobrze. Pojechaliśmy tam. Byliśmy na lunchu bankietowym, byliśmy na odczycie Cobena, byliśmy na dyskusji panelowej o ósmej wieczorem, zostaliśmy na noc. Ev i Debbie mieli pokoje jednoosobowe, ja wynająłem dwójkę do spółki z Billym Quade'em. To był jego pomysł. Powiedział, że rozbudowuje dom i musi oszczędzać. Oni wszyscy to potwierdzą. – Terry spojrzał na Ralpha i uniósł dłonie. – Byłem tam. Koniec kropka.

W pokoju zapadła cisza.

– O której był odczyt Cobena? – spytał wreszcie Samuels.

– O trzeciej. O trzeciej po południu we wtorek.

– Jakże dogodnie…

Howie Gold uśmiechnął się szeroko.

– Nie dla was.

O trzeciej, pomyślał Ralph. Mniej więcej wtedy, kiedy Arlene Stanhope rzekomo widziała, jak Terry chowa rower Franka Petersona na tył skradzionego białego vana, a potem odjeżdża z chłopcem siedzącym na miejscu pasażera. Nawet nie mniej więcej. Stanhope powiedziała, że słyszała, jak zegar ratuszowy wybijał godzinę.

– Odczyt był w sali konferencyjnej Sheratona?

– Tak. Dokładnie naprzeciwko sali bankietowej.

– I jesteś pewien, że zaczął się o trzeciej.

– Cóż, wtedy przewodnicząca Międzystanowego Koła Nauczycieli Angielskiego zaczęła wygłaszać wprowadzenie. Ględziła co najmniej dziesięć minut.

– Mhm, a jak długo przemawiał Coben?

– Jakieś czterdzieści pięć minut. Potem odpowiadał na pytania z sali. Kiedy skończył, było chyba wpół do piątej.

Myśli wirowały w głowie Ralpha jak kartki papieru miotane wiatrem. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek był tak niemile zaskoczony. Powinni byli najpierw ustalić, gdzie był Terry, ale każdy jest mądry po szkodzie. On, Samuels i Yune Sablo z policji stanowej uzgodnili, że zadawanie pytań o Maitlanda przed aresztowaniem mogłoby spłoszyć tego niezwykle niebezpiecznego człowieka. Tym bardziej że dowody nie pozostawiały żadnych wątpliwości. Teraz jednak…

Zerknął na Samuelsa i zrozumiał, że na jego pomoc nie ma co liczyć; mina prokuratora wyrażała podejrzliwość przemieszaną ze zdumieniem.

– Popełniliście fatalny błąd, panowie – powiedział Gold. – Na pewno sami to widzicie.

– To nie błąd – odparł Ralph. – Mamy jego odciski palców, mamy naocznych świadków, którzy go znają, i niebawem będziemy mieli pierwsze wyniki badań DNA. Jeśli wykażą zgodność z próbkami pobranymi na miejscu zdarzenia, będzie po sprawie.

– Ach, ale my wkrótce być może będziemy mieli coś jeszcze – powiedział Gold. – Współpracujący ze mną detektyw już się tym zajął i nadzieje są spore.

– Co to takiego? – warknął Samuels.

Gold się uśmiechnął.

– Po co psuć niespodziankę? Zobaczymy, co znajdzie Alec. Jeśli potwierdzi się to, co powiedział mi klient, w twojej łodzi zrobi się kolejna dziura, Bill. A już teraz dno mocno przecieka.

Alec Pelley, bo o nim mowa, był emerytowanym detektywem policji stanowej, który ostatnio pracował wyłącznie dla adwokatów broniących w sprawach kryminalnych. Wysoko się cenił i był dobry

w swoim fachu. Kiedyś, przy drinku, Ralph spytał Pelleya, dlaczego przeszedł na ciemną stronę mocy. Pelley odparł, że posadził co najmniej czterech ludzi, których z czasem uznał za niewinnych, i czuł, że musi za to odpokutować. „Poza tym emerytura jest do bani, jeśli nie grasz w golfa", dodał.

Nie było sensu spekulować, czego Pelley szukał tym razem… oczywiście o ile nie była to jakaś mrzonka czy blef adwokata. Ralph wbił wzrok w Terry'ego, znów wypatrując poczucia winy, jednak dostrzegł tylko niepokój, złość i zdumienie – minę człowieka aresztowanego za coś, czego nie zrobił.

Tyle tylko, że to zrobił – wskazywały na to wszystkie dowody, a DNA będzie ostatnim gwoździem do jego trumny. Jego alibi było misternie skonstruowaną zmyłką rodem z powieści Agathy Christie (albo Harlana Cobena). Jutro rano Ralph przystąpi do demaskowania tej magicznej sztuczki – zacznie od przesłuchania współpracowników Terry'ego, a potem ustali dokładny przebieg konferencji, skupiając się na porze rozpoczęcia i zakończenia odczytu pisarza.

Jeszcze zanim się zajmie tą robotą – swoim chlebem powszednim – już teraz widział jedną możliwą lukę w alibi Terry'ego. Arlene Stanhope zeznała, że Frank Peterson wsiadł do białego vana z Terrym o trzeciej. June Morris zobaczyła zalanego krwią Terry'ego w Figgis Park około wpół do siódmej – matka dziewczynki twierdziła, że córka wyszła w chwili, gdy nadawano prognozę pogody, co pozwalało ustalić przybliżoną porę. Była więc trzyipółgodzinna luka – aż nadto czasu, żeby pokonać sto dziesięć kilometrów między Cap City a Flint City.

Może człowiekiem, którego pani Stanhope widziała na parkingu Gerald's Fine Groceries, nie był Terry Maitland? Może to był wspólnik podobny do Terry'ego? Albo po prostu ubrany jak Terry – w bejsbolówkę i koszulkę Dragonsów? Niby mało prawdopodobne, ale jeśli wziąć poprawkę na wiek pani Stanhope… i jej grube okulary…

– To co, skończyliśmy, panowie? – spytał Gold. – Bo jeśli naprawdę zamierzacie zatrzymać pana Maitlanda, mam dużo spraw do załatwienia. Jedną z pierwszych będzie rozmowa z mediami. Nie przepadam za tym, ale…

– Kłamiesz – rzucił cierpko Samuels.

– …ale to może odciągnąć dziennikarzy od domu Terry'ego i dać jego dzieciom szansę na to, żeby dostały się do środka nienękane i nieobfotografowywane ze wszystkich stron. Co najważniejsze, cała rodzina będzie miała odrobinę spokoju, którego tak lekkomyślnie ją pozbawiliście.

– Zachowaj tę gadkę dla kamer telewizyjnych. – Samuels wskazał na Terry'ego, a potem sam przybrał ton, jakby zwracał się do przyszłego sędziego i ławy przysięgłych: – Twój klient torturował i zamordował dziecko. Jeśli jego rodzina oberwie rykoszetem, sam jest za to odpowiedzialny.

– Niewiarygodne – powiedział Terry. – Przed aresztowaniem nawet mnie nie przesłuchaliście. Nie zadaliście ani jednego pytania.

– Co robiłeś po odczycie, Terry? – spytał Ralph.

Maitland potrząsnął głową – nie w geście zaprzeczenia, tylko jakby chciał oprzytomnieć.

– Po odczycie? Stanąłem w kolejce razem ze wszystkimi. Tyle że byliśmy prawie na samym końcu. Przez Debbie. Musiała skorzystać z łazienki i kazała na siebie zaczekać, bo chciała, żebyśmy trzymali się razem. Długo jej nie było. Wielu facetów też rzuciło się do kibli, kiedy tylko spotkanie się skończyło, ale kobietom zawsze zajmuje to więcej czasu, bo… rozumiecie, liczba kabin jest ograniczona. Poszedłem na dół, do kiosku, z Evem i Billym, i tam czekaliśmy. Kiedy Debbie znów do nas dołączyła, kolejka sięgała do holu.

– Jaka kolejka? – spytał Samuels.

– Czy pan żyje w jaskini, panie Samuels? Kolejka po autograf. Każdy uczestnik dostał egzemplarz nowej książki Cobena, *I Told You I Would*. Był wliczony w cenę biletu na konferencję. Mam swój egzemplarz, z podpisem i datą, i chętnie go wam pokażę. O ile nie zabraliście go razem z resztą moich rzeczy. Kiedy doszliśmy do stolika, przy którym autor składał autografy, było po wpół do szóstej.

Jeśli tak, pomyślał Ralph, potencjalna luka w alibi Terry'ego właśnie stała się wąska jak ucho igielne. Teoretycznie dałoby się dotrzeć z Cap do Flint w godzinę, na płatnej autostradzie obowiązywało ograniczenie do stu dziesięciu, i jeśli nie przekraczało się stu trzydziestu, góra stu czterdziestu, drogówka się nie czepiała – ale ile

czasu zostałoby Terry'emu na popełnienie morderstwa? Chyba że zrobił to jego wspólnik sobowtór. Tylko jak to możliwe, skoro odciski Terry'ego były wszędzie, nawet na gałęzi? Odpowiedź: nie, to nie było możliwe. Poza tym czy Terry w ogóle chciałby mieć wspólnika, który wygląda jak on, ubiera się jak on? Nie.

– Czy pozostali angliści byli z tobą przez cały czas, kiedy stałeś w kolejce? – spytał Samuels.

– Tak.

– Książki były podpisywane w tej samej dużej sali?

– Tak. Chyba nazywają ją salą balową.

– I co zrobiliście, gdy już dostaliście autografy?

– Poszliśmy na kolację z kilkoma nauczycielami angielskiego z Broken Arrow, których poznaliśmy w kolejce.

– Na kolację dokąd? – spytał Ralph.

– Do lokalu o nazwie Firepit. To restauracja jakieś trzy przecznice od hotelu. Przyszliśmy o szóstej, wypiliśmy parę drinków przed posiłkiem, po posiłku zjedliśmy deser. Dobrze się bawiliśmy. – Terry powiedział to prawie ze smutkiem. – W sumie było nas chyba dziewięcioro. Wróciliśmy razem piechotą do hotelu i uczestniczyliśmy w wieczornej dyskusji panelowej, której tematem były sposoby reagowania na próby ograniczenia dostępu do książek, takich jak *Zabić drozda* i *Rzeźnia numer pięć*. Ev i Debbie wyszli wcześniej, ja i Billy zostaliśmy do samego końca.

– Czyli do której? – spytał Ralph.

– Około wpół do dziesiątej.

– I co potem?

– Wypiliśmy piwo w barze, poszliśmy do pokoju i położyliśmy się spać.

Słuchał odczytu znanego autora kryminałów, kiedy mały Peterson został uprowadzony, pomyślał Ralph. Jadł kolację z co najmniej ośmioma ludźmi, kiedy mały Peterson zginął. Uczestniczył w dyskusji panelowej na temat zakazanych książek, kiedy Willow Rainwater, jak zeznała, wiozła go taksówką z Gentlemen, Please na dworzec w Dubrow. Na pewno wie, że pójdziemy do jego współpracowników, że odszukamy nauczycieli z Broken Arrow, że porozmawiamy z barmanem z baru w Sheratonie. Na pewno wie, że obejrzymy

nagrania z hotelowego monitoringu, a nawet autograf w jego egzemplarzu najnowszego bestsellera Harlana Cobena. Musi to wszystko wiedzieć, nie jest głupi.

Wniosek narzucał się sam: jego wersja się potwierdzi. Jakkolwiek to niewiarygodne.

Samuels wychylił się nad stołem, z podbródkiem wysuniętym do przodu.

– Mamy uwierzyć, że byłeś z pozostałymi przez cały czas od trzeciej do ósmej we wtorek? Że ani na chwilę nie zostałeś sam?

Terry posłał mu spojrzenie, do jakiego są zdolni tylko nauczyciele liceum, w stylu: Obaj wiemy, że jesteś durniem, ale nie powiem tego wprost, żeby nie narobić ci wstydu przy rówieśnikach.

– Oczywiście, że nie. Poszedłem do kibla, zanim zaczął się odczyt Cobena. W restauracji też raz się załatwiłem. Kto wie, może zdołacie przekonać przysięgłych, że w ciągu półtorej minuty, bo tyle zajęło mi opróżnienie pęcherza, pojechałem do Flint, zabiłem biednego Frankiego Petersona i wróciłem do Cap City. Myślicie, że to kupią?

Samuels spojrzał na Ralpha. Ralph wzruszył ramionami.

– Na razie nie mamy więcej pytań – powiedział prokurator. – Pan Maitland zostanie osadzony w areszcie okręgowym do czasu postawienia w stan oskarżenia.

Ramiona Terry'ego opadły.

– Zamierzasz to ciągnąć – odezwał się Gold. – Naprawdę zamierzasz to ciągnąć.

Ralph spodziewał się kolejnego wybuchu Samuelsa, tym razem jednak prokurator okręgowy go zaskoczył. Wydawał się prawie tak znużony jak Maitland.

– Daj spokój, Howie. Wiesz, że przy tych dowodach nie mam wyboru. A kiedy jego DNA okaże się zgodne z zabezpieczonym na miejscu zbrodni, gra będzie skończona. – Wychylił się do przodu, kolejny raz naruszając przestrzeń osobistą Maitlanda. – Wciąż masz szansę uniknąć zastrzyku, Terry. Niewielką, ale lepsze to niż nic. Radzę, żebyś ją wykorzystał. Przestań wciskać kit i przyznaj się. Zrób to dla Freda i Arlene Petersonów, którzy stracili syna w najgorszych okolicznościach, jakie można sobie wyobrazić. Od razu ci ulży.

Terry nie odsunął się, na co Samuels być może liczył. Zamiast tego wychylił się naprzód – i to prokurator okręgowy się cofnął, jakby w obawie, że człowiek po drugiej stronie stołu może go czymś zarazić.

– Nie mam się do czego przyznawać, panie prokuratorze. Nie zabiłem Frankiego Petersona. Nigdy nie skrzywdziłbym dziecka. Zatrzymaliście niewłaściwego człowieka.

Samuels westchnął i wstał.

– No dobrze, miałeś swoją szansę. A teraz… niech Bóg ma cię w swojej opiece.

22

SZPITAL OGÓLNY WE FLINT CITY
ZAKŁAD PATOLOGII I SEROLOGII

Do: Detektyw Ralph Anderson
por. PS Yunel Sablo
prokurator okręgowy William Samuels

Od: dr F. Ackerman, kierownik zakładu patologii

Data: 12 lipca

Temat: Uzupełnienie wyników autopsji/OSOBISTE I POUFNE

Wedle życzenia przedstawiam własną opinię.

Czy Frank Peterson mógł przeżyć akt sodomii opisany w raporcie z sekcji zwłok (przeprowadzonej 11 lipca przeze mnie w asyście dr. Alvina Barklanda), czy nie, nie ulega wątpliwości, że bezpośrednią przyczyną zgonu było wykrwawienie (tj. upływ wielkiej ilości krwi).

Na twarzy, gardle, ramieniu, piersi, prawym boku i torsie Petersona znaleziono ślady ugryzień. Obrażenia te, w połączeniu ze zdjęciami z miejsca zbrodni, wskazują na następujący przebieg wydarzeń: Peterson został brutalnie rzucony plecami na ziemię i ugryziony co najmniej sześć, a być może nawet tuzin razy. Zabójca działał w amoku. Następnie ofiara została przewrócona na brzuch i zgwałcona w odbyt. Wtedy Peterson

prawie na pewno był już nieprzytomny. Albo w trakcie aktu sodomii, albo tuż po nim sprawca doznał wytrysku.

Opatrzyłam niniejsze pismo nagłówkiem „osobiste i poufne", ponieważ gdyby pewne aspekty tej sprawy wyszły na jaw, prasa, nie tylko lokalna, ale i krajowa, zrobiłaby z tego tanią sensację. Otóż brakuje pewnych części ciała Petersona, mianowicie płatka prawego ucha, prawego sutka oraz fragmentów tchawicy i przełyku. Sprawca mógł zabrać te części ciała, wraz z dużym płatem skóry karku, jako trofea. To, jakkolwiek paradoksalnie to zabrzmi, najlepszy możliwy scenariusz. Alternatywna hipoteza jest taka, że zabójca je zjadł.

Jako prowadzący śledztwo podejmiecie decyzje, jakie uznacie za stosowne, zalecam jednak stanowczo, aby powyższe fakty i wnioski, które z nich wyciągnęłam, zachowano w tajemnicy nie tylko przed prasą, ale i sądem, chyba żeby okazały się absolutnie konieczne dla uzyskania wyroku skazującego. Można oczywiście wyobrazić sobie reakcję rodziców chłopca na takie informacje, ale kto by tego chciał? Proszę o wybaczenie, jeśli przekraczam swoje uprawnienia, w tym przypadku jednak uznałam, że nie mam innego wyjścia. Jestem lekarzem, jestem koronerem okręgowym, ale jestem też matką.

Błagam, schwytajcie człowieka, który bestialsko zgwałcił i zamordował to dziecko, i to jak najszybciej. Inaczej prawie na pewno zrobi to znowu.

dr Felicity Ackerman
Szpital Ogólny we Flint City
Kierownik zakładu patologii
Koroner okręgu Flint

23

Sala ogólna komisariatu policji Flint City była duża, ale czterej mężczyźni czekający na Terry'ego Maitlanda zdawali się wypełniać ją po brzegi – dwaj policjanci stanowi i dwaj funkcjonariusze służby więziennej z aresztu okręgowego, wszystko chłopy na schwał. Terry, choć wciąż oszołomiony tym, co mu się przydarzyło (co się nadal działo), mimowolnie był lekko rozbawiony. Areszt znajdował się cztery przecznice od komisariatu. Zorganizowali taką obstawę, żeby przetransportować go o kilkaset metrów.

– Ręce przed siebie – rozkazał jeden z oficerów więziennych.

Terry wystawił ręce do przodu i patrzył, jak nowe kajdanki zatrzaskują się na jego nadgarstkach. Rozejrzał się za Howiem, nagle wystraszony jak wówczas, gdy miał pięć lat i po raz pierwszy szedł do przedszkola, a mama puściła jego dłoń. Howie siedział na rogu pustego biurka i rozmawiał przez komórkę; widząc minę Terry'ego, zakończył rozmowę i pospieszył do niego.

– Proszę nie dotykać aresztanta – powiedział oficer więzienny.

Gold jednak go zignorował. Objął Terry'ego ramieniem i szepnął:

– Wszystko będzie dobrze.

A potem, zaskakując swojego klienta i samego siebie, pocałował go w policzek.

Terry zabrał ten pocałunek ze sobą, kiedy czterej mężczyźni sprowadzili go po schodach do vana, przed którym stał radiowóz policji stanowej z migającym kogutem. Zabrał też słowa. One były najważniejsze, gdy błysnęły flesze, zapłonęły reflektory kamer telewizyjnych i pytania uderzyły w niego jak pociski: Czy postawiono

panu zarzuty? Zrobiłeś to? Jesteś niewinny? Przyznałeś się? Co możesz powiedzieć rodzicom Franka Petersona?

„Wszystko będzie dobrze”, powiedział Gold i tego Terry się trzymał.

Oczywiście nic nie było dobrze.

PRZYKRO

14–15 lipca

1

Alec Pelley w sumie nie wiedział, czy kogut na baterie, który trzymał w schowku swojego explorera, jest legalny. Jako emerytowany policjant stanowy może nie powinien go używać, ale z drugiej strony skoro pozostawał szanowanym członkiem rezerwy policji Cap City, chyba miał do tego pełne prawo. Tak czy owak, przy tej okazji uznał, że trzeba go postawić na desce rozdzielczej i włączyć. Dzięki temu pokonał drogę z Cap do Flint w rekordowym tempie i już piętnaście po dziewiątej pukał do drzwi domu przy Barnum Court 17. Tutaj nie było dziennikarzy, ale kawałek dalej widział ostry blask reflektorów telewizyjnych – przed domem, jak się domyślał, Maitlandów. Wyglądało na to, że nie wszystkie plujki przyciągnęło świeże mięso, jakim była konferencja prasowa naprędce zwołana przez Howiego. Nie żeby tego oczekiwał.

Drzwi otworzył niski, krępy mężczyzna o rudawych włosach, ze zmarszczonymi brwiami i wargami zaciśniętymi tak mocno, że ledwo było je widać; gotów z miejsca posłać nieproszonego gościa do wszystkich diabłów. Za nim stała zielonooka blondynka, dobrych kilka centymetrów wyższa od męża i znacznie od niego ładniejsza, nawet bez makijażu i z zapuchniętymi oczami. W tej chwili nie płakała, ale z głębi domu dobiegał czyjś szloch. Dziecka. Pewnie jednej z córek Maitlanda, domyślił się Alec.

– Państwo Mattingly? Jestem Alec Pelley. Czy Howie Gold zadzwonił do państwa?

– Tak – odparła kobieta. – Proszę wejść, panie Pelley.

Alec ruszył naprzód, lecz Mattingly, ze dwadzieścia centymetrów od niego niższy, ale zupełnie tym niezrażony, stanął mu na drodze.

– Można zobaczyć jakiś dokument?

– Oczywiście. – Alec mógł im pokazać swoje prawo jazdy, ale wybrał legitymację policyjnego rezerwisty. Nie musieli wiedzieć, że jego służba ostatnimi czasy miała charakter poniekąd charytatywny, sprowadzała się do zabezpieczania koncertów rockowych, rodeo, wygłupów zawodowych zapaśników i organizowanego trzy razy do roku Monster Truck Jam w Coliseum. Pilnował też parkowania w dzielnicy biznesowej, kiedy jedna ze strażniczek brała wolne. Poniżające doświadczenie dla człowieka, który kiedyś kierował zespołem czterech detektywów policji stanowej, ale Alec nie miał nic przeciwko; lubił być na słońcu. Poza tym, można rzec, był znawcą Biblii, a jak głosi List Świętego Jakuba, rozdział czwarty, wers szósty: „Bóg sprzeciwia się pysznym, pokornym zaś daje łaskę”[1].

– Dziękuję. – Gospodarz odsunął się na bok i jednocześnie wyciągnął rękę. – Tom Mattingly.

Alec podał mu dłoń, spodziewając się mocnego uścisku. Nie zawiódł się.

– Normalnie nie jestem podejrzliwy, to ciche, spokojne osiedle, ale powiedziałem Jamie, że musimy być superostrożni, dopóki Sarah i Grace przebywają pod naszym dachem. Wielu ludzi już jest wściekłych na trenera T, a proszę mi wierzyć, to dopiero początek. Kiedy się rozejdzie, co zrobił, będzie dużo gorzej. Dobrze, że może je pan od nas zabrać.

Jamie Mattingly spojrzała na niego z wyrzutem.

– Cokolwiek zrobił ich ojciec… jeśli w ogóle coś zrobił… one nie są niczemu winne – powiedziała, a potem zwróciła się do Aleca: – Są zdruzgotane, zwłaszcza Gracie. Widziały, jak zabrali ich ojca w kajdankach.

– O Jezu, niech no tylko się dowiedzą dlaczego – mruknął Mattingly. – A to nieuniknione. W tych czasach przed dziećmi niczego się nie ukryje. Cholerny internet, cholerny Facebook, cholerne Twittery, srutery… – Pokręcił głową. – Jamie ma rację, jest niewinny, dopóki nie udowodnią mu winy, tak jest po amerykańsku, ale jak już aresztują człowieka w takich okolicznościach, w miejscu publicznym… – Westchnął. – Napije się pan czegoś, panie Pelley? Jamie przed meczem zrobiła mrożoną herbatę.

– Dziękuję. Lepiej od razu zawiozę dziewczynki do domu. Mama na nie czeka. – Przywiezienie do niej dzieci było tylko pierwszym z jego zadań na ten wieczór. Howie podyktował mu całą listę z szybkością karabinu maszynowego, na chwilę zanim wkroczył w blask telewizyjnych reflektorów. Zadaniem numer dwa był szybki powrót do Cap City – z telefonem przy uchu. Alec będzie musiał obdzwonić kilka osób, które miały wobec niego dług wdzięczności. Znowu siedział w siodle, i dobrze – lepsze to, niż pilnować parkowania na Midland Street – ale robota będzie trudna.

Córki Maitlanda były w pokoju, który, sądząc po spreparowanych rybach wiszących na ścianach wyłożonych sękatym drzewem sosny, musiał być jaskinią Toma Mattingly'ego. Na dużym płaskim ekranie SpongeBob harcował w Bikini Dolnym, ale dźwięk był ściszony. Dziewczynki siedziały skulone na kanapie, wciąż w koszulkach Golden Dragons i bejsbolówkach. Twarze miały pomalowane na czarno i złoto – to pewnie dzieło ich mamy sprzed kilku godzin; sprzed momentu, gdy coś wygryzło dziurę w przyjaznym dotąd świecie – ale młodsza z córek zmyła większość farb łzami.

Kiedy starsza dziewczynka zauważyła obcego mężczyznę w drzwiach, mocniej przytuliła zapłakaną siostrzyczkę. Alec nie miał dzieci, jednak całkiem je lubił, i na ten instynktowny gest Sarah Maitland zabolało go serce: oto jedno dziecko chroni drugie.

Stanął na środku pokoju, z dłońmi splecionymi przed sobą.

– Sarah? Jestem znajomym Howiego Golda. Znasz go, prawda?

– Tak. Czy nasz tata ma się dobrze? – Głos małej był niewiele głośniejszy od szeptu i ochrypły od łez.

Grace nawet nie spojrzała na Aleca; wtuliła twarz w ramię starszej siostry.

– Tak. Prosił, żebym zawiózł was do domu. – To nie całkiem prawda, ale teraz nie zamierzał dzielić włosa na czworo.

– Jest tam?

– Nie, ale jest wasza mama.

– Możemy pójść pieszo – powiedziała Sarah słabo. – To tylko kawałek stąd. Mogłabym trzymać Gracie za rękę.

Wciśnięta w ramię siostry głowa Grace Maitland poruszyła się na boki w geście zaprzeczenia.

– Nie po zmroku, kochanie – powiedziała łagodnie Jamie Mattingly.

I nie tego wieczoru, pomyślał Alec. Ani w ogóle w najbliższej przyszłości. Czy po zmroku, czy przed zmrokiem.

– Chodźcie, dziewczynki – zawołał Tom ze sztucznym (i dość upiornym) entuzjazmem. – Odprowadzę was do wyjścia.

Na ganku, w świetle lampy, Jamie Mattingly wydawała się śmiertelnie blada; w trzy krótkie godziny zmieniła się z kibicującej dzieciom mamy w ofiarę raka.

– Okropna historia – odezwała się. – Świat stanął na głowie. Dzięki Bogu nasza córka jest na obozie. Poszliśmy dziś na mecz tylko dlatego, że Sarah jest najlepszą koleżanką Maureen.

Na dźwięk imienia przyjaciółki Sarah Maitland też zaczęła płakać, a wtedy jej siostra rozszlochała się jeszcze głośniej. Alec podziękował gospodarzom i zaprowadził dziewczynki do swojego explorera. Szły pomału, ze spuszczonymi głowami, trzymając się za ręce jak bohaterki baśni. Usiadły ciasno obok siebie na przednim siedzeniu, z którego wcześniej uprzątnął zwykle zalegające tam klamoty. Grace znów wtuliła twarz w ramię siostry.

Alec nie zawracał sobie głowy zapinaniem im pasa; od kręgu światła wydobywającego z mroku chodnik i trawnik Maitlandów dzieliło ich nie więcej niż trzysta metrów. Przed domem została już tylko jedna ekipa telewizyjna. Była z filii ABC z Cap City, czterech, pięciu facetów stojących bezczynnie i sączących kawę ze styropianowych kubków w cieniu anteny satelitarnej na wozie transmisyjnym. Kiedy zobaczyli explorera skręcającego na podjazd Maitlandów, pospiesznie złapali za sprzęt.

Alec opuścił szybę i przemówił do nich swoim najbardziej stanowczym głosem, głosem policjanta, który każe podejrzanemu podnieść ręce do góry:

– Żadnych kamer! Nie filmować tych dzieci!

To powstrzymało ich na kilka sekund, ale ani chwili dłużej. Powiedzieć plujkom z mediów, żeby nie filmowały, to jak zabronić komarom kąsać. Alec pamiętał, że kiedyś było inaczej (w zamierzchłej epoce, gdy dżentelmeni przepuszczali kobiety w drzwiach), ale te dni minęły bezpowrotnie. Reporter, który jako jedyny postanowił zostać tutaj, na Barnum Court – Latynos, którego

Alec mgliście kojarzył, ten, co lubił nosić muszkę i w weekendy prowadził prognozę pogody – już sięgał po mikrofon i sprawdzał zasilacz przypięty u pasa.

Drzwi frontowe domu Maitlandów się otworzyły. Sarah zobaczyła swoją matkę i zaczęła wysiadać.

– Poczekaj sekundkę, Sarah. – Alec sięgnął na tylne siedzenie. Przed wyjściem ze swojego domu z łazienki na parterze zabrał dwa ręczniki i teraz podał każdej z dziewczynek po jednym.

– Zasłońcie nimi twarze, tylko zostawcie szparę na oczy. – Uśmiechnął się. – Jak bandyci w filmie, dobrze?

Grace tylko na niego patrzyła, ale Sarah zrozumiała od razu i obwiązała jednym z ręczników głowę siostry. Alec nasunął go na usta i nos Grace, a Sarah w tym czasie zasłoniła swoją twarz. Wysiadły i przemknęły przez ostre światło padające z wozu transmisyjnego, przytrzymując ręczniki pod brodami. Nie przypominały bandytów, raczej małe Beduinki w burzy piaskowej. Najsmutniejsze, najbardziej zdesperowane dzieciaki, jakie Alec w życiu widział.

Marcy Maitland nie ukryła twarzy pod ręcznikiem i to na niej skupił się kamerzysta.

– Pani Maitland! – krzyknął Reporter Pod Muszką. – Jakiś komentarz do aresztowania pani męża? Rozmawiała z nim pani?

Stając przed kamerą (i zwinnie przesuwając się równolegle z nią, kiedy kamerzysta próbował go ominąć), Alec wymierzył palec w Reportera Pod Muszką.

– Jeśli wejdziesz na ten trawnik, *hermano*, będziesz mógł zadać swoje kretyńskie pytania Maitlandowi z sąsiedniej celi.

Reporter spojrzał na niego z urażoną miną.

– Do kogo z tym *hermano*? Ja tu wykonuję swoją pracę.

– Nękanie zrozpaczonej kobiety i dwójki małych dzieci – prychnął Alec. – Też mi praca.

Sam jednak nie miał tu nic więcej do zrobienia. Pani Maitland przygarnęła córki do siebie i wciągnęła je do domu. Były bezpieczne – przynajmniej na tyle, na ile to możliwe, choć przeczuwał, że te dwie dziewczynki nieprędko poczują się gdziekolwiek naprawdę bezpiecznie.

Kiedy wrócił do samochodu, Reporter Pod Muszką potruchtał za nim, gestem przywołując kamerzystę.

– Kim pan jest? Jak pan się nazywa?

– Stary Ramol. Zapytaj jeszcze raz, odpowiem tak samo. Nie znajdziecie tu nic ciekawego, więc dajcie tym ludziom spokój, dobrze? Nie mieli nic wspólnego z tym, co się stało.

Alec był świadom, że równie dobrze mógłby mówić po rosyjsku. Sąsiedzi znów powyłazili na trawniki, ciekawi następnego aktu dramatu toczącego się na Barnum Court.

Wyjechał tyłem z podjazdu i skierował się na zachód, świadom także tego, że kamerzysta sfilmuje jego tablicę rejestracyjną i szybko ustalą, kim jest i dla kogo pracuje. Żadna sensacja, ale na pewno wisienka wieńcząca deser lodowy, który zaserwują widzom wiadomości o jedenastej. Pomyślał przelotnie o tym, co się działo w tym domu – o oszołomionej, przerażonej matce próbującej pocieszać dwie oszołomione i przerażone dziewczynki, których buzie wciąż zdobiły barwy drużyny.

„Zrobił to?", spytał Howiego, kiedy szef zadzwonił i w skrócie przedstawił sytuację. To nie miało znaczenia, robota jak robota, ale zawsze lubił wiedzieć. „Jak myślisz?" „Nie wiem, co myśleć", odparł Howie. „Wiem za to, jakie będzie twoje następne posunięcie, jak już odstawisz Sarah i Gracie do domu".

Kiedy Alec zobaczył pierwszy drogowskaz z symbolem płatnej autostrady, zadzwonił do Sheratona w Cap City i poprosił do telefonu konsjerża, z którym w przeszłości był w dobrych układach.

Był w dobrych układach z większością z nich.

1 Za *Biblią Tysiąclecia*, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań–Warszawa 1988.

2

Ralph i Bill Samuels siedzieli w gabinecie Ralpha, z poluźnionymi krawatami i rozpiętymi kołnierzykami. Reflektory telewizyjne za oknem zgasły przed dziesięcioma minutami. Świeciły się wszystkie cztery guziki na telefonie służbowym Ralpha, ale odbieraniem zajmowała się Sandy McGill i będzie to robiła do jedenastej, kiedy zmieni ją Gerry Malden. Na razie miała proste, choć dość monotonne zadanie – powtarzać: Policja Flint City nie udziela komentarzy. Śledztwo jest w toku.

Tymczasem Ralph rozmawiał przez swój telefon. Właśnie schował go do kieszeni marynarki.

– Yune Sablo pojechał z żoną do teściów. Mówi, że odkładał to już dwa razy i teraz nie miał wyjścia, jeśli nie chciał przez następny tydzień spać na kanapie; podobno jest bardzo niewygodna. Wróci jutro i oczywiście będzie obecny podczas stawiania w stan oskarżenia.

– W takim razie wyślemy do Sheratona kogoś innego – stwierdził Samuels. – Szkoda, że Jack Hoskins ma urlop.

– E tam – rzucił Ralph, ku rozbawieniu prokuratora.

– No dobra, tu mnie masz. Nasz Jackie może nie jest najgorszym detektywem w stanie, ale przyznaję, że niewiele mu brakuje. Znasz wszystkich detektywów z Cap City. Dzwoń, aż jakiegoś złapiesz.

Ralph pokręcił głową.

– Najlepszy byłby Sablo. Zna sprawę, jest naszym łącznikiem z policją stanową. Nie pora im się narażać, zważywszy na to, jak nam dziś poszło. Delikatnie mówiąc, nie tak, jak oczekiwaliśmy.

To było niedopowiedzenie roku, może nawet stulecia. Zupełne zaskoczenie Terry'ego i jego wyraźny brak poczucia winy wstrząsnęły Ralphem jeszcze bardziej niż nieprawdopodobne alibi, jakie podał. Czy to możliwe, że siedzący w nim potwór nie tylko zabił chłopca, ale i wymazał ten czyn z jego pamięci? A potem… co? Wypełnił lukę zmyśloną szczegółową historyjką o konferencji nauczycieli w Cap City?

– Jeśli kogoś tam zaraz nie wyślesz, ten gość od Golda…

– Alec Pelley.

– Tak, on. Pierwszy dostanie do ręki nagrania z hotelowego monitoringu. O ile jeszcze je mają.

– Na pewno. Trzymają wszystko przez trzydzieści dni.

– Jesteś absolutnie pewien?

– Tak. Ale Pelley nie ma nakazu.

– Daj spokój. Myślisz, że go potrzebuje?

Nie, nie miał co do tego złudzeń. Alec Pelley ponad dwadzieścia lat służył w policji stanowej. W tym czasie na pewno zawarł wiele znajomości, a skoro dziś pracował dla tak wziętego adwokata jak Howard Gold, bez wątpienia starannie je pielęgnował.

– Wygląda na to, że twoja decyzja o publicznym aresztowaniu była błędem – powiedział Samuels.

Ralph spojrzał na niego twardo.

– Zgodziłeś się na to.

– Bez większego entuzjazmu. Bądźmy ze sobą szczerzy, skoro wszyscy poszli do domu i jesteśmy tylko my, kumoszki. Przejąłeś się tą sprawą.

– Pewnie, że tak. I nadal się przejmuję. A skoro jesteśmy tu tylko my, kumoszki, pozwól, że przypomnę, iż nie ograniczyłeś się do wyrażenia zgody. Jesienią wybory, a głośne, dramatyczne aresztowanie nie zaszkodziłoby twoim notowaniom.

– Przez myśl mi to nie przeszło. – Samuels nie brzmiał zbyt przekonująco.

– Niech będzie. Nie przeszło ci to przez myśl, po prostu popłynąłeś z prądem, ale jeśli sądzisz, że kazałem go aresztować na stadionie tylko przez wzgląd na mojego syna, radzę, żebyś jeszcze raz obejrzał zdjęcia z miejsca zbrodni i przypomniał sobie uzupełnienie Felicity

Ackerman do raportu z sekcji zwłok. Tacy mordercy nigdy nie poprzestają na jednej ofierze.

Policzki Samuelsa oblał rumieniec.

– Myślisz, że o tym nie myślałem? Jezu, Ralph, to ja nazwałem go pierdolonym kanibalem, i to przed kamerą.

Ralph przesunął dłonią po policzku. Był szorstki.

– Nie ma sensu się spierać o to, kto co powiedział i zrobił. Trzeba pamiętać jedno: to bez znaczenia, kto pierwszy zdobędzie nagrania z monitoringu. Jeśli nawet Pelley nas ubiegnie, przecież nie weźmie tych materiałów pod pachę i z nimi nie wyjdzie, prawda? Nie może ich też wykasować.

– Fakt. I tak czy inaczej, raczej o niczym nie przesądzą. Na niektórych możemy zobaczyć mężczyznę, który wygląda jak Maitland…

– Otóż to. Ale udowodnić, że to on, na podstawie kilku niewyraźnych kadrów to zupełnie inna para kaloszy. Zwłaszcza w zestawieniu z zeznaniami świadków i odciskami palców. – Ralph wstał i otworzył drzwi. – Może nagrania nie są najważniejsze. Muszę do kogoś zadzwonić. Powinienem był zrobić to wcześniej.

Samuels wyszedł za nim do dyżurki. Sandy McGill rozmawiała przez telefon. Ralph podszedł do niej i dał jej znak, żeby skończyła. Odłożyła słuchawkę i spojrzała na niego wyczekująco.

– Everett Roundhill – powiedział. – Szef anglistów w liceum. Namierz go i połącz mnie z nim.

– Z namierzeniem nie będzie kłopotu, bo już mam jego numer – odparła Sandy. – Dzwonił dwa razy i chciał rozmawiać z prowadzącym śledztwo. Powiedziałam coś w stylu, że jest długa kolejka chętnych. – Podniosła plik karteczek z zapisanymi nazwiskami i pomachała nimi. – Miałam zanieść je na twoje biurko, żebyś wiedział, co cię jutro czeka. Wiem, to niedziela, ale wszystkim mówię, że prawie na pewno będziesz w pracy.

Bardzo powoli, patrząc w podłogę zamiast na mężczyznę, który stał obok niego, Bill Samuels powiedział:

– Roundhill dzwonił. Dwa razy. To mi się nie podoba. Wcale a wcale.

3

Tego sobotniego wieczoru Ralph wrócił do domu za piętnaście jedenasta. Wcisnął guzik pilota do drzwi garażowych, wjechał do środka, wcisnął go ponownie. Drzwi posłusznie opadły, klekocząc, na swoich szynach, jedna rzecz na tym świecie, która pozostała zrozumiała i normalna. Wciśnij guzik A i pod warunkiem że w schowku na baterie B znajdują się względnie świeże duracelle, drzwi garażowe C otwierają się i zamykają.

Zgasił silnik. Siedział w mroku, stukając ślubną obrączką w kierownicę i wspominając wierszyk z lat szalonej młodości: „Golenie, strzyżenie… full serwis dla każdego! Oto jest pieśń kwartetu… burdelowego!”.

Drzwi otworzyły się i do garażu weszła Jeanette, opatulona podomką. W świetle wylewającym się z kuchni zobaczył, że na nogach ma kapcie króliczki, które dla żartu podarował jej na ostatnie urodziny. Właściwym prezentem był wyjazd na Key West. Bawili się świetnie, teraz jednak pamiętał te dni tylko mgliście, jak to zwykle bywa z wakacjami: mają nie więcej treści niż wata cukrowa. Przetrwały za to te śmieszne kapcie, różowe trepki ze sklepu Wszystko za Dolara, z idiotycznymi małymi ślepkami i komicznymi obwisłymi uszami. Kiedy ją w nich zobaczył, oczy go zapiekły. Czuł się, jakby przybyło mu dwadzieścia lat od chwili, gdy wszedł na polanę w Figgis Park i obejrzał krwawe strzępy chłopca, który pewnie uwielbiał Batmana i Supermana.

Wysiadł z wozu i mocno przytulił żonę; przycisnął szorstki od zarostu policzek do jej gładkiego policzka. Milczał

skoncentrowany na powstrzymywaniu łez, które cisnęły się do jego oczu.

– Kochanie – odezwała się Jeanette. – Kochanie, przecież go dopadliście. Dopadliście go, więc co się dzieje?

– Może nic. Może wszystko. Powinienem był go najpierw przesłuchać. Ale, Jezu Chryste, byłem tak pewny swego!

– Chodź do środka. Zaparzę herbatę i wszystko mi opowiesz.

– Po herbacie nie będę mógł zasnąć.

Odsunęła się i spojrzała na niego swoimi pięćdziesięcioletnimi oczami, wciąż tak pięknymi i ciemnymi jak wtedy, gdy była dwudziestopięciolatką.

– A idziesz spać? – spytała. Kiedy nie odpowiedział, dodała: – Koniec dyskusji.

Derek był na obozie w Michigan, więc mieli cały dom dla siebie. Spytała, czy włączyć mu wiadomości wieczorne w kuchennym telewizorze, ale pokręcił głową. Nie miał najmniejszej ochoty słuchać dziesięciominutowej gadaniny o tym, jak to Potwór z Flint City wylądował za kratami. Jeannie zrobiła herbatę i grzanki z rodzynkami. Ralph usiadł przy stole, wbił wzrok w swoje dłonie i wszystko jej opowiedział. Na koniec zachował Everetta Roundhilla.

– Był wściekły na nas wszystkich. Ale ponieważ w końcu to ja do niego oddzwoniłem, ściągnąłem cały ogień na siebie.

– Rozumiem, że potwierdził zeznania Terry'ego?

– Całkowicie. Roundhill zabrał Terry'ego i pozostałych dwóch nauczycieli, nazywają się Quade i Grant, spod liceum. O dziesiątej rano we wtorek, tak jak zostało powiedziane. Do Sheratona w Cap City przyjechali około 11:45, w samą porę, by pobrać identyfikatory i załapać się na bankietowy lunch. Roundhill powiedział, że po lunchu stracił Terry'ego z oczu na jakąś godzinę, ale sądzi, że był z nim Quade. Tak czy owak, cała grupa znów była razem o trzeciej, czyli wtedy, gdy sto dziesięć kilometrów stamtąd pani Stanhope widziała, jak Terry wsadził rower Franka Petersona – i samego Franka – do brudnego białego vana.

– Rozmawiałeś z Quade'em?

– Tak. W drodze do domu. Nie wściekał się… nie to co Roundhill, który się odgrażał, że zażąda, żeby prokuratura okręgowa

przeprowadziła pełne dochodzenie… ale nie mógł w to uwierzyć. Był osłupiały. Powiedział, że po lunchu poszedł z Terrym do antykwariatu o nazwie Second Edition, trochę poszperali w książkach, po czym wrócili na Cobena.

– A Grant? Co z nim?

– To kobieta. Debbie Grant. Jeszcze się do niej nie dodzwoniłem, jej mąż powiedział, że wyszła na miasto z koleżankami i przy takich okazjach zawsze wyłącza telefon. Porozmawiam z nią jutro rano, jednak nie mam wątpliwości, że potwierdzi słowa Roundhilla i Quade'a. – Ralph wziął mały kęs grzanki, po czym odłożył ją na talerz. – To moja wina. Gdybym przesłuchał Terry'ego w czwartek wieczorem, po tym jak zidentyfikowały go Stanhope i mała Morris, zorientowałbym się, że mamy kłopot, i teraz nie byłoby całego tego szumu w telewizji i internecie.

– No dobrze, ale wtedy już mieliście potwierdzenie, że odciski palców, które znaleźliście, należały do Terry'ego Maitlanda, mam rację?

– Tak.

– Odciski palców w vanie, odcisk palca na stacyjce vana, odciski palców w samochodzie, który porzucił nad rzeką, na gałęzi, którą…

– Tak.

– I mieliście zeznania kolejnych świadków. Człowieka, który był na tyłach pubu Shorty's, i jego kumpla. Taksówkarki. Wykidajły z klubu striptizowego. Wszyscy go znali.

– Uhm… A teraz, kiedy już go aresztowaliśmy, nie wątpię, że zgłoszą się następni świadkowie z Gentlemen, Please. Głównie kawalerowie, którzy nie będą musieli tłumaczyć żonom, co tam robili. Mimo to powinienem był się wstrzymać. Może należało zadzwonić do liceum, żeby sprawdzić, co robił w dniu zabójstwa, tyle że uznałem, że to bez sensu, skoro są wakacje. Co mogli powiedzieć oprócz: „Tutaj go nie ma"?

– I bałeś się, że jeśli zaczniesz zadawać pytania, on się o tym dowie.

Wtedy wydawało się to oczywiste, teraz – głupie. Gorzej niż głupie. Bezmyślne.

– Przez wszystkie lata służby popełniłem trochę błędów, ale takiego jeszcze nigdy. Zupełnie jakbym działał na oślep.

Jeanette gwałtownie pokręciła głową.

– Pamiętasz, co powiedziałam, kiedy mi wyjaśniłeś, jak zamierzasz to załatwić?

– Tak.

„Zrób to. Zabierz go od tych chłopców najszybciej, jak to możliwe". Tak powiedziała.

Siedzieli i patrzyli na siebie nad stołem.

– To niemożliwe – stwierdziła w końcu Jeannie.

Wymierzył w nią palec.

– Trafiłaś w sedno problemu.

Sączyła herbatę w zadumie.

– Stare powiedzenie głosi, że każdy ma swojego sobowtóra. O ile pamiętam, Edgar Allan Poe nawet napisał o tym opowiadanie. Nosi tytuł *William Wilson*.

– Poe pisał w czasach, kiedy nie znano linii papilarnych ani DNA. Wyników badań DNA jeszcze nie mamy, są w toku, ale jeśli okaże się jego, to znaczy, że złapaliśmy właściwego człowieka i pewnie nic mi nie będzie groziło. W przeciwnym razie zabiorą mnie do wariatkowa. Oczywiście po tym, jak mnie wyleją i pozwą o bezzasadne zatrzymanie.

Jeanette podniosła swoją grzankę, po czym odłożyła ją z powrotem.

– Macie jego odciski palców znalezione tutaj. I DNA, też jego, w to nie wątpię, znalezione tutaj. Ale, Ralph… nie macie odcisków palców ani DNA stamtąd. Pochodzących od człowieka, który był na konferencji w Cap City. Może to Terry Maitland zabił tego chłopca, a jego sobowtór był na konferencji?

– Jeśli chcesz powiedzieć, że Terry Maitland ma bliźniaka z identycznymi liniami papilarnymi i DNA, wiedz, że nie jest to możliwe.

– Nic takiego nie mówię. Zwracam tylko uwagę, że nie macie niezbitych dowodów świadczących o obecności Terry'ego w Cap City. Jeśli był tutaj, a ślady kryminalistyczne to potwierdzają, wniosek jest taki, że sobowtór musiał być tam. To jedyne logiczne wytłumaczenie.

Ralph rozumiał tok myślenia żony; w powieściach detektywistycznych, za którymi przepadała – Agathy Christie, Rexa Stouta, Harlana Cobena – stanowiłoby to centralny punkt ostatniego rozdziału, w którym panna Marple, Nero Wolfe albo Myron Bolitar przedstawiają rozwiązanie zagadki. Był jeden fakt twardy jak głaz i niepodważalny jak prawo grawitacji: człowiek nie może przebywać w dwóch miejscach jednocześnie.

Jeśli jednak Ralph wierzył świadkom stąd, musiał w równym stopniu wierzyć świadkom, którzy twierdzili, że byli w Cap City z Maitlandem. Jakże mógł wątpić w ich słowa? Roundhill, Quade i Grant uczyli w tej samej szkole. Widywali Maitlanda na co dzień. Czy on, Ralph, miał przyjąć, że trzej nauczyciele byli wspólnikami w zabójstwie dziecka na tle seksualnym? Albo że spędzili dwa dni w towarzystwie sobowtóra tak doskonałego, że ani przez chwilę niczego nie podejrzewali? A nawet gdyby sam zdołał to sobie wmówić, czy Bill Samuels przekonałby do tego ławę przysięgłych, zwłaszcza gdy Terry miał po swojej stronie tak doświadczonego i cwanego adwokata jak Howie Gold?

– Chodźmy do łóżka – powiedziała Jeanette. – Poczęstuję cię ambienem i rozmasuję ci plecy. Rano wszystko będzie wyglądać lepiej.

– Tak myślisz?

4

W czasie, gdy Jeanette Anderson masowała mężowi plecy, Fred Peterson i jego starszy syn (teraz, po utracie Frankiego, jego jedyny syn) zbierali naczynia i robili porządek w salonie i pokoju dziennym. I choć dzisiejsze spotkanie było stypą, stan domu był w gruncie rzeczy identyczny jak po każdej dużej imprezie towarzyskiej.

Ollie zaskoczył Freda. Chłopak był typowym zapatrzonym w siebie nastolatkiem, który na co dzień nie zabierał skarpet rzuconych pod stolik, dopóki mu o tym kilka razy nie przypomnieć, tego wieczoru jednak, od chwili, gdy Arlene o dziesiątej pożegnała ostatniego z niekończącego się szeregu gości, stał się pracowitym, nienarzekającym pomocnikiem. Znajomi i sąsiedzi zaczęli się rozchodzić już o siódmej i Fred liczył, że do ósmej dom opustoszeje – Boże, miał serdecznie dość potakiwania, ilekroć ktoś mówił mu, że Frankie jest teraz w niebie – potem jednak gruchnęła wiadomość, że aresztowali Terence'a Maitlanda za zabójstwo Frankiego, i znów się zaczęło. Ta druga faza stypy była niemal imprezą towarzyską, choć dość ponurą. Fred raz za razem musiał wysłuchiwać, że a) to nie do wiary; b) trener T zawsze wydawał się taki normalny; c) zastrzyk z trucizną w McAlester to dla niego zbyt łagodna kara.

Ollie kursował między salonem a kuchnią, znosząc szklanki i stosy talerzy, które następnie ładował do zmywarki z wprawą, jakiej Fred nigdy by się po nim nie spodziewał. Kiedy zmywarka była pełna, chłopak ją uruchomił, a naczynia, dla których zabrakło miejsca, opłukał i ułożył w zlewie do późniejszego pozmywania. Fred przyniósł naczynia pozostawione w pokoju dziennym i znalazł kolejne na stole piknikowym w ogródku, gdzie część gości wychodziła

zapalić. Pięćdziesięciu, może sześćdziesięciu ludzi przewaliło się przez dom, zanim stypa się skończyła – całe osiedle, a do tego życzliwi z innych części miasta, nie wspominając o ojcu Brixtonie i jego trzódce darmozjadów (fanklubie, pomyślał Fred) od Świętego Antoniego. Przychodzili i przychodzili, nieprzerwany strumień żałobników i gapiów.

Fred i Ollie sprzątali w milczeniu, zatopieni we własnych myślach i rozpaczy. Po długich godzinach przyjmowania kondolencji – trzeba przyznać, że nawet te od zupełnie obcych ludzi były głęboko szczere – nie mogli wyrazić współczucia sobie nawzajem. Może to było dziwne. Może smutne. Może to taka ironia losu, jak nazwaliby to ludzie oczytani. Fred był zbyt zmęczony i przybity, żeby o tym myśleć.

Przez cały ten czas matka martwego chłopca siedziała na kanapie w swojej najlepszej wyjściowej, jedwabnej sukience, ze złączonymi kolanami i dłońmi obejmującymi pulchne ramiona, jakby było jej zimno. Nie odezwała się ani słowem od chwili, kiedy wreszcie wyszedł ostatni gość – stara pani Gibson z sąsiedniego domu, która, co było do przewidzenia, wytrwała do samego końca.

„Może już iść. Pochowała, co było do pochowania", powiedziała Arlene Peterson do męża, kiedy zamknęła drzwi frontowe i oparła się o nie całym swym ciężarem.

Arlene Kelly była smukłym zjawiskiem w białych koronkach, kiedy poprzednik ojca Brixtona udzielił im ślubu. Po urodzeniu Olliego wciąż była szczupła i piękna, ale od tamtego czasu minęło siedemnaście lat. Zaczęła przybierać na wadze po tym, jak na świat przyszedł Frank, i teraz była na granicy otyłości… choć pozostała piękna w oczach Freda, który nie miał serca usłuchać rady otrzymanej od doktora Connolly'ego na ostatnim rocznym badaniu: „Ty pociągniesz jeszcze z pięćdziesiąt lat, Fred, pod warunkiem że nie spadniesz z budynku ani nie wejdziesz pod koła ciężarówki, ale twoja żona ma cukrzycę typu drugiego i musi zrzucić dwadzieścia pięć kilo, jeśli chce być zdrowa. Musisz jej w tym pomóc. Bądź co bądź oboje macie po co żyć".

Tyle że teraz, kiedy Frankie umarł – mało tego: został zamordowany – prawie wszystko, dla czego żyli, wydawało się błahe

i nieistotne. Jeden Ollie pozostał dla Freda ważny jak zawsze i pomimo ogarniającej go rozpaczy wiedział, że w najbliższych tygodniach i miesiącach będą musieli z Arlene ostrożnie się z nim obchodzić. Ich syn też przeżywał żałobę. Owszem, mógł pomóc (nawet więcej, niż pomóc) w uprzątnięciu pozostałości tego ostatniego aktu plemiennego ceremoniału pogrzebowego Franklina Victora Petersona, ale od jutra będą musieli pozwolić mu znów być nastolatkiem. Trochę to potrwa, ale w końcu wróci do siebie.

Kiedy następnym razem zobaczę skarpetki Olliego pod stolikiem, ucieszę się, obiecał sobie Fred. A dziś przerwę tę okropną, nienaturalną ciszę, jak tylko wymyślę, co by tu powiedzieć.

Nic jednak nie przychodziło mu do głowy i kiedy Ollie ominął go krokiem lunatyka i wszedł do pokoju dziennego, ciągnąc odkurzacz za rurę, Fred pomyślał – nieświadom tego, jak głęboko się myli – że przynajmniej nie może ich już spotkać nic gorszego.

Podszedł do drzwi pokoju dziennego i patrzył, jak Ollie zaczyna odkurzać szary puszysty dywan z tą samą niepokojącą, dotąd niezauważoną wprawą, długimi, równymi ruchami, najpierw z włosem, potem pod włos. Okruchy ciastek Nabs, Oreo i krakersów Ritz zniknęły, jakby nigdy ich tu nie było. Wtedy Fred w końcu znalazł coś do powiedzenia.

– Ja odkurzę w salonie.

– Żaden kłopot, mogę to zrobić – rzucił Ollie. Miał czerwone, podpuchnięte oczy. Biorąc pod uwagę różnicę wieku między nim a bratem (siedem lat), byli ze sobą zdumiewająco zżyci. A może to wcale nie takie zdumiewające? Może taki dystans wystarczył, by ograniczyć rywalizację między nimi do minimum. I zrobić z Olliego kogoś w rodzaju drugiego ojca Franka.

– Wiem – powiedział Fred. – Ale tak będzie sprawiedliwie.

– Dobra. Tylko nie mów: „Tego chciałby Frankie". Musiałbym cię udusić tą rurą.

Fred się uśmiechnął. To pewnie nie pierwszy jego uśmiech od chwili, gdy we wtorek policjant zapukał do ich drzwi, ale być może pierwszy szczery.

– Umowa stoi.

Ollie dokończył i przekazał odkurzacz ojcu. Kiedy Fred wciągnął go do salonu i zaczął monotonną czynność, Arlene wstała i powlekła się do kuchni, nie oglądając się za siebie. Ojciec i syn popatrzyli po sobie. Ollie wzruszył ramionami. Fred odpowiedział tym samym i wrócił do odkurzania. Ludzie chcieli ich wesprzeć na duchu i w sumie miło z ich strony, ale rany boskie, czy musieli tak nabałaganić? Pocieszył się myślą, że byłoby gorzej, gdyby urządzili stypę irlandzką, ale po narodzinach Olliego rzucił gorzałę; w domu Petersonów się nie piło.

Nagle z kuchni dobiegł najmniej oczekiwany dźwięk: śmiech.

Fred i Ollie znów spojrzeli na siebie. Ollie pospieszył do kuchni, w której śmiech jego matki, początkowo naturalny i swobodny, nabierał coraz bardziej histerycznego brzmienia. Fred wyłączył nogą odkurzacz i poszedł za synem.

Arlene Peterson stała plecami do zlewu, trzymała się za swój spory brzuch i prawie ryczała ze śmiechu. Poczerwieniała na twarzy, jakby miała wysoką gorączkę. Łzy płynęły jej po policzkach.

– Mamo? – spytał Ollie. – Co jest?

Chociaż uprzątnęli naczynia z salonu i pokoju dziennego, w kuchni zostało jeszcze mnóstwo do zrobienia. Dwa blaty po bokach zlewu i stół w kąciku śniadaniowym, przy którym rodzina Petersonów przeważnie jadła kolację, były zawalone niedojedzonymi potrawami, plastikowymi pojemnikami i resztkami zawiniętymi w folię aluminiową. Na kuchence leżały częściowo zjedzony kurczak i sosjerka pełna stężałej brązowej mazi.

– Wystarczy tych resztek na miesiąc! – wydobyła z siebie Arlene. Zgięła się wpół, rechocząc, po czym stanęła prosto. Policzki jej spurpurowiały. Rude włosy, które przekazała w spadku obu synom – temu stojącemu przed nią i temu spoczywającemu w ziemi – wymknęły się spod spinek, którymi tymczasowo je ujarzmiła, i sterczały dookoła jej przekrwionej twarzy kędzierzawą aureolą. – Zła wiadomość: Frankie nie żyje! Dobra wiadomość: bardzo… bardzo… długo nie będę musiała chodzić na zakupy!

Zaczęła wyć. To był dźwięk, którego można by się spodziewać w zakładzie dla obłąkanych, ale nie w ich kuchni. Fred kazał swoim nogom się ruszyć, iść do niej, ale nie chciały go słuchać. To Ollie

pierwszy wyrwał się z paraliżu, ale zanim zdążył podejść do matki, Arlene chwyciła kurczaka i cisnęła nim z całej siły. Ollie się uchylił. Kurczak przeleciał, koziołkując i rozrzucając farsz, i uderzył w ścianę z obrzydliwym ni to trzaskiem, ni to plaśnięciem. Na tapecie pod zegarem powstała tłusta okrągła plama.

– Mamo, przestań… Przestań.

Ollie próbował wziąć ją za ramiona i przygarnąć do siebie, ale Arlene prześliznęła się pod jego rękami i pobiegła w stronę jednego z blatów, wciąż roześmiana, wciąż skowycząca. Chwyciła obiema dłońmi półmisek z lasagne – przyniesiony przez jedną z wielbicielek ojca Brixtona – i wywaliła sobie zawartość na głowę. Zimny makaron spadł na jej włosy i ramiona. Cisnęła naczyniem do salonu.

– Frankie umarł, a my tu mamy pieprzony włoski bufet!

Fred wreszcie zdołał się ruszyć, ale jemu Arlene też umknęła. Śmiała się jak rozdokazywana dziewczynka podczas zabawy w berka. Chwyciła pojemnik z ciastem piankowym; zaczęła go podnosić i nagle upuściła na podłogę między swoimi nogami. Śmiech ucichł. Jedna dłoń objęła dużą lewą pierś. Druga spoczęła nad nią. Szeroko otwarte, mokre od łez oczy spojrzały na męża.

Te oczy, pomyślał Fred. To w nich się zakochałem.

– Mamo? Mamo, co się stało?

– Nic – odparła Arlene. – To chyba serce. – Schyliła się, spojrzała na kurczaka i ciasto piankowe. Makaron spadł z jej włosów. – Popatrzcie tylko, co narobiłam.

A potem wydała przeciągłe, głośne, chrapliwe westchnienie i osunęła się. Fred złapał ją, ale była za ciężka. Zanim upadła na bok, zauważył, że krew odpływa jej z twarzy.

Ollie krzyknął i ukląkł obok niej.

– Mamo! Mamo! Mamo! – Podniósł oczy na ojca. – Chyba nie oddycha!

Fred odepchnął syna.

– Dzwoń na pogotowie.

Nie patrząc, czy Ollie wykonał polecenie, objął dłonią masywną szyję żony, szukając pulsu. Wyczuł go, ale był bezładny, chaotyczny: łup-łup, łupłupłup, łup-łup-łup. Usiadł okrakiem na żonie, chwycił prawą dłonią swój lewy nadgarstek i zaczął uciskać jej pierś

w równym rytmie. Czy robił to prawidłowo? Czy na tym polega masaż serca? Nie wiedział, ale kiedy jej oczy się otworzyły, jego własne serce omal nie wyrwało się z piersi. Udało się. Wróciła.

To nie był zawał. Przemęczyła się, to wszystko. Zasłabła. Omdlenie, chyba tak to się fachowo nazywa. Ale od tej chwili dopilnujemy, żebyś przeszła na dietę, moja droga, a na urodziny dostaniesz tę taką opaskę na nadgarstek, która mierzy…

– Narobiłam bałaganu – szepnęła Arlene. – Przepraszam.

– Nie mów nic.

Ollie stał przy telefonie; głośno i szybko mówił do słuchawki, prawie krzyczał. Podawał adres. Ponaglał.

– Będziesz musiał znów posprzątać w salonie – odezwała się Arlene. – Przepraszam, Fred, bardzo, bardzo przepraszam.

Zanim zdołał znów zabronić jej mówić, zażądać, żeby leżała spokojnie, dopóki nie poczuje się lepiej, Arlene wzięła kolejny głęboki, chrapliwy wdech. Kiedy wypuściła powietrze, oczy uciekły jej w głąb oczodołów. Przekrwione białka wyszły na wierzch, zmieniając jej twarz w maskę śmierci, którą później Fred będzie się starał wymazać z pamięci. Bez powodzenia.

– Tato? Już jadą. Co z nią?

Fred nie odpowiedział. Był zbyt zajęty nieudolnym masażem serca i robieniem sobie wyrzutów, że nie zapisał się na kurs pierwszej pomocy – dlaczego nigdy nie znalazł na to czasu? Żałował, że tak wielu rzeczy nie zrobił. Oddałby swoją nieśmiertelną duszę, żeby tylko cofnąć kalendarz o jeden parszywy tydzień.

Ucisk, zwolnienie ucisku. Ucisk, zwolnienie ucisku.

Wyzdrowiejesz, mówił do niej w duchu. Musisz wyzdrowieć. „Przepraszam” nie może być twoim ostatnim słowem na tej ziemi. Nie pozwolę na to.

Ucisk, zwolnienie ucisku. Ucisk, zwolnienie ucisku.

5

Na prośbę Grace Marcy Maitland chętnie wpuściła ją do swojego łóżka, gdy jednak zapytała Sarah, czy chce do nich dołączyć, starsza córka pokręciła głową.

– W porządku – powiedziała Marcy. – Ale gdybyś zmieniła zdanie, będę tutaj.

Minęła jedna, potem druga godzina. Najgorsza sobota w jej życiu przeszła w najgorszą niedzielę. Myślała o Terrym, który powinien teraz twardo spać u jej boku (być może śniąc o mistrzostwach ligi miejskiej po zwycięstwie nad Bearsami), a zamiast tego siedział w areszcie. Czy on też nie mógł zasnąć? Na pewno.

Wiedziała, że przed nią trudne dni, ale była pewna, że Howie wszystko naprawi. Terry kiedyś powiedział jej, że jego były współtrener to najlepszy adwokat na Południowym Zachodzie i że pewnego dnia może nawet zasiądzie w stanowym sądzie najwyższym. Zważywszy na żelazne alibi Terry'ego, Howie nie mógł przegrać tej sprawy. Ilekroć jednak, pocieszona tą myślą, już prawie zasypiała, przed oczami stawał jej ten sukinsyn Ralph Anderson, judasz, którego kiedyś uważała za przyjaciela, i sen pierzchał. Kiedy będzie po wszystkim, pozwą policję Flint City o bezzasadne aresztowanie, zniesławienie i co tam jeszcze wymyśli Howie Gold, a jak Howie zacznie zrzucać swoje prawnicze inteligentne bomby, ona, Marcy, osobiście dopilnuje, żeby Ralph Anderson stał w strefie zero. Czy mogliby złożyć pozew przeciwko niemu? Puścić go z torbami? Oby. Marzyła o tym, żeby Ralph, jego żona i syn, któremu Terry poświęcił tyle serca, wylądowali na ulicy – bosi, w łachmanach, z żebraczymi miskami w rękach. Domyślała się, że to

mało prawdopodobne w dzisiejszych, podobno postępowych czasach, jednak oczami duszy wyraźnie widziała całą ich trójkę w takim położeniu – nędzarzy na ulicach Flint City – i ten obraz za każdym razem przepędzał sen, przeszywając ją dreszczem wściekłości i satysfakcji.

Zegar na stoliku nocnym pokazywał piętnaście po drugiej, kiedy w drzwiach stanęła jej starsza córka. W ciemności wyraźnie widać było tylko jej nogi, wystające spod obszernej koszulki Oklahoma City Thunder, którą nosiła zamiast piżamy.

– Mamo? Śpisz?

– Nie.

– Mogę się położyć z tobą i Gracie?

Marcy odrzuciła koc i zrobiła jej miejsce. Sarah weszła do łóżka; rozpłakała się, gdy matka ją przytuliła i pocałowała w kark.

– Ciii, obudzisz siostrę.

– Nie mogę się powstrzymać. Ciągle myślę o tych kajdankach. Przepraszam.

– To płacz cicho. Cichutko, kochanie.

Marcy tuliła ją dotąd, aż Sarah się wypłakała. Kiedy na jakieś pięć minut zapadła cisza, pomyślała, że córka zasnęła i że teraz, otoczona swoimi dziewczynkami, może sama też zdoła zapaść w sen. Wtedy jednak Sarah przewróciła się na drugi bok i spojrzała na nią. Jej mokre oczy błyszczały w ciemności.

– Nie pójdzie do więzienia, prawda, mamo?

– Nie. Nic nie zrobił.

– Ale niewinnych też czasem zamykają w więzieniu. Nawet na całe lata, dopóki ktoś nie udowodni, że jednak byli niewinni. Wtedy wychodzą na wolność, ale już jako starzy ludzie.

– Twojego ojca to nie spotka. Był w Cap City, kiedy zdarzyło się to, za co go zatrzymali…

– Wiem, za co go zatrzymali. – Sarah otarła oczy. – Nie jestem głupia.

– Wiem, kochanie.

Dziewczynka poruszyła się niespokojnie.

– Musieli mieć jakiś powód.

– Pewnie tak uważają, ale są w błędzie. Pan Gold wytłumaczy, gdzie tata był, i będą musieli go wypuścić.

– Dobrze. – Długa pauza. – Ale nie chcę chodzić na półkolonie, dopóki to się nie skończy. Gracie chyba też nie powinna.

– Nie będziecie musiały. A jesienią to wszystko będzie już tylko wspomnieniem.

– Przykrym. – Sarah siąknęła nosem.

– Śpij już.

Wkrótce Marcy, ogrzana ciałami córek, też zapadła w sen, dręczyły ją jednak koszmary, w których Terry'ego, na oczach gapiów, wyprowadzali dwaj policjanci, Baibir Patel płakał, a Gavin Frick patrzył z niedowierzaniem.

6

Do północy w areszcie okręgowym było głośno jak w zoo w porze karmienia – pijacy śpiewali, pijacy płakali, pijacy stali przy kratach, tocząc głośne rozmowy. Doszło nawet do bójki, sądząc z odgłosów; ponieważ wszystkie cele były jednoosobowe, Terry nie bardzo rozumiał, jak to się mogło stać, chyba że rywale tłukli się przez kraty. Gdzieś na drugim końcu korytarza jakiś facet wyrykiwał na całe gardło pierwszy fragment szesnastego wersetu trzeciego rozdziału Ewangelii według Świętego Jana: „Tak bowiem Bóg umiłował świat! Tak bowiem Bóg umiłował świat! Tak bowiem Bóg umiłował CAŁY TEN PIERDOLONY ŚWIAT!". Śmierdziało szczynami, gównem, środkiem odkażającym i makaronem w niezidentyfikowanym sosie, który podano na kolację.

Mój pierwszy raz w areszcie, myślał Terry ze zdumieniem. Po czterdziestu latach życia wylądowałem w kiciu, w pierdlu, w mamrze, w pace. Niewiarygodne.

Chciał czuć gniew, słuszny gniew; przypuszczał, że przyjdzie rano, kiedy świat wyostrzy się w jego oczach, teraz jednak, o trzeciej w nocy z soboty na niedzielę, gdy krzyki i śpiewy przeszły w chrapanie, pierdnięcia i pojedyncze jęki, odczuwał tylko wstyd. Jakby rzeczywiście zrobił coś złego. Tyle że gdyby rzeczywiście winien był tego, co mu zarzucali, nie mógłby się tak czuć. Chory zwyrodnialec zdolny tak bestialsko skrzywdzić dziecko nie czułby nic oprócz desperacji przebiegłego zwierzęcia w potrzasku, gotowego powiedzieć i zrobić wszystko, żeby odzyskać wolność. Chociaż czy aby na pewno? Skąd mógł wiedzieć, co myśli i czuje taki człowiek?

To tak, jakby próbować odgadnąć, co siedzi w głowie przybysza z obcej planety.

Ani przez chwilę nie wątpił, że Howie Gold wyciągnie go z tego; był o tym przekonany nawet teraz, kiedy w najmroczniejszej otchłani nocy wciąż usiłował ogarnąć myślą to, jak się zmieniło jego życie w ciągu kilku minut. Zdawał sobie też jednak sprawę, że nigdy do końca nie zmyje z siebie tego błota. Zwolnią go i przeproszą – jeśli nie jutro, to na postawieniu w stan oskarżenia, jeśli nie wtedy, to na następnym etapie, czyli prawdopodobnie na postępowaniu przed wielką ławą przysięgłych w Cap City – wiedział jednak, co zobaczy w oczach uczniów, kiedy następnym razem wejdzie do klasy, i zapewne mógł sobie wybić z głowy trenowanie drużyn młodzieżowych. Rozmaite ciała zarządzające znajdą jakąś wymówkę, jeśli sam z siebie nie uniesie się honorem i nie złoży dymisji. Ponieważ już nigdy nie będzie całkowicie niewinny w oczach sąsiadów z West Side i całego Flint City. Zawsze będzie człowiekiem, którego aresztowali za zabójstwo Franka Petersona. Człowiekiem, o którym ludzie będą mówić: Nie ma dymu bez ognia.

Gdyby chodziło tylko o niego, pewnie jakoś by sobie poradził. Co mówił swoim chłopakom, kiedy narzekali na decyzje sędziów? Przełknijcie to i wracajcie na boisko. Mecz się nie skończył. Tym razem jednak nie on jeden będzie musiał to przełknąć, nie tylko on będzie musiał grać ten mecz. Marcy zostanie napiętnowana. Szepty i spojrzenia z ukosa w pracy i sklepie. Znajomi, którzy nigdy więcej nie zadzwonią. Może wyjątkiem będzie Jamie Mattingly, ale nawet co do niej miał wątpliwości.

No i były jeszcze dziewczynki. Sarah i Gracie staną się obiektem złośliwych plotek i ogólnego ostracyzmu, do jakiego zdolni są tylko ich rówieśnicy. Domyślał się, że Marcy jest na tyle rozsądna, by trzymać je blisko siebie, dopóki to się nie skończy, choćby po to, by chronić je przed reporterami, którzy inaczej nie daliby im żyć, ale nawet jesienią, kiedy już zostanie oczyszczony z zarzutów, pozostaną naznaczone. Widzicie tamtą dziewczynę? Jej ojca aresztowali za to, że zabił dzieciaka i wsadził mu kij w dupę.

Leżał na pryczy. Patrzył w ciemność. Czuł smród aresztu. Myślał: Będziemy musieli się przeprowadzić. Może do Tulsy, może do Cap

City, może do Teksasu. Ktoś da mi pracę, nawet jeśli nie dopuszczą mnie do młodzieżowych drużyn bejsbolu, futbolu i koszykówki. Mam dobre referencje i będą się bali, że odmawiając, narażą się na pozew o dyskryminację.

Tyle że jego zatrzymanie – i powód, dla którego go zatrzymano – będzie się ciągnęło za całą rodziną jak smród tego aresztu. Zwłaszcza za dziewczynkami. Wystarczy sam Facebook, żeby je namierzyć i wskazać palcem. To te dziewczyny, których ojcu bezkarnie uszło morderstwo.

Musiał porzucić te myśli i trochę się przespać, musiał też przestać się za siebie wstydzić tylko dlatego, że ktoś inny – konkretnie Ralph Anderson – popełnił straszliwy błąd. W środku nocy takie sprawy zawsze gorzej wyglądają, musiał o tym pamiętać. A w jego obecnej sytuacji – był w celi, ubrany w obszerny brązowy kombinezon – trudno się dziwić, że obawy rozrastały się w nim do rozmiarów platform na paradzie świątecznej. Rano wszystko będzie wyglądało lepiej. Był tego pewien.

Tak.

Ale mimo wszystko taki wstyd.

Terry zasłonił oczy.

7

Howie Gold wyśliznął się z łóżka o wpół do siódmej w niedzielę rano nie dlatego, że mógł o tej porze coś zdziałać, ani nie ze względu na osobiste preferencje. Jak u wielu mężczyzn po sześćdziesiątce, jego prostata rosła wraz z kontem emerytalnym, a pęcherz zdawał się kurczyć równolegle z seksualnymi aspiracjami. Kiedy już się ocknął, jego mózg wrzucił pierwszy bieg i ponowne zaśnięcie stało się niemożliwe.

Zostawił Elaine śniącą, miał nadzieję, przyjemne sny i poczłapał boso do kuchni, żeby nastawić kawę i sprawdzić telefon, który wyciszył i zostawił na blacie, zanim położył się spać. Jeden esemes od Aleca Pelleya, odebrany o 1:12.

Howie popijał kawę i jadł płatki Raisin Bran, kiedy do kuchni weszła Elaine, zawiązując pasek szlafroka i ziewając.

– Co słychać, miśku?

– Czas pokaże. Zrobić ci jajecznicę?

– Proponuje mi śniadanie. – Nalała sobie kawy. – Skoro dziś nie walentynki ani nie moje urodziny, powinnam coś podejrzewać?

– Zabijam czas. Dostałem wiadomość od Aleca, ale nie mogę do niego zadzwonić przed siódmą.

– To dobra czy zła wiadomość?

– Nie mam pojęcia. To jak, chcesz jajka?

– Tak. Dwa. Sadzone, nie jajecznicę.

– Wiesz, że żółtka zawsze mi się rozlewają.

– Skoro wyjątkowo mogę siedzieć i patrzeć, powstrzymam się od krytyki. Poproszę też grzankę z chleba pszennego.

O dziwo, rozlało się tylko jedno żółtko.

– Jeśli Terry Maitland zabił to dziecko, świat oszalał – powiedziała Elaine, kiedy postawił przed nią talerz.

– Świat zawsze był szalony – stwierdził Howie. – Ale on tego nie zrobił. Ma alibi mocne jak S na klacie Supermana.

– To dlaczego go aresztowali?

– Bo uważają, że mają dowody mocne jak S na klacie Supermana.

Zamyśliła się.

– Niepowstrzymana siła napotyka nieporuszalny obiekt?

– Nie ma czegoś takiego, skarbie.

Spojrzał na zegarek. Za pięć siódma. Pięć minut w tę czy w tamtą, co za różnica. Zadzwonił na komórkę Aleca.

Detektyw odebrał po trzecim sygnale.

– Co tak wcześnie? Golę się. Możesz zadzwonić za pięć minut? Innymi słowy: o siódmej, jak prosiłem?

– Nie – odparł Howie. – Ale poczekam, aż zetrzesz piankę z tej strony twarzy, do której przykładasz telefon, może być?

– Twardy z ciebie szef – rzucił Alec, ale humor wyraźnie mu dopisywał, pomimo wczesnej godziny i tego, że przerwano mu czynność, podczas której większość mężczyzn chce być sama ze swoimi myślami. To dało Howiemu nadzieję. I bez tego miał sporo amunicji, ale więcej zawsze się przyda.

– Dobra czy zła wiadomość?

– Daj mi sekundę, co? Umazałem tym cholerstwem cały telefon. – Przerwa potrwała raczej pięć sekund niż jedną, ale w końcu Alec ponownie się odezwał: – Wieści są dobre, szefie. Dobre dla nas, złe dla prokuratury. Bardzo złe.

– Widziałeś nagrania z monitoringu? Ile tego jest i z ilu kamer?

– Widziałem nagrania; jest ich wystarczająco dużo. – Alec zrobił pauzę, a kiedy znów przemówił, Howie poznał, że się uśmiecha; słyszał to w jego głosie: – Ale mam coś lepszego. Dużo lepszego.

8

Jeanette Anderson wstała za piętnaście siódma i spostrzegła, że strona łóżka, po której zawsze śpi jej mąż, jest pusta. W kuchni pachniało świeżą kawą, jednak tam Ralpha też nie było. Wyjrzała przez okno i zobaczyła go; siedział w ogródku przy stole piknikowym, wciąż w swojej piżamie w prążki, i sączył ze śmiesznego kubka, który dostał od Dereka na Dzień Ojca. Na jego ściance wielkimi niebieskimi literami napisano: „Masz prawo zachować milczenie, dopóki nie wypiję kawy".

Wzięła swój kubek, wyszła do męża i pocałowała go w policzek. Zapowiadał się upalny dzień, ale o tak wczesnej porze było chłodno, cicho i przyjemnie.

– Nie możesz przestać o tym myśleć, co? – spytała.

– Żaden z nas nie przestanie o tym myśleć – odparł. – Przynajmniej nieprędko.

– Dziś niedziela – przypomniała. – Dzień odpoczynku. A tobie go potrzeba. Nie wyglądasz najlepiej. Według artykułu w „New York Timesie", który czytałam w zeszłym tygodniu, w twoim wieku rośnie ryzyko ataku serca.

– To mnie pocieszyłaś.

Westchnęła.

– Co jest pierwszym punktem na twojej liście?

– Rozmowa z tą nauczycielką, Deborah Grant. Żeby postawić kropkę nad i. Na pewno potwierdzi, że Terry pojechał z nimi do Cap City, choć zawsze istnieje szansa, że zauważyła w nim coś dziwnego, co umknęło Roundhillowi i Quade'owi. Kobiety bywają bardziej spostrzegawcze.

Jeannie pomyślała, że to dyskusyjne, może nawet seksistowskie, ale to nie była dobra pora, żeby o tym dyskutować. Zamiast tego wróciła do rozmowy z zeszłego wieczoru:

– Terry był tutaj. Zrobił to. Teraz musisz zebrać dowody tam, w Cap City. DNA pewnie odpada, ale odciski palców?

– Możemy sprawdzić pokój, w którym mieszkał z Quade'em, ale wymeldowali się w środę rano. Od tego czasu na pewno tam posprzątano i przyjęto nowych gości. I to zapewne kilka zmian.

– Mimo wszystko to może coś dać, prawda? Niektóre pokojówki są sumienne, ale wiele poprzestaje na ścieleniu łóżek i wycieraniu ze stolika kółek po szklankach i plam. A gdybyście znaleźli tam tylko odciski palców Quade'a, nie Terry'ego Maitlanda?

Podobał mu się rumieniec entuzjazmu detektywa amatora na jej twarzy; żałował, że musi go ostudzić.

– To niczego by nie dowodziło, kochanie. Howie Gold powiedziałby przysięgłym, że nie mogą skazać człowieka na podstawie braku odcisków palców, i miałby rację.

Przemyślała to.

– No dobrze. Mimo wszystko uważam, że powinniście zebrać odciski palców z tamtego pokoju i zidentyfikować ich jak najwięcej. Możecie to zrobić?

– Tak. I to dobry pomysł. – A przynajmniej jeszcze jedno „i", nad którym trzeba postawić kropkę. – Ustalę, który to był pokój, i spróbuję przekonać dyrekcję Sheratona, żeby przenieśli obecnego lokatora gdzie indziej. Myślę, że się zgodzą ze względu na rozgłos towarzyszący sprawie. Sprawdzimy pokój od podłogi po sufit, od ściany do ściany. Tak naprawdę jednak chcę zobaczyć przede wszystkim nagrania z monitoringu z dni konwencji, a że detektyw Sablo, prowadzący śledztwo z ramienia policji stanowej, wraca dopiero po południu, skoczę tam osobiście. Detektyw Golda ubiegł mnie o kilka godzin, ale nic się na to nie poradzi.

Położyła dłoń na jego dłoni.

– Obiecaj mi tylko, że od czasu do czasu zrobisz sobie przerwę, żeby nacieszyć się dniem, kochanie.

Uśmiechnął się do niej i krótko uścisnął jej dłoń.

– Ciągle myślę o samochodach, z których korzystał: tym, którym uprowadził małego Petersona, i tym, którym wyjechał z miasta.

– Econoline i subaru.

– Uhm. Subaru to raczej żadna zagadka. Skradzione z parkingu miejskiego; od dwa tysiące dwunastego roku mieliśmy wiele podobnych kradzieży. Te nowe zapłony bezkluczykowe to najlepszy przyjaciel złodzieja, bo kiedy kierowca gdzieś się zatrzymuje, zaprzątnięty myślami o sprawach do załatwienia czy o tym, co ugotować na kolację, nie widzi przed sobą kluczyka zwisającego ze stacyjki. Elektroniczny brelok łatwo zapomnieć, zwłaszcza jeśli masz słuchawki w uszach albo nadajesz przez telefon i nie słyszysz sygnału przypominającego, żeby go zabrać. Właścicielka subaru, Barbara Nearing, zostawiła swój brelok w uchwycie na kubek i bilet parkingowy na desce rozdzielczej, kiedy o ósmej poszła do pracy. O piątej, gdy wróciła, samochodu już nie było.

– Parkingowy nie pamięta, kto nim wyjechał?

– Nie, i trudno się dziwić. Garaż jest duży, pięć kondygnacji, ludzie na okrągło przyjeżdżają i wyjeżdżają. Przy wyjeździe zainstalowali kamerę, ale nagrania są kasowane co czterdzieści osiem godzin. Za to jeśli chodzi o tego vana…

– Co?

– Należał do pracującego dorywczo stolarza, złotej rączki nazwiskiem Carl Jellison, zamieszkałego w Spuytenkill w stanie Nowy Jork, małej mieścinie między Poughkeepsie i New Paltz. Zabrał kluczyki, ale zostawił komplet zapasowy w małym namagnetyzowanym pudełku pod tylnym zderzakiem. Ktoś to pudełko znalazł i odjechał vanem. Bill Samuels ma teorię, że złodziej dotarł z Nowego Jorku do Cap City… albo Dubrow… a może nawet aż tutaj, do Flint City… po czym zostawił wóz z zapasowym kluczykiem w stacyjce. Wtedy znalazł go Terry, ukradł złodziejowi i gdzieś schował. Może w stodole albo szopie za miastem. Wszyscy wiedzą, że od czasu, gdy w dwa tysiące ósmym wszystko się rozpirzyło, w okolicy jest pełno opuszczonych farm. Potem zostawił vana za pubem Shorty’s – z kluczykiem w stacyjce – licząc, niebezzasadnie, że ktoś go ukradnie po raz trzeci.

– Tyle że nikt tego nie zrobił. Macie więc tego vana na parkingu policyjnym, macie kluczyki. Z odciskiem kciuka Terry'ego Maitlanda.

Ralph skinął głową.

– Prawdę mówiąc, odcisków jest mnóstwo. Ten gruchot ma dziesięć lat i co najmniej od pięciu, a może w ogóle nigdy, nikt go nie mył. Część odcisków wyeliminowaliśmy: Jellisona, jego syna, żony, dwóch jego pracowników. Mieliśmy je już w czwartek po południu dzięki policji stanowej z Nowego Jorku, chwała im za to. Z niektórych, ba, z większości innych stanów nie dostalibyśmy ich do dzisiaj. Znaleźliśmy też ślady linii papilarnych – Terry'ego Maitlanda i Franka Petersona. Cztery odciski Petersona były po wewnętrznej stronie drzwi pasażera. Jest tam plama od smaru, dlatego są wyraźne jak świeżo wybite jednocentówki. Myślę, że powstały na parkingu przy Figgis Park, kiedy Terry wyciągał go z samochodu, a chłopak się opierał.

Jeannie się skrzywiła.

– Czekamy jeszcze na identyfikację kilku odcisków z vana; rozesłaliśmy je w środę. Może na kogoś wskażą, może nie. Zakładamy, że część należy do złodzieja, który ukradł ten samochód pierwszy, jeszcze w Spuytenkill. Pozostałe mógł zostawić każdy, od znajomych Jellisona po autostopowiczów, których złodziej zabrał po drodze. Ale najświeższe, pomijając te zabitego chłopca, należą do Maitlanda. Nazwisko pierwszego złodzieja mnie nie interesuje, ale chciałbym wiedzieć, gdzie porzucił vana… – Ralph zawiesił głos, po czym dodał: – Wiesz, to zupełnie bez sensu.

– To, że nie wytarł swoich odcisków?

– Nie tylko. Po co w ogóle ukradł vana i subaru? Po kiego diabła kraść samochody do brudnej roboty, a potem pokazywać swoją twarz wszystkim dookoła?

Jeannie słuchała z narastającym niepokojem. Jako żona Ralpha nie mogła zadać pytań, które nasuwały się w odpowiedzi na jego pytania: Skoro miałeś tyle wątpliwości, dlaczego, na litość boską, postąpiłeś tak, jak postąpiłeś? I czemu w takim pośpiechu? Owszem, sama go do tego zachęciła, może więc była w jakiejś części współwinna obecnych kłopotów, ale przecież nie znała wszystkich

informacji. Tania wymówka, ale moja, pomyślała… i znów się skrzywiła.

Jakby czytając jej w myślach (po prawie dwudziestu pięciu latach małżeństwa pewnie rzeczywiście to potrafił), Ralph powiedział:

– Nie chodzi tylko o to, że nagle zacząłem mieć skrupuły, nie myśl tak. Rozmawiałem na ten temat z Billem Samuelsem. Powiedział, że w tym nie musi być logiki. Że działania Terry'ego wynikały z szaleństwa. Że impuls, żeby to zrobić, może nawet wewnętrzna potrzeba, choć w sądzie nigdy bym tak tego nie ujął, narastał w nim długo. Były podobne przypadki. Bill tłumaczy to tak: „Jasne, planował coś zrobić, poczynił niezbędne przygotowania, ale kiedy we wtorek zobaczył Franka Petersona prowadzącego rower z zerwanym łańcuchem, plany poszły do kosza. Para rozsadziła kocioł i doktor Jekyll zmienił się w pana Hyde'a".

– Sadysta seksualny w dzikim amoku – szepnęła Jeannie. – Terry Maitland. Trener T.

– Wtedy wydawało się to logiczne i logiczne wydaje się teraz – powiedział Ralph niemal napastliwie.

Może i tak, mogła odpowiedzieć, ale jak wytłumaczyć to, co było potem, skarbie? Po wszystkim, kiedy już zaspokoił żądzę? Pomyśleliście o tym? Jakim cudem nawet wtedy nie wytarł swoich odcisków palców i dalej pokazywał swoją twarz?

– Coś było pod fotelem kierowcy w vanie – podjął.

– Serio? Co?

– Skrawek papieru. Może kawałek menu jakiejś restauracji. To pewnie nic nie znaczy, ale chcę mu się przyjrzeć. Jestem prawie pewien, że włączyli go do dowodów. – Wylał resztkę kawy w trawę i wstał. – Bardziej zależy mi na tym, żeby zerknąć na nagrania z monitoringu Sheratona z wtorku i środy. I nagrania z restauracji, do której, jak zeznał, poszedł z grupą nauczycieli na kolację.

– Jeśli jego twarz będzie w którymś momencie wyraźnie widoczna, zrób zrzut ekranu i mi przyślij. – Kiedy uniósł brwi, Jeannie wyjaśniła: – Znam Terry'ego tak długo jak ty i odróżnię go od każdego sobowtóra. – Uśmiechnęła się. – W końcu kobiety są bardziej spostrzegawcze od mężczyzn. Sam tak powiedziałeś.

9

Sarah i Grace Maitland prawie nie tknęły śniadania, co zaniepokoiło Marcy mniej niż brak telefonów i minitabletów w ich bezpośrednim sąsiedztwie. Policja pozwoliła im zachować cały sprzęt elektroniczny, ale rzuciwszy okiem na kilka stron, dziewczynki zostawiły swoje gadżety w sypialniach. Nie miały ochoty śledzić wiadomości w serwisach informacyjnych i społecznościowych. A sama Marcy, kiedy wyjrzała za okno salonu i zobaczyła zaparkowane przy krawężniku dwa wozy transmisyjne i radiowóz, zaciągnęła zasłony. Jak długo potrwa ten dzień? I czym go, na litość boską, wypełnić?

Odpowiedź na to pytanie przyszła od Howiego Golda. Zadzwonił kwadrans po ósmej; w jego głosie pobrzmiewał zdumiewający optymizm.

– Po południu spotkamy się z Terrym. Razem. Normalnie osadzony musi złożyć wniosek o widzenie dwadzieścia cztery godziny przed terminem, ale udało mi się to ominąć. Nie załatwiłem tylko zniesienia zakazu kontaktu bezpośredniego. Jest poddany zaostrzonym rygorom bezpieczeństwa. To znaczy, że będziemy musieli rozmawiać z nim przez szybę, ale nie wygląda to tak źle jak w filmach. Zobaczysz.

– Dobrze. – Brakowało jej tchu. – O której?

– Przyjadę po ciebie o wpół do drugiej. Weź jego najlepszy garnitur i jakiś porządny, ciemny krawat. To na jutrzejszą wizytę w sądzie. I przynieś mu coś dobrego do jedzenia. Orzechy, owoce, słodycze. Tylko włóż wszystko do przezroczystej torebki, dobrze?

– Dobrze. A co z dziewczynkami? Czy mam…

– Nie, niech zostaną w domu. Areszt to nie miejsce dla dzieci. Poproś kogoś, żeby z nimi posiedział, na wypadek gdyby dziennikarze byli nachalni. I powiedz im, że wszystko jest dobrze.

Nie wiedziała, czy kogoś znajdzie – po zeszłym wieczorze nie chciała znów narzucać się Jamie. Gdyby porozmawiała z gliną czuwającym w radiowozie przed domem, na pewno przypilnowałby, żeby dziennikarze nie wchodzili na trawnik. Prawda?

– A wszystko jest dobrze? Jesteś pewien?

– Tak myślę. Alec Pelley właśnie rozwalił wielką piniatę w Cap City i wszystkie nagrody spadły nam na kolana. Prześlę ci link do czegoś. Twoja sprawa, czy pokażesz to swoim sikorkom, ale ja zrobiłbym to, gdyby były moimi córkami.

Pięć minut później Marcy siedziała na kanapie, między Sarah a Grace. Patrzyły na ekran minitableta Sarah. Komputer stacjonarny Terry'ego albo jeden z laptopów nadawałyby się lepiej, ale zabrała je policja. Jak się okazało, tablet wystarczył. Wkrótce śmiały się wszystkie trzy, krzyczały z radości i przybijały sobie piątki.

To coś więcej niż światełko na końcu tunelu, pomyślała Marcy. To cała cholerna tęcza!

10

Bach-bach-bach.

Merl Cassidy zrazu myślał, że słyszy to we śnie, jednym z tych koszmarów, w których ojczym szykował się, żeby spuścić mu manto. Łysy bydlak miał taki specyficzny sposób stukania w stół kuchenny, najpierw knykciami, potem całą pięścią, kiedy zadawał pytania poprzedzające wieczorne lanie: Gdzie byłeś? Po co nosisz ten zegarek, skoro zawsze się spóźniasz na kolację? Dlaczego nigdy nie pomagasz matce? Po cholerę przynosisz te książki do domu, skoro i tak nie odrabiasz lekcji? Matka czasem go broniła, ale to nic nie dawało. Kiedy próbowała interweniować, odpychał ją. A potem pięść, która coraz mocniej uderzała w stół, zaczynała bić jego.

Bach-bach-bach.

Merl otworzył oczy, żeby uciec od tego snu. Miał krótką chwilę na to, by docenić ironię sytuacji: był prawie dwa i pół tysiąca kilometrów od tego zasranego sadysty… a mimo to wystarczyła jedna przespana noc, żeby znów go zobaczył. Nie żeby przespał całą noc; odkąd uciekł z domu, rzadko mu się to udawało.

Bach-bach-bach.

Glina stukał pałką w okno. Cierpliwie. Teraz wolną ręką pokazywał gest odkręcania szyby.

W pierwszej chwili Merl nie miał pojęcia, gdzie jest, kiedy jednak spojrzał przez przednią szybę na hipermarket górujący nad prawie pustym, ciągnącym się przez dobre półtora kilometra parkingiem, kawałki układanki wskoczyły na swoje miejsce. El Paso. Był w El Paso. W buicku, którym jechał, kończyło się paliwo, a jemu kończyły się pieniądze. Zatrzymał się pod Walmartem, żeby kilka godzin się

przespać. Liczył, że rano wpadnie na pomysł, co robić dalej. Tyle że teraz wyglądało na to, że żadnego dalej nie będzie.

Bach-bach-bach.

Opuścił szybę.

– Dzień dobry, panie władzo. Jechałem do późna i zatrzymałem się na krótką drzemkę. Myślałem, że tu można. Jeśli nie, przepraszam.

– Mhm, właściwie to godne pochwały. – Kiedy glina się uśmiechnął, w Merlu na chwilę odżyła nadzieja. To był przyjazny uśmiech. – Wielu kierowców tak robi. Tyle tylko, że większość z nich nie wygląda na czternastolatków.

– Mam osiemnaście lat. Jestem drobny jak na swój wiek. – Czuł ogromne zmęczenie, które nie miało nic wspólnego z brakiem snu w ostatnich tygodniach.

– Mhm, a mnie wszyscy biorą za Toma Hanksa. Niektórzy nawet proszą o autograf. Pokaż no prawo jazdy i dowód rejestracyjny.

Jeszcze jeden wysiłek, słaby jak ostatnie drgnienie stopy umierającego.

– Zostały w mojej kurtce. Ukradli mi ją, kiedy byłem w ubikacji. W McDonaldzie.

– Mhm, jasne. A skąd jesteś?

– Z Phoenix – powiedział Merl bez przekonania.

– Hm, to dlaczego ten twój krążownik ma rejestrację z Oklahomy?

Merl milczał. Wyczerpał mu się zasób odpowiedzi.

– Wysiadaj, synu. I trzymaj ręce na widoku, choć wyglądasz nie groźniej niż żółty psiak srający na deszczu.

Merl wysiadł z auta bez większego żalu. Każda dobra passa kiedyś musi się skończyć. Dobra passa? Mało powiedziane: kiedy o tym pomyśleć, wiodło mu się nadzwyczajnie. Odkąd uciekł z domu pod koniec kwietnia, tuzin razy powinni go byli złapać, a nie złapali. I co z tego, że w końcu wpadł? Dokąd właściwie jechał? Donikąd. Byle gdzie. Jak najdalej od łysego bydlaka.

– Jak się nazywasz, mały?

– Merl Cassidy. Merl to zdrobnienie od Merlin.

Kilku wczesnych klientów spojrzało na nich, po czym poszli podziwiać cuda dostępne całą dobę w Walmarcie.

– Jak ten czarodziej, mhm, jasne. Masz jakikolwiek dokument, Merl?

Merl sięgnął do tylnej kieszeni i wyjął tani portfel obszyty przetartym rzemieniem z koźlej skóry, prezent od matki na jego ósme urodziny. Wtedy byli tylko we dwoje i świat wydawał się w pewnym stopniu zrozumiały. W portfelu miał banknot pięciodolarowy i dwa jednodolarowe. Z przegródki, w której trzymał kilka zdjęć mamy, wyjął laminowaną kartę ze swoją fotografią.

– Duszpasterstwo młodych w Poughkeepsie – zadumał się glina. – Jesteś z Nowego Jorku?

– Tak, proszę pana. – Ojczym nauczył go biciem, że tak ma się zwracać do starszych.

– Mieszkasz w Poughkeepsie?

– Nie, proszę pana, ale niedaleko. W małym mieście o nazwie Spuytenkill. To znaczy „tryskające jezioro". Tak przynajmniej powiedziała mi mama.

– Mhm, jasne. Ciekawe, człowiek codziennie się czegoś uczy. Jak długo jesteś na gigancie, Merl?

– Będzie jakieś trzy miesiące.

– A kto cię nauczył prowadzić?

– Wujo Dave. Głównie w polu. Jestem dobrym kierowcą. Czy skrzynia biegów jest ręczna, czy automatyczna, mnie to bez różnicy. Wujo Dave dostał ataku serca i umarł.

Glina stukał laminowaną kartą w paznokieć kciuka, tym razem nie *bach-bach-bach*, tylko *puk-puk-puk*. Merl nawet go lubił. Przynajmniej na razie.

– Dobrym kierowcą, mhm, rzeczywiście, skoro dojechałeś z Nowego Jorku aż na to zakurzone przygraniczne zadupie. Ile samochodów po drodze ukradłeś, Merl?

– Trzy. Nie, cztery. Ten jest czwarty. Pierwszym był van. Sąsiada z mojej ulicy.

– Cztery – powtórzył glina, wpatrzony w brudne dziecko stojące przed nim. – A jak sfinansowałeś swoje południowe safari, Merl?

– Hę?

– Co jadłeś? Gdzie spałeś?

– Spałem przeważnie w tym, czym jechałem. I kradłem. – Merl zwiesił głowę. – Głównie kobietom z torebek. Nie zawsze zauważały, ale jeśli tak… szybko biegam. – Popłynęły łzy. Płakał całkiem często podczas swojego, jak nazwał to glina, południowego safari, szczególnie nocą, ale tamte łzy nie przynosiły prawdziwej ulgi. Te tak. Nie wiedział dlaczego; i nie obchodziło go to.

– Trzy miesiące, cztery samochody – powiedział glina. Kościelna legitymacja Merla robiła *puk-puk-puk*. – Od czego uciekałeś, mały?

– Od ojczyma. I jeśli mnie odeślecie do tego sukinsyna, przy pierwszej okazji znów ucieknę.

– Mhm, rozumiem. A ile naprawdę masz lat, Merl?

– Dwanaście, ale za miesiąc kończę trzynaście.

– Dwanaście. A niech mnie dunder świśnie i w kółko zakręci. Chodź ze mną, Merl. Pomyślimy, co z tobą zrobić.

Na komisariacie przy Harrison Avenue, zanim przyjechał ktoś ze służb socjalnych, Merla Cassidy'ego sfotografowano i odwszawiono, a następnie pobrano mu odciski palców. Linie papilarne trafiły do systemu. Takie było rutynowe postępowanie.

11

Kiedy Ralph wszedł do znacznie mniejszego komisariatu we Flint City, pragnąc się skontaktować z Deborah Grant, zanim pojedzie jednym z radiowozów do Cap City, w środku zastał Billa Samuelsa. Wyglądał, jakby był chory. Nawet kogut upodabniający go do Alfalfy oklapł.

– Co się stało? – spytał Ralph. W domyśle: Co jeszcze się stało?

– Dostałem wiadomość od Aleca Pelleya. Z linkiem.

Rozpiął teczkę, wyjął iPad (ten duży, oczywiście, Pro) i włączył go. Stuknął parę razy w ekran, po czym podał tablet Ralphowi. Esemes od Pelleya był treści: „Jesteś pewien, że chcesz dalej ciągnąć postępowanie przeciwko T. Maitlandowi? Najpierw obejrzyj to". U dołu był link. Ralph stuknął w niego palcem.

Wyskoczyła strona internetowa Channel 81: „Najważniejsze źródło lokalnych wiadomości w Cap City!". Pod nagłówkiem były materiały wideo z posiedzeń rady miejskiej i otwarcia mostu po remoncie, instrukcja pod tytułem *Twoja biblioteka i jak z niej korzystać* oraz nagranie podpisane: *Nowi mieszkańcy zoo w Cap City*. Ralph spojrzał pytająco na Samuelsa.

– Zjedź niżej.

Zrobił to i znalazł materiał zatytułowany *Spotkanie Harlana Cobena z nauczycielami angielskiego*. Ikona „play" nakładała się na kobietę w okularach, z włosami tak sztywnymi od lakieru, że pewnie nie poczułaby, gdyby odbić od nich piłkę do koszykówki. Stała na mównicy. Za nią widniało logo Sheraton Hotels.

Ralph przełączył wideo na pełny ekran. Z głośniczka rozległ się głos: „Dzień dobry państwu! Witam wszystkich! Nazywam się

Josephine McDermott, jestem tegoroczną przewodniczącą Międzystanowego Koła Nauczycieli Angielskiego. Tak bardzo się cieszę, że mogę tu być i oficjalnie powitać państwa na naszym corocznym spotkaniu pokrewnych dusz, połączonym z konsumpcją napojów wyskokowych". Ostatnie słowa wywołały szmer uprzejmego śmiechu. „Frekwencja w tym roku wyjątkowo dopisała i choć chciałabym wierzyć, że stało się tak dzięki mojemu urokowi osobistemu (znów uprzejmy śmiech), sądzę, że większy wpływ na to ma zaproszony przez nas niezwykły gość…"

– Maitland miał rację co do jednego – powiedział Samuels. – Baba ględzi i ględzi. Wymienia praktycznie wszystkie książki, które facet napisał. Przewiń do dziewiątej minuty i trzydziestej sekundy. Wtedy kończy.

Ralph przesunął palcem po liczniku u dołu ekranu, teraz już pewien, co zobaczy. Nie chciał tego zobaczyć, a zarazem nie mógł się powstrzymać. Fascynacja była niezaprzeczalna.

„Panie i panowie, powitajmy ciepło naszego znamienitego gościa, pana Harlana Cobena!" Zza kulisy wyszedł łysy jegomość, tak wysoki, że kiedy schylił się, żeby uścisnąć dłoń pani McDermott, wyglądał, jakby witał się z dzieckiem przebranym za dorosłą kobietę. Channel 81 uznał to spotkanie za wydarzenie dość ważne, by szarpnąć się na dwie kamery, i w tej chwili obraz przeskoczył na publiczność, która zgotowała Cobenowi owację na stojąco. Przy stoliku na przedzie sali siedzieli trzej mężczyźni i kobieta. Ralph poczuł, że żołądek gwałtownie zjeżdża mu do pięt. Stuknął palcem w wideo, zatrzymując kadr.

– Chryste… To on. Terry Maitland. Z Roundhillem, Quade'em i Grant.

– Przy dowodach, jakie mamy, nie bardzo rozumiem, jak to możliwe, ale rzeczywiście, gość jest łudząco do niego podobny.

– Bill… – Ralphowi na chwilę odjęło mowę. Był zupełnie osłupiały. – Bill, ten człowiek trenował mojego syna. To nie jest ktoś do niego podobny, to jest on.

– Coben przemawia przez jakieś czterdzieści minut. Głównie pokazują jego, ale od czasu do czasu robią przebitki na publiczność śmiejącą się z jego żartów… jest dowcipny, to mu przyznam… albo

słuchającą w skupieniu. Maitland, o ile to on, jest w większości tych kadrów. Ale prawdziwy gwóźdź do trumny to pięćdziesiąta szósta minuta. Przewiń.

Ralph na wszelki wypadek przewinął do pięćdziesiątej czwartej minuty. Coben odpowiadał na pytania z sali: „W moich książkach nigdy nie używam wulgaryzmów dla nich samych. W pewnych okolicznościach jednak ich zastosowanie wydaje się całkowicie uzasadnione. Człowiek, który walnie się młotkiem w kciuk, raczej nie powie: *Och, do diaska* (śmiech na sali). Mam czas odpowiedzieć na jeszcze jedno, może dwa pytania. Może teraz pan?".

Kamera przeniosła się z pisarza na człowieka zadającego następne pytanie. Był to Terry Maitland – na wielkim zbliżeniu. Resztki nadziei Ralpha na to, że mają do czynienia z sobowtórem, jak sugerowała Jeannie, ulotniły się bez śladu. „Czy zasiadając do pisania, wie pan, kto zabił, panie Coben, czy czasem nawet dla pana jest to niespodzianką?". Kamera wróciła na Cobena, który uśmiechnął się i odparł: „Bardzo dobre pytanie". Zanim zdołał udzielić na nie bardzo dobrej odpowiedzi, Ralph cofnął nagranie do chwili, gdy Terry wstał, żeby zadać pytanie. Patrzył na zatrzymany kadr przez dwadzieścia sekund, po czym oddał iPad prokuratorowi okręgowemu.

– Puf – sapnął Samuels. – Nasza wersja rozbita w puch i pył.

– Nie mamy jeszcze wyników badań DNA – powiedział Ralph, a raczej usłyszał samego siebie mówiącego te słowa. Czuł się oderwany od swojego ciała. Pomyślał, że tak pewnie czuje się bokser na chwilę przed przerwaniem walki przez sędziego. – Muszę porozmawiać z Deborah Grant. Potem pojadę do Cap City zająć się klasyczną pracą śledczą. Ruszę tyłek i popukam do drzwi, jak to się mówi. Porozmawiam z ludźmi z hotelu i Firepit, gdzie jedli kolację. – Pomyślał o Jeannie. – I zobaczę, czy nie zostały jakieś ślady.

– Wiesz, że to mało prawdopodobne w wielkomiejskim hotelu prawie tydzień po fakcie?

– Wiem.

– A restauracja pewnie nawet nie będzie czynna. – Samuels mówił tonem dziecka, które przewrócone na chodnik przez większego od siebie łobuziaka, obtarło sobie kolano. Ralph zaczynał dochodzić

do wniosku, że nie przepada za tym facetem. Coraz wyraźniej widać było, że brak mu woli walki.

– Możliwe, że serwują brunch.

Samuels pokręcił głową, wciąż wpatrzony w kadr pokazujący Terry'ego Maitlanda.

– Nawet jeśli DNA będzie zgodne… w co zaczynam wątpić… pracujesz w tym zawodzie dość długo, żeby wiedzieć, że przysięgli rzadko uznają winę na podstawie DNA i odcisków palców. Doskonałym przykładem jest proces O.J. Simpsona.

– Naoczni świadkowie…

– Gold zniszczy ich podczas przesłuchania. Stanhope? Stara i półślepa. „Czy nie jest prawdą, że przed trzema laty oddała pani swoje prawo jazdy, pani Stanhope?". June Morris? Dziecko, które widziało zakrwawionego mężczyznę po drugiej stronie ulicy. Scowcroft pił, jego kumpel też. Claude Bolton ma wyroki za narkotyki. Najlepszym świadkiem jest Willow Rainwater, ale mam dla ciebie nowinę, kolego, w tym stanie ludzie wciąż nie przepadają za Indianami. Niezbyt im ufają.

– Weszliśmy w to zbyt głęboko, żeby się wycofać – zauważył Ralph.

– Taka jest parszywa prawda.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Drzwi gabinetu Ralpha stały otwarte, sala ogólna komisariatu była prawie pusta, jak zwykle w niedzielne poranki w tym małym mieście na Południowym Zachodzie. Ralph zastanawiał się, czy nie powiedzieć Samuelsowi, że to wideo odwróciło ich uwagę od sprawy najważniejszej: zamordowano dziecko, a oni, jak wynikało ze wszystkich zebranych dowodów, schwytali sprawcę. Fakt, że Maitland w czasie zabójstwa był, przynajmniej na pozór, sto dziesięć kilometrów od miejsca zbrodni, stanowił problem, który musieli przeanalizować i rozwiązać. I nie zaznają spokoju, dopóki tego nie zrobią.

– Pojedź ze mną do Cap City, jeśli chcesz.

– Nic z tego – odparł Samuels. – Zabieram byłą żonę i dzieci nad jezioro Ocoma. Zrobimy sobie piknik. Nareszcie zakopaliśmy topór wojenny i nie chcę narażać tego na szwank.

– Jasne. – Ralph tak naprawdę zaproponował to bez większego przekonania. Chciał być sam. Pragnął w spokoju spróbować objąć

umysłem to, co wydawało się takie proste, a z czego teraz zrobił się wielki pasztet.

Wstał. Bill Samuels schował iPad z powrotem do teczki i stanął obok kolegi.

– Myślę, że obaj możemy przez to stracić pracę. A jeśli Maitland wyjdzie na wolność, złoży pozew. Wiesz o tym.

– Jedź na ten swój piknik. Zjedz kilka kanapek. To jeszcze nie koniec.

Samuels wyszedł z gabinetu pierwszy; coś w jego ruchach – zwieszone ramiona, teczka uderzająca smętnie o kolano – rozwścieczyło Ralpha.

– Bill?

Samuels się odwrócił.

– Dziecko z tego miasta zostało brutalnie zgwałcone. Chwilę przedtem albo potem sprawca być może zagryzł je na śmierć. Ciągle nie mieści mi się to w głowie. Wiesz, gdzie jego rodzice mają to, czy stracimy pracę i czy miasto zostanie pozwane? Zgadnij.

Bill nie odpowiedział.

Przemierzył opustoszały komisariat i wyszedł na poranne słońce. Zapowiadał się idealny dzień na piknik, ale Ralph nie przewidywał, żeby prokurator okręgowy miał się nim szczególnie nacieszyć.

12

Fred i Ollie przyjechali na SOR Szpitala Miłosierdzia krótko przed tym, kiedy sobotnia noc przeszła w niedzielny poranek, nie więcej niż trzy minuty po karetce wiozącej Arlene Peterson. O tej porze wielka poczekalnia wypełniona była posiniaczonymi i krwawiącymi, pijanymi i narzekającymi, zapłakanymi i kaszlącymi. Jak większość szpitalnych oddziałów ratunkowych, także i ten miał ogrom pracy w sobotnie wieczory, ale o dziewiątej rano w niedzielę był już niemal pusty. Mężczyzna przyciskał do krwawiącej dłoni prowizoryczny opatrunek. Kobieta trzymała na kolanach gorączkujące dziecko, oboje oglądali harce Elma w telewizorze przymocowanym do ściany wysoko w kącie. Nastolatka o kędzierzawych włosach siedziała z głową odchyloną do tyłu, zamkniętymi oczami i dłońmi przyciśniętymi do brzucha.

No i byli jeszcze oni. Niedobitki rodziny Petersonów. Fred koło szóstej zamknął oczy i zapadł w sen, ale Ollie wciąż patrzył na windę, w której zniknęła jego matka, przekonany, że jeśli zaśnie, ona umrze. „Jednej godziny nie mogłeś ze mną czuwać?”, zapytał Piotra Jezus – i to było doskonałe pytanie, pytanie, na które nie ma odpowiedzi.

Dziesięć po dziewiątej drzwi się rozsunęły i z windy wyszedł lekarz, z którym rozmawiali zaraz po przyjeździe. Miał na sobie niebieski strój chirurgiczny i przepocony niebieski czepek ozdobiony tańczącymi czerwonymi sercami. Wyglądał na bardzo zmęczonego. Kiedy ich zobaczył, odwrócił się w bok, jakby pragnął się wycofać. Ten bezwarunkowy odruch powiedział Olliemu wszystko. Chętnie pozwoliłby ojcu przespać tę pierwszą salwę złych nowin, ale to

byłoby nie w porządku. W końcu tata znał i kochał mamę, kiedy jego jeszcze nie było na świecie.

– Hm – chrząknął Fred i usiadł prosto, kiedy Ollie potrząsnął jego ramieniem. – Co?

Zobaczył lekarza, który zdjął czepek, odsłaniając strzechę spoconych brązowych włosów.

– Panowie, muszę was z przykrością zawiadomić, że pani Peterson odeszła. Robiliśmy wszystko, co w naszej mocy, żeby ją uratować, i początkowo wyglądało na to, że się uda, ale uszkodzenia ostatecznie okazały się zbyt rozległe. Jeszcze raz: bardzo, bardzo mi przykro.

Fred chwilę patrzył na niego z niedowierzaniem, po czym z jego gardła wydarł się krzyk. Dziewczyna z kędzierzawymi włosami otworzyła oczy i spojrzała na niego. Gorączkujący malec się wzdrygnął.

Przykro, pomyślał Ollie. Słowo dnia. W zeszłym tygodniu byliśmy rodziną, teraz zostaliśmy tylko ja i tata. Przykro, rzeczywiście. Lepiej nie da się tego określić.

Fred łkał z twarzą schowaną w dłoniach. Ollie wziął go w ramiona i przytulił.

13

Po lunchu, podczas którego ona i córki tylko dłubały w talerzach, Marcy poszła do sypialni obejrzeć część szafy zajętą przez Terry'ego. Był jej drugą połową, ale na jego ubrania wystarczyło ćwierć dostępnego miejsca. Terry był nauczycielem angielskiego, trenerem bejsbolu i futbolu, organizatorem zbiórek funduszy, kiedy zachodziła taka potrzeba – czyli prawie bez przerwy – oraz mężem i ojcem. Na każdym z tych pól dobrze sobie radził, ale płacili mu tylko za pracę w szkole, nie zgromadził więc zbyt bogatej kolekcji wyjściowych ciuchów. Najlepiej wyglądał niebieski garnitur – podkreślał kolor jego oczu, ale był nieco znoszony i nikt, kto choć trochę się znał na męskiej modzie, nie wziąłby go za strój od Brioniego. Kupiony w Men's Wearhouse, miał cztery lata. Westchnęła, zdjęła go z wieszaka, dorzuciła białą koszulę i ciemnoniebieski krawat. Chowała cały zestaw do pokrowca na garnitur, kiedy zabrzęczał dzwonek u drzwi.

To był Howie, odstawiony w ciuchy dużo porządniejsze od tych, które Marcy właśnie zapakowała. Przelotnie uściskał dziewczynki i cmoknął Marcy w policzek.

– Przywiezie pan mojego tatusia do domu? – zapytała Gracie.

– Nie dzisiaj, ale niebawem – powiedział, biorąc pokrowiec z garniturem. – A buty, Marcy?

– O Boże… Fujara ze mnie.

Czarne wyglądały nie najgorzej, ale przydałoby się je wypastować. Nie było jednak na to czasu. Włożyła je do siatki i wróciła do salonu.

– Dobrze, jestem gotowa.

– W porządku. Idź żwawo i nie zwracaj uwagi na te sępy. Dziewczynki, nie otwierajcie nikomu, dopóki mama nie wróci, i nie odbierajcie telefonu, chyba że rozpoznacie numer. Rozumiemy się?

– Poradzimy sobie – powiedziała Sarah, choć wyglądała nietęgo. Jak one wszystkie. Marcy była ciekawa, czy dziewczynka w tym wieku może w jedną noc stracić na wadze. Nie, to chyba niemożliwe.

– No to idziemy. – Howie tryskał entuzjazmem i wesołością.

Wyszli. On niósł garnitur, Marcy buty. Reporterzy znów obstąpili skraj trawnika. Pani Maitland, czy rozmawiała pani z mężem? Co powiedziała policja? Panie Gold, czy Terry Maitland odniósł się do postawionych mu zarzutów? Czy wniesiecie o zwolnienie za kaucją?

– Nie mamy w tej chwili nic do powiedzenia – uciął Howie z kamienną twarzą, prowadząc Marcy do swojego wozu w blasku telewizyjnych reflektorów (raczej niepotrzebnych w ten pogodny, lipcowy dzień, pomyślała).

U wylotu podjazdu opuścił szybę i wychylił się, żeby porozmawiać z jednym z dwóch policjantów czuwających przed domem.

– Córki Maitlanda są w środku – poinformował. – Waszym obowiązkiem jest pilnować, żeby nikt im się nie naprzykrzał, prawda?

Żaden nie odpowiedział, spojrzeli tylko na Howiego z minami, które były beznamiętne albo wrogie – Marcy nie mogła mieć pewności, ale skłaniała się ku tej drugiej wersji.

Radość i ulga, które poczuła po obejrzeniu tego wideo – Boże, błogosław Channel 81 – nie opuściły jej, ale przed jej domem wciąż stały wozy transmisyjne i reporterzy wymachujący mikrofonami. Terry nadal był „pod celą", jak to ujął Howie – cóż to było za okropne wyrażenie, rodem z przepojonej samotnością piosenki country. Obcy ludzie przeszukali ich dom i zabrali wszystko, co chcieli. Najgorsze jednak były puste twarze policjantów i ich brak reakcji, niepokoiły znacznie bardziej niż reflektory telewizyjne i wykrzykiwane pytania. Jej rodzina wpadła w tryby potężnej machiny. Howie zapewnił, że wydostaną się z niej bez szwanku, ale jeszcze tak się nie stało.

Nie, jeszcze nie.

14

Strażniczka o sennych oczach szybko przeszukała Marcy, po czym kazała jej włożyć torebkę do plastikowego koszyka i przejść przez wykrywacz metalu. Zabrała prawo jazdy jej i Howiego, schowała je do przezroczystego woreczka i przypięła go do tablicy ogłoszeń razem z wieloma innymi.

– Garnitur i buty też poproszę.

Marcy je oddała.

– Kiedy rano po niego przyjdę, ma być w tym garniturze i wyglądać elegancko – zastrzegł Howie i przeszedł przez wykrywacz metalu.

Bramka zapiszczała.

– Przekażemy jego lokajowi – powiedział strażnik po drugiej stronie wykrywacza. – A teraz niech pan wyjmie wszystko, co zostało panu w kieszeniach, i spróbuje jeszcze raz.

Winowajcą okazało się kółko z kluczami. Howie oddał je strażniczce i znów przeszedł przez wykrywacz.

– Byłem tu co najmniej pięć tysięcy razy, a zawsze zapominam o kluczach – powiedział do Marcy. – Freudowskie przeoczenie czy coś.

Tylko się uśmiechnęła nerwowo. Zaschło jej w gardle i była przekonana, że jeśli spróbuje coś powiedzieć, okaże się, że ochrypła.

Następny strażnik przeprowadził ich przez jedne, a potem przez drugie drzwi. Marcy usłyszała śmiech dzieci i gwar rozmów dorosłych. Przeszli przez salę widzeń wyłożoną brązową wykładziną przemysłową. Dzieci się bawiły; aresztanci w brązowych kombinezonach rozmawiali z żonami, dziewczynami, matkami. Potężny mężczyzna z fioletowym znamieniem ściekającym po jednym

policzku i gojącym się rozcięciem na drugim pomagał córeczce robić przemeblowanie w domku dla lalek.

To tylko sen, pomyślała Marcy. Niezwykle żywy sen. Obudzę się u boku Terry'ego i powiem mu, że miałam koszmar, w którym został aresztowany za morderstwo. Będziemy się z tego śmiali.

Jeden z osadzonych wskazał ją palcem, zupełnie się z tym nie kryjąc. Kobieta obok niego wybałuszyła oczy, po czym szepnęła coś innej kobiecie. Prowadzący ich strażnik chyba miał jakieś kłopoty z kartą otwierającą drzwi na drugim końcu sali widzeń – Marcy jednak nie mogła się oprzeć wrażeniu, że rozmyślnie zwleka. Zanim zamek szczęknął i drzwi się otworzyły, patrzyła na nich już cała sala. Nawet dzieci.

Po drugiej stronie był korytarz z małymi kabinami przedzielonymi na dwie części czymś, co wyglądało jak matowe szkło. W jednej z nich siedział Terry. Marcy popłakała się na widok męża tonącego w brązowym kombinezonie, który był na niego zdecydowanie za duży. Weszła do kabiny i spojrzała na niego przez, jak się okazało, nie szkło, lecz grubą płytę z pleksiglasu. Przyłożyła do niej dłoń z rozczapierzonymi palcami, on zrobił to samo z drugiej strony. Rozmawiało się przez krąg małych dziurek jak w słuchawce starego telefonu.

– Nie płacz, kochanie, bo i mnie się udzieli. I usiądź.

Usiadła; Howie wsunął się na ławkę obok niej.

– Jak się mają dziewczynki?

– Dobrze. Martwią się o ciebie, ale dziś już z nimi lepiej. Mamy doskonałą wiadomość. Kochanie, wiedziałeś, że lokalna telewizja nagrywała spotkanie z Cobenem?

Terry przez chwilę tylko patrzył okrągłymi oczami. Potem zaczął się śmiać.

– Wiesz co, zdaje się, że kobieta, która go przedstawiała, mówiła coś na ten temat, ale tak przynudzała, że słuchałem jej jednym uchem. Jasny gwint.

– Jasny gwint, rzeczywiście – powiedział Howie z uśmiechem.

Terry wychylił się do przodu, aż jego czoło prawie dotknęło przegrody. Oczy miał błyszczące, skupione.

– Marcy… Howie… na spotkaniu zadałem Cobenowi pytanie. Wiem, że szanse są nikłe, ale może słychać to na tym nagraniu. Jeśli tak, mogliby przepuścić to przez system rozpoznawania głosu czy coś i przekonaliby się, że to byłem ja!

Marcy i Howie spojrzeli na siebie i wybuchnęli śmiechem. To był rzadki dźwięk w sali widzeń o zaostrzonym rygorze – strażnik na końcu krótkiego korytarza poderwał głowę, marszcząc brwi.

– No co? Powiedziałem coś nie tak?

– Terry, sfilmowali cię, kiedy zadawałeś to pytanie – powiedziała Marcy. – Rozumiesz? Jesteś nagrany na wideo.

Terry przez chwilę jakby nie rozumiał. Wreszcie podniósł zaciśnięte pięści i triumfalnie potrząsnął nimi na wysokości skroni. Marcy nieraz widziała, jak tak robił, kiedy jedna z jego drużyn zdobywała punkty albo przeprowadzała udaną akcję obronną. Niewiele myśląc, podniosła ręce i powtórzyła jego gest.

– Jesteście pewni? Na sto procent? To się wydaje zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

– Jest prawdziwe – zapewnił Howie, wciąż z szerokim uśmiechem. – Ściśle mówiąc, pojawiasz się na tym nagraniu pół tuzina razy, kiedy obraz przeskakuje z Cobena na roześmianą lub klaszczącą publiczność. Pytanie, które zadałeś, to ostatni, nokautujący cios, wisienka na torcie.

– Czyli sprawa zamknięta, zgadza się? Jutro wychodzę?

– Nie tak szybko. – Uśmiech Howiego przygasł, stał się dość ponury. – Jutro tylko postawią cię w stan oskarżenia, a mają całą masę śladów kryminalistycznych, z których są bardzo dumni…

– Jak mogą? – wybuchnęła Marcy. – Jak mogą, skoro to oczywiste, że Terry był gdzie indziej? Nagranie jest tego dowodem!

Howie podniósł rękę w uciszającym geście.

– Tą sprzecznością będziemy się martwić później, chociaż już teraz mogę wam powiedzieć, że to, co mamy, przebija to, co mają oni. Swobodnie. Jednak machina już poszła w ruch.

– Machina – powtórzyła Marcy. – Tak. Coś o niej wiemy, prawda, Ter?

Terry skinął głową.

– Zupełnie jakbym znalazł się w powieści Kafki. Albo w *Roku 1984*. I jakbym wciągnął w to ciebie, dziewczynki…

– Hola, hola – zawołał Howie. – Nikogo w nic nie wciągnąłeś, zrobili to oni. Wszystko się ułoży, mówię wam. Wujek Howie daje słowo, a wujek Howie zawsze dotrzymuje obietnic. Terry, jutro o dziewiątej zostaniesz postawiony w stan oskarżenia przez sędziego Hortona. Będziesz wyglądał porządnie i elegancko w ładnym garniturze, który przyniosła twoja żona, a który teraz wisi w schowku na rzeczy osadzonych. Zamierzam się spotkać z Billem Samuelsem, żeby uzgodnić wysokość kaucji, dzisiaj, jeśli się zgodzi, jutro, jeśli nie. Nie będzie zadowolony i zażąda aresztu domowego, ale postawimy na swoim, bo do tego czasu ktoś z mediów zobaczy nagranie Channel 81 i opinia publiczna się dowie, że prokuratura ma problem. Domyślam się, że będziecie musieli zastawić dom, żeby zdobyć środki na kaucję, ale ryzyko powinno być niewielkie, chyba że planujesz zerwać nadajnik dozoru elektronicznego i uciec w siną dal.

– Nigdzie się nie wybieram – powiedział Terry ponuro. Krew napłynęła mu do twarzy. – Jak to ujął jakiś generał z czasów wojny secesyjnej? „Będę walczył na tym odcinku, choćby miało to trwać całe lato”.

– No dobrze, jaka więc będzie następna bitwa? – spytała Marcy.

– Wytłumaczę prokuratorowi okręgowemu, że wniesienie oskarżenia przed wielką ławę przysięgłych to zły pomysł – odparł Howie. – Ten argument przeważy. Wtedy wyjdziesz na wolność.

Czy rzeczywiście będzie wolny? – pomyślała Marcy. Czy my będziemy wolni? Skoro twierdzą, że mają jego odciski palców i świadków, którzy widzieli, jak uprowadził tego chłopca, a potem wyszedł z Figgis Park zalany krwią? Czy w ogóle będziemy wolni, dopóki nie schwytają prawdziwego mordercy?

– Marcy. – Terry uśmiechał się do niej. – Spokojnie. Wiesz, co mówię chłopcom: najpierw pierwsza baza, potem myśl o drugiej.

– Chcę cię o coś zapytać – odezwał się Howie. – To strzał w ciemno.

– Wal.

– Twierdzą, że znaleźli masę śladów kryminalistycznych, chociaż nie dostali jeszcze wyników badań DNA…

– Nie ma szans, żeby okazało się moje. To nie jest możliwe.

– To samo powiedziałbym o odciskach palców.

– Może ktoś go wrobił – palnęła Marcy. – Wiem, to brzmi jak teoria spiskowa, ale… – Wzruszyła ramionami.

– Tylko po co go wrabiać? – spytał Howie. – Oto jest pytanie. Przychodzi wam na myśl ktoś, kto zadałby sobie tyle trudu?

Maitlandowie myśleli chwilę, jedno po jednej, drugie po drugiej stronie poobcieranego pleksiglasu, po czym zgodnie pokręcili głowami.

– Mnie też nie. Życie rzadko przypomina powieści Roberta Ludluma, jeśli w ogóle. Mimo to mają dowody na tyle mocne, że zdecydowali się na szybkie aresztowanie, którego teraz na pewno żałują. Obawiam się, że nawet jeśli zdołam cię wyciągnąć z trybów tej machiny, jej cień nadal będzie na ciebie padał.

– Myślałem o tym prawie całą noc – przyznał Terry.

– Ja nadal o tym myślę – dorzuciła Marcy.

Howie wychylił się do przodu ze splecionymi dłońmi.

– Przydałoby się, żebyśmy mieli dowody fizyczne równie mocne jak te, które mają oni. Nagranie z Channel 81 jest dobre i razem z zeznaniami twoich współpracowników powinno wystarczyć, ale jestem pazerny. Chcę więcej.

– Dowody fizyczne z jednego z najpopularniejszych hoteli w Cap City cztery dni po fakcie? – spytała Marcy, nieświadoma, że powtarza wyrażone niedługo wcześniej wątpliwości Billa Samuelsa. – Mało prawdopodobne.

Jej mąż patrzył przed siebie ze ściągniętymi brwiami.

– Niekoniecznie.

– Terry? – spytał Howie. – Co ci przyszło do głowy?

Spojrzał na nich z uśmiechem.

– Być może jest coś takiego. Tak, to całkiem możliwe.

15

W Firepit rzeczywiście serwowali brunch, więc to tam Ralph poszedł najpierw. Na tej zmianie pracowały dwie osoby z obsługi, które były w restauracji wieczorem w dniu zabójstwa: hostessa i ostrzyżony na jeża kelner, z wyglądu tak młody, że pewnie od niedawna mógł legalnie kupować piwo. Hostessa nie potrafiła pomóc („Tamtego wieczoru mieliśmy tu tłum ludzi, panie detektywie"), a kelner, choć pamiętał, że obsługiwał dużą grupę nauczycieli, odpowiedział wymijająco, kiedy Ralph pokazał mu zdjęcie Terry'ego w zeszłorocznej szkolnej księdze pamiątkowej. Owszem, „tak jakby" przypominał sobie podobnego faceta, ale nie mógł przysiąc, że to ten sam, co na fotografii. Nie był nawet pewien, czy rzeczywiście był razem z tą grupą nauczycieli.

– Możliwe, że po prostu podałem mu pikantne skrzydełka przy barze.

I tyle.

W Sheratonie Ralphowi z początku powiodło się nie lepiej. Zdołał potwierdzić, że Maitland i William Quade spędzili wtorkową noc w pokoju 644; kierownik hotelu pokazał mu rachunek, na którym widniał podpis Quade'a. Zapłacił kartą MasterCard. Kierownik powiedział też, że pokój 644 był zajęty każdego dnia od wyjazdu Maitlanda i Quade'a i co rano sprzątany.

– Oferujemy też serwis wieczorny – dodał, jakby tego było mało. – To znaczy, że prawie codziennie w pokoju sprzątano dwa razy.

Tak, detektyw Anderson oczywiście mógł obejrzeć materiały z monitoringu; Ralph to zrobił, nie zgłaszając pretensji o ich wcześniejsze udostępnienie Alecowi Pelleyowi (nie był policjantem

z Cap City, więc dyplomacja musiała iść w parze z odwagą). Nagrania były wyraźne, w kolorze – Sheraton w Cap City mógł sobie pozwolić na sprzęt lepszy niż przestarzałe kamery z Zoney's Go-Martu. Zobaczył mężczyznę, który wyglądał jak Terry, w holu hotelowym, w sklepie z pamiątkami, ćwiczącego w środę rano w hotelowej siłowni i czekającego w kolejce po autograf przed salą balową. Materiały z hotelowego holu i sklepu z pamiątkami były takie sobie, ale nie mogło być większych wątpliwości – przynajmniej w jego przekonaniu – że człowiekiem, który płacił za korzystanie ze sprzętu do ćwiczeń, i tym, który czekał w kolejce po autograf, był dawny trener jego syna. Ten sam, który nauczył Dereka grać skróty, co zmieniło jego ksywkę ze Swiffera na Puknij To.

W duchu Ralph słyszał głos żony mówiący mu, że ślady kryminalistyczne z Cap City to brakujący element układanki, Złoty Bilet. Jeśli Terry był tutaj – tutaj, czyli we Flint City, gdzie popełnił morderstwo – wniosek jest taki, że sobowtór musiał być tam. To jedyne logiczne wytłumaczenie.

– W tym nie ma krzty logiki – mruknął wpatrzony w monitor. Na ekranie widniał zatrzymany kadr, na którym mężczyzna, istotnie podobny do Terry'ego Maitlanda, śmiał się z czegoś, stojąc w kolejce po autograf ze swoim szefem Roundhillem.

– Słucham? – spytał detektyw hotelowy, który pokazał mu nagrania.

– Nie, nic.

– Pokazać panu coś jeszcze?

– Nie, ale dzięki. – To była strata czasu. Nagranie z Channel 81 przesądzało sprawę: człowiekiem, który uczestniczył w spotkaniu z Cobenem, był Terry. Nikt nie mógł mieć co do tego wątpliwości.

Tyle że Ralph w głębi ducha wciąż je miał. To, jak Terry wstał, żeby zadać pytanie, jakby wiedział, że kamera będzie skierowana na niego… aż za idealnie się to złożyło. Czy to możliwe, że wszystko zostało ukartowane? Że to nadzwyczajna, ale koniec końców dająca się wyjaśnić sztuczka? Ralph nie bardzo to sobie wyobrażał, ale z drugiej strony nie wiedział, jak David Copperfield przeniknął przez Wielki Mur Chiński, a widział to na własne oczy w telewizji. Jeśli

rzeczywiście tak było, Terry Maitland był nie tylko mordercą, ale i mordercą, który się z nich śmieje.

– Detektywie, muszę o czymś z góry uprzedzić – powiedział detektyw hotelowy. – Dostałem polecenie na piśmie od Harleya Brighta… to mój szef… że wszystkie materiały, które pan obejrzał, mam zachować dla adwokata nazwiskiem Howard Gold.

– Wisi mi, co z tym zrobicie – odparł Ralph. – Chcecie, to wyślijcie wszystko Sarah Palin na ten jej wygwizdów w Alasce. Ja wracam do domu. – Tak. To dobry pomysł. Wróci do domu, posiedzi w ogródku z Jeannie, obali z nią sześciopak: on cztery piwa, ona dwa. I będzie się starał nie zwariować od rozmyślania nad tym cholernym paradoksem.

Detektyw odprowadził go do drzwi biura ochrony.

– W wiadomościach mówili, że złapaliście typa, który zabił tego dzieciaka.

– W wiadomościach mówią dużo rzeczy. Dziękuję, że znalazł pan czas dla mnie.

– Zawsze z przyjemnością pomagam policji.

Jeśli można to nazwać pomocą, pomyślał Ralph.

Zatrzymał się na drugim końcu holu, z ręką wyciągniętą, żeby pchnąć obrotowe drzwi, bo nagle uderzyła go pewna myśl. Skoro już tu był, powinien zajrzeć w jeszcze jedno miejsce. Według Terry'ego Debbie Grant zaraz po spotkaniu z Cobenem poleciała do damskiej ubikacji i długo w niej siedziała. „Poszedłem na dół, do kiosku, z Evem i Billym", powiedział Terry. „Kiedy Debbie znów do nas dołączyła, kolejka sięgała do holu".

Kiosk, jak się okazało, jednocześnie pełnił funkcję dodatkowego sklepiku z pamiątkami. Za ladą stała mocno umalowana kobieta o siwiejących włosach, zajęta układaniem taniej biżuterii. Ralph wylegitymował się i spytał, czy pracowała w ostatni wtorek po południu.

– Kochany – powiedziała – pracuję codziennie, chyba że zachoruję. Nie płacą mi premii za sprzedane książki i czasopisma, ale mam prowizję od każdej błyskotki i pamiątkowego kubka.

– Może pamięta pani tego człowieka? Był tu we wtorek z grupą nauczycieli angielskiego na odczycie. – Pokazał jej zdjęcie Terry'ego.

– Pewnie, że pamiętam. Pytał o książkę o okręgu Flint. Pierwszy klient, który się nią zainteresował od Bóg wie kiedy. Nie ja ją zamówiłam, cholerstwo leży od czasu, kiedy przejęłam interes w dwa tysiące dziesiątym roku. Pewnie powinnam ją schować, ale co położyć na jej miejsce? Rzeczy na najwyższych i najniższych półkach sprzedają się najgorzej, człowiek szybko się o tym przekonuje, kiedy prowadzi taki biznes. Te na dole przynajmniej są tanie. Książki z górnej półki są drogie, ze zdjęciami, wydrukowane na błyszczącym papierze.

– O której książce mówimy, pani… – spojrzał na plakietkę z nazwiskiem – pani Levelle?

– O tej. – Kobieta pokazała palcem. – *Historia okręgu Flint, okręgu Douree i powiatu Canning w obrazach*. Tytuł, że można sobie szczękę połamać, co?

Odwrócił się i zobaczył półkę z pamiątkowymi kubkami i talerzami, a obok niej dwa regały z materiałami do czytania. Jeden zawierał czasopisma; drugi zajmowały powieści w miękkich i twardych oprawach. Na górnej półce tego ostatniego stało pół tuzina większych albumów, które Jeannie nazwałaby książkami do oglądania. Były owinięte folią, żeby ci, którzy biorą je do ręki, nie pobrudzili palcami stron i nie pozaginali rogów. Ralph podszedł bliżej i podniósł wzrok. Terry, dobre osiem centymetrów wyższy od niego, nie musiałby zadzierać głowy ani wspinać się na palce, żeby zdjąć jedną z tych książek.

Sięgnął po album, o którym mówiła pani Levelle, po czym zmienił zdanie. Odwrócił się do sprzedawczyni.

– Proszę powiedzieć, co pani pamięta.

– To znaczy o tamtym facecie? Niewiele. W sklepie z pamiątkami po odczycie zrobił się ruch, tyle sobie przypominam, ale do mnie zajrzało tylko parę osób. Wie pan dlaczego, prawda?

Ralph pokręcił głową, usiłując zachować cierpliwość. Coś tu było, na pewno, i sądził – miał nadzieję – że wie co takiego.

– Oczywiście nikt nie chciał stracić miejsca w kolejce, a że wszyscy mieli nową książkę pana Cobena, mogli dla zabicia czasu zająć się czytaniem. Przyszli jednak ci trzej panowie i jeden z nich, taki gruby, kupił nową powieść Lisy Gardner w twardej oprawie. Pozostali dwaj

tylko się rozglądali. Potem jakaś pani wsadziła głowę do środka i powiedziała, że jest gotowa, więc poszli. Pewnie po autografy.

– Ale jeden z nich, ten wysoki, wyraził zainteresowanie książką o okręgu Flint.

– Tak, tylko zdaje się, że jego uwagę zwróciła nazwa Canning w tytule. Chyba wspomniał, że jego rodzina długo tam mieszkała?

– Nie wiem – odparł Ralph. – Pani przy tym była, nie ja.

– Jestem prawie pewna, że tak. Zdjął ją z półki, a kiedy zobaczył cenę: siedemdziesiąt dziewięć dziewięćdziesiąt dziewięć, odłożył z powrotem.

I bach! Właśnie o to chodziło.

– Czy od tego czasu ktoś jeszcze oglądał ten album? Zdjął go i wziął do ręki?

– Ten? Pan żartuje.

Ralph wspiął się na palce i zdjął zawiniętą w folię książkę. Trzymał ją za boczne krawędzie, między otwartymi dłońmi. Na okładce było sepiowe zdjęcie konduktu pogrzebowego z dawnych lat. Sześciu kowbojów, wszyscy w wymiętych kapeluszach i z pistoletami w kaburach, niosło zbitą z desek trumnę na zakurzony cmentarz. Kaznodzieja (też z pistoletem w kaburze) czekał na nich u szczytu otwartego grobu z Biblią w rękach.

Pani Levelle się rozpromieniła.

– Chce pan to kupić? Naprawdę?

– Tak.

– Pan ją da, muszę zeskanować cenę.

– Odpada. – Odwrócił książkę nalepką z kodem kreskowym do góry i pani Levelle przesunęła po niej czytnikiem.

– Z VAT-em osiemdziesiąt cztery czternaście, ale umówmy się na równe osiemdziesiąt cztery.

Ralph ostrożnie postawił album na jego dolnej krawędzi i zapłacił kartą kredytową. Schował paragon do kieszeni na piersi, po czym znów podniósł książkę między dłońmi, trzymając ją przed sobą jak kielich mszalny.

– Miał ją w rękach – powiedział, nie tyle szukając u kobiety ponownego potwierdzenia, ile nie dowierzając własnemu

absurdalnemu szczęściu. – Jest pani pewna, że człowiek ze zdjęcia, które pani pokazałem, miał tę książkę w rękach.

– Zdjął ją z regału, powiedział, że fotografię na okładce zrobiono w powiecie Canning. Potem spojrzał na cenę i ją odłożył. Tak jak mówiłam. To dowód w śledztwie czy coś?

– Nie wiem. – Ralph patrzył na dawnych żałobników na okładce. – Ale się dowiem.

16

W czwartek po południu ciało Franka Petersona zostało przewiezione do domu pogrzebowego braci Donellich. Arlene Peterson załatwiła to i całą resztę, włącznie z nekrologiem, kwiatami, mszą żałobną w piątek rano, samym pogrzebem, nabożeństwem na cmentarzu i stypą w sobotni wieczór. Musiała. Fred, delikatnie mówiąc, był do niczego w organizowaniu wszelkiego rodzaju spotkań towarzyskich.

Tym razem to ja muszę wszystko załatwić, powiedział sobie, kiedy wrócił z Olliem ze szpitala. Nie ma innego wyjścia, bo zostałem sam. A ten facet od Donellich mi pomoże. Znają się na tym. Tylko jak miał zapłacić za drugi pogrzeb tak od razu po pierwszym? Czy ubezpieczenie to pokryje? Nie wiedział. Tymi sprawami też zajmowała się Arlene. Mieli umowę: on zarabiał pieniądze, ona opłacała rachunki. Będzie musiał poszukać polisy ubezpieczeniowej w jej biurku. Na samą myśl o tym ogarnęło go zmęczenie.

Siedzieli w salonie. Ollie włączył telewizor. Leciał mecz piłkarski. Oglądali przez pewien czas, choć żaden z nich nie przepadał za tym sportem; byli fanami futbolu amerykańskiego. Wreszcie Fred wstał, powlókł się w głąb korytarza, po czym wrócił ze starym czerwonym notatnikiem adresowym Arlene. Otworzył na literze „d”; owszem, wpisała Donellich, tyle że nie starannie jak zwykle, lecz drżącą ręką, czemu w sumie trudno się dziwić. Przecież numer domu pogrzebowego stał się potrzebny dopiero po śmierci Franka. Wydawało się, że minie jeszcze wiele lat, zanim Petersonowie będą się musieli zatroszczyć o sprawy związane z pochówkiem. Lat.

Wpatrzony w notatnik, obleczony wyblakłą, pościeraną czerwoną skórą, Fred pomyślał o tym, ile razy widział, jak trzymała go w rękach, dawniej spisując adresy zwrotne z kopert, ostatnio z internetu. Popłakał się.

– Nie mogę – szepnął. – Nie mogę i tyle. Nie tak od razu po Frankiem.

Komentator wrzasnął „Gol!" i piłkarze w czerwonych koszulkach zaczęli wskakiwać jeden drugiemu na plecy. Ollie wyłączył telewizor i wyciągnął rękę.

– Ja to zrobię.

Fred spojrzał na niego przekrwionymi, mokrymi oczami.

Chłopak skinął głową.

– Nie ma sprawy, tato. Naprawdę. Zajmę się wszystkim od początku do końca. Może pójdziesz na górę i się położysz?

I choć Fred wiedział, że pewnie nie powinien obarczać swojego siedemnastoletniego syna takim ciężarem, to właśnie uczynił. Obiecał sobie, że potem przejmie od niego część brzemienia, teraz jednak musiał się zdrzemnąć. Naprawdę był potwornie zmęczony.

17

Tej niedzieli Alec Pelley dopiero o wpół do czwartej zdołał się oderwać od rodzinnych obowiązków. Było po piątej, kiedy dotarł do Sheratona w Cap City, ale popołudniowe słońce wciąż wypalało dziurę w niebie. Zatrzymał się na placyku przed hotelem, dał parkingowemu dychę i poprosił, żeby zaparkował wóz gdzieś w pobliżu. W kiosku Lorette Levelle znów układała tanią biżuterię. Wizyta Aleca była krótka. Wyszedł z powrotem na zewnątrz, oparł się o swojego explorera i zadzwonił do Howiego Golda.

– Zdobyłem nagrania z monitoringu i z telewizji przed Andersonem, ale on pierwszy znalazł tę książkę. I ją kupił. Czyli mamy remis, można powiedzieć.

– Kurwa – zaklął Howie. – Skąd w ogóle o niej wiedział?

– Moim zdaniem nie wiedział, po prostu miał szczęście i odwalił kawał dobrej roboty śledczej w starym stylu. Kobieta, która pracuje w kiosku, powiedziała, że jakiś facet zdjął tę książkę z regału w dniu odczytu Cobena, spojrzał na cenę, prawie osiem dych, i odstawił ją z powrotem. Chyba nie wie, że tym facetem był Maitland, więc pewnie nie ogląda wiadomości. To samo powiedziała Andersonowi i Anderson kupił książkę. Podobno, wychodząc, trzymał ją za boczne krawędzie, między otwartymi dłońmi.

– Liczy, że znajdzie na niej odciski palców, które nie należą do Terry'ego – stwierdził Howie. – Z czego miałoby wynikać, że człowiekiem, który wziął tę książkę do ręki, nie był Terry. Nic mu to nie da. Bóg raczy wiedzieć, ilu ludzi mogło zdjąć ją z regału i jej dotykać.

– Kobieta, która prowadzi kiosk, jest innego zdania. Twierdzi, że książka stała nieruszana od wielu miesięcy.

– To niczego nie zmienia. – Howie nie wydawał się zaniepokojony, co kazało Alecowi niepokoić się za nich obu. Niby nic wielkiego, a jednak coś. Drobna skaza na obrazie, który wyglądał coraz piękniej. Możliwa skaza – a Howie bez trudu może ją obejść; przysięgłych niespecjalnie interesuje coś, czego nie ma.

– Chciałem tylko cię uprzedzić, szefie. Za to mi płacisz.

– Dobra, niniejszym mnie uprzedziłeś. Będziesz jutro w sądzie, prawda?

– A czy mógłbym to przegapić? Rozmawiałeś z Samuelsem o kaucji?

– Tak. Rozmowa była bardzo krótka. Powiedział, że po jego trupie. To był cytat.

– Jezu, czy jest jakiś pstryczek, którym można by gościa wyłączyć?

– Dobre pytanie.

– Ale mimo to postawisz na swoim?

– Szanse są spore. Gdybym mógł przedstawić dowody, byłbym tego całkowicie pewien.

– Jeśli Maitland wyjdzie za kaucją, poradź mu, żeby odpuścił sobie spacery po dzielnicy. Wielu ludzi ma broń do obrony domu, a on ostatnio jest najmniej lubianym obywatelem Flint City.

– Dostanie areszt domowy, a gliny na pewno będą miały jego dom na oku. – Howie westchnął. – Szkoda, że z tą książką nie wypaliło.

Alec rozłączył się i wskoczył z powrotem do samochodu. Chciał wrócić do domu na tyle wcześnie, żeby zdążyć zrobić popcorn przed *Grą o tron*.

18

Ralph Anderson i detektyw policji stanowej Yunel Sablo spotkali się tego wieczoru z prokuratorem okręgu Flint w pokoju dziennym jego domu w północnej części miasta, prawie ekskluzywnej dzielnicy pełnej okazałych domów, które – nie do końca zasłużenie – pretendowały do miana nowobogackich rezydencji. Dwie córki Samuelsa ganiały się na zewnątrz w strumieniach wody ze zraszacza, podczas gdy zmierzch powoli przechodził w mrok. Była żona Samuelsa została, żeby ugotować im kolację. Samuels był w dobrej formie przez cały posiłek, często klepał swoją eks po dłoni i nawet chwilami trzymał ją za rękę, co chyba jej nie przeszkadzało. Nieźle się dogadują jak na rozwiedzioną parę, pomyślał Ralph. Brawo, tak trzymać. Teraz jednak kolacja się skończyła, była żona pakowała rzeczy dziewczynek i wszystko wskazywało na to, że dobry nastrój Samuelsa też wkrótce zniknie.

Album *Historia okręgu Flint, okręgu Douree i powiatu Canning w obrazach* leżał na stoliku. Był w przezroczystym worku na śmieci, który Ralph wyjął z szuflady w swojej kuchni i starannie nasunął na książkę. Kondukt żałobny wydawał się rozmazany, bo foliowa oprawa zabezpieczająca została posypana proszkiem daktyloskopijnym. Na okładce, blisko grzbietu, rzucał się w oczy pojedynczy odcisk – kciuka. Wyraźny jak data na świeżo wybitej jednocentówce.

– Cztery inne są na ostatniej stronie okładki – powiedział Ralph. – Tak właśnie bierze się do ręki ciężką książkę, kciuk z przodu, palce z tyłu, lekko rozstawione, żeby ją podtrzymać. Wydrukowałbym to na miejscu, w Cap City, ale tam nie miałem odcisków Terry’ego do

porównania. Wziąłem więc, co trzeba, z komisariatu i zrobiłem to w domu.

Samuels uniósł brwi.

– Zabrałeś kartę z jego odciskami z akt?

– Nie, skserowałem.

– Nie trzymaj nas w niepewności – powiedział Sablo.

– Nie zamierzam – odparł Ralph. – Pełna zgodność. Odciski na książce należą do Terry'ego Maitlanda.

Pan Słoneczko, który siedział obok swojej byłej przy kolacji, zniknął. Jego miejsce zajął pan Będzie Lało Jak Diabli.

– Nie możesz być tego pewien, dopóki komputer nie przeprowadzi porównania.

– Bill, robiłem takie rzeczy, kiedy nie mieliśmy komputerów. – W czasach, kiedy ty zaglądałeś dziewczynom pod spódniczki. – To odciski Maitlanda i porównanie komputerowe to potwierdzi. Zobaczcie. – Wyjął cienki plik karteczek z wewnętrznej kieszeni sportowej marynarki i rozłożył je w dwóch rzędach na stoliku. – To odciski Terry'ego pobrane wczoraj, po aresztowaniu. A to odciski Terry'ego z foliowej oprawy. Sami oceńcie.

Samuels i Sablo wychylili się do przodu, przenosząc wzrok z lewego rzędu karteczek na prawy. Sablo pierwszy usiadł prosto.

– Kupuję to.

– A ja nie, dopóki komputer nie przeprowadzi porównania – upierał się Samuels. Przez to, że miał szczękę wysuniętą do przodu, jego słowa zabrzmiały wyniośle. W innych okolicznościach mogłoby to być całkiem zabawne.

Ralph milczał. Nie wiedział, co sądzić o Billu Samuelsie, miał nadzieję (bo z natury był optymistą), że wrażenie, jakie prokurator zrobił na nim wcześniej – kogoś, kto w obliczu szczególnie zaciekłego kontrataku wziąłby nogi za pas – było mylne. Była żona nadal ceniła Samuelsa, to nie ulegało wątpliwości, a córki bezgranicznie go kochały, ale świadczyło to tylko o jednej stronie jego charakteru. Człowiek w domu niekoniecznie jest taki sam jak w pracy, zwłaszcza gdy mierzy wysoko i nagle napotyka przeszkodę, która może zdusić w zarodku jego ambitne plany. Takie rzeczy miały dla Ralpha znaczenie. Miały duże znaczenie, bo to śledztwo nierozerwalnie

związało go z Samuelsem – niezależnie od tego, czy wygrają, czy nie.

– To niemożliwe. – Samuels podniósł rękę, żeby przygładzić koguta, choć go nie miał; dziś jego włosy były grzeczne. – Nie mógł być w dwóch miejscach jednocześnie.

– A jednak wygląda na to, że był – zauważył Sablo. – Do dzisiaj nie mieliśmy żadnych śladów kryminologicznych z Cap City. Teraz mamy.

Samuels na chwilę się rozchmurzył.

– Może wziął tę książkę do ręki kiedy indziej. Wcześniej. Żeby przygotować sobie alibi. Może to było częścią jego planu. – Jakby zapomniał o swojej tezie, że zabójstwo Franka Petersona było impulsywnym czynem człowieka niepanującego nad swoimi popędami.

– Nie można tego wykluczyć – powiedział Ralph. – Ale w życiu widziałem mnóstwo odcisków palców i te wyglądają na względnie świeże. Układ bruzd jest bardzo wyraźny. Byłoby inaczej, gdyby powstały kilka tygodni lub miesięcy temu.

– *Mano*, to tak, jakbyś dobrał kartę do dwunastki i wyciągnął figurę – stwierdził Sablo tak cicho, że ledwo było go słychać.

– Co? – Samuels obrócił głowę.

– Mówi o blackjacku – wyjaśnił Ralph. – Że lepiej byłoby, gdybyśmy tego nie znaleźli. Gdybyśmy spasowali.

Przemyśleli to. Pierwszy przemówił Samuels. Przybrał prawie miły ton, jakby prowadził uprzejmą pogawędkę dla zabicia czasu.

– Tak tylko gdybając, co by było, gdybyś nic nie znalazł na tej foliowej oprawie? Albo tylko kilka rozmazanych odcisków, których nie da się zidentyfikować?

– Nie poprawiłoby to naszej sytuacji – odparł Sablo. – Ale i nie pogorszyło.

Samuels skinął głową.

– W takim przypadku, mówiąc czysto hipotetycznie, można by przyjąć, że Ralph po prostu kupił sobie dość drogą książkę. Miał związany z nią dobry pomysł, a kiedy ten nie wypalił, postawił ją na półce w swoim domu. Oczywiście po uprzednim zerwaniu folii i jej wyrzuceniu.

Sablo przeniósł wzrok z Samuelsa na Ralpha. Jego twarz niczego nie zdradzała.

– A karty z odciskami palców? – spytał Ralph. – Co z nimi?

– Jakie karty? – rzucił Samuels. – Ja żadnych kart nie widzę. A ty, Yune?

– Jeszcze nie wiem – powiedział Sablo.

– Mówisz o niszczeniu dowodów – stwierdził Ralph.

– Skądże. Tak tylko sobie gdybam. – Samuels znów uniósł dłoń, żeby przygładzić niewidzialnego koguta. – Ale zastanów się, Ralph. Najpierw pojechałeś na komisariat, porównanie jednak przeprowadziłeś w domu. Była przy tym twoja żona?

– Poszła na spotkanie klubu książkowego.

– Uhm, no i spójrzcie. Książka jest w zwykłym foliowym worku, nie w torebce na dowody. Czyli nie włączyłeś jej do dowodów.

– Jeszcze nie. – Teraz, zamiast rozważać różne strony charakteru Billa Samuelsa, Ralph był zmuszony pomyśleć o własnych.

– Mówię tylko, że ta hipotetyczna ewentualność mogła i tobie przejść przez głowę.

Czy tak było? Ralph nie umiał odpowiedzieć. A jeśli tak, to dlaczego? Bo chciał wymazać brzydką czarną plamę na swojej karierze, teraz, kiedy to śledztwo nie tylko chwiało się w posadach, ale lada moment mogło zawalić się w gruzy?

– Nie – powiedział. – Włączymy tę książkę do dowodów i udostępnimy obronie. Bo ten dzieciak nie żyje, Bill. To, co się z nami stanie, to w porównaniu z tym małe piwo.

– Zgadzam się – wtrącił Sablo.

– Pewnie, że się zgadzasz – powiedział Samuels zmęczonym głosem. – Porucznik Yune Sablo tak czy tak przetrwa.

– Skoro o przetrwaniu mowa – rzucił Ralph – co z Terrym Maitlandem? A jeśli naprawdę zatrzymaliśmy niewłaściwego człowieka?

– Niemożliwe. Dowody nie pozostawiają wątpliwości.

I na tym spotkanie się zakończyło. Ralph wrócił na komisariat, gdzie włączył do dowodów *Historię okręgu Flint, okręgu Douree i powiatu Canning w obrazach*. Od razu mu ulżyło.

Kiedy szedł na tyły budynku po swój prywatny samochód, zadzwoniła jego komórka. Na ekranie wyświetliło się zdjęcie żony. Zaniepokoił się, gdy usłyszał jej głos.

– Kochanie? Ty płaczesz?

– Dzwonił Derek. Z obozu.

Serce Ralpha zabiło mocniej.

– Nic mu nie jest?

– Wszystko w porządku. Przynajmniej fizycznie. Ale dostał od kolegów maile o Terrym i jest wstrząśnięty. Powiedział, że to jakaś pomyłka, że trener T nigdy nie zrobiłby czegoś takiego…

– Aha. To wszystko? – Ruszył dalej, wolną ręką szukając kluczyków.

– Nie, nie wszystko – powiedziała Jeannie ze złością. – Gdzie jesteś?

– Pod komisariatem. Zaraz jadę do domu.

– Mógłbyś najpierw wpaść do aresztu? I z nim porozmawiać?

– Z Terrym? Pewnie mógłbym, gdyby się zgodził ze mną spotkać. Ale po co?

– Odłóż na chwilę dowody na bok. Wszystkie, wasze i ich, i odpowiedz mi na jedno pytanie, szczerze, od serca. Możesz to zrobić?

– Dobra… – Słyszał odległy szum ciężarówek na autostradzie. I, bliżej, letnią, spokojną muzykę świerszczy w trawie rosnącej wzdłuż murowanego budynku, w którym pracował tyle lat. Wiedział, o co zapyta go żona.

– Czy ty osobiście uważasz, że Terry Maitland zabił tego chłopca?

Ralph pomyślał o tym, że mężczyzna, którego Willow Rainwater zabrała swoją taksówką do Dubrow, zwracał się do niej per „pani” zamiast po imieniu, które powinien był znać. Pomyślał o tym, że człowiek, który zostawił białego vana za pubem Shorty’s, pytał o drogę do najbliższej przychodni, choć Terry Maitland mieszkał we Flint City całe życie. Pomyślał o nauczycielach, którzy przysięgną, że Terry był z nimi, tak w porze uprowadzenia, jak i w czasie zabójstwa. A potem pomyślał o tym, jak to się dogodnie złożyło, że Terry nie tylko zadał pytanie Harlanowi Cobenowi, ale i wstał

z miejsca, jakby dla pewności, że kamera go wychwyci i nagra. Nawet te odciski palców na książce… dowód aż za doskonały?

– Ralph? Jesteś tam jeszcze?

– Nie wiem – wyznał. – Może gdybym prowadził drużynę razem z nim, jak Howie… ale ja tylko patrzyłem, jak trenował Dereka. Dlatego odpowiedź na twoje pytanie, szczera, od serca, brzmi: nie wiem.

– To pojedź tam. Spójrz mu w oczy i go zapytaj.

– Samuels urwie mi głowę, jeśli się dowie.

– Nie obchodzi mnie Samuels, obchodzi mnie nasz syn. I wiem, że ciebie też. Zrób to dla niego, Ralph. Zrób to dla Dereka.

19

Okazało się, że Arlene Peterson jednak miała ubezpieczenie pogrzebowe, więc pod tym względem wszystko grało. Ollie znalazł stosowne papiery w dolnej szufladzie jej małego biurka, schowane w teczce między umową kredytu hipotecznego (który to kredyt był już prawie w całości spłacony) i kartami gwarancyjnymi sprzętu AGD. Zadzwonił do zakładu pogrzebowego. Odebrał mężczyzna o łagodnym głosie zawodowego żałobnika – może jeden z braci Donellich, może nie – który podziękował mu i powiedział: „Twoja matka już przyjechała". Jakby dotarła tam samodzielnie, pewnie uberem. Zawodowy żałobnik spytał, czy Ollie chce formularz nekrologu prasowego. Odpowiedział, że nie. Miał przed sobą dwa puste formularze leżące na biurku. Jego matka – jak zawsze zapobiegliwa, nawet kiedy trawiła ją rozpacz – musiała skserować ten, który wzięła dla Franka, na wypadek gdyby zrobiła błąd. Czyli pod tym względem też wszystko grało. Czy chciałby przyjść jutro i ustalić szczegóły nabożeństwa żałobnego i pogrzebu? Ollie odpowiedział, że raczej nie. Sądził, że akurat to powinien zostawić ojcu.

Kiedy kwestia pokrycia kosztu pochówku matki została rozstrzygnięta, Ollie złożył głowę na jej biurku i trochę sobie popłakał. Cicho, żeby nie obudzić ojca. Gdy łzy wyschły, wypełnił jeden z formularzy nekrologu, drukowanymi literami, bo charakter pisma miał do dupy. Zrobiwszy to, poszedł do kuchni i obejrzał panujący w niej bałagan: makaron na linoleum, kurczak pod zegarem, plastikowe pojemniki i przykryte naczynia na blatach. Przypomniało mu się coś, co mama mówiła zawsze po obfitych

posiłkach rodzinnych – jakby świnie się tu pasły. Wyjął spod zlewu worek na śmieci i wrzucił do niego wszystko, poczynając od kurczaka, który wyglądał szczególnie makabrycznie. Potem umył podłogę. Kiedy już wszystko było cud, miód, malina (kolejne powiedzonko mamy), stwierdził, że jest głodny. To uczucie wydawało mu się jakoś niewłaściwe, ale tak było i już. Ludzie to w gruncie rzeczy zwierzęta, uświadomił sobie. Nawet kiedy umiera ci matka i młodszy braciszek, musisz jeść i wysrywać to, co zjadłeś. Organizm się tego domaga.

Otworzył lodówkę i zobaczył, że jest wyładowana kolejnymi garnkami, plastikowymi pojemnikami i wędlinami. Wybrał zapiekankę pasterską, pokrytą śnieżną równiną tłuczonych ziemniaków, i podgrzał ją w piekarniku ustawionym na sto osiemdziesiąt stopni. Kiedy oparty o blat czekał, aż będzie gotowa, czując się, jakby był gościem we własnej głowie, wszedł tata. Włosy Freda były rozczochrane. Cały się nastroszyłeś – tak powiedziałaby Arlene Peterson. Był nieogolony. Jego zapuchnięte oczy patrzyły nieprzytomnie.

– Wziąłem jedną z tabletek twojej matki i za długo spałem – powiedział.

– Nie przejmuj się, tato.

– Posprzątałeś w kuchni. Powinienem był ci pomóc.

– Nie ma sprawy.

– Twoja matka… pogrzeb… – Fred jakoś nie mógł znaleźć właściwych słów.

Ollie zauważył, że ojciec ma rozpięty rozporek. To napełniło go nieokreślonym żalem. Nie chciało mu się jednak płakać, chyba wypłakał wszystkie łzy, przynajmniej na razie. Pod tym względem też wszystko grało. Trzeba cieszyć się tym, co się ma, pomyślał.

– Sytuacja jest nie najgorsza – powiedział. – Miała ubezpieczenie, które pokryje koszty, zresztą ty też takie masz, i jest już… tam. Wiesz, w zakładzie. – Bał się powiedzieć „pogrzebowym”, bo na dźwięk tego słowa ojciec znów mógłby się załamać. A wtedy i on mógłby nie wytrzymać.

– Aha. Dobrze. – Fred usiadł i przycisnął dłoń do czoła. – Powinienem był się tym zająć. To moje zadanie. Moja

odpowiedzialność. Nie chciałem tak długo spać.

– Możesz tam pojechać jutro. Wybrać trumnę i tak dalej.

– Gdzie?

– Do braci Donellich. Tych, co pochowali Franka.

– Ona nie żyje. Nawet nie wiem, jak o tym myśleć.

– Uhm – mruknął Ollie, choć sam był w stanie myśleć tylko o tym. Jak do samego końca próbowała przeprosić. Jakby to wszystko stało się przez nią, choć przecież nie była niczemu winna. – Facet z zakładu mówił, że musisz podjąć pewne decyzje. Dasz radę?

– Jasne. Jutro będę w lepszej formie. Coś ładnie pachnie.

– Zapiekanka pasterska.

– Twojej matki czy przyniesiona przez kogoś?

– Nie wiem.

– Cóż, pachnie ładnie.

Zjedli przy kuchennym stole. Potem Ollie włożył brudne naczynia do zlewu, bo zmywarka była pełna. Przeszli do salonu. Na ESPN leciał bejsbol, Phillies grali z Metsami. Patrzyli w milczeniu, obaj na swój sposób badając krawędzie wyrwy, która powstała w ich życiu, i usiłując do niej nie wpaść. Po pewnym czasie Ollie wyszedł na tylne schody; usiadł i zapatrzył się w gwiazdy. Było ich mnóstwo. Zobaczył też meteor, satelitę i kilka samolotów. Pomyślał o tym, że jego matka nie żyje i że nigdy więcej nie zobaczy tych rzeczy. To zupełny absurd, że tak się stało.

Kiedy wrócił do domu, zaczynała się dziewiąta runda, wynik był remisowy, a ojciec spał w fotelu. Ollie pocałował go w czubek głowy. Fred nawet nie drgnął.

20

W drodze do aresztu okręgowego do Ralpha przyszedł esemes od Kindermana z laboratorium komputerowego policji stanowej. Natychmiast zjechał na pobocze i oddzwonił niego. Kinderman odebrał po pierwszym sygnale.

– Nie macie wolnych niedziel? – spytał Ralph.

– Cóż mogę powiedzieć, ta robota to nasza pasja. – Ralph słyszał w tle ryk zespołu heavymetalowego. – Poza tym od zawsze uważam, że dobra wiadomość może zaczekać, ale złą trzeba przekazać od razu. Jeszcze nie skończyliśmy szukać ukrytych plików na twardych dyskach Maitlanda, a niektórzy pedofile potrafią być w tych sprawach cwani, ale na pierwszy rzut oka facet jest czysty. Żadnych pornosów z dziećmi ani jakichkolwiek innych. Ani na stacjonarnym, ani na laptopie, ani na iPadzie, ani na telefonie. Krótko mówiąc, harcerzyk.

– A co z historią przeglądania?

– Jest tego sporo, ale głównie rzeczy, których można się było spodziewać, portale zakupowe jak Amazon, blogi informacyjne typu Huffington Post, kilka stron sportowych. Śledzi wyniki ligi bejsbolowej i chyba kibicuje drużynie Tampa Bay Rays. Samo to dowodzi, że ma coś nie tak z głową. Ogląda *Ozark* na Netfliksie i *Zawód: Amerykanin* na iTunes. Ten drugi to i mnie się podoba.

– Grzeb dalej.

– Za to mi płacą.

Ralph zaparkował za aresztem okręgowym na miejscu oznakowanym tabliczką „Tylko dla pojazdów służbowych”, wyjął ze schowka identyfikator i położył na desce rozdzielczej.

Oficer służby więziennej – L. Keene, jak głosił napis na plakietce – już na niego czekał; zaprowadził go do jednego z pokojów przesłuchań.

– To wbrew zasadom, detektywie. Już prawie dziesiąta.

– Wiem, która jest godzina, i nie przyjechałem dla rozrywki.

– Czy prokurator okręgowy wie, że pan tu jest?

– Takie sprawy nie leżą w pańskiej gestii, oficerze Keene.

Ralph usiadł po jednej stronie stołu. Czekał ciekaw, czy Terry zgodzi się przyjść. Na jego komputerze żadnych świństw, w domu żadnych pornoli, przynajmniej dotąd ich nie znaleźli. No ale, jak zauważył Kinderman, pedofile potrafią być cwani.

Tylko czy cwanym można nazwać kogoś, kto pokazuje swoją twarz? I zostawia odciski palców?

Wiedział, co powiedziałby Samuels: Terry dostał amoku. Kiedyś (wydawało się, dawno temu) Ralph uważał, że to wszystko wyjaśniało.

Po chwili Keene wprowadził Terry'ego. Aresztant był w brązowym kombinezonie i tanich plastikowych klapkach. Ręce miał skute z przodu.

– Proszę zdjąć obrączki – odezwał się Ralph.

Keene pokręcił głową.

– Przepisy to przepisy.

– Odpowiedzialność biorę na siebie.

Oficer uśmiechnął się niewesoło.

– Nie, detektywie, nie ma mowy. Ja tu jestem gospodarzem, jeśli on postanowi skoczyć przez stół i złapać pana za gardło, wina spadnie na mnie. Ale wie pan co? Nie przypnę go do stołu. Może być?

Terry uśmiechnął się, jakby chciał powiedzieć: Sam widzisz, co muszę znosić.

Ralph westchnął.

– Może nas pan zostawić. I dziękuję.

Keene wyszedł, ale Ralph wiedział, że będzie patrzył przez lustro weneckie. I pewnie słuchał. Wieść o tej rozmowie dojdzie do Samuelsa; nijak nie da się tego uniknąć.

Spojrzał na Terry'ego.

– Nie stój tak. Usiądź, na litość boską.

Terry opadł na krzesło i splótł dłonie na stole. Łańcuch kajdanek zagrzechotał.

– Howie Gold nie pochwaliłby tego, że się z tobą spotykam. – Dalej się uśmiechał.

– Samuels też nie, więc jesteśmy kwita.

– Czego chcesz?

– Odpowiedzi. Jeśli jesteś niewinny, dlaczego mam pół tuzina świadków, którzy cię zidentyfikowali? Dlaczego twoje odciski palców są na gałęzi, którą ten chłopiec został zgwałcony, i w całym vanie, którym go uprowadzono?

Terry pokręcił głową. Uśmiech zniknął.

– Jestem tym tak samo zdziwiony jak ty. Dziękuję tylko Bogu, synowi jego jedynemu i wszystkim świętym, że mogę udowodnić, iż byłem w Cap City. Inaczej co by się ze mną stało, Ralph? Myślę, że obaj wiemy. Przed końcem lata trafiłbym do celi śmierci w McAlester, a za dwa lata zrobiliby mi zastrzyk. Może wcześniej, bo sądy na wszystkich szczeblach mają prawicowy odchył, a twój koleżka Samuels zmiażdżyłby moje apelacje jak buldożer zamek z piasku zbudowany przez dziecko.

Pierwszymi słowami, które cisnęły się na usta Ralpha, były: Samuels nie jest moim koleżką. Zamiast tego powiedział:

– Ciekawi mnie ten van. Ten z nowojorskimi tablicami.

– Tutaj ci nie pomogę. Ostatnim razem byłem w Nowym Jorku na miesiącu miodowym, szesnaście lat temu.

Teraz to Ralph się uśmiechnął.

– Tego nie wiedziałem, ale wiem, że ostatnio rzeczywiście cię tam nie było. Sprawdziliśmy twoje podróże w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Wyjechałeś raz, w kwietniu, do Ohio.

– Tak, do Dayton. Dziewczynki miały ferie wiosenne. Chciałem zobaczyć się z tatą, one chciały pojechać ze mną. Marcy też.

– Twój ojciec mieszka w Dayton?

– „Mieszka” to za dużo powiedziane. Długa historia i bez związku z tym, co się tu stało. Obyliśmy się bez złowrogich białych vanów ani nawet samochodu rodzinnego. Polecieliśmy liniami Southwest. Nie obchodzi mnie, ile moich odcisków palców znaleźliście w vanie,

którym ten facet uprowadził Franka Petersona. Ja go nie ukradłem. Nie widziałem tego wozu na oczy. Nie liczę, że mi uwierzysz, ale właśnie taka jest prawda.

– Nikt nie uważa, że ukradłeś tego vana w Nowym Jorku – powiedział Ralph. – Teoria Billa Samuelsa jest taka, że złodziej porzucił go tutaj, gdzieś w okolicy, z kluczykiem w stacyjce. Wtedy ukradłeś go ty i zadołowałeś do czasu, aż byłeś gotowy… zrobić to, co zrobiłeś.

– Staranne przygotowania jak na człowieka, który popełnił taki czyn z odkrytą twarzą.

– Samuels powie przysięgłym, że działałeś w amoku. A oni mu uwierzą.

– Nawet po tym, jak Ev, Billy i Debbie złożą zeznania? A Howie pokaże nagranie z odczytu Cobena?

Ralph nie chciał w to wchodzić. Przynajmniej na razie.

– Znałeś Franka Petersona?

Terry prychnął śmiechem.

– Jedno z pytań, na które Howie zabroniłby mi odpowiedzieć.

– To znaczy, że nie odpowiesz?

– A czemuż by nie? Znałem go z widzenia, kłaniał mi się jak większość dzieciaków z West Side, ale nie znałem go tak naprawdę, rozumiesz, co mam na myśli. Chodził jeszcze do podstawówki, nie uprawiał żadnego sportu. Trudno jednak było nie zauważyć tych rudych włosów. Jak znak stopu. Jego brat ma takie same. Trenowałem Olliego w juniorach, ale kiedy skończył trzynaście lat, nie przeszedł do ligi miejskiej. Niezły w obronie, przyzwoicie odbijał piłkę, ale stracił zainteresowanie. Z niektórymi tak to już jest.

– Czyli Frankie nie wpadł ci w oko?

– Nie, Ralph. Nie odczuwam pociągu seksualnego do dzieci.

– Nie było tak, że przypadkiem zobaczyłeś, jak prowadził swój rower przez parking Gerald's Fine Groceries, i pomyślałeś: Oho, niepowtarzalna okazja?

Terry spojrzał na niego z niemą pogardą, którą Ralphowi ciężko było znieść. Nie opuścił jednak oczu. Po chwili Terry westchnął, podniósł skute dłonie do lustra weneckiego i zawołał:

– Koniec rozmowy.

– Nie całkiem – odezwał się Ralph. – Chcę, żebyś odpowiedział na jeszcze jedno pytanie, patrząc mi prosto w oczy. Czy zabiłeś Franka Petersona?

Terry nawet nie mrugnął.

– Nie.

A potem oficer Keene go wyprowadził.

Ralph siedział nieruchomo, czekając, aż Keene wróci i otworzy mu troje zaryglowanych drzwi dzielących pokój przesłuchań od świeżego powietrza. Dostał odpowiedź na pytanie, które Jeannie kazała mu zadać. Odpowiedź ta, udzielona przez człowieka patrzącego mu prosto w oczy, brzmiała: Nie.

Ralph chciał mu uwierzyć.

I nie mógł.

POSTAWIENIE W STAN OSKARŻENIA

16 lipca

1

– Nie – powiedział Howie Gold. – Nie, nie, nie.

– To dla jego bezpieczeństwa – zaznaczył Ralph. – Chyba zdajesz sobie sprawę, że…

– Przede wszystkim zdaję sobie sprawę, że jego zdjęcie trafi na pierwsze strony gazet. Że wszystkie stacje telewizyjne pokażą mojego klienta wchodzącego do sądu okręgowego w kamizelce kuloodpornej nałożonej na garnitur. Innymi słowy: wyglądającego tak, jakby już został skazany. Nawet kajdanki to duża przesada.

Siedmiu mężczyzn zebrało się w sali widzeń aresztu okręgowego, w której zabawki pochowano do kolorowych plastikowych pudeł, a krzesła ustawiono do góry nogami na stołach. Terry Maitland stał u boku Howiego. Na wprost nich byli szeryf Dick Doolin, Ralph Anderson i Vernon Gilstrap, zastępca prokuratora okręgowego. Samuels miał czekać w sądzie. Szeryf Doolin dalej trzymał kamizelkę kuloodporną w wyciągniętych rękach, nic nie mówiąc. Widniały na niej jaskrawe, oskarżycielsko żółte litery „DWOF” – skrót od Departamentu Więziennictwa Okręgu Flint. Trzy paski zapinane na rzepy – po jednym na każdą rękę i trzeci do przewiązania w pasie – zwisały luzem.

Dwaj oficerowie służby więziennej (gdyby nazwać ich strażnikami, zaraz by to sprostowali) stali przy drzwiach do holu, z umięśnionymi ramionami założonymi na piersi. Jeden z nich pilnował Terry’ego, kiedy ten golił się jednorazową maszynką; drugi przeszukał kieszenie garnituru i koszuli, które przyniosła Marcy, nie omieszkał też sprawdzić szwu z tyłu niebieskiego krawata.

Zastępca prokuratora Gilstrap spojrzał na Terry’ego.

– Co ty na to, kolego? Chcesz ryzykować, że cię zastrzelą? Mnie jest wszystko jedno. Przynajmniej oszczędziłbyś władzom stanu kosztów apelacji, zanim zrobią ci zastrzyk.

– Wypraszam sobie – powiedział Howie.

Gilstrap, weteran, który prawie na pewno przeszedłby w stan spoczynku (z pokaźną emeryturą), gdyby Bill Samuels przegrał nadchodzące wybory, tylko uśmiechnął się złośliwie.

– Hej, Mitchell – powiedział Terry. Strażnik, który pilnował, żeby przy goleniu nie poderżnął sobie gardła bikiem z jednym ostrzem, uniósł brwi, ale nie rozplótł skrzyżowanych ramion. – Duży dziś upał?

– Kiedy przyjechałem, było dwadzieścia dziewięć stopni – odparł Mitchell. – W radiu mówili, że w południe może dobić do trzydziestu ośmiu.

– Bez kamizelki – Terry zwrócił się do szeryfa, przywołując na twarz uśmiech, który mocno go odmłodził. – Nie chcę stać przed sędzią Hortonem w przepoconej koszuli. Trenowałem jego wnuka.

Gilstrap, wyraźnie zaniepokojony, wyjął notes z wewnętrznej kieszeni marynarki w szkocką kratę i coś zapisał.

– Chodźmy. – Howie wziął Terry'ego za ramię.

Wtedy zadzwoniła komórka Ralpha. Odpiął ją od lewej strony paska (kaburę z bronią służbową nosił po prawej) i spojrzał na ekran.

– Chwileczkę, chwileczkę, muszę odebrać.

– Dajże spokój – żachnął się Howie. – Co to jest, postawienie w stan oskarżenia czy szopka dla gawiedzi?

Ralph zignorował go i przeszedł na drugi koniec sali. Stanął przy automatach z przekąskami i napojami, pod tabliczką „Tylko dla odwiedzających"; chwilę mówił, potem słuchał. Rozłączył się i wrócił do pozostałych.

– No dobra. Chodźmy.

Oficer Mitchell na chwilę wszedł między Howiego i Terry'ego, żeby zapiąć kajdanki na nadgarstkach aresztanta.

– Nie za ciasno? – spytał.

Terry pokręcił głową.

– To idziemy.

Howie zdjął marynarkę i narzucił ją na kajdanki. Dwaj oficerowie straży więziennej wyprowadzili Terry'ego. Gilstrap szedł przodem, dziarskim krokiem mażoretki.

Gdy Howie zrównał się z Ralphem, odezwał się zniżonym głosem:

– To jest totalny burdel. – A kiedy Ralph nie odpowiedział, ciągnął dalej: – Dobra, chcesz, to milcz, ale zanim sprawa trafi przed wielką ławę przysięgłych, musimy usiąść przy jednym stole, ja, ty i Samuels. Pelley też, jeśli takie będzie wasze życzenie. Dzisiaj ustalenia śledztwa nie wyjdą na jaw, ale prędzej czy później tak się stanie, a wtedy waszym zmartwieniem nie będzie tylko rozgłos w mediach stanowych i lokalnych. CNN, Fox, MSNBC, blogi internetowe… zjadą się wszyscy i z lubością rozgrzebią tak dziwną sprawę. To będzie skrzyżowanie O.J. Simpsona z *Egzorcystą*.

To prawda i Ralph domyślał się, że Howie zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby do tego doprowadzić. Gdyby skłonił media, żeby skoncentrowały się na zagadnieniu dotyczącym tego, jak to możliwe, by jeden człowiek był w dwóch miejscach jednocześnie, nie musiałby się obawiać, że skupią się na chłopcu, który został zgwałcony i zamordowany, a do tego być może częściowo zjedzony.

– Wiem, co myślisz, Ralph, ale nie jestem twoim wrogiem. Chyba że zależy ci tylko na skazaniu Terry'ego i cała reszta ci zwisa, a w to nie uwierzę. Samuels jest taki, ty nie. Nie chcesz ustalić, co naprawdę się stało?

Ralph nie odpowiedział.

W holu, między ciężarną Betsy Riggins a Yune'em Sablo, czekała Marcy Maitland – bardzo drobna w porównaniu z nimi. Kiedy na widok męża ruszyła naprzód, Riggins próbowała ją zatrzymać, ale Marcy bez trudu się wyrwała. Sablo tylko stał i patrzył. Marcy zdążyła spojrzeć Terry'emu w twarz i pocałować go w policzek, zanim Mitchell złapał ją za ramiona i delikatnie, ale stanowczo odepchnął w stronę szeryfa, który wciąż trzymał kamizelkę kuloodporną, jakby nie wiedział, co z nią zrobić.

– Pani Maitland, bardzo proszę – upomniał Mitchell. – Tak nie wolno.

– Kocham cię, Terry! – zawołała Marcy, kiedy strażnicy poprowadzili jej męża do wyjścia. – Dziewczynki przesyłają uściski.

– I nawzajem, z podwójną mocą – odparł Terry. – Przekaż im, że wszystko będzie dobrze.

I oto był na zewnątrz, w prażącym porannym słońcu, pod ostrzałem dwudziestu kilku pytań rzuconych jednocześnie. W uszach Ralpha, który jeszcze był w holu, kakofonia głosów brzmiała raczej jak grad obelg niż wołanie o odpowiedzi.

Musiał to przyznać Howiemu: był nieustępliwy. Jeszcze się nie poddał.

– Jesteś jednym z tych dobrych. Nigdy nie wziąłeś w łapę, nie majstrowałeś przy dowodach, zawsze byłeś uczciwy.

Chociaż wczoraj sam o mało co nie zniszczyłem dowodu, pomyślał. Było blisko. Gdyby nie Sablo, gdybym był sam z Samuelsem…

Mina Howiego była niemal błagalna.

– Nigdy nie miałeś do czynienia z taką sprawą. Jak my wszyscy. I nie chodzi już tylko o tego chłopca. Jego matka też nie żyje.

Ralph, który tego ranka nie włączył telewizora, zatrzymał się i wbił wzrok w Howiego.

– Coś ty powiedział?

Howie skinął głową.

– Wczoraj. Atak serca. To czyni ją ofiarą numer dwa. Powiedz więc: nie chcesz poznać prawdy? Nie chcesz załatwić tego, jak należy?

Ralph nie mógł się dłużej powstrzymać.

– Ja znam prawdę. I z tego powodu powiem ci coś gratis, Howie. Telefon, który przed chwilą odebrałem, był od doktora Bogana z zakładu patologii i serologii Szpitala Ogólnego. Nie ma jeszcze wszystkich wyników badań DNA, przyjdą najwcześniej za parę tygodni, ale uwinęli się już z próbką spermy z ud chłopca. Jest zgodna z wymazami z policzków, które pobraliśmy w sobotę wieczorem. Twój klient zabił Franka Petersona, zerżnął go w dupę i rozszarpał zębami. A to wszystko tak go podnieciło, że spuścił się na trupa.

Odszedł szybkim krokiem, zostawiając Howiego Golda, chwilowo niezdolnego się ruszyć ani odezwać. I dobrze, bo główny paradoks sprawy pozostał nierozwiązany. DNA nie kłamie. Ale współpracownicy Terry’ego też nie – Ralph był tego pewien. Do tego dochodziły odciski palców na książce z kiosku i wideo z Channel 81.

Ralph Anderson nie mógł pogodzić jednego z drugim i to doprowadzało go do szału.

2

Do dwa tysiące piętnastego roku sąd okręgu Flint znajdował się obok aresztu okręgowego. Tak było wygodnie; osadzonych, których czekało postawienie w stan oskarżenia, po prostu przeprowadzano z jednego gotyckiego kamiennego gmaszyska do drugiego niczym wyrośnięte dzieci zabrane na wycieczkę (tyle że, oczywiście, dzieci na wycieczkach zazwyczaj nie skuwa się kajdankami). Teraz obok aresztu trwała budowa centrum obywatelskiego i zatrzymanych trzeba było przewozić do oddalonego o sześć przecznic nowego sądu – ośmiopiętrowej szklanej budy, którą dowcipnisie przezwali Kurnikiem.

Przy krawężniku przed aresztem czekały dwa radiowozy gotowe do odjazdu – z włączonymi kogutami, krótki niebieski autobus i lśniący czarny SUV Howiego. Na chodniku obok tego ostatniego, wyglądający jak szofer w swoim ciemnym garniturze i jeszcze ciemniejszych okularach, stał Alec Pelley. Po drugiej stronie ulicy, za drewnianymi barierkami ustawionymi przez policję, zebrali się reporterzy, kamerzyści i mała grupa gapiów. Kilku przyniosło transparenty. Jeden głosił: „Czapa dla mordercy dziecka”. Inny: „Maitland, będziesz się smażył w piekle”. Marcy zatrzymała się na najwyższym stopniu i z przerażeniem patrzyła na te hasła.

Oficerowie służby więziennej stanęli u podnóża schodów. Ich rola się skończyła. Szeryf Doolin i zastępca prokuratora okręgowego Gilstrap, ludzie formalnie przewodzący dzisiejszemu rytuałowi prawnemu, zaprowadzili Terry’ego do pierwszego radiowozu. Ralph i Yunel Sablo skierowali się do drugiego. Howie wziął Marcy za rękę i poprowadził ją do swojego escalade’a.

– Nie podnoś wzroku. Nie pokazuj fotografom nic oprócz czubka swojej głowy.

– Te transparenty… Howie, te transparenty…

– Nie myśl o nich, po prostu idź.

Ze względu na upał okna niebieskiego autobusu były otwarte. Przewożeni nim aresztanci, głównie weekendowe rozrabiaki mające stanąć przed sądem za drobne przestępstwa, dostrzegli Terry'ego. Przycisnęli twarze do drucianej siatki i zaczęli szydzić:

– Te, pedał!

– Nie zwichnąłeś sobie kutasa w jego dupie?

– Czeka cię zastrzyk, Maitland!

– Possałeś mu fiuta, zanim go odgryzłeś?

Alec obszedł escalade'a i stanął przy drzwiach pasażera, ale Howie pokręcił głową i pokazał na tylne siedzenie od strony krawężnika. Chciał trzymać Marcy możliwie najdalej od tłumu po drugiej stronie ulicy. Miała spuszczoną głowę, włosy zasłaniały jej twarz, ale kiedy prowadził ją do drzwi otwartych przez Aleca, nawet wśród ogólnego tumultu słyszał, jak szlocha.

– Pani Maitland! – wydarł się jakiś reporter zza drewnianej barierki. – Powiedział pani, że to zrobi? Próbowała go pani powstrzymać?

– Nie podnoś wzroku, nie odpowiadaj – rzucił Howie. Żałował, że nie mógł jej powiedzieć, żeby nie słuchała. – Wszystko jest pod kontrolą. Wsiadasz i jedziemy.

Wpychając ją do środka, usłyszał nad uchem szept Aleca:

– Pięknie, co? Połowa miejskiej policji na urlopach, a nieustraszony szeryf okręgu Flint ledwo daje radę utrzymać porządek na festynie dobroczynnym.

– Zawieź nas na miejsce – powiedział Howie. – Pojadę z tyłu, z Marcy.

Kiedy Alec usiadł za kierownicą i wszystkie drzwi się zamknęły, krzyki dziennikarzy, gapiów i aresztantów stały się stłumione. Radiowozy i niebieski autobus zjeżdżały przed escalade'em na ulicę, pomału jak kondukt pogrzebowy. Alec ruszył za nimi. Howie widział reporterów, którzy gnali chodnikiem, nie bacząc na upał, żeby dotrzeć pod Kurnik przed Terrym. Wozy transmisyjne na pewno

czekały już przed sądem, zaparkowane jeden za drugim jak stado pasących się mastodontów.

– Nienawidzą go – szepnęła Marcy. Delikatny makijaż, który nałożyła, głównie po to, żeby ukryć wory pod oczami, rozmazał się, upodabniając ją do szopa. – Tyle dobrego zrobił dla tego miasta, a teraz oni wszyscy go nienawidzą.

– To się zmieni, kiedy wielka ława przysięgłych oddali zarzuty – zapewnił Howie. – A tak się stanie. Ja to wiem, Samuels też.

– Jesteś pewien?

– Tak. Marcy, w niektórych sprawach trudno znaleźć choć jeden szczegół budzący uzasadnioną wątpliwość. Ta cała się na nich opiera. Wielka ława przysięgłych nie ma prawa postawić go w stan oskarżenia.

– Nie o to pytałam. Czy jesteś pewien, że ludzie zmienią zdanie?

– Oczywiście, że tak.

W lusterku wstecznym zobaczył, że Alec skrzywił się na te słowa, ale kłamstwo czasem jest konieczne, a to była jedna z takich okazji. Dopóki nie znajdą prawdziwego zabójcy Franka Petersona – o ile to w ogóle możliwe – całe Flint City będzie uważało, że Terry Maitland ograł system i wywinął się od zabójstwa. I ludzie będą go stosownie traktować. Na razie jednak Howie mógł się skupić tylko na tym, co za chwilę wydarzy się w sądzie.

3

Dopóki Ralph zajmował się prozaicznymi, codziennymi sprawami, na przykład decydowaniem o tym, co zje na kolację, zakupami z Jeannie, wieczornymi telefonami od Dereka z obozu (ostatnio rzadszymi, bo chłopak już mniej tęsknił za domem), wszystko było z grubsza w porządku. Kiedy jednak skupiał się na Terrym – a teraz nie miał innego wyjścia – uruchamiało się w nim coś w rodzaju nadświadomości, jakby jego umysł próbował przekonać sam siebie, że wszystko jest tak jak zawsze: czarne jest czarne, białe jest białe, a kropelki potu pod nosem to tylko skutek jazdy w upalny dzień źle klimatyzowanym samochodem. Każdym dniem trzeba się delektować, bo życie jest krótkie – rozumiał to, ale co za dużo, to niezdrowo. Gdy zanika filtr umysłu, razem z nim przepada zdolność postrzegania szerszego obrazu. Nie ma lasu, tylko drzewa. W skrajnym przypadku nie ma nawet drzew. Jest tylko kora.

Kiedy mała procesja dotarła przed gmach sądu okręgowego, Ralph zatrzymał się tuż za szeryfem, tak blisko, że dostrzegał wszystkie gorące punkciki światła słonecznego na tylnym zderzaku radiowozu Doolina: w sumie cztery. Nadciągający reporterzy przebijali się przez tłum dwa razy większy od tego, który czekał pod aresztem okręgowym. Cisnęli się, ramię przy ramieniu, na trawniku po bokach schodów. Ralph widział logo różnych stacji na koszulkach polo członków ekip telewizyjnych i ciemne kręgi potu pod ich pachami. Nadbiegła ładna blondwłosa prezenterka Channel 7 z Cap City; miała splątane włosy, a strużki potu żłobiły makijaż godny tancerki rewiowej.

Tutaj też ustawiono drewniane barierki, ale część już się przekrzywiła pod naporem tłumu. Tuzin policjantów, połowa z miasta, połowa od szeryfa, usiłowało trzymać ludzi z dala od schodów i chodnika. Dwunastu nie wystarczy, oszacował Ralph w duchu, zdecydowanie nie, ale latem obsada zawsze jest przerzedzona.

Reporterzy walczyli o najlepsze miejsca na trawniku, bezceremonialnie odpychając gapiów łokciami. Blondwłosa prezenterka Channel 7 próbowała utorować sobie drogę uśmiechem, znanym w tych okolicach; za swój trud została nagrodzona ciosem wymierzonym naprędce skleconym transparentem. Przedstawiał strzykawkę nieudolnie narysowaną pod hasłem: „Maitland, zażyj swoje lekarstwo". Kamerzysta Channel 7 odepchnął faceta z transparentem i przy okazji potrącił ramieniem starszą panią, która zachwiała się na nogach. Inna kobieta podtrzymała ją i przywaliła kamerzyście torebką w głowę. Torebka, zauważył Ralph (w tej chwili dostrzegał takie szczegóły, nic nie mógł na to poradzić), była czerwona, z imitacji skóry aligatora.

– Jakim cudem sępy tak szybko tu dotarły? – dziwił się Sablo. – Kurczę, zasuwają szybciej niż karaluchy po zapaleniu światła.

Ralph tylko pokręcił głową, patrząc na tłum z narastającym przerażeniem; usiłował zobaczyć go jako całość, teraz jednak, w stanie wzmożonej czujności, nie był do tego zdolny. Kiedy szeryf Doolin wysiadł z radiowozu (jego brązowa koszula od munduru po jednej stronie, nad pasem z koalicyjką, wyszła ze spodni; w powstałej szczelinie widać było wałek różowego sadła) i otworzył tylne drzwi Terry'emu, ktoś zaczął krzyczeć: „Zastrzyk, zastrzyk!".

Tłum podchwycił hasło, dziesiątki gardeł skandowały jak na meczu:

– Zastrzyk! Zastrzyk! Zastrzyk!

Terry patrzył na nich. Jeden kosmyk starannie uczesanych włosów opadł mu na lewą brew (Ralph był przekonany, że mógłby policzyć w nim wszystkie pojedyncze włosy). Twarz Terry'ego wyrażała bolesne zdumienie. Widzi ludzi, których zna, pomyślał Ralph. Ludzi, których dzieci uczył, ludzi, których dzieci trenował, ludzi, których podejmował w swoim domu na grillu z okazji końca rozgrywek. I wszyscy oni życzą mu śmierci.

Jedna z barierek przewróciła się z trzaskiem na ulicę, poprzeczka odpadła. Ludzie wypadli na chodnik. Było wśród nich tylko kilku reporterów z mikrofonami i notesami – resztę stanowili miejscowi, którzy wyglądali na gotowych powiesić Terry'ego Maitlanda na najbliższej latarni. Dwaj gliniarze podbiegli i odepchnęli ich, niezbyt delikatnie. Trzeci zajął się stawianiem nowej barierki, co pozwoliło pozostawionej bez nadzoru grupie gapiów przerwać blokadę w innym miejscu. Ralph dostrzegł chyba ze dwadzieścia telefonów komórkowych, jedne filmowały, inne robiły zdjęcia.

– Chodź – powiedział do Sabla. – Trzeba go wprowadzić do środka, zanim, kurde, zablokują schody.

Wysiedli i pospieszyli do schodów sądu. Sablo ponaglał gestami Doolina i Gilstrapa. Ralph zauważył Billa Samuelsa stojącego za drzwiami sądu ze zdumioną miną… ale co go tak zdumiało? Jak mógł nie przewidzieć, że tak się stanie? Jak szeryf Doolin mógł tego nie przewidzieć? Nie żeby sam Ralph był bez winy – dlaczego nie nalegał, żeby wprowadzili Terry'ego tylnym wejściem, z którego korzysta większość pracowników sądu?

– Cofnijcie się, ludzie! – krzyknął. – Taka jest procedura! Pozwólcie wymiarowi sprawiedliwości robić, co do niego należy!

Gilstrap i szeryf prowadzili Terry'ego w stronę schodów – jeden pod jedno, drugi pod drugie ramię. Ralph zdążył zauważyć (znowu) okropną marynarkę w szkocką kratę Gilstrapa. Zastanawiał się, czy to żona mu ją wybrała. Jeśli tak, musiała go skrycie nienawidzić. W tej chwili aresztanci z krótkiego autobusu – którzy mieli czekać w rosnącym upale, kisząc się we własnym pocie, dopóki z sądu nie wyjdzie główny bohater dnia – dodali swoje głosy do ogólnego rozgardiaszu, niektórzy skandowali: „Zastrzyk, zastrzyk!", inni tylko szczekali jak psy albo wyli jak kojoty, tłukąc pięściami w siatkę przesłaniającą otwarte okna.

Ralph odwrócił się do escalade'a i podniósł otwartą dłoń w geście „stój"; chciał, żeby Howie i Alec Pelley zatrzymali Marcy na miejscu, dopóki Terry nie wejdzie do środka i tłum się nie uspokoi. Nic z tego. Tylne drzwi od strony ulicy otworzyły się i wysiadła. Uchyliła ramię przed sięgającą do niej dłonią Howiego Golda z taką samą łatwością, z jaką wyrwała się Betsy Riggins w holu aresztu okręgowego. Kiedy

pobiegła do męża, Ralph zauważył jej buty na niskich obcasach i zacięcie od maszynki do golenia na łydce. Ręka musiała jej zadrżeć, pomyślał. Zawołała Terry'ego po imieniu i wszystkie kamery skierowały się na nią. Było ich pięć, o obiektywach jak szkliste oczy. Ktoś rzucił w nią książką. Ralph nie mógł odczytać tytułu, ale poznał charakterystyczną zieloną okładkę. *Idź, postaw wartownika* Harper Lee. Lektura jego żony na jedno ze spotkań klubu książkowego. Obwoluta zsunęła się z okładki, jedno skrzydełko trzepotało. Książka odbiła się od ramienia Marcy, która chyba nawet tego nie zauważyła.

– Marcy! – krzyknął Ralph, opuszczając swoje stanowisko przy schodach. – Marcy, tutaj!

Rozejrzała się, może go wypatrując, może nie. Wyglądała jak śniąca na jawie. Na dźwięk imienia żony Terry znieruchomiał, odwrócił się i ani drgnął, kiedy szeryf Doolin pociągnął go w stronę schodów.

Howie dopadł Marcy przed Ralphem. Kiedy wziął ją pod ramię, rosły facet w kombinezonie mechanika przewrócił barierkę i rzucił się ku nim.

– Kryłaś go, parszywa pizdo? Kryłaś go?!

Howie miał sześćdziesiąt lat, ale trzymał formę. I nie był strachliwy. Na oczach Ralpha ugiął kolana i wbił ramię w prawą stronę brzucha faceta, odtrącając go na bok.

– Pomogę ci – powiedział Ralph.

– Dam sobie radę – rzucił Howie. Jego twarz była rumiana aż do mocno cofniętej linii włosów. Obejmował Marcy w pasie. – Nie chcemy twojej pomocy. Wprowadźcie go do środka i tyle. Już! Jezu, człowieku, co wam do łbów strzeliło? Przecież to cyrk!

To cyrk szeryfa, nie mój – Ralph miał te słowa na końcu języka, tyle że sam też przyłożył do tego cyrku rękę. A Samuels? Czy przewidział, co się stanie? Może nawet na to liczył, żądny rozgłosu w mediach?

Odwrócił się w porę, by zobaczyć, jak mężczyzna w kowbojskiej koszuli ominął policjanta, przebiegł sprintem po chodniku i napluł Terry'emu w twarz. Zanim zdążył uciec, Ralph podłożył mu nogę i facet runął jak długi na ulicę. Na dżinsach miał naszywkę „Levi's Boot Cut". Tylną kieszeń znaczył wyblakły krąg od puszki tytoniu do

żucia Skoal. Ralph wymierzył palec w jednego z gliniarzy pilnujących tłumu.

– Skuj tego człowieka i wsadź do radiowozu.

– Wszystkie ra-radiowozy są na ty-tyłach – wyjąkał policjant. Jeden z ludzi szeryfa, z wyglądu niewiele starszy od syna Ralpha.

– To wsadź go do autobusu!

– Ale jeśli zostawię tych ludzi bez…

Reszta Ralphowi umknęła, bo nagle dostrzegł coś niezwykłego. W czasie, gdy Doolin i Gilstrap wpatrywali się w gapiów, Terry pomógł facetowi w kowbojskiej koszuli podnieść się z ziemi. Powiedział mu coś, czego Ralph nie usłyszał, mimo że jego słuch wydawał się wyczulony na każdy dźwięk we wszechświecie. Facet w kowbojskiej koszuli skinął głową i odszedł, ocierając ramieniem zadrapany policzek. Później Ralph miał pamiętać ten krótki epizod całego przedstawienia. Będzie o tym głęboko rozmyślał w długie, bezsenne noce: Terry skutymi dłońmi pomógł facetowi wstać, gdy ślina jeszcze ściekała mu po policzku. Scena jak z pieprzonej Biblii.

Grupa gapiów zmieniła się w tłum, który lada chwila mógł się przekształcić w motłoch. Niektórzy, mimo wysiłków powstrzymującej ich policji, przedarli się na dwadzieścia parę granitowych stopni prowadzących do drzwi sądu. Z budynku wyszło dwoje strażników – tęgi mężczyzna i cherlawa kobieta. Próbowali usunąć ludzi ze schodów. Część się wycofała, jednak ich miejsca zaraz zajęli inni.

W tej chwili, Boże, chroń królową, Gilstrap i Doolin zaczęli się kłócić. Gilstrap chciał wsadzić Terry’ego z powrotem do radiowozu, dopóki policja nie przywróci porządku. Doolin przeciwnie, żądał, żeby natychmiast wprowadzić go do sądu. Ralph wiedział, że to szeryf ma rację.

– Chodźcie – powiedział do nich. – Ja i Yune pójdziemy przodem.

– Wyciągnijcie broń – wysapał Gilstrap. – Od razu zejdą nam z drogi.

Oczywiście to było nie tylko sprzeczne z przepisami, ale i szalone, Doolin z Ralphem dobrze o tym wiedzieli. Szeryf i zastępca prokuratora okręgowego znów zaczęli się posuwać naprzód, prowadząc Terry’ego pod ramiona. Dobrze, że chodnik u podnóża schodów był pusty. Ralph widział drobinki miki lśniące w cemencie.

Kiedy wejdziemy do środka, zostaną po nich powidoki, pomyślał. Będą wisiały mi przed oczami jak mała konstelacja gwiazd.

Niebieski autobus zaczął się kołysać na resorach – rozochoceni aresztanci rzucali się z boku na bok, wciąż skandując „Zastrzyk, zastrzyk!" razem z całą gawiedzią. Dwaj młodzi mężczyźni tańczyli przy wtórze skowytu autoalarmu na czyimś, dotąd nieskazitelnie czystym, camaro – jeden na masce, drugi na dachu. Ralph zobaczył kamery filmujące tłum. Doskonale wiedział, jak obywatele jego miasta będą wyglądali w oczach reszty stanu, kiedy ten materiał zostanie pokazany w wiadomościach o szóstej; jak hieny. Wszyscy wyraźnie odcinali się od tła, każdy miał groteskową minę. Zobaczył, jak blondwłosa prezenterka Channel 7 znów upada na kolana, uderzona transparentem ze strzykawką, zobaczył, jak dźwiga się na nogi, dotyka głowy i, z grymasem niedowierzania wykrzywiającym jej ładną twarz, patrzy na krople krwi na swoich palcach. Zobaczył mężczyznę z tatuażami na dłoniach i żółtą chustą na głowie, o rysach niemal doszczętnie zatartych, jak się zdawało, starymi bliznami po oparzeniach, na które chirurgia plastyczna nic nie poradziła. Pożar oleju, pomyślał Ralph. Może próbował po pijaku smażyć kotlety. Zobaczył mężczyznę, który wymachiwał kowbojskim kapeluszem, jakby był na rodeo w Cap City. Zobaczył, jak Howie prowadzi Marcy w stronę schodów – oboje mieli spuszczone głowy, jakby szli pod silny wiatr. Zobaczył kobietę, która wychyliła się do przodu i pokazała jej środkowy palec. Zobaczył mężczyznę z płócienną torbą gazeciarza i czapką dokerką nasuniętą na czoło pomimo upału. Zobaczył, jak tęgi strażnik sądowy traci równowagę, popchnięty od tyłu, i jak barczysta czarna kobieta łapie go za pasek, ratując przed upadkiem. Zobaczył nastolatka z dziewczyną siedzącą mu na barana. Dziewczyna ze śmiechem wymachiwała pięściami, jedno ramiączko stanika opadło jej na łokieć. Ramiączko było jaskrawożółte. Zobaczył chłopaka z rozszczepem wargi, w koszulce z uśmiechniętą twarzą Franka Petersona. „Pamiętajcie o ofierze", głosił tekst na koszulce. Zobaczył kiwające się transparenty. Zobaczył otwarte, krzyczące usta, białe zęby i aksamitne czerwone podniebienia. Usłyszał trąbienie klaksonu rowerowego: *tuut-tuut-*

tuut. Spojrzał na Sabla, który stał z rozłożonymi rękami, usiłując powstrzymywać ludzi, i wyczytał z jego twarzy: Przejebane.

Doolin i Gilstrap w końcu doprowadzili Terry'ego do podnóża schodów. Howie i Marcy dogonili ich. Howie krzyknął coś do zastępcy prokuratora okręgowego, coś innego do szeryfa. Ralph nie usłyszał jego słów pośród skandowania tłumu, ale jakkolwiek brzmiały, sprawiły, że obaj znów ruszyli przed siebie. Marcy wyciągnęła rękę do męża. Doolin ją odepchnął. Ktoś zaczął krzyczeć: „Giń, Maitland, giń!". Wszyscy podchwycili hasło, kiedy Terry i jego eskorta ruszyli w górę stromych schodów.

Spojrzenie Ralpha znów przyciągnął mężczyzna z płócienną torbą gazeciarza. „Czytaj »Flint City Call«", zachęcał nadruk; tworzące go czerwone litery wyblakły, jakby torba za długo była na deszczu. Mężczyzna, który miał na głowie czapkę dokerkę, mimo że temperatura sięgała już trzydziestu stopni. Mężczyzna, który w tej chwili włożył rękę do torby. Ralph nagle przypomniał sobie przesłuchanie pani Stanhope, staruszki, która widziała, jak Frank Peterson wsiada do białego vana z Terrym. „Jest pani pewna, że to był Frank Peterson?", zapytał. „O tak, powiedziała, to był Frank. Jest dwóch młodych Petersonów, obaj rudzi". Czy spod dokerki nie wystawały rude włosy?

„Kiedyś dostarczał nam gazetę", powiedziała pani Stanhope.

Dłoń mężczyzny w dokerce wysunęła się z torby. Nie miał w niej gazety.

Ralph wziął głęboki oddech i wyszarpnął swojego glocka.

– Broń! BROŃ!

Ludzie wokół Olliego rozpierzchli się z krzykiem. Zastępca prokuratora okręgowego Gilstrap trzymał Terry'ego za ramię, jednak gdy zobaczył starego kolta z długą lufą, zabrał rękę, przykucnął jak ropucha i wycofał się. Szeryf też puścił Terry'ego, ale po to, żeby dobyć własnej broni… a przynajmniej spróbować. Pasek kabury był zapięty, więc pistolet został na miejscu.

Ralph nie miał wolnej linii strzału. Blondwłosa prezenterka Channel 7, wciąż zamroczona ciosem w głowę, stała prawie dokładnie przed Olliem Petersonem. Krew ściekała po jej lewym policzku.

– Schyl się, kobieto, schyl się! – krzyknął Sablo. Przykląkł na jedno kolano, w prawej dłoni miał swojego glocka, lewą go podtrzymywał.

Terry chwycił żonę za przedramiona – łańcuch kajdanek okazał się wystarczająco długi – i odepchnął ją w tej samej chwili, kiedy Ollie strzelił nad ramieniem blondwłosej prezenterki. Kobieta pisnęła i przycisnęła dłoń do ucha, bez wątpienia ogłuszonego. Kula rozorała skroń Terry'ego, podrywając jego włosy do góry. Fontanna krwi trysnęła z rany na ramię marynarki, którą Marcy tak starannie wyprasowała.

– Mój brat ci nie wystarczył? Musiałeś zabić mi też mamę?! – wrzasnął Ollie i strzelił ponownie, tym razem trafiając w camaro po drugiej stronie ulicy. Młodzi mężczyźni, którzy na nim tańczyli, z krzykiem zeskoczyli na ziemię, szukając schronienia.

Sablo wbiegł na schody, złapał blondwłosą reporterkę, pociągnął ją w dół i położył się na niej.

– Ralph, Ralph, teraz! – krzyknął.

Ralph wreszcie miał wolną linię strzału, kiedy jednak pociągnął za spust, wpadł na niego jeden z uciekających gapiów. Zamiast trafić Olliego, kula uderzyła w kamerę telewizyjną, roztrzaskując obiektyw. Kamerzysta upuścił ją i zatoczył się do tyłu, zasłaniając twarz dłońmi. Krew przesączała mu się przez palce.

– Bydlak! – wrzasnął Ollie. – Morderca!

Strzelił po raz trzeci. Terry stęknął i cofnął się na chodnik. Podniósł skute dłonie do brody, jakby tknięty nagłą myślą, która wymagała głębszego zastanowienia. Marcy przypadła do niego i objęła go w pasie. Doolin dalej szarpał za opiętą paskiem kabury rękojeść broni służbowej. Gilstrap uciekał w głąb ulicy, z rozwianymi połami brzydkiej marynarki w szkocką kratę. Ralph starannie wycelował i strzelił. Tym razem nikt go nie potrącił. Czoło chłopca zapadło się jak uderzone młotkiem. Oczy wyszły mu z orbit w wyrazie zaskoczenia rodem z kreskówki, gdy nabój kalibru 9 milimetrów rozerwał jego mózg. Kolana ugięły się pod nim. Runął na swoją torbę gazeciarza, rewolwer wysunął mu się z palców i spadł ze stukotem dwa, trzy stopnie niżej, zanim znieruchomiał.

Teraz wreszcie możemy wejść po tych schodach, pomyślał Ralph, wciąż w pozycji do strzału. Problem rozwiązany, droga wolna. Tyle że

krzyk Marcy – „Niech ktoś mu pomoże! O Boże, niech ktoś pomoże mojemu mężowi!” – powiedział mu, że nie ma już powodu tam wchodzić. Ani dzisiaj, ani być może nigdy.

4

Pierwsza kula wysłana przez Olliego Petersona tylko rozorała bok głowy Terry'ego Maitlanda; krwawa, ale powierzchowna rana, po której zostałaby blizna i Terry do końca życia miałby o czym opowiadać. Trzecia jednak przebiła jego marynarkę po lewej stronie piersi i na koszuli pod nią rozlała się purpurowa plama.

Trafiłaby w kamizelkę, gdyby z niej nie zrezygnował, pomyślał Ralph.

Terry leżał na chodniku. Jego oczy były otwarte. Wargi się poruszały. Howie próbował ukucnąć obok niego, ale Ralph odepchnął go zamaszystym ruchem ręki. Adwokat przewrócił się na plecy. Marcy trzymała męża i bełkotała:

– Nie wygląda to źle, Ter, nic ci nie będzie, zostań z nami…

Ralph przyłożył nasadę dłoni do jej miękkiej, sprężystej piersi i ją też lekko odsunął. Terry Maitland jeszcze był przytomny, ale zostało mu mało czasu.

Padł na niego cień; jeden z tych cholernych kamerzystów jednej z tych cholernych stacji telewizyjnych. Yune Sablo objął go w pasie i odrzucił na bok; operator zaplątał się we własne nogi i upadł, trzymając kamerę w górze, żeby się nie uszkodziła.

– Terry… – Ralph widział krople potu kapiące z jego czoła na twarz rannego, gdzie mieszały się z krwią z jego rany. – Terry, nie wyjdziesz z tego. Rozumiesz mnie? Dostałeś i źle z tobą. Umrzesz.

– Nie! – wrzasnęła Marcy. – Nie, to niemożliwe! Dziewczynki potrzebują tatusia! On nie może umrzeć!

Próbowała się przecisnąć do Terry'ego, lecz tym razem przytrzymał ją Alec Pelley, blady i poważny. Howie podniósł się na kolana, ale nie

próbował przeszkodzić Ralphowi.

– W co… dostałem?

– W pierś, Terry. Trafił cię w serce albo tuż nad nim. Musisz wyznać prawdę, zanim umrzesz. Musisz mi powiedzieć, że zabiłeś Franka Petersona. Masz szansę oczyścić sumienie.

Terry się uśmiechnął; z kącików jego ust pociekły wąskie strużki krwi.

– Ale ja tego nie zrobiłem… – Jego głos był cichy, niewiele głośniejszy od szeptu, jednak doskonale słyszalny. – Nie zrobiłem tego, więc powiedz mi, Ralph… jak ty oczyścisz swoje?

Jego powieki opadły, po czym uniosły się z trudem. Przez chwilę coś się w nich tliło. Potem zgasło. Ralph przysunął palce do ust Terry'ego. Nic.

Odwrócił się do Marcy Maitland, co nie było łatwe, bo głowa mężczyzny zdawała się ważyć pół tony.

– Przykro mi – powiedział. – Twój mąż odszedł.

Szeryf Doolin westchnął z żalem.

– Gdyby włożył kamizelkę… – Pokręcił głową.

Wdowa spojrzała z niedowierzaniem na Doolina, ale to na Ralpha Andersona się rzuciła; strzępek jej bluzki został w lewej dłoni Aleca Pelleya, który nie zdołał jej utrzymać.

– To twoja wina! Gdybyś nie aresztował go publicznie, nie byłoby tu tych wszystkich ludzi! Równie dobrze mogłeś go sam zastrzelić!

Ralph pozwolił, żeby podrapała go po lewym policzku, po czym złapał ją za nadgarstki. Dał sobie utoczyć krwi – może mu się należało… gdzie tam może, na pewno.

– Marcy – odezwał się w końcu. – Twojego męża zastrzelił brat Franka Petersona, a on byłby tu bez względu na to, gdzie aresztowalibyśmy Terry'ego.

Alec Pelley i Howie Gold pomogli Marcy wstać, uważając, żeby nie nadepnąć na ciało jej męża.

– Może i racja, detektywie Anderson – powiedział Howie. – Ale nie byłoby razem z nim całego tego tłumu. Rzucałby się w oczy.

Alec tylko patrzył na Ralpha z pogardą. Ralph odwrócił się do Yunela, ale ten, unikając jego spojrzenia, schylił się, by pomóc wstać szlochającej blondwłosej prezenterce Channel 7.

– Cóż, przynajmniej dostałeś wyznanie, na które czekałeś. – Marcy wyciągnęła dłonie do Ralpha. Były czerwone od krwi jej męża. – Prawda? – Kiedy nie odpowiedział, odwróciła się od niego i zobaczyła Billa Samuelsa. W końcu wyszedł z sądu; stał między strażnikami u szczytu schodów. – Powiedział, że tego nie zrobił! – wrzasnęła do niego. – Powiedział, że był niewinny! Wszyscy to słyszeliśmy, ty sukinsynu! Mój umierający mąż POWIEDZIAŁ, ŻE BYŁ NIEWINNY!

Samuels odwrócił się bez słowa i wszedł z powrotem do budynku.

Syreny. Autoalarm camaro. Podekscytowany gwar ludzi, którzy teraz, kiedy strzały ucichły, wracali na miejsce zdarzenia. Chcieli zobaczyć ciało. Chcieli je sfotografować, a zdjęcia wrzucić na Facebooka. Marynarka, którą Howie nałożył na dłonie denata, żeby zasłonić kajdanki przed aparatami fotograficznymi i kamerami, leżała na ulicy, brudna, zachlapana krwią. Ralph podniósł ją i zakrył nią twarz Terry'ego, na co Marcy wydała z siebie przeraźliwy skowyt. Potem poszedł na schody sądu, usiadł i zwiesił głowę między kolanami.

KROKI I KANTALUPA

18–20 lipca

1

Ponieważ Ralph nie powiedział Jeannie o swoich najmroczniejszych podejrzeniach wobec prokuratora okręgu Flint – że być może liczył na ściągnięcie przed sąd tłumu słusznie oburzonych obywateli – wpuściła Billa Samuelsa, kiedy w środę rano stanął pod drzwiami Andersonów; dała mu jednak jasno do zrozumienia, że nie jest jej potrzebny do szczęścia.

– Siedzi za domem – powiedziała, odwróciła się i ruszyła z powrotem do salonu, gdzie w telewizorze Alex Trebek maglował uczestników teleturnieju *Jeopardy*. – Znasz drogę.

Samuels, tego wieczoru odziany w dżinsy, tenisówki i prostą szarą koszulkę, przez chwilę stał w przedpokoju zamyślony, po czym poszedł za nią. Przed telewizorem były dwa fotele – ten większy, bardziej wysiedziany, stał pusty. Wziął pilota ze stolika między nimi i ściszył dźwięk. Jeannie dalej patrzyła w ekran, na którym uczestnicy teleturnieju zmagali się z kategorią „literackie czarne charaktery". Pytanie brzmiało: „Żądała głowy Alicji".

– Łatwizna – stwierdził Samuels. – Czerwona Królowa. Jak on się ma, Jeannie?

– A jak myślisz?

– Przykro mi, że tak się potoczyło.

– Nasz syn dowiedział się, że jego ojciec został zawieszony. – Nie odrywała wzroku od telewizora. – Przeczytał o tym w internecie. Oczywiście mocno to nim wstrząsnęło, ale nie bardziej niż wiadomość, że jego ulubionego trenera zamordowano przed budynkiem sądu. Chce wrócić do domu. Poprosiłam, żeby poczekał

kilka dni, to może zmieni zdanie. Nie chciałam mu powiedzieć prawdy: że ojciec nie jest gotowy się z nim zobaczyć.

– Nie zawiesili go. Jest na urlopie administracyjnym. Płatnym. Tak każą przepisy w sytuacji, kiedy policjant kogoś zastrzeli.

– Ty wiesz swoje, ja wiem swoje. – Na ekranie pojawiło się kolejne zagadnienie: „Pielęgniarka, która nie życzyła sobie latania nad kukułczym gniazdem”. – Mówił, że może wrócić do pracy nawet za pół roku, a i to pod warunkiem, że zgodzi się na obowiązkowe badanie psychologiczne.

– Dlaczego miałby się nie zgodzić?

– Myśli, żeby to rzucić.

Ręka Samuelsa odruchowo powędrowała w stronę głowy, dziś jednak kogut nie sterczał, przynajmniej na razie, więc opadła z powrotem.

– Wobec tego może założymy razem firmę. W mieście brakuje dobrej myjni.

Dopiero teraz na niego spojrzała.

– O czym ty mówisz?

– Postanowiłem nie kandydować na drugą kadencję.

Obdarzyła go ostrym jak sztylet i równie wąskim uśmiechem, którego chyba nie rozpoznałaby nawet jej rodzona matka.

– Odchodzisz, zanim suweren cię zwolni?

– Jeśli wolisz to tak ująć.

– Pewnie, że wolę. Idź za dom, prokuratorze tymczasowy, i jeśli chcesz, zaproponuj mojemu mężowi spółkę. Tylko bądź gotowy na szybki unik.

2

Ralph siedział na krześle ogrodowym z piwem w ręku i styropianową lodówką turystyczną obok siebie. Obejrzał się, kiedy trzasnęły drzwi z moskitierą, spojrzał na Samuelsa, po czym znów skupił wzrok na wiązowcu rosnącym tuż za płotem.

– Kowalik. – Pokazał palcem. – Pierwszy, jakiego widzę od niepamiętnych czasów.

Drugiego krzesła nie było, więc Samuels opadł na ławę przy długim stole piknikowym. Siedział tu już kilka razy, w przyjemniejszych okolicznościach. Spojrzał na drzewo.

– Nie widzę.

– Tam leci – powiedział Ralph, kiedy mały ptak wzbił się w niebo.

– To raczej wróbel.

– Zbadaj sobie oczy. – Ralph sięgnął do styropianowej lodówki turystycznej i podał gościowi shinera.

– Jeannie wspomniała, że myślisz o przejściu na emeryturę.

Wzruszył ramionami.

– Jeśli się martwisz badaniem psychologicznym, zaliczysz je śpiewająco. Zrobiłeś, co musiałeś.

– Nie o to chodzi. Ani nawet nie o tego kamerzystę. Swoją drogą słyszałeś o nim? Kiedy kula, pierwsza, którą wystrzeliłem, trafiła jego kamerę, odłamki rozleciały się na wszystkie strony. Jeden wpadł mu w oko.

Samuels wiedział o tym, ale milczał; sączył piwo, choć nie znosił shinera.

– Pewnie je straci – ciągnął Ralph. – Lekarze z Instytutu Deana McGee w Oklahoma City robią, co mogą, ale sprawa jest raczej

beznadziejna. Myślisz, że jednooki kamerzysta może dalej pracować w swoim zawodzie? To prawdopodobne, możliwe czy wykluczone?

– Ralph, ktoś wpadł na ciebie, kiedy oddałeś strzał. Gdyby koleś nie miał kamery na wysokości twarzy, teraz pewnie by nie żył. Taki jest plus.

– Taa, do dupy z takimi plusami. Zadzwoniłem do jego żony, żeby przeprosić. Powiedziała: „Pozwiemy policję Flint City o dziesięć milionów dolarów, a jak wygramy, zabierzemy się za ciebie". I odłożyła słuchawkę.

– To nie przejdzie. Peterson był uzbrojony, ty wykonywałeś swoje obowiązki.

– Tak jak ten kamerzysta.

– To nie to samo. On miał wybór.

– Nie, Bill. – Ralph obrócił się na krześle. – Miał robotę do wykonania. A to był kowalik, do jasnej cholery.

– Ralph, posłuchaj mnie. Maitland zabił Franka Petersona. Brat Petersona zabił Maitlanda. Większość ludzi uważa, że sprawiedliwości stało się zadość, i co w tym dziwnego? Tak się te sprawy załatwiało na Dzikim Zachodzie, a jeszcze całkiem niedawno Dziki Zachód był tutaj.

– Terry powiedział, że tego nie zrobił. Takie były jego ostatnie słowa.

Samuels wstał i zaczął chodzić w tę i z powrotem.

– Co innego miał powiedzieć, kiedy żona klęczała przy nim i wypłakiwała oczy? „Ano tak, rzeczywiście, zerżnąłem małego i go pogryzłem, niekoniecznie w tej kolejności, a na deser się na niego spuściłem"?

– Jest sporo dowodów potwierdzających, że mówił prawdę.

Samuels podszedł do Ralpha sztywnym krokiem i spojrzał na niego z góry.

– Próbka spermy zawierała jego pieprzone DNA, a DNA bije wszystko. Terry go zabił. Nie wiem, jak ukartował całą resztę, ale taka jest prawda.

– Przyszedłeś tu przekonać mnie czy siebie?

– Mnie przekonywać nie trzeba. Przyszedłem po to, żeby ci powiedzieć, że znamy nazwisko pierwotnego złodzieja białego

econoline’a.

– Czy to w tym momencie ma jakiekolwiek znaczenie? – rzucił Ralph, ale Samuels nareszcie dostrzegł w jego oczach błysk zainteresowania.

– Jeśli pytasz, czy rzuca nowe światło na ten burdel, odpowiedź brzmi: „nie”. Ale historia jest fascynująca. Chcesz ją usłyszeć?

– Jasne, że chcę.

– Vana ukradł dwunastoletni chłopak.

– Żartujesz?

– Nie. Był w trasie przez ładnych kilka miesięcy. Dojechał aż do El Paso, zanim wpadł na parkingu Walmarta, gdzie zdrzemnął się w skradzionym buicku. W sumie ukradł cztery auta, ale van był pierwszy. Dotarł nim do Ohio, tam go porzucił i przesiadł się do innego samochodu. Zostawił kluczyk w stacyjce, tak jak myśleliśmy. – Samuels mówił o tym z pewną dumą i Ralph uznał, że ma do tego prawo; miło, że potwierdziła się przynajmniej jedna z ich hipotez.

– Ale nadal nie wiemy, skąd ten wóz wziął się tutaj, prawda? – Coś jednak nie dawało Ralphowi spokoju. Jakiś drobny szczegół.

– Fakt. To po prostu jedna zagadka, która zagadką już nie jest. Pomyślałem, że pewnie chciałbyś to wiedzieć.

– A zatem już wiem.

Samuels wziął łyk piwa i odstawił puszkę na stół piknikowy.

– Nie będę kandydował na drugą kadencję.

– Nie?

– Nie. Niech ten leniwy pierdoła Richmond weźmie tę robotę; zobaczymy, czy ludzie będą nim zachwyceni, kiedy odrzuci osiemdziesiąt procent spraw, które wylądują na jego biurku. Powiedziałem o tym twojej żonie. Nie okazała szczególnie głębokiego współczucia.

– Jeśli sądzisz, że jej wmawiam, że to wszystko twoja wina, Bill, mylisz się. Nie powiedziałem o tobie złego słowa. Bo i po co? To był mój pomysł, żeby aresztować go na tym pieprzonym meczu, i tak powiem szpiclom z wydziału spraw wewnętrznych, kiedy w piątek się z nimi spotkam.

– Niczego innego od ciebie nie oczekuję.

– Ale jak już być może wspomniałem, raczej nie próbowałeś mi tego wyperswadować.

– Uważaliśmy, że jest winny. Nadal tak uważam, niezależnie od tego, co powiedział przed śmiercią. Nie sprawdziliśmy jego alibi, bo zna wszystkich w tym cholernym mieście i nie chcieliśmy go spłoszyć…

– Poza tym uznaliśmy, że szkoda czasu, i, kurczę, aleśmy się pomylili…

– Dobrze, masz, kurwa, świętą rację. Uważaliśmy też, że jest wyjątkowo niebezpieczny, zwłaszcza dla młodych chłopców, a w tamten sobotni wieczór był nimi otoczony.

– Powinniśmy byli wprowadzić go do sądu tylnym wejściem. Powinienem był tego zażądać.

Samuels potrząsnął głową tak gwałtownie, że kogut poderwał się i stanął na baczność.

– Nie bierz tego na siebie. Za transport z aresztu do sądu odpowiada szeryf. Nie miasto.

– Doolin by mnie posłuchał. – Ralph wrzucił pustą puszkę do lodówki turystycznej i spojrzał na Samuelsa. – I posłuchałby ciebie. Myślę, że o tym wiesz.

– Było, minęło. Mleko się rozlało czy jak to się mówi. Nie zostało nam nic do zrobienia. Śledztwo formalnie może nadal będzie otwarte, ale…

– „Otwarte, ale nieaktywne” według oficjalnej terminologii. I takie pozostanie, nawet jeśli Marcy Maitland wytoczy nam sprawę cywilną pod pretekstem, że jej mąż zginął w wyniku naszego zaniedbania. Kto wie, czyby nie wygrała.

– Mówiła, że to zrobi?

– Nie wiem. Na razie nie wykrzesałem z siebie dość odwagi, żeby z nią porozmawiać. Spytaj Howiego, pewnie zna jej zamiary.

– Może rzeczywiście z nim pogadam. Spróbuję trochę uspokoić wzburzone wody.

– Pan prokurator jest dziś istną skarbnicą mądrych powiedzonek.

Samuels wziął swoją puszkę piwa, ale odstawił ją z lekkim grymasem, gdy zobaczył Jeannie Anderson. Stała przy kuchennym oknie i patrzyła na nich nieruchomo, z nieprzeniknioną twarzą.

– Moja matka prenumerowała „Fate”. – Uśmiechnął się pod nosem. – To było takie pisemko pełne opowieści o duchach, kręgach w zbożu, UFO i Bóg wie czym jeszcze. Mama czytała mi niektóre, kiedy byłem mały. Jedna szczególnie mnie zafascynowała. *Kroki na piasku*, taki miała tytuł. Była o parze nowożeńców, którzy spędzali miesiąc miodowy na pustyni Mojave. Pod namiotem, rozumiesz. Cóż, pewnej nocy biwakowali w kępie topoli i kiedy młoda małżonka rano się obudziła, męża nie było. Wyszła z kępy na piasek i zobaczyła jego ślady. Zawołała go, ale nie było odzewu.

Ralph wydał dźwięk jak z filmu grozy:

– Uuuuu-uuuu.

– Poszła więc za śladami na pierwszą wydmę, potem na drugą. Ślady były coraz świeższe. Doprowadziły ją na trzecią wydmę…

– A potem na czwartą i piątą! – powiedział Ralph głosem pełnym trwogi. – I tak idzie po dziś dzień! Bill, wybacz, że skracam twoją opowieść z dreszczykiem, ale chyba zjem kawałek ciasta, wezmę prysznic i pójdę spać.

– Nie, słuchaj dalej. Dotarła tylko na trzecią wydmę. Po jej drugiej stronie ślady schodziły w dół i nagle się urywały. Mimo że dookoła nie było nic oprócz hektarów piachu. Nigdy więcej nie zobaczyła męża.

– I ty w to wierzysz?

– Nie, jestem pewien, że to bujda, ale wiarygodność tej historii nie ma tu nic do rzeczy. To taka przenośnia. – Samuels próbował przygładzić sterczącego koguta. Kogut się nie dał. – Poszliśmy za śladami Terry’ego, bo taką mamy pracę. Taki obowiązek, jeśli wolisz. Podążaliśmy za nimi dotąd, aż w poniedziałek rano się urwały. Czy ta sprawa jest zagadkowa? Tak. Czy pozostaną po niej pytania, na które nigdy nie poznamy odpowiedzi? Tak, chyba że spadną nam z nieba nowe, nadzwyczajne informacje. Tak to czasem jest. To dlatego ludzie do dziś dociekają, co się stało z Jimmym Hoffą. Dlatego wciąż próbują ustalić, jaki los spotkał załogę „Mary Celeste”. I spierają się o to, czy Oswald działał w pojedynkę, kiedy zastrzelił Kennedy’ego. Ślady czasem się urywają i musimy z tym żyć.

– Jest jedna spora różnica – zauważył Ralph. – Kobieta z twojej historii mogła wierzyć, że jej mąż wciąż gdzieś tam żyje. Mogła trwać

w tym przekonaniu nawet jako staruszka, już niemłoda małżonka. Kiedy jednak Marcy dotarła w miejsce, gdzie urywały się ślady jej męża, miała Terry'ego przed oczami, martwego na chodniku. Jutro go pochowa według nekrologu wydrukowanego w dzisiejszej gazecie. Domyślam się, że na pogrzeb przyjdą tylko ona i jej córki. Nie licząc, oczywiście, stada sępów, wykrzykujących pytania i pstrykających zdjęcia.

Samuels westchnął.

– Dość tego. Idę do domu. Powiedziałem ci o tym dzieciaku… nawiasem mówiąc, nazywa się Merlin Cassidy… Widzę jednak, że nie chcesz słuchać.

– Nie, poczekaj, usiądź jeszcze na chwilę – zatrzymał go Ralph. – Opowiedziałeś mi historię, teraz kolej na mnie. Tyle że moja nie pochodzi z jakiegoś pisemka dla miłośników parapsychologii. To coś, co spotkało mnie osobiście. Każde słowo jest zgodne z prawdą.

Samuels opuścił się z powrotem na ławę.

– Kiedy ja byłem mały – podjął Ralph – to znaczy miałem dziesięć, może jedenaście lat, czyli mniej więcej tyle, co Frank Peterson, mama czasem przynosiła do domu kantalupy. W sezonie kupowała je na targu. Uwielbiałem kantalupy. Mają taki słodki, treściwy smak, arbuz się chowa. Pewnego dnia przyniosła trzy, może cztery kantalupy w plecionej siatce i spytałem ją, czy mogę sobie wziąć kawałek. „Oczywiście", odparła. „Tylko pamiętaj, żeby zeskrobać pestki do zlewu". Właściwie nie musiała mi tego mówić, bo do tego czasu pokroiłem już niejedną kantalupę. Na razie nadążasz?

– Uhm. Zgaduję, że się skaleczyłeś?

– Nie, ale mama tak pomyślała, bo wydarłem się, że pewnie sąsiedzi usłyszeli. Przyleciała biegiem, a ja pokazałem jej palcem kantalupę, która leżała na blacie przekrojona na pół. Była pełna larw i much. Dosłownie jedno wielkie kłębowisko wijących się robali. Mama złapała za raida i spryskała te, które wypadły na blat. Potem chwyciła ścierkę do naczyń, zawinęła w nią obie połówki i wyrzuciła do wiadra z pomyjami, które stało za domem. Od tego czasu nie mogę patrzeć na kantalupy, a co dopiero je jeść. Tak w przenośni mogę opisać sprawę Terry'ego Maitlanda, Bill. Kantalupa wyglądała normalnie. Nie była gąbczasta. Łupina była nienaruszona.

Teoretycznie robale nie mogły się dostać do środka, a jednak jakoś to zrobiły.

– Chrzanię twoją kantalupę – mruknął Samuels. – I chrzanię twoją przenośnię. Idę do domu. Zastanów się, zanim rzucisz robotę, Ralph, dobra? Twoja żona powiedziała, że odchodzę, zanim suweren mnie zwolni, i pewnie ma rację. Ty jednak nie musisz stanąć przed wyborcami, tylko przed trzema emerytowanymi gliniarzami, którzy w tym mieście pełnią funkcję, pożal się Boże, wydziału spraw wewnętrznych, i przed psychologiem, który bierze grosze od władz miasta, żeby dorobić do ledwo zipiącej prywatnej praktyki. I weź pod uwagę coś jeszcze: jeśli odejdziesz, ludzie uznają to za kolejny dowód, że spieprzyliśmy tę sprawę.

Ralph chwilę na niego patrzył, po czym roześmiał się. To był donośny rechot, płynący prosto z brzucha.

– Ale przecież ją spieprzyliśmy! Jeszcze to do ciebie nie dotarło, Bill? Spieprzyliśmy ją. Dokumentnie. Kupiliśmy kantalupę, bo wyglądała na zdrową, ale kiedy rozkroiliśmy ją na oczach całego miasta, okazała się pełna larw. Nie miały prawa się dostać do środka, a jednak tam były.

Samuels powlókł się do drzwi z moskitierą. Otworzył je, po czym obrócił się na pięcie, aż kogut mu się zakołysał. Wskazał na wiązowca.

– To był wróbel, do cholery.

3

Krótko po północy (mniej więcej w tym samym czasie, kiedy ostatni żyjący członek rodziny Petersonów uczył się z Wikipedii, jak zawiązać stryczek) Marcy Maitland obudziły krzyki dobiegające z pokoju starszej córki. Najpierw krzyczała Grace – matka zawsze rozpozna głos swojego dziecka – po czym dołączyła do niej Sarah, tworząc przerażający dwugłos. To była pierwsza noc dziewczynek poza sypialnią, którą Marcy do niedawna dzieliła z Terrym, ale oczywiście nadal spały razem i sądziła, że nieprędko im to przejdzie. Co wcale jej nie martwiło.

Martwiły ją te krzyki.

Marcy nie pamiętała, kiedy pobiegła korytarzem do sypialni Sarah. Pamiętała tylko, jak wyskoczyła z łóżka, a potem już stała w otwartych drzwiach pokoju Sarah i patrzyła na córki. Siedziały wyprostowane w łóżku i tuliły się do siebie w świetle pełni księżyca, wlewającym się przez okno.

– Co się dzieje? – Marcy rozejrzała się w poszukiwaniu intruza. W pierwszej chwili odniosła wrażenie, że kuca (bo to prawie na pewno był mężczyzna) w kącie, ale nie, to tylko sterta sukienek, koszulek i tenisówek.

– To przez nią! – krzyknęła Sarah. – Przez G! Powiedziała, że ktoś tu jest! Boże, mamo, ale mnie wystraszyła!

Marcy usiadła na łóżku, wyciągnęła młodszą córkę z ramion Sarah i przygarnęła do siebie. Nadal się rozglądała. Może schował się w szafie? Całkiem możliwe – harmonijkowe drzwi były zamknięte. Mógł dać tam nura na dźwięk jej kroków. A może pod łóżkiem?

Wróciły wszystkie lęki z dzieciństwa; czekała tylko, kiedy dłoń chwyci ją za kostkę. Druga ręka będzie trzymała nóż.

– Grace? Gracie! Kogo widziałaś? Gdzie był?

Grace płakała zbyt rozpaczliwie, żeby odpowiedzieć, ale pokazała palcem okno.

Marcy podeszła do szyby, czując, że kolana się pod nią uginają. Czy policja nadal ma ich dom na oku? Howie powiedział, że jeszcze przez jakiś czas będą patrolować okolicę, ale to nie znaczyło, że są tu stale, a poza tym okna wszystkich sypialni – sypialni Sarah też – wychodziły na tylne podwórko albo na ogródek między ich domem a domem Gundersonów. A Gundersonowie wyjechali na wakacje.

Okno było zamknięte. Podwórko, na którym każde źdźbło trawy zdawało się rzucać cień w blasku księżyca, było puste.

Wróciła do łóżka, usiadła i pogłaskała Gracie po posklejanych, spoconych włosach.

– Sarah? Widziałaś coś?

– Ja… – Sarah się zamyśliła. Wciąż obejmowała siostrę, szlochającą w jej ramię. – Nie. Przez chwilę wydawało mi się, że tak, ale to dlatego, że ona krzyczała: „Tam jest, tam jest". Ale nikogo nie było. – Zwróciła się do Gracie: – Nikogo nie było, G. Naprawdę.

– Miałaś zły sen, kochanie – zapewniła Marcy i pomyślała: Pewnie pierwszy z wielu.

– On tam był – szepnęła Gracie.

– Musiałby się unosić w powietrzu – stwierdziła Sarah z roztropnością godną podziwu u dziecka, które dopiero co obudziło się zdjęte przerażeniem. – Bo wiesz, jesteśmy na pierwszym piętrze…

– Nic mnie to nie obchodzi. Widziałam go. Miał krótkie, czarne, sterczące włosy. Jego twarz była jak ulepiona z plasteliny. Miał słomki zamiast oczu.

– Koszmar – orzekła Sarah rzeczowo, jakby to zamykało dyskusję.

– Chodźcie, dziewczynki. – Marcy spróbowała przybrać ten sam rzeczowy ton. – Resztę nocy prześpicie ze mną.

Poszły bez sprzeciwu. Pięć minut po tym, jak umościły się w łóżku po bokach matki, dziesięcioletnia Gracie znów zapadła w sen.

– Mamo? – szepnęła Sarah.

– Co, skarbie?

– Boję się pogrzebu tatusia.

– Ja też.

– Nie chcę tam iść, G też nie.

– No to wszystkie mamy ten sam problem, słonko. Ale to zrobimy. Będziemy dzielne. Tego chciałby tatuś.

– Tak bardzo za nim tęsknię, że nie mogę myśleć o niczym innym.

Marcy pocałowała ją w lekko tętniącą skroń.

– Śpij, kochanie.

Sarah w końcu zasnęła. Marcy leżała z otwartymi oczami między córkami, patrzyła w sufit i myślała o Grace, odwracającej się do okna w śnie tak rzeczywistym, że wydał się jej jawą.

„Miał słomki zamiast oczu”.

4

Krótko po trzeciej nad ranem (mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Fred Peterson wlókł się do ogródka, z podnóżkiem z salonu w lewej dłoni i sznurem przewieszonym przez prawe ramię) Jeanette Anderson obudziła się, bo chciało się jej sikać. Druga strona łóżka była pusta. Załatwiwszy, co miała do załatwienia, zeszła na dół i zobaczyła Ralpha siedzącego w swoim wygodnym fotelu i wpatrzonego w ekran wyłączonego telewizora. Okiem żony oceniła, że schudł od czasu odnalezienia ciała Franka Petersona.

Delikatnie położyła dłoń na jego ramieniu.

Nie obejrzał się.

– Bill Samuels powiedział coś, co nie daje mi spokoju – powiedział.

– Co?

– Właśnie w tym sęk. Nie wiem. To tak, jakby mieć słowo na końcu języka.

– Chodzi o coś w związku z tym chłopcem, który ukradł vana?

Ralph zrelacjonował jej swoją rozmowę z Samuelsem, kiedy leżeli razem w łóżku przed zgaszeniem światła. Opowiedział o tym nie dlatego, że było to w jakikolwiek sposób istotne; po prostu fakt, że dwunastoletni chłopiec dotarł ze stanu Nowy Jork do El Paso, kradnąc jeden samochód za drugim, wydał mu się niesamowity. Może nie aż tak, by napisał o tym „Fate", ale mimo wszystko. „Musi naprawdę nienawidzić swojego ojczyma", skwitowała Jeannie, zanim wyłączyła światło.

– Myślę, że tak, to coś w związku z tym chłopakiem – powiedział teraz Ralph. – Poza tym w vanie był skrawek papieru. Zamierzałem

go obejrzeć, ale w całym tym zamieszaniu jakoś wyleciało mi to z głowy. Chyba ci o tym nie wspomniałem.

Uśmiechnęła się i zmierzwiła mu włosy, które – podobnie jak ciało schowane pod piżamą – wydawały się cieńsze niż wiosną.

– Owszem, wspomniałeś. Mówiłeś, że to może być kawałek menu jakiejś restauracji.

– Jestem prawie pewien, że został włączony do dowodów.

– O tym też mi powiedziałeś, skarbie.

– Chyba jutro wpadnę na komisariat i rzucę na to okiem. Może wtedy mnie olśni, co takiego zwróciło moją uwagę w słowach Billa.

– Dobry pomysł. Pora, żebyś się zajął czymś konkretnym, zamiast siedzieć i snuć ponure myśli. Wiesz, przeczytałam jeszcze raz to opowiadanie Poego. Narrator mówi, że kiedy był w szkole, praktycznie rządził całym towarzystwem. Potem jednak zjawił się inny chłopak o tym samym nazwisku.

Ralph ujął dłoń żony i pocałował w roztargnieniu.

– Jak dotąd brzmi względnie realistycznie. William Wilson to może nie tak pospolite nazwisko jak Joe Smith, ale i nie tak rzadkie jak, powiedzmy, Zbigniew Brzezinski.

– Tak, tyle że potem narrator odkrywa, iż mają tę samą datę urodzenia i prawie jednakowo się ubierają. Co najgorsze, są do siebie bardzo podobni. Ludzie mylą jednego z drugim. Brzmi znajomo?

– Owszem.

– Cóż, William Wilson Numer Jeden co rusz spotyka Williama Wilsona Numer Dwa w swoim późniejszym życiu, a wszystkie te spotkania niemiło się kończą dla Numeru Jeden, który ostatecznie schodzi na złą drogę i winą za to obarcza Numer Dwa. Nadążasz?

– Zważywszy, że jest kwadrans po trzeciej, myślę, że radzę sobie świetnie.

– Koniec końców William Wilson Numer Jeden przebija Williama Wilsona Numer Dwa szpadą, tyle że kiedy spogląda w lustro, zauważa, że dźgnął samego siebie.

– Bo, jak rozumiem, żaden drugi William Wilson nie istniał.

– Ależ tak. Widziało go wielu ludzi. Ostatecznie jednak William Wilson Numer Jeden doznał halucynacji i popełnił samobójstwo.

Pewnie nie mógł znieść tej dwoistości.

Spodziewała się, że Ralph prychnie pogardliwie, ale on tylko skinął głową.

– No dobra, dziwne, ale to ma sens. Całkiem trafna analiza psychologiczna, szczerze mówiąc. Zwłaszcza jak na… kiedy to było? Połowa dziewiętnastego wieku?

– Mniej więcej. Na studiach chodziłam na kurs o amerykańskiej literaturze gotyckiej i czytaliśmy dużo opowiadań Poego, z tym włącznie. Nasz profesor powiedział kiedyś, że ludzie mylnie sądzą, iż Poe pisał opowieści fantastyczne o zjawiskach nadprzyrodzonych, gdy tak naprawdę pisał opowieści realistyczne o zaburzeniach psychologicznych.

– Tyle że w jego czasach nie znano odcisków palców ani DNA – powiedział Ralph z uśmiechem. – Chodźmy do łóżka. Myślę, że teraz już zasnę.

Przytrzymała go.

– Zapytam cię o coś, mój mężu. Pewnie dlatego, że pora jest późna i jesteśmy sami. Nikt nie usłyszy, jeśli mnie wyśmiejesz, ale proszę, nie rób tego, bo będzie mi przykro.

– Nie wyśmieję cię.

– Tak tylko mówisz.

– Daję słowo.

– Powtórzyłeś mi historię Billa o nagle urywających się śladach stóp i tę twoją opowieść o larwach, które jakoś się dostały do kantalupy, ale dla was obu to były tylko przenośnie. Tak jak opowiadanie Poego jest metaforą podzielonej jaźni… przynajmniej według mojego profesora. Ale jeśli odjąć znaczenie metaforyczne, co zostaje?

– Nie wiem.

– To, co niewytłumaczalne. Moje pytanie do ciebie jest więc dość proste: A jeśli jedyne rozwiązanie zagadki dwóch Terrych jest nadprzyrodzone?

Nie zaśmiał się. Nie miał ochoty się śmiać. Pora była zbyt późna na śmiech. Albo zbyt wczesna. W każdym razie nieodpowiednia.

– Nie wierzę w zjawiska nadprzyrodzone. Ani w duchy, ani w anioły, ani w boskość Chrystusa. Owszem, chodzę do kościoła, ale tylko dlatego, że to spokojne miejsce, gdzie czasem mogę posłuchać

swoich myśli. I dlatego, że tego się ode mnie oczekuje. Miałem wrażenie, że ty robisz to z tych samych powodów. Albo przez wzgląd na Dereka.

– Chciałabym wierzyć w Boga, bo nie chcę się pogodzić z tym, że tak po prostu znikamy, mimo że to niejako przywraca stan równowagi: skoro z ciemności przyszliśmy, logika każe przyjąć, że w ciemność wrócimy. Wierzę jednak w gwiazdy i nieskończoność wszechświata. To jest owo wielkie Nieznane. Wierzę, że tu, na Ziemi, całe wszechświaty istnieją w każdej garści piasku, bo nieskończoność działa w obie strony. Wierzę, że za każdą myślą, której jestem świadoma, kryje się tuzin innych. Wierzę w moją świadomość i podświadomość, choć nie wiem, co to takiego. I wierzę w Arthura Conana Doyle'a, który ustami Sherlocka Holmesa powiedział: „Kiedy wyeliminujesz niemożliwe, cała reszta, jakkolwiek nieprawdopodobna, musi być prawdą".

– To nie ten sam facet, który wierzył w elfy? – spytał Ralph.

Westchnęła.

– Chodź na górę, pofiglujemy. Potem może oboje zaśniemy.

Ralph poszedł bez sprzeciwu, ale nawet kiedy się kochali (pomijając moment szczytowania, gdy wszystkie myśli pierzchły), mimo woli przypominała mu się sentencja Doyle'a. Była zgrabna. Logiczna. Ale czy można by ją przerobić na: Kiedy wyeliminujesz naturalne, cała reszta musi być nadnaturalna? Nie. Nie mógł uwierzyć w żadne wytłumaczenie, które łamało reguły rządzące światem rzeczywistym, nie tylko jako detektyw, ale jako człowiek. Franka Petersona zabiła istota z krwi i kości, nie komiksowe straszydło. Co więc pozostawało, jakkolwiek nieprawdopodobne? Tylko jedno. Zabójcą Franka Petersona był Terry Maitland, już nieżyjący.

5

W tę środową noc lipcowy księżyc wschodził rozdęty i pomarańczowy jak gigantyczny tropikalny owoc. Nad ranem w czwartek, kiedy Fred Peterson stał w swoim ogródku na tym samym podnóżku, który dawał oparcie jego nogom w czasie wielu niedzielnych popołudniowych meczów futbolowych, skurczył się do rozmiarów zimnego srebrnika zawieszonego wysoko na niebie.

Fred nałożył sobie pętlę na szyję i zadzierzgnął ją, aż węzeł znalazł się pod szczęką, tak jak precyzował artykuł w Wikipedii (uzupełniony o pomocną ilustrację). Drugi koniec sznura był przywiązany do gałęzi wiązowca, takiego jak ten, który rósł za płotem Ralpha Andersona, choć ten tutaj był znacznie starszym przedstawicielem flory okręgu Flint, wyrosłym mniej więcej wtedy, gdy amerykański bombowiec zrzucał przewożony ładunek na Hiroszimę (co bez wątpienia było zjawiskiem nadprzyrodzonym dla Japończyków, którzy oglądali to z dostatecznie dużej odległości, by nie obrócić się w parę).

Podnóżek zachybotał pod jego nogami. Fred wsłuchał się w cykanie świerszczy. Na spoconych policzkach poczuł podmuch nocnego wiatru, chłodny i kojący po jednym upalnym dniu i przed kolejnym, którego miał nie dożyć. Jego decyzja, by postawić kreskę pod Petersonami z Flint City, dopełnić równanie, po części brała się z nadziei, że Frank, Arlene i Ollie nie odeszli daleko, przynajmniej jeszcze nie. Może zdoła ich dogonić. Przede wszystkim jednak przesądziła odstręczająca perspektywa poranka spędzonego na podwójnym pogrzebie wyprawionym przez ten sam zakład pogrzebowy – braci Donellich – który po południu pochowa

człowieka odpowiedzialnego za śmierć jego najbliższych. Nie mógł się na to zdobyć.

Rozejrzał się ostatni raz, zadając sobie pytanie, czy naprawdę chce to zrobić. Odpowiedź brzmiała: „tak", odepchnął więc podnóżek nogą, spodziewając się usłyszeć głęboko w głowie trzask łamanego karku, a potem zobaczyć świetlisty tunel – tunel, na którego końcu czekać będzie jego rodzina, przyzywająca go do drugiego, lepszego życia, w którym nikt nie gwałci ani nie morduje niewinnych chłopców.

Trzasku nie było. Przeoczył albo pominął ten fragment artykułu w Wikipedii, w którym mówiono o tym, że człowiek ważący dziewięćdziesiąt kilo musi spaść z określonej wysokości, by kark się złamał. Zamiast umrzeć, zaczął się dusić. Kiedy tchawica mu się zacisnęła, a oczy wyszły z orbit, uśpiony dotąd instynkt samozachowawczy obudził się z wyciem alarmu i rozbłysły wewnętrzne reflektory ostrzegawcze. W ciągu trzech sekund jego organizm wziął górę nad mózgiem i pragnienie śmierci przerodziło się w zwierzęcą wolę życia.

Fred podniósł ręce i wymacał sznur. Pociągnął z całej siły. Sznur się poluźnił i udało mu się wziąć oddech – z konieczności płytki, bo pętla wciąż była mocno zaciśnięta, węzeł wpijał się w bok szyi jak opuchnięty gruczoł. Trzymając się jedną ręką, drugą wymacał gałąź, do której przywiązał stryczek. Jego palce musnęły ją od dołu i zdrapały kilka płatów kory, które spadły mu na głowę, ale to wszystko.

Dzisiaj, w średnim wieku, nie był człowiekiem wysportowanym, gimnastyka w jego wydaniu sprowadzała się do wypraw do lodówki po kolejne piwo podczas meczów jego ukochanej drużyny Dallas Cowboys, ale nawet jako licealista na wuefie umiał podciągnąć się na drążku nie więcej niż pięć razy. Czuł, że dłoń, na której się trzyma, zsuwa się ze sznura, i chwycił go drugą ręką, po czym poluźnił na tyle, żeby wciągnąć następny półoddech, ale nie zdołał podźwignąć się wyżej. Jego stopy bujały się dwadzieścia centymetrów nad trawnikiem. Najpierw zsunął się jeden kapeć, potem drugi. Próbował wezwać pomoc, ale z jego gardła dobyło się tylko ochrypłe rzężenie… zresztą, kto o tej porze nie śpi? Kto miałby go usłyszeć?

Wścibska stara pani Gibson z sąsiedniego domu? Na pewno kima w swoim łóżku z różańcem w ręku i śni o ojcu Brixtonie.

Jego dłonie zsunęły się ze sznura. Gałąź zatrzeszczała. Przestał oddychać. Czuł tętnienie krwi uwięzionej w jego głowie, gotowej lada chwila rozerwać mózg. Usłyszał charkot i pomyślał: Nie tak miało być.

Niezdarnie sięgał rękami do sznura, niczym tonący, który wyciąga dłonie ku powierzchni jeziora. Przed jego oczami pojawiły się wielkie czarne zarodniki, które po chwili rozrosły się w cudaczne czarne muchomory. Zanim jednak przesłoniły mu całe pole widzenia, dostrzegł człowieka stojącego na werandzie w świetle księżyca, z ręką zaborczo spoczywającą na grillu, na którym Fred już nigdy nie upiecze steku. A może to nie był człowiek. Jego rysy były toporne, jakby uformowane pięściami ślepego rzeźbiarza. Miał słomki zamiast oczu.

6

Traf chciał, że to June Gibson zrobiła lasagne, którą Arlene Peterson wyłożyła sobie na głowę, zanim dostała ataku serca. Nie spała ani nie myślała o ojcu Brixtonie. Cierpiała, i to bardzo. Trzy lata minęły od jej ostatniego ataku rwy kulszowej i już ośmieliła się żywić nadzieję, że ma ją z głowy, dziś jednak przypadłość wróciła niczym złośliwy, nieproszony gość, który wtargnął bez pukania i zamieszkał u niej. Początkowo, na stypie u Petersonów, czuła tylko charakterystyczną sztywność za lewym kolanem, wiedziała jednak, co to zwiastuje, ubłagała więc doktora Richlanda o receptę na oksykodon, którą niechętnie wypisał. Pigułki pomogły tylko trochę. Ból promieniował w jej lewym boku – od krzyża do kostki, którą ściskał ciernistą obręczą. Jedną z najokrutniejszych cech rwy kulszowej – przynajmniej w przypadku June – było to, że w pozycji leżącej ból się nasilał, zamiast słabnąć. Siedziała więc tutaj, w swoim salonie, ubrana w szlafrok i piżamę, na przemian oglądając programy o tym, jak wyrobić sobie seksowne mięśnie brzucha, i stawiając pasjansa na iPhonie, którego dostała od syna na Dzień Matki.

Plecy ją bolały, wzrok się psuł, ale ściszyła dźwięk w telewizorze, a ze słuchem nie miała kłopotów. Dlatego wyraźnie usłyszała huk wystrzału na sąsiedniej działce. Zerwała się na nogi, nie bacząc na błyskawicę bólu, która przeszyła cały jej lewy bok.

Boże kochany, Fred Peterson się zastrzelił, pomyślała.

Złapała za laskę i pokuśtykała, zgarbiona jak wiedźma, do tylnych drzwi domu. Z ganku, w świetle bezdusznego srebrnego księżyca, zobaczyła Petersona skulonego na jego trawniku. A jednak to nie był

wystrzał. Jego szyję opasywał sznur, ciągnący się do leżącej opodal złamanej gałęzi, do której był przywiązany.

Pani Gibson upuściła laskę – bez niej chodziła szybciej – po czym zeszła bokiem po schodkach i chwiejnym truchtem pokonała trzydzieści metrów dzielące ją od sąsiedniego podwórka. Nie słyszała własnych okrzyków bólu, kiedy podrażniony nerw kulszowy protestował rwaniem przenikającym ją od chudych pośladków po kłąb lewego palucha.

Uklękła przy Petersonie i obejrzała jego nabrzmiałą, spurpurowiałą twarz, wystawiony język i sznur na poły zagrzebany w fałdach tłuszczu na szyi. Wsunęła palce pod pętlę i pociągnęła z całej siły, wywołując kolejny atak rozdzierającego bólu. Tym razem usłyszała spowodowany nim okrzyk: wysoki, przeciągły, jękliwy skowyt. Po drugiej stronie ulicy zapaliły się światła, ale pani Gibson tego nie zauważyła. Pętla w końcu się rozluźniła, dzięki Bogu, Jezusowi, Maryi i wszystkim świętym. Czekała, aż Peterson zaczerpnie powietrza.

Nie zrobił tego.

Na pierwszym etapie swojego zawodowego życia June Gibson była kasjerką w banku First National we Flint City. Kiedy odeszła z tej posady po osiągnięciu wieku emerytalnego – sześćdziesięciu dwóch lat – zrobiła kurs na wykwalifikowaną opiekunkę domową i do siedemdziesiątego czwartego roku życia w ten sposób dorabiała do emerytury. Na kursie miała, oczywiście, zajęcia z technik resuscytacji. Teraz uklękła więc obok okazałego cielska Petersona, odchyliła mu głowę do tyłu, zatkała jego nos, szarpnięciem otworzyła usta nieprzytomnego i przycisnęła wargi do jego warg.

Brała dziesiąty wdech, walcząc z zawrotami głowy, kiedy z drugiej strony ulicy nadszedł pan Jagger. Postukał ją w kościste ramię.

– Umarł?

– Nie. I nie umrze, nie pozwolę mu – powiedziała pani Gibson. Chwyciła za kieszeń swojej podomki i wyczuła prostokątny kształt telefonu komórkowego. Wyciągnęła go i na oślep rzuciła za plecy. – Wezwij pogotowie. I pamiętaj, jeśli zemdleję, będziesz mnie musiał zmienić.

Nie zemdlała jednak. Po piętnastym dmuchnięciu – kiedy była już na skraju utraty świadomości – Fred Peterson samodzielnie wziął

głęboki, chrapliwy oddech. Potem następny. Teraz pani Gibson czekała, aż otworzy oczy, a kiedy tego nie zrobił, podwinęła jego powiekę. Pod spodem była sama twardówka, nie biała, tylko czerwona od popękanych naczynek krwionośnych.

Fred Peterson zaczerpnął powietrza po raz trzeci i znów przestał oddychać. Pani Gibson zaczęła uciskać mu pierś, najsprawniej, jak potrafiła, niepewna, czy to pomoże, ale przekonana, że nie zaszkodzi. Czuła, że ból promieniujący z jej pleców do nogi zelżał. Czy szok może przegnać rwę kulszową? Oczywiście, że nie. Idiotyczna myśl. To działa adrenalina, a kiedy jej zasób się wyczerpie, ból wróci ze zdwojoną mocą.

Wycie nadciągającej syreny przeszyło ciemność wczesnego poranka.

Pani Gibson dalej wdmuchiwała powietrze do gardła Freda Petersona (jej najbardziej intymny kontakt z mężczyzną od śmierci męża w dwa tysiące czwartym roku), robiąc przerwy za każdym razem, kiedy jej oczy przesłaniała siwa mgła. Jagger nie zaproponował, że ją zastąpi, a ona o to nie prosiła. Dopóki karetka nie przyjedzie, to była sprawa między nią a Petersonem.

Kiedy przerywała sztuczne oddychanie, Peterson czasem brał pojedynczy głęboki, chrapliwy wdech. Czasem nie. Ledwo zauważyła pulsujące czerwone światła koguta karetki, gdy zaczęły przebiegać po dwóch sąsiadujących podwórkach, omiatając błyskami poszarpany kikut gałęzi wiązowca, na której Peterson próbował się powiesić. Jeden z ratowników ostrożnie podniósł panią Gibson na nogi. Udało się jej ustać. Prawie nie czuła bólu. Nadzwyczajne. Nawet jeśli to tylko chwilowy cud, przyjmie go z wdzięcznością.

– Teraz my się nim zajmiemy, psze pani – powiedział ratownik. – Świetnie się pani spisała.

– Pewnie, że tak – rzucił pan Jagger. – Uratowałaś go, June! Uratowałaś biedakowi życie!

Ocierając z brody ciepłą ślinę – swoją i Petersona – pani Gibson powiedziała:

– Może i tak. I może byłoby lepiej, gdybym tego nie zrobiła.

7

O ósmej rano w czwartek Ralph kosił trawę za domem. Miał przed sobą cały dzień bez pracy ani obowiązków, a strzyżenie trawnika było jedynym sposobem zabicia czasu, jaki przyszedł mu do głowy. Nie zatrzymało jednak nieustającego kołowrotka myśli: zmasakrowane ciało Franka Petersona, świadkowie, nagranie telewizyjne, DNA, tłum przed sądem. Głównie to ostatnie. Z jakiegoś powodu skupiał się na dyndającym ramiączku stanika – jaskrawożółtej wstędze huśtającej się w rytm ruchów dziewczyny, która siedziała na ramionach chłopaka i wymachiwała pięściami.

Ledwo dosłyszał melodyjny dźwięk ksylofonu dobywający się z jego telefonu komórkowego. Wyłączył kosiarkę i odebrał. Tenisówki i nagie kostki miał obsypane trawą.

– Anderson.

– Tu Troy Ramage, szefie. – Jeden z dwóch funkcjonariuszy, którzy aresztowali Terry'ego. Wydawało się, że to było dawno temu. W innym życiu.

– Co słychać, Troy?

– Jestem w szpitalu z Betsy Riggins.

Ralph uśmiechnął się; tak rzadko ostatnio miał po temu okazję, że stało się to czymś wręcz obcym.

– Rodzi.

– Nie, jeszcze nie. Komendant kazał jej przyjechać, bo ty masz urlop, a Jack Hoskins jeszcze łowi ryby nad jeziorem Ocoma. Wysłał mnie z nią dla towarzystwa.

– O co chodzi?

– Kilka godzin temu pogotowie przywiozło Freda Petersona. Próbował się powiesić w swoim ogródku, ale złamała się gałąź, do której przywiązał sznur. Sąsiadka, pani Gibson, zrobiła mu usta-usta i go odratowała. Przyjechała zobaczyć, co z nim, i komendant chce, żeby złożyła zeznanie. Pewnie tego wymagają przepisy, ale jak dla mnie sprawa jest jasna. Biedak miał pod dostatkiem powodów, żeby ze sobą skończyć.

– W jakim jest stanie?

– Lekarze mówią, że aktywność mózgu jest minimalna. Szanse, że z tego wyjdzie, są jak jeden do stu. Betsy powiedziała, że na pewno będziesz chciał o tym wiedzieć.

Ralph przez chwilę myślał, że zwróci płatki, które zjadł na śniadanie; odwrócił się od swojej kosiarki, żeby jej nie zarzygać.

– Szefie?

Ralph przełknął kwaśną mieszankę mleka i płatków Rice Chex.

– Jestem. Gdzie Betsy jest teraz?

– U Petersona, z tą Gibson. Kazała mi wyjść i do ciebie zadzwonić, bo na OIOM-ie jest zakaz korzystania z komórek. Lekarze zaproponowali, że udostępnią im pokój do rozmowy, ale Gibson się uparła, żeby odpowiedzieć na pytania detektyw Riggins w obecności Petersona. Jakby myślała, że on ją słyszy. Miła staruszka, ale ma chore plecy, widać po tym, jak chodzi. Co tu więc w ogóle robi? To nie *The Good Doctor*, nie będzie cudownego ozdrowienia.

Ralph mógł się domyślić odpowiedzi. Pani Gibson na pewno wymieniała się przepisami kulinarnymi z Arlene Peterson i widziała, jak Ollie i Frank dorastają. Może Fred Peterson odśnieżył jej podjazd po jednej z rzadkich we Flint City zamieci. Przyjechała wiedziona żalem i szacunkiem, może nawet poczuciem winy, że nie pozwoliła Petersonowi odejść i zamiast tego skazała go na nie wiadomo jak długi pobyt w szpitalu, gdzie maszyny będą za niego oddychać.

Koszmar ostatnich ośmiu dni zalał Ralpha gorącą falą. Morderca nie zadowolił się śmiercią chłopca; zabrał całą rodzinę Petersonów. Zgarnął całą pulę, jak to się mówi.

Nie „morderca”, nie trzeba unikać nazywania rzeczy po imieniu. Terry. Mordercą był Terry. Nikogo innego nie ma na radarze.

– Pomyślałem, że będziesz chciał to wiedzieć – powtórzył Ramage. – No i nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Może Betsy zacznie tu rodzić. To oszczędziłoby jej mężowi specjalnego kursu do szpitala.

– Każ jej wrócić do domu – powiedział Ralph.

– Zrozumiałem. I… Ralph? Przykro mi, że w sądzie tak się to rozegrało. To był niezły burdel.

– Nic dodać, nic ująć. Dzięki za telefon.

Ralph wrócił do koszenia trawnika. Szedł pomału za rozklekotanym starym lawn-boyem (naprawdę powinien się wybrać do Home Depot po nową kosiarkę; nie miał już pretekstu, żeby to odwlekać, czasu mu przecież nie brakowało) i właśnie ścinał ostatni pas trawy, kiedy z jego komórki znów popłynęło ksylofonowe boogie. Pomyślał, że to Betsy, ale się mylił. Rozmówca jednak też przebywał w Szpitalu Ogólnym we Flint City.

– Badania DNA jeszcze się nie skończyły – powiedział doktor Edward Bogan. – Ale mamy już wyniki z gałęzi, którą zgwałcono chłopca. Krew, kawałki skóry zdarte z ręki sprawcy, kiedy… wie pan, złapał za gałąź i…

– Wiem – uciął Ralph. – Niech mnie pan nie trzyma w napięciu.

– Żadnych niespodzianek, detektywie. Próbki z gałęzi są zgodne z wymazami z policzków Maitlanda.

– Dobrze, doktorze Bogan, dziękuję panu. Musi pan przekazać tę informację komendantowi Gellerowi i porucznikowi Sablo z policji stanowej. Ja jestem na urlopie administracyjnym, pewnie do końca lata.

– Absurd.

– Takie przepisy. Nie wiem, kogo Geller przydzieli Yune'owi… Jack Hoskins jest na urlopie, Betsy Riggins lada chwila urodzi swoje pierwsze dziecko… ale pewnie kogoś znajdzie. I kiedy o tym pomyśleć, skoro Maitland nie żyje, nie ma powodu dalej ciągnąć tego śledztwa. Uzupełniamy tylko brakujące szczegóły.

– Brakujące szczegóły są ważne – powiedział Bogan. – Żona Maitlanda może złożyć pozew cywilny. Te ślady DNA mogłyby skłonić jej adwokata, żeby jej to wyperswadował. W moim przekonaniu taki pozew byłby szczytem nieprzyzwoitości. Jej mąż zamordował tego

chłopca w najokrutniejszy sposób, jaki można sobie wyobrazić, i jeśli nie wiedziała o jego… jego skłonnościach… to znaczy, że miała klapki na oczach. W przypadku sadystów seksualnych zawsze są jakieś znaki ostrzegawcze. Zawsze. Uważam, że powinni pana odznaczyć, a nie wysłać na urlop.

– Dziękuję, że tak mówisz.

– Mówię, co myślę. Czekamy na wyniki badań następnych próbek. Wielu. Powiadomić pana, kiedy przyjdą?

– Tak. – Może komendant Geller odwoła Hoskinsa z urlopu, ale Jack nie nadawał się do niczego, nawet kiedy był trzeźwy, co swoją drogą ostatnio rzadko się zdarzało.

Ralph się rozłączył i dokończył ostatni pas trawnika. Potem zaciągnął lawn-boya do garażu. Wycierając obudowę, myślał o innym opowiadaniu Poego – historii o człowieku żywcem zamurowanym w piwniczce z winem. Nie czytał go, ale oglądał film na jego podstawie. „Na miłość boską, Montresor!", krzyknął zamurowywany mężczyzna, a grzebiący go żywcem morderca potwierdził: „Tak, na miłość boską".

W tym przypadku to Terry Maitland był zamurowywany, tyle że cegły zastąpiło DNA, a on sam już nie żył. Owszem, były sprzeczne dowody, co mogło niepokoić, teraz jednak mieli ślady DNA z Flint City i żadnych z Cap City. Jasne, jego odciski palców znalazły się na książce z kiosku, ale odciski palców można podłożyć. Nie jest to tak łatwe, jak pokazują seriale kryminalne, ale da się to zrobić.

A co ze świadkami, Ralph? Trójką nauczycieli, którzy znali go od lat?

Mniejsza z nimi. Myśl o DNA. To twardy dowód. Najtwardszy, jakiego można sobie zażyczyć.

W innym opowiadaniu Poego zabójca zostaje zdradzony przez czarnego kota, którego nieopatrznie zamurował razem ze swoją ofiarą. Jego miauczenie wskazuje miejsce ukrycia zwłok. Ten kot, domyślał się Ralph, był tylko kolejną metaforą: głosem sumienia mordercy. Tyle że czasem cygaro to tylko dymek, a kot jest tylko kotem. Nie było powodu wspominać gasnących oczu Terry'ego ani jego ostatnich słów. Jak zauważył Samuels, żona klęczała wtedy u jego boku i trzymała go za rękę.

Ralph usiadł na swoim warsztacie, potwornie zmęczony jak na człowieka, który tylko skosił nieduży trawnik. Obrazy tych ostatnich chwil przed strzelaniną nie chciały go opuścić. Autoalarm. Brzydki grymas blondwłosej prezenterki, kiedy zobaczyła, że krwawi – pewnie tylko lekkie skaleczenie, ale dobre dla oglądalności. Poparzony mężczyzna z tatuażami na dłoniach. Chłopak z rozszczepem wargi. Słońce padające na złożone konstelacje drobinek miki osadzonych w chodniku. Dyndające żółte ramiączko stanika dziewczyny. To ostatnie przede wszystkim; ten obraz jakby chciał naprowadzić go na jakiś trop. Ale czasem ramiączko stanika jest tylko ramiączkiem stanika.

– A człowiek nie może być w dwóch miejscach jednocześnie – mruknął.

– Ralph? Mówisz do siebie?

Drgnął i poderwał głowę. W drzwiach stała Jeannie.

– Najwidoczniej tak, skoro nikogo innego tu nie ma.

– Ja jestem – powiedziała. – Dobrze się czujesz?

– Nie bardzo.

Gdy opowiedział jej o Fredzie Petersonie, wyraźnie oklapła.

– Mój Boże… To koniec tej rodziny. Chyba że dojdzie do siebie.

– To koniec tej rodziny, czy Fred wyzdrowieje, czy nie. – Ralph wstał. – Za jakiś czas skoczę na komisariat, zerknę na ten skrawek papieru. Menu czy co to takiego.

– Najpierw weź prysznic. Śmierdzisz olejem i trawą.

Zasalutował jej z uśmiechem.

– Tak jest.

Wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

– Poradzisz sobie z tym, Ralph. Na pewno. Zaufaj mi.

8

Ralph jeszcze nigdy nie był na urlopie administracyjnym, więc nie do końca wiedział, z czym to się wiąże. Czy, na przykład, wolno mu się pokazać w pracy? Dmuchając na zimne, pojechał tam dopiero po południu, bo wtedy tętno codziennego życia komisariatu biło najwolniej. W sali ogólnej zastał tylko Stephanie Gould, jeszcze w stroju cywilnym, spisującą raporty na jednym ze starych pecetów, które rada miejska od zawsze obiecywała wymienić na nowe, i Sandy McGill, pogrążoną w lekturze „People", na stanowisku dyspozytora. Gabinet komendanta Gellera był pusty.

– Dzień dobry, detektywie. – Stephanie podniosła głowę. – Co tu robisz? Słyszałam, że jesteś na płatnym urlopie.

– Szukam czegoś do roboty.

– Mogłabym ci coś znaleźć. – Poklepała stertę teczek obok komputera.

– Może kiedy indziej.

– Przykro mi, że tak się wszystko ułożyło. Wszystkim nam jest przykro.

– Dzięki.

Poszedł na stanowisko dyspozytora i poprosił Sandy o klucz do magazynu dowodów. Dała mu go bez wahania, prawie nie podnosząc oczu znad czasopisma. Na haczyku obok drzwi magazynu wisiała podkładka do pisania z kartką i długopisem. Ralph pomyślał, czy nie darować sobie formalności, ostatecznie jednak wpisał swoje nazwisko, datę i godzinę: 15.30. W sumie nie miał wyboru, skoro Gould i McGill wiedziały, że tu jest, a także – po co przyjechał. Jeśli

ktoś zapyta, co chciał obejrzeć, powie prawdę. Bądź co bądź nie zawiesili go, tylko wysłali na urlop.

W magazynie, niewiele większym od szafy, było gorąco i duszno. Jarzeniówki migotały pod sufitem. Wymagały wymiany, podobnie jak przedpotopowe pecety. Władze Flint City, wspomagane pieniędzmi z budżetu federalnego, zatroszczyły się o to, żeby policja miała tyle broni, ile trzeba, a nawet więcej. I co z tego, że infrastruktura się sypie?

Gdyby Frank Peterson zginął w czasach, kiedy Ralph zaczynał służbę w policji, byłyby pewnie ze cztery pudła dowodów, może nawet sześć, ale era komputerów pociągnęła za sobą duży postęp w technikach kompresji i dziś były tylko dwa pudła, plus skrzynka z narzędziami znaleziona w tylnej części vana. Zawierała standardowy zestaw kluczy, młotków i śrubokrętów. Odcisków Terry'ego nie było na żadnym z narzędzi ani na samej skrzynce. To, zdaniem Ralpha, wskazywało, że skrzynka była w vanie, kiedy złodziej się do niego dostał, a Terry ani razu do niej nie zajrzał po tym, jak ukradł wóz do własnych celów.

Na jednym z pudeł widniał napis: „Dom Maitlanda". Na drugim: „Van/Subaru". To ono interesowało Ralpha. Przeciął taśmę. Skoro Terry nie żyje, nie miał powodu, żeby tego nie zrobić.

Po krótkich poszukiwaniach znalazł foliową torebkę zawierającą skrawek papieru, który zapadł mu w pamięć. Był niebieski, mniej więcej trójkątny. U góry, wytłuszczonymi czarnymi literami, napisano: „Tommy and Tup". Brakowało części następującej po „Tup". W górnym rogu widniał mały rysunek parującego placka. Ralph akurat tego szczegółu nie pamiętał, ale to z jego powodu musiał pomyśleć, że ten skrawek był częścią restauracyjnego menu. Co takiego powiedziała Jeannie, kiedy rozmawiali dziś w nocy? „Wierzę, że za każdą myślą, której jestem świadoma, kryje się tuzin innych". Jeśli rzeczywiście tak było, Ralph dałby furę pieniędzy, żeby pochwycić myśl skrywającą się za żółtym ramiączkiem stanika. Bo jakaś tam była, był tego prawie pewien.

Był prawie pewien jeszcze jednego: skąd ten skrawek wziął się na podłodze vana. Ktoś włożył ulotki z menu pod wycieraczki wszystkich aut na parkingu, na którym stał van. Kierowca – może dzieciak,

który ukradł go w Nowym Jorku, może ten, kto przywłaszczył go później – wyszarpnął ulotkę, nie podnosząc wycieraczki, i trójkątny narożnik został. Zauważył to dopiero później, już w drodze. Może wystawił rękę przez okno i wyciągnął go, po czym rzucił na podłogę, zamiast pozwolić mu odfrunąć. Bo to, że był złodziejem, nie znaczyło jeszcze, że lubi zaśmiecać środowisko. A może jechał za nim radiowóz, nie chciał więc zrobić nic, nawet najmniejszego drobiazgu, który mógłby zwrócić na niego uwagę. Możliwe nawet, że próbował wyrzucić skrawek przez okno, ale wiatr złośliwie wdmuchnął go z powrotem do szoferki. Ralph prowadził dochodzenia w sprawie wypadków drogowych, w tym jednego dość paskudnego, do których doszło, kiedy coś podobnego stało się z niedopałkami papierosów.

Wyjął notes z tylnej kieszeni – nie rozstawał się z nim nawet na urlopie administracyjnym – i na czystej kartce napisał drukowanymi literami: „Tommy and Tup". Odłożył pudło opisane „Van/Subaru" na półkę, po czym wyszedł z magazynu dowodów (nie zapominając o wpisaniu godziny) i zamknął drzwi na klucz. Oddał go Sandy, po czym otworzył przed nią swój notes. Podniosła oczy znad najnowszych przygód Jennifer Aniston, żeby zerknąć na jego zapisek.

– Mówi ci to coś?

– Nie. – Wróciła do lektury czasopisma.

Ralph poszedł do posterunkowej Gould, która dalej wprowadzała dane do jakiejś bazy i klęła pod nosem, ilekroć wciskała niewłaściwy klawisz, co zdarzało się jej często. Zerknęła na jego notes.

– „Tup" to chyba stare angielskie określenie pieprzenia się, nic innego mi nie przychodzi do głowy. To ważne?

– Nie wiem. Pewnie nie.

– Może sprawdź w Google?

Czekając, aż włączy się jego własny przestarzały komputer, postanowił wypróbować żywą skarbnicę wiedzy, której był poślubiony. Jeannie odebrała po pierwszym sygnale, a na jego pytanie odpowiedziała bez chwili namysłu:

– Może chodzić o Tommy'ego i Tuppence. To tacy wymuskani detektywi, o których pisała Agatha Christie, kiedy robiła sobie przerwy od Hercule'a Poirota i panny Marple. Skoro tak, pewnie jest

to jakaś restauracja prowadzona przez parę Brytyjczyków na wychodźstwie i specjalizująca się w daniach typu *bubble and squeak*.

– W czym?

– Nieważne.

– To pewnie nic nie znaczy – powiedział Ralph. Może jednak coś znaczyło. Sprawdzasz takie pierdoły po to, żeby uzyskać pewność w jedną albo w drugą stronę; sprawdzanie pierdół jest, z całym szacunkiem dla Sherlocka Holmesa, w dużej mierze treścią pracy detektywa.

– Tak czy owak, zaciekawiłeś mnie. Opowiesz mi o wszystkim, kiedy przyjedziesz. Aha, skończył się sok pomarańczowy.

– Wpadnę do Gerald's – odparł i się rozłączył.

Wszedł w Google, wpisał „Tommy and Tuppence", po czym dodał: „restauracja". Policyjne komputery były stare, za to wi-fi nowe i szybkie. Po kilku sekundach znalazł to, czego szukał. Pub i kawiarnia Tommy and Tuppence na Northwoods Boulevard w Dayton w stanie Ohio.

Dayton. Co z tym Dayton? Czy ta nazwa aby nie pojawiła się już raz w związku z tą żałosną sprawą? A jeśli tak, to kiedy? Odchylił się na oparcie krzesła i zamknął oczy. Nadal nie mógł dojść, z czym kojarzyło mu się żółte ramiączko stanika, ale nową zagadkę rozwiązał od razu. Nazwa Dayton padła podczas jego ostatniej prawdziwej rozmowy z Terrym Maitlandem. Rozmawiali o vanie i Terry powiedział, że nie był w Nowym Jorku od swojego miesiąca miodowego. Ostatnio wyjechał tylko do Ohio. Właśnie do Dayton.

„Dziewczynki miały ferie wiosenne. Chciałem zobaczyć się z tatą". A kiedy Ralph zapytał, czy jego ojciec tam mieszka, Terry odparł: „To za dużo powiedziane".

Zadzwonił do Sabla.

– Cześć, Yune, to ja.

– Cześć, Ralph, jak tam życie na emeryturze?

– Dobrze. Żałuj, że nie widzisz mojego trawnika. Słyszałem, że dadzą ci pochwałę za to, że nakryłeś sobą apetyczne ciało tej szurniętej reporterki.

– Tak mówią. Przyznam, że los się ostatnio uśmiecha do syna ubogich meksykańskich rolników.

– O ile pamiętam, mówiłeś, że twój ojciec prowadził największy salon samochodowy w Amarillo.

– Może i tak powiedziałem. Ale kiedy trzeba wybierać między prawdą a legendą, *ese*, drukuj legendę. Mądre słowa Johna Forda w *Człowieku, który zabił Liberty Valance'a*. Co mogę dla ciebie zrobić?

– Samuels powiedział ci o dzieciaku, który jako pierwszy ukradł tego vana?

– Uhm. To dopiero historia. Mały ma na imię Merlin, wiedziałeś o tym? Rzeczywiście musi być czarodziejem, skoro dojechał aż na południe Teksasu.

– Mógłbyś się skontaktować z El Paso? Tam jego wyprawa się skończyła, ale wiem od Samuelsa, że vana porzucił w Ohio. Ciekaw jestem, czy to było gdzieś w pobliżu pubu i kawiarni o nazwie Tommy and Tuppence na Northwoods Boulevard w Dayton.

– Zawsze mogę spróbować.

– Samuels powiedział mi, że czarodziej Merlin długo był w trasie. Możesz przy okazji spróbować ustalić, kiedy porzucił vana? Czy to mogło być w kwietniu?

– Pewnie, że mogę. Powiesz mi dlaczego?

– Terry Maitland w kwietniu był w Dayton. U ojca.

– Serio? – Teraz Yune wydawał się w pełni zainteresowany. – Sam?

– Z rodziną – przyznał Ralph. – I w obie strony lecieli samolotem.

– Czyli ta ewentualność odpada.

– Raczej tak, ale mimo wszystko osobliwie zawładnęła moją świadomością.

– Pan detektyw będzie mi to musiał przetłumaczyć w prostych słowach, bo ja jeno syn ubogiego meksykańskiego rolnika.

Ralph westchnął.

– Zobaczę, co się da ustalić.

– Dzięki, Yune.

Ledwie się rozłączył, wszedł komendant Geller. Z torbą sportową w ręku wyglądał jak świeżo po prysznicu. Ralph pomachał mu na powitanie i dopiero wtedy dostrzegł zasępioną minę szefa.

– Nie powinno cię tu być, detektywie. – A zatem poznał odpowiedź na to jedno pytanie. – Idź do domu. Skoś trawnik czy coś.

– Już to zrobiłem. – Ralph wstał. – Teraz pora posprzątać w piwnicy.

– Dobrze więc, zajmij się tym. – Geller przystanął przy drzwiach swojego gabinetu. – I, Ralph… przykro mi z powodu tego wszystkiego. Przykro jak diabli.

Wszyscy mi to mówią, pomyślał Ralph, wychodząc na popołudniowy upał.

9

Yune zadzwonił kwadrans po dziewiątej wieczorem, kiedy Jeannie była pod prysznicem. Ralph wszystko zapisał. Nie było tego dużo, ale wystarczyło, żeby go zaintrygować. Godzinę później poszedł do łóżka i zasnął prawdziwym snem po raz pierwszy od czasu, kiedy Terry został zastrzelony u podnóża schodów sądu. Obudził się w piątek o czwartej nad ranem. Pamiętał, że śniła mu się nastolatka siedząca chłopakowi na barana i wznosząca pięści w niebo. Usiadł prosto na łóżku, wciąż nie całkiem przytomny i nieświadom tego, że krzyczy, dopóki przerażona żona nie złapała go za ramiona.

– Co? Ralph, co?

– Nie o ramiączko chodziło! O kolor ramiączka!

– O czym ty mówisz? – Potrząsnęła nim. – Coś ci się przyśniło, kochanie? Koszmar?

„Wierzę, że za każdą myślą, której jestem świadoma, kryje się tuzin innych". Tak powiedziała. I tym właśnie był ten sen – już się zacierający, jak to zwykle bywa ze snami. Jedną z tych ukrytych myśli.

– Miałem to – powiedział. – We śnie już to miałem.

– Co miałeś, skarbie? Coś w związku z Terrym?

– W związku z tą dziewczyną. Ramiączko jej stanika było jaskrawożółte. Tyle że żółte było też coś innego. We śnie wiedziałem co, ale teraz… – Zwiesił nogi z łóżka i ścisnął dłońmi kolana wystające z nogawek obszernych bokserek. – Przepadło.

– Wróci. Połóż się. Przeraziłeś mnie na śmierć.

– Przepraszam. – Ralph opadł z powrotem na poduszkę.

– Dasz radę znów zasnąć?

– Nie wiem.

– Co powiedział porucznik Sablo, kiedy zadzwonił?

– Nie mówiłem ci? – Doskonale wiedział, że nie.

– Nie, a ja nie chciałam drążyć. Miałeś tę swoją zamyśloną minę.

– Powiem ci rano.

– Skoro już napędziłeś mi stracha i wyrwałeś mnie ze snu, równie dobrze możesz to zrobić teraz.

– Nie ma tego wiele. Yune namierzył chłopaka przez policjanta, który go zatrzymał; glina polubił dzieciaka, trochę się nim zainteresował, ma go na oku. Młody pan Cassidy na razie przebywa w domu zastępczym w El Paso. Ma stanąć przed sądem dla nieletnich za kradzież samochodów, ale na razie nikt nie wie gdzie. Najprawdopodobniej w okręgu Dutchess w Nowym Jorku, ale tam nie palą się, żeby go sprowadzić, a on nie pali się do powrotu. Na razie więc jest w takim jakby stanie zawieszenia i według Yune'a to mu całkowicie odpowiada. Podobno ojczym regularnie go tłukł. A mamusia udawała, że nic się nie dzieje. Dość typowy cykl przemocy.

– Biedny dzieciak, nic dziwnego, że uciekł. Co z nim będzie?

– Och, koniec końców wyślą go z powrotem do domu. Młyny sprawiedliwości mielą powoli, ale dokładnie i na miałko. Dostanie wyrok w zawiasach, może do kary zaliczą mu pobyt w domu zastępczym. Gliny z jego miasta zostaną powiadomione o jego sytuacji rodzinnej, ale ostatecznie wszystko się zacznie od nowa. Kto bije dzieci, czasem wciska pauzę, ale rzadko wciska stop. – Ralph podłożył sobie dłonie pod głowę i pomyślał o Terrym, który nigdy nie wykazywał skłonności do przemocy, nawet nie popchnął sędziego na meczu. – Dzieciak rzeczywiście był w Dayton – podjął. – I już wtedy się bał, że van może być spalony. Zatrzymał się na publicznym parkingu, bo był darmowy, niestrzeżony, a kilka przecznic dalej widać było złote łuki McDonalda. Nie pamięta kawiarni Tommy and Tuppence, pamięta za to młodego gościa w koszulce z napisem Tommy i coś tam na plecach. Facet miał plik niebieskich kartek, które wkładał pod wycieraczki samochodów stojących przy krawężniku. Zauważył dzieciaka, to znaczy Merlina, i zaproponował mu dwa dolce za rozniesienie ulotek do wszystkich aut na parkingu. Mały grzecznie

odmówił i poszedł do McDonalda na lunch. Kiedy wrócił, gościa z ulotkami już nie było, za to pod wycieraczkami wszystkich samochodów tkwiło menu. Chłopak jest płochliwy, z jakiegoś powodu uznał to za złą wróżbę, Bóg raczy wiedzieć dlaczego. W każdym razie doszedł do wniosku, że pora zmienić wóz.

– Gdyby nie był płochliwy, pewnie złapaliby go znacznie wcześniej – zauważyła Jeannie.

– Też prawda. Obszedł więc parking, wypatrując otwartych samochodów. Powiedział Yune'owi, że zaskoczyło go to, jak dużo ich było.

– Założę się, że ciebie nie.

Ralph się uśmiechnął.

– Ludzie są nieuważni. W piątym czy szóstym otwartym samochodzie pod osłoną przeciwsłoneczną był zapasowy kluczyk. Wóz nadawał się dla niego idealnie: prosta czarna toyota, dziesiątki tysięcy takich dzień w dzień jeżdżą po drogach. Zanim jednak nasz Merlin nią odjechał, włożył kluczyk vana z powrotem do jego stacyjki. Powiedział Yune'owi, że miał nadzieję, iż ukradnie go ktoś inny, bo, tu cytuję: „to mogło naprowadzić gliny na fałszywy trop". Wiesz, jakby był mordercą poszukiwanym w sześciu stanach, a nie tylko dzieciakiem na gigancie, który ani razu nie zapomniał włączyć migacza.

– Tak powiedział? – W głosie Jeannie brzmiało rozbawienie.

– Tak. Aha, i musiał wrócić do vana po coś jeszcze. Stertę zgniecionych pudeł, na której siedział, żeby za kierownicą wyglądać na wyższego, niż jest.

– Już go lubię. Derek nigdy by na to nie wpadł.

Derekowi nigdy nie daliśmy powodu, pomyślał Ralph.

– Wiesz, czy zostawił menu pod wycieraczką vana?

– Yune spytał o to i dzieciak powiedział, że oczywiście, zostawił je, bo na co mu ono.

– Czyli tym, kto je wyrwał spod wycieraczki, zostawiając kawałek, który potem wylądował wewnątrz samochodu, był człowiek, który ukradł vana z parkingu w Dayton.

– Prawie na pewno. A teraz powiem ci, dlaczego miałem zamyśloną minę. Dzieciak zeznał, że to się wydarzyło mniej więcej w kwietniu.

Traktuję to z pewną rezerwą, bo wątpię, czy uważnie śledził kalendarz, ale powiedział Yune'owi, że była wiosna, na drzewach już rosły liście, ale nie było upału. Czyli rzeczywiście mógł być kwiecień. A Terry w kwietniu był w Dayton, gdzie odwiedził ojca.

– Tyle że zabrał ze sobą rodzinę i w obie strony lecieli samolotem.

– Wiem. Może to zbieg okoliczności. Potem jednak ten van znalazł się tutaj, we Flint City, a trudno mi uwierzyć w dwa zbiegi okoliczności związane z tym samym fordem econoline'em. Yune postawił hipotezę, że Terry mógł mieć wspólnika.

– Który wyglądał identycznie jak on? – Jeannie uniosła brew. – Może brata bliźniaka nazwiskiem William Wilson?

– Wiem, to brzmi idiotycznie. Ale sama widzisz, jakie to wszystko dziwne. Terry jest w Dayton, van jest w Dayton. Terry wraca do Flint City, van pojawia się we Flint City. Jest na to jakieś określenie, którego nie mogę sobie przypomnieć.

– Zbieżność, chyba tego słowa szukasz.

– Chcę porozmawiać z Marcy. Zapytać ją o wyjazd Maitlandów do Dayton. O wszystko, co pamięta. Tyle tylko, że ona nie będzie chciała ze mną rozmawiać, a ja w żaden sposób nie mogę jej do tego zmusić.

– Ale spróbujesz?

– O tak, spróbuję.

– Teraz już dasz radę zasnąć?

– Chyba tak. Kocham cię.

– Ja ciebie też.

Odpływał w sen, kiedy przemówiła mu do ucha, stanowczo, prawie ostro, próbując wyciągnąć to z niego z zaskoczenia:

– Jeśli nie chodziło o ramiączko stanika, to o co?

Ralph przez chwilę wyraźnie widział słowa: „Nie może". Tylko że litery były sinawozielone, a nie żółte. Coś majaczyło w jego pamięci. Próbował to uchwycić, umknęło.

– Nie mogę… – westchnął.

– Jeszcze nie – odparła Jeannie. – Ale w końcu sobie przypomnisz. Znam cię.

Zasnęli. Kiedy Ralph się obudził, była ósma rano. Wszystkie ptaki śpiewały.

10

O dziesiątej tego piątkowego poranka Sarah i Grace doszły do płyty *A Hard Day's Night*, a Marcy myślała, że dochodzi na skraj szaleństwa.

Dziewczynki znalazły gramofon Terry'ego – kupiony za grosze na eBayu, jak zapewnił Marcy – w jego warsztacie w garażu, wraz z pieczołowicie skompletowaną przez niego dyskografią Beatlesów. Zabrały gramofon i płyty do pokoju Gracie i zaczęły od *Meet the Beatles!* „Przesłuchamy wszystkie po kolei", powiedziała Sarah. „Na pamiątkę tatusia. Jeśli ci to nie przeszkadza". Marcy odparła, że nie ma nic przeciwko. Co innego mogła powiedzieć, kiedy patrzyła na ich blade, poważne twarze i podkrążone oczy? Tyle tylko, że nie przypuszczała, jak mocno ją poruszą te piosenki. Dziewczynki oczywiście znały je wszystkie; kiedy Terry siedział w garażu, talerz gramofonu kręcił się bez przerwy, napełniając warsztat muzyką zespołów Brytyjskiej Inwazji, których nie dane mu było usłyszeć z pierwszej ręki – urodził się trochę za późno – ale które mimo to uwielbiał: The Searchers, The Zombies, The Dave Clark Five, The Kinks, T. Rex i – oczywiście – The Beatles. Głównie The Beatles.

Dziewczynki zaraziły się od ojca miłością do tych kapel i piosenek, ale nie były świadome ładunku emocji skrytego w każdej nucie. Nie słyszały *I Call Your Name* na tylnym siedzeniu samochodu ojca Terry'ego, gdy Terry muskał ustami jej szyję, wsuwał dłoń pod jej sweter. Nie słyszały *Can't Buy Me Love*, kawałka, który właśnie leciał na górze, gdy siedziała z Terrym na kanapie w ich pierwszym wspólnym mieszkaniu. Nie doświadczyły tej chwili, kiedy ich przyszli rodzice, trzymając się za ręce, oglądali *A Hard Day's Night* na

sfatygowanej kasecie wideo kupionej za dwie dychy na kiermaszu rzeczy używanych. Nie było ich przy tym, gdy młodzi beatlesi wygłupiali się w czerni i bieli, a Marcy już wiedziała, że poślubi młodego mężczyznę siedzącego obok niej, nawet jeśli on sam tego jeszcze nie wiedział. Czy John Lennon już nie żył, kiedy oglądali tę starą taśmę? Czy już wtedy został zastrzelony na ulicy jak jej mąż?

Nie wiedziała, nie pamiętała. Wiedziała tylko, że ona, Sarah i Grace przebrnęły przez pogrzeb z godnością, teraz jednak, kiedy Terry spoczął w ziemi, czekało ją życie samotnej matki (och, cóż za okropne określenie), i na dźwięk tej radosnej muzyki traciła zmysły ze smutku. Każda harmonia wokalna, każdy zmyślny riff George'a Harrisona były jak świeża rana. Dwa razy wstawała od stołu kuchennego, przy którym piła stygnącą kawę. Dwa razy podeszła do podnóża schodów i nabrała powietrza, żeby krzyknąć: Wystarczy! Wyłączcie to! I dwa razy wróciła do kuchni. One też przeżywały żałobę.

Tym razem, kiedy wstała, podeszła do szuflady ze sztućcami i wysunęła ją do samego końca. Myślała, że nic tam nie będzie, jednak jej dłoń odnalazła paczkę winstonów. W środku zostały trzy. Nie, cztery – jeden schował się w głębi. Nie paliła od piątych urodzin młodszej córki, kiedy dostała ataku kaszlu, mieszając ciasto na tort dla Gracie, i natychmiast przyrzekła, że skończy z tym raz na zawsze. A jednak zamiast wyrzucić tych ostatnich żołnierzy raka, schowała ich w głębi szuflady na sztućce, jakby jakaś mroczna, przewidująca część niej wiedziała, że jeszcze kiedyś się przydadzą.

Mają pięć lat. Na pewno wyschły na wiór. Będziesz kaszlała do utraty tchu.

Dobrze. Tym lepiej.

Wyjęła jednego papierosa z paczki, już go łaknąc. Palacz nigdy nie rzuca, tylko robi sobie przerwy, pomyślała. Podeszła do schodów i przechyliła głowę. *And I Love Her* przeszło w *Tell Me Why* (odwieczny problem). Wyobraziła sobie, jak dziewczynki siedzą na łóżku Grace, nic nie mówią, tylko słuchają. Może trzymają się za ręce. Przyjmują sakrament tatusia. Płyty, z których część tatuś kupił w Turn Back the Hands of Time, sklepie płytowym w Cap City,

a resztę w internecie. Płyty, które trzymał w tych samych dłoniach, w których trzymał swoje córki.

Przeszła przez salon do małego pękatego pieca, w którym palili tylko w mroźne zimowe wieczory, i po omacku sięgnęła na pobliską półkę po pudełko zapałek Diamond, po omacku, bo na tejże półce stał rząd zdjęć, na które ostatnio nie miała siły patrzeć. Może za miesiąc się na to zdobędzie. Może za rok. Ile trzeba czasu, żeby wyjść z pierwszego, najboleśniejszego etapu rozpaczy? Pewnie mogłaby znaleźć względnie autorytatywną odpowiedź na WebMD, ale tam też bała się zajrzeć.

Dobrze choć, że reporterzy zniknęli po pogrzebie, pospiesznie wrócili do Cap City, żeby zająć się jakimś świeżym skandalem politycznym, nie będzie więc musiała palić na tylnym ganku, narażając się na to, że jedna z dziewczynek wyjrzy przez okno i przyłapie ją na powrocie do starego złego nawyku. Ani w garażu, gdzie mogłyby poczuć dym, gdyby przyszły po nową partię płyt.

Otworzyła frontowe drzwi i zobaczyła Ralpha Andersona. Unosił pięść, żeby zapukać.

11

Przerażenie, z jakim na niego patrzyła – jakby był jakimś potworem, może żywym trupem z tego serialu telewizyjnego – uderzyło Ralpha jak obuchem. Zdążył zobaczyć jej poczochrane włosy, plamę czegoś na klapie jej szlafroka (za dużego na nią; może należał do Terry'ego), lekko wygiętego papierosa między jej palcami. I coś jeszcze. Zawsze była atrakcyjną kobietą, ale zaczynała tracić urodę. Niedawno powiedziałby, że to niemożliwe.

– Marcy…

– Nie. Nie, nic tu po tobie. Idź stąd. – Jej głos był niski, zdyszany, jakby dostała cios pięścią.

– Muszę z tobą porozmawiać. Proszę, zgódź się.

– Zabiłeś mi męża. Nie ma nic więcej do powiedzenia.

Zaczęła zamykać drzwi, ale Ralph przytrzymał je dłonią.

– Nie zabiłem go, ale rzeczywiście, przyczyniłem się do jego śmierci. Możesz mnie uznać za współwinnego, jeśli chcesz. Nie powinienem był go zatrzymać w takich okolicznościach. To było niewłaściwe, Bóg raczy wiedzieć pod jak wieloma względami. Miałem swoje powody, ale to nie były dobre powody. Ja…

– Zabieraj rękę z drzwi. Natychmiast, inaczej każę cię aresztować.

– Marcy…

– Nie nazywaj mnie tak. Po tym, co zrobiłeś, nie masz prawa mnie tak nazywać. Nie wrzeszczę na całe gardło tylko dlatego, że moje córki są na górze i słuchają płyt swojego nieżyjącego ojca.

– Proszę… – Nie każ mi błagać, miał te słowa na końcu języka, ale nie, nie mógł tak powiedzieć, bo to nie wystarczy. – Błagam. Porozmawiaj ze mną.

Podniosła papierosa i parsknęła okropnym, bezbarwnym śmiechem.

– Myślałam, że teraz, kiedy wszystkie te małe gnidy zniknęły, będę mogła spokojnie zapalić na swoim progu. A tu proszę, mam przed sobą największą gnidę, gnidę nad gnidy. Ostatnie ostrzeżenie, panie Gnido, który doprowadziłeś do śmierci mojego męża. Zabieraj się. Kurwa. Z mojego domu.

– A jeśli on tego nie zrobił?

Otworzyła szeroko oczy; nacisk jej dłoni na drzwi zelżał, przynajmniej chwilowo.

– A jeśli on…? Jezu Chryste, przecież powiedział ci, że tego nie zrobił! Powiedział to, kiedy umierał! Czego jeszcze ci trzeba? Doręczonego do rąk własnych telegramu od archanioła Gabriela?

– Jeśli tego nie zrobił, sprawca nadal jest na wolności i odpowiada za zniszczenie nie tylko twojej rodziny, ale i Petersonów.

Chwilę o tym myślała. Wreszcie powiedziała:

– Oliver Peterson nie żyje, dlatego że ty i ten sukinsyn Samuels musieliście odstawić cały ten cyrk. Poza tym to ty go zabiłeś, prawda, detektywie Anderson? Strzeliłeś mu w głowę. Dorwałeś faceta. Przepraszam, chłopca.

A potem zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

Ralph jeszcze raz podniósł rękę, żeby zapukać, zmienił jednak zdanie.

12

Marcy stała, dygocząc, po swojej stronie drzwi. Poczuła, że kolana uginają się pod nią, ale zdołała dojść do ławy w przedpokoju, na której zwykle siadali goście, żeby zdjąć ciężkie albo ubłocone buty. Na górze zamordowany beatles śpiewał o wszystkim, co zrobi, kiedy wróci do domu. Marcy spojrzała na papierosa między swoimi palcami, jakby niepewna, skąd się tam wziął, po czym złamała go na pół i oba kawałki wsunęła do kieszeni szlafroka, który miała na sobie (rzeczywiście należał do Terry'ego). Przynajmniej dzięki niemu nie wróciłam do tego syfu, pomyślała. Może powinnam wysłać mu list z podziękowaniem.

Że też miał czelność stanąć na jej progu po tym, jak rozbił jej rodzinę, jak złapał za łom i tłukł na oślep, aż całe ich życie legło w gruzach. Czysty, okrutny, jawny tupet. Tyle że…

„Jeśli tego nie zrobił, sprawca nadal jest na wolności".

Jak miała się do tego odnieść, skoro nie mogła nawet zdobyć się na to, żeby wejść na WebMD i sprawdzić, jak długo trwa pierwszy etap żałoby? I dlaczego w ogóle miała cokolwiek w tej sprawie zrobić? Niby czemu to jej odpowiedzialność? Policja schwytała niewłaściwego człowieka i szła w zaparte, nawet kiedy alibi Terry'ego okazało się twarde jak Skała Gibraltarska. A niech znajdą prawdziwego sprawcę, jeśli wystarczy im odwagi. Jej zadaniem było przetrwać ten dzień i nie zwariować, a potem – w nieokreślonej przyszłości, o której trudno było w ogóle myśleć – zastanowić się, co dalej zrobić ze swoim życiem. Czy miała zostać tutaj, gdy pół miasta uważało, że zabójca jej męża spełnił w oczach Boga dobry uczynek? Czy miała skazać swoje córki na przebywanie w tych siedliskach

kanibali, znanych jako gimnazjum i liceum, gdzie wystarczyło włożyć niewłaściwe tenisówki, żeby się narazić na drwiny i ostracyzm?

Dobrze, że przegoniłam Andersona. Nie mogę go przyjmować w moim domu. Owszem, słyszałam w jego głosie szczerość – przynajmniej tak mi się zdawało – ale jakże mogłabym go wpuścić po tym, co zrobił?

Jeśli tego nie zrobił, sprawca…

– Zamknij się – szepnęła do siebie. – Proszę, błagam, zamknij się.

…nadal jest na wolności.

A jeśli zabije znowu?

13

Większość ludzi z wyższych sfer Flint City sądziła, że Howard Gold urodził się w bogatej, a przynajmniej zamożnej rodzinie. Choć ani trochę nie wstydził się swojego dzieciństwa, które było jedną wielką prowizorką, nie wyprowadzał ich z błędu. W rzeczywistości był synem wędrownego robotnika rolnego, kowboja i jeźdźca rodeo, który przemierzał cały Południowy Zachód w przyczepie kempingowej Airstream z żoną i dwoma synami, Howardem i Edwardem. Howard za własne pieniądze zrobił studia, po czym pomógł bratu osiągnąć ten sam cel. Kiedy rodzice przeszli na emeryturę, zadbał o ich byt (Andrew Gold odłożył tyle co nic) i jeszcze sporo mu zostało.

Był członkiem Klubu Rotariańskiego i country clubu Rolling Hills. Podejmował ważnych klientów kolacją w najlepszych restauracjach Flint City (były takie dwie) i wspierał tuzin organizacji charytatywnych, także te utrzymujące boiska sportowe w parku imienia Estelle Bargi. Potrafił wybrać dobre wino jak prawdziwy znawca i na każde Boże Narodzenie wysyłał swoim największym klientom wykwintne kosze podarunkowe. Kiedy jednak był sam w swoim gabinecie, tak jak w to piątkowe południe, wolał jeść jak w dzieciństwie, w czasach, gdy kursował z Wygwizdowa w Oklahomie do Pipidówy w Nevadzie i z powrotem, słuchając Clinta Blacka w radiu i – jeśli akurat nie chodził do szkoły – ucząc się u boku mamy. Domyślał się, że jego woreczek żółciowy prędzej czy później postawi weto wobec tych samotnych, tłustych posiłków, na razie jednak przeżył ponad sześćdziesiąt lat bez protestów z jego strony, więc mógł dziękować Bogu za dobre geny. Kiedy zadzwonił

telefon, zajadał ociekającą majonezem kanapkę z jajkiem sadzonym i frytki usmażone, tak jak lubił, na węgiel i obficie polane keczupem. Na krawędzi biurka czekał kawałek szarlotki z topniejącymi lodami na wierzchu.

– Mówi Howard Gold.

– Howie, tu Marcy. Ralph Anderson był u mnie dziś rano.

Zmarszczył brwi.

– Przyszedł do twojego domu? Nie wolno mu. Jest na urlopie administracyjnym. Nieprędko wróci na służbę, o ile w ogóle się na to zdecyduje. Mam zadzwonić do komendanta Gellera i powiedzieć mu parę słów do słuchu?

– Nie. Zatrzasnęłam mu drzwi przed nosem.

– I dobrze!

– Wcale nie jest mi z tym dobrze. Powiedział coś, co nie daje mi spokoju. Howard, bądź ze mną szczery. Czy uważasz, że Terry zabił tego chłopca?

– Jezu, nie. Powiedziałem ci. Są dowody, które za tym przemawiają, oboje to wiemy, ale zbyt wiele innych dowodów temu przeczy. Wyszedłby na wolność. Ale mniejsza o dowody, po prostu nie był zdolny do takiego czynu. No i mamy jego ostatnie słowa.

– Ludzie stwierdzą, że powiedział, co powiedział, bo nie chciał się przy mnie przyznać. Pewnie już tak mówią.

Kochana, pomyślał, nie jestem pewien, czy w ogóle wiedział, że tam byłaś.

– Sądzę, że mówił prawdę.

– Ja też. A jeśli tak, to znaczy, że sprawca nadal jest na wolności i skoro zabił jedno dziecko, to prędzej czy później zabije następne.

– To tego Anderson nakładł ci do głowy… – Howie odsunął od siebie resztkę kanapki. Stracił apetyt. – Nie dziwię się, wywoływanie poczucia winy to stara sztuczka policji, ale źle zrobił, wypróbowując ją na tobie. Musi za to dostać po łapach. Surowa nagana z wpisaniem do akt, co najmniej. Dopiero co pochowałaś męża, na litość boską.

– Tyle że powiedział prawdę.

Może, pomyślał Howie. Ale w związku z tym nasuwa się pytanie: dlaczego powiedział ją właśnie tobie?

– I jeszcze jedno – ciągnęła. – Jeśli policja nie złapie prawdziwego zabójcy, będę musiała zabrać córki i wyjechać z miasta. Może jakoś stawiłabym czoła szeptom i plotkom, gdybym była sama, ale nie fair jest wymagać tego od dziewczynek. Jedyne rozwiązanie, jakie przychodzi mi do głowy, to zatrzymać się u mojej siostry w Michigan, tylko że to z kolei byłoby nie w porządku wobec Debry i Sama. Mają dwójkę własnych dzieci, dom jest mały. To oznaczałoby, że musiałabym zacząć wszystko od nowa, a jestem na to zbyt zmęczona. Czuję się… Howie, czuję się rozbita.

– To zrozumiałe. Co chcesz, żebym zrobił?

– Zadzwoń do Andersona. Przekaż mu, że spotkam się z nim u siebie w domu dziś wieczorem, wtedy będzie mógł zapytać, o co zechce. Ale chcę, żebyś przy tym był. Ty i detektyw, który dla ciebie pracuje, o ile ma czas i zgodzi się przyjść. Zrobisz to dla mnie?

– Oczywiście, jeśli właśnie tego chcesz. I jestem pewien, że Alec też przyjedzie. Ale chcę cię… nie tyle ostrzec, ile zalecić ci czujność. Nie wątpię, że Ralph czuje się paskudnie z powodu tego, co się stało, i domyślam się, że przeprosił…

– Błagał mnie.

To poniekąd nadzwyczajne, ale może nie całkiem dla niego nietypowe.

– Nie jest złym człowiekiem. To dobry człowiek, który popełnił koszmarny błąd. Ale, Marcy, nadal jest osobiście zainteresowany udowodnieniem, że to Terry zabił małego Petersona. Jeśli tego dokona, jego kariera wróci na właściwe tory. To samo, jeśli sprawa pozostanie niewyjaśniona. Jeśli jednak odnajdzie się prawdziwy zabójca, Ralph będzie skończony jako policjant. W najlepszym razie dostanie pracę jako ochroniarz w Cap City, będzie zarabiał połowę tego, co teraz. Nie wspominając o tym, że spadnie na niego masa pozwów.

– Rozumiem to, ale…

– Jeszcze nie skończyłem. Pytania, które ma do ciebie, na pewno dotyczą Terry’ego. Może tylko szuka po omacku, a może sądzi, że znalazł coś, co łączy Terry’ego z zabójstwem w inny sposób. Nadal chcesz, żebym umówił to spotkanie?

Na chwilę zapadła cisza, po czym Marcy powiedziała:

– Jamie Mattingly jest moją najlepszą przyjaciółką na Barnum Court. Zabrała dziewczynki do siebie, kiedy aresztowali Terry'ego na stadionie, a teraz nie odbiera telefonów ode mnie i usunęła mnie z listy znajomych na Facebooku. Najlepsza przyjaciółka oficjalnie się mnie wyrzekła.

– Przejdzie jej.

– Tak, jeśli policja złapie prawdziwego zabójcę. Wtedy przyjdzie do mnie na kolanach. Może jej wybaczę, że się ugięła przed mężem… bo tak to się odbyło, na mur-beton… a może nie. Ale to jest decyzja, której nie mogę podjąć, dopóki sprawy nie zmienią się na lepsze. O ile kiedykolwiek tak się stanie. Chcę przez to powiedzieć, żebyś umówił to spotkanie. Będziesz przy mnie, będziesz mnie chronił. Pan Pelley też. Chcę wiedzieć, dlaczego Anderson odważył się pokazać w moim domu.

14

O czwartej tego popołudnia stary pikap marki Dodge telepał się wiejską drogą dwadzieścia pięć kilometrów na południe od Flint City, ciągnąc za sobą pióropusz kurzu. Minął opuszczony wiatrak z połamanymi skrzydłami, opuszczony parterowy dom ziejący dziurami po oknach, dawno opuszczony cmentarz, znany w okolicy jako Cmentarzysko Kowbojów, głaz z napisem: „Trump, przywróć Ameryce wielkość", wymalowanym z boku wyblakłymi literami. Ocynkowane bańki na mleko turlały się na skrzyni wozu i obijały o ścianki. Za kierownicą siedział siedemnastolatek nazwiskiem Dougie Elfman. Jadąc, co chwila zerkał na telefon komórkowy. Kiedy dotarł do drogi numer 79, miał już dwie kreski i uznał, że tyle wystarczy. Zatrzymał się przed skrzyżowaniem, wysiadł, obejrzał się za siebie. Nic. Oczywiście, że nic. Mimo wszystko ulżyło mu. Zadzwonił do taty. Clark Elfman odebrał po drugim sygnale.

– I co, bańki były w stodole?

– Uhm – mruknął Dougie. – Wziąłem dwa tuziny, ale trza je będzie obmyć. Jeszcze zalatują zsiadłym mlekiem.

– A co z uprzężą?

– Już jej nie ma, tatuś.

– Cóż, nie jest to najlepsza wiadomość tygodnia, ale można było się tego spodziewać. Po co dzwonisz, synek? I gdzie jesteś? Słychać cię, jakbyś był po ciemnej stronie księżyca.

– Jestem na siedemdziesiątcedziewiątce. Słuchaj, tatuś, ktoś tam pomieszkiwał.

– Co? Włóczędzy, hipisi?

– Nie. Nie ma bałaganu, żadnych puszek po piwie, papierków ani pustych flaszek, nie widać, żeby ktoś gdzieś srał, chyba że chodził kilkaset metrów w najbliższe krzaki, nie ma też śladów ogniska.

– I dzięki Bogu – powiedział Elfman – bo ostatnio było strasznie sucho. A co znalazłeś? Nie żeby to miało znaczenie, nie ma tam już czego kraść, te stare rudery ledwo stoją i nie są warte złamanego grosza.

Dougie wciąż raz po raz zerkał za siebie. Droga wydawała się pusta, jasne, ale wolałby, żeby kurz opadł szybciej.

– Znalazłem dżinsy, na oko nowe, bokserki, chyba nowe, i drogie adidasy, takie z żelowymi wkładkami, które też wyglądają na nowe. Tyle że na tym wszystkim były plamy czegoś i na sianie też.

– Plamy krwi?

– Nie, to nie krew. Cokolwiek to było, siano od tego sczerniało.

– Może smar? Olej silnikowy? Coś w tym rodzaju?

– Nie, czarne było tylko siano, to coś, co się na nie wylało, nie. Nie wiem, co to było.

Wiedział jednak, co przypominały sztywne plamy na dżinsach i majtkach; od dnia swoich czternastych urodzin onanizował się trzy, czasem cztery razy dziennie w kawałek starego ręcznika, który potem opłukiwał pod kranem w ogródku, kiedy rodziców nie było. Bywało, że zapominał to zrobić i na materiale robiła się skorupa.

Tyle że tego czegoś było dużo, bardzo dużo, no i bądźmy szczerzy, kto by trzepał gruchę na nowiutkie adipowersy, bajeranckie buty, które nawet w Walmarcie kosztują ponad sto czterdzieści dolarów? W innych okolicznościach Dougie może by pomyślał, czy ich sobie nie wziąć, ale zraził go ten syf na nich. I coś jeszcze, co zauważył.

– Cóż, olej to i wracaj do domu – powiedział Elfman. – Dobrze choć, że masz te bańki.

– Nie, tatuś, musisz tam wysłać policję. W tych dżinsach był pasek, taki z błyszczącą srebrną sprzączką w kształcie głowy konia.

– Nic mi to nie mówi, synek, ale domyślam się, że tobie tak.

– W wiadomościach mówili, że Terry Maitland miał taką sprzączkę, kiedy widziano go na dworcu w Dubrow. Po tym, gdy zabił tego chłopaka.

– Tak mówili?

– Tak, tatuś.

– Kurczę blade. Czekaj na skrzyżowaniu, dopóki nie oddzwonię. Domyślam się, że gliny będą chciały to obejrzeć. Ja też przyjadę.

– Przekaż im, że będę pod sklepem Biddle's.

– Biddle's… Dougie, to osiem kilometrów w stronę Flint!

– Wiem. Ale nie chcę tu zostać. – Kurz wreszcie opadł; nic się z niego nie wyłoniło, ale Dougie nadal czuł się nieswojo. Odkąd zaczął rozmawiać z ojcem, główną drogą nie przejechał ani jeden samochód, a chciał być wśród ludzi.

– Co się stało, synek?

– Kiedy byłem w tej stodole, gdzie znalazłem ubrania… bańki już miałem, ale szukałem jeszcze uprzęży, bo mówiłeś, że może tam być… jakoś tak niepewnie się poczułem. Jakby ktoś mnie obserwował.

– Spietrałeś się, to wszystko. Człowiek, który zabił tego chłopca, gryzie ziemię.

– Wiem, ale powiedz glinom, że będę czekał pod Biddle's i zabiorę ich na miejsce. Sam tam nie zostanę.

15

Spotkanie z Marcy zostało wyznaczone na ósmą tego wieczoru w domu Maitlandów. Ralph dostał telefoniczną zgodę od Howiego Golda. Na wieść o tym, że adwokatowi będzie towarzyszył Alec Pelley, zapytał, czy sam może przyprowadzić Yune'a Sablo, jeśli ten będzie miał czas.

– Pod żadnym pozorem – odparł Howie. – Jeśli przyprowadzisz porucznika Sablo czy kogokolwiek innego, nawet twoją uroczą małżonkę, odwołamy spotkanie.

Ralph ustąpił. Nie miał wyjścia. Przez pewien czas krzątał się w piwnicy, głównie przenosił pudła z jednej strony na drugą i z powrotem. Potem bez apetytu zjadł kolację. Do spotkania zostały jeszcze dwie długie godziny. Odsunął się z krzesłem od stołu.

– Jadę do szpitala odwiedzić Freda Petersona.

– Dlaczego?

– Po prostu czuję, że powinienem.

– Mogę ci towarzyszyć, jeśli chcesz.

Ralph pokręcił głową.

– Stamtąd pojadę prosto na Barnum Court.

– Zamęczasz się. Kiszki z siebie wypruwasz, jak powiedziałaby moja babcia.

– Wszystko gra.

Jeannie posłała mu uśmiech, który mówił, że wie swoje, po czym wspięła się na palce, żeby go pocałować.

– Zadzwoń. Cokolwiek się wydarzy.

Uśmiechnął się.

– Do licha z tym. Wrócę i powiem ci osobiście.

16

Wchodząc do holu szpitala, Ralph spotkał nieobecnego w ostatnich dniach detektywa. Jack Hoskins, który właśnie wychodził, był drobnym mężczyzną, przedwcześnie posiwiałym, z worami pod oczami i czerwonym nosem pijaka. Wciąż miał na sobie strój wędkarza – koszula khaki, spodnie khaki, jedno i drugie z licznymi kieszeniami – ale do paska przypiął służbową odznakę.

– Co tu robisz, Jack? – zapytał Ralph. – Myślałem, że jesteś na urlopie.

– Wezwali mnie trzy dni przed końcem. Przyjechałem niecałą godzinę temu. Nawet nie wyjąłem z wozu siatki, gumiaków, wędek i skrzynki ze sprzętem. Komendant uznał, że potrzebny mu choć jeden detektyw na służbie. Betsy Riggins jest tutaj, na czwartym piętrze, rodzi. Zaczęła dziś po południu. Rozmawiałem z jej mężem, podobno to jeszcze potrwa. Chociaż co on tam może wiedzieć. A co do ciebie… – zrobił pauzę dla efektu – …wpakowałeś się po uszy, Ralph.

Jack Hoskins nawet nie próbował ukryć satysfakcji. Rok wcześniej, kiedy uzyskał prawo do podwyżki, Ralpha i Betsy Riggins poproszono o wystawienie mu opinii. Betsy, stojąca najniżej w hierarchii detektywów, napisała wszystko, czego od niej oczekiwano. Ralph oddał komendantowi Gellerowi formularz z tylko trzema słowami skreślonymi w wyznaczonym do tego miejscu: „Nie mam zdania”. Hoskins mimo to dostał podwyżkę, ale opinia to opinia. Teoretycznie nie powinien był zobaczyć tych papierów i może nawet ich nie zobaczył, ale informacja o tym, jak Ralph go podsumował, oczywiście do niego dotarła.

– Zajrzałeś do Freda Petersona?

– Owszem. – Jack wydął dolną wargę i zdmuchnął przerzedzone kosmyki z czoła. – Dużo monitorów, na wszystkich niskie wskazania. Raczej z tego nie wyjdzie.

– Cóż, witaj w domu.

– Chrzanić to, Ralph. Miałem jeszcze trzy dni, okonie brały, a teraz nawet nie mogę zmienić koszuli śmierdzącej rybimi flakami. Dzwonili do mnie i Geller, i szeryf Doolin. Muszę jechać kawał drogi na to zapyziałe pustkowie znane jako powiat Canning. Twój koleś Sablo podobno już tam jest. Pewnie nie wrócę do domu przed jedenastą.

Ralph mógł powiedzieć: Nie moja wina, ale kogo innego ten nieudolny leń miałby za to obwinić? Betsy, bo w listopadzie zaszła w ciążę?

– Co jest w Canning?

– Dżinsy, majtki i adidasy. Małolat znalazł to wszystko w szopie czy innej stodole, w której szukał baniek na mleko dla ojca. Aha, i pasek ze sprzączką z głową konia. Laboratorium mobilne na pewno jest na miejscu, ze mnie będzie tyle pożytku, co z cycków byka, ale komendant…

– Na sprzączce powinny być odciski palców – wtrącił Ralph. – A na ziemi mogły zostać ślady vana, subaru albo jednego i drugiego.

– Nie ucz ojca dzieci robić. Nosiłem odznakę detektywa, kiedy ty jeszcze chodziłeś w mundurze. – W podtekście: I będę ją dalej nosił, kiedy ty zostaniesz ochroniarzem centrum handlowego w Southgate.

Poszedł. Ralph z ulgą odprowadził go wzrokiem. Żałował tylko, że nie może osobiście pojechać do tej stodoły. Świeże dowody na tym etapie mogłyby się okazać bezcenne. Szczęście w nieszczęściu, że na miejscu był Sablo. On przypilnuje techników. Zakończą większość czynności, zanim Jack przyjedzie i coś spieprzy, jak przy co najmniej dwóch poprzednich okazjach, o których Ralph słyszał.

Najpierw poszedł do poczekalni na porodówce, ale nie było tam żywej duszy, więc może poród przebiegał szybciej, niż przypuszczał Billy Riggins, stremowany nowicjusz. Ralph zaczepił pielęgniarkę i poprosił ją, żeby przekazała Betsy najlepsze życzenia od niego.

– Przekażę, kiedy będzie okazja – powiedziała pielęgniarka. – Na razie pani Riggins jest bardzo zajęta. Małemu się spieszy na ten

świat.

Ralphowi przemknął przed oczami obraz zakrwawionego, zmaltretowanego ciała Franka Petersona. Pomyślał: Gdyby ten mały wiedział, jaki to świat, robiłby wszystko, żeby zostać w środku.

Zjechał windą dwa piętra niżej, na OIOM. Ostatni żyjący członek rodziny Petersonów leżał w sali 304. Jego szyja była grubo zabandażowana i owinięta kołnierzem ortopedycznym. Respirator rzęził, małe harmonijkowe ustrojstwo w nim rozciągało się i ściskało. Wskazania na monitorach otaczających łóżko rzeczywiście były niskie, jak powiedział Jack Hoskins. Nie było kwiatów (Ralph skojarzył, że chyba nie wolno ich wnosić na oddział intensywnej terapii), ale w nogach łóżka ktoś przyczepił dwa baloniki z mylaru, unoszące się pod sufitem. Nadrukowano na nich radosne hasła, na które Ralph nie miał ochoty patrzeć. Wsłuchał się w rzężenie machiny, która oddychała za Freda. Wbił wzrok w wykresy na monitorach i przypomniał sobie słowa Jacka: „Raczej z tego nie wyjdzie".

Kiedy usiadł obok łóżka, wróciło wspomnienie z liceum, z czasów, gdy to, co dziś zwano nauką o środowisku, było starą dobrą nauką o Ziemi. Uczyli się o zanieczyszczeniach. Pan Greer wyjął butelkę wody mineralnej Poland Spring i nalał do szklanki. Poprosił jedną dziewczynę – Misty Trentor, tę od rozkosznie krótkich spódniczek – żeby wyszła na środek klasy i wzięła łyk. Zrobiła to. Potem wyciągnął zakraplacz do oczu i zanurzył go w butelce atramentu Carter's. Wycisnął kroplę do szklanki. Wszyscy patrzyli, zafascynowani, jak pojedyncza kropla idzie na dno, ciągnąc za sobą mackę koloru indygo. Pan Greer delikatnie przechylił szklankę z boku na bok i wkrótce cała woda w niej zabarwiła się na słaby błękitny odcień. „A teraz byś się napiła?", zwrócił się do Misty. Potrząsnęła głową tak gwałtownie, że jedna jej spinka się rozpięła, i wszyscy, łącznie z Ralphem, mieli z tego ubaw. Teraz nie było mu do śmiechu.

Niecałe dwa tygodnie temu rodzina Petersonów miała się świetnie. Potem pojawiła się kropla zanieczyszczającego atramentu. Można rzec, że tą kroplą był łańcuch roweru Frankiego Petersona, bo gdyby się nie zerwał, chłopak wróciłby do domu cały i zdrowy. Z drugiej jednak strony wróciłby też cały i zdrowy – tyle że prowadząc rower,

zamiast nim jechać – gdyby Terry Maitland nie czyhał na parkingu przy sklepie. To Terry był kroplą atramentu, nie łańcuch roweru. To Terry pierwszy skalał, a potem zniszczył całą rodzinę Petersonów. Terry albo ten, kto nosił jego twarz.

Jeannie powiedziała, że jeśli odjąć znaczenie metaforyczne, zostaje to, co niewytłumaczalne. Nadprzyrodzone.

Tylko że to nie jest możliwe. Zjawiska nadprzyrodzone mogą występować w książkach i filmach, nie w świecie rzeczywistym.

Nie, nie w świecie rzeczywistym, w którym niekompetentne pijaki pokroju Jacka Hoskinsa dostają podwyżki. Przeczyło temu wszystko, czego Ralph doświadczył przez prawie pięćdziesiąt lat życia. Przeczyło nawet możliwości istnienia takich zjawisk. Mimo to, siedząc tutaj i patrząc na Freda (czy raczej na to, co z niego zostało), Ralph musiał przyznać, że było coś diabolicznego w tym, jak wielką siłę rażenia miała śmierć tego chłopca; pociągnęła za sobą nie tylko jednego, dwóch członków jego najbliższej rodziny, ale wszystkich bez wyjątku. I na Petersonach się nie skończyło. Nie ulegało wątpliwości, że Marcy i jej córki do końca życia będą nosiły blizny, może nawet trwałe okaleczenia.

Ralph mógł sobie wmówić, że podobne straty uboczne towarzyszyły wszystkim zbrodniom – czyż nie widział tego wiele razy na własne oczy? Tak. Pewnie, że tak. A jednak ta zdawała się mieć dziwnie osobisty charakter. Prawie jakby ktoś z premedytacją obrał tych ludzi za cel. A co z samym Ralphem? Czy on też nie oberwał rykoszetem? I Jeannie? Nawet Derek, który po powrocie z obozu dowie się, że wiele rzeczy, które uważał za dane raz na zawsze – na przykład praca jego ojca – teraz jest zagrożonych.

Respirator rzężał. Pierś Freda Petersona unosiła się i opadała. Z jego gardła co pewien czas dobywał się chrapliwy dźwięk, który przypominał parsknięcie śmiechem. Jakby to wszystko było kosmicznym żartem, który można zrozumieć tylko w śpiączce.

Ralph nie mógł tego dłużej znieść; wyszedł z sali. Kiedy dotarł do windy, już prawie biegł.

17

Usiadł na ławce w cieniu przed szpitalem i zadzwonił na komisariat. Odebrała Sandy McGill. Kiedy zapytał o wiadomości z Canning, odpowiedziało mu milczenie. Gdy w końcu się odezwała, w jej głosie brzmiał wstyd:

– Ralph, nie mogę z tobą o tym rozmawiać. Zarządzenie komendanta Gellera. Przykro mi.

– Nic się nie stało. – Podniósł się. Przed nim ciągnął się jego cień, długi cień wisielca, co oczywiście znów przypomniało mu o Fredzie Petersonie. – Rozkaz to rozkaz.

– Dzięki za wyrozumiałość. Wrócił Jack Hoskins, ma tam pojechać.

– Jasne. – Rozłączył się i ruszył na parking, mówiąc sobie, że to i tak bez znaczenia; Yune będzie go na bieżąco o wszystkim informował.

Prawdopodobnie.

Otworzył swój samochód, wsiadł i podkręcił klimatyzację. Kwadrans po siódmej. Za późno, żeby wrócić do domu, za wcześnie, by jechać do Maitlandów. Nie pozostało mu nic innego, jak tylko krążyć bez celu po mieście niczym pochłonięty sobą nastolatek. I myśleć. O tym, że Terry zwracał się do Willow Rainwater per „pani". O tym, że pytał o drogę do najbliższej przychodni, choć mieszkał we Flint City przez całe życie. O tym, że dzielił pokój hotelowy z Billym Quade'em, jakże dogodnie. O tym, że wstał, żeby zadać pytanie panu Cobenowi, co było jeszcze dogodniejsze z jego punktu widzenia. Myślał o kropli atramentu, która zabarwiła wodę w szklance na jasny błękit, o śladach stóp, które nagle się urywały, o kłębowisku larw w kantalupie, która z zewnątrz wyglądała na

zdrową. Myślał o tym, że ktoś, kto zaczyna poważnie brać pod uwagę wyjaśnienia nadprzyrodzone, nie może dłużej uważać samego siebie za człowieka całkowicie zdrowego na umyśle i że myślenie o własnym zdrowiu psychicznym to chyba niekoniecznie dobry znak. To tak, jakby myśleć o biciu swojego serca; jeśli czujesz się do tego zmuszony, być może jest już z tobą źle.

Włączył radio i poszukał głośnej muzyki. W końcu znalazł The Animals wyrykujących *Boom Boom*. Krążył po mieście, czekając, aż przyjdzie czas na to, żeby pojechać do domu Maitlandów na Barnum Court. Wreszcie się doczekał.

18

Drzwi otworzył mu Alec Pelley i zaprowadził go przez salon do kuchni. Gdzieś na górze znów grali The Animals. Tym razem był to ich największy przebój. „Wielu nieszczęsnych chłopców zrujnował – zawodził Eric Burdon – a jednym z nich, wiem, Boże, jestem ja".

Zbieżność, pomyślał. Tak to nazwała Jeannie.

Marcy i Howie Gold siedzieli przy kuchennym stole. Pili kawę. Kubek stał też przed krzesłem opuszczonym przez Aleca, ale Ralpha nikt nie poczęstował. Przybyłem do obozu nieprzyjaciół, pomyślał, zanim usiadł.

– Dziękuję, że zgodziliście się ze mną spotkać.

Marcy nie odpowiedziała, tylko podniosła kubek nie całkiem pewną ręką.

– To spotkanie jest bolesne dla mojej klientki, więc streszczajmy się – zastrzegł Howie. – Powiedziałeś Marcy, że chcesz z nią porozmawiać…

– Że musi – wtrąciła Marcy. – Że musi ze mną porozmawiać, tak powiedział.

– Przyjmuję do wiadomości. O czym więc musisz z nią porozmawiać, detektywie Anderson? Jeśli chodzi o przeprosiny, możesz je śmiało złożyć, ale uprzedzam, że, tak czy owak, zastrzegamy sobie prawo do wystąpienia na drogę sądową.

Ralph, mimo wszystko, nie był gotów przeprosić. Nikt z tej trójki nie widział okrwawionej gałęzi sterczącej z tyłka Franka Petersona. On tak.

– Pojawiły się nowe informacje. Może nie są istotne, ale na coś wskazują, choć nie wiem na co. Moja żona nazwała to zbieżnością.

– Mógłbyś wyrażać się trochę bardziej precyzyjnie?

– Okazuje się, że vana, którym uprowadzono małego Petersona, ukradł dzieciak niewiele starszy od samego Franka. Nazywa się Merlin Cassidy. Uciekał od maltretującego go ojczyma. W drodze z Nowego Jorku do południowego Teksasu, gdzie ostatecznie go zatrzymano, ukradł kilka samochodów. Vana porzucił w Dayton, w stanie Ohio, w kwietniu. Marcy… pani Maitland… w kwietniu była pani z rodziną w Dayton.

Marcy właśnie podnosiła kubek, żeby wziąć kolejny łyk, ale odstawiła go z hukiem.

– O nie. Nie zwalicie tego na Terry'ego. W obie strony lecieliśmy samolotem, przez cały czas, pomijając wizyty Terry'ego u ojca, byliśmy razem. Koniec kropka. Myślę, że pora, żeby pan sobie poszedł.

– Hola – zawołał Ralph. – Wiedzieliśmy, że to był wyjazd rodzinny i że lecieliście samolotem, praktycznie od chwili, kiedy śledztwo skupiło się na Terrym. Po prostu… chyba przyzna pani, że to dziwne? Van jest tam, kiedy jest tam wasza rodzina, potem pojawia się tutaj. Terry powiedział mi, że nigdy go nie widział, a tym bardziej nie ukradł. Chcę w to wierzyć. I prawie wierzę. Mimo że jego odciski palców są w całym cholernym wozie.

– Wątpię – rzucił Howie. – Przestań mydlić nam oczy.

– Czy będzie wam łatwiej mi uwierzyć, może nawet trochę zaufać, jeśli powiem, że mamy fizyczne dowody potwierdzające, że Terry był w Cap City? Jego odciski palców na książce z hotelowego kiosku? Zeznanie świadka, według którego zostawił te odciski mniej więcej w tym samym czasie, kiedy doszło do uprowadzenia małego Petersona?

– Żartujesz sobie? – spytał Alec Pelley, niemal zszokowany.

– Nie. – Nawet w sytuacji, gdy śledztwo było martwe jak sam Terry, Bill Samuels wściekłby się na wieść, że Ralph powiedział Marcy i jej adwokatowi o *Historii okręgu Flint, okręgu Douree i powiatu Canning w obrazach*. Nie mógł jednak dopuścić do tego, by to spotkanie się zakończyło, dopóki nie uzyska odpowiedzi na pewne pytania.

Alec gwizdnął.

– Jasny gwint.

– Czyli wiecie, że tam był! – krzyknęła Marcy. Czerwone plamy płonęły na jej policzkach. – Musicie to wiedzieć!

Ralph nie chciał w to wchodzić; już i tak za dużo o tym myślał.

– Terry wspomniał o wyjeździe do Dayton, kiedy ostatnio z nim rozmawiałem. Powiedział, że chciał odwiedzić ojca, ale mówił to z takim dziwnym grymasem. A kiedy spytałem, czy jego ojciec tam mieszka, odpowiedział: „To za dużo powiedziane". O co mu chodziło?

– Chodziło mu o to, że Peter Maitland jest w zaawansowanym stadium alzheimera – odparła Marcy. – Przebywa w Ośrodku Leczenia Zaburzeń Pamięci imienia Heismana. To część kompleksu szpitala Kindred.

– Domyślam się więc, że wizyty u niego były dla Terry'ego trudne.

– Bardzo. – Trochę się rozkręcała. Ralph był zadowolony, że nie wyszedł z wprawy, choć ta rozmowa w niczym nie przypominała przesłuchania podejrzanego. Howie i Alec Pelley byli w stanie najwyższego pogotowia, gotowi powstrzymać swoją klientkę, kiedy tylko wyczują, że wchodzi na niedostrzeżoną minę. – Ale nie tylko dlatego, że Peter już go nie rozpoznawał. Od dawna nie utrzymywali bliższych kontaktów.

– Dlaczego?

– Jaki to ma związek ze sprawą, detektywie? – wtrącił Howie.

– Nie wiem. Może żadnego. Ale skoro nie jesteśmy w sądzie, mecenasie, bądź tak miły i pozwól jej odpowiedzieć na to cholerne pytanie.

Howie spojrzał na Marcy i wzruszył ramionami w geście: Sama zdecyduj.

– Terry był jedynym synem Petera i Melindy – podjęła Marcy. – Jak pan wie, dorastał we Flint City i mieszkał tu przez całe życie, nie licząc czterech lat spędzonych na Uniwersytecie Stanu Ohio.

– Tam go pani poznała? – spytał Ralph.

– Tak. W każdym razie Peter Maitland pracował w spółce naftowej Cherry Petroleum Company w czasach, gdy na tych terenach wydobywano jeszcze sporo ropy. Zakochał się w swojej sekretarce i rozwiódł z żoną. Było wiele wzajemnych pretensji i Terry wziął stronę matki. Terry… stawiał lojalność na pierwszym miejscu, nawet

w dzieciństwie. Uważał ojca za oszusta, którym oczywiście był, a tłumaczenia Petera tylko pogorszyły sytuację. W telegraficznym skrócie: Peter ożenił się z tą sekretarką, na imię miała Dolores, i poprosił o przeniesienie do centrali firmy.

– Która mieściła się w Dayton?

– Otóż to. Peter nie wniósł o wspólne sprawowanie opieki nad dzieckiem ani nic w tym rodzaju. Zrozumiał, że Terry dokonał wyboru. Melinda jednak nalegała, żeby Terry od czasu do czasu go odwiedzał, bo, jak twierdziła, chłopiec musi znać swojego ojca. Terry jeździł więc do niego, ale tylko po to, żeby mama była zadowolona. Nigdy nie przestał uważać go za szczura, który uciekł.

– To pasuje do Terry'ego, jakiego znałem – stwierdził Howie.

– Melinda umarła w dwa tysiące szóstym. Zawał. Druga żona Petera zmarła dwa lata później na raka płuc. Terry dalej jeździł do Dayton raz, góra dwa razy w roku, żeby uszanować wolę matki, i utrzymywał względnie kurtuazyjne relacje z ojcem. Pewnie z tego samego powodu. W dwa tysiące jedenastym roku… chyba w dwa tysiące jedenastym… pamięć Petera zaczęła szwankować. Buty pod prysznicem zamiast pod łóżkiem, kluczyki od samochodu w lodówce i tak dalej. Ponieważ Terry jest… był… jego jedynym żyjącym bliskim krewnym, załatwił ojcu miejsce w Ośrodku Heismana. To było w dwa tysiące czternastym roku.

– Pobyt w takich zakładach kosztuje – zauważył Alec. – Kto za to płaci?

– Ubezpieczenie. Peter Maitland dobrze się zabezpieczył na starość. Dolores to na nim wymogła. Przez całe życie dużo palił i zapewne liczyła, że kiedy to go zabije, odziedziczy po nim sporą sumkę. Ona jednak odeszła pierwsza. Pewnie od wdychania dymu papierosowego.

– Mówi pani tak, jakby Peter Maitland nie żył – powiedział Ralph. – Czy tak mam to rozumieć?

– Nie, jeszcze żyje – powiedziała Marcy, po czym, rozmyślnie parafrazując słowa męża, dodała: – Chociaż to za dużo powiedziane. Nawet przestał palić. W ośrodku nie wolno.

– Jak długo byliście w Dayton ostatnim razem?

– Pięć dni. W tym czasie Terry trzy razy odwiedził ojca.

– Pani i dziewczynki nie poszłyście z nim?

– Nie. Terry sobie nie życzył, zresztą ja też nie chciałam. Peter i tak nie mógłby być kochającym dziadkiem dla Sarah i Grace, a Grace nie zrozumiałaby dlaczego.

– Co robiłyście w czasie, kiedy on był u ojca?

Marcy się uśmiechnęła.

– Mówi pan tak, jakby Terry cały czas u niego siedział, a tak nie było. Jego wizyty były krótkie, godzina, dwie, nie dłużej. Większość czasu spędzaliśmy razem, we czwórkę. Kiedy Terry był w Heismanie, my siedziałyśmy w hotelu, dziewczynki pluskały się w krytym basenie. Któregoś dnia poszłyśmy we trójkę do Instytutu Sztuki, jednego popołudnia zabrałam córki na seans filmów Disneya. Blisko hotelu był multipleks. Zaliczyliśmy też dwa, może trzy inne filmy, całą rodziną. I poszliśmy, także całą rodziną, do muzeum sił powietrznych i do Boonshoft, czyli muzeum nauki. Dziewczynki były zachwycone. To były zwyczajne rodzinne wakacje, detektywie Anderson, w trakcie których Terry poświęcił kilka godzin na to, żeby spełnić swój synowski obowiązek.

I może przy okazji ukraść vana, pomyślał Ralph.

Istniała taka możliwość, Merlin Cassidy i Maitlandowie z pewnością mogli przebywać w Dayton w tym samym czasie, wydawało się to jednak mocno naciągane. Nawet gdyby Terry rzeczywiście to zrobił, pozostawało pytanie, jak przetransportował vana do Flint City. I czemu w ogóle miałby zawracać sobie tym głowę. We Flint City było pod dostatkiem pojazdów, które można by ukraść; dobry przykład to subaru Barbary Nearing.

– Pewnie kilka razy jedliście na mieście, prawda? – spytał Ralph.

Howie wychylił się do przodu, ale na razie milczał.

– Przeważnie zamawialiśmy jedzenie do pokoju, Sarah i Grace bardzo to się podobało, ale owszem, jedliśmy też na mieście. Jeśli o restauracji hotelowej można powiedzieć, że jest „na mieście”.

– Byliście może w lokalu o nazwie Tommy and Tuppence?

– Nie. Zapamiętałabym restaurację o takiej nazwie. Jednego wieczoru jedliśmy w IHOP i chyba dwa razy byliśmy w Cracker Barrel. Dlaczego pan pyta?

– Bez powodu – powiedział Ralph.

Howie posłał mu uśmiech mówiący: „Mnie nie nabierzesz”, ale odchylił się na oparcie. Alec siedział z ramionami założonymi na piersi i twarzą bez wyrazu.

– To wszystko? – spytała Marcy. – Bo jestem tym zmęczona. I jestem zmęczona panem.

– Czy w czasie waszego pobytu w Dayton wydarzyło się coś niezwykłego? Cokolwiek? Może jedna z pani córek na chwilę gdzieś się zapodziała, może Terry powiedział, że spotkał starego znajomego, może pani spotkała starego znajomego, może dostaliście przesyłkę…

– I co jeszcze? Zobaczyli latający spodek? – przerwał Howie. – Mężczyzna w trenczu przekazał im zaszyfrowaną wiadomość? Rockettes tańczyły na parkingu?

– Nie pomagasz. Możesz wierzyć lub nie, ale próbuję się przyczynić do rozwiązania problemu.

– Nie zdarzyło się nic takiego. – Marcy wstała i zaczęła zbierać kubki ze stołu. – Terry odwiedził ojca, dobrze się bawiliśmy, polecieliśmy do domu. Nie jedliśmy w Tommy i jak to dalej szło, nie ukradliśmy vana. A teraz zechce pan…

– Tata się skaleczył.

Wszyscy się odwrócili w stronę drzwi. Stała w nich Sarah Maitland, blada, wymizerowana, zdecydowanie za chuda w swoich dżinsach i koszulce Rangersów.

– Sarah, co tu robisz? – Marcy postawiła kubki na blacie i podeszła do córki. – Powiedziałam wam, żebyście zostały na górze, dopóki nie skończymy rozmawiać.

– Grace już śpi – odparła Sarah. – Zeszłej nocy znów budziły ją te durne koszmary z człowiekiem ze słomkami zamiast oczu. Oby dziś ich nie miała. Jeśli się obudzi, powinnaś zrobić jej zastrzyk z benadrylu.

– Na pewno tym razem prześpi całą noc. Idź już.

Sarah jednak nie ruszyła się z miejsca. Patrzyła na Ralpha, nie z niechęcią i nieufnością swej matki, tylko ze swoistą natężoną ciekawością. Czuł się nieswojo pod jej spojrzeniem. Wytrzymał, ale nie było łatwo.

– Mama mówiła, że to przez pana zabili mi tatę – powiedziała Sarah. – To prawda?

– Nie. – Wtedy wreszcie wydobył z siebie przeprosiny; ku jego zaskoczeniu przyszło mu to prawie bez wysiłku: – Ale przyłożyłem do tego rękę i jest mi ogromnie przykro z tego powodu. Popełniłem błąd, który będzie mi ciążył do końca życia.

– I chyba dobrze – powiedziała Sarah. – Pewnie się panu należy. – Spojrzała na matkę. – Wracam na górę, ale jeśli Grace zacznie wrzeszczeć w środku nocy, przeniosę się do jej pokoju.

– Zanim pójdziesz, Sarah, czy możesz mi powiedzieć o tym skaleczeniu? – poprosił Ralph.

– To się stało, kiedy odwiedził swojego tatę – odparła. – Pielęgniarka opatrzyła go na miejscu. Posmarowała skaleczenie tym, no, betadine, i nakleiła plaster. Nic groźnego. Powiedział, że nie bolało.

– Na górę, już – rzuciła Marcy.

Patrzyli, jak dziewczynka boso człapie do schodów. U ich podnóża się odwróciła.

– Ta restauracja, Tommy and Tuppence, była przy tej samej ulicy, co nasz hotel. Widziałam szyld, kiedy jechaliśmy do muzeum sztuki wynajętym samochodem.

19

– Proszę opowiedzieć o tym skaleczeniu – powiedział Ralph.

Marcy podparła się pod biodra.

– Po co? Żebyście mogli zrobić z tego nie wiadomo jaki problem? Nie ma powodu, to nie było nic takiego.

– Pyta o to, bo nie ma innego punktu zaczepienia – stwierdził Alec. – Ale sam jestem ciekaw.

– Jeśli jesteś zbyt zmęczona… – zaczął Howie.

– Nie, nie ma sprawy. To naprawdę nie był żaden problem, zwykłe zadrapanie. Czy to się stało w czasie jego drugiej wizyty u ojca… – Spuściła głowę, zmarszczyła brwi. – Nie, wtedy, kiedy poszedł do niego ostatni raz, bo następnego ranka polecieliśmy do domu. Wychodząc z pokoju ojca, wpadł na sanitariusza. Powiedział, że obaj nie patrzyli, gdzie idą. Normalnie skończyłoby się na zderzeniu i wzajemnych przeprosinach, tyle że woźny chwilę wcześniej umył podłogę i była jeszcze mokra. Sanitariusz pośliznął się i złapał Terry'ego za rękę, ale i tak upadł. Terry pomógł mu wstać, spytał, czy nic mu nie jest, facet odpowiedział, że wszystko gra. Ter poszedł dalej i dopiero w połowie korytarza zauważył, że z nadgarstka leci mu krew. Sanitariusz musiał zadrapać go paznokciem, kiedy chwycił jego rękę, ratując się przed upadkiem. Pielęgniarka odkaziła ranę i nakleiła plaster, tak jak powiedziała Sarah. Ot, i cała historia. I co, teraz wszystko jasne? Sprawa rozwiązana?

– Nie – odparł Ralph. To jednak było coś innego niż żółte ramiączko stanika. To było powiązanie, zbieżność, jak nazwałaby to Jeannie, coś, co sądził, że może uchwycić, ale będzie potrzebował

pomocy Yune'a Sablo. Wstał. – Dziękuję, że poświęciłaś mi czas, Marcy.

Obdarzyła go zimnym uśmiechem i przypomniała:

– Dla pana jestem panią Maitland.

– Rozumiem. Howard, dzięki, że doprowadziłeś do tego spotkania. – Ralph podał mu rękę. Na chwilę zawisła w próżni, ale w końcu Howie ją uścisnął.

– Odprowadzę cię do wyjścia – powiedział Alec.

– Myślę, że sam trafię.

– Nie wątpię, ale skoro cię wprowadziłem, teraz dla równowagi cię wyprowadzę.

Przeszli przez salon do krótkiego przedpokoju. Alec otworzył drzwi. Ralph wyszedł. Ku jego zaskoczeniu Alec wyszedł za nim.

– O co chodziło z tym skaleczeniem?

Ralph przyjrzał się mu.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Myślę, że wiesz. Od razu zmieniłeś się na twarzy.

– Lekka niestrawność. Jestem na nią podatny, a to była trudna rozmowa. Chociaż najtrudniej było znieść spojrzenie tej małej. Czułem się jak bakcyl pod mikroskopem.

Alec zamknął za nimi drzwi. Ralph był dwa stopnie niżej, ale z uwagi na różnicę wzrostu stali prawie oko w oko.

– Coś ci powiem – zagaił Alec.

– Słucham. – Ralph przygotował się psychicznie.

– To aresztowanie było skandalem. Kurewskim skandalem. Nie wątpię, że teraz już to wiesz.

– Dość się dziś nasłuchałem. – Ralph zaczął się odwracać.

– Jeszcze nie skończyłem.

Odwrócił się z powrotem. Głowę trzymał spuszczoną, nogi lekko rozstawione. Pozycja boksera.

– Nie mam dzieci. Marie nie mogła zajść w ciążę. Ale gdybym miał syna w wieku twojego chłopaka i twarde dowody, że zwyrodniały, zboczony morderca odgrywał ważną rolę w jego życiu, był kimś, kto mu imponował, być może postąpiłbym tak jak ty, a nawet gorzej. Co chcę powiedzieć: rozumiem, dlaczego zatraciłeś dystans.

– W porządku – powiedział Ralph. – To nie zmienia sytuacji, ale dzięki.

– Gdybyś jednak postanowił mi zdradzić, o co chodziło z tym skaleczeniem, zadzwoń. Może wszyscy jesteśmy po tej samej stronie.

– Dobranoc, Alec.

– Dobranoc, detektywie. Uważaj na siebie.

20

Właśnie opowiadał Jeannie, jak mu poszło, kiedy zadzwonił jego telefon. Yune.

– Możemy jutro pogadać, Ralph? Coś dziwnego było w stodole, gdzie chłopak znalazł ubrania, w których Maitland był na dworcu. A nawet kilka dziwnych rzeczy.

– Powiedz mi teraz.

– Nie. Jadę do domu. Jestem zmęczony. Poza tym muszę o tym pomyśleć.

– Dobra, spotkamy się jutro. Gdzie?

– W jakimś cichym, ustronnym miejscu. Nie mogę się z tobą pokazywać. Jesteś na urlopie administracyjnym, a mnie zabrali śledztwo. Chociaż właściwie nie mieli czego zabierać, skoro Maitland nie żyje.

– Co się stanie z tymi ubraniami?

– Pojadą do Cap City na badania. Potem zostaną przekazane wydziałowi szeryfa okręgu Flint.

– Żartujesz? Powinni je włączyć do dowodów w sprawie Maitlanda. Poza tym Dick Doolin nie umie się wysmarkać bez instrukcji obsługi.

– Może i tak, ale Canning podlega władzom okręgu, nie miasta, co znaczy, że to rewir szeryfa. Słyszałem, że komendant Geller ma przysłać detektywa, ale tylko dla przyzwoitości.

– Hoskinsa.

– Tak, tak się nazywa. Jeszcze go nie ma. Kiedy przyjedzie, nikogo nie zastanie. Może zabłądził.

Raczej wpadł gdzieś na kilka głębszych, pomyślał Ralph.

– Te ubrania wylądują w pudle u szeryfa. Doczekają tam dwudziestego drugiego wieku – ciągnął Yune. – Wszyscy mają to w dupie. Ogólne odczucie jest takie, że Maitland to zrobił, a że Maitland nie żyje, pora się zająć czymś innym.

– Jeszcze nie jestem na to gotowy – powiedział Ralph i uśmiechnął się, widząc, jak Jeannie, siedząca na kanapie, zaciska dłonie w pięści i podnosi oba kciuki. – A ty?

– Rozmawiałbym z tobą, gdyby tak było? To gdzie się jutro spotkamy?

– Jest taka mała kafejka koło dworca w Dubrow. O'Malley's Irish Spoon. Znajdziesz?

– Jasne.

– O dziesiątej?

– Pasuje. Gdybym musiał pojechać na akcję czy coś, zadzwonię i umówimy się na inny termin.

– Masz wszystkie zeznania świadków, prawda?

– Są na moim laptopie.

– Pamiętaj, żeby go przynieść. Moje notatki zostały na komisariacie, a nie wolno mi się tam pokazywać. Mam ci dużo do powiedzenia.

– Ja tobie też – stwierdził Yune. – Mimo wszystko możemy to rozgryźć, Ralph, ale nie wiem, czy to, co ustalimy, będzie nam na rękę. Wchodzimy w dość głęboki las.

Ściśle mówiąc, grzebiemy w kantalupie. Cholernej kantalupie pełnej larw, pomyślał Ralph, rozłączając się.

21

W drodze na działkę Elfmanów Jack Hoskins zatrzymał się w Gentlemen, Please. Zamówił wódkę z tonikiem; uważał, że zasłużył, skoro przed czasem ściągnęli go z urlopu. Pierwszą kolejkę wychylił do dna i od razu poprosił o następną, którą zaczął pomału sączyć. Na scenie były dwie striptizerki, obie jeszcze całkiem ubrane (co w Gentlemen znaczyło, że mają na sobie staniki i majtki), ale leniwie ocierające się o siebie; ich widok przyprawił Jacka o lekką erekcję.

Kiedy wyjął portfel, żeby zapłacić, barman zbył go machnięciem ręki.

– Na koszt firmy.

– Dzięki. – Jack rzucił napiwek na kontuar i wyszedł w odrobinę lepszym nastroju.

Odjeżdżając, wyjął ze schowka rulon miętusów i rozgryzł dwa. Niektórzy twierdzą, że wódka nie ma zapachu, ale to bzdura.

Wiejska droga była przegrodzona żółtą taśmą policyjną – przez ludzi szeryfa, nie przez policję z miasta. Hoskins wysiadł, wyciągnął jeden z palików, do których była przywiązana taśma, przejechał na drugą stronę i wbił palik z powrotem w ziemię. Zawracanie dupy, pomyślał. Zirytował się jeszcze bardziej, kiedy zobaczył przed sobą skupisko walących się ruder – stodołę i trzy szopy – przy których nie było żywej duszy. Próbował to zgłosić, żeby podzielić się z kimś swoją frustracją, choćby nawet z Sandy McGill, którą uważał za nadętą cipę pierwszej wody. W radiu złapał tylko trzaski zakłóceń, a sygnał telefonii komórkowej oczywiście nie docierał na ten wygwizdów.

Chwycił swoją długą latarkę i wysiadł, głównie po to, żeby rozprostować nogi; nie zostało tu nic do zrobienia. Przejechał taki kawał drogi na próżno, jak skończony frajer. Wiał silny wiatr, gorące tchnienie, które byłoby najlepszym przyjacielem pożaru poszycia, gdyby taki wybuchł. Kępa topoli otaczała starą ręczną pompę. Ich liście tańczyły i szeleściły, cienie przemykały po ziemi w blasku księżyca.

Żółta taśma rozciągnięta była też w wejściu do stodoły, w której znaleziono ubrania. Oczywiście zostały już zapakowane i wysłane do Cap City, a mimo to skóra cierpła na myśl, że Maitland przyjechał tu po tym, jak zabił tego dzieciaka.

W pewnym sensie, pomyślał Jack, idę jego śladami. Najpierw obok przystani, w której zmienił zakrwawione ubranie, potem do Gentlemen, Please. Z baru pojechał do Dubrow, a potem najwidoczniej wrócił… tutaj.

Otwarte drzwi stodoły były jak rozdziawione usta. Hoskins nie chciał się do niej zbliżyć, nie tutaj, na tym odludziu, i nie w pojedynkę. Maitland nie żył, duchy nie istniały, a mimo to wolał tam nie podchodzić. Zmusił się jednak, pomału, krok po kroku, aż mógł poświecić latarką do środka.

W głębi stodoły ktoś stał.

Jack wydał cichy okrzyk i sięgnął po broń. Nie miał jej. Glock został w małym sejfie Gardall, który trzymał w swoim wozie. Upuścił latarkę. Schylił się po nią. Wódka szumiała mu w głowie, nie na tyle, by czuł się pijany, ale wystarczająco, żeby zachwiał się na nogach.

Znowu poświecił w głąb stodoły i zaśmiał się. Żadnego człowieka, tylko kleszczyna od starej uprzęży, złamana prawie na pół.

Pora stąd zmiatać, stwierdził. Może po drodze wpadnę do Gentlemen na jeszcze jednego drinka, a potem pojadę do domu i od razu położę się…

Ktoś za nim stał, i to nie było złudzenie. Widział cień, wydłużony i chudy. I… czy to oddech?

Zaraz mnie dorwie. Muszę paść na ziemię i się odturlać.

Nie mógł jednak się ruszyć. Był jak sparaliżowany. Dlaczego nie zawrócił, kiedy zobaczył, że wszyscy już pojechali? Czemu nie wyjął pistoletu z sejfu? Po co w ogóle wysiadł z wozu? Jack nagle

zrozumiał, że umrze tutaj – na końcu gruntowej drogi w powiecie Canning.

Wtedy poczuł dotyk. Dłoń gorąca jak termofor pieściła jego kark. Próbował krzyknąć, ale nie był w stanie. Jego gardło zatrzasnęło się szczelnie jak sejf, w którym zostawił broń. Druga dłoń zaraz dołączy do pierwszej i zaczną dusić.

Dłoń jednak się cofnęła. Ale palce zostały. Poruszały się w tę i z powrotem, lekko, samymi opuszkami muskając skórę, zostawiając na niej palące smugi.

Jack nie wiedział, jak długo tak stał, niezdolny się ruszyć. Może dwadzieścia sekund; może dwie minuty. Wiatr zmierzwił mu włosy, pieścił szyję tak jak te palce. Cienie topoli sunęły po ziemi i chwastach niczym ławica przemykających ryb. Człowiek – albo raczej istota stała za nim, widział przed sobą jej długi, chudy cień. Dotykała go, pieściła.

I nagle zniknęły – opuszki palców i cień.

Jack obrócił się na pięcie. Tym razem krzyk wydarł się z jego gardła, przeciągły i głośny, a poła sportowej marynarki wydęła się za nim na wietrze i załopotała. Wbił wzrok w…

Pustkę.

Nic, tylko kilka opuszczonych budynków i może pół hektara gołej ziemi.

Nikogo tam nie było. Ani teraz, ani przedtem. Nikogo w stodole; to tylko rozwalona kleszczyna. Niczyje palce nie dotykały jego spoconego karku; to tylko wiatr. Długimi krokami wrócił do swojego wozu, zerkając przez ramię raz, drugi, trzeci. Wsiadł, wzdrygnął się, kiedy w lusterku wstecznym przemknął gnany wiatrem cień, i zapalił silnik. Ruszył z powrotem wiejską drogą, rozpędził wóz do osiemdziesiątki, minął stary cmentarz i opuszczony parterowy dom. Tym razem nie zatrzymał się przed żółtą taśmą, po prostu ją przerwał. Z wyciem opon skręcił na drogę numer 79 i skierował się do Flint City. Kiedy minął granicę miasta, przekonał samego siebie, że tam, w opuszczonej stodole, nic się nie wydarzyło. I że ten pulsujący ból karku nic nie znaczy.

Zupełnie nic.

ŻÓŁTE

21–22 lipca

1

O dziesiątej w sobotę rano O'Malley's Irish Spoon była pusta jak prawie nigdy. We frontowej części siedzieli dwaj staruszkowie, obok nich stały kubki kawy, między nimi leżała szachownica. Jedyna kelnerka wpatrywała się jak zahipnotyzowana w mały telewizor nad ladą, w którym leciał program informacyjno-reklamowy; właśnie zachwalano jakiś specjalny kij golfowy.

Yunel Sablo siedział przy stoliku w głębi, ubrany w sprane dżinsy i koszulkę na tyle obcisłą, że podkreślała jego imponującą muskulaturę (Ralph nie miał imponującej muskulatury mniej więcej od dwa tysiące siódmego roku). On też patrzył w ekran telewizora, ale na widok Ralpha uniósł dłoń i przywołał go gestem.

– Nie wiem, dlaczego kelnerkę tak interesuje ten kij – powiedział, kiedy Ralph usiadł.

– A czy kobiety nie grają w golfa? W jakim szowinistycznym świecie żyjesz, mój *amigo*!

– Wiem, że kobiety grają w golfa, ale ten konkretny kij jest pusty w środku. Idea jest taka, że możesz do niego naszczać, jeśli cię przypili na czternastym dołku. Dołączają nawet mały fartuszek, pod którym możesz schować fleta. Kobietom taki wynalazek nie pomoże.

Kelnerka przyszła przyjąć zamówienie. Ralph poprosił o jajecznicę i grzankę z chleba żytniego; patrzył w kartę dań zamiast na kobietę, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Nie spodziewał się, że tego ranka będzie musiał walczyć z podobną pokusą, i mimo wszystko cichy, napięty chichot wymknął się z jego ust. To przez ten fartuszek.

Kelnerka nie musiała czytać w ich myślach.

– Tak, może to i zabawne – powiedziała. – Chyba że masz męża, który jest fanatykiem golfa z prostatą wielkości grejpfruta, i nie wiesz, co mu dać na urodziny.

Ralph napotkał spojrzenie Yune'a i obaj nie wytrzymali. Ryknęli serdecznym, donośnym śmiechem. Szachiści obejrzeli się z dezaprobatą.

– Zamówisz coś, skarbie, czy będziesz tylko pił kawę i rżał z Kija-Towarzysza-Dżentelmena? – spytała kelnerka.

Yune zamówił *huevos rancheros*.

– Dziwny jest ten świat, *ese*, pełen dziwnych rzeczy – powiedział, kiedy odeszła. – Nie sądzisz?

– Biorąc pod uwagę cel naszego spotkania, trudno się nie zgodzić. Co takiego dziwnego było w powiecie Canning?

– Niejedno.

Yune miał skórzaną torbę na ramię, taką, jaką Jack Hoskins kiedyś przy Ralphie nazwał (pogardliwie) męską wersją babskiej torebki. Wyjął z niej iPada mini w sfatygowanym pokrowcu, który, sądząc z wyglądu, miał za sobą wiele ciężkich podróży. Ralph zauważył, że coraz więcej policjantów nosi te gadżety; przypuszczał, że najpóźniej do dwa tysiące dwudziestego piątego roku mogą na dobre zastąpić tradycyjne notatniki policyjne. Cóż, świat idzie naprzód. Albo idziesz razem z nim, albo zostajesz w tyle. W sumie wolałby dostać na urodziny coś takiego niż Kij-Towarzysza-Dżentelmena.

Yune stuknął kilka razy w ekran i otworzył swoje notatki.

– Dzieciak nazwiskiem Douglas Elfman znalazł porzucone ciuchy wczoraj późnym popołudniem. Rozpoznał sprzączkę z końską głową, bo mówili o niej w wiadomościach. Zadzwonił do ojca, który natychmiast skontaktował się z policją stanową. Przyjechałem tam z technikami mniej więcej za piętnaście szósta. Pal licho dżinsy, takie rosną praktycznie na każdym drzewie, ale sprzączkę rozpoznałem od razu. Sam zobacz.

Znów stuknął w ekran i pojawiło się zbliżenie sprzączki. Ralph nie miał wątpliwości, że to ta sama, którą Terry miał przy pasku, kiedy nagrały go kamery monitoringu dworca Vogel w Dubrow.

Odezwał się po trosze do Yune'a, po trosze do siebie:

– No dobra, to kolejne ogniwo w łańcuchu. Zostawia vana za pubem Shorty's. Przesiada się do subaru. Porzuca je blisko Iron Bridge, przebiera się w czyste ubrania…

– Dżinsy 501, bokserki Jockey, białe skarpety sportowe i dość drogie adidasy. Do tego pasek z ozdobną sprzączką.

– Uhm. Kiedy już ma na sobie ciuchy niepoplamione krwią, jedzie taksówką spod Gentlemen, Please na dworzec w Dubrow. Tyle że tam nie wsiada do pociągu. Dlaczego?

– Może próbował zostawić fałszywy trop, co znaczyłoby, że od początku zamierzał wrócić do miasta. Albo… mam zwariowaną teorię. Chcesz posłuchać?

– Jasne.

– Myślę, że Maitland mimo wszystko planował uciec. Pojechać tym pociągiem do Dallas-Fort Worth, a stamtąd gdzieś dalej. Może do Meksyku, może do Kalifornii. Po co miałby zostać we Flint City po zabójstwie małego Petersona, skoro wiedział, że ludzie go widzieli? Tyle tylko, że…

– Że co?

– Że nie mógł się zdobyć na to, żeby wyjechać przed ważnym meczem. Chciał poprowadzić drużynę do jeszcze jednego zwycięstwa. Do finałów.

– Rzeczywiście zwariowane.

– Bardziej niż zabójstwo tego chłopca?

Yune zabił mu ćwieka, ale przybycie kelnerki z jedzeniem oszczędziło Ralphowi konieczności szukania odpowiedzi. Kiedy poszła, zapytał:

– Odciski palców na sprzączce?

Yune przesunął palcem po ekranie i pokazał kolejne zbliżenie głowy konia. Na tym ujęciu srebrny połysk sprzączki zmatowiał pod białym proszkiem daktyloskopijnym. Ralph widział pokrywające metal odciski palców – jak ślady stóp w jednym z tych starych diagramów pomagających w nauce tańca.

– Laboratorium miało odciski Maitlanda w komputerze – powiedział Yune. – Program dopasował je od razu. Ale oto pierwsza dziwna sprawa, Ralph. Linie i łuki w odciskach na sprzączce są słabe, w kilku miejscach mają nawet przerwy. Owszem, w sądzie byłyby

wystarczającym dowodem, ale technik, który odwalił całą robotę, a wykonał tysiące podobnych badań, stwierdził, że wyglądają jak linie papilarne starego człowieka. Osiemdziesięcio-, nawet dziewięćdziesięciolatka. Spytałem, czy może tak być, dlatego że Maitland się spieszył, chciał tylko raz-dwa przebrać się w świeże ciuchy i zwiać. Technik powiedział, że to możliwe, ale po jego minie poznałem, że nie był przekonany.

– Hm – mruknął Ralph i zabrał się do jajecznicy. To, że apetyt mu dopisywał, było miłą niespodzianką. Równie miłą jak nagły wybuch śmiechu na myśl o kiju golfowym podwójnego zastosowania. – Rzeczywiście dziwne, ale pewnie nieistotne.

Jak długo jeszcze, zastanawiał się, będzie zbywał anomalie występujące w tej historii, nazywając je nieistotnymi?

– Były jeszcze inne odciski palców – powiedział Yune. – Też rozmazane, zbyt rozmazane, żeby technik tracił czas na wysyłanie ich do krajowej bazy danych FBI… ale skoro miał pod ręką niezidentyfikowane odciski z vana, to porównał je z tymi na sprzączce i… sam zobacz.

Podał Ralphowi iPada. Na ekranie były dwa zestawy linii papilarnych; jeden podpisany: „Van: niezidentyfikowane", drugi – „Sprzączka: niezidentyfikowane". Wyglądały podobnie, ale tylko w pewnym stopniu. Żaden sąd nie uznałby ich za dowód, zwłaszcza gdyby zakwestionował je nieustępliwy adwokat pokroju Howiego Golda. Ralph jednak w tej chwili nie był w sądzie i uważał, że oba zestawy odcisków należą do tego samego człowieka, bo to pasowałoby do tego, co zeszłego wieczoru usłyszał od Marcy Maitland. Niecałkowicie – co to to nie – ale wystarczająco jak dla detektywa na urlopie administracyjnym, który nie musiał niczego konsultować z przełożonymi… ani prokuratorem okręgowym żądnym wygranej w wyborach.

Podczas gdy Yune zajadał *huevos rancheros*, Ralph zrelacjonował mu spotkanie z Marcy, jeden szczegół zachowując na później.

– Ten van jest kluczowy – zakończył. – Technicy może znajdą w nim kilka odcisków dzieciaka, który ukradł go pierwszy…

– Już załatwione. Policja z El Paso podesłała nam odciski palców Merlina Cassidy'ego. Komputerowiec potwierdził, że są zgodne

z kilkoma odciskami w vanie, głównie na skrzynce z narzędziami; Cassidy pewnie zajrzał do niej, żeby zobaczyć, czy w środku jest coś cennego. Są wyraźne i inne od tych. – Przewinął ekran z powrotem na zdjęcia rozmazanych odcisków z vana i ze sprzączki.

Ralph wychylił się do przodu, odsuwając swój talerz na bok.

– Widzisz, jak wszystko składa się w całość? Wiemy, że to nie Terry ukradł vana w Dayton, bo Maitlandowie wracali samolotem. Ale jeśli rozmazane odciski palców z vana i te ze sprzączki naprawdę są identyczne…

– Myślisz, że jednak miał wspólnika. Kogoś, kto przewiózł vana z Dayton do Flint City.

– Musiało tak być. – Inaczej nie da się tego wytłumaczyć.

– Takiego, który wyglądał zupełnie jak on?

– Znów do tego wracamy – westchnął Ralph.

– A na sprzączce były oba zestawy odcisków – ciągnął Yune. – Co znaczy, że Maitland i jego sobowtór nosili jeden i ten sam pasek, może nawet te same ubrania. Cóż, pasować na pewno pasowały, nie? Bracia bliźniacy, rozdzieleni po narodzinach. Tyle że według dokumentów Terry Maitland był jedynakiem.

– Masz coś jeszcze? Cokolwiek?

– Tak. Teraz to, co najdziwniejsze. – Yune przeniósł krzesło na drugą stronę stolika i usiadł obok Ralpha. Na ekranie iPada widniało zbliżenie dżinsów, skarpet, majtek i adidasów, leżących w bezładnym stosie obok plastikowego znacznika dowodów z jedynką. – Widzisz te plamy?

– Tak. Co to za paskudztwo?

– Nie wiem. Technicy też nie, chociaż jeden stwierdził, że wygląda jak sperma, poniekąd słusznie. Na zdjęciu nie widać wyraźnie, ale…

– Sperma? Żartujesz?

Wróciła kelnerka. Ralph odwrócił iPada ekranem w dół.

– Dolać kawy? – zapytała.

Przytaknęli. Kiedy odeszła, Ralph znów spojrzał na zdjęcie ubrań; rozsunął widok palcami, żeby powiększyć obraz.

– Yune, to jest w kroku dżinsów, na obu nogawkach, na mankietach…

– Na majtkach i skarpetach też – przerwał mu Sablo. – Że o adidasach nie wspomnę. Plamy są na zewnątrz i wewnątrz nich, zaschnięte w krakelurę jak na ceramice. Tyle tego, że można by wypełnić wydrążony kij golfowy.

Ralph się nie zaśmiał.

– To nie może być sperma. Nawet John Holmes w swoich najlepszych latach…

– Wiem. Poza tym sperma nie robi tego.

Yune przesunął palcem po ekranie. Następne zdjęcie pokazywało klepisko stodoły. Kolejny znacznik dowodów, z dwójką, umieszczono obok sterty siana. Przynajmniej Ralph uznał, że to jest siano. Po lewej stronie zdjęcia znacznik numer trzy spoczywał na szczycie rozsypującej się beli, która wyglądała, jakby była tam od bardzo dawna. Spora część siana w niej sczerniała. Bela była też czarna z boku, jakby ściekła po niej jakaś żrąca maź.

– To ta sama substancja? – spytał Ralph. – Jesteś pewien?

– Na dziewięćdziesiąt procent. I jest jej więcej na stryszku. Jeśli to sperma, gość musiał mieć zmazę nocną godną Księgi Rekordów Guinnessa.

– Niemożliwe. – Ralph zniżył głos. – To coś innego. Sperma nie zabarwiłaby siana na czarno. To się kupy nie trzyma.

– Zgadzam się, ale ja jestem tylko synem ubogich meksykańskich rolników.

– Rozumiem, że technicy to analizują.

Yune skinął głową.

– W tej chwili.

– I dasz mi znać, co ustalą.

– Tak. Teraz rozumiesz, co miałem na myśli, kiedy powiedziałem, że ta sprawa jest coraz dziwniejsza.

– Niewytłumaczalna, tak to ujęła Jeannie. – Ralph odchrząknął. – Użyła nawet słowa „nadprzyrodzone”.

– Moja Gabriela mówiła to samo – przyznał Yune. – Może laski tak mają. Albo Meksykanie.

Ralph uniósł brwi.

– *Sí, señor* – zaśmiał się Sablo. – Moja żona wcześnie straciła matkę i wychowywała ją *abuela*. Staruszka nabiła jej głowę

legendami. Kiedy rozmawiałem z nią o tym bajzlu, Gaby opowiedziała mi jedną o meksykańskim upiorze. Otóż pewien facet umierał na gruźlicę i stary mędrzec żyjący na pustyni, *ermitaño*, poradził mu, że jeśli chce wyzdrowieć, musi pić krew dzieci i smarować ich tłuszczem swoją pierś oraz części intymne. Tak też koleś uczynił i dzięki temu teraz może żyć wiecznie. Podobno zabiera tylko niegrzeczne dzieci. Pakuje je do dużego czarnego wora, który ze sobą nosi. Gaby powiedziała mi, że jak była mała, miała może siedem lat, dostała ataku paniki, kiedy lekarz przyszedł do jej brata chorego na szkarlatynę.

– Bo miał czarną torbę.

Yune skinął głową.

– Jak się nazywał ten upiór? Mam na końcu języka, ale nie mogę sobie przypomnieć. Wkurzające, nie?

– I myślisz, że właśnie z tym mamy do czynienia? Z jakimś upiorem?

– Nie. Może i jestem synem ubogich meksykańskich rolników, *ese*, albo handlarza samochodów z Amarillo, jak kto woli, ale nie jestem *atontado*. Franka Petersona zabił człowiek, śmiertelnik jak ty i ja, i tym człowiekiem prawie na pewno był Terry Maitland. Jeśli ustalimy, co dokładnie się stało, wszystko stanie się jasne i wreszcie będę mógł normalnie przespać noc. Bo ta sprawa piekielnie mnie dręczy. – Spojrzał na zegarek. – Muszę lecieć. Obiecałem żonie, że zabiorę ją na jarmark rzemiosła w Cap City. Jeszcze jakieś pytania? Powinieneś mieć co najmniej jedno, bo kolejny dziwny szczegół masz dosłownie przed oczami.

– Czy w stodole były ślady samochodu?

– Nie to miałem na myśli, ale tak się składa, że owszem, były. Nic nam to jednak nie da; są odciski opon i trochę rozlanego oleju, ale wzór bieżnika jest zbyt niewyraźny, żeby przeprowadzić badania porównawcze. Domyślam się, że zostawił je van, którym Maitland uprowadził dzieciaka. Rozstaw kół był za duży jak na subaru.

– Uhm. Słuchaj, masz na tym swoim magicznym gadżecie wszystkie zeznania świadków? Zanim się zmyjesz, znajdź zapis przesłuchania Claude'a Boltona. To wykidajło z Gentlemen, Please. Choć z tego, co pamiętam, obruszył się na to określenie.

Yune otworzył plik, pokręcił głową, otworzył drugi i podał iPada Ralphowi.

– Zjedź na dół.

Ralph zrobił to, przegapił szukany fragment i przewinął tekst z powrotem do góry, aż znalazł to, o co mu chodziło.

– Jest. Bolton powiedział: „Pamiętam jeszcze jedno. Niby nic takiego, ale trochę mrozi krew w żyłach, jeśli to rzeczywiście on zabił tego dzieciaka". Zeznał, że facet go zadrapał. Kiedy spytałem o szczegóły, powiedział, że podziękował Maitlandowi za wszystko, co zrobił dla siostrzeńców jego znajomego, i podał mu rękę. Wtedy Maitland drasnął go paznokciem małego palca w grzbiet dłoni. Lekko rozciął skórę. Bolton powiedział, że to przypomniało mu czasy ćpania, bo część harleyowców, z którymi się wtedy bujał, zapuszczała sobie paznokieć na małym palcu, żeby robić nim kreski z koki. Podobno tak było modnie.

– To niby ważne? – Yune znów spojrzał na zegarek, tym razem dość ostentacyjnie.

– Pewnie nie. Pewnie to…

Ale nie zamierzał znowu użyć słowa „nieistotne". Za każdym kolejnym razem, kiedy wychodziło z jego ust, coraz mniej mu się podobało.

– Niby nic takiego, a jednak zbieżność, jak nazywa to moja żona. Terry doznał podobnego skaleczenia, kiedy odwiedził ojca w ośrodku dla chorych na demencję w Dayton. – Ralph pospiesznie opowiedział o tym, jak sanitariusz pośliznął się i chwycił Terry'ego za rękę, przy okazji go raniąc.

Yune pomyślał chwilę, po czym wzruszył ramionami.

– Jak dla mnie to czysty zbieg okoliczności, *ese*. I naprawdę muszę już iść, jeśli nie chcę się narazić na Gniew Gabrieli. Ale pozostał jeszcze ten jeden szczegół, który ci umknął, i nie mówię o śladach opon. Twój kumpel Bolton nawet o tym wspomina. Przewiń z powrotem do góry, a to znajdziesz.

Ralph nie musiał tego robić. Stanęło mu to przed oczami jak żywe.

– Spodnie, majtki, skarpety, adidasy… ale brak koszuli.

– Otóż to – przyznał Yune. – Albo była jego ulubioną, albo nie miał zapasowej, w którą mógłby się przebrać przed wyjściem ze stodoły.

2

W połowie drogi powrotnej do Flint City Ralph nareszcie zrozumiał, dlaczego tamto ramiączko stanika nie dawało mu spokoju.

Zjechał na hektarowy parking przed sklepem alkoholowym Byron's Liquor Warehouse i wcisnął guzik szybkiego wybierania. Pod numerem Yune'a zgłosiła się poczta głosowa. Rozłączył się, nie zostawiając wiadomości. Yune zrobił już więcej, niż można było od niego wymagać; należał się mu wolny weekend. Zwłaszcza że teraz, po krótkim namyśle, Ralph uznał, że o tej konkretnej zbieżności lepiej nie mówić nikomu, no, może z wyjątkiem żony.

Ramiączko stanika nie było jedynym jaskrawożółtym przedmiotem, który widział w chwilach wzmożonej czujności przed zamachem na Terry'ego; jego mózg po prostu podstawił je w miejsce innego elementu szerszej galerii groteskowych obrazów, usuniętego w cień, kiedy parę sekund później Ollie Peterson wyciągnął stary rewolwer z torby gazeciarza. Nic dziwnego, że mu to umknęło.

Mężczyzna z koszmarnie poparzoną twarzą i tatuażami na dłoniach miał na głowie żółtą bandanę, pewnie zasłaniającą kolejne blizny. Czy to jednak rzeczywiście była bandana? Czy nie mogło to być coś innego? Na przykład brakująca koszula? Ta, którą Terry miał na sobie, kiedy był na dworcu kolejowym?

Naciągane, pomyślał i może rzeczywiście tak było… Ale jeśli tak, to dlaczego jego podświadomość (owe myśli skryte za jego myślami) przez cały ten czas wrzeszczała mu o tym?

Zamknął oczy i spróbował przywołać w pamięci, co dokładnie widział w ostatnich sekundach życia Terry'ego. Brzydki grymas blondwłosej prezenterki wpatrzonej w krew na palcach. Transparent

ze strzykawką i tekstem: „Maitland, zażyj swoje lekarstwo”. Chłopak z rozszczepem wargi. Kobieta wychylająca się do przodu, żeby pokazać Marcy środkowy palec. I poparzony mężczyzna, który wyglądał, jakby Bóg wytarł gigantyczną gumką większość jego rysów, zostawiając tylko zgrubienia, otartą, różową skórę i dziury w miejscu, gdzie był nos, zanim ogień naniósł na twarz tatuaże znacznie straszniejsze od tych na dłoniach. I w tym wspomnieniu Ralph zobaczył, że człowiek ten nie miał na głowie chusty, tylko coś dużo większego, coś, co opadało mu na ramiona jak pióropusz.

Tak, to mogła być koszula… ale nawet jeśli, czy musiała to być ta sama koszula? Ta, którą Terry nosił na nagraniu z monitoringu? Czy można to jakoś sprawdzić?

Sądził, że tak, jednak musiał zwerbować do tego Jeannie, która była znacznie bardziej oblatana w komputerach od niego. Poza tym być może przyszedł czas, by przestać uważać Howarda Golda i Aleca Pelleya za opozycję. „Może wszyscy jesteśmy po tej samej stronie”, powiedział Pelley zeszłego wieczoru na ganku Maitlandów. I może to było prawdą. Albo mogło się nią stać.

Ralph wrzucił bieg i pojechał do domu, przez całą drogę łamiąc ograniczenia prędkości.

3

Siedzieli przy kuchennym stole. Przed nimi leżał laptop Jeannie. W Cap City były cztery duże stacje telewizyjne, po jednej na każdą z sieci komercyjnych, oraz Channel 81, który nadawał wiadomości lokalne, transmitował posiedzenia rady miejskiej i rozmaite wydarzenia w regionie (jak odczyt Harlana Cobena, którego nieoczekiwaną gwiazdą stał się Terry Maitland). Wszystkie były przed sądem w dniu, kiedy Terry miał zostać postawiony w stan oskarżenia, wszystkie sfilmowały moment jego śmierci i wszystkie, dłużej lub krócej, pokazywały tłum gapiów. Kiedy padły strzały, kamery oczywiście skierowały się na Terry'ego – który, z twarzą ociekającą krwią, zepchnął żonę z linii ognia, zanim śmiertelnie ranny runął na ulicę. Materiał CBS urywał się przedtem, bo to w ich kamerę trafiła kula wystrzelona przez Ralpha, roztrzaskując ją i oślepiając operatora na jedno oko.

Kiedy obejrzeli wszystkie nagrania po dwa razy, Jeannie odwróciła się do Ralpha z mocno zaciśniętymi ustami. Nic nie powiedziała. Nie musiała.

– Puść jeszcze raz materiał osiemdziesiątkijedynki – poprosił. – Kamera im latała na wszystkie strony, kiedy zaczęło się strzelanie, ale przedtem zrobili najlepsze ujęcia tłumu.

– Ralph. – Dotknęła jego ramienia. – Dobrze się czu…

– Tak. Wszystko w porządku – skłamał. Miał wrażenie, jakby świat przechylał się na bok, czuł, że jeszcze trochę, a sam się z niego zsunie. – Puść to jeszcze raz, proszę. I ścisz dźwięk. Komentarz reportera mnie rozprasza.

Zrobiła, o co poprosił, i razem obejrzeli nagranie. Kiwające się transparenty. Ludzie krzyczący bezgłośnie, usta otwierające się i zamykające jak pyszczki ryb wyjętych z wody. W pewnej chwili kamera pomknęła w bok i na dół, za późno, by uchwycić moment, kiedy mężczyzna napluł Terry'emu w twarz, ale w samą porę, żeby pokazać Ralpha podstawiającego łobuzowi nogę, tak że wyglądało to na niczym niesprowokowany atak. Patrzył, jak Terry pomaga wstać człowiekowi, który go opluł (pamiętał, że pomyślał wtedy: Scena jak z pieprzonej Biblii), a potem kamera wróciła na tłum. Zobaczył dwoje strażników sądowych – pulchnego mężczyznę i szczupłą kobietę – usiłujących usunąć ludzi ze schodów. Zobaczył blondwłosą prezenterkę Channel 7, podnoszącą się z ziemi i wciąż patrzącą z niedowierzaniem na swoje zakrwawione palce. Zobaczył Olliego Petersona z torbą gazeciarza i kilkoma kępami rudych włosów wystającymi spod czapki dokerki, uchwyconego na sekundy przed tym, kiedy został gwiazdą całego show. Zobaczył chłopca z rozszczepem wargi, jego koszulkę z twarzą Franka Petersona, na której kamerzysta Channel 81 zatrzymał kamerę, zanim przesunął ją dalej w bok…

– Stop – powiedział. – Zrób stop-klatkę. Teraz.

Jeannie wcisnęła pauzę i spojrzeli na kadr, lekko rozmazany w wyniku szybkiego ruchu kamerzysty próbującego uchwycić jak najwięcej szczegółów.

Ralph postukał palcem w ekran.

– Widzisz faceta wymachującego kapeluszem kowbojskim?

– Pewnie, że widzę.

– Ten poparzony stał obok niego.

– W porządku – powiedziała Jeannie dziwnym, niespokojnym tonem, jakiego Ralph chyba jeszcze nigdy u niej nie słyszał.

– Przysięgam, że tam był. Widziałem go. To było tak, jakbym odleciał na LSD, meskalinie czy czymś takim, i widziałem dosłownie wszystko, każdy szczegół. Puść jeszcze raz resztę materiałów. To jest najlepsze ujęcie tłumu, ale nagranie Foxa też jest niezłe i…

– Nie. – Wcisnęła guzik zasilania i zamknęła laptopa. – Człowieka, którego widziałeś, nie ma na tych nagraniach, Ralph. Wiesz to równie dobrze jak ja.

– Myślisz, że zwariowałem? O to chodzi? Myślisz, że przechodzę… no wiesz…

– Załamanie nerwowe? – Jej dłoń znów spoczęła na jego ramieniu, tym razem lekko je ścisnęła. – Oczywiście, że nie. Jeśli mówisz, że go widziałeś, to go widziałeś. Jeśli uważasz, że nosił tę koszulę dla osłony przed słońcem, przerobił ją na chustę czy nie wiem co, pewnie tak było. Masz za sobą zły miesiąc, prawdopodobnie najgorszy w swoim życiu, Ralph, ale ufam twojej spostrzegawczości. Po prostu… teraz chyba już sam rozumiesz… – Zawiesiła głos. Czekał. Wreszcie wydobyła to z siebie: – Jest w tym coś bardzo niedobrego i im więcej się dowiadujesz, tym gorzej to wygląda. To mnie przeraża. Przeraża mnie historia, którą opowiedział ci Yune. To w gruncie rzeczy opowieść o wampirze, mam rację? Czytałam w liceum *Drakulę* i zapamiętałam z tej książki jedno: wampiry nie odbijają się w lustrach. A istota, która nie odbija się w lustrze, może nie być widoczna dla kamer telewizyjnych.

– Bzdury pleciesz. Nie ma czegoś takiego jak duchy, czarownice, wam…

Podskoczył, kiedy uderzyła otwartą dłonią w stół z dźwiękiem jak huk wystrzału. Jej oczy miotały wściekłe iskry.

– Obudź się, Ralph! Zobacz to, co masz przed sobą! Terry Maitland był w dwóch miejscach jednocześnie! Jeśli przestaniesz szukać logicznych wyjaśnień i po prostu to zaakceptujesz…

– Nie mogę, kochanie. To byłoby wbrew wszystkiemu, w co wierzyłem przez całe życie. Gdybym dopuścił taką możliwość, naprawdę bym zwariował.

– Akurat. Za silny jesteś. Ale nie musisz nawet rozważać takiej możliwości, to właśnie próbuję ci powiedzieć. Terry nie żyje. Możesz dać temu spokój.

– Mogę? A jeśli rzeczywiście nie on zabił Frankiego Petersona? Co będzie z Marcy, jeśli zostawię tę sprawę? Co będzie z jej dziewczynkami?

Jeannie wstała, podeszła do okna nad zlewem i wyjrzała na podwórko. Jej dłonie były zaciśnięte w pięści.

– Znowu dzwonił Derek. Nadal chce wrócić do domu.

– Co mu powiedziałaś?

– Żeby wytrzymał do końca turnusu w połowie przyszłego miesiąca. Mimo że szczerze wolałabym, żeby był w domu. W końcu go przekonałam. Wiesz dlaczego? – Odwróciła się do Ralpha. – Bo nie chcę, żeby był w mieście, dopóki ty grzebiesz w tym bajzlu. Bo kiedy dziś zapadnie zmrok, będę przerażona. A jeśli to rzeczywiście jest jakaś nadprzyrodzona istota, Ralph? Co będzie, jeśli się dowie, że jej szukasz?

Ralph doskoczył do niej i wziął ją w ramiona. Czuł, jak drży. Ona w głębi ducha naprawdę w to wierzy, pomyślał.

– Yune opowiedział mi tę historię, ale sam uważa, że zabójca jest człowiekiem z krwi i kości. Obaj tak uważamy.

Z twarzą wtuloną w jego pierś powiedziała:

– To dlaczego człowieka z poparzoną twarzą nie ma na żadnym z nagrań?

– Nie wiem.

– Marcy mnie obchodzi, pewnie, że tak. – Podniosła oczy i zobaczył w nich łzy. – I obchodzą mnie jej córki. Nawet Terry mnie obchodzi… i Petersonowie… ale najważniejsi dla mnie jesteście ty i Derek. Jesteście wszystkim, co mam. Nie możesz odpuścić? Doczekać końca urlopu, spotkać się z psychologiem i zamknąć ten rozdział?

– Nie wiem – odparł, chociaż tak naprawdę wiedział doskonale. Po prostu nie chciał tego powiedzieć Jeannie, kiedy była w tak dziwnym stanie.

Nie mógł zamknąć tego rozdziału.

Jeszcze nie teraz.

4

Tego wieczoru siedział przy stole piknikowym w ogródku, palił tiparillo i patrzył w niebo. Gwiazd nie było, ale za nadciągającymi chmurami dostrzegł księżyc. Taka często jest prawda, pomyślał – jak rozmazany krąg światła za chmurami. Czasami przez nie przebija; czasem chmury gęstnieją i światło zupełnie znika.

Jedno było pewne: po zmroku łatwiej mógł sobie wyobrazić, że chudy gruźlik z bajki Yune'a Sablo istnieje. Nie w niego uwierzyć – prędzej uwierzyłby w Świętego Mikołaja, ale zobaczyć oczami duszy, jak mógłby wyglądać: niczym śniada wersja Slender Mana, tego stwora z koszmarów amerykańskich nastolatek. Wysoki, posępny, w czarnym garniturze, z twarzą jak lampa, niosący wór na tyle duży, by zmieściło się w nim małe dziecko, z kolanami przyciśniętymi do piersi. Według Yune'a upiór z meksykańskiej legendy przedłużał swoje życie, pijąc krew dzieci i smarując się ich tłuszczem… i choć nie całkiem to spotkało małego Petersona, podobieństwa istniały. Czy to możliwe, że zabójca – może Maitland, może ten, kto zostawił rozmazane odciski palców – naprawdę uważał się za wampira albo inną nadprzyrodzoną istotę? Czy Jeffrey Dahmer nie był przekonany, że stwarza zombi, kiedy zabijał tych wszystkich bezdomnych?

Nic z tego nie daje odpowiedzi na pytanie, dlaczego poparzonego mężczyzny nie ma w materiałach telewizyjnych.

– Chodź do środka, Ralph – zawołała Jeannie. – Będzie padać. Możesz palić to śmierdzące paskudztwo w kuchni, jeśli bez niego nie wytrzymasz.

Nie dlatego chcesz, żebym był w środku, pomyślał Ralph. Chcesz, żebym był w środku, bo w głębi ducha się boisz, że facet z worem

z opowieści Yune'a czyha gdzieś tam, tuż poza zasięgiem lampy.

Absurd, oczywiście, ale mógł zrozumieć jej niepokój. Sam go odczuwał. Jak to ujęła Jeannie? „Im więcej się dowiadujesz, tym gorzej to wygląda".

Wszedł do środka, zgasił tiparillo w strumieniu wody z kranu, po czym zdjął telefon z podstawki ładującej.

– Możecie z Pelleyem wpaść jutro do mnie? – rzucił, kiedy Howie odebrał. – Mam wam sporo do powiedzenia, w tym trochę dość niewiarygodnych rzeczy. Przyjdźcie na lunch. Skoczę do Rudy's po kanapki.

Howie zgodził się bez wahania.

Ralph się rozłączył i dopiero wtedy zobaczył Jeannie. Stała w drzwiach i patrzyła na niego z ramionami założonymi na piersi.

– Nie możesz odpuścić?

– Nie, kochanie. Nie mogę. Przykro mi.

Westchnęła.

– Będziesz ostrożny?

– Będę uważał na każdym kroku.

– Oby, bo inaczej dam ci popalić. I nie mam na myśli tych twoich tiparillo. Nie musisz kupować kanapek w Rudy's. Coś przygotuję.

5

Niedziela była deszczowa, więc zebrali się przy rzadko używanym stole w pokoju stołowym Andersonów: Ralph, Jeannie, Howie i Alec. Yune Sablo, który był w swoim domu w Cap City, uczestniczył w rozmowie przez Skype'a, włączonego na laptopie Howiego Golda.

Ralph zaczął od przypomnienia faktów znanych wszystkim, po czym oddał głos Yune'owi, który powiedział Howiemu i Alecowi, co znaleziono w stodole Elfmanów.

– Sensu w tym za grosz – skwitował Howie, kiedy Yune skończył. – Nawet za ćwierć grosza.

– Ten człowiek nocował na stryszku opuszczonej stodoły? – spytał Alec. – Ukrywał się? Tak uważacie?

– Takie przyjęliśmy założenie – powiedział Yune.

– Jeśli tak, to nie mógł być Terry – stwierdził Howie. – Całą sobotę spędził w mieście. Rano zabrał dziewczynki na basen, po południu nie ruszał się z parku Estelle Bargi, bo musiał przygotować boisko do meczu; to był jego obowiązek jako trenera gospodarzy. Jest na to wielu świadków.

– A od soboty do poniedziałku siedział w areszcie – wtrącił Alec. – Jak dobrze wiesz, Ralph.

– Świadkowie widzieli Terry'ego praktycznie na każdym kroku – potwierdził Ralph. – To od początku było sednem problemu, ale na razie to zostawmy. Chcę wam coś pokazać. Yune już to widział; obejrzał te materiały dziś rano. Przedtem jednak zadałem mu pewne pytanie i teraz to samo pytanie chcę zadać wam. Czy któryś z was zauważył przed budynkiem sądu mocno oszpeconego mężczyznę?

Miał coś na głowie, ale na razie nie powiem co. To jak, kojarzycie go?

Howie zaprzeczył. Był wtedy całkowicie skupiony na swoim kliencie i jego żonie. Co innego Alec Pelley.

– Tak, widziałem gościa. Wyglądał jak poparzony w pożarze. A na głowie miał… – urwał i otworzył oczy szeroko.

– Mów dalej – powiedział Yune w swoim salonie w Cap City. – Wyrzuć to z siebie, *amigo*. Lepiej się poczujesz.

Alec pocierał skronie, jakby rozbolała go głowa.

– Wtedy pomyślałem, że to bandana albo chusta. Rozumiecie… że włosy mu się spaliły w pożarze i nie odrosły z powodu blizn, więc chciał czymś osłonić głowę od słońca. Tyle że to mogła być koszula. Myślicie, że to ta, której nie było w stodole? Ta, którą Terry miał na sobie w nagraniach z monitoringu dworca?

– Brawo, wygrałeś lizaka – powiedział Yune.

Howie patrzył chmurnie na Ralpha.

– Nadal chcesz to zwalić na Terry'ego?

Jeannie odezwała się po raz pierwszy:

– Próbuje tylko dojść do prawdy… co, moim zdaniem, niekoniecznie jest najlepszym pomysłem na świecie.

– Obejrzyj to, Alec – powiedział Ralph. – I pokaż, gdzie jest poparzony mężczyzna.

Puścił materiał z Channel 81, potem z Fox, a następnie, na życzenie Pelleya (nachylonego tak blisko laptopa Jeannie, że prawie dotykał ekranu nosem), jeszcze raz włączył nagranie z Channel 81. Wreszcie Alec usiadł prosto.

– Nie ma go. To niemożliwe…

– Stał obok kolesia wymachującego kapeluszem kowbojskim, prawda? – zapytał Yune.

– Chyba tak – odparł Alec. – Obok niego, nad blondwłosą reporterką, która dostała transparentem w łeb. Reporterkę i faceta z transparentem widzę… ale jego nie. Jakim cudem?

Nikt nie odpowiedział.

– Wróćmy na chwilę do odcisków palców – odezwał się Howie. – Ile osób zostawiło je w vanie, Yune?

– Według techników nawet sześć.

Howie jęknął.

– Spokojnie – dodał Yune. – Co najmniej cztery z tych osób wyeliminowaliśmy: farmera z Nowego Jorku, który był właścicielem vana, jego najstarszego syna, który czasem nim jeździł, dzieciaka, który go ukradł, i Terry'ego Maitlanda. Zostaje więc jeden wyraźny zestaw niezidentyfikowanych odcisków palców… mogły należeć do jednego ze znajomych farmera albo jego młodszego dziecka, które się bawiło w aucie… i te rozmazane.

– Te same, co na sprzączce paska.

– Być może, ale pewności nie mamy. Widać część linii i łuków, ale za mało jest wyraźnych punktów charakterystycznych, żeby sąd uznał je za wiarygodny dowód.

– Uhm, jasne, rozumiem. Pozwólcie więc, panowie, że o coś was zapytam. Czy nie jest możliwe, że człowiek, który doznał silnych poparzeń, nie tylko twarzy, ale i dłoni, zostawia takie właśnie odciski palców? Zbyt rozmazane, żeby je zidentyfikować?

– Tak. – Yune i Alec powiedzieli to jednocześnie, choć z uwagi na lekkie opóźnienie transmisji internetowej ich głosy nie całkiem się pokryły.

– Kłopot w tym – podjął Ralph – że poparzony mężczyzna miał tatuaże na dłoniach. Gdyby spaliły mu się opuszki palców, tatuaże chybaby nie ocalały?

Howie pokręcił głową.

– Niekoniecznie. Jeśli staję w ogniu, w pierwszym odruchu próbuję się ugasić, ale nie robię tego grzbietem dłoni, zgadza się? – Poklepał swoją szeroką pierś, żeby zademonstrować. – Robię to wnętrzem dłoni.

Na chwilę zapadła cisza. Wreszcie, cichym, ledwo słyszalnym głosem, Alec Pelley powiedział:

– Ten poparzony tam był. Przysiągłbym na stertę Biblii.

– Zakładam, że laboratorium policji stanowej zbada substancję, która zabarwiła siano w stodole na czarno, ale czy do tego czasu możemy coś zrobić? – spytał Ralph. – Jestem otwarty na sugestie.

– Wróćmy do wydarzeń w Dayton – powiedział Alec. – Wiemy, że był tam Maitland, wiemy, że był tam van. Być może są tam też przynajmniej niektóre odpowiedzi. Sam do Dayton nie polecę, za

dużo srok trzymam za ogon, ale znam jednego dobrego fachowca. Zadzwonię i spytam, czy znalazłby dla nas czas.

I na tym skończyli.

6

Dziesięcioletnia Grace Maitland źle sypiała od czasu zabójstwa jej ojca, a jak już zdołała zasnąć, dręczyły ją koszmary. Tego niedzielnego popołudnia znużenie przygniotło ją miękkim ciężarem. W czasie, gdy jej matka i siostra piekły ciasto w kuchni, wymknęła się na górę i położyła w swoim łóżku. Chociaż dzień był deszczowy, było widno. To dobrze, bo ostatnio bała się ciemności. Słyszała, jak mama i Sarah rozmawiają na dole. To też dobrze. Grace zamknęła oczy i choć wydawało się, że minęła krótka chwila, zanim znów je otworzyła, musiały upłynąć całe godziny, bo deszcz padał mocniej, a światło poszarzało. Jej pokój był pełen cieni.

Na jej łóżku siedział jakiś mężczyzna. Patrzył na nią. Był w dżinsach i zielonym T-shircie. Po jego dłoniach i ramionach rozpełzały się tatuaże: węże, krzyż, sztylet, czaszka. Jego twarz nie wyglądała już jak ulepiona z plasteliny przez dziecko bez talentu artystycznego, a mimo to Grace wiedziała, kim on jest. To był ten sam człowiek, którego widziała za oknem pokoju Sarah. Dobrze choć, że nie miał już słomek zamiast oczu. Teraz miał oczy jej ojca. Grace rozpoznałaby je wszędzie. Była ciekawa, czy to się dzieje naprawdę, czy może to sen. Jeśli sen, wolała go od koszmarów, które miała ostatnio. Przynajmniej trochę.

– Tata?

– A jakże – powiedział mężczyzna. Jego zielony T-shirt zmienił się w koszulkę meczową Golden Dragons taty, teraz więc wiedziała na pewno, że to jednak sen. Potem koszulka przeobraziła się w coś, co przypominało biały fartuch, i z powrotem w zielony T-shirt. – Kocham cię, Gracie.

– Tata nie ma takiego głosu – powiedziała Grace. – Tylko go udajesz.

Mężczyzna nachylił się ku niej. Cofnęła się, z oczami utkwionymi w oczach ojca. Były lepsze od głosu, który powiedział, że ją kocha, ale to i tak nie był tata.

– Chcę, żebyś sobie poszedł – zażądała.

– Jasne. A ludzie w piekle chcą wody z lodem. Smutno ci, Grace? Tęsknisz za tatusiem?

– Tak! – Rozpłakała się. – Idź sobie! To nie są prawdziwe oczy tatusia, tylko udajesz!

– Nie licz na moje współczucie – powiedział mężczyzna. – Jak dla mnie to dobrze, że jest ci smutno. Mam nadzieję, że długo będziesz smutna i długo będziesz płakać. Łeee-łeee-łeee, jak mała dzidzia.

– Idź sobie, proszę!

– Dzidzia chce butelkę? Dzidzia zsiusiała się w pieluchę i jest cała mokra? Dzidzia robi łeee-łeee-łeee?

– Przestań!

Odchylił się.

– Dobrze, ale najpierw musisz coś dla mnie zrobić. Zrobisz coś dla mnie, Grace?

– Co?

Powiedział jej. A chwilę później Sarah potrząsała Grace, mówiąc, żeby zeszła na dół i zjadła kawałek ciasta. Więc to jednak był tylko sen, zły sen. I nie musiała nic zrobić. Ale może jeśli to zrobi, ten sen więcej nie wróci.

Wmusiła w siebie trochę ciasta, choć tak naprawdę wcale nie miała na nie ochoty, a kiedy mama i Sarah usiadły na kanapie, żeby obejrzeć jakiś głupawy film, Grace powiedziała, że nie lubi filmów o miłości, więc pójdzie na górę pograć w Angry Birds. Zrobiła jednak coś innego. Poszła do sypialni rodziców (właściwie teraz już tylko mamy, jakie to smutne) i zdjęła z komody telefon komórkowy Marcy. Numeru policjanta nie było na liście kontaktów, był za to numer pana Golda. Zadzwoniła do niego, trzymając telefon obiema rękami, żeby się nie trząsł. Modliła się, żeby pan Gold odebrał, i tak się stało.

– Marcy? Co słychać?

– To ja, Grace. Dzwonię z telefonu mamy.

– O, cześć, Grace. Miło cię słyszeć. Czemu do mnie dzwonisz?

– Bo nie wiedziałam, jak zadzwonić do tego detektywa. Tego, co aresztował mojego tatę.

– Dlaczego chcesz…

– Mam dla niego wiadomość. Przekazał mi ją taki pan. Wiem, że to pewnie był tylko sen, ale wolę nie ryzykować. Powiem panu, a pan powie detektywowi.

– Jaki pan, Grace? Kto ci przekazał tę wiadomość?

– Kiedy widziałam go pierwszy raz, miał słomki zamiast oczu. Obiecał, że więcej nie wróci, jeśli przekażę detektywowi Andersonowi wiadomość od niego. Próbował mnie nabrać, że ma oczy mojego taty, ale wcale ich nie miał, tylko udawał. Jego twarz wygląda już lepiej, ale nadal jest straszny. Nie chcę, żeby wrócił, nawet we śnie, więc proszę, żeby przekazał pan tę wiadomość detektywowi Andersonowi, dobrze?

Mama już stała w drzwiach i patrzyła w milczeniu. Grace pomyślała, że pewnie dostanie ochrzan, ale nie dbała o to.

– Co mam mu przekazać, Grace?

– Żeby przestał. Że jeśli nie chce, żeby stało się coś złego, musi przestać.

7

Grace i Sarah siedziały na kanapie w salonie. Marcy była między nimi, obejmowała je ramionami. Howie Gold zajął wygodny fotel, w którym zwykł przesiadywać Terry, zanim świat wywrócił się do góry nogami. W komplecie z fotelem był puf. Ralph przestawił go przed kanapę i usiadł na nim. Nogi miał tak długie, że kolana sięgały mu prawie do uszu. Domyślał się, że wygląda komicznie, ale jeśli dzięki temu Grace Maitland poczuje się przy nim trochę swobodniej, niech tak będzie.

– To musiał być straszny sen, Grace. Jesteś pewna, że to był sen?

– Pewnie, że tak – powiedziała Marcy z napiętą, bladą twarzą. – Nie było w tym domu żadnego mężczyzny. Gdyby ktoś próbował wejść na górę, zauważyłybyśmy go.

– A przynajmniej usłyszały – dodała Sarah, ale była wyraźnie onieśmielona. Wystraszona. – Nasze schody okropnie skrzypią.

– Jesteś tu z jednego powodu: żeby uspokoić moją córkę – powiedziała Marcy. – Czy mógłbyś, z łaski swojej, to zrobić?

– Cokolwiek zobaczyłaś, wiesz, że w tej chwili nie ma tu żadnego obcego mężczyzny, prawda, Grace? – powiedział Ralph.

– Tak. – Wydawała się tego pewna. – Poszedł sobie. Powiedział, że pójdzie, jeśli przekażę panu wiadomość. Myślę, że więcej nie wróci, nawet jeśli tylko mi się przyśnił.

Sarah westchnęła teatralnie:

– Co za ulga.

– Ciii, szkrabie – rzuciła Marcy.

Ralph wyjął notes.

– Powiedz mi, jak wyglądał. Ten mężczyzna z twojego snu. Bo to był sen, teraz już jestem tego pewien. A jako detektyw znam się na takich rzeczach.

Marcy Maitland nie lubiła go i pewnie nigdy nie polubi, ale podziękowała mu spojrzeniem choć za to.

– Lepiej – powiedziała Grace. – Wyglądał lepiej. Nie miał już twarzy jak z plasteliny.

– Tak wyglądał przedtem – wyjaśniła Ralphowi Sarah. – Według niej.

– Sarah, mogłabyś pójść do kuchni z panem Goldem i ukroić wszystkim po kawałku ciasta? – zapytała Marcy.

Sarah spojrzała na Ralpha.

– Nawet jemu? To co, już go lubimy?

– Wszystkim – powiedziała Marcy, zręcznie unikając odpowiedzi. – To się nazywa gościnność. No już, idź.

Sarah zsunęła się z kanapy i przeszła przez pokój do Howiego.

– Wyrzucają mnie.

– Taką miłą osobę? Nie może być – zdziwił się Howie. – Potowarzyszę ci w *purdah*.

– W czym?

– Nieważne, mała.

Kiedy oboje poszli razem do kuchni, Marcy zwróciła się do Ralpha:

– Streszczaj się, proszę – rzuciła Marcy do Ralpha. – Jesteś tu tylko dlatego, że Howie powiedział, że to ważne. Że może mieć związek z… wiesz czym.

Ralph skinął głową, nie odrywając oczu od Grace.

– Ten człowiek, który miał twarz jak z plasteliny, kiedy pierwszy raz go widziałaś…

– I słomki zamiast oczu – przypomniała Grace. – Sterczały jak w kreskówce, a w miejscu tych takich czarnych kółek, które ludzie mają w oczach, były dziury.

– Mhm. – Ralph zapisał w notesie: „Słomki zamiast oczu?”. – Powiedziałaś, że jego twarz wyglądała jak ulepiona z plasteliny; czy mogło tak być, dlatego że był poparzony?

Pomyślała o tym.

– Nie. Raczej jakby był jeszcze niegotowy. Taki… no…

– Niedokończony? – podsunęła Marcy.

Grace kiwnęła głową i włożyła kciuk do ust. Ta dziesięciolatka z kciukiem w buzi i znękaną twarzą… to moja robota, pomyślał Ralph. Taka była prawda – i fakt, że działał na podstawie z pozoru niezbitych dowodów, nigdy tego nie zmieni.

– Jak wyglądał dzisiaj, Grace? Człowiek, który ci się przyśnił.

– Miał krótkie czarne włosy, takie sterczące, jak kolce jeżozwierza, i bródkę dookoła ust. I oczy mojego taty, ale to tak naprawdę nie były jego oczy. Na dłoniach i całych rękach miał tatuaże. Węże i inne takie. Jego koszula na początku była zielona, potem się zmieniła w koszulkę bejsbolową taty, tę ze złotym smokiem, a potem w takie białe coś, co nosi pani Gerson, kiedy strzyże mamę.

Ralph zerknął na Marcy, która powiedziała:

– Chyba ma na myśli fartuch.

– Tak – powiedziała Grace. – Właśnie. Ale potem ten fartuch zmienił się z powrotem w zieloną koszulkę i po tym poznałam, że to mi się śni. Tylko że… – Usta jej zadrżały, a oczy wypełniły się łzami, które spłynęły po rumianych policzkach. – Tylko że ten pan był dla mnie niedobry. Powiedział, że się cieszy, że jest mi smutno. Nazwał mnie dzidzią.

Wtuliła twarz w piersi matki i załkała. Marcy spojrzała na Ralpha nad czubkiem jej głowy; w tej chwili nie była na niego zła, tylko bała się o córkę.

Wie, że to było coś więcej niż tylko sen, pomyślał. Poznała, że to mi coś mówi.

Kiedy płacz dziewczynki przycichł, Ralph się odezwał:

– Dobrze się spisałaś, Grace. Dziękuję, że opowiedziałaś mi swój sen. Już po wszystkim, w porządku?

– Tak – wychrypiała. – Poszedł sobie. Zrobiłam, co kazał, i sobie poszedł.

– Zjemy ciasto tutaj – zarządziła Marcy. – Idź, pomóż siostrze z talerzykami.

Grace pobiegła wykonać polecenie. Kiedy zostali sami, Marcy powiedziała:

– Obie mocno przeżyły to, co się stało, zwłaszcza ona. Powiedziałabym, że to wszystko tłumaczy, tyle że Howie jest innego

zdania i ty chyba też. Mam rację?

– Pani Maitland… Marcy… nie wiem, co myśleć. Sprawdziłaś pokój Grace?

– Oczywiście. Kiedy tylko powiedziała mi, dlaczego zadzwoniła do Howiego.

– Żadnych śladów intruza?

– Zupełnie. Okno zamknięte, siatka przeciw owadom nienaruszona, a poza tym to, co Sarah powiedziała o schodach, jest prawdą. Dom jest stary i każdy stopień skrzypi.

– Co z jej łóżkiem? Grace stwierdziła, że ten człowiek na nim siedział.

Marcy parsknęła nieobecnym śmiechem.

– Kto by to poznał, kiedy tak się po nim przewala od czasu… – Podniosła dłoń do twarzy. – To takie okropne…

Ralph wstał i podszedł do niej, pragnąc ją pocieszyć. Zesztywniała i odsunęła się.

– Nie siadaj tu, proszę. I nie dotykaj mnie. Toleruję twoją obecność tylko dlatego, że chcę, by moja najmłodsza córka mogła dziś zasnąć, nie krzycząc na cały dom.

Na szczęście nie musiał odpowiadać, bo w tej chwili wrócili Howie i dziewczynki. Grace ostrożnie niosła po jednym talerzyku w każdej dłoni. Marcy otarła oczy, szybko, prawie niedostrzegalnie, i posłała im promienny uśmiech.

– Hura! Ciasto! – zawołała.

Ralph wziął swój kawałek i podziękował. Postanowił, że choć mówi Jeannie wszystko o tej porąbanej, koszmarnej sprawie, o śnie tej dziewczynki jej nie powie. Co to to nie.

8

Alec Pelley myślał, że potrzebny mu numer jest na jego liście kontaktów, ale nic z tego. „Wybrany numer został odłączony”, usłyszał. Odszukał swój stary czarny notatnik adresowy (wiernego, nieodłącznego towarzysza z dawnych lat, dziś, w dobie komputerów, zagrzebanego w głębi szuflady biurka, i to jednej z dolnych) i zadzwonił pod inny numer.

– Uczciwi Znalazcy – rozległo się na drugim końcu linii. Przekonany, że to automatyczna sekretarka (zasadne przypuszczenie, zważywszy, że był niedzielny wieczór), Alec czekał na komunikat o godzinach pracy, po nim listę opcji do wyboru za wciśnięciem określonych klawiszy, a wreszcie zachętę, by zostawić wiadomość po sygnale. Zamiast tego usłyszał głos, lekko marudny: – No i jak? Jest tam kto?

Alec uświadomił sobie, że zna ten głos, choć nazwisko jego właścicielki wyleciało mu z głowy. Ile czasu minęło, odkąd ostatnio z nią rozmawiał? Dwa lata? Trzy?

– Odkładam sł…

– Proszę tego nie robić. Już jestem. Nazywam się Alec Pelley i próbuję się skontaktować z Billem Hodgesem. Kilka lat temu, zaraz po tym, kiedy odszedłem z policji stanowej, prowadziłem z nim dochodzenie. Przestępca nazwiskiem Oliver Madden ukradł samolot teksańskiemu nafciarzowi nazwiskiem…

– Dwight Cramm. Pamiętam. Pana też pamiętam, panie Pelley, choć nigdy się nie spotkaliśmy. Przykro mi to powiedzieć, ale pan Cramm nie kwapił się do tego, żeby nam zapłacić. Musiałam mu wystawić co najmniej pół tuzina faktur, a w końcu zagrozić sądem. Mam nadzieję, że panu poszło lepiej.

– Było z tym trochę roboty. – Alec uśmiechnął się na to wspomnienie. – Pierwszy czek, który przysłał, był bez pokrycia, ale z drugim już nie było problemów. Rozmawiam z Holly, prawda? Nie pamiętam nazwiska, ale Bill bardzo panią chwalił.

– Holly Gibney – powiedziała.

– Cóż, miło znów panią słyszeć, pani Gibney. Próbowałem dodzwonić się do Billa, ale chyba zmienił numer.

Cisza.

– Pani Gibney? Zerwało połączenie?

– Nie – powiedziała. – Jestem. Bill umarł dwa lata temu.

– O Jezu… Bardzo mi przykro. Na serce? – Chociaż Alec tylko raz spotkał Hodgesa, kontaktowali się głównie przez telefon i mailem, pamiętał, że był trochę przy kości.

– Na raka. Trzustki. Teraz prowadzę firmę z Peterem Huntleyem. Był partnerem Billa, kiedy pracowali w policji.

– Cóż, dobre i to.

– Nie. Jak dla mnie wcale nie. Interesy idą nieźle, ale rzuciłabym to bez wahania, byle tylko Bill żył i był zdrowy. Rak jest do pupy.

Alec przez chwilę chciał jej podziękować, jeszcze raz złożyć kondolencje i się rozłączyć. Później zastanawiał się, jak bardzo wszystko by się zmieniło, gdyby tak zrobił. Przypomniał sobie jednak coś, co Bill powiedział o tej kobiecie, kiedy razem usiłowali odzyskać king aira Dwighta Cramma: „Jest ekscentryczna, z drobnymi natręctwami, nie przepada za kontaktem fizycznym, ale nic jej nie umknie. Z Holly byłby świetny detektyw policyjny”.

– Chciałem zlecić Billowi, żeby coś dla mnie sprawdził – powiedział. – Ale może pani mogłaby to zrobić. Naprawdę panią chwalił.

– Miło mi to słyszeć, panie Pelley, jednak wątpię, czy jestem właściwą osobą. Nasza firma zajmuje się głównie szukaniem zwolnionych za kaucją, którzy nie stawiają się w sądzie, i osób zaginionych. – Zrobiła pauzę, po czym dodała: – Poza tym jesteśmy dość daleko od pana, chyba że dzwoni pan z któregoś z północno-wschodnich stanów.

– Nie, ale tak się składa, że to, co mnie interesuje, jest w Ohio, a sam nie bardzo mogę tam polecieć, bo mam na miejscu pewne sprawy, których muszę pilnować. Jak daleko jest pani od Dayton?

– Chwileczkę – powiedziała, po czym, prawie od razu, odparła: – Trzysta siedemdziesiąt trzy kilometry według MapQuest. To bardzo dobry program. Co takiego chce pan sprawdzić, panie Pelley? Zanim pan odpowie, uprzedzam, że jeśli wiąże się to z zagrożeniem jakąkolwiek formą przemocy, będę zmuszona odmówić przyjęcia zlecenia. Nie znoszę przemocy.

– Nie będzie żadnej przemocy – zapewnił. – To znaczy do przemocy już doszło. Zamordowano dziecko, ale zdarzyło się to tutaj, a człowiek aresztowany za tę zbrodnię nie żyje. Pytanie brzmi: czy rzeczywiście był winny, a odpowiedź na nie wymaga ustalenia przebiegu jego pobytu w Dayton z rodziną w kwietniu.

– Rozumiem. Kto zapłaci za usługi mojej firmy? Pan?

– Nie, adwokat nazwiskiem Howard Gold.

– Czy według pańskiej wiedzy mecenas Gold płaci chętniej niż Dwight Cramm?

Alec uśmiechnął się szeroko.

– Oczywiście.

I choć zaliczkę rzeczywiście wypłaci Howie, pełną należność dla Uczciwych Znalazców – o ile Holly Gibney zgodzi się przeprowadzić dochodzenie w Dayton – ostatecznie ureguluje Marcy Maitland, bo będzie ją na to stać. Firma ubezpieczeniowa nie będzie zadowolona, że musi wypłacić odszkodowanie żonie oskarżonego o zabójstwo, ale ponieważ Terry nie został skazany, nie będzie miała wyjścia. Do tego dojdzie pozew o zadośćuczynienie za śmierć zawinioną przeciwko Flint City, który Howie wniesie w imieniu Marcy; powiedział Alecowi, że miasto pewnie zgodzi się na kwotę siedmiocyfrową. Pokaźna suma na koncie nie przywróci jej mężowi życia, ale pozwoli pokryć koszty prywatnego śledztwa, przeprowadzki, jeśli Marcy uzna ją za konieczną, i studiów obu dziewczynek, kiedy przyjdzie na nie czas. Pieniądze nie są lekarstwem na smutek, pomyślał Alec, ale pozwalają przeżywać żałobę we względnym komforcie.

– Proszę mi opowiedzieć o tej sprawie, panie Pelley, a ja zdecyduję, czy ją wezmę.

– To trochę potrwa. Mogę zadzwonić jutro w godzinach pracy, jeśli to panią bardziej urządza.

– Może być teraz. Proszę tylko chwilę zaczekać, wyłączę film.

– Psuję pani wieczór.

– Niezupełnie. *Ścieżki chwały* widziałam już co najmniej tuzin razy. To jedno z najlepszych dzieł pana Kubricka. Znacznie lepsze od *Lśnienia* i *Barry'ego Lyndona* moim zdaniem, no ale oczywiście kiedy kręcił ten film, był dużo młodszy. Uważam, że młodzi artyści są znacznie bardziej skłonni do podjęcia ryzyka.

– Przyznam, że nie jestem miłośnikiem filmów – odparł Alec, wspominając słowa Hodgesa: „ekscentryczna, z drobnymi natręctwami".

– W moim przekonaniu upiększają świat. Chwileczkę… – Słaby dźwięk muzyki filmowej w tle ucichł. Holly wróciła do telefonu. – Proszę powiedzieć, co pan chce, żebym zrobiła w Dayton, panie Pelley.

– Z góry uprzedzam: to nie tylko bardzo długa, ale i dziwna historia.

Parsknęła śmiechem, znacznie bardziej dźwięcznym od jej zwykłego, starannego sposobu mówienia. Ten śmiech odjął jej lat.

– Proszę mi wierzyć, nie będzie to pierwsza dziwna historia, jaką w życiu słyszałam. Kiedy byłam z Billem… cóż, mniejsza z tym. Ale skoro nasza rozmowa ma potrwać dłużej, równie dobrze może mi pan mówić po imieniu. Włączę tryb głośnomówiący, żeby mieć wolne ręce. Chwileczkę… dobrze, proszę mi wszystko powiedzieć.

Alec, ośmielony, zaczął mówić. Zamiast muzyki filmowej słyszał miarowy stukot klawiatury – znak, że robiła notatki. Jeszcze zanim rozmowa się skończyła, wiedział, że dobrze zrobił, nie rozłączając się. Holly Gibney zadawała dobre pytania, celne pytania. Wydawało się, że dziwne aspekty tej sprawy nie robiły na niej najmniejszego wrażenia. Cholernie szkoda, że Bill Hodges umarł, ale Alec uznał, że chyba zostawił całkiem godną następczynię.

Na koniec zapytał:

– I co, zaintrygowana?

– Tak. Panie Pelley…

– Alec. Ty jesteś Holly, ja Alec.

– Dobrze, Alec. Uczciwi Znalazcy przyjmą to zlecenie. Będę ci regularnie składała raporty przez telefon, mailem albo przez

FaceTime, który moim zdaniem jest znacznie lepszy od Skype’a. Kiedy ustalę wszystko, co się da, prześlę ci pełne podsumowanie.

– Dziękuję. To mi bardzo…

– Tak. A teraz pozwól, że podam ci numer konta, na które przelejesz zaliczkę w kwocie, na jaką się umówiliśmy.

HOLLY

22–24 lipca

1

Odłożyła telefon służbowy (zawsze zabierała go do domu, choć Pete docinał jej z tego powodu) na podstawkę obok telefonu domowego i przez jakieś pół minuty siedziała w milczeniu przed komputerem. Potem wcisnęła guzik fitbita, żeby zmierzyć sobie tętno. Siedemdziesiąt pięć. Osiem do dziesięciu uderzeń powyżej normy. Nie była zaskoczona. Opowieść Pelleya o sprawie Maitlanda wzbudziła w niej tyle emocji, co żadne śledztwo od czasu, gdy uporali się z nieżyjącym (i przeokropnym) Bradym Hartsfieldem.

Chociaż to nie do końca prawda. W rzeczywistości nic nie budziło w niej prawdziwych emocji, odkąd umarł Bill. Pete Huntley był w porządku, ale – tu, w zaciszu swojego ładnego mieszkania, mogła to otwarcie przyznać – był trochę ciapą. Najchętniej pozostałby przy szukaniu niesolidnych dłużników, zbiegów, skradzionych samochodów, zaginionych zwierzaków i tatusiów zalegających z alimentami. I choć Holly powiedziała Alecowi Pelleyowi prawdę i tylko prawdę – naprawdę nie znosiła przemocy; oglądana na żywo, nie w filmach, przyprawiała ją o ból brzucha – pościg za Hartsfieldem pozwolił jej poczuć, że żyje, jak nic innego od tego czasu. Podobnie jak sprawa Morrisa Bellamy'ego, szalonego miłośnika literatury, który zabił swojego ulubionego pisarza.

W Dayton nie będzie na nią czyhał żaden Brady Hartsfield ani inny Morris Bellamy, a to dobrze, bo Pete był na wakacjach w Minnesocie, a jej młody przyjaciel Jerome wyjechał z rodziną do Irlandii. „Pocałuję Kamień z Blarney w twoim imieniu, słonko", powiedział na lotnisku, przybierając irlandzki akcent, równie okropny jak pseudoafroamerykański żargon rodem z *Amos 'n Andy*, którym wciąż

czasem mówił, głównie po to, żeby się z nią podrażnić. „Lepiej nie”, stwierdziła. „Pomyśl, ile musi być na nim zarazków. Uuch”.

Alec Pelley sądził, że te dziwne szczegóły mnie zrażą, pomyślała z lekkim uśmiechem. Myślał, że powiem po prostu: To niemożliwe, człowiek nie może być w dwóch miejscach naraz ani zniknąć z materiału telewizyjnego. To głupi dowcip albo mistyfikacja. Tyle tylko, że Alec Pelley nie wie – a ja mu tego nie powiem – że owszem, ludzie mogą być w dwóch miejscach jednocześnie. Brady Hartsfield tak robił, a kiedy w końcu umarł, przebywał w ciele innego człowieka.

– Wszystko jest możliwe – powiedziała do pustego pokoju. – Wszystko. Świat jest pełen dziwnych zakamarków.

Otworzyła Firefoxa i wyszukała adres pubu Tommy and Tuppence. Najbliższym miejscem noclegu był hotel Fairview na Northwoods Boulevard. Ten sam, w którym zatrzymali się Maitlandowie? Dla pewności zapyta Aleca Pelleya przez e-mail, ale wydawało się to prawdopodobne, biorąc pod uwagę słowa starszej córki Maitlanda. Holly zajrzała na Trivago i zobaczyła, że może dostać całkiem przyzwoity pokój w cenie dziewięćdziesięciu dwóch dolarów za noc. Zastanawiała się, ale tylko przez chwilę, czy nie lepiej wynająć mały apartament. To byłoby zawyżanie kosztów działalności, nieuczciwa praktyka biznesowa i równia pochyła.

Zadzwoniła do Fairview (z telefonu służbowego, bo to uzasadniony wydatek), zarezerwowała pokój na trzy noce, licząc od jutra, po czym otworzyła Math Crunchera na komputerze. Jej zdaniem był to najlepszy program do prowadzenia codziennych obliczeń. Doba hotelowa w Fairview zaczynała się o trzeciej, a prius Holly osiągał na autostradzie optymalny poziom zużycia paliwa przy prędkości stu jeden kilometrów na godzinę. Uwzględniła jeden postój w celu zatankowania i zjedzenia niewątpliwie niskiej jakości posiłku na przydrożnym parkingu… dodała czterdzieści pięć minut na nieuniknioną zwłokę z powodu robót drogowych…

– Wyjadę o dziesiątej – powiedziała. – Nie, za dziesięć dziesiąta, tak będzie bezpieczniej. – A żeby zabezpieczyć się jeszcze bardziej, wyszukała przy użyciu aplikacji Waze alternatywną trasę, na wypadek gdyby okazała się konieczna.

Potem wzięła prysznic (żeby nie musiała robić tego rano), włożyła koszulę nocną, wyszorowała zęby, wyczyściła je nicią (według najnowszych badań czyszczenie nicią dentystyczną nie chroni przed próchnicą, ale było częścią codziennego rytuału Holly i nie miała nic przeciwko temu, żeby pozostało nią do końca jej życia), wyjęła spinki z włosów i ułożyła je w równym rządku, po czym poczłapała boso do gościnnej sypialni.

W tym pokoju urządziła swoją filmotekę. Na półkach stały DVD, niektóre w oryginalnych, kolorowych opakowaniach, większość wypalona na supernowoczesnym sprzęcie Holly. Miała ich tysiące (aktualnie 4375), ale bez trudu znalazła płytę, o którą jej chodziło, bo były ustawione w kolejności alfabetycznej. Zdjęła ją i położyła na nocnym stoliku, w miejscu, gdzie na pewno ją zobaczy, kiedy rano będzie się pakowała.

Załatwiwszy to, uklękła, zamknęła oczy i złożyła dłonie. To jej psychoanalityk zasugerował, żeby modliła się rano i wieczorem; kiedy Holly zaoponowała, mówiąc, że właściwie nie wierzy w Boga, odpowiedział, że wyartykułowanie swoich obaw i planów wyobrażonej sile wyższej mimo wszystko może pomóc. I wyglądało na to, że miał rację.

– To znowu ja, Holly Gibney, i nadal się staram, jak mogę. Jeśli gdzieś tam jesteś, proszę, pobłogosław Pete'a, bo pojechał na ryby, a trzeba być idiotą, żeby wsiadać do łódki, nie umiejąc pływać. Pobłogosław Robinsonów w Irlandii i jeśli Jerome naprawdę ma ochotę pocałować Kamień z Blarney, proszę, wybij mu to z głowy. Piję boosta, żeby trochę przybrać na wadze, bo doktor Stonefield mówi, że jestem za chuda. Nie smakuje mi, ale każda puszka to, według etykiety, dwieście czterdzieści kalorii. Biorę lexapro i nie palę. Jutro jadę do Dayton. Proszę, spraw, abym była bezpieczna w moim samochodzie, przestrzegała przepisów ruchu drogowego, i pomóż mi zrobić jak najlepszy użytek z dostępnych faktów. Które są ciekawe… – Zamyśliła się. – Nadal tęsknię za Billem. To chyba tyle na dzisiaj.

Weszła do łóżka. Pięć minut później już spała.

2

Holly przyjechała do hotelu Fairview o 15:17, nie całkiem optymalnie, ale w sumie nieźle. Szacowała, że na miejscu byłaby o 15:12, gdyby nie to, że po zjeździe z autostrady wszystkie pitolone światła na skrzyżowaniach sprzysięgły się przeciwko niej. Pokój był w porządku. Ręczniki na drzwiach prysznica wisiały trochę krzywo, ale naprawiła to niedopatrzenie, jak już skorzystała z sedesu i umyła dłonie oraz twarz. Był telewizor, nie było odtwarzacza DVD, trudno jednak liczyć na taki sprzęt w pokoju kosztującym dziewięćdziesiąt dwa dolary za noc. Jej laptop z powodzeniem wystarczy, gdyby poczuła potrzebę obejrzenia filmu, który przywiozła. Nakręcony tanim kosztem w ciągu zapewne nie więcej niż dziesięciu dni, nie wymagał obrazu o wysokiej rozdzielczości ani dźwięku Dolby.

Tommy and Tuppence znajdowało się niecałą przecznicę od hotelu. Holly zobaczyła szyld, kiedy tylko wyszła spod hotelowej markizy. Skierowała się tam i obejrzała kartę dań wystawioną w witrynie. W górnym lewym rogu widniał parujący placek. Pod nim napisano: „Nasza specjalność: wołowina z cynaderkami w cieście”.

Bez pośpiechu poszła przecznicę dalej, na parking zapełniony mniej więcej w trzech czwartych. „Parking miejski. Postój do sześciu godzin”, głosiła tablica przy wjeździe. Weszła na jego teren, wypatrując mandatów na przednich szybach i śladów kredy na oponach. Nie było ani tego, ani tego, co znaczyło, że nikt nie pilnuje sześciogodzinnego limitu. Władze liczyły na uczciwość użytkowników. W Nowym Jorku to by się nie sprawdziło, ale w Ohio takie rozwiązanie pewnie funkcjonowało całkiem dobrze. Nie było monitoringu, więc nie sposób będzie ustalić, ile czasu stał tu van

porzucony przez Merlina Cassidy'ego, domyślała się jednak, że skoro chłopak zostawił go z otwartymi drzwiami i kluczykami kusząco dyndającymi u stacyjki, nie przetrwał zbyt długo.

Wróciła do Tommy and Tuppence, przedstawiła się hostessie i powiedziała, że jest detektywem prowadzącym śledztwo w sprawie człowieka, który wiosną zatrzymał się w pobliżu. Hostessa okazała się współwłaścicielką lokalu, a ponieważ do wieczornego szczytu została jeszcze godzina, była skora do rozmowy. Holly spytała, czy może pamięta, kiedy dokładnie restauracja rozprowadziła po okolicy ulotki z menu.

– Co zrobił ten facet? – spytała hostessa. Na imię miała Mary, nie Tuppence, jej akcent był z New Jersey, nie z Newcastle.

– Nie wolno mi o tym mówić – odparła Holly. – Kwestia prawna. Rozumie pani.

– Cóż, pamiętam to – powiedziała Mary. – Byłoby dziwne, gdybym nie pamiętała.

– Dlaczego?

– Kiedy dwa lata temu otwieraliśmy ten lokal, nazywał się Fredo's Place. Kojarzy pani, od Freda z *Ojca chrzestnego*?

– Tak. Chociaż Fredo pamiętany jest głównie z *Ojca chrzestnego II*, a zwłaszcza ze sceny, w której jego brat Michael całuje go i mówi: „Wiem, że to byłeś ty, Fredo. Złamałeś mi serce".

– Tego to ja nie wiem, ale wiem, że w Dayton jest ze dwieście włoskich restauracji i konkurencja nas miażdżyła. Postanowiliśmy więc na próbę przerzucić się na dania brytyjskie, kuchnią to trudno nazwać… rybę z frytkami, dorsza z ziemniakami, nawet tosty z fasolą… i zmienić nazwę na Tommy and Tuppence, od bohaterów książek Agathy Christie. Pomyśleliśmy, że w takiej sytuacji i tak nie mamy nic do stracenia. I wie pani co? To wypaliło. Byłam w szoku, ale w dobrym tego słowa rozumieniu, proszę mi wierzyć. W porze lunchu mamy pełny lokal, w porze kolacji też, prawie codziennie. – Nachyliła się i Holly wyczuła od niej mocny, wyraźny zapach dżinu. – Zdradzić pani tajemnicę?

– Uwielbiam tajemnice – powiedziała Holly, zgodnie z prawdą.

– Wołowina z cynaderkami w cieście przychodzi zamrożona z firmy w Paramus. My tylko podgrzewamy ją w piekarniku. I wie pani co?

Krytyk restauracyjny z „Dayton Daily News” był nią zachwycony. Dał nam pięć gwiazdek! Słowo honoru! – Wychyliła się jeszcze bardziej i szepnęła: – Jeśli pani komuś o tym powie, będę musiała panią zabić.

Holly przesunęła kciukiem po swoich cienkich wargach i przekręciła niewidzialny klucz, gest, który Bill Hodges wiele razy przy niej robił.

– Czyli kiedy otworzyliście lokal pod nową nazwą i z nowym jadłospisem… a może trochę wcześniej…

– Johnny, to mój mężuś, chciał roznieść ogłoszenia po dzielnicy z tygodniowym wyprzedzeniem, ale powiedziałam mu, że to bez sensu, ludzie pozapominają, więc zrobiliśmy to dzień przed otwarciem. Wynajęliśmy do tego jakiegoś małolata i wydrukowaliśmy tyle ulotek, żeby wystarczyło na całe dziewięć przecznic.

– Włącznie z parkingiem przy tej ulicy.

– Tak. To ważne?

– Mogłaby pani zajrzeć do kalendarza i powiedzieć mi, którego to dokładnie było dnia?

– Nie muszę. Mam to wryte w pamięci. – Postukała się w czoło. – Dziewiętnastego kwietnia. W czwartek. Otwarcie… właściwie ponowne otwarcie… było w piątek.

Holly powściągnęła pragnienie, żeby poprawić błąd językowy popełniony przez Mary (powinno być „wyryte”, nie „wryte”), podziękowała jej i odwróciła się do wyjścia.

– Na pewno nie może mi pani powiedzieć, co ten facet zrobił?

– Bardzo mi przykro, ale straciłabym pracę.

– Cóż, proszę chociaż wpaść na kolację, jeśli zatrzymała się pani w mieście.

– Z chęcią – rzuciła Holly, ale nie zamierzała tego zrobić. Bóg raczy wiedzieć, co jeszcze w karcie dań przychodziło zamrożone z Paramus.

3

Następnym krokiem miała być wizyta w Ośrodku Leczenia Zaburzeń Pamięci imienia Heismana i rozmowa z ojcem Terry'ego Maitlanda, o ile będzie miał dobry dzień (zakładając, że w ogóle jeszcze takie miewał). Nawet gdyby on bujał w obłokach, może Holly uda się porozmawiać z pracownikami. Na razie była w swoim całkiem przyzwoitym pokoju hotelowym. Włączyła laptopa i wysłała Alecowi Pelleyowi maila z nagłówkiem *Raport Gibney #1*:

> Ulotki z Tommy & Tuppence zostały rozprowadzone na obszarze obejmującym dziewięć przecznic w czwartek 19 kwietnia. Na podstawie rozmowy ze współwłaścicielką lokalu, Mary Hollister, jestem przekonana, że data ta jest prawidłowa. Skoro tak, możemy być pewni, że tego samego dnia Merlin Cassidy porzucił vana na pobliskim parkingu. Zwracam uwagę, że rodzina Maitlandów przybyła do Dayton około południa w sobotę 21 kwietnia. Jestem prawie pewna, że wtedy vana już nie było. Jutro skontaktuję się z lokalną policją w nadziei na wyeliminowanie jeszcze jednej ewentualności, a następnie złożę wizytę w Ośrodku Leczenia Zaburzeń Pamięci imienia Heismana. W razie pytań proszę o kontakt mailowy albo telefon na moją komórkę.
>
> Holly Gibney
> Uczciwi Znalazcy

Później Holly zeszła na dół, do restauracji hotelowej, i zjadła lekki posiłek (nawet jej przez myśl nie przeszło, żeby zamówić jedzenie do pokoju, bo taki luksus zawsze niedorzecznie drogo kosztuje).

W wykazie dostępnych filmów znalazła jakiś z Melem Gibsonem, którego jeszcze nie oglądała, i zamówiła go – 9,99 dolara, które odliczy od kosztów wyjazdu, zanim przedstawi je Pelleyowi. Żadna rewelacja, ale Gibson zrobił, co mógł, z materiałem, który dostał. Zapisała tytuł, czas trwania i ocenę – trzy gwiazdki – w swoim aktualnym notatniku filmowym (podobnych zapełniła już ponad dwa tuziny). Potem upewniła się, że oba zamki w drzwiach pokoju są zamknięte, zmówiła modlitwę (na koniec której, jak zawsze, powiedziała Bogu, że tęskni za Billem) i poszła do łóżka. Spała osiem godzin i nic jej się nie śniło. Przynajmniej nic, co by zapamiętała.

4

Następnego ranka, po kawie, intensywnym czterokilometrowym spacerze, śniadaniu w pobliskiej kawiarni i gorącym prysznicu Holly zadzwoniła na policję w Dayton i poprosiła o połączenie z wydziałem drogowym. Ku jej zaskoczeniu nie musiała czekać długo; praktycznie od razu zgłosił się posterunkowy Linden i zapytał, czym może służyć. To ją urzekło. Każdy uprzejmy policjant poprawiał jej nastrój na cały dzień. Chociaż uczciwie musiała przyznać, że takich spotykało się głównie na Środkowym Zachodzie.

Przedstawiła się, powiedziała, że interesuje ją biały van econoline, który w kwietniu został porzucony na publicznym parkingu przy Northwoods Boulevard, i zapytała, czy policja regularnie zagląda na miejskie parkingi.

– Jasne – odparł posterunkowy Linden. – Ale nie po to, żeby egzekwować ograniczenie czasu postoju. Policjanci to nie stróże parkingowi.

– Rozumiem – powiedziała Holly. – Na pewno jednak wypatrują porzuconych wozów, prawda?

Linden się zaśmiał.

– Domyślam się, że pani firma zajmuje i odzyskuje sporo samochodów.

– To nasz chleb powszedni. Obok ścigania zwolnionych za kaucją, którzy nie stawiają się w sądzie.

– Wie pani zatem, jak to działa. Szczególnie interesują nas drogie samochody, które podejrzanie długo stoją na parkingach w mieście i tym długoterminowym przy lotnisku. Denali, escalade'y, jaguary

i beemki. Powiada pani, że van, który ją interesuje, miał nowojorskie blachy?

– Zgadza się.

– Taki van pierwszego dnia pewnie nie zwróciłby większej uwagi… nowojorczycy mimo wszystko przyjeżdżają do Dayton, wiem, trudno uwierzyć… ale gdyby nadal tam stał drugiego dnia? Tak, ktoś raczej by go zauważył.

Czyli zostawałby jeszcze cały jeden dzień do przyjazdu Maitlandów.

– Dziękuję panu.

– Mogę zajrzeć na parking policyjny, jeśli pani chce.

– Nie trzeba. Ten van potem pojawił się tysiąc sześćset kilometrów na południe stąd.

– Dlaczego to panią interesuje, jeśli wolno spytać?

– Pewnie, że wolno – powiedziała Holly. Było nie było, rozmawiała z policjantem. – Uprowadzono nim dziecko, które następnie zostało zamordowane.

5

Już na dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewna, że van zniknął długo przed przyjazdem Terry'ego Maitlanda z żoną i córkami do Dayton dwudziestego pierwszego kwietnia, Holly pojechała swoim priusem do Ośrodka Heismana. Był to długi, niski budynek z piaskowca, położony w centrum co najmniej półtora hektara dobrze utrzymanego terenu. Kępa drzew oddzielała go od szpitala Kindred, który pewnie był właścicielem ośrodka, zarządzał nim i czerpał z tego niezłe zyski; sądząc z jego poziomu, pobyt w Heismanie swoje kosztował. Albo Peter Maitland odłożył sporą sumkę na czarną godzinę, albo miał przyzwoite ubezpieczenie, albo jedno i drugie, pomyślała Holly z aprobatą. O tak wczesnej porze na parkingu dla odwiedzających było sporo wolnych miejsc, wybrała jednak to położone najdalej od budynku. Ustawiła w fitbicie cel dwunastu tysięcy kroków dziennie i każda okazja była dobra, żeby się do niego zbliżyć.

Przystanęła na chwilę, by przyjrzeć się trzem sanitariuszom prowadzącym trzech pensjonariuszy (jeden z tych ostatnich nawet sprawiał wrażenie, jakby z grubsza się orientował, gdzie jest), po czym weszła do środka. Hol główny miał wysoki sufit i wyglądał przyjemnie, ale przez zapachy wosku do podłóg i lakieru do mebli przebijał słaby odór moczu napływający z głębi budynku. I coś jeszcze, coś mocniejszego. Głupio i melodramatycznie byłoby nazwać to zapachem utraconej nadziei, a jednak takie właśnie skojarzenie jej się nasunęło. Pewnie dlatego, że przez tak dużą część młodości wszędzie widziałam dziury w całym, pomyślała.

Tabliczka w recepcji wieściła: „Wszyscy odwiedzający podlegają rejestracji”. Dyżurująca tam kobieta (pani Kelly, według drugiej, mniejszej tabliczki na blacie) powitała Holly ciepłym uśmiechem.

– Dzień dobry. Czym mogę służyć?

Do tej chwili wszystko przebiegało zwyczajnie, bez niespodzianek. Sytuacja przybrała zły obrót, dopiero gdy Holly zapytała, czy może odwiedzić Petera Maitlanda. Uśmiech wprawdzie pozostał na ustach pani Kelly, ale zniknął z jej oczu.

– Jest pani członkiem rodziny?

– Nie – powiedziała Holly. – Jestem przyjacielem rodziny.

To, wmówiła sobie, nie do końca kłamstwo. Bądź co bądź pracowała dla adwokata, który pracował dla pani Maitland, chyba więc można uznać ten układ za rodzaj przyjaźni, tym bardziej że dostała zlecenie, by oczyścić imię nieżyjącego męża wdowy.

– Obawiam się, że to nie wystarczy. – Uśmiech pani Kelly był już czysto zdawkowy; o ile w ogóle zasługiwał na miano uśmiechu. – Jeśli nie jest pani członkiem rodziny, niestety, muszę panią poprosić o opuszczenie zakładu. Pan Maitland i tak by pani nie poznał. Jego stan pogorszył się tego lata.

– Tego lata czy po wiosennej wizycie Terry’ego?

Uśmiech zniknął.

– Jest pani dziennikarką? Jeśli tak, ma pani prawny obowiązek to ujawnić. Zresztą proszę, aby niezwłocznie wyszła pani z budynku. W przeciwnym razie wezwę ochronę i każę panią wyprowadzić. Dość się naużeraliśmy z takimi jak pani.

Ciekawe. Może nie miało to nic wspólnego ze sprawą, którą przyjechała zbadać, a może tak. W końcu kobieta się nabzdyczyła, dopiero gdy Holly podała nazwisko Petera Maitlanda.

– Nie jestem dziennikarką.

– Wierzę na słowo, ale jeśli nie jest pani też krewną pensjonariusza, mimo wszystko muszę panią poprosić o opuszczenie budynku.

– Dobrze. – Holly przeszła dwa kroki w stronę wyjścia, kiedy wpadła na pewien pomysł. Odwróciła się. – A gdyby syn pana Maitlanda, Terry, zadzwonił do pani i poręczył za mnie? Czy to by pomogło?

– Myślę, że tak – odparła pani Kelly z niechętną miną. – Musiałby jednak odpowiedzieć na kilka pytań, żebym miała pewność, że to nie jakiś pani współpracownik podaje się za niego. Może uważa pani, że to trąci paranoją, ale mieliśmy przykre doświadczenia, niezmiernie przykre, i dlatego bardzo poważnie podchodzę do swoich obowiązków.

– Rozumiem.

– Może tak, może nie, w każdym razie rozmowa z Peterem i tak nie przyniosłaby pani żadnego pożytku. Policja już się o tym przekonała. Jest w późnym stadium alzheimera. Proszę spytać młodszego pana Maitlanda, on pani powie.

Młodszy pan Maitland już nic mi nie powie, pani Kelly, bo od tygodnia nie żyje. Ale pani tego nie wie, prawda?

– Kiedy policja ostatnio próbowała rozmawiać z Peterem Maitlandem? Pytam jako przyjaciel rodziny.

Pani Kelly po namyśle powiedziała:

– Nie ufam pani i nie odpowiem na żadne pani pytanie.

Bill w tej chwili stałby się przyjazny i poufały, może nawet skończyłoby się na tym, że on i pani Kelly wymieniliby się adresami mailowymi i obiecali sobie, że będą w kontakcie na Facebooku, ale Holly, choć znakomita w rozumowaniu dedukcyjnym, musiała jeszcze trochę popracować nad tym, co jej psychoanalityk nazywał podejściem do ludzi. Wyszła nieco przygnębiona, ale bynajmniej nie zniechęcona.

Robiło się coraz ciekawiej.

6

O jedenastej tego pogodnego, słonecznego wtorkowego poranka Holly siedziała na ocienionej ławce w Andrew Dean Park, sączyła kawę latte z pobliskiego Starbucksa i rozmyślała o dziwnej rozmowie z panią Kelly.

Kobieta nie wiedziała, że Terry Maitland nie żyje, pewnie nie wiedział tego nikt z personelu Heismana, co nie było dla Holly wielkim zaskoczeniem. Zabójstwa Franka Petersona i Terry'ego Maitlanda wydarzyły się w małej mieścinie położonej setki kilometrów stąd; jeśli wiadomość o nich w ogóle trafiła do ogólnokrajowych serwisów w tym samym tygodniu, kiedy sympatyk ISIL zastrzelił ośmiu ludzi w centrum handlowym w Tennessee i tornado zrównało z ziemią małe miasto w Indianie, to zapewne wylądowała gdzieś u dołu „Huffington Post" i szybko zniknęła. No a Marcy Maitland przecież nie skontaktowałaby się z teściem, żeby przekazać mu smutną nowinę – po co, skoro był w takim stanie?

„Jest pani dziennikarką? Dość się nażeraliśmy z takimi jak pani", stwierdziła pani Kelly.

No dobrze, przychodzili dziennikarze, przychodziła policja i pani Kelly, jako osoba na pierwszej linii ognia w Ośrodku Heismana, musiała sobie z nimi radzić, ale ich pytania nie mogły dotyczyć Terry'ego Maitlanda, inaczej wiedziałaby, że nie żyje. O co tu więc, kurka, chodzi?

Holly odstawiła kawę, wyjęła z torby iPada, włączyła go i upewniła się, że ma pięć kresek, co oszczędziło jej konieczności powrotu do Starbucksa. Zapłaciła małą kwotę za dostęp do archiwów lokalnej gazety (skrupulatnie dopisując to do wykazu wydatków służbowych)

i zaczęła poszukiwania od dziewiętnastego kwietnia, dnia, kiedy Merlin Cassidy porzucił vana. I kiedy tenże van prawie na pewno został ponownie ukradziony. Uważnie przejrzała lokalne wiadomości, jednak nie znalazła nic związanego z Ośrodkiem Leczenia Zaburzeń Pamięci. Przez następnych pięć dni też nic, choć było mnóstwo innych wydarzeń: wypadki samochodowe, dwa włamania, pożar w klubie nocnym, wybuch na stacji benzynowej, afera finansowa z udziałem urzędnika kuratorium, poszukiwania dwóch zaginionych sióstr (białych) z pobliskiego Trotwood, policjant oskarżony o postrzelenie nieuzbrojonego nastolatka (czarnego), swastyka nabazgrana na synagodze.

I wreszcie – dwudziestego piątego kwietnia – nagłówek na pierwszej stronie krzyczał, że w wąwozie nieopodal ich domu znaleziono zmasakrowane ciała Amber i Jolene Howard, zaginionych sióstr z Trotwood. Według anonimowego źródła w policji, „wobec dziewczynek dopuszczono się aktów niebywałego bestialstwa". I tak, obie były molestowane seksualnie.

Dwudziestego piątego kwietnia Terry Maitland był w Dayton. Oczywiście towarzyszyła mu rodzina, ale…

Dwudziestego szóstego kwietnia, w dniu, kiedy Terry Maitland ostatni raz odwiedził ojca, nie było żadnych nowych informacji ze śledztwa, podobnie dwudziestego siódmego, gdy rodzina Maitlandów poleciała do Flint City. Dopiero w sobotę dwudziestego ósmego policja ogłosiła, że przesłuchuje „osobę związaną ze sprawą". Dwa dni później osobę tę aresztowano. Był to niejaki Heath Holmes. Miał trzydzieści cztery lata, mieszkał w Dayton i pracował w Ośrodku Leczenia Zaburzeń Pamięci imienia Heismana.

Holly podniosła swoją latte, wypiła połowę wielkimi łykami i wbiła szeroko otwarte oczy w ciemną głębię parku. Sprawdziła fitbita. Jej tętno galopowało w rytmie stu dziesięciu uderzeń na minutę i nie tylko kofeina je napędzała.

Wróciła do archiwów „Daily News", przeleciała cały maj i początek czerwca, śledząc dalszy bieg tej historii. W odróżnieniu od Terry'ego Maitlanda Heath Holmes przetrwał postawienie w stan oskarżenia, ale podobnie jak Terry (Jeannie Anderson nazwałaby to zbieżnością) nigdy nie zostanie osądzony za morderstwo Amber i Jolene Howard.

Siódmego czerwca popełnił samobójstwo w areszcie okręgowym w Montgomery.

Jeszcze raz zerknęła na fitbita; tętno skoczyło jej do stu dwudziestu. Mimo to wypiła duszkiem resztę kawy. Igrała z ogniem.

Bill, chciałabym, żebyś prowadził tę sprawę ze mną. Tak bardzo tego pragnę. I żeby Jerome też tu był. We trójkę chwycilibyśmy cugle i ujeżdżali tego konika, aż odechciałoby się mu brykać.

Bill jednak nie żył, Jerome był w Irlandii, a ona nie mogła już bardziej się przybliżyć do wyjaśnienia tej sprawy. Przynajmniej nie w pojedynkę. Nie znaczyło to jednak, że w Dayton nie zostało nic do zrobienia. Nie, nie całkiem.

Wróciła do swojego pokoju hotelowego, zamówiła kanapkę (pal licho koszty) i otworzyła laptopa. Dopisała nowe ustalenia do notatek sporządzonych podczas rozmowy z Alekiem Pelleyem. Wbiła wzrok w ekran; kiedy przewijała tekst w górę i w dół, przypomniało się jej stare powiedzenie matki: „Macy's nic nie mówi Gimbels"[2]. Policja w Dayton nie wiedziała o zabójstwie Franka Petersona, policja we Flint City nie wiedziała o zabójstwie sióstr Howard. Bo i skąd mieli wiedzieć? Do morderstw doszło w różnych częściach kraju w odstępie kilku miesięcy. Nikt nie wiedział, że Terry Maitland był w obu miejscach, nikt nie znalazł powiązania z Ośrodkiem Leczenia Zaburzeń Pamięci imienia Heismana. Przez każde śledztwo przebiega autostrada informacyjna, a w tej były co najmniej dwie wyrwy.

– Ale ja wiem – powiedziała Holly. – Nie wszystko, ale dobre i to. Tylko że…

Podskoczyła, słysząc pukanie do drzwi. Otworzyła, podpisała się pod rachunkiem, dodała dziesięć procent napiwku (upewniwszy się, że nie był wliczony do ceny) i pospiesznie wyprosiła kelnera. Potem chodziła w tę i z powrotem po pokoju, zajadając kanapkę z bekonem i pomidorem, której smak ledwo czuła.

Czego jeszcze nie wiedziała, a co mogła ustalić? Niepokoiła, wręcz nękała ją myśl, że w układance, którą próbowała złożyć, brakowało części elementów. Nie dlatego, że Alec Pelley z premedytacją coś przed nią zataił, nie, wcale tak nie uważała, ale być może pewne informacje – kluczowe informacje – uznał za mało ważne.

Zawsze mogła zadzwonić do pani Maitland, tyle tylko, że kobieta na pewno by płakała, byłaby smutna, a Holly nie wiedziałaby, jak ją pocieszyć. Nigdy tego nie umiała. Nie tak dawno temu pomogła siostrze Jerome'a Robinsona przetrwać trudny okres, ale poza tym z reguły marnie sobie radziła w takich sytuacjach. Poza tym biedaczka pewnie miała umysł przyćmiony rozpaczą, więc mogła przeoczyć istotne fakty, te drobiazgi, które pozwalają połączyć rozrzucone fragmenty w całość, niczym kilka kawałków układanki, które zawsze spadają ze stołu na podłogę i nie możesz dostrzec pełnego obrazu, dopóki ich nie znajdziesz.

Jeśli ktoś mógł znać wszystkie szczegóły, te duże i te małe, to był to detektyw, który przesłuchał większość świadków i aresztował Maitlanda. Pod wpływem swoich doświadczeń z Billem Hodgesem Holly ufała detektywom policyjnym. Oczywiście nie wszyscy byli dobrzy; nie darzyła szczególnym szacunkiem Isabelle Jaynes, która została partnerką Pete'a Huntleya po tym, jak Bill przeszedł na emeryturę, a ten z Flint City, Ralph Anderson, popełnił duży błąd, zatrzymując Maitlanda w miejscu publicznym. Jedna zła decyzja nie czyniła go jednak złym detektywem, tym bardziej że Pelley przedstawił jej istotną okoliczność łagodzącą: Terry Maitland utrzymywał bliskie kontakty z synem Andersona. Przesłuchania prowadzone przez Andersona wydawały się całkiem wnikliwe, to na pewno. Sądziła, że kto jak kto, ale on mógł mieć wszystkie brakujące elementy układanki.

Warto o tym pomyśleć. Na razie jednak pora złożyć kolejną wizytę w Ośrodku Leczenia Zaburzeń Pamięci imienia Heismana.

2 Konkurencyjne sieci domów towarowych; Macy’s istnieje do dziś, Gimbels zakończyła działalność w 1987 roku.

7

Przyjechała o wpół do trzeciej, tym razem kierując się na plac po lewej stronie budynku, gdzie tabliczki zastrzegały: „Parking dla personelu” i „Nie zastawiać wjazdu dla karetek”. Wybrała miejsce na samym końcu i wjechała tyłem, żeby mogła obserwować budynek. Za piętnaście trzecia zaczęły się zjeżdżać samochody; przybywała druga zmiana. Około trzeciej wyszli pracownicy pierwszej zmiany – głównie sanitariusze, kilka pielęgniarek, paru facetów w garniturach, zapewne lekarze. Jeden z tych w garniturach odjechał cadillakiem, drugi porsche. Czyli rzeczywiście byli lekarzami. Uważnie przyjrzała się pozostałym i upatrzyła sobie cel. Pielęgniarka w średnim wieku, ubrana w fartuch w tańczące misie. Jej samochodem okazała się stara honda civic, ze śladami rdzy po bokach, pękniętym tylnym reflektorem sklejonym taśmą i wyblakłą naklejką „Jestem z Hillary” na zderzaku. Zanim wsiadła, przystanęła i zapaliła papierosa. Stary samochód, drogie papierosy. Coraz lepiej.

Holly wyjechała za nią z parkingu i jej śladem skierowała się na zachód. Pokonały pięć kilometrów, aż miasto przeszło najpierw w ładne, a potem w mniej ładne przedmieście. Tam kobieta skręciła na podjazd domu szeregowego przy ulicy, gdzie identyczne domy szeregowe stały praktycznie ściana w ścianę, a na małych spłachetkach trawnika przed wieloma z nich walały się rozrzucone plastikowe zabawki. Holly zaparkowała przy krawężniku, zmówiła krótką modlitwę o siłę, cierpliwość i mądrość, po czym wysiadła.

– Proszę pani? Siostro? Przepraszam!

Kobieta się odwróciła. Miała pomarszczoną twarz nałogowej palaczki i przedwcześnie posiwiałe włosy, więc trudno było odgadnąć

jej wiek. Czterdzieści pięć, może pięćdziesiąt lat. Obrączki brak.

– Mogę w czymś pomóc?

– Tak, i chętnie za tę pomoc zapłacę – powiedziała Holly. – Sto dolarów gotówką, jeśli porozmawia pani ze mną o Heacie Holmesie i jego powiązaniach z Peterem Maitlandem.

– Śledziła mnie pani w drodze z pracy?

– Tak.

Kobieta ściągnęła brwi.

– Jest pani dziennikarką? Pani Kelly mówiła, że jakaś węszyła w ośrodku. Zapowiedziała też, że wyleje każdego, kto będzie z nią rozmawiał.

– To mnie miała na myśli, ale nie jestem dziennikarką. Jestem detektywem i pani Kelly nigdy się nie dowie, że pani ze mną rozmawiała.

– Można zobaczyć jakiś dokument?

Holly podała jej prawo jazdy i wizytówkę Uczciwych Znalazców. Kobieta dokładnie je obejrzała i oddała jej.

– Nazywam się Candy Wilson.

– Miło mi panią poznać.

– Mhm, cieszę się, ale jeśli mam się dla pani narażać na utratę pracy, będzie to kosztowało dwie stówy… – Zawiesiła głos, po czym dodała: – Dwie i pół.

– Zgoda. – Holly przypuszczała, że mogłaby zbić cenę do dwustu dolarów, może nawet stu pięćdziesięciu, ale tego rodzaju pertraktacje (targi, jak nazywała to jej matka) nigdy nie były jej mocną stroną. Poza tym ta kobieta wyglądała na kogoś, kto naprawdę potrzebuje tych pieniędzy.

– Pani wejdzie – powiedziała Wilson. – Sąsiedzi mają długie uszy.

8

W domu śmierdziało papierosami, przez co Holly po raz pierwszy od niepamiętnych czasów nabrała ochoty na puszczenie dymka. Wilson klapnęła na głęboki fotel, sklejony taśmą jak tylny reflektor jej samochodu. Obok niego znajdowała się stojąca popielniczka – Holly nie widziała takiej od śmierci dziadka (umarł na rozedmę płuc). Wilson wyjęła paczkę papierosów z kieszeni nylonowych spodni i pstryknęła zapalniczką Bic. Nie poczęstowała Holly, co nie zaskakiwało, jeśli wziąć pod uwagę ceny fajek w ostatnich czasach, ale Holly była jej za to wdzięczna. Mogłaby się skusić.

– Najpierw pieniądze – zażądała Candy Wilson.

Holly, która przed drugą wizytą w ośrodku przezornie skorzystała z bankomatu, wyjęła z torebki portfel i odliczyła umówioną kwotę. Wilson też przeliczyła banknoty, po czym schowała je do kieszeni razem z papierosami.

– Mam nadzieję, że rzeczywiście będziesz trzymała język za zębami, Holly. Bóg mi świadkiem, potrzebuję tych pieniędzy, ten bydlak, mój mąż, wyczyścił nasze konto, kiedy odszedł. Ale z panią Kelly nie ma żartów. Jest jak smok z *Gry o tron*.

Holly kolejny raz podczas tej misji przesunęła paznokciem kciuka po wargach i przekręciła niewidzialny klucz. Rozejrzała się po salonie, który był mały, ciemny i umeblowany w stylu Wczesnoamerykańskiego Rupieciarstwa. Candy Wilson uśmiechnęła się i jakby odprężyła.

– Obskurnie jak cholera, co? Mieliśmy ładny dom w zachodniej części miasta. Żaden pałac, ale na pewno lepszy od tej nory. Ten bydlak, mój mąż, sprzedał go bez mojej wiedzy, zanim odszedł

w siną dal. Wiesz, jak to się mówi, nie ma większego ślepca od tego, co nie chce widzieć. Prawie żałuję, że nie mamy dzieci, bo przynajmniej teraz mogłabym je przeciwko niemu nastawić.

Bill wiedziałby, jak na to odpowiedzieć, Holly jednak nie miała pojęcia, wyjęła więc swój notes i przeszła do rzeczy:

– Heath Holmes był sanitariuszem w Heismanie.

– Tak, to prawda. Nazywaliśmy go Heath Przystojniak. Trochę dla żartu, trochę nie. Może nie był Chrisem Pine'em czy Tomem Hiddlestonem, ale w sumie cieszył oko. No i był sympatyczny. Wszyscy tak uważali. To tylko dowodzi, że nigdy nie wiadomo, co w człowieku siedzi. Przekonałam się o tym na przykładzie mojego wrednego męża, ale on przynajmniej nie zgwałcił i nie zakatował żadnych dziewczynek. Widziałaś ich zdjęcia w gazecie?

Holly skinęła głową. Dwie śliczne blondynki z identycznymi ładnymi uśmiechami. Jedna miała dwanaście, druga dziesięć lat, dokładnie tyle, co córki Terry'ego Maitlanda. Kolejny szczegół, który można by uznać za powiązanie. Równie dobrze mógł to być czysty przypadek, ale wewnętrzny podszept mówiący Holly, że obie sprawy jednak się ze sobą łączą, przybierał na mocy; jeszcze kilka odpowiednich faktów i przejdzie w krzyk.

– Kto robi takie rzeczy? – spytała retorycznie Wilson. – Potwór, ot kto.

– Jak długo pani z nim pracowała, pani Wilson?

– Mów mi Candy, co? Ktoś, kto opłaca mi rachunki za cały miesiąc, ma prawo być ze mną na „ty". Pracowałam z nim siedem lat i nigdy niczego nie podejrzewałam.

– W gazecie pisali, że był na urlopie, kiedy dziewczynki zginęły.

– Tak, pojechał do Regis, czterdzieści kilka kilometrów na północ stąd. Do matki. Która powiedziała glinom, że przez cały czas siedział u niej. – Wilson przewróciła oczami.

– Pisali też, że był karany.

– No tak, ale za nic strasznego, przejechał się kradzionym samochodem, kiedy miał siedemnaście lat. – Kobieta wbiła wzrok w swojego papierosa, marszcząc brwi. – Wiesz, prasa w ogóle nie powinna była tego wiedzieć, był wtedy młodociany, akta sprawy powinny być niedostępne. Inaczej pewnie nie dostałby roboty

w Heismanie, nawet pomimo kwalifikacji, które zdobył w wojsku, i pięciu lat pracy w szpitalu imienia Waltera Reeda. Może tak, ale raczej nie.

– Mówisz tak, jakbyś go dość dobrze znała.

– Nie bronię go, nie myśl sobie. Jasne, zdarzało mi się pójść z nim na drinka, ale to nie były randki ani nic takiego. Czasem po pracy chodziliśmy całą ekipą do Shamrock… wtedy jeszcze miałam trochę pieniędzy i mogłam postawić wszystkim kolejkę. Te dni minęły, kochana. W każdym razie nazywaliśmy siebie Zapominalską Piątką, to od…

– Chyba rozumiem – powiedziała Holly.

– No właśnie. Znaliśmy wszystkie dowcipy o chorych na alzheimera. Większość jest raczej złośliwa, a nasi pacjenci na ogół są całkiem mili, ale opowiadaliśmy je, żeby… sama nie wiem…

– Rozładować stres wisielczym humorem? – podsunęła Holly.

– Z ust mi to wyjęłaś. Chcesz piwo, Holly?

– Tak. Dziękuję. – Nie przepadała za piwem i wiedziała, że raczej niezdrowo jest mieszać je z lexapro, ale pragnęła podtrzymać rozmowę.

Wilson przyniosła dwa bud lighty. Tak jak wcześniej nie podzieliła się papierosami, tak teraz nie zaproponowała Holly szklanki.

– Uhm, wiedziałam, że ma na koncie kradzież samochodu – podjęła, siadając w sklejonym taśmą fotelu, który zaprotestował znużonym szczeknięciem. – Wszyscy wiedzieliśmy. Wiesz, jak to jest, człowiekowi po paru głębszych rozwiązuje się język. Ale to było nic w porównaniu z tym, co zrobił w kwietniu. Do dziś nie mogę w to uwierzyć. I pomyśleć, że na zeszłorocznej imprezie gwiazdkowej pocałowałam go pod jemiołą. – Wzdrygnęła się, a może tylko udawała.

– Czyli w tygodniu rozpoczynającym się dwudziestego trzeciego kwietnia był na urlopie…

– Skoro tak twierdzisz. Ja wiem tylko, że to było wiosną, bo jak zwykle męczyły mnie alergie. – To mówiąc, zapaliła kolejnego papierosa. – Powiedział, że jedzie do Regis, że zamówili z mamą nabożeństwo za duszę ojca, który umarł rok wcześniej. „Mszę ku jego pamięci”, tak to nazwał. I może rzeczywiście tam pojechał, ale

wrócił, żeby zabić te dziewczynki z Trotwood. Nie ma co do tego wątpliwości, bo ludzie go widzieli, no i nagrał się na monitoringu stacji benzynowej, kiedy tankował paliwo.

– Do jakiego samochodu? – spytała Holly. – Może do vana? – To było pytanie naprowadzające; Bill nie byłby zadowolony, ale nie mogła się powstrzymać.

– Nie wiem. Prasa chyba o tym nie pisała. Pewnie do jego pikapa. Miał podrasowanego tahoe. Opony na specjalne zamówienie, dużo chromu. I naczepa mieszkalna. Może w niej trzymał te dziewczynki. Może podał im jakieś prochy i czekał, aż będzie gotowy je… no wiesz… wykorzystać.

– Uuch – wyrwało się Holly.

Candy Wilson skinęła głową.

– No właśnie. Człowiek aż nie chce sobie tego wyobrażać, ale nie może się powstrzymać. Przynajmniej ja nie mogę. Znaleźli też ślady jego DNA, jak pewnie wiesz, bo pisali o tym w gazecie.

– Tak.

– Ja też widziałam go w tamtym tygodniu, bo któregoś dnia przyszedł do pracy. „Nie możesz bez tego wytrzymać, co?", zapytałam go. Nic nie powiedział, tylko uśmiechnął się nieprzyjemnie i poszedł dalej, w głąb skrzydła B. Nigdy wcześniej nie widziałam takiego uśmiechu na jego twarzy. Założę się, że jeszcze miał ich krew pod paznokciami. Może nawet na kutasie i jajcach. Jezu, ciarki przechodzą na samą myśl.

Holly też przeszły ciarki, ale nie przyznała się do tego, tylko upiła łyk piwa i zapytała, którego to było dnia.

– Tak na gorąco to nie pamiętam, ale już po zniknięciu tych dziewczynek. Ale wiesz co? Zaraz ci powiem dokładnie, bo tego samego dnia po pracy miałam umówioną wizytę u fryzjerki. Farbowanie włosów. Od tego czasu ani razu nie byłam w salonie piękności, co pewnie widać. Momencik.

Candy podeszła do małego biurka w kącie, wyjęła terminarz i przewertowała go wstecz.

– Jest. Debbie's Hairport. Dwudziestego szóstego kwietnia.

Holly zapisała datę i na końcu dodała wykrzyknik. Tego samego dnia Terry po raz ostatni odwiedził swojego ojca. Nazajutrz poleciał

z rodziną do domu.

– Czy Peter Maitland znał pana Holmesa?

Wilson się zaśmiała.

– Peter Maitland tak naprawdę nie zna nikogo, kochana. W zeszłym roku bywały dni, że wszystko kojarzył, i nawet jeszcze na początku tego potrafił samodzielnie pójść do stołówki i poprosić o czekoladę; większość z nich najdłużej pamięta to, co najbardziej lubią. Teraz tylko siedzi i patrzy przed siebie. Jeśli mnie to cholerstwo kiedyś dopadnie, wezmę garść pigułek i skończę ze sobą, dopóki zostanie mi dość zdrowych szarych komórek, żeby pamiętać, do czego te pigułki służą. Ale jeśli pytasz o to, czy Heath znał Maitlanda, odpowiedź brzmi: oczywiście. Niektórzy sanitariusze wymieniają się pacjentami między sobą, ale Heath właściwie trzymał się nieparzystych pokojów w skrzydle B. Tłumaczył, że ci ludzie w jakiś sposób go rozpoznają, nawet jeśli nie mieli już sprawnych mózgów. A Maitland jest w pokoju B-5.

– Czy odwiedził Maitlanda tego dnia, kiedy go widziałaś?

– Na pewno. Wiem coś, o czym nie napisali w gazecie, ale na bank byłby wokół tego wielki szum na procesie Heatha, gdyby do niego doszło.

– Co, Candy? Co takiego?

– Kiedy gliny się dowiedziały, że po zabójstwach był w ośrodku, przeszukały wszystkie pokoje w skrzydle B, zwracając szczególną uwagę na pokój Maitlanda, bo Cam Melinsky zeznał, że widział, jak Heath stamtąd wychodził. Cam to woźny. Zapamiętał to, dlatego że wtedy mył podłogę na korytarzu, a Heath się pośliznął i wyłożył na tyłek.

– Jesteś tego pewna, Candy?

– Tak. A teraz sprawa najważniejsza: moja najlepsza przyjaciółka wśród pielęgniarek, Penny Prudhomme, słyszała, jak po przeszukaniu B-5 jeden z gliniarzy rozmawiał przez telefon. Powiedział, że w pokoju znaleźli włosy i że były to włosy blond. I co o tym sądzisz?

– Że na pewno pobrali z nich DNA, żeby sprawdzić, czy należały do jednej z zamordowanych dziewczynek.

– A żebyś, kurde, wiedziała! Jak w *CSI*.

– Wyniki tych badań nie zostały ujawnione. Mam rację?

– Tak. Ale wiesz, co gliny znalazły w piwnicy pani Holmes, prawda?

Holly skinęła głową. Akurat ten szczegół został ujawniony; czytanie o tym musiało być dla rodziców dziewczynek jak strzała prosto w serce. Ktoś się wygadał, gazeta to opublikowała. W telewizji też pewnie o tym mówili.

– Wielu zabójców seksualnych zabiera trofea – stwierdziła Candy autorytatywnie. – Widziałam w *Aktach zbrodni* i w *Dateline*. U tych świrów to powszechne.

– Chociaż sama nigdy nie uważałaś Heatha Holmesa za świra.

– Ukrywają to. – Głos Candy Wilson zabrzmiał złowieszczo.

– Tej zbrodni jednak nie starał się ukryć, co? Ludzie go widzieli, jest nawet nagranie z monitoringu.

– I co z tego? Odbiło mu, a wariaci mają wszystko w dupie.

Jestem pewna, że detektyw Anderson i prokurator okręgu Flint dokładnie to samo mówili o Terrym Maitlandzie, pomyślała Holly. Mimo że niektórzy seryjni mordercy – zabójcy seksualni, jak nazwała ich Candy Wilson – bezkarnie grasują przez długie lata. Na przykład Ted Bundy. I John Wayne Gacy.

Holly wstała.

– Pięknie dziękuję, że poświęciłaś mi czas.

– Jeśli naprawdę chcesz mi podziękować, dopilnuj, żeby pani Kelly się nie dowiedziała, że z tobą rozmawiałam.

– Oczywiście – powiedziała Holly.

Była już przy drzwiach, gdy Candy zawołała za nią:

– Słyszałaś o jego mamie, prawda? Co zrobiła po tym, jak Heath skończył ze sobą w areszcie?

Holly zatrzymała się z kluczykami w dłoni.

– Nie.

– To było miesiąc później. Widać jeszcze się do tego nie dokopałaś w swoim śledztwie. Powiesiła się. Tak jak on, tylko że w swojej piwnicy.

– O ja cię! Zostawiła list pożegnalny?

– Tego nie wiem. Ale w tej samej piwnicy policja znalazła te zakrwawione majtki. Takie z Puchatkiem, Tygryskiem i Maleństwem. Jeśli twój jedyny syn robi coś takiego, po co zostawiać list?

9

Kiedy Holly nie była pewna, co robić, prawie zawsze szła do International House of Pancakes lub Denny's. Obie sieci przez cały dzień serwowały śniadanie, posiłki na poprawę nastroju, które można jeść pomału, nie tracąc czasu na rzeczy typu karty win ani na natrętnych kelnerów. IHOP znalazła blisko hotelu.

Usadowiwszy się przy dwuosobowym stoliku w kącie, zamówiła naleśniki (małą porcję), jajecznicę z jednego jajka i smażone tarte ziemniaki (w IHOP zawsze były przepyszne). Czekając na jedzenie, odpaliła laptopa i poszukała numeru telefonu Ralpha Andersona. Nie znalazła go, co nie było wielką niespodzianką; policjanci z reguły zastrzegają swoje numery. Mimo wszystko prawie na pewno mogła go zdobyć – Bill nauczył ją różnych sztuczek. Naprawdę chciała porozmawiać z tym człowiekiem, bo była pewna, że każde z nich ma kawałki układanki, których brakuje drugiemu.

– On jest Macy's, ja Gimbels – mruknęła pod nosem.

– Słucham, kochana? – To kelnerka, która przyniosła jej wieczorny posiłek.

– Powiedziałam, że jestem strasznie głodna.

– Mam nadzieję, bo to cała góra jedzenia. – Postawiła talerze na stoliku. – Wybaczy pani szczerość, dobrze by było, żeby pani trochę się podtuczyła. Jest pani za chuda.

– Kiedyś miałam przyjaciela, który na okrągło mi to powtarzał – powiedziała Holly i nagle zachciało jej się płakać. To przez to sformułowanie: „Kiedyś miałam przyjaciela". Minęło ładnych parę lat, a czas pewnie rzeczywiście leczy wszystkie rany, ale – o Boże –

niektóre goją się tak powoli. A „mam” od „miałam” dzieli wielka przepaść.

Jadła powoli, polewając naleśniki dużą ilością syropu. Nie był prawdziwy, klonowy, ale jej smakował, a poza tym zawsze miło zjeść posiłek gdzieś, gdzie można sobie spokojnie posiedzieć, nie trzeba się spieszyć.

Kiedy skończyła, niechętnie podjęła decyzję. Gdyby zadzwoniła do detektywa Andersona, nie uprzedzając o tym Pelleya, prawie na pewno straciłaby zlecenie, a chciała – jak ująłby to Bill – dojść po nitce do kłębka. Co ważniejsze: to byłoby nieetyczne.

Kelnerka wróciła, żeby zaproponować dolewkę kawy, i Holly się zgodziła. W Starbucksie nie dawali darmowych dolewek. A kawa w IHOP, choć nie wykwintna, była całkiem dobra. Jak syrop. I jak ja, pomyślała Holly. Jej terapeuta podkreślał, że każdego dnia powinna znaleźć chwilę na to, żeby docenić samą siebie. Może nie jestem Sherlockiem Holmesem – ani nawet żadnym ze składu Tommy i Tuppence – ale jestem całkiem dobra i wiem, co muszę zrobić. Alec Pelley może będzie się ze mną spierał, a ja nie cierpię kłótni, ale postawię mu się, jeśli będzie trzeba. Obudzę w sobie Billa Hodgesa.

Z tą myślą wybrała numer.

– Terry Maitland nie zabił małego Petersona – powiedziała, gdy tylko Pelley odebrał.

– Co takiego? Czy ja dobrze sły…

– Tak. Tutaj, w Dayton, dowiedziałam się pewnych bardzo ciekawych rzeczy, panie Pelley. Ale zanim złożę raport, muszę porozmawiać z detektywem Andersonem. Ma pan jakieś obiekcje?

A jednak obyło się bez kłótni, której się obawiała.

– Musiałbym porozmawiać o tym z Howiem Goldem, a on musiałby spytać Marcy, czy nie będzie miała nic przeciwko. Sądzę jednak, że oboje się zgodzą.

Holly odprężyła się i wzięła łyk kawy.

– To dobrze. Proszę to z nimi uzgodnić najszybciej, jak to możliwe, i dać mi jego numer. Chciałabym z nim porozmawiać jeszcze dzisiaj.

– Ale dlaczego? Co ustaliłaś?

– Zadam panu pewne pytanie. Czy w dniu, kiedy Terry Maitland po raz ostatni odwiedził ojca w Ośrodku Leczenia Zaburzeń Pamięci

imienia Heismana, wydarzyło się coś niezwykłego?

– Niezwykłego w jakim sensie?

Tym razem Holly nie próbowała naprowadzić świadka na właściwą odpowiedź.

– W dowolnym. Nie musiał pan o tym słyszeć, ale może jednak. Może na przykład Terry po powrocie do hotelu powiedział coś żonie. To jak, zdarzyło się coś takiego?

– Nie… chyba że masz na myśli to, że Terry, wychodząc, wpadł na sanitariusza. Sanitariusz się przewrócił, bo podłoga była mokra. Czysty przypadek. Żadnemu z nich nic się nie stało.

Ścisnęła telefon tak mocno, że trzasnęły jej knykcie.

– Nic pan wcześniej o tym nie mówił.

– Bo nie sądziłem, że to ważne.

– Właśnie dlatego muszę porozmawiać z detektywem Andersonem. Są pewne brakujące elementy. Pan właśnie odsłonił mi jeden z nich. On może mieć kolejne. Może też zdobyć informacje dla mnie nieosiągalne.

– Twierdzisz, że przypadkowe zderzenie Maitlanda z jakimś człowiekiem ma znaczenie dla sprawy? Jeśli tak, jakie?

– Najpierw muszę porozmawiać z detektywem Andersonem. Proszę.

Nastąpiła długa pauza.

– Zobaczę, co da się zrobić – powiedział wreszcie Pelley.

Holly schowała telefon do kieszeni. W tej samej chwili kelnerka położyła rachunek na stoliku.

– Brzmiało ostro.

Holly obdarzyła ją uśmiechem.

– Dziękuję za bardzo dobrą obsługę.

Kelnerka odeszła. Rachunek opiewał na osiemnaście dolarów i dwadzieścia centów. Holly zostawiła pod talerzem pięć dolarów napiwku. Znacznie więcej, niż zalecano, ale była podekscytowana.

10

Ledwie wróciła do pokoju, gdy zadzwoniła jej komórka. „Numer nieznany”, wyświetliło się na ekranie.

– Tutaj Holly Gibney, z kim rozmawiam?

– Mówi Ralph Anderson. Alec Pelley dał mi pani numer, pani Gibney, i powiedział, co pani robi. Pierwsze pytanie: czy pani w ogóle wie, co robi?

– Tak. – Holly miała wiele zmartwień i nawet po latach terapii wciąż w siebie wątpiła, ale tego jednego była pewna.

– Mhm, mhm, może tak, może nie. Nie mam jak się o tym przekonać, prawda?

– Fakt – potwierdziła Holly. – Przynajmniej nie w tej chwili.

– Alec powiedział, że według pani Terry Maitland nie zabił Franka Petersona. Ponoć jest pani tego absolutnie pewna. Ciekawi mnie, jak pani może wydać taki werdykt, będąc w Dayton, skoro do morderstwa doszło tutaj, we Flint City.

– Bo podobna zbrodnia wydarzyła się tu, w Dayton, podczas wizyty Maitlanda. Zginął jednak nie chłopiec, tylko dwie małe dziewczynki. Ten sam sposób działania sprawcy: gwałt połączony z zadaniem ciężkich obrażeń. Mężczyzna, którego aresztowała policja, twierdził, że był w tym czasie u swojej matki, w mieście oddalonym o czterdzieści pięć kilometrów, ona to potwierdziła, ale widziano go też w Trotwood, dzielnicy, z której uprowadzono ofiary. Zarejestrował go monitoring. Brzmi znajomo?

– Znajomo, ale nie zaskakująco. Większość zabójców po aresztowaniu przedstawia takie czy inne alibi. Może nie miała pani okazji się o tym przekonać, ścigając zbiegów, pani Gibney… Alec

powiedział mi, że głównie tym zajmuje się pani firma… ale na pewno wie to pani z telewizji.

– Ten człowiek był sanitariuszem w Ośrodku Leczenia Zaburzeń Pamięci imienia Heismana i choć miał wtedy urlop, pokazał się w pracy co najmniej raz w tym samym tygodniu, kiedy pan Maitland odwiedzał ojca. Podczas ostatniej wizyty pana Maitlanda, dwudziestego szóstego kwietnia, ci dwaj domniemani zabójcy wpadli na siebie. Dosłownie.

– Jaja sobie pani ze mnie robi? – Anderson prawie krzyknął.

– Nie. To jest, jak powiedziałby mój dawny wspólnik, sytuacja autentycznie niesprzyjająca robieniu sobie jaj. Pobudziłam pańską ciekawość?

– Czy Pelley powiedział pani, że ten sanitariusz, upadając, zadrapał Maitlanda? Wyciągnął rękę, żeby się go przytrzymać, i drasnął paznokciem jego nadgarstek?

Holly milczała. Myślała o filmie, który spakowała do torby podróżnej. Nie zwykła popadać w samozadowolenie – wprost przeciwnie – teraz jednak to, że wzięła go ze sobą, wydawało się aktem intuicyjnego geniuszu. Chociaż czy choćby przez chwilę wątpiła, że sprawa Maitlanda ma w sobie coś mocno niezwykłego? Nie. Głównie z uwagi na jej przejścia z potworem, jakim był Brady Wilson Hartsfield. Coś takiego znacznie poszerza człowiekowi perspektywę.

– I to nie było jedyne skaleczenie. – Wydawało się, że Anderson mówi do siebie. – Był drugi podobny przypadek. Tutaj. Po zabójstwie Franka Petersona.

Kolejny brakujący element.

– Proszę mi o tym opowiedzieć, detektywie. Proszę, proszę, proszę!

– Myślę, że… nie przez telefon. Czy może pani tu przylecieć? Powinniśmy usiąść przy jednym stole i porozmawiać. Pani, ja, Alec Pelley, Howie Gold i detektyw policji stanowej, który też zajmuje się tą sprawą. I może Marcy. Tak, ona też.

– Dobry pomysł, ale będę musiała to omówić z moim klientem, panem Pelleyem.

– Niech pani zamiast tego porozmawia z Howiem Goldem. Dam pani jego numer.

– Ale przyjęta zasada jest taka…

– Howie zatrudnia Aleca, więc nie ma co się przejmować przyjętymi zasadami.

Holly przemyślała jego słowa.

– Mógłby pan się skontaktować z policją Dayton i prokuratorem okręgu Montgomery? Ja nie mogę zdobyć wszystkich potrzebnych mi informacji o zabójstwie sióstr Howard i Heacie Holmesie… tak się nazywał ten sanitariusz… ale panu pewnie by się udało.

– Czy proces tego faceta już się zaczął? Jeśli nie, raczej nie będą chcieli ujawnić zbyt wielu szcze…

– Pan Holmes nie żyje. – Zawiesiła głos. – Tak jak Terry Maitland.

– Jezu… – mruknął Anderson. – Wydawałoby się, że ta sprawa już nie może być dziwniejsza.

– Może być i będzie. – Holly nie miała co do tego wątpliwości.

– Może być i będzie – powtórzył. – Larwy w kantalupie.

– Słucham?

– Nie, nic. Proszę zadzwonić do pana Golda, dobrze?

– Nadal sądzę, że lepiej będzie, jeśli najpierw zadzwonię do pana Pelleya. Na wszelki wypadek.

– Jak pani uważa. I… pani Gibney… chyba rzeczywiście zna się pani na rzeczy.

Uśmiechnęła się.

11

Gdy Holly dostała zielone światło od Aleca Pelleya, natychmiast zadzwoniła do Howiego Golda, nerwowo wydeptując ścieżkę w tanim dywanie hotelowym i obsesyjnie sprawdzając swoje tętno na fitbicie. Tak, pan Gold uważał, że to dobry pomysł, by przyleciała, i nie, nie musi lecieć klasą turystyczną.

– Proszę kupić bilet w klasie biznesowej – powiedział. – Więcej miejsca na nogi.

– Dobrze. – W głowie jej się zakręciło. – Tak zrobię.

– Naprawdę sądzi pani, że Terry nie zabił małego Petersona?

– A Heath Holmes nie zabił tych dwóch dziewczynek. Myślę, że zrobił to ktoś inny. Outsider.

WIZYTY

25 lipca

1

Detektyw Jack Hoskins z policji Flint City obudził się o drugiej w nocy z wtorku na środę. Czuł się fatalnie z trzech powodów: miał kaca, spalił się na słońcu i chciało mu się srać. Kara boska za to, że jadłem w Los Tres Molinos, pomyślał. Ale czy rzeczywiście tam jadł? Raczej tak – enchilady nadziewane wieprzowiną i tym pikantnym serem – ale pewności nie miał. Może to było w Haciendzie? Ostatni wieczór pamiętał jak przez mgłę.

Trzeba przyhamować z wódką. Urlop się skończył.

Tak, i to przedwcześnie. Bo w ich gównianej małej jednostce został już tylko jeden czynny detektyw. Życie czasem jest do kitu. E tam czasem. Często.

Wstał z łóżka, krzywiąc się na mocne łupnięcie w głowie, kiedy jego stopy stanęły na podłodze, i pocierając spalony kark. Zrzucił szorty, porwał gazetę z nocnego stolika i poczłapał do łazienki załatwić to, co wymagało załatwienia. Usadowiony na sedesie w oczekiwaniu na chluśnięcie półpłynnej masy, która zawsze wylewała się z niego jakieś sześć godzin po zjedzeniu meksykańskiego żarcia (kiedy zmądrzeje?), otworzył „Call" i poszukał komiksów, jedynej części lokalnej gazety, która nadawała się do czytania.

Właśnie wbijał zmrużone oczy w małe dymki dialogowe w *Get Fuzzy*, kiedy usłyszał szelest zasłony prysznicowej. Podniósł wzrok i zobaczył cień za nadrukowanymi stokrotkami. Serce zabiło mu mocniej i podskoczyło do gardła. Ktoś stał w jego wannie. Intruz, i to nie byle naćpany złodziej, który przecisnął się przez okno łazienki i schował w jedynym dostępnym miejscu, kiedy włączyło się światło.

Nie. To był ten sam ktoś, kto stał za jego plecami w tej cholernej porzuconej stodole w powiecie Canning. Był tego pewny jak własnego nazwiska. Tamto spotkanie (jeśli zdarzyło się naprawdę) nie dawało o sobie zapomnieć, miał wręcz wrażenie, że w głębi ducha spodziewał się tego… powrotu.

Wiesz, że to bzdura. Wydawało ci się, że widziałeś kogoś w stodole, ale kiedy poświeciłeś latarką, okazało się, że to tylko zepsuty element uprzęży. Teraz myślisz, że ktoś jest w wannie, ale to, co bierzesz za jego głowę, to tylko końcówka prysznica, a to, co wygląda jak jego ramię, to tylko twoja szczotka do mycia pleców zawieszona na poręczy w ścianie. Szelest, który usłyszałeś, to przeciąg albo urojenie.

Zamknął oczy. A potem otworzył i wbił wzrok w zasłonę prysznicową z durnymi plastikowymi kwiatami, która mogła się podobać tylko jego byłej żonie. Teraz, kiedy był już całkiem rozbudzony, wróciło poczucie rzeczywistości. To tylko końcówka prysznica, tylko poręcz, na której wisi szczotka do mycia pleców. Bałwan z niego. Skacowany bałwan, najgorszy, jakiego można sobie wyobrazić. Musiał…

Zasłona znów zaszeleściła. Zaszeleściła, bo z tego, co chciał uważać za swoją szczotkę do mycia pleców, wyrosły ciemne palce. Końcówka prysznica przekręciła się i jakby patrzyła na niego przez prześwitującą zasłonę. Gazeta wysunęła się z rozluźnionych palców Hoskinsa i z cichym plaśnięciem wylądowała na płytkach. W głowie mu łupało i łupało. Kark palił i palił. Zwieracze puściły i małą łazienkę wypełnił smród tego, co przed kilkoma godzinami było – Jack nagle zyskał co do tego pewność – jego ostatnim posiłkiem. Dłoń sięgnęła do krawędzi zasłony. Za sekundę, góra dwie, odciągnie ją i jego oczom ukaże się coś tak strasznego, że najgorszy koszmar w porównaniu z tym będzie się wydawał słodkim marzeniem.

– Nie… – szepnął. – Nie. – Próbował wstać z sedesu, ale nogi go nie utrzymały; jego pokaźny tyłek gruchnął z powrotem na deskę. – Proszę, nie. Nie rób tego.

Dłoń wysunęła się zza zasłony, ale zamiast ją odciągnąć, tylko objęła palcami jej krawędź. Na palcach widniały wytatuowane słowa: „Nie może”.

– Jack.

Nie mógł odpowiedzieć. Siedział nago na sedesie, z resztkami gówna wciąż lejącymi się z pluskiem do muszli i sercem gnającym jak rozpędzona lokomotywa bez maszynisty. Czuł, że lada chwila wyrwie mu się z piersi i przed śmiercią zdąży jeszcze je zobaczyć – leżące na płytkach, w ostatnich skurczach chlapiące krwią na jego kostki i stronę „Flint City Call" z komiksami.

– To nie jest oparzenie słoneczne, Jack.

Chciał zemdleć. Zsunąć się z sedesu. Nawet gdyby od uderzenia głową w posadzkę doznał wstrząsu mózgu czy rozwalił sobie czaszkę, co z tego? Przynajmniej nie musiałby dłużej w tym uczestniczyć. Świadomość jednak uparcie nie chciała go opuścić. Ciemna postać wciąż była w wannie. Palce wciąż trzymały zasłonę: wyblakłe niebieskie litery wciąż układały się w słowa „Nie może".

– Dotknij swojego karku, Jack. Zrób to natychmiast, jeśli nie chcesz, żebym odciągnął zasłonę i się pokazał.

Hoskins uniósł dłoń i przycisnął ją do karku. Reakcja organizmu była natychmiastowa: przerażające błyskawice bólu pobiegły do skroni i ramion. Spojrzał na swoją dłoń i zobaczył, że jest umazana krwią.

– Masz raka – powiadomiła go postać za zasłoną. – Zaatakował już węzły chłonne, gardło i zatoki. Zaatakował twoje oczy, Jack. Wżera się w twoje oczy. Wkrótce sam to zobaczysz, szare gruzełki złośliwych komórek nowotworowych przesłaniające ci pole widzenia. Wiesz, kiedy na niego zachorowałeś?

Oczywiście, że wiedział. W powiecie Canning, kiedy ta istota go dotknęła. Kiedy go pieściła.

– Dałem ci go, ale mogę go zabrać. Chcesz, żebym go zabrał?

– Tak… – szepnął Jack. Rozpłakał się. – Zabierz go. Proszę. Zabierz go…

– Zrobisz coś dla mnie?

– Tak.

– Nie zawahasz się?

– Nie!

– Wierzę ci. Nie dasz mi powodu, żebym przestał ci wierzyć, prawda?

– Nie! Nigdy!

– To dobrze. A teraz się obmyj. Śmierdzisz.

Dłoń z tatuażem się wycofała, ale postać za zasłoną wciąż na niego patrzyła. A jednak to nie człowiek. Coś znacznie gorszego od najgorszego człowieka, jaki kiedykolwiek żył na świecie. Hoskins sięgnął po papier toaletowy; robiąc to, poczuł, że przechyla się w bok i zsuwa z deski. Świat pociemniał mu w oczach, skurczył się. I dobrze. Upadł, ale nie odczuł bólu. Stracił przytomność, zanim wylądował na podłodze.

2

Jeannie Anderson obudziła się o czwartej nad ranem, jak zwykle o tej porze z pełnym pęcherzem. Normalnie skorzystałaby z łazienki przy sypialni, ale od śmierci Terry'ego Maitlanda Ralph źle sypiał, a tego wieczoru był wyjątkowo niespokojny. Wstała z łóżka i poszła do ubikacji na końcu korytarza, tej za pokojem Dereka. Już miała spuścić wodę, gdy stwierdziła, że nawet to mogłoby go obudzić. Można z tym zaczekać do rana.

Jeszcze dwie godziny, Boże, pomyślała, wychodząc z ubikacji. Dwie godziny spokojnego snu, o nic więcej nie…

Zatrzymała się w połowie korytarza. Kiedy wychodziła z sypialni, na dole było ciemno, prawda? Owszem, była wtedy półprzytomna, ale zauważyłaby zapalone światło.

Jesteś pewna?

Nie, niezupełnie, teraz jednak światło paliło się tam na pewno. Białe. Przyćmione. Lampka nad kuchenką.

Poszła na szczyt schodów i ze zmarszczonym czołem, głęboko zamyślona, spojrzała na to światło. Czy włączyli alarm przeciwwłamaniowy, zanim położyli się spać? Tak. To była ich żelazna zasada. Sama go nastawiła, Ralph sprawdził to, zanim poszli na górę. Jedno z nich zawsze włączało alarm, ale upewnianie się, czy na pewno o tym nie zapomnieli, podobnie jak kłopoty Ralpha ze snem, zaczęło się dopiero po śmierci Terry'ego Maitlanda.

Pomyślała, czy nie obudzić Ralpha, ale postanowiła tego nie robić. Niech śpi, potrzebował tego. Zastanowiła się, czy wrócić po jego służbowy rewolwer, schowany w skrzynce na górnej półce szafy, ale drzwi szafy skrzypiały i to już na pewno by go obudziło. Poza tym

czy aby nie przesadzała? Światło pewnie się paliło, kiedy szła do ubikacji, po prostu tego nie zauważyła. A może włączyło się samo w wyniku awarii czy czegoś. Po cichu zeszła po schodach, na trzecim stopniu odruchowo przesuwając się w lewo, na dziewiątym w prawo, żeby ominąć skrzypiące deski.

Podeszła do drzwi kuchni i wyjrzała zza futryny. Z jednej strony czuła się głupio, z drugiej wcale nie. Westchnęła i zdmuchnęła grzywkę z oczu. Kuchnia była pusta. Poszła zgasić lampkę nad kuchenką i nagle znieruchomiała. Przy kuchennym stole powinny stać cztery krzesła – trzy dla członków rodziny i jedno, które nazywali gościnnym. Stały tylko trzy.

– Nie ruszaj się – powiedział ktoś. – Jeśli drgniesz, zabiję cię. Jeśli krzykniesz, zabiję cię.

Zamarła z szybko bijącym sercem, włosy na karku stanęły jej dęba. Gdyby się nie załatwiła przed zejściem na dół, mocz ściekałby jej po nogach i rozlewał się kałużą na podłodze. Mężczyzna – intruz siedział na krześle gościnnym w salonie, na tyle daleko od łukowego przejścia między pomieszczeniami, że widziała go tylko od kolan w dół. Miał na sobie sprane dżinsy i mokasyny bez skarpet. Kostki jego nóg były obsypane czerwonymi plamami, może od łuszczycy. Tors majaczył niewyraźnie w mroku. Dostrzegła tylko, że ramiona miał szerokie i lekko przygarbione – nie jakby przygniatało je zmęczenie, tylko jakby były tak nabite wyćwiczonymi mięśniami, że nie mógł ich wyprostować. Zabawne, ile szczegółów człowiek widzi w takiej chwili. Przerażenie sparaliżowało ośrodek sortowania informacji w jej mózgu i wszystkie bodźce napływały teraz z równą mocą. To był człowiek, który zabił Franka Petersona. Człowiek, który pogryzł go jak dzikie zwierzę i zgwałcił gałęzią. Ten człowiek teraz był w jej domu, a ona stała przed nim w swojej krótkiej piżamie, z sutkami bez wątpienia sterczącymi jak przednie reflektory samochodu.

– Posłuchaj mnie – powiedział. – Słuchasz?

– Tak – szepnęła, ale zaczęła się chwiać na nogach. Czuła, że zaraz zemdleje, i przestraszyła się, że straci przytomność, zanim intruz powie, co miał do powiedzenia. Gdyby tak się stało, zabiłby ją. Potem może by sobie poszedł, a może wdrapałby się na piętro, żeby

zabić Ralpha. Zrobiłby to, zanim Ralph oprzytomniałby na tyle, by zrozumieć, co się dzieje.

A Derek wróciłby z obozu jako sierota.

Nie. Nie. NIE.

– Cze-czego chcesz?

– Powiedz mężowi, że tu, we Flint City, wszystko skończone. Powiedz mu, że musi przestać. Powiedz mu, że jeśli przestanie, sytuacja wróci do normy. I że w przeciwnym razie go zabiję. Zabiję ich wszystkich.

Jego dłoń wyłoniła się z ciemności salonu i wsunęła w słabe światło pojedynczej jarzeniówki. To była duża dłoń. Zacisnął ją w pięść.

– Co mam napisane na palcach? Przeczytaj.

Wbiła wzrok w wyblakłe niebieskie litery. Próbowała się odezwać, ale nie mogła. Jej język zmienił się w kloc przyklejony do podniebienia.

Wychylił się do przodu. Zobaczyła oczy pod szerokim czołem. Czarne włosy, na tyle krótkie, że sterczały w górę. Czarne oczy, patrzące nie tylko na nią, ale w głąb niej, przeszukujące jej serce i umysł.

– Tutaj jest napisane „musi” – powiedział. – Widzisz, prawda?

– T-t-t…

– I ty teraz musisz mu powiedzieć, żeby przestał. – Czerwone wargi poruszające się w czarnej koziej bródce. – Powiedz mu, że jeśli on albo ktokolwiek z nich spróbuje mnie znaleźć, zabiję ich, a ich flaki rozrzucę na pustyni, żeby sępy miały co jeść. Rozumiesz mnie?

Tak, próbowała odpowiedzieć, ale język stanął jej kołkiem, kolana się ugięły i wyciągnęła ręce, żeby zamortyzować upadek; nie wiedziała, czy jej się udało, czy nie, bo utonęła w ciemności, zanim wylądowała na podłodze.

3

Jack obudził się o siódmej. Jasne, letnie słońce wpadało przez okno i rozlewało się po łóżku. Na zewnątrz ćwierkały ptaki. Zerwał się, usiadł prosto i rozejrzał nerwowo, prawie nieświadomy pulsującego bólu głowy po wczorajszej wódce.

Szybko wstał, wysunął szufladę nocnego stolika i wyjął pathfindera kaliber 38, którego trzymał do obrony własnej. Ostrożnie stąpając, przeszedł przez sypialnię, z pistoletem przy prawym policzku i krótką lufą wymierzoną w sufit. Kopnięciem odrzucił bokserki na bok i zatrzymał się obok otwartych drzwi, plecami do ściany. Zapach wypływający z łazienki był słaby, ale znajomy: skutki wczorajszej enchilady. Czyli rzeczywiście wstał, żeby się wypróżnić; przynajmniej ten jeden szczegół mu się nie przyśnił.

– Jest tam kto? Jeśli tak, odezwij się. Jestem uzbrojony i będę strzelał.

Nic.

Jack odetchnął głęboko. Pochylony wyskoczył zza futryny, obracając się i omiatając łazienkę lufą trzydziestkiósemki. Zobaczył sedes z podniesioną klapą i opuszczoną deską. Zobaczył gazetę na podłodze – otwartą na stronie z komiksami. Zobaczył wannę za zaciągniętą prześwitującą zasłoną w kwiaty. Zobaczył kształty za zasłoną – ale to były tylko końcówka prysznica, poręcz, szczotka do mycia pleców.

Jesteś pewien?

Nie czekając, aż straci odwagę, zrobił krok naprzód, pośliznął się na macie i złapał zasłonę prysznicową, żeby nie wywinąć orła. Zerwała się z kółek i okryła mu twarz. Krzyknął, odrzucił ją na bok

i wymierzył trzydziestkęósemkę w pustą wannę. Nikogo. Żadnego upiora. Spojrzał na dno wanny. Nieszczególnie przykładał się do utrzymywania jej w czystości i gdyby w nocy ktoś tam stał, zostałyby ślady stóp. Ale zaschnięty osad z mydła i szamponu był nienaruszony.

To był tylko sen. Wyjątkowo realistyczny koszmar.

Na wszelki wypadek obejrzał okno łazienki i troje drzwi domu. Wszystko pozamykane.

Dobrze. Można odetchnąć. No, prawie. Wrócił do łazienki, żeby jeszcze raz rzucić na nią okiem, zajrzał do szafki na ręczniki (nic) i z obrzydzeniem dotknął palcem u nogi zerwanej zasłony prysznicowej. Pora wymienić to cholerstwo. Wpadnie dziś do Home Depot.

Bezwiednie podniósł rękę, żeby potrzeć się po karku, i syknął z bólu, gdy tylko jego palce dotknęły skóry. Podszedł do umywalki i odwrócił się, ale próbować zobaczyć własny kark, oglądając się przez ramię, to gorzej niż beznadziejna sprawa. Wysunął górną szufladę pod umywalką i znalazł tylko przybory do golenia, grzebienie, częściowo rozwinięty bandaż Ace i najstarszą na świecie tubkę monistatu: kolejna mała pamiątka z Epoki Grety. Jak ta durna zasłona prysznicowa.

W dolnej szufladzie zobaczył to, czego szukał – lusterko z ułamaną rączką. Starł kurz z tafli, cofnął się, aż dotknął tyłkiem krawędzi umywalki, i podniósł lusterko. Jego kark płonął czerwienią, widział, że wyrosły na nim małe perełki bąbli. Jak to możliwe, skoro zawsze smarował się kremem z filtrem i nie miał oparzeń słonecznych na żadnej innej części ciała?

To nie jest oparzenie słoneczne, Jack.

Jęknął cicho. Niemożliwe, żeby ktoś nad ranem stał w jego wannie, jakiś przerażający dziwoląg z „Nie może” wytatuowanym na palcach – niemożliwe i już. Ale jedno wiedział na pewno: rak skóry był w jego rodzinie dziedziczny. Jego matka i jeden z wujków umarli na tę chorobę. „Tak to jest, jak się ma rude włosy”, skwitował jego ojciec, gdy lekarze usunęli mu brodawki z ręki, którą wystawiał przez okno, prowadząc samochód, przedrakowe znamiona z łydek i guza podstawnokomórkowego z karku. Jack pamiętał wielki czarny

pieprzyk (rozrastający się, stale się rozrastający) na policzku wujka Jima; pamiętał wrzody pokrywające mostek matki i wżerające się w jej lewe ramię. Skóra to największy narząd ciała – kiedy się rozreguluje, skutki nie są miłe dla oka.

„Chcesz, żebym go zabrał?", zapytał człowiek za zasłoną.

– To był sen – powiedział Hoskins. – Wystraszyłem się w Canning i wieczorem nawpieprzałem się podłego meksykańskiego żarcia, więc przyśnił mi się koszmar. To wszystko, koniec i kropka.

Nie przeszkodziło mu to poszukać guzów pod pachami, szczęką i w nosie. Nic. Lekko przypalony słońcem kark, to wszystko. Tyle że nigdzie indziej nie miał oparzeń słonecznych. Była tylko ta jedna pulsująca bólem smuga. Nie leciała z niej krew – co poniekąd dowodziło, że nocne spotkanie było tylko złym snem – ale rosły tam już bąble. Pewnie powinien pójść z tym do lekarza i zrobi to… jeśli w kilka dni samo nie przejdzie.

„Zrobisz coś dla mnie? Nie zawahasz się?".

Nikt by się nie zawahał, pomyślał Jack, oglądając swój kark w lustrze. Nie kiedy alternatywą było zostać pożartym żywcem od środka.

4

Jeannie otworzyła oczy i zobaczyła sufit sypialni. Początkowo nie rozumiała, dlaczego w ustach czuje metaliczny smak panicznego strachu, jakby o włos uniknęła niebezpiecznego upadku, ani czemu dłonie ma uniesione, jakby przed czymś się broniła. Potem dostrzegła pustą połowę łóżka po swojej lewej ręce, usłyszała, jak Ralph pluska się pod prysznicem, i pomyślała: To był sen. Najbardziej wyrazisty koszmar wszech czasów, bez dwóch zdań, ale nic więcej.

Tyle że nie poczuła ulgi, bo sama w to nie wierzyła. To, co zobaczyła w nocy, nie zacierało się w jej pamięci jak najstraszniejsze koszmary. Pamiętała wszystko – od dostrzeżenia zapalonego światła na parterze po widok mężczyzny siedzącego na krześle gościnnym tuż za łukowym przejściem do salonu. Pamiętała dłoń, która wsunęła się w słabe światło i zacisnęła w pięść, aby pokazać jej wyblakłe litery wytatuowane na palcach: „Musi".

„I ty teraz musisz mu powiedzieć, żeby przestał".

Odrzuciła pościel i niemal biegiem wypadła z pokoju. Światło nad kuchenką było zgaszone, wszystkie cztery krzesła stały na swoich miejscach przy stole, przy którym jedli większość posiłków. To powinno było wszystko zmienić.

Nie zmieniło nic.

5

Kiedy Ralph zszedł na dół, jedną ręką wsuwając koszulę do dżinsów, w drugiej niosąc tenisówki, zastał żonę siedzącą przy kuchennym stole. Nie było przed nią ani kubka porannej kawy, ani soku, ani płatków. Zapytał, czy dobrze się czuje.

– Nie. Ktoś tu był w nocy.

Zastygł w bezruchu, z jedną połą koszuli schowaną do spodni, drugą opadającą na pasek. Upuścił tenisówki.

– Słucham?

– Mężczyzna. Ten, który zabił Franka Petersona.

Rozejrzał się, nagle całkiem przytomny.

– Kiedy? O czym ty mówisz?

– W nocy. Już sobie poszedł, ale miał dla ciebie wiadomość. Usiądź, Ralph.

Zrobił to, a ona opowiedziała, co się stało. Słuchał w milczeniu, patrząc jej w oczy. Nie widział w nich nic oprócz całkowitej pewności. Kiedy skończyła, wstał, żeby sprawdzić panel sterowania alarmu przy tylnych drzwiach.

– Jest włączony, Jeannie. A drzwi są zamknięte na klucz. Przynajmniej te.

– Wiem, że jest włączony. I że wszystkie drzwi są pozamykane. Sprawdziłam je. Okna też.

– To jakim cudem…

– Nie wiem, ale był tutaj.

– Siedział tam? – Pokazał palcem łuk między kuchnią a salonem.

– Tak. Jakby unikał światła.

– I był mocno zbudowany?

– Tak. Może nie tak wysoki jak ty… siedział, więc trudno było oszacować jego wzrost… ale miał szerokie bary, był umięśniony. Jakby spędzał trzy godziny dziennie na siłowni. Albo dźwigając sztangi na więziennym spacerniaku.

Odszedł od stołu i ukląkł w miejscu, gdzie drewniana kuchenna posadzka przechodziła w dywan, którym był wyłożony salon. Wiedziała, czego szuka i że tego nie znajdzie. Sama już to sprawdziła, a mimo to nie zmieniła zdania. Kto nie jest szalony, potrafi odróżnić sny od rzeczywistości, nawet gdy rzeczywistość wykracza daleko poza granice normalnego życia. Kiedyś może by w to wątpiła (jak teraz Ralph), ale nigdy więcej. Przejrzała na oczy.

Wstał.

– To nowy dywan, kochanie. Gdyby siedział tu jakiś człowiek, nawet przez krótką chwilę, we włosiu zostałyby ślady nóg krzesła. A żadnych nie ma.

Skinęła głową.

– Wiem. A jednak tu był.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Że był duchem?

– Nie wiem, czym był, ale wiem, że miał rację. Musisz przestać. Inaczej stanie się coś złego. – Podeszła do niego i zadarła głowę, żeby spojrzeć mu prosto w twarz. – Coś strasznego.

Wziął ją za ręce.

– To był stresujący okres, Jeannie. I dla ciebie, i dla…

Oderwała się od niego.

– Nie, Ralph. Ani słowa więcej. On tu był.

– Przypuśćmy, że masz rację. Nieraz już mi grożono. Każdy glina z prawdziwego zdarzenia dostaje pogróżki.

– Nie tylko tobie groził. – Z trudem powstrzymywała się od krzyku. Czuła się jak bohaterka jednego z tych idiotycznych horrorów, która przekonuje wszystkich, że Jason, Freddy albo Michael Myers wrócili, i nikt jej nie wierzy. – Był w naszym domu!

Pomyślał, żeby jeszcze raz wszystko wyliczyć: pozamykane drzwi, pozamykane okna, alarm przeciwwłamaniowy – włączony, ale milczący. Pomyślał, czy nie przypomnieć jej, że obudziła się we własnym łóżku, cała i zdrowa. Poznał jednak po jej minie, że te

argumenty nic by nie dały. A ostatnie, czego chciał, to kłócić się z żoną, kiedy była w takim stanie.

– Czy był poparzony, Jeannie? Jak człowiek, którego widziałem przed sądem?

Pokręciła głową.

– Jesteś pewna? Mówiłaś, że był w ciemności.

– Raz wychylił się do przodu i wtedy zobaczyłam go trochę wyraźniej. To mi wystarczyło. – Wzdrygnęła się. – Szerokie czoło, wysunięte nad oczami. Same oczy były ciemne, może czarne, może brązowe, może ciemnoniebieskie, nie mogłam poznać. Włosy krótkie i nastroszone. Trochę siwych, ale poza tym czarne. Miał kozią bródkę. I bardzo czerwone wargi.

Na ten opis dzwonek zadźwięczał mu w głowie, ale Ralph nie ufał temu wrażeniu: to pewnie fałszywe skojarzenie spowodowane tym, że mówiła z takim przejęciem. Bóg mu świadkiem, chciał jej wierzyć. Gdyby istniał choć jeden najdrobniejszy empiryczny dowód…

– Chwila, moment, jego nogi! Miał mokasyny bez skarpet, a na kostkach takie czerwone plamy. Pomyślałam, że to łuszczyca, ale mogły to być ślady po oparzeniach.

Włączył ekspres do kawy.

– Nie wiem, co ci powiedzieć, Jeannie. Obudziłaś się w łóżku i nic nie wskazuje na to, że…

– Dawno temu rozkroiłeś kantalupę i okazała się pełna larw – powiedziała. – Tamto wydarzyło się naprawdę, wiesz o tym. Dlaczego nie możesz uwierzyć, że to też się wydarzyło?

– Nawet gdybym uwierzył, nie mógłbym przestać. Nie rozumiesz?

– Rozumiem tyle, że człowiek siedzący w naszym salonie miał rację co do jednego: wszystko skończone. Frank Peterson nie żyje. Terry nie żyje. Wrócisz do czynnej służby i wtedy… wtedy będziemy mogli…

Urwała, bo to, co zobaczyła w jego twarzy, dało jej jasno do zrozumienia, że nie ma co dalej mówić. To nie było niedowierzanie. To było rozczarowanie, że w ogóle mogła pomyśleć, iż potrafiłby tak po prostu zapomnieć o sprawie. Aresztowanie Terry'ego Maitlanda na stadionie było pierwszą kostką domina, początkiem reakcji

łańcuchowej wyzwalającej przemoc i ból. A teraz w dodatku spierał się z żoną o człowieka, który nie istnieje. Za to wszystko winił siebie.

– Jeśli nie przestaniesz – powiedziała – powinieneś znów zacząć nosić broń. Ja na pewno nie będę się rozstawała z tą małą dwudziestkądwójką, którą dałeś mi trzy lata temu. Wtedy pomyślałam, że to bardzo głupi prezent, ale chyba miałeś rację. Kurczę, może jesteś jasnowidzem.

– Jeannie…

– Chcesz jajka?

– Tak, chyba tak. – Nie był głodny, ale skoro jedyne, co tego ranka mógł dla niej zrobić, to zjeść przygotowany przez nią posiłek, niech tak będzie.

Wyjęła jajka z lodówki i nie odwracając się, zaczęła mówić:

– Chcę, żebyśmy w nocy mieli policyjną ochronę. Niekoniecznie non stop, od zmierzchu do świtu; wystarczy, żeby ktoś regularnie patrolował okolice domu. Możesz to załatwić?

Ochrona policyjna nic nie poradzi na ducha, pomyślał. Ale za długo był żonaty, żeby powiedzieć to na głos.

– Chyba tak.

– Powinieneś też powiedzieć o tym Howiemu Goldowi i pozostałym. Nawet jeśli to idiotycznie brzmi.

– Kochanie…

Ani myślała słuchać.

– Powiedział: „ty albo ktokolwiek z nich”. I że rozrzuci wasze flaki na pustyni, żeby sępy miały co jeść.

Ralph miał ochotę jej przypomnieć, że choć rzeczywiście czasem widywali sępy krążące na niebie (zwłaszcza w dniu wywózki śmieci), w okolicach Flint City pustyni raczej nie było. Samo to wskazywało, że wizyta intruza jej się przyśniła, ale to też przemilczał. Nie miał zamiaru na nowo podgrzewać atmosfery, kiedy już powoli się uspokajała.

– Dobrze, powiem im – obiecał i zamierzał dotrzymać słowa. Wszystkie karty musiały zostać wyłożone na stół; każdy szczegół tego szaleństwa. – Wiesz, że mamy się spotkać w kancelarii Howiego Golda, prawda? Z kobietą, której Alec Pelley zlecił zbadanie przebiegu pobytu Terry’ego w Dayton.

– Tą, która kategorycznie stwierdziła, że Terry był niewinny.

Kolejną niewypowiedzianą myślą Ralpha (wyglądało na to, że wieloletnie małżeństwa kryją w sobie całe oceany rozmów prowadzonych bez słów) była: Uri Geller kategorycznie twierdził, że potrafi siłą woli zginać łyżki.

– Tak. Przyleci tutaj. Możliwe, że gada od rzeczy, ale w tej swojej firmie pracowała z odznaczonym emerytowanym gliniarzem, a jej metody śledcze wydają się całkiem rozsądne, więc równie dobrze rzeczywiście mogła coś znaleźć w Dayton. Na pewno sprawiała wrażenie pewnej siebie.

Jeannie zaczęła rozbijać jajka.

– Ciągnąłbyś to dalej, nawet gdybym zeszła na dół i zastała uszkodzony alarm, otwarte tylne drzwi i ślady stóp na płytkach. Nawet wtedy.

– Tak. – Zasługiwała na nieupiększoną prawdę.

Odwróciła się do niego, z łopatką wzniesioną jak broń.

– Wolno mi powiedzieć, że moim zdaniem postępujesz trochę głupio?

– Możesz mówić, co chcesz, ale musisz pamiętać o dwóch sprawach, kochanie. Czy Terry był winny, czy nie, przyłożyłem rękę do jego śmierci.

– Przecież nie…

– Cii. – Wymierzył w nią palec. – Teraz ja mówię, a ty musisz zrozumieć.

Zamilkła.

– I jeśli był niewinny, gdzieś tam, na wolności, jest dzieciobójca.

– Rozumiem to, ale być może otwierasz drzwi do rzeczy, które przekraczają twoją zdolność pojmowania. I moją.

– Mówisz o sprawach nadprzyrodzonych? Bo ja w takie nie wierzę. I nigdy nie uwierzę.

– Wierz, w co chcesz. – Odwróciła się z powrotem do kuchenki. – Ale ten człowiek tu był. Widziałam jego twarz, widziałam słowo na jego palcach. „Musi”. Był… straszny. Nie znajdę lepszego określenia. To, że mi nie wierzysz, sprawia, że chce mi się płakać albo rzucić tą patelnią z jajkami w twoją głowę, albo… sama nie wiem.

Podszedł do niej i objął ją w pasie.

– Wierzę, że ty w to wierzysz. To jedno jest niewątpliwą prawdą. I coś ci obiecam: jeśli z dzisiejszego spotkania nic nie wyniknie, będę znacznie bardziej otwarty na możliwość rzucenia tej sprawy. Rozumiem, że są pewne granice. Czy to cię zadowoli?

– Będzie musiało, przynajmniej na razie. Wiem, że tam, na stadionie, popełniłeś błąd. Wiem, że próbujesz za niego odpokutować. Ale co, jeśli popełniasz jeszcze gorszy błąd, ciągnąc to dochodzenie?

– A gdyby to Derek był tam, w Figgis Park? – odparował. – Czy wtedy chciałabyś, żebym się wycofał?

Miała mu za złe to pytanie, uznała je za cios poniżej pasa, ale nie mogła nie odpowiedzieć. Bo gdyby taki los spotkał Dereka, chciałaby, żeby Ralph ścigał człowieka – albo istotę za to odpowiedzialną – na kraniec świata. A sama przez cały czas byłaby u jego boku.

– No dobra, wygrałeś. Ale jest jeszcze jedna sprawa. Niepodlegająca dyskusji.

– O co chodzi?

– Pójdę na to spotkanie z tobą. I daruj sobie gadki, że to sprawa dla policji, bo oboje wiemy, że to nieprawda. A teraz jedz jajka.

6

Jeannie wysłała Ralpha do sklepu Kroger z listą zakupów, bo bez względu na to, kto ostatniej nocy był w ich domu – człowiek, duch czy tylko postać z niesłychanie realistycznego snu – państwo Andersonowie musieli coś jeść. W połowie drogi do supermarketu Ralphowi wszystko ułożyło się w głowie. Stało się to bez żadnych fanfar, bo najważniejsze fakty znał od początku, dosłownie miał je przed nosem – w pokoju przesłuchań na komisariacie. Czy przesłuchał prawdziwego zabójcę Franka Petersona w charakterze świadka, podziękował mu za pomoc i puścił go wolno? Wydawało się to niemożliwe, zważywszy na masę dowodów wiążących Terry'ego Maitlanda z tym morderstwem, ale…

Zjechał na pobocze i zadzwonił do Yune'a Sablo.

– Przyjadę, bez obaw – powiedział Yune. – Gdzież bym mógł przepuścić okazję poznania wieści z Ohio związanych z całym tym burdelem. I już sprawdzam Heatha Holmesa. Na razie jest tego mało, ale kiedy się spotkamy, powinienem mieć znacznie więcej.

– To dobrze, ale nie dlatego dzwonię. Możesz zajrzeć do akt Claude'a Boltona? To wykidajło z Gentlemen, Please. W kartotece znajdziesz głównie aresztowania za posiadanie, może jeden, dwa wyroki za posiadanie z zamiarem sprzedaży, złagodzone w zamian za przyznanie się do winy.

– To ten, co woli, żeby go nazywać pracownikiem ochrony?

– Tak, nasz Claude we własnej osobie.

– Czemu się nim interesujesz?

– Powiem ci wieczorem, jeśli coś z tego wyjdzie. Na razie poprzestańmy na tym, że chyba znalazłem ciąg wydarzeń

prowadzący od Holmesa przez Maitlanda do Boltona. Mogę się mylić, ale sądzę, że nie.

– Do grobu mnie wpędzisz, Ralph. Mów!

– Jeszcze nie. Najpierw muszę się upewnić. I będzie mi potrzebne coś jeszcze. Bolton jest cały w tatuażach, wygląda jak chodzący billboard, i jestem prawie pewien, że ma też dziary na palcach. Powinienem był to zauważyć, ale wiesz, jak to jest, kiedy prowadzisz przesłuchanie, zwłaszcza jeśli naprzeciwko siebie masz notowanego.

– Nie spuszczasz oczu z jego twarzy.

– Otóż to. Przez cały czas patrzysz mu w twarz. Bo kiedy tacy jak Bolton zaczynają kłamać, równie dobrze mogliby trzymać nad głową transparent „Wciskam kit”.

– Myślisz, że Bolton kłamał, mówiąc, że Maitland skorzystał w klubie z telefonu? Bo ta taksówkarka poniekąd potwierdziła jego zeznania.

– Wtedy tak nie sądziłem, ale teraz wiem trochę więcej. Spróbuj ustalić, co miał na palcach. Jeśli w ogóle cokolwiek.

– Jak myślisz, co może na nich być, *ese*?

– Wolę nie mówić, ale jeśli mam rację, będzie to podane w aktach. Jeszcze jedno: możesz przesłać mi mailem jego zdjęcie?

– Jasne. Daj mi kilka minut.

– Dzięki, Yune.

– Planujesz się skontaktować z panem Boltonem?

– Jeszcze nie. Nie chcę, żeby wiedział, że się nim interesuję.

– I naprawdę wszystko dziś wyjaśnisz?

– Tyle, ile zdołam.

– To coś da?

– Szczerze? Nie wiem. Masz już wyniki badań substancji, która była na ubraniach i sianie w tamtej stodole?

– Jeszcze nie. Zobaczymy, co znajdę na Boltona.

– Dzięki.

– Co teraz robisz?

– Zakupy.

– Mam nadzieję, że nie zapomniałeś kuponów żony.

Ralph uśmiechnął się i spojrzał na przewiązany gumką plik na siedzeniu obok.

– Myślisz, że pozwoliłaby mi zapomnieć?

7

Wyszedł z Krogera z trzema siatkami zakupów, włożył je do bagażnika, po czym spojrzał na telefon. Dwie wiadomości od Yune'a Sablo. Najpierw otworzył tę z załączonym zdjęciem. Na policyjnej fotografii Claude Bolton wyglądał znacznie młodziej niż człowiek, którego przesłuchał przed aresztowaniem Maitlanda. I wydawał się naćpany po uszy: puste spojrzenie, zadrapany policzek i coś na brodzie – kawałek jajka albo rzygi. Ralph przypomniał sobie, że Bolton powiedział, iż chodzi na spotkania anonimowych narkomanów i od sześciu lat jest czysty. Może tak, może nie.

Do drugiego maila od Yune'a była dołączona kopia akt. Dużo aresztowań, głównie za drobiazgi, i mnóstwo znaków szczególnych. Między innymi blizna na plecach, druga na lewym boku pod żebrami, trzecia na prawej skroni i ze dwa tuziny tatuaży. Wśród nich orzeł, nóż z zakrwawionym czubkiem, syrena, czaszka ze świecami w oczodołach i wiele innych, które Ralpha nie interesowały. Jego uwagę przede wszystkim zwróciły słowa wytatuowane na palcach: „Nie może" na prawej dłoni, „Musi" na lewej.

Poparzony człowiek przed budynkiem sądu miał tatuaże na palcach, ale czy były to słowa „Nie może" i „Musi"? Ralph zamknął oczy, próbował to zobaczyć, ale na próżno. Wiedział z doświadczenia, że tatuaże na palcach u byłych więźniów nie są niczym niezwykłym; pewnie widzą je w filmach i też chcą takie mieć. Popularne były „love" i „hate"; inni woleli „dobro" i „zło". Jack Hoskins kiedyś opowiadał mu o podrzędnym, szczurowatym włamywaczu, który ozdobił swoje palce słowami „ssij" i „rżnij"; Jack skwitował, że z czymś takim dziewczyny raczej sobie nie znajdzie.

Ralph był pewien jednego: na ramionach poparzonego nie było tatuaży. Claude Bolton za to miał ich mnóstwo. Oczywiście ogień, który zniszczył twarz poparzonego, mógł też strawić tatuaże, tylko że…

– Tylko że facet przed sądem nie był Boltonem. – Otworzył oczy i spojrzał na wchodzących i wychodzących klientów supermarketu. – To niemożliwe. Bolton nie był poparzony.

„Wydawałoby się, że ta sprawa już nie może być dziwniejsza", powiedział do tej Gibney przez telefon zeszłego wieczoru. „Może być i będzie", odparła. I, cholera, miała rację.

8

Wspólnie schowali zakupy do lodówki, a potem Ralph powiedział Jeannie, że chce jej coś pokazać na swoim telefonie.

– Tylko rzuć na to okiem, dobrze? I pamiętaj, że człowiek na zdjęciu jest dziś znacznie starszy.

Wzięła od niego telefon. Całe dziesięć sekund patrzyła na policyjną fotografię, po czym go oddała. Krew odpłynęła jej z policzków.

– To on. Teraz ma krótsze włosy i pełną kozią bródkę zamiast tego wąsika, ale to ten sam człowiek, który ostatniej nocy był w naszym domu. Ten, który powiedział, że cię zabije, jeśli nie przestaniesz. Jak się nazywa?

– Claude Bolton.

– Aresztujesz go?

– Na razie nie. Nie jestem pewien, czy mógłbym, nawet gdybym chciał, skoro jestem na urlopie i tak dalej.

– To co zrobisz?

– Teraz? Ustalę, gdzie jest.

Jego pierwszą myślą było, żeby zadzwonić do Yune'a, ten jednak przekopywał się przez akta Holmesa, zabójcy z Dayton. Drugą – by skontaktować się z Jackiem Hoskinsem, ale tę szybko odrzucił. Facet był pijakiem i gadułą. Pozostawała jeszcze trzecia możliwość.

Gdy zadzwonił do szpitala, został poinformowany, że Betsy Riggins wróciła ze swoją pociechą do domu. I tam ją zastał. Najpierw zagadnął o noworodka (na co musiał wysłuchać dziesięciominutowej relacji o wszystkim – od karmienia piersią poczynając, na wysokiej cenie pampersów kończąc), po czym spytał, czy nie pomogłaby

kumplowi, dzwoniąc w charakterze służbowym do jednej, góra dwóch osób. Wytłumaczył, o co chodzi.

– To w związku ze sprawą Maitlanda? – spytała.

– Cóż, Betsy, biorąc pod uwagę moją obecną sytuację, im mniej wiesz, tym lepiej.

– Jeśli tak, mogłabym narobić ci kłopotów. Sobie też, gdyby wyszło na jaw, że ci pomagam.

– Jeśli obawiasz się komendanta Gellera, zapewniam, że ode mnie niczego się nie dowie.

Nastąpiła długa pauza. Czekał. Wreszcie Betsy powiedziała:

– Wiesz, było mi żal żony Maitlanda. Naprawdę. Kiedy na nią patrzyłam, przypominały mi się te reportaże telewizyjne z miejsc zamachów samobójczych, ci wszyscy ludzie, którzy przeżyli, snujący się z włosami pozlepianymi krwią, niemający pojęcia, co się właściwie stało. Czy to, o co prosisz, mogłoby jej pomóc?

– Być może – odparł. – Naprawdę nie chcę wchodzić w szczegóły.

– Zobaczę, co da się zrobić. John Zellman nie jest zupełnym dupkiem i co roku musi odnawiać licencję na tę swoją knajpę z gołymi babami. To może go skłonić do współpracy. Jeśli się nie uda, oddzwonię do ciebie. Jeśli pójdzie tak, jak przewiduję, zadzwoni do ciebie on.

– Dzięki, Betsy.

– To musi zostać między nami, Ralph. Liczę, że po macierzyńskim nadal będę miała pracę. Powiedz, że to dla ciebie jasne.

– Jak słońce.

9

John Zellman, właściciel i kierownik Gentlemen, Please, zadzwonił do Ralpha piętnaście minut później. Wydawał się bardziej zaciekawiony niż zirytowany i był skory do pomocy. Tak, był pewien, że Claude Bolton pracował w klubie, kiedy ten mały biedak został uprowadzony i zabity.

– Skąd ta pewność, panie Zellman? Wydawało mi się, że jego zmiana zaczynała się o czwartej.

– Tak, ale tego dnia przyszedł wcześniej. Koło drugiej. Prosił o wolne, bo chciał wyskoczyć do wielkiego miasta z jedną ze striptizerek. Powiedział, że miała problem natury osobistej. – Zellman prychnął. – To on miał problem osobisty. Pod rozporkiem.

– Mowa o dziewczynie nazwiskiem Carla Jeppeson? – spytał Ralph, przewijając zapis przesłuchania Boltona na swoim iPadzie. – Znanej też jako Pixie Dreamboat?

– We własnej osobie. – Zellman parsknął śmiechem. – Jeśli brak cycków uznać za atut, dziewczyna ma przed sobą świetlaną karierę. Cóż, niektórych takie kręcą, proszę mnie nie pytać dlaczego. Ma romans z Claude'em, ale to nie potrwa długo. Jej mąż siedzi w McAlester, zdaje się, za fałszowanie czeków, jednak przed Bożym Narodzeniem wyjdzie. Claude to dla niej tylko rozrywka dla zabicia czasu. Powiedziałem mu to, ale wie pan, jak to mówią: fiut nie sługa.

– Jest pan pewien, że właśnie tego dnia przyszedł wcześnie do pracy. Dziesiątego lipca.

– Jasne, że tak. Zapisałem to sobie, bo ani myślałem płacić Claude'owi za dwa dni spędzone w Cap City, kiedy niecałe dwa

tygodnie później miał zaplanowany urlop, i to płatny.

– Rzeczywiście, oburzające. Nie myślał pan, żeby go zwolnić?

– Nie. Wie pan, przynajmniej był ze mną szczery. I jeszcze jedno. Claude to porządny chłop, a tacy są rzadsi od kurzych zębów. Większość ochroniarzy to albo mięczaki, które zgrywają twardzieli, ale jeśli wybuchnie bójka, trzymają się z dala, albo ciołki, które zmieniają się w Hulka, kiedy klient choć trochę pyskuje. Claude każdego wyrzuciłby na zbity łeb, gdyby było trzeba, ale przeważnie tego nie robi. Jest dobry w rozładowywaniu napięcia. Ma do tego dar. Myślę, że to dzięki tym spotkaniom, na które chodzi.

– Anonimowych narkomanów. Powiedział mi.

– Tak, nie kryje się z tym. Ba, jest z tego dumny. I pewnie słusznie. Wielu nie potrafi rzucić tego paskudztwa, kiedy już wpadną w jego szpony. Są długie i mocno trzymają.

– Czyli nie bierze?

– Poznałbym, gdyby było inaczej. Znam się na ćpunach, detektywie, proszę mi wierzyć. Gentlemen to czysty lokal.

Ralph miał co do tego wątpliwości, ale nic nie powiedział.

– Ani razu nie wrócił do ćpania?

Zellman się zaśmiał.

– Wszyscy do tego wracają, zwłaszcza na początku, ale on nie, przynajmniej odkąd u mnie pracuje. I nie pije. Raz nawet go zapytałem czemu, skoro to z narkotykami ma problem; powiedział, że to jedno i to samo. Że gdyby się napił, choćby piwa bezalkoholowego, zaraz nabrałby ochoty na kokę albo coś mocniejszego. – Zellman zrobił pauzę, po czym dodał: – Może w czasach, kiedy brał, był szują, ale teraz to co innego. Jest przyzwoitym człowiekiem. W biznesie żyjącym z klienteli, która przychodzi żłopać margaritę i oglądać ogolone cipki, to rzadkość.

– Rozumiem. Czy teraz Bolton jest na urlopie?

– Tak. Od niedzieli. Dziesięć dni.

– Spędza go w mieście?

– Że tutaj, we Flint City? Nie. Pojechał do Teksasu, gdzieś pod Austin. Stamtąd pochodzi. Chwileczkę, zanim do pana zadzwoniłem, wyjąłem jego teczkę. – Zaszeleściły przerzucane kartki i Zellman wrócił do telefonu. – Marysville, tak się nazywa ta mieścina. Z tego,

co mówił, to zapadła dziura. Mam adres, bo co drugi tydzień wysyłam tam część jego pensji. Trafia do jego matki. Jest stara i zniedołężniała; w dodatku ma rozedmę płuc. Claude pojechał do niej, bo chce ją umieścić w domu opieki, ale nie liczył, że mu się uda. Mówił, że to uparta koza. Zresztą nie wiem, jak miałby opłacić dom starców z pieniędzy, jakie u mnie zarabia. Rząd powinien pomagać zwyczajnym ludziom, takim jak Claude, w opiece nad starszymi ludźmi, ale czy to robi? Gdzie tam.

I mówi to człowiek, który zapewne głosował na Donalda Trumpa, pomyślał Ralph.

– Cóż, dziękuję, panie Zellman.

– Mogę spytać, dlaczego chce pan z nim rozmawiać?

– Chodzi o uzupełnienie paru szczegółów – powiedział Ralph. – Drobiazg.

– Postawienie kropki nad i, hę?

– Otóż to. Ma pan ten adres?

– Ten, pod który wysyłam pieniądze? Jasne. Ma pan pod ręką ołówek?

Nie, ale miał swojego wiernego iPada z otwartą aplikacją Quick Notes.

– Proszę mówić.

– Numer domu 397, Rural Star Route 2, Marysville, Teksas.

– A jak się nazywa jego mama?

Zellman zaśmiał się wesoło.

– Lovie. Dobre, co? Lovie Ann Bolton.

Ralph podziękował i się rozłączył.

– No i? – spytała Jeannie.

– Moment – powiedział. – Zauważ, że mam tę moją zamyśloną minę.

– Ano rzeczywiście. Napijesz się mrożonej herbaty, żeby lepiej ci się myślało? – Uśmiechała się. Z tym uśmiechem było jej do twarzy; wyglądał jak krok we właściwym kierunku.

– Koniecznie.

Ralph wrócił do swojego iPada (zastanawiając się, jak kiedyś sobie radził bez tego cholerstwa). Znalazł Marysville, sto dziesięć

kilometrów na zachód od Austin. Punkcik na mapie, znany jedynie z atrakcji o nazwie Jama Marysville.

Przemyślał swoje następne posunięcie, sącząc mrożoną herbatę, po czym zadzwonił do Horace'a Kinneya z teksaskiej policji stanowej. Kinney dziś był kapitanem i w zasadzie nie ruszał się zza biurka, ale dawniej, kiedy jeździł na patrole, pokonując rocznie sto czterdzieści tysięcy kilometrów w północnym i zachodnim Teksasie, Ralph kilka razy współpracował z nim w śledztwach o zasięgu międzystanowym.

– Horace – zagaił, kiedy skończyli wymieniać uprzejmości – mam do ciebie prośbę.

– Dużą czy małą?

– Średnią i wymagającą odrobiny taktu.

Kinney parsknął śmiechem.

– Taktu to możesz wymagać w Nowym Jorku czy Connecticut, stary byku. Tutaj jest Teksas. Czego ci potrzeba?

Kiedy Ralph mu powiedział, Kinney stwierdził, że ma właściwego człowieka, który szczęśliwym trafem akurat jest w tamtej okolicy.

10

Około trzeciej tego popołudnia dyspozytorka policji Flint City, Sandy McGill, podniosła głowę i zobaczyła Jacka Hoskinsa. Stał przed jej biurkiem, odwrócony do niej plecami.

– Jack? Czegoś ci potrzeba?

– Zerknij na mój kark i powiedz, co tam widzisz.

Zdziwiona, ale chętna do pomocy, wstała i spojrzała.

– Odwróć się trochę bardziej do światła. Au, ale się spaliłeś. Radzę skoczyć do Walgreens po krem z aloesem.

– Od tego się zagoi?

– Zagoi się samo, ale do tego czasu będzie mniej piekło.

– Ale to tylko oparzenie słoneczne, prawda?

Zmarszczyła brwi.

– Jasne, ale tak mocne, że zrobiły ci się bąble. Nie wiesz, że jak idziesz na ryby, trzeba się posmarować kremem z filtrem? Chcesz dostać raka skóry?

Na sam dźwięk tych słów kark zapiekł go jeszcze bardziej.

– Wyleciało mi z głowy.

– Ręce też sobie spaliłeś?

– Nie aż tak. – Tak naprawdę w ogóle nie były poparzone; ucierpiał tylko kark. W miejscu, gdzie ktoś go dotknął w tamtej porzuconej stodole. Pieścił go samymi koniuszkami palców. – Dzięki, Sandy.

– Blondyni i rudzi najgorzej znoszą słońce. Jeśli ci się nie polepszy, powinieneś pójść z tym do lekarza.

Wyszedł bez słowa, myśląc o człowieku, który mu się przyśnił. Tym, który czyhał za zasłoną prysznicową.

„Dałem ci go, ale mogę go zabrać. Chcesz, żebym go zabrał?”.

Samo się zagoi, pomyślał. Jak każde oparzenie słoneczne.

Może tak, a może nie. Teraz naprawdę bolało bardziej; ledwo mógł dotknąć karku. Bezustannie myślał o wrzodach wżerających się w ciało jego matki. Rak z początku postępował powoli, ale jak już się zadomowił na dobre, ruszył z kopyta. Na końcu objął gardło i struny głosowe, zmienił jej krzyki w charkot, ale słuchający przez zamknięte drzwi pokoju chorej jedenastoletni Jack mimo to słyszał, o co prosiła jego ojca: żeby skrócił jej męki. „Zrobiłbyś to dla psa", chrypiała. „Dlaczego nie zrobisz tego dla mnie?".

– Tylko oparzenie słoneczne – powiedział, uruchamiając samochód. – To wszystko. Pieprzone oparzenie słoneczne.

Musiał się napić.

11

O piątej tego popołudnia radiowóz teksaskiej policji stanowej wjechał na Rural Star Route 2 i skręcił na podjazd pod numerem 397. Lovie Bolton była na swoim ganku, z papierosem w dłoni i butlą tlenową na wózku o gumowych kołach, stojącym obok jej bujanego krzesła.

– Claude! – wychrypiała. – Mamy gościa! Policja stanowa! Lepiej chodź i zobacz, czego chce!

Claude był w zachwaszczonym ogródku małego domu, właśnie zdejmował pranie ze sznura i, starannie złożone, wkładał do wiklinowego kosza. Pralka mamy działała nie najgorzej, ale suszarka wykitowała krótko przed jego przyjazdem, a mama ostatnio za szybko się męczyła, żeby sama rozwiesić ubrania. Zamierzał jej kupić nową, zanim wyjedzie, ale ciągle odkładał to na później. A teraz jeszcze przyjechała policja, no, chyba że mamie coś się pomyliło, ale pewnie nie. Miała swoje problemy, ale wzrok jej nie szwankował.

Okrążył dom i zobaczył wysokiego gliniarza wysiadającego z czarnego SUV-a. Na widok złotego logo w kształcie Teksasu na drzwiach kierowcy Claude'a ścisnęło w żołądku. Od dawna nie przeskrobał nic, za co można by go aresztować, ale odruch pozostał. Wsunął dłoń do kieszeni i chwycił medalion upamiętniający sześć lat bez ćpania, jak często – i niemal nieświadomie – robił w chwilach stresu.

Policjant wsunął okulary przeciwsłoneczne do kieszeni na piersi. Mama spróbowała się dźwignąć z siedziska.

– Nie, proszę nie wstawać, szanowna pani – powiedział. – Nie jestem tego wart.

Zarechotała chrapliwie i usiadła z powrotem.

– Kawał chłopa z pana. Jak pan się nazywa, panie władzo?

– Sipe, szanowna pani. Starszy posterunkowy Owen Sipe. Miło mi panią poznać. – Uścisnął dłoń, w której nie trzymała papierosa, uważając na opuchnięte stawy staruszki.

– Z wzajemnością, panie władzo. To mój synek, Claude. Przyjechał z Flint City trochę mi pomóc.

Sipe odwrócił się do Claude'a, który puścił żeton i wyciągnął dłoń.

– Miło pana poznać, panie Bolton. – Przez chwilę trzymał rękę Claude'a, przyglądając się jej uważnie. – Widzę, że ma pan tatuaż na palcach.

– Trzeba zobaczyć oba, dopiero wtedy przesłanie jest pełne. – Claude wysunął drugą dłoń. – Sam je zrobiłem, w więzieniu. Ale jeśli przyjechał pan do mnie, pewnie pan o tym wie.

– „Nie może" i „Musi" – przeczytał starszy posterunkowy Sipe, puszczając jego słowa mimo uszu. – Widziałem wiele tatuaży na palcach, ale takich nigdy.

– Cóż, opowiadają pewną historię. Przekazuję ją innym, kiedy tylko mogę. To rodzaj pokuty za dawne przewiny. Ostatnimi czasy nie biorę, ale ciężko mi to przyszło. Za kratami chodziłem na wiele spotkań anonimowych alkoholików i anonimowych narkomanów. Początkowo tylko dlatego, że częstowali na nich pączkami z Krispy Kreme, ale z czasem to, co mówili, zaczęło do mnie trafiać. Dowiedziałem się, że każdy nałogowiec wie dwie rzeczy: po pierwsze, nie może brać, po drugie, musi brać. To jest taki supeł, który mamy w głowie, rozumie pan? Nie można go przeciąć ani rozplątać, więc trzeba się ponad niego wznieść. To jest do zrobienia, ale człowiek zawsze musi pamiętać o podstawowym problemie. Że musi brać, ale nie może.

– Hm – mruknął Sipe. – To taka jakby przypowieść, prawda?

– Ostatnio nie pije ani nie ćpa – wtrąciła Lovie ze swojego miejsca. – Nie pali nawet tego świństwa. – Rzuciła niedopałek na ziemię. – To dobry chłopiec.

– Nie przyjechałem tu dlatego, że ktoś podejrzewa go o coś złego – wyjaśnił Sipe łagodnym tonem, na co Claude się odprężył. Tylko trochę. Nie można być za bardzo odprężonym, kiedy policja stanowa

składa ci niezapowiedzianą wizytę. – Dzwonili do mnie z Flint City, chyba chcą zamknąć jakieś śledztwo, i prosili, żeby potwierdził pan pewien szczegół dotyczący człowieka nazwiskiem Terry Maitland.

Sipe wyjął swój telefon, chwilę przy nim majstrował, po czym pokazał Claude'owi zdjęcie.

– Czy to jest sprzączka od paska, który ten Maitland miał na sobie tego wieczoru, kiedy pan go widział? I proszę nie pytać, co to znaczy, bo za czorta nie wiem. Wysłali mnie tu tylko po to, żebym zadał to jedno pytanie.

Tak naprawdę przyjechał w innym celu, ale prośba od Ralpha Andersona, przekazana mu przez kapitana Horace'a Kinneya, była taka, żeby wszystko odbyło się w miłej, niebudzącej podejrzeń atmosferze.

Claude spojrzał na telefon.

– Nie mogę być całkowicie pewien, trochę czasu upłynęło, ale na pierwszy rzut oka tak.

– Cóż, dziękuję. Dziękuję wam obojgu. – Sipe schował telefon do kieszeni i odwrócił się, żeby odejść, kiedy Claude zapytał:

– To wszystko? Przejechał pan taki kawał, żeby zadać jedno pytanie?

– Tak się sprawy mają. Widać ktoś bardzo chce to wiedzieć. Dziękuję, że poświęciliście mi państwo czas. Przekażę informację, komu trzeba, w drodze powrotnej do Austin.

– Długa podróż przed panem, panie władzo – powiedziała Lovie. – Może najpierw wejdzie pan do środka i napije się słodkiej mrożonej herbaty? Z proszku, ale całkiem niezła.

– Cóż, wejść i usiąść nie mogę, chcę wrócić do domu przed zmrokiem, ale napiłbym się tutaj, na zewnątrz, jeśli nie macie państwo obiekcji.

– Pewnie, że nie mamy. Claude, przynieś miłemu panu władzy szklankę herbaty.

– Małą szklankę – uściślił Sipe, lekko rozsuwając kciuk i palec wskazujący. – Dwa łyki i już mnie nie ma.

Gdy Claude zniknął w domu, Sipe oparł się ramieniem o boczną ścianę ganku i spojrzał z dołu na Lovie Bolton; jej dobrotliwa twarz była rzeką zmarszczek.

– Widzę, że syn dobrze panią traktuje.

– Bez niego byłabym zagubiona – oświadczyła Lovie. – Co dwa tygodnie przysyła mi kieszonkowe i przyjeżdża, kiedy tylko może. Chce załatwić mi miejsce w domu starców w Austin i może nawet bym się tam przeniosła, gdyby było go stać na opłaty, ale na razie nie ma na to szans. Lepszego syna nie można sobie wymarzyć, panie władzo: za młodu rozrabiaka, potem do rany przyłóż.

– Też tak słyszałem. Zabrał panią kiedyś do Big 7? To niedaleko stąd; podają tam przepyszne śniadania.

– Nie ufam przydrożnym kafejom. – Kobieta wyjęła papierosy z kieszeni podomki i wsunęła jednego pomiędzy sztuczne zęby. – Kiedyś w takiej zatrułam się ptomainami, to było w Abilene, w siedemdziesiątym czwartym, myślałam, że umrę. Synek gotuje, kiedy przyjeżdża. Emerilem nie jest, ale sobie radzi. Umie się posługiwać patelnią. Nie przypala bekonu. – Puściła do Sipe'a oko i zapaliła papierosa.

Uśmiechnął się. Miał nadzieję, że jej butla tlenowa jest szczelnie zamknięta, inaczej oboje wylecą w powietrze.

– Założę się, że dziś rano zrobił pani śniadanie.

– A żeby pan wiedział. Kawa, grzanki z rodzynkami i jajecznica na dużej ilości masła, taka, jaką lubię.

– Wcześnie pani wstaje? Pytam, bo wie pani, z tym tlenem i w ogóle…

– Oboje jesteśmy rannymi ptaszkami. Wstajemy razem ze słońcem.

Claude wrócił, niosąc na tacy trzy szklanki mrożonej herbaty – dwie wysokie i jedną małą. Owen Sipe wypił swoją dwoma łykami, oblizał usta i powiedział, że musi jechać. Boltonowie odprowadzili go wzrokiem – Lovie na krześle bujanym, Claude, siedząc na schodkach i patrząc ze zmarszczonym czołem na pióropusz kurzu ciągnący się za radiowozem wracającym na główną drogę.

– A widzisz, jacy policjanci są mili, kiedy nie rozrabiasz? – rzuciła Lovie.

– Uhm – mruknął Claude.

– Taki kawał przejechał, żeby o jakąś sprzączkę zapytać. Pomyśl tylko!

– Nie po to przyjechał, mamo.

– Nie? A po co?

– Nie jestem pewien, ale chodziło o coś innego. – Claude postawił szklankę na stopniu i spojrzał na swoje palce. Na „Nie może” i „Musi”, supeł, ponad który wreszcie się wzniósł. Wstał. – Lepiej zdejmę resztę prania ze sznura. Potem skoczę do Jorge’a i spytam, czy mu jutro pomóc. Kryje dach.

– Dobry z ciebie chłopiec, Claude. – Zobaczył, że w oczach matki stoją łzy, i to go wzruszyło. – Chodź tu i mocno uściskaj mamusię.

– Tak jest – powiedział Claude i to właśnie zrobił.

12

Ralph i Jeannie Anderson szykowali się do wyjścia na spotkanie w kancelarii Howiego Golda, kiedy zadzwoniła komórka Ralpha. Horace Kinney. Ralph rozmawiał z nim, podczas gdy Jeannie wpinała kolczyki i wkładała buty.

– Dzięki, Horace. Jestem twoim dłużnikiem. – Rozłączył się.

Jeannie patrzyła na męża wyczekująco.

– No i?

– Horace wysłał policjanta stanowego do domu Boltonów w Marysville. Miał określony pretekst, ale tak naprawdę był tam po to, żeby…

– Wiem, po co tam był.

– Mhm. Pani Bolton twierdzi, że dziś koło szóstej rano Claude zrobił im obojgu śniadanie. Jeśli widziałaś Boltona na parterze o czwartej…

– Spojrzałam na zegar, kiedy wstałam się wysikać – powiedziała Jeannie. – Była czwarta sześć.

– Według MapQuesta z Flint City do Marysville jest prawie siedemset kilometrów. Nie dałby rady przyjechać tu i wrócić dość wcześnie, żeby o szóstej zrobić śniadanie, skarbie.

– Może jego matka kłamie. – W jej głosie nie było większego przekonania.

– Sipe… policjant, którego wysłał Horace… powiedział, że wyczułby, gdyby tak było.

– Czyli znów jest tak jak z Terrym. Jeden człowiek w dwóch miejscach naraz. Bo on tu był, Ralph. Jestem tego pewna.

Zanim odpowiedział, zabrzęczał dzwonek u drzwi. Ralph włożył sportową marynarkę, żeby zasłonić glocka u pasa, i zszedł na dół.

Na ganku stał prokurator okręgowy Bill Samuels, dziwnie niepodobny do siebie – w dżinsach i prostej niebieskiej koszulce.

– Zadzwonił do mnie Howard. Powiedział, że umówiliście się na spotkanie, „luźną naradę w sprawie Maitlanda", jak to ujął, w jego kancelarii, i zasugerował, że może ja też chciałbym przyjść. Pomyślałem, że pójdę z tobą, jeśli nie masz nic przeciwko.

– W sumie nie mam – rzucił Ralph. – Ale komu jeszcze o tym powiedziałeś? Komendantowi Gellerowi? Szeryfowi Doolinowi?

– Nikomu. Nie jestem geniuszem, ale i nie wypadłem sroce spod ogona.

Jeannie dołączyła do Ralpha przy drzwiach, szukając czegoś w torebce.

– Cześć, Bill. Ty tutaj?

Samuels uśmiechnął się niewesoło.

– Prawdę mówiąc, sam jestem zaskoczony. Ta sprawa jest jak zombi, który nie chce na dobre umrzeć.

– Co twoja była sądzi o tym wszystkim? – spytał Ralph, a widząc wzrok Jeannie, dodał: – Wybacz, jeśli wsadzam nos w nie swoje sprawy.

– Och, rozmawialiśmy o tym – powiedział Samuels. – Chociaż może inaczej: ona mówiła, ja słuchałem. Uważa, że przyłożyłem rękę do zabójstwa Maitlanda, i w sumie ma trochę racji. – Próbował się uśmiechnąć, ale nie do końca mu się udało. – Tylko skąd mieliśmy wiedzieć, Ralph? Powiedz mi. Sprawa była jasna, nie? Patrząc wstecz… wiedząc, co wtedy wiedzieliśmy… czy możesz z ręką na sercu powiedzieć, że cokolwiek zrobiłbyś inaczej?

– Tak – odparł Ralph. – Nie aresztowałbym go na oczach całego cholernego miasta i dopilnowałbym, żeby wszedł do sądu tylnym wejściem. A teraz chodźmy, bo się spóźnimy.

MACY’S MÓWI GIMBELS WSZYSTKO

25 lipca

1

Holly ostatecznie nie poleciała klasą biznesową, choć mogłaby, gdyby wybrała lot Deltą o 10:15; wtedy byłaby w Cap City o 12:30. Ponieważ jednak chciała spędzić jeszcze trochę czasu w Ohio, zdecydowała się na męczącą trzyetapową podróż małymi samolotami linii regionalnych, które pewnie niemiłosiernie ją wytrzęsą w niespokojnym lipcowym powietrzu. Będzie ciasno i niezbyt przyjemnie, ale jakoś to zniesie. Trudniej jej się było pogodzić z czymś innym: do Flint City dotrze dopiero o szóstej po południu, a i to, jeśli wszystko się idealnie ułoży. Spotkanie w kancelarii mecenasa Golda miało się zacząć o siódmej, a nic jej tak nie denerwowało jak własna niepunktualność. Kto się spóźnia, nie robi dobrego pierwszego wrażenia.

Spakowała swoje nieliczne rzeczy, wymeldowała się z hotelu i pojechała do oddalonego o czterdzieści pięć kilometrów Regis. Najpierw zatrzymała się przed domem, w którym Heath Holmes spędzał urlop wraz z matką. Stał zamknięty na głucho, okna były zabite deskami, prawdopodobnie dlatego, że wandale ćwiczyli na nich rzuty do celu. Tabliczka na trawniku, który pilnie wymagał skoszenia, głosiła: „Na sprzedaż. Informacje w First National Bank w Dayton”.

Holly obejrzała dom. Wiedziała, że miejscowe dzieciaki niebawem zaczną szeptać (o ile już nie zaczęły), że jest nawiedzony, i zadumała się nad naturą tragedii. Tragedia, jak odra, świnka czy różyczka, jest zaraźliwa. Tym, co ją odróżnia od tych chorób, jest brak szczepionki. Śmierć Franka Petersona we Flint City zaraziła całą jego nieszczęsną rodzinę i rozeszła się po całym mieście. Wątpiła, czy podobnie było

na tym podmiejskim osiedlu, gdzie ludzi nie łączyły tak silne więzi, ale rodzina Holmesów z całą pewnością przepadła; został po nich tylko ten pusty dom.

Zastanowiła się, czy zrobić zdjęcie zabitego dechami domu z tabliczką „Na sprzedaż" na pierwszym planie – to byłby przejmujący obraz smutku i przemijania – ale zrezygnowała z tego. Niektórzy ludzie, których dziś pozna, może by zrozumieli, może poczuliby to, co ona, ale większość pewnie nie. Dla nich to byłaby tylko fotografia.

Z domu Holmesów pojechała na Cmentarz Spokojnego Spoczynku na obrzeżach miasta. Tutaj znalazła rodzinę w komplecie: ojciec, matka i jedyny syn. Nie było kwiatów; kamień wyznaczający miejsce spoczynku Heatha Holmesa został przewrócony. To samo pewnie spotkało nagrobek Terry'ego Maitlanda. Smutek jest zaraźliwy; gniew też. Kamień nagrobny Holmesa był mały, z samym nazwiskiem, datami i zaschniętą plamą po czymś, co mogło być jajkiem. Z pewnym wysiłkiem postawiła go z powrotem. Nie łudziła się, że długo tak postoi, ale człowiek robi, co może.

– Nikogo pan nie zabił, panie Holmes, prawda? Był pan po prostu w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym momencie. – Z pobliskiego grobu pożyczyła parę kwiatków, żeby rozsypać je na mogile Heatha. Zerwane kwiaty to marny symbol pamięci o zmarłym, bo przecież są martwe, ale lepsze to niż nic. – Błoto jednak na dobre do pana przylgnęło. Nikt stąd nie uwierzyłby w prawdę. Ludzie, których dziś spotkam, pewnie też nie uwierzą.

Mimo to spróbuje ich przekonać. Człowiek robi, co może – czy chodzi o stawianie przewróconych nagrobków, czy o próbę przekonania mężczyzn i kobiet żyjących w dwudziestym pierwszym wieku, że na świecie są potwory, a ich największą siłą jest niechęć racjonalnie myślących ludzi do tego, żeby w nie uwierzyć.

Rozejrzała się i zobaczyła grobowiec na pobliskim niskim wzgórzu (w tej części Ohio wszystkie wzgórza były niskie). Podeszła do niego, spojrzała na nazwisko wyryte w granicie nad nadprożem – „Graves", jakże stosowne – i zeszła po trzech kamiennych stopniach. W środku znajdowały się kamienne ławy, na których można było siedzieć i medytować o spoczywających tu Gravesach z dawnych lat. Czy

outsider schował się tutaj, kiedy skończył brudną robotę? Wątpiła, bo każdy – choćby jeden z wandali, którzy przewrócili nagrobek Heatha Holmesa – mógł tu przyjść i zajrzeć do środka. Poza tym po południu słońce przez godzinę, dwie padało na miejsce zadumy, niosąc odrobinę ulotnego ciepła. Jeśli outsider był tym, za kogo go uważała, wolał ciemność. Nie zawsze, co to to nie, ale w pewnych okresach. Kluczowych okresach. Nie wszystko jeszcze ustaliła, ale tego była prawie pewna. I czegoś jeszcze: zabijanie może i jest treścią jego życia, ale smutek to jego pożywienie. Smutek i gniew.

Nie, nie odpoczywał w tym grobowcu, ale przypuszczała, że był na tym cmentarzu, może nawet jeszcze przed śmiercią Mavis Holmes i jej syna. Holly miała wrażenie (być może złudne, zdawała sobie z tego sprawę), że czuje zapach jego obecności. Tę samą woń roztaczał Brady Hartsfield: smród czegoś nienaturalnego. Bill wiedział o tym, pielęgniarki, które zajmowały się Hartsfieldem, też, choć rzekomo był w częściowej katatonii.

Powoli, z torbą obijającą się o biodro, poszła na mały parking za cmentarną bramą. Jej prius czekał samotnie w popołudniowym skwarze. Ominęła go, po czym pomału obróciła się o trzysta sześćdziesiąt stopni, uważnie oglądając każdy element otoczenia. Niedaleko były tereny rolnicze – czuła zapach nawozu – ale tu ciągnął się brzydki, jałowy pas porzuconych zakładów przemysłowych. Zdjęć tej okolicy na pewno nie zamieszczano w broszurach promocyjnych Izby Handlowej (o ile w Regis w ogóle była Izba Handlowa). Nie było tu żadnych atrakcji. Nic nie przyciągało wzroku, przeciwnie – wszystko go odpychało, jakby sama ziemia mówiła: Idź sobie, nie masz tu czego szukać, żegnaj, nie wracaj. Owszem, był cmentarz, ale po nadejściu zimy niewielu będzie na niego zaglądać, a mroźny północny wiatr szybko przegna tych, którzy przyjadą uczcić pamięć bliskich.

Na północy biegły tory kolejowe, ale szyny zardzewiały, a między podkładami wyrosły chwasty. Była też dawno nieużywana stacja, z oknami zabitymi deskami podobnie jak te w domu Holmesów. Za nią, na bocznicy, stały dwa samotne wagony, z kołami tonącymi w pnączach. Wyglądały, jakby były tam od czasu wojny w Wietnamie. Blisko opuszczonej stacji znajdowały się dawno

nieczynne magazyny i budynki, które Holly uznała za nikomu już niepotrzebne warsztaty naprawcze. Za nimi, w gąszczu słoneczników i krzaków, wznosiła się zniszczona fabryka. Na popękanych różowych cegłach, które dawno temu były czerwone, ktoś wymalował swastykę. Po jednej stronie drogi prowadzącej z powrotem do miasta przekrzywiony billboard oznajmiał: „Aborcja zatrzymuje bijące serce! Wybierz życie!". Po drugiej był długi, niski budynek z wybrakowanym szyldem na dachu: „Eks resowa myjnia automatyczna". Na pustym parkingu przed nim po raz drugi tego dnia zobaczyła tabliczkę: „Na sprzedaż. Informacje w First National Bank w Dayton".

Myślę, że tu byłeś. Nie w grobowcu, ale gdzieś blisko. Gdzieś, gdzie mogłeś czuć zapach łez, kiedy wiatr wiał we właściwym kierunku. Gdzie mogłeś słyszeć śmiech mężczyzn albo chłopców, którzy przewrócili nagrobek Heatha Holmesa, a potem pewnie nasikali na jego mogiłę.

Pomimo upału Holly było zimno. Gdyby miała więcej czasu, może obejrzałaby te puste budynki. Zagrożenia nie było; outsider dawno wyjechał z Ohio. Z Flint City pewnie też.

Zrobiła cztery zdjęcia: stacji kolejowej, wagonów, fabryki, porzuconej myjni. Obejrzała je i zdecydowała, że to wystarczy. Nie miała innego wyjścia. Musiała zdążyć na samolot.

Tak, a potem przekonać ludzi.

Nie wiedziała, czy da radę. W tej chwili czuła się bardzo mała i samotna. Łatwo było sobie wyobrazić śmiech i drwiny; takie myśli przychodziły jej naturalnie. Ale spróbuje. Musi spróbować. Dla tych zamordowanych dzieci, owszem – Franka Petersona, sióstr Howard i wszystkich, którzy zginęli przed nimi – ale też dla Terry'ego Maitlanda i Heatha Holmesa. Człowiek robi, co może.

Musiała zajrzeć w jeszcze jedno miejsce. Na szczęście było po drodze.

2

Starszy pan siedzący na ławce w parku dzielnicowym w Trotwood ochoczo wytłumaczył jej, gdzie znaleziono ciała „tych biedulek". „To niedaleko, nie sposób tego miejsca przeoczyć", powiedział.

Nie przeoczyła.

Zjechała na pobocze, wysiadła i wbiła wzrok w wąwóz, który ludzie pogrążeni w żałobie – i amatorzy mocnych wrażeń udający pogrążonych w żałobie – próbowali przemienić w miejsce pamięci. Były skrzące się brokatem kartki, na których w oczy rzucały się słowa „żal" i „niebo". Były baloniki, niektóre częściowo sflaczałe, inne nowe i świeżo nadmuchane, mimo że od znalezienia Amber i Jolene Howard upłynęły już trzy miesiące. Była figurka Maryi, której jakiś dowcipniś domalował wąsy. Był pluszowy miś, który przyprawił Holly o dreszcz obrzydzenia; jego pulchne brązowe ciało obrosło pleśnią.

Zrobiła zdjęcie swoim iPadem.

Nie było ani śladu zapachu, który czuła (a przynajmniej wydawało się jej, że czuje) na cmentarzu, ale nie wątpiła, że outsider odwiedził to miejsce jakiś czas po odnalezieniu ciał Amber i Jolene, żeby delektować się rozpaczą pielgrzymujących do tego prowizorycznego sanktuarium jak dobrym starym burgundem. A także podnieceniem tych – wielu ich nie było, ale kilku na pewno się znalazło, tacy zawsze się znajdowali – którzy przyszli wyobrażać sobie, jak by to było zrobić coś takiego, co spotkało siostry Howard, i słuchać ich krzyków.

Tak, przyszedłeś, ale nie za wcześnie. Zaczekałeś, aż nabrałeś pewności, że nie wzbudzisz niepożądanego zainteresowania, tak jak w dniu, kiedy brat Franka Petersona zastrzelił Terry'ego Maitlanda.

– Tylko że przy tamtej okazji nie oparłeś się pokusie, prawda? – mruknęła Holly. – To byłoby tak, jakby wygłodniały miał zrezygnować z kolacji na Święto Dziękczynienia wraz ze wszystkimi dodatkami.

Przed jej priusem stanął minivan. Po jednej stronie jego zderzaka była naklejka „Taksówka mamy", po drugiej – „Wierzę w drugą poprawkę i głosuję". Z samochodu wysiadła kobieta, elegancko ubrana, pulchna, ładna, po trzydziestce. W ręku trzymała bukiet kwiatów. Podeszła i uklękła, położyła bukiet obok drewnianego krzyża z napisem „Dziewczynki" na jednym ramieniu i „Z Jezusem" na drugim. Wstała.

– Strasznie to smutne, prawda? – zwróciła się do Holly.

– Tak.

– Jestem chrześcijanką, ale cieszę się, że człowiek, który to zrobił, nie żyje. Naprawdę się cieszę. I cieszę się, że poszedł do piekła. Czy to źle o mnie świadczy?

– Nie poszedł do piekła – powiedziała Holly.

Kobieta odchyliła się, jakby dostała w twarz.

– On niesie piekło ze sobą.

Holly pojechała na lotnisko w Dayton. Miała lekkie opóźnienie, ale oparła się pokusie przekroczenia dozwolonej prędkości. Przepisy nie bez powodu są przepisami.

3

To, że musiała lecieć samolotami linii regionalnych (puszkolotami, jak nazywał je Bill), miało swoje zalety. Po pierwsze, ostatni etap podróży kończył się na lotnisku Kiowa w okręgu Flint, co oszczędzi jej ponadstukilometrowej jazdy z Cap City. Przesiadki umożliwiły jej też dalsze zbieranie materiałów. W czasie krótkich przerw między lotami korzystała z lotniskowych wi-fi, żeby jak najszybciej ściągnąć możliwie najwięcej informacji. Podczas samych lotów czytała to, co pobrała z sieci, szybko przewijając tekst, tak skupiona, że prawie nie słyszała okrzyków przerażenia, kiedy jej drugi samolot, turbośmigłowy, z miejscami dla trzydziestu pasażerów, wpadł w dziurę powietrzną i runął niczym winda.

Dotarła do celu podróży z zaledwie pięciominutowym opóźnieniem. Dzięki temu, że przyspieszyła kroku, pierwsza wpadła do Hertza, ściągając na siebie nieprzychylne spojrzenie obładowanego torbami faceta w typie akwizytora, którego wyprzedziła na ostatniej prostej. W drodze do miasta, widząc, jak mało czasu zostało, uległa pokusie i przekroczyła dozwoloną prędkość. Ale tylko o pięć kilometrów na godzinę.

4

– To ona. Na pewno.

Howie Gold i Alec Pelley stali przed budynkiem, w którym mieściła się kancelaria Howiego. Howie pokazywał palcem szczupłą kobietę w szarym kostiumie i białej bluzce, biegnącą truchtem po chodniku z dużą torbą na ramieniu obijającą się o smukłe biodro. Jej drobną twarz okalały krótko obcięte włosy, z siwiejącą grzywką, która sięgała tuż ponad brwi. Usta miała lekko podmalowane wyblakłą szminką, ale poza tym nie nosiła makijażu. Słońce już opadało za horyzont, wciąż jednak było upalnie i po jednym jej policzku spływała strużka potu.

– Pani Gibney? – Howie zrobił krok do przodu.

– Tak – wysapała. – Spóźniłam się?

– Właściwie jesteś dwie minuty przed czasem – powiedział Alec. – Może wezmę od ciebie torbę? Wygląda na ciężką.

– Nie trzeba – odparła, przenosząc wzrok z krępego, łysiejącego adwokata na detektywa, który ją zatrudnił. Pelley, co najmniej piętnaście centymetrów wyższy od swojego szefa, miał siwiejące włosy zaczesane do tyłu; tego wieczoru ubrany był w luźne jasnobrązowe spodnie i białą koszulę rozpiętą pod szyją. – Czy pozostali już są?

– Większość – powiedział Alec. – Detektyw Anderson… ach, o wilku mowa.

Holly odwróciła się i zobaczyła troje nadchodzących ludzi. Była wśród nich kobieta – w średnim wieku, ale wciąż zachowująca resztki młodzieńczej urody, choć kręgi pod oczami, tylko częściowo zamaskowane podkładem i odrobiną pudru, wskazywały, że ostatnio

nie najlepiej sypia. Po jej lewej ręce szedł chudy, wyraźnie niespokojny mężczyzna, z kogutem sterczącym z pieczołowicie ujarzmionych włosów. A po prawej…

Detektyw Anderson był wysokim mężczyzną o spadzistych ramionach i brzuchu, który pewnie zmieni się w sterczące brzuszysko, jeśli jego właściciel nie będzie się więcej ruszał i lepiej odżywiał. Głowę miał lekko wychyloną do przodu, jasnoniebieskie oczy mierzyły Holly z góry na dół i z boku na bok. Nie był Billem, oczywiście, że nie, Bill nie żyje od dwóch lat i nigdy nie wróci – poza tym był dużo młodszy niż Bill wtedy, kiedy Holly go poznała – jednak z jego twarzy biła ta sama żywa ciekawość. Trzymał kobietę za rękę, co wskazywało, że to była pani Anderson. Ciekawe, że z nim przyszła.

Przedstawili się sobie. Szczupłym mężczyzną z kogutem okazał się prokurator okręgu Flint William („Proszę, mów mi Bill") Samuels.

– Chodźmy na górę schronić się przed tym upałem – zaproponował Howie.

Pani Anderson – Jeanette – zapytała Holly, jak minął lot, a Holly odpowiedziała tak, jak wypadało. Potem odwróciła się do Howiego i spytała, czy w pokoju, w którym będą rozmawiali, jest sprzęt audio-wideo. Odpowiedział, że oczywiście i że może z niego śmiało skorzystać, gdyby miała coś do pokazania. Kiedy wyszli z windy, zapytała o damską ubikację.

– Skoczyłabym tam na minutkę. Przyjechałam prosto z lotniska.

– Oczywiście. Korytarzem do końca, potem w lewo. Powinna być otwarta.

Holly bała się, że pani Anderson wpadnie na pomysł, by pójść z nią, ale Jeanette tego nie zaproponowała. I dobrze. Rzeczywiście musiała się wysikać („odcedzić kartofelki", jak mawiała jej matka), ale miała do zrobienia coś znacznie ważniejszego, coś, czym mogła się zająć tylko w całkowitym odosobnieniu.

W kabinie, z zadartą spódnicą i torbą między praktycznymi mokasynami, Holly zamknęła oczy. Pamiętając o tym, że takie pomieszczenia, wyłożone płytkami, są naturalnymi wzmacniaczami dźwięku, modliła się w milczeniu.

To znowu ja, Holly Gibney, i potrzebuję pomocy. Wiesz, że nie za dobrze radzę sobie z nieznajomymi, nawet kiedy spotykam się z nimi sam na sam, a dziś mam do czynienia z sześcioma naraz. Siedmioma, jeśli przyszła też wdowa po panu Maitlandzie. Nie to, że panikuję, ale skłamałabym, gdybym powiedziała, że się nie boję. Bill potrafił robić takie rzeczy, ale ja nie jestem taka jak on. Pomóż mi po prostu załatwić to tak, jak załatwiłby to Bill. Pomóż mi zrozumieć ich naturalny sceptycyzm i nie bać się go.

Zakończyła na głos, ale szeptem:

– Proszę, Boże, spraw, żebym tego nie spitoliła. – Zrobiła pauzę, po czym dodała: – Nie palę.

5

Spotkanie odbyło się w sali konferencyjnej Howarda Golda i choć była mniejsza od tej w *Żonie idealnej* (Holly obejrzała wszystkie siedem sezonów, a teraz przeszła do kontynuacji), wyglądała bardzo ładnie. Gustowne obrazy, wypolerowany stół z mahoniu, skórzane krzesła. Pani Maitland rzeczywiście przyszła. Siedziała po prawej ręce pana Golda, który zajął miejsce u szczytu stołu. Kiedy zapytał, kto pilnuje jej dziewczynek, obdarzyła go bladym uśmiechem.

– Lukesh i Chandra Patel zgłosili się na ochotnika. Ich syn był w drużynie Terry'ego. Tak się złożyło, że Baibir stał na trzeciej bazie, kiedy… – Spojrzała na detektywa Andersona. – Kiedy twoi ludzie go aresztowali. Był zdruzgotany. Nie rozumiał, co się dzieje.

Anderson w milczeniu założył ręce na piersi. Żona położyła dłoń na jego ramieniu i szepnęła coś, czego nie miał usłyszeć nikt inny. Kiwnął głową.

– Ogłaszam początek zebrania – odezwał się pan Gold. – Nie mamy ustalonego porządku dziennego, ale może zacznie nasz gość. To jest Holly Gibney, prywatna detektyw, której Alec zlecił zbadanie wydarzeń w Dayton, potencjalnie związanych z tą sprawą. Czy powiązanie rzeczywiście istnieje, to właśnie między innymi musimy dziś w miarę możliwości ustalić.

– Nie jestem prywatnym detektywem – sprostowała Holly. – To mój wspólnik, Peter Huntley, ma licencję detektywistyczną. Nasza firma zajmuje się głównie ściganiem dłużników i zbiegów. Od czasu do czasu prowadzimy śledztwa kryminalne, ale tylko kiedy nie ma zagrożenia, że narazimy się policji. Na przykład odnaleźliśmy dużo zaginionych zwierząt.

To zabrzmiało żałośnie. Poczuła wypieki na twarzy.

– Pani Gibney jest przesadnie skromna – powiedział Alec. – O ile wiem, przyczyniłaś się do wytropienia niebezpiecznego zbiega nazwiskiem Morris Bellamy.

– To śledztwo prowadził mój wspólnik. Mój pierwszy wspólnik. Bill Hodges. Już nie żyje, panie Pelley… Alec… jak wiesz.

– Tak. Przykro mi z tego powodu.

Ktoś odchrząknął. Latynos, którego detektyw Anderson przedstawił jako Yunela Sablo z policji stanowej.

– Z tego, co wiem – odezwał się – razem z panem Hodgesem prowadziła pani też śledztwo w sprawie spowodowania katastrofy w ruchu lądowym i planowanego zamachu terrorystycznego. Chodziło o młodego człowieka nazwiskiem Hartsfield. Słyszałem, że pani, pani Gibney, osobiście powstrzymała go, zanim doprowadził do wybuchu w zatłoczonej sali koncertowej. Gdyby nie pani, mogłyby zginąć tysiące młodych ludzi.

Wokół stołu przebiegł szmer. Holly czuła, że twarz pali ją coraz mocniej. Chciałaby powiedzieć im, że zawiodła, że powstrzymała mordercze zapędy Brady'ego tylko na jakiś czas, że potem wrócił, by doprowadzić do śmierci kolejnych ludzi, zanim unieszkodliwili go na dobre, ale wiedziała, że to nie pora ani miejsce na takie wyznania.

Porucznik Sablo jeszcze nie skończył:

– Zdaje się, że władze miasta panią odznaczyły?

– Odznaczyły całą naszą trójkę, ale sprowadziło się to do tego, że dostaliśmy złoty klucz i dziesięć lat darmowych przejazdów komunikacją miejską. – Popatrzyła po ich twarzach, nieprzyjemnie świadoma, że wciąż czerwieni się jak szesnastolatka. – To było dawno temu. Co się tyczy tej sprawy, wolałabym przedstawić mój raport na końcu. Wnioski też.

– Żeby było jak w ostatnim rozdziale klasycznego brytyjskiego kryminału – stwierdził Gold z uśmiechem. – Wszyscy po kolei powiemy, co wiemy, po czym pani wstanie i zadziwi nas swoim wyjaśnieniem, kto zabił i dlaczego.

– Powodzenia – wtrącił Bill Samuels. – Na samą myśl o sprawie Petersona głowa mnie boli.

– Myślę, że mamy większość elementów układanki – powiedziała Holly. – Sądzę jednak, że wciąż nie wszystkie zostały wyłożone na stół. Tym, co mi się ciągle przypomina… na pewno uznacie, że to głupie… chodzi o stare powiedzenie: Macy's nic nie mówi Gimbels. Ale skoro teraz Macy's i Gimbels siedzą przy jednym stole…

– O Saks, Nordstrom's i innych zawyżaczach marży nie wspominając – powiedział Howie. Widząc minę Holly, dodał: – Nie drwię z pani, pani Gibney, zgadzam się z panią. Wszystkie karty na stół. Kto zacznie?

– Może Yune – podsunął Anderson. – Skoro ja jestem na urlopie administracyjnym.

Yune położył teczkę na stole i wyjął laptopa.

– Panie Gold, pokaże mi pan, jak działa to ustrojstwo do wyświetlania?

Howie spełnił prośbę, a Holly uważnie się przyglądała, żeby sama wiedziała, jak się posługiwać tym sprzętem, kiedy przyjdzie jej kolej. Po podłączeniu właściwych kabelków Gold przygasił światło.

– No dobrze – zaczął Yune. – Z góry przepraszam, pani Gibney, jeśli ubiegnę panią w przedstawieniu części faktów, które ustaliła pani w Dayton.

– Nie ma za co – odparła Holly.

– Rozmawiałem z kapitanem Billem Darwinem z policji w Dayton i z sierżantem George'em Highsmithem z policji w Trotwood. Kiedy im powiedziałem, że mieliśmy podobną sprawę i że oba zabójstwa może ze sobą łączyć skradziony biały van widziany w pobliżu miejsc zbrodni – naszego i ich – byli skorzy do pomocy. Dzięki cudom telekomunikacji powinienem mieć tu wszystko, co trzeba. O ile, oczywiście, ten gadżet będzie działał.

Na ekranie pojawił się pulpit komputera Yune'a. Kliknął na plik o nazwie „Holmes". Oczom zebranych ukazało się zdjęcie mężczyzny w pomarańczowym kombinezonie aresztanta. Miał krótko przystrzyżone kasztanowe włosy i zarost na policzkach. Lekko przymrużone oczy nadawały mu wygląd człowieka posępnego albo po prostu osłupiałego nagłym zwrotem w jego życiu. Holly widziała tę fotografię policyjną na pierwszej stronie „Dayton Daily News" z trzydziestego kwietnia.

– To jest Heath James Holmes – powiedział Yune. – Trzydzieści cztery lata. Aresztowany za zabójstwo Amber i Jolene Howard. Mam zdjęcia dziewczynek zrobione na miejscu zbrodni, ale nie pokażę ich wam, bo nie moglibyście potem zasnąć. Powiem tylko, że tak potwornych obrażeń nie widziałem jeszcze nigdy.

Odpowiedziało mu milczenie siedmiorga ludzi wpatrzonych w ekran. Jeannie ściskała ramię męża. Marcy patrzyła na zdjęcie Holmesa jak zahipnotyzowana, z dłonią na ustach.

– Pomijając aresztowanie w latach młodości za przejażdżkę skradzionym samochodem i dwa mandaty za jazdę z nadmierną prędkością, kartoteka Holmesa jest czysta. Oceny wystawiane mu co pół roku, najpierw w szpitalu Kindred, potem w Ośrodku Leczenia Zaburzeń Pamięci imienia Heismana, są doskonałe. Współpracownicy i pacjenci nie mogli się go nachwalić. Padają uwagi typu „zawsze przyjazny", „autentycznie troskliwy" i „robi więcej, niż się od niego oczekuje".

– Tak samo ludzie mówili o Terrym – mruknęła Marcy.

– To o niczym nie świadczy – zaprotestował Samuels. – Teda Bundy'ego też chwalono.

Yune mówił dalej:

– Holmes powiedział współpracownikom, że zamierza spędzić tygodniowy urlop u matki w Regis, małej mieścinie, położonej czterdzieści pięć kilometrów na północ od Dayton i Trotwood. W czasie, kiedy on był na urlopie, listonosz roznoszący pocztę znalazł ciała sióstr Howard. Zobaczył wielkie stado wron w wąwozie półtora kilometra od domu Howardów i zatrzymał się, żeby sprawdzić, co je tam przyciągnęło. Biorąc pod uwagę, co znalazł, dziś pewnie żałuje, że to zrobił.

Kliknął i na miejscu zarostu i przymrużonych oczu Holmesa pojawiły się dwie jasnowłose dziewczynki. Zdjęcie zostało zrobione na jarmarku albo w parku rozrywki; Holly widziała karuzelę Tilt-A-Whirl w tle. Amber i Jolene uśmiechały się, z dumą pokazując do aparatu rożki z watą cukrową, jakby wygrały je w konkursie.

– Nie żebym zrzucał winę na ofiary, ale siostry Howard były dość niesforne. Matka alkoholiczka, ojciec nieobecny, ubogi dom w podłej dzielnicy. W szkole miały opinię „zagrożonych demoralizacją" i kilka

razy zdarzyło się im wagarować. To samo zrobiły w poniedziałek dwudziestego trzeciego kwietnia koło dziesiątej rano. Amber miała wtedy okienko, a Jolene wyszła z klasy pod pretekstem, że musi skorzystać z ubikacji, co znaczy, że pewnie zaplanowały to z wyprzedzeniem.

– Ucieczka z Alcatraz – skwitował Bill Samuels.

Nikt się nie zaśmiał.

Yune kontynuował:

– Parę minut przed dwunastą widziano je w małym sklepie spożywczym kilka przecznic od szkoły. To kadr ze sklepowego monitoringu.

Czarno-biały obraz był czysty i wyraźny. Jak ze starego filmu noir, pomyślała Holly. Wbiła wzrok w płowowłose dziewczynki. Jedna trzymała dwa napoje, a druga dwa batony. Miały na sobie dżinsy i T-shirty. Nie wyglądały na zadowolone; dziewczynka z batonami wymierzyła w coś palec, jej usta były szeroko otwarte, czoło zmarszczone.

– Sprzedawca wiedział, że o tej porze powinny być w szkole, i nie chciał ich obsłużyć.

– Ja myślę – stwierdził Howie. – Prawie słychać, jak ta starsza wygarnia mu, co o tym sądzi.

– Fakt – przyznał Yune. – Ale nie to jest najciekawsze. Spójrzcie w prawy górny róg ekranu. Kto jest na chodniku i zagląda przez witrynę? Czekajcie, zrobię zbliżenie.

Marcy szepnęła bardzo cicho coś, co brzmiało jak „Chryste".

– To on, prawda? – rzucił Samuels. – Holmes. Obserwuje je.

Yune kiwnął głową.

– Ten sprzedawca to ostatni świadek, który widział Amber i Jolene żywe. Ale potem uchwyciła je jeszcze co najmniej jedna kamera.

Ponownie kliknął i na ekranie pojawił się kolejny kadr z kamery monitoringowej. Ta utkwiła swoje elektroniczne oko w dystrybutorach paliwa. W rogu widniała godzina 12:19 i data 23 kwietnia. Holly uznała, że to musi być zdjęcie, o którym mówiła jej informatorka, pielęgniarka z Ośrodka Leczenia Zaburzeń Pamięci. Candy Wilson przypuszczała, że samochodem, który został na nim utrwalony, był pikap Holmesa, „podrasowany" chevy tahoe. Ale się

myliła. Kadr przedstawiał Heatha Holmesa zmierzającego do furgonetki, na której widniał napis: „Pielęgnacja ogrodów i basenów w Dayton”. Przypuszczalnie chwilę wcześniej zapłacił za paliwo i teraz wracał do wozu, niosąc po jednym napoju w każdym ręku. Amber, starsza z sióstr Howard, sięgała po nie przez okno od strony kierowcy.

– Kiedy ukradziono tę furgonetkę? – spytał Ralph.

– Czternastego kwietnia – odparł Yune.

– Czyli gdzieś ją schował, dopóki nie był gotowy. Co znaczy, że to zaplanował.

– A te dziewczynki… tak po prostu z nim wsiadły? – spytała Jeannie.

Yune wzruszył ramionami.

– Jeszcze raz powtarzam, nie chcę zrzucać winy na ofiary, trudno winić dwójkę małych dzieci za dokonywanie złych wyborów, ale to zdjęcie rzeczywiście wskazuje, że były z nim dobrowolnie, przynajmniej na początku. Pani Howard powiedziała sierżantowi Highsmithowi, że starsza z sióstr miała w zwyczaju „łapać okazję”, kiedy chciała gdzieś pojechać, mimo że wiele razy ją przestrzegano, jakie to niebezpieczne.

Holly stwierdziła, że te dwa zdjęcia z monitoringu opowiadają prostą historię. Outsider zobaczył, że sprzedawca ze spożywczego nie chciał obsłużyć dziewczynek, zaproponował więc, że kupi im napoje i słodycze, kiedy zatrzyma się po paliwo. Potem mógł obiecać, że zawiezie je do domu czy dokądkolwiek będą chciały pojechać. Bo jest miłym gościem, który chce pomóc dwu wagarowiczkom – kurczę, sam kiedyś był młody.

– Następnie Holmesa widziano tuż po szóstej po południu – ciągnął Yune. – W Waffle House na obrzeżach Dayton. Miał krew na twarzy, dłoniach i koszuli. Wyjaśnił kelnerce i kucharzowi, że dostał krwotoku z nosa, i obmył się w męskiej ubikacji. Potem zamówił coś na wynos. Kiedy wychodził, kucharz i kelnerka zauważyli, że plamy krwi miał też na plecach koszuli i z tyłu spodni, co trochę się kłóciło z jego wyjaśnieniami, bo ludzie przeważnie mają nos z przodu. Kelnerka zapisała jego numer rejestracyjny i zadzwoniła na policję. Potem

oboje zidentyfikowali Holmesa na zdjęciu. Trudno nie rozpoznać tych kasztanowych włosów.

– Do Waffle House przyjechał tą samą furgonetką? – spytał Ralph.

– Uhm. Niedługo po tym, jak listonosz natknął się na ciała dziewczynek, znaleziono ją porzuconą na parkingu miejskim w Regis. W tylnej części dużo krwi, wszędzie pełno odcisków palców Holmesa i obu sióstr. Niektóre we krwi. I znów podobieństwo do zabójstwa Franka Petersona jest bardzo duże. Powiedziałbym: uderzające.

– W jakiej odległości od jego domu w Regis znaleziono tę furgonetkę? – spytała Holly.

– Kilkuset metrów. Policja przyjęła hipotezę, że porzucił ją, wrócił pieszo do domu, zmienił zakrwawione ubranie i ugotował mamie smaczną kolację. Odciski palców prawie od razu znaleziono w bazie, ale minęło parę dni, zanim udało się załatwić wszystkie formalności związane z przypisaniem do nich nazwiska.

– Bo Holmes był karany, ale tylko jako nieletni – domyślił się Ralph.

– *Sí, señor*. Dwudziestego szóstego kwietnia Holmes przyszedł do Ośrodka Leczenia Zaburzeń Pamięci. Kiedy jego przełożona, pani June Kelly, zainteresowała się, co tam robi w czasie urlopu, powiedział, że musi wziąć coś ze swojej szafki i pomyślał, że przy okazji zajrzy do paru swoich pacjentów. Trochę ją to zdziwiło, bo choć pielęgniarki rzeczywiście mają szafki, to sanitariusze trzymają swoje rzeczy w takich plastikowych schowkach w pokoju socjalnym. Poza tym pracownikom od początku się wpaja, że klientów zakładu mają nazywać pensjonariuszami, a Holmes zazwyczaj mówił na nich po prostu chłopcy i dziewczęta. Tak z sympatii. W każdym razie jedną z osób, do których zajrzał tego dnia, był ojciec Terry'ego Maitlanda. To w jego łazience policja znalazła jasne włosy. Włosy, które, jak wykazały badania, należały do Jolene Howard.

– A to się korzystnie złożyło – odezwał się Anderson. – Nikomu nie przyszło do głowy, że mogły zostać podrzucone?

– I bez tego było tyle dowodów, że przyjęli, iż facet był nieostrożny albo chciał, żeby go złapali – wyjaśnił Yune. – Furgonetka, odciski palców, zdjęcia z monitoringu… majtki dziewczynek znalezione w piwnicy… i wisienka na torcie, czyli wyniki badań genetycznych. DNA w wymazach z policzków pobranych po aresztowaniu okazało

się zgodne z zawartym w spermie pozostawionej przez sprawcę na miejscu zbrodni.

– Mój Boże… – westchnął Bill Samuels. – I znów to samo déjà vu.

– Z jednym dużym wyjątkiem – zauważył Yune. – Heath Holmes nie miał tyle szczęścia, żeby sfilmowano go na odczycie, który odbywał się w czasie uprowadzenia i zabójstwa sióstr Howard. Jego matka przysięgała, że przez cały czas był w Regis, ani razu nie pojechał do Heismana, a już na pewno nie do Trotwood. „Bo i po co? To gówniana dziura pełna gównianych ludzi", powiedziała.

– Jej zeznanie nie zrobiłoby żadnego wrażenia na przysięgłych – stwierdził Samuels. – Każda matka skłamie, żeby uratować syna.

– Inni ludzie z okolicy widzieli go w czasie urlopu – ciągnął Yune. – Skosił matce trawnik, naprawił rynny, pomalował ganek, pomógł sąsiadce z naprzeciwka posadzić kwiaty. To było w dniu uprowadzenia sióstr Howard. Poza tym trudno było nie zauważyć tej jego podrasowanej fury, kiedy jeździł na zakupy.

– Czy był z tą sąsiadką w czasie zabójstwa dziewczynek? – spytał Howie.

– Według niej koło dziesiątej rano. Trochę za wcześnie, żeby uznać to za wystarczające alibi. Z Regis jest znacznie bliżej do Trotwood niż z Flint do Cap City. Gliny przyjęły hipotezę, że kiedy tylko skończył pomagać sąsiadce z jej petuniami czy co to tam było, pojechał na parking miejski, przesiadł się z tahoe do furgonetki i wyruszył na łowy.

– Terry rzeczywiście miał więcej szczęścia niż pan Holmes – stwierdziła Marcy, patrząc najpierw na Ralpha, a potem na Billa Samuelsa. Ralph napotkał jej spojrzenie; Samuels nie chciał albo nie mógł. – Ale i tak za mało.

– Mam jeszcze jeden szczegół czy, jak powiedziałaby pani Gibney, jeszcze jeden element układanki – podjął Yune. – Ale zanim go ujawnię, chciałbym, żeby Ralph w skrócie przedstawił ustalenia śledztwa w sprawie Maitlanda, wszystko, co przemawiało za nim i przeciwko niemu.

Ralph szybko się uwinął; mówił krótkimi zdaniami, jakby zeznawał w sądzie. Pamiętał, żeby przytoczyć słowa Claude'a Boltona – że Terry drasnął go paznokciem, ściskając mu dłoń. Opowiedziawszy

o znalezisku w Canning – spodniach, majtkach, skarpetach, adidasach i braku koszuli – wrócił do mężczyzny, którego widział na schodach przed sądem. Powiedział, że nie jest pewien, czy osłonił swoją pokrytą bliznami i prawdopodobnie bezwłosą głowę koszulą, w której Terry był na dworcu w Dubrow, ale że bierze pod uwagę taką możliwość.

– Przed sądem musiały być kamery telewizyjne – zauważyła Holly. – Sprawdziliście to?

Ralph i porucznik Sablo wymienili spojrzenia.

– Tak – odparł Ralph. – Ale tego człowieka nigdzie nie widać. Na żadnym z nagrań.

To wywołało ogólne poruszenie. Jeannie znów trzymała go za ramię – a właściwie ściskała. Ralph krzepiąco poklepał ją po dłoni, ale patrzył na kobietę, która przyleciała z Dayton. Holly nie wyglądała na zdumioną. Wydawała się usatysfakcjonowana.

6

– Zabójca sióstr Howard korzystał z furgonetki – powiedział Yune. – A kiedy przestała mu być potrzebna, porzucił ją w miejscu, gdzie była doskonale widoczna. Zabójca Franka Petersona podobnie postąpił z vanem, którym uprowadził chłopca; nawet ściągnął na niego uwagę, wdając się na tyłach pubu Shorty's w rozmowę z dwoma świadkami, tak jak wcześniej Holmes z kucharzem i kelnerką z Waffle House. Policja z Ohio znalazła w furgonetce mnóstwo odcisków palców należących do zabójcy i ofiar; my znaleźliśmy ich dużo w vanie. Ale co najmniej jeden zestaw linii papilarnych z vana był niezidentyfikowany. Przynajmniej do dzisiaj.

Ralph wychylił się do przodu, głęboko skupiony.

– Popatrzcie na to. – Yune przez chwilę robił coś na laptopie. Na ekranie pojawiły się dwa odciski palców. – Te należą do dzieciaka, który ukradł vana w stanie Nowy Jork. Jeden zabezpieczono w vanie, drugi pobrano mu po aresztowaniu w El Paso. Teraz zobaczcie. – Postukał w klawisze i dwa odciski idealnie nałożyły się na siebie. – Czyli Merlina Cassidy'ego mamy z głowy. Kolej na Franka Petersona: jeden odcisk palca pobrany przez lekarza sądowego, drugi pochodzący z vana. – Te też okazały się identyczne. – Teraz Maitland. Jeden odcisk z vana… jeden z wielu, dodam… drugi pobrany po aresztowaniu na komisariacie we Flint City. – Nasunął jeden na drugi. Pełna zgodność.

Marcy westchnęła cicho.

– A teraz przygotujcie się na prawdziwą bombę. Po lewej niezidentyfikowany odcisk palca z vana; po prawej odcisk palca Heatha Holmesa pobrany po jego aresztowaniu w okręgu

Montgomery w Ohio. – Nałożył jeden na drugi. Nie pokrywały się idealnie, ale niewiele brakowało.

Holly pomyślała, że to wystarczyłoby, żeby przekonać ławę przysięgłych. Ją samą przekonało.

– Na pewno zauważyliście kilka drobnych różnic – ciągnął Yune. – To dlatego, że odcisk Holmesa z vana nieco się zatarł, może wskutek upływu czasu. Zachowało się jednak tyle punktów charakterystycznych, że mnie to wystarcza. Heath Holmes w którymś momencie był w tym vanie. To jest nowa informacja.

W sali panowała cisza.

Yune wyświetlił kolejne dwa odciski palców. Ten po lewej był ostry i wyraźny. Holly uświadomiła sobie, że już go widzieli. Ralph pomyślał o tym samym.

– To odcisk Terry'ego – powiedział. – Z vana.

– Zgadza się. A odcisk po prawej stronie pochodzi ze sprzączki porzuconej w stodole.

Wzór był taki sam, ale miejscami dziwnie wyblakły. Kiedy Yune nałożył oba odciski na siebie, ten z vana wypełnił przerwy w tym ze sprzączki.

– Nie ma wątpliwości, że są identyczne – powiedział. – Oba należały do Terry'ego Maitlanda. Tylko że ten na sprzączce wygląda, jakby zostawił go dużo starszy palec.

– Jak to możliwe? – spytała Jeannie.

– To nie jest możliwe – powiedział Samuels. – Widziałem zestaw linii papilarnych Maitlanda na karcie zatrzymania… Odcisnął je kilka dni po tym, kiedy po raz ostatni dotknął tej sprzączki. Były mocne i wyraźne. Wszystkie linie i łuki były całe.

– Ze sprzączki zdjęliśmy też niezidentyfikowany odcisk palca – oznajmił Yune. – Oto on. – Ten nie przekonałby żadnej ławy przysięgłych; zachowało się kilka linii i łuków, ale były słabe, ledwo widoczne. Większa część śladu przypominała rozmazaną plamę. – Ze względu na słabą jakość nie można mieć pewności. Uważam jednak, że nie jest to odcisk palca pana Maitlanda i nie może to też być odcisk Holmesa, bo ten umarł na długo przed pierwszym pojawieniem się tej sprzączki na nagraniu z monitoringu dworca. A mimo to… Heath Holmes był w vanie, którym uprowadzono

małego Petersona. Nie potrafię odpowiedzieć na pytania kiedy, gdzie i dlaczego, ale nie przesadzę, jeśli powiem, że dałbym tysiąc dolarów, żeby się dowiedzieć, kto zostawił ten niewyraźny odcisk palca na sprzączce, i co najmniej pięćset, żeby ktoś mi wyjaśnił, dlaczego odcisk Maitlanda na niej wygląda na tak stary. – Wyłączył laptopa i usiadł.

– Dużo elementów na stole – powiedział Howie. – Ale za czorta nie składają się w pełny obraz. Czy ktoś ma coś jeszcze?

Ralph odwrócił się do żony.

– Powiedz im – poprosił. – Powiedz, kogo widziałaś we śnie w naszym domu.

– To nie był sen – stwierdziła. – Sny się zacierają. Rzeczywistość nie.

Zrazu powoli, potem coraz szybciej, Jeannie opowiedziała o tym, jak zobaczyła światło na dole i zastała tam intruza, siedzącego za łukowym przejściem do salonu na krześle zabranym od kuchennego stołu. Na koniec powtórzyła ostrzeżenie, którego jej udzielił, podkreślone wyblakłymi niebieskimi literami wytatuowanymi na jego palcach. „I ty teraz musisz mu powiedzieć, żeby przestał".

– Zemdlałam. Nigdy przedtem mi się to nie zdarzyło.

– Obudziła się w łóżku – powiedział Ralph. – Żadnych śladów włamania. Alarm przeciwwłamaniowy był włączony.

– Sen – orzekł Samuels beznamiętnie.

Jeannie energicznie pokręciła głową, rozrzucając włosy na wszystkie strony.

– On tam był.

– Coś rzeczywiście się wydarzyło – przytaknął Ralph. – Tego jestem pewien. Człowiek z poparzoną twarzą miał tatuaże na palcach…

– Ten sam człowiek, którego nie było w materiałach telewizyjnych – wtrącił Howie.

– Wiem, to brzmi niedorzecznie, ale w tym śledztwie pojawił się ktoś inny, kto miał tatuaże na palcach, i w końcu przypomniałem sobie kto. Yune na moją prośbę przysłał mi jego zdjęcie i Jeannie go rozpoznała. Człowiekiem, którego widziała w swoim śnie… albo w naszym domu… jest Claude Bolton, wykidajło z Gentlemen, Please. Ten, który doznał skaleczenia, ściskając dłoń Maitlanda.

– Tak jak Terry się skaleczył, kiedy wpadł na sanitariusza – zauważyła Marcy. – Tym sanitariuszem był Heath Holmes, prawda?

– Pewnie, że tak – stwierdziła Holly jakby w lekkim roztargnieniu. Patrzyła na jeden z obrazów na ścianie. – Któż by inny?

– Czy ktoś z was sprawdził, gdzie jest Bolton? – zapytał Alec Pelley.

– Ja – powiedział Ralph. – Jest w zachodnim Teksasie, w miejscowości o nazwie Marysville, siedemset kilometrów stąd, i jeśli nie zadołował gdzieś prywatnego odrzutowca, był tam w czasie, kiedy Jeannie widziała go w naszym domu.

– Chyba że jego mamuśka kłamie – stwierdził Samuels. – Jak już wspomniałem, wiele matek jest skłonnych się do tego posunąć, żeby oczyścić synalków z podejrzeń.

– To samo pomyślała Jeannie, ale w tym przypadku to raczej mało prawdopodobne. Policjant, który do niego zajrzał, twierdzi, że oboje wydawali się wyluzowani i otwarci. Ani kropli nerwowego potu.

Samuels założył ramiona na piersi.

– Nie jestem przekonany.

– Marcy? Chyba twoja kolej, żeby dołożyć następny element do układanki – powiedział Howard.

– Ja… nie chcę. Niech detektyw to zrobi. Grace z nim rozmawiała.

Howie wziął ją za rękę.

– To dla Terry'ego.

Marcy westchnęła.

– No dobrze. Grace, moja córka, też widziała mężczyznę. Dwa razy. Za drugim razem w naszym domu. Myślałam, że miała koszmary, bo wstrząsnęła nią śmierć ojca… to byłby wstrząs dla każdego dziecka… – Urwała i przygryzła dolną wargę.

– Proszę – powiedziała Holly. – To bardzo ważne, pani Maitland.

– Tak – potwierdził Ralph. – To prawda.

– Byłam pewna, że to jej się przyśniło! Absolutnie pewna!

– Opisała go? – spytała Jeannie.

– Tak jakby. Pierwszy raz zdarzyło się to mniej więcej tydzień temu. Dziewczynki spały w pokoju Sarah i Grace powiedziała, że ktoś się unosił za oknem. Człowiek, który miał twarz jak z plasteliny i słomki zamiast oczu. Każdy uznałby, że to koszmarny sen, prawda?

Nikt nie odpowiedział.

– Drugi raz zobaczyła go w niedzielę. Powiedziała, że obudziła się z drzemki i siedział na jej łóżku. Nie miał już słomek zamiast oczu, tylko oczy jej ojca, ale nadal ją przerażał. Miał tatuaże na rękach. I dłoniach.

– Mnie powiedziała, że jego twarz nie wyglądała już jak ulepiona z plasteliny – odezwał się Ralph. – I że miał krótkie, czarne, sterczące włosy. I bródkę dookoła ust.

– Kozią bródkę… – Jeannie wyglądała, jakby ją zemdliło. – To był ten sam człowiek. Za pierwszym razem może jej się przyśnił, ale za drugim… to był Bolton. Nie ma innego wytłumaczenia.

Marcy położyła dłonie na skroniach i nacisnęła, jakby bolała ją głowa.

– Mogłoby się tak wydawać, ale nie, to musiał być sen. Grace powiedziała, że kiedy z nią rozmawiał, jego koszula zmieniała kolory, a coś takiego dzieje się tylko w snach. Może detektyw Anderson dopowie resztę?

Ralph pokręcił głową.

– Dobrze ci idzie.

Marcy otarła oczy.

– Powiedziała, że z niej drwił. Nazwał ją dzidzią, a kiedy się popłakała, stwierdził, że to dobrze, że jest smutna. Potem powiedział jej, że ma wiadomość dla detektywa Andersona. Że detektyw Anderson musi przestać, bo inaczej stanie się coś złego.

– Według Grace – wtrącił Ralph – kiedy ten człowiek pojawił się po raz pierwszy, wyglądał, jakby był jeszcze niegotowy. Niedokończony. Za drugim razem, sądząc z jej opisu, był już bardzo podobny do Claude'a Boltona. Tyle że Bolton jest w Teksasie. Sami sobie odpowiedzcie na pytanie, co to oznacza.

– Jeśli Bolton jest tam, nie mógł być tutaj – zawyrokował Bill Samuels, wyraźnie zniecierpliwiony. – To chyba dość oczywiste.

– W przypadku Terry'ego Maitlanda sytuacja też wydawała się dość oczywista – zauważył Howie. – I jak się dziś dowiedzieliśmy, podobnie było z Heathem Holmesem. – Odwrócił się do Holly. – Nie ma z nami panny Marple, ale jest pani Gibney. Może nam pani poskładać te wszystkie elementy w całość?

Holly jakby go nie słyszała. Nadal wpatrywała się w obraz na ścianie.

– Słomki zamiast oczu – powiedziała. – Tak. Oczywiście. Słomki… – Zawiesiła głos.

– Pani Gibney? – naciskał Howie. – Ma pani coś dla nas czy nie?

Holly wróciła myślami z miejsca, do którego powędrowała.

– Tak. Mogę wyjaśnić, co się dzieje. Proszę tylko, żeby każde z was zachowało otwarty umysł. Myślę, że pójdzie szybciej, jeśli pokażę wam fragment filmu, który przywiozłam. Mam go w torbie, na DVD.

Zmówiwszy w duchu kolejną krótką modlitwę o siłę (i o to, żeby zdołała obudzić w sobie Billa Hodgesa, kiedy wyrażą swoje niedowierzanie i – być może – oburzenie), wstała i położyła laptopa na końcu stołu, w tym samym miejscu, gdzie przed chwilą leżał komputer Yune'a. Potem wyjęła zewnętrzny napęd DVD i podłączyła go.

7

Jack Hoskins myślał, czy nie poprosić o urlop zdrowotny z powodu oparzenia słonecznego – mógłby się powołać na rodzinną skłonność do raka skóry – ale stwierdził, że to zły pomysł. Fatalny wręcz. Komendant Geller prawie na pewno wyrzuciłby go za drzwi, a kiedy rozeszłaby się wieść o tym (Rodney Geller nie był z tych, co umieją trzymać język za zębami), detektyw Hoskins stałby się pośmiewiskiem jednostki. Gdyby nawet, co mało prawdopodobne, komendant jednak się zgodził, oczekiwano by od Jacka, żeby poszedł do lekarza, a na to nie był gotowy.

No ale trzy dni przed czasem ściągnęli go do pracy, a to nie fair, skoro jego cholerny urlop był w grafiku od maja. Uznając, że to daje mu prawo (ba, święte prawo) wykorzystać te trzy dni na, jak ujałby to Ralph Anderson, wakacje w mieście, spędził to środowe popołudnie, pielgrzymując po barach. Kiedy dotarł do trzeciego, już prawie zapomniał o mrożącym krew w żyłach zdarzeniu w powiecie Canning, a w czwartym przestał się tak bardzo przejmować oparzeniem słonecznym i osobliwym faktem, że nabawił się go po zmroku.

Jego piątym przystankiem był pub Shorty's. Poprosił barmankę – śliczną kobietę, której imię wyleciało mu z pamięci, w odróżnieniu od jej zachwycająco długich nóg w obcisłych wranglerach – żeby obejrzała jego kark i powiedziała, co tam widzi. Zrobiła to.

– Spalił się pan na słońcu – stwierdziła.

– Ale to tylko oparzenie, prawda?

– Tak, tylko oparzenie. – Potem, po krótkiej pauzie: – Chociaż dość paskudne. Zrobiło się kilka małych bąbli. Powinien pan to

posmarować…

– Aloesem, tak. Słyszałem.

Po pięciu wódkach z tonikiem (może sześciu) pojechał do domu, nie przekraczając dozwolonej prędkości, sztywno wyprostowany i wpatrzony w jezdnię nad kierownicą. Niedobrze by było, gdyby go zatrzymali. Tutaj, w Oklahomie, siadając za kółkiem, mogłeś mieć nie więcej niż 0,8 promila.

Przyjechał do swojej starej hacjendy mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Holly Gibney rozpoczynała prezentację w sali konferencyjnej Howarda Golda. Rozebrał się do majtek, przypomniał sobie, żeby pozamykać drzwi, i poszedł do łazienki opróżnić pęcherz, który stanowczo się tego domagał. Ulżywszy sobie, raz jeszcze sięgnął po lusterko, żeby obejrzeć kark. Oparzenie powinno już wyglądać lepiej, może zaczynało się złuszczać. Ale nie. Przybrało czarną barwę. Siatka głębokich szczelin przecinała kark. Z dwóch wyciekały perłowe strużki ropy. Jęknął, zamknął oczy, otworzył je znowu i odetchnął z ulgą. Ani śladu sczerniałej skóry. Żadnych szczelin. Żadnej ropy. Kark jednak był mocno zaczerwieniony i tak, powstało kilka bąbli. W dotyku nie bolało tak jak przedtem, ale trudno się dziwić, skoro wlał w siebie dużą dawkę rosyjskiego środka znieczulającego.

Muszę mniej pić, pomyślał. Przywidzenia to dość wyraźny sygnał. A nawet ostrzeżenie.

Nie miał maści z aloesem, więc posmarował oparzenie żelem z arniki. Zapiekło, ale ból szybko zelżał (a przynajmniej przeszedł w tępe pulsowanie). To chyba dobrze, prawda? Rozłożył na poduszce ręcznik, żeby całej nie zaplamić, po czym zgasił światło. Ale w ciemności nie czuł się dobrze. Był jakby bardziej świadomy bólu i aż za łatwo mógł sobie wyobrazić, że coś przebywa z nim w pokoju. To samo coś, co było za jego plecami tam, w porzuconej stodole.

Nie było tam nic oprócz mojej wybujałej wyobraźni. Teraz też to moja wyobraźnia podsunęła mi obraz sczerniałej skóry. I spękań. I ropy.

Wszystko to prawda, ale prawdą było też, że kiedy włączył lampkę nocną, od razu poczuł się lepiej. Jego ostatnią myślą było, że dobrze przespana noc będzie najlepszym lekarstwem.

8

– Chce pani, żebym trochę bardziej przygasił światła? – spytał Howie.

– Nie – powiedziała Holly. – To ma być lekcja poglądowa, nie rozrywka, i choć film jest krótki, trwa tylko osiemdziesiąt siedem minut, nie musimy obejrzeć go całego ani nawet większej jego części. – Nie była tak stremowana, jak się tego obawiała. Przynajmniej na razie. – Zanim jednak go wam pokażę, muszę coś jasno powiedzieć, coś, co teraz już chyba wszyscy wiecie, choć może nie do końca jesteście gotowi dopuścić prawdę do swojej świadomości.

Patrzyli na nią w milczeniu. Wszystkie te oczy. Ledwo mogła uwierzyć, że naprawdę to robi – ona, Holly Gibney, szara myszka, która w szkole zawsze siedziała w ostatniej ławce, nigdy nie zgłaszała się do odpowiedzi i nosiła strój na wuef pod spódniczkami i bluzkami. Holly Gibney, która nawet w wieku dwudziestu kilku lat nie śmiała się postawić matce. Holly Gibney, która dwa razy dosłownie straciła rozum.

Ale to wszystko było, zanim poznałam Billa. On wierzył, że mogę się przełamać, i dla niego to zrobiłam. Teraz to samo zrobię dla tych ludzi.

– Terry Maitland nie zamordował Franka Petersona, a Heath Holmes nie zamordował sióstr Howard. Zabójstwa te popełnił outsider. Wykorzystuje on naszą współczesną naukę, naszą współczesną medycynę sądową, przeciwko nam, ale jego prawdziwą bronią jest nasza niewiara. Nauczono nas ściśle trzymać się faktów i kiedy te fakty są sprzeczne, czasem go wyczuwamy, ale

wzbraniamy się przed podążeniem jego tropem. On wie o tym. Wykorzystuje to.

– Pani Gibney – weszła jej w słowo Jeannie Anderson – czy chce pani przez to powiedzieć, że te zabójstwa popełniła istota nadprzyrodzona? Wampir czy coś takiego?

Holly zamyśliła się nad tym pytaniem, przygryzając wargi.

– Wolę nie odpowiadać – odparła wreszcie. – Jeszcze nie. Najpierw pokażę wam fragment filmu, który przywiozłam. Jest produkcji meksykańskiej, z angielskim dubbingiem, przed pięćdziesięciu laty wyświetlano go w tym kraju na podwójnych seansach w kinach samochodowych. Tytuł w wersji angielskiej brzmi *Meksykańskie zapaśniczki kontra potwór*, ale po hiszpańsku…

– Dajcie spokój – powiedział Ralph. – Toż to absurd.

– Zamknij się – rzuciła Jeannie. Mówiła zniżonym głosem, ale wszyscy słyszeli brzmiącą w nim złość. – Daj jej szansę.

– Ale…

– Nie było cię ze mną ostatniej nocy. Nie widziałeś tego, co ja. Musisz dać temu szansę.

Ralph skrzyżował ramiona na piersi, tak samo jak wcześniej Samuels. Holly dobrze znała ten gest. To był gest nakazujący trzymać się z dala. Gest mówiący: Nie będę słuchał. Kontynuowała:

– Meksykański tytuł brzmi *Rosita Luchadora e Amigas Conocen El Cuco*. Po hiszpańsku to znaczy…

– O to chodziło! – krzyknął Yune, aż wszyscy podskoczyli. – To jest imię, którego nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy w sobotę jedliśmy w tamtej restauracji! Pamiętasz historię, którą ci wtedy opowiedziałem, Ralph? Tę, którą moja żona usłyszała od swojej *abuela*, kiedy jeszcze była *pequeña*?

– Jakże mógłbym zapomnieć? Facet z czarnym worem, który zabija małe dzieci i ich tłuszczem smaruje… – Ralph urwał, myśląc, wbrew sobie, o Franku Petersonie i siostrach Howard.

– Co robi? – spytała Marcy Maitland.

– Pije ich krew i smaruje się ich tłuszczem – odparł Yune. – Dzięki czemu podobno pozostaje wiecznie młody. *El Cuco*.

– Tak – powiedziała Holly. – W Hiszpanii znany jest jako *El Hombre con Saco*. Człowiek z Worem. W Portugalii nazywają go

Dyniogłowym. Kiedy amerykańskie dzieci drążą dynie na Halloween, rzeźbią podobiznę *El Cuco*, jak to robiły przed setkami lat dzieci na Półwyspie Iberyjskim.

– Był taki wierszyk o *El Cuco* – przypomniał sobie Yune. – *Abuela* czasem nuciła go nam przed snem. *Duérmete, niño, duérmete ya…* reszty nie pamiętam.

– Śpij, dziecko, śpij – powiedziała Holly. – *El Cuco* siedzi na suficie, przyszedł cię zjeść.

– Świetna kołysanka – skwitował Alec. – Słodkie sny gwarantowane.

– Jezu – szepnęła Marcy. – Sądzicie, że coś takiego było w naszym domu? Siedziało na łóżku mojej córki?

– Tak i nie – powiedziała Holly. – Pozwólcie, że włączę film. Pierwsze dziesięć minut powinno wystarczyć.

9

Jackowi śniło się, że jechał opustoszałą drogą. Po obu stronach rozciągała się pustka, w górze – bezkres błękitnego nieba. Był za kierownicą dużej ciężarówki, może cysterny, czuł bowiem zapach paliwa. Obok niego siedział mężczyzna z krótkimi czarnymi włosami i kozią bródką. Tatuaże pokrywały jego ramiona. Hoskins znał go, bo regularnie bywał w Gentlemen, Please (choć rzadko w ramach obowiązków służbowych) i odbył wiele miłych rozmów z Claude'em Boltonem, który sporo w życiu przeskrobał, ale odkąd wrócił na drogę cnoty, stał się całkiem porządnym gościem. Tyle że Claude, którego widział we śnie, był bardzo złym człowiekiem. To ten Claude odciągnął zasłonę prysznicową na tyle, by Hoskins mógł przeczytać słowa na jego palcach: „Nie może".

Ciężarówka minęła tabliczkę z napisem: „Marysville, liczba mieszk. 1280".

– Rak szybko się rozwija – powiedział Claude, i tak, to był ten sam głos, który dobiegał zza zasłony prysznicowej. – Popatrz na swoje dłonie, Jack.

Jack spojrzał w dół. Dłonie trzymające kierownicę sczerniały. Na jego oczach odpadły od nadgarstków. Cysterna zjechała z drogi, przechyliła się na bok, zaczęła się przewracać. Jack zrozumiał, że zaraz wybuchnie, na szczęście obudził się, zanim do tego doszło; rozpaczliwie łapiąc powietrze, patrzył w sufit.

– Jezu… – wyszeptał i sprawdził, czy nadal ma dłonie. Były na swoim miejscu, zegarek też. Spał niecałą godzinę. – Jezu Chrys…

Ktoś poruszył się po jego lewej stronie. W pierwszej chwili pomyślał, że może zaprosił do siebie tę ładną długonogą barmankę,

ale nie, wrócił do domu sam. Zresztą taka atrakcyjna młoda kobieta i tak nie chciałaby mieć z nim do czynienia. W jej oczach był spasionym pijaczyną po czterdziestce, który popadał w o…

Obejrzał się. Kobietą, która leżała z nim w łóżku, była jego matka. Poznał ją tylko po szylkretowej spince zwisającej z nielicznych zachowanych kosmyków włosów. Miała tę spinkę na swoim pogrzebie. Wtedy, umalowana przez faceta z zakładu pogrzebowego, wyglądała trochę jak lalka z wosku, ale ogólnie rzecz biorąc, całkiem nieźle. Teraz z jej twarzy prawie nic nie zostało, rozkładające się ciało odłaziło od kości. Przesiąknięta ropą koszula nocna lepiła się do skóry. W powietrzu wisiał fetor gnijącego mięsa. Jack próbował krzyczeć, ale nie mógł.

– Ten rak czeka na ciebie, Jack – powiedziała. Widział jej kłapiące szczęki, bo nie miała już warg. – Przeżera cię. On może go zabrać, ale wkrótce będzie za późno nawet dla niego. Zrobisz to, czego chce?

– Tak… – szepnął Hoskins. – Tak, zrobię wszystko.

– To słuchaj.

Jack Hoskins słuchał.

10

Na początku filmu Holly nie było ostrzeżenia FBI, co Ralpha nie zaskoczyło. Kto chciałby zastrzec prawa autorskie takiego starocia, tym bardziej że film był, jest i będzie szmirą. Ścieżkę dźwiękową tworzyła rzewna mieszanka pojękiwań skrzypiec i rażąco wesołych akordów granych na akordeonie *norteño*. Kopia była porysowana, jakby wskutek licznych odtworzeń przez dawno nieżyjących kinooperatorów, którzy niespecjalnie o nią dbali.

Nie do wiary, że tu siedzę, pomyślał Ralph. Jak w domu wariatów.

Jego żona i Marcy Maitland patrzyły w ekran skupione jak studentki przygotowujące się do egzaminu końcowego, pozostali zaś, choć nie aż tak zaabsorbowani, oglądali z uwagą. Yune Sablo uśmiechał się słabo. Nie był to uśmiech człowieka, który uważa, że ogląda coś absurdalnego, pomyślał Ralph, tylko kogoś, kto widzi kawałek swojej przeszłości; ożywioną legendę z dzieciństwa.

Film otwierała scena na ciemnej ulicy, przy której, jak się zdaje, stały same bary, burdele i lokale łączące jedno z drugim. Kamera podążała za ładną kobietą w wydekoltowanej sukni, prowadzącą za rękę córkę, na oko czteroletnią. Może później podawano powód tej przechadzki po szemranej dzielnicy z dzieckiem, które o tej porze powinno spać, ale w części, którą obejrzeli, nic na ten temat nie było.

Do kobiety podszedł zataczający się pijak i podczas gdy jego usta poruszyły się, aktor podkładający głos powiedział „Hej, lalunia, zabawii-my się?” z meksykańskim akcentem, który do złudzenia przypominał sposób mówienia Speedy’ego Gonzalesa. Kobieta spławiła go i poszła dalej. Nagle, na ciemnym odcinku ulicy między

dwiema latarniami, z zaułka wyskoczył gość w długiej czarnej pelerynie – niczym z filmu o Drakuli. W jednej dłoni trzymał czarny wór. Drugą pochwycił dziecko. Mamuśka krzyknęła i rzuciła się za nim w pogoń. Dopadła go pod następną latarnią i zaczęła mu wyrywać wór. Gdy napastnik obrócił się na pięcie, światło latarni wydobyło z mroku twarz mężczyzny w średnim wieku z blizną na czole. Wykrzywił się w grymasie obnażającym sztuczne kły. Kobieta cofnęła się z uniesionymi dłońmi – wyglądała teraz bardziej jak solistka operowa szykująca się do odśpiewania arii z *Carmen* niż przerażona matka. Kidnaper narzucił pelerynę na dziewczynkę i uciekł, ale zanim to się stało, jakiś człowiek wychodzący z jednego z licznych barów zawołał do niego, znów z tym okropnym akcentem Speedy'ego Gonzalesa: „Hej, proo-fesorze Espinoza, a pan doo-kąd? Zapraa-szam na drii-nka!".

W następnej scenie matka została przyprowadzona do miejskiej kostnicy („El deposito de cadaveres" – głosił napis na drzwiach z matowego szkła) i, co było do przewidzenia, rozdarła się wniebogłosy, kiedy uniesiono prześcieradło, odsłaniając jej przypuszczalnie zmasakrowane dziecko. Potem nastąpiło aresztowanie człowieka z blizną, który okazał się szanowanym wykładowcą pobliskiego uniwersytetu.

Dalej był jeden z krótszych procesów w historii kina. Matka złożyła zeznanie; po niej na świadków powołano dwóch facetów mówiących z akcentem Speedy'ego Gonzalesa, w tym tego, który chciał postawić profesorowi drinka; i już przysięgli poszli uzgodnić werdykt. Surrealistycznym akcentem tej – poza tym przewidywalnej – sceny była grupa pięciu kobiet siedzących w tylnym rzędzie, ubranych w stroje wyglądające jak kostiumy superbohaterów, z wymyślnymi maskami w komplecie. Wszyscy, nawet sędzia, wyraźnie uważali ich obecność na rozprawie za rzecz najzupełniej normalną.

Przysięgli wrócili; profesor Espinoza został uznany za winnego ohydnej zbrodni; zwiesił głowę i przybrał minę winowajcy. Jedna z zamaskowanych kobiet zerwała się na nogi i oświadczyła:

– Niesprawiedlii-wy wii-rok! Profesor Espinoza niigdy nie skrzii-wdziłby dziecka!

– Ale ja go wii-działam! – wrzasnęła matka. – Tiim razem się mii-lisz, Rosiita!

Zamaskowane kobiety w strojach superbohaterów wymaszerowały z sądu w swoich odlotowych butach i obraz przeszedł w zbliżenie stryczka. Kamera cofnęła się, ukazując szafot otoczony tłumem gapiów. Profesor Espinoza został wprowadzony po schodach na górę. Kiedy założono mu sznur na szyję, jego spojrzenie skupiło się na stojącym w głębi tłumu mężczyźnie w mnisim habicie z kapturem. Między obutymi w sandały stopami mnicha leżał czarny wór.

Film był głupi i nieudolnie nakręcony, ale Ralphowi mimo wszystko ciarki przeszły po rękach; nakrył dłonią wyciągniętą ku niemu dłoń Jeannie. Doskonale wiedział, co teraz zobaczą. Mnich zsunął kaptur, odsłaniając twarz profesora Espinozy, z charakterystyczną blizną na czole i w ogóle. Uśmiechnął się szeroko, obnażając idiotyczne plastikowe kły… wskazał na swój czarny wór… i wybuchnął śmiechem.

– Tam! – krzyknął prawdziwy profesor z szafotu. – Tam jest, tam!

Tłum obejrzał się, ale mężczyzna z czarnym worem zniknął. Espinoza dostał własny czarny wór: kaptur, który naciągnięto mu na głowę. Krzyknął spod niego:

– Potwór, potwór, pot… – Zapadnia otworzyła się i runął w dół.

Kiedy w następnej scenie zamaskowane superbohaterki zaczęły gonić fałszywego mnicha po dachach, Holly wcisnęła pauzę.

– Dwadzieścia pięć lat temu oglądałam wersję z napisami, nie dubbingiem – powiedziała. – W oryginale profesor przed śmiercią krzyczy „*El Cuco, El Cuco*".

– A cóż by innego? – mruknął Yune. – Jezu, od małego nie widziałem żadnego filmu z *luchadoras*. Musiało ich być z tuzin. – Potoczył wzrokiem po pozostałych, jakby budząc się ze snu. – *Las luchadoras*, czyli zapaśniczki. Gwiazda tego filmu, Rosita, była naprawdę sławna. Musielibyście ją zobaczyć bez maski, *ay caramba.* – Potrząsnął dłonią, jakby dotknął czegoś gorącego.

– Więcej niż tuzin. Co najmniej pięćdziesiąt – powiedziała Holly cicho. – Cały Meksyk kochał *las luchadoras*. Te filmy były jak dzisiejsze produkcje o superbohaterach. Oczywiście z dużo mniejszym budżetem.

Chętnie wygłosiłaby im wykład o tym fascynującym (przynajmniej w jej przekonaniu) epizodzie historii kina, ale wiedziała, że nie pora na to, zwłaszcza że detektyw Anderson miał minę, jakby właśnie ugryzł duży kęs jakiegoś paskudztwa. Nie wyzna im też, że sama uwielbiała filmy z *luchadoras*. Lokalna stacja z Cleveland puszczała je dla śmiechu w ramach cyklu *Kino poniżej krytyki*, nadawanego w sobotnie wieczory. Holly domyślała się, że miejscowi studenci oglądali te filmy po pijaku, żeby nabijać się z kiepskiego dubbingu i kostiumów, które niewątpliwie uważali za tandetne, ale zalękniona, nieszczęśliwa licealistka, którą wtedy była, nie widziała w *las luchadoras* nic komicznego. Carlotta, Maria i Rosita były silne i odważne, zawsze pomagały ubogim i uciśnionym. Rosita Muñoz, najsłynniejsza z nich, nawet z dumą mówiła o sobie *cholita*, i tak właśnie ta nieszczęśliwa licealistka najczęściej postrzegała samą siebie: jako mieszańca. Dziwoląga.

– Większość filmów z meksykańskimi zapaśniczkami to uwspółcześnione wersje prastarych legend. Ten także. Zauważyliście, że jest zgodny z tym, co wiemy o tych morderstwach?

– Całkowicie – powiedział Bill Samuels. – Muszę to pani przyznać. Sęk w tym, że to nonsens. Zupełne wariactwo. Jeśli naprawdę wierzy pani w *El Cuco*, pani Gibney, ma pani kuku na muniu.

I mówi to człowiek, który opowiadał mi o znikających śladach stóp, pomyślał Ralph. Sam nie wierzył w *El Cuco*, ale uważał, że kobieta wykazała się dużą odwagą, pokazując im ten film – przecież na pewno wiedziała, jak zareagują. Ciekaw był, jak pani Gibney z firmy Uczciwi Znalazcy odpowie na słowa Samuelsa.

– Legenda głosi, że *El Cuco* żywi się krwią i tłuszczem dzieci – powiedziała Holly. – Ale w naszym świecie, świecie rzeczywistym, mógłby przetrwać nie tylko dzięki tym substancjom, ale i dzięki ludziom, którzy myślą podobnie jak pan, panie Samuels. I wy wszyscy, jak sądzę. Pozwólcie, że pokażę wam coś jeszcze. Krótki urywek, obiecuję.

Włączyła dziewiąty, przedostatni rozdział DVD. Jedna z *luchadoras* – Carlotta – dopadła zakapturzonego mnicha w opuszczonym magazynie. Próbował uciec po dogodnie ulokowanej drabinie. Carlotta złapała go za tył rozwianego habitu i przerzuciła przez

ramię. Fiknął kozła w powietrzu i wylądował na tyłku. Kaptur zsunął mu się z głowy, odsłaniając twarz, która w ogóle nie była twarzą, tylko bezkształtną bryłą. Carlotta krzyknęła, kiedy dwa świecące szpikulce wyłoniły się z miejsc, gdzie powinny być oczy. Musiały mieć jakąś mistyczną odpychającą moc, bo *luchadora* zatoczyła się na ścianę i podniosła dłoń na wysokość swojej maski, próbując się osłonić.

– Zatrzymaj to – powiedziała Marcy. – O Boże, proszę…

Holly stuknęła palcem w klawiaturę. Obraz zniknął z ekranu, ale Ralph wciąż miał go przed oczami: efekt specjalny prehistoryczny w porównaniu z komputerowo generowanymi cudami, które ostatnimi czasy można oglądać w każdym multipleksie, ale wystarczająco przekonujący dla kogoś, kto słyszał opowieść pewnej małej dziewczynki o intruzie w jej sypialni.

– Możliwe, że właśnie to widziała pani córka, pani Maitland? – spytała Holly. – To znaczy nie konkretnie to, ale…

– Tak. Oczywiście. Słomki zamiast oczu. Tak powiedziała. Słomki zamiast oczu.

11

Ralph wstał. Jego głos był spokojny i opanowany.

– Z całym szacunkiem, pani Gibney, i biorąc pod uwagę pani dotychczasowe… hm, dokonania… ten szacunek niewątpliwie się pani należy, nie istnieje żaden nadprzyrodzony potwór imieniem *El Cuco*, który żywi się krwią dzieci. Pierwszy przyznam, że w tej sprawie, a nawet dwu sprawach, jeśli są ze sobą powiązane, co wydaje się coraz bardziej pewne, jest kilka mocno dziwnych wątków, ale sprowadza nas pani na fałszywy trop.

– Pozwól jej skończyć – uciszyła go Jeannie. – Zanim do reszty zamkniesz swój umysł, na litość boską, daj jej powiedzieć, co ma do powiedzenia.

Poznał, że gniew jego żony lada chwila może się przerodzić w furię. Rozumiał dlaczego, nawet trochę jej współczuł. Jeannie uważała, że odrzucając absurdalną historyjkę Gibney o *El Cuco*, jednocześnie odmawiał uwierzenia w to, co zobaczyła w ich kuchni nad ranem. A chciał jej wierzyć, nie tylko dlatego, że ją kochał i szanował, ale też z uwagi na to, że człowiek, którego opisała, był kropla w kroplę podobny do Claude'a Boltona, czego sam nie potrafił wyjaśnić. Mimo to powiedział, co pragnął powiedzieć im wszystkim, a zwłaszcza Jeannie. Musiał. To była prawda fundamentalna, na której opierało się całe jego życie. Owszem, kantalupa okazała się pełna larw, ale dostały się tam w sposób naturalny. To, że nie wiedział jak dokładnie, nie zmieniało tego ani nie przekreślało.

– Jeśli uwierzymy w potwory, w zjawiska nadprzyrodzone, jak mielibyśmy wierzyć w cokolwiek? – zapytał, po czym usiadł i spróbował wziąć Jeannie za rękę. Cofnęła dłoń.

– Rozumiem, co pan czuje – powiedziała Holly. – Naprawdę, z ręką na sercu. Ale, detektywie Anderson, na własne oczy widziałam rzeczy, które pozwalają mi wierzyć w takie sprawy. Och, nie mówię o tym filmie, nawet nie o legendzie, na której podstawie powstał, nie całkiem. Chociaż w każdej legendzie tkwi ziarno prawdy. Na razie to zostawmy. Chciałabym pokazać wam kalendarium wydarzeń, które sporządziłam przed wyjazdem z Dayton. Mogę? To nie potrwa długo.

– Ma pani głos – powiedział Howie. Wydawał się skołowany.

Holly otworzyła plik i wyświetliła go na ścianie. Jej pismo było drobne, ale wyraźne. Ralph pomyślał, że to, co przygotowała, zdałoby egzamin w każdym sądzie. Tyle musiał jej przyznać.

– Czwartek, dziewiętnastego kwietnia. Merlin Cassidy zostawia vana na parkingu w Dayton. Uważam, że tego samego dnia wóz został skradziony. Złodzieja nie nazwiemy *El Cuco*, będziemy o nim mówili po prostu „outsider". To będzie bardziej odpowiadało detektywowi Andersonowi.

Ralph milczał; kiedy tym razem spróbował wziąć Jeannie za rękę, pozwoliła mu, choć nie objęła palcami jego palców.

– Gdzie go zabunkrował? – spytał Alec. – Masz jakiś pomysł?

– Dojdziemy do tego, ale może na razie przedstawię przebieg dalszych wydarzeń w Dayton?

Alec uniósł dłoń na znak, żeby mówiła dalej.

– Sobota, dwudziestego pierwszego kwietnia. Maitlandowie przylatują do Dayton i meldują się w hotelu. Heath Holmes, ten prawdziwy, jest u matki w Regis. Poniedziałek, dwudziestego trzeciego kwietnia. Gina Amber i Jolene Howard. Outsider je ich mięso i pije ich krew. – Spojrzała na Ralpha. – Nie, nie wiem, że tak było. Nie na pewno. Ale czytając między wierszami artykułów prasowych, jestem pewna, że brakowało pewnych części ciała i że ofiarom spuszczono prawie całą krew. Czy podobnie było w przypadku małego Petersona?

Odezwał się Bill Samuels:

– Ponieważ sprawa Maitlanda jest zamknięta i rozmawiamy nieoficjalnie, mogę otwarcie odpowiedzieć, że tak. W ciele Franka Petersona brakowało fragmentów szyi, prawego barku, prawego pośladka i lewego uda.

Marcy wydała z siebie zduszony dźwięk. Jeannie chciała do niej podejść, ale Marcy odpędziła ją gestem ręki.

– Wszystko w porządku. To znaczy… nie, wcale nie, ale nie zrzygam się, nie zemdleję ani nic takiego.

Widząc jej ziemistą skórę, Ralph nie był tego taki pewny.

Holly kontynuowała:

– Outsider zostawia furgonetkę, którą uprowadził dziewczynki, w pobliżu domu Holmesów, gdzie wie, że zostanie znaleziona i uznana za kolejny dowód przeciwko komuś, kogo wybrał na kozła ofiarnego. Podrzuca bieliznę dziewczynek do piwnicy Holmesów: następna cegiełka w murze. Środa, dwudziestego piątego kwietnia. Ciała sióstr Howard zostają znalezione w Trotwood, między Dayton a Regis. Czwartek, dwudziestego szóstego kwietnia. W czasie, kiedy Heath Holmes jest w Regis, gdzie pomaga matce w domu i robi zakupy, outsider zjawia się w Ośrodku Leczenia Zaburzeń Pamięci imienia Heismana. Czy szukał konkretnie pana Maitlanda, czy pierwszej lepszej ofiary? Nie wiem tego na pewno, ale sądzę, że miał Terry'ego Maitlanda na celowniku, bo wiedział, że państwo Maitlandowie przyjechali z innego, odległego stanu. Outsider, czy nazwać go istotą naturalną, nienaturalną, czy nadnaturalną, pod jednym względem jest taki sam jak wielu seryjnych morderców. Lubi zmieniać miejsce pobytu. Pani Maitland, czy Heath Holmes mógł wiedzieć, że pani mąż planował odwiedzić ojca?

– Myślę, że tak – powiedziała Marcy. – Ośrodek Heismana zawsze chce być informowany z wyprzedzeniem o przyjeździe krewnych z innych części kraju. Do takich wizyt przygotowują się szczególnie, strzygą pensjonariuszy, układają im fryzury, a kiedy to możliwe, starają się zorganizować spotkanie z nimi poza terenem ośrodka. W przypadku taty Terry'ego takiej możliwości nie było. Choroba za bardzo zniszczyła jego umysł. – Wychyliła się do przodu, z oczami utkwionymi w Holly. – Ale skoro ten outsider nie był Holmesem, nawet jeśli wyglądał jak Holmes, to skąd mógł o tym wiedzieć?

– Och, odpowiedź jest prosta, jeśli przyjmiemy, że podstawowe założenie jest słuszne – powiedział Ralph. – Skoro facet jest, że tak powiem, wierną kopią Holmesa, to zapewne ma dostęp do

wszystkich jego wspomnień. Dobrze mówię, pani Gibney? Tak głosi legenda?

– Powiedzmy, że tak, przynajmniej w pewnym stopniu, ale nie drążmy tego. Jak sądzę, wszyscy jesteśmy zmęczeni, a pani Maitland pewnie chce wrócić do domu, do dzieci.

Miejmy nadzieję, że przedtem nie zemdleje, pomyślał Ralph.

Holly mówiła dalej:

– Outsider wie, że w Ośrodku Heismana ludzie go zobaczą i zwrócą na niego uwagę. O to mu chodzi. Pamięta też, żeby na miejscu zostawić kolejne dowody obciążające pana Holmesa: włosy jednej z zamordowanych dziewczynek. Uważam jednak, że głównym powodem jego wizyty w ośrodku dwudziestego szóstego kwietnia była chęć przelania krwi Terry'ego Maitlanda, podobnie jak później przelał krew Claude'a Boltona. Schemat za każdym razem jest ten sam. Najpierw zabija. Potem naznacza swoją kolejną ofiarę. Jego kolejne ja, można powiedzieć. Następnie się ukrywa. A właściwie zapada w rodzaj hibernacji. Jak niedźwiedź, od czasu do czasu może wychodzić, ale głównie przebywa w uprzednio wybranej norze i odpoczywa, czekając, aż przemiana dobiegnie końca.

– W legendach ta transformacja trwa całe lata – powiedział Yune. – Może nawet całe pokolenia. Ale to legendy. Pani uważa, że ten proces przebiega szybciej, prawda, pani Gibney?

– Myślę, że kilka tygodni, góra miesięcy. W trakcie przemiany z Terry'ego Maitlanda w Claude'a Boltona jego twarz przez pewien czas mogła wyglądać jak ulepiona z plasteliny. – Holly spojrzała prosto na Ralpha. Przyszło jej to z trudem, ale czasem trzeba się przemóc. – Albo mocno poparzona.

– Nie kupuję tego – stwierdził Anderson. – Delikatnie mówiąc.

– To dlaczego poparzonego mężczyzny nie było na żadnym z nagrań? – spytała Jeannie.

Ralph westchnął.

– Nie wiem.

– Większość legend zawiera ziarno prawdy, ale nie całą prawdę, jeśli rozumiecie, co mam na myśli – powiedziała Holly. – *El Cuco* z ludowych podań żywi się krwią i ciałem jak wampir, ale ta istota, moim zdaniem, karmi się też złymi uczuciami. Krwią duchową,

można rzec. – Odwróciła się do Marcy. – Powiedział pani córce, że cieszył się, iż była nieszczęśliwa i smutna. Uważam, że mówił prawdę. Jestem przekonana, że żywił się jej smutkiem.

– I moim – powiedziała Marcy. – I Sarah.

Głos zabrał Howie:

– Nie mówię, że w to wszystko wierzę, bynajmniej, ale rodzina Petersonów pasuje do tego schematu, prawda? Zginęli wszyscy oprócz ojca, a on jest w trwałym stanie wegetatywnym. Dla istoty, która karmi się ludzkim nieszczęściem… pożeracza rozpaczy, nie grzechów… Petersonowie byliby prawdziwą ucztą.

– I co z tym burdelem przed sądem? – wtrącił Yune. – Gdyby naprawdę istniał potwór żerujący na negatywnych emocjach, czułby się tam jak na kolacji na Święto Dziękczynienia.

– Ludzie, czy wy słyszycie samych siebie? – spytał Ralph. – Powiedzcie mi.

– Obudźże się wreszcie – rzucił Yune ostrym tonem, na co Ralph zamrugał, jakby dostał w twarz. – Wiem, jakie to odjechane, wszyscy to wiemy, nie musisz nam tego powtarzać, jakbyś był jedynym zdrowym na umyśle w zakładzie dla czubków. Ale prawda jest taka, że dzieje się coś, z czym nigdy dotąd nie mieliśmy do czynienia. Człowiek przed sądem, ten, którego nie złapały kamery telewizyjne, jest tylko częścią tego czegoś.

Ralphowi zrobiło się ciepło w twarz, ale milczał, cierpliwie znosząc burę.

– Musisz przestać z tym walczyć na każdym kroku, *ese*. Wiem, że nie podoba ci się ta układanka, mnie też nie, ale przynajmniej przyznaj, że elementy do siebie pasują. Istnieje spójny ciąg wydarzeń. Prowadzi od Heatha Holmesa przez Terry'ego Maitlanda do Claude'a Boltona.

– Wiemy, gdzie jest Claude Bolton – powiedział Alec. – Myślę, że logicznie byłoby pojechać do Teksasu i go przesłuchać.

– Dlaczego, na litość boską? – spytała Jeannie. – Przecież widziałam człowieka, który wygląda jak on, tutaj, dziś rano!

– Powinniśmy o tym porozmawiać – stwierdziła Holly. – Ale najpierw chcę zadać pani Maitland pewne pytanie. Gdzie pochowano pani męża?

Marcy zrobiła zaskoczoną minę.

– Gdzie…? Jak to gdzie? Tutaj. W mieście. Na cmentarzu Memorial Park. Nie… wie pani… nie robiliśmy żadnych planów z tym związanych ani niczego takiego. Bo i po co? Terry w grudniu miał obchodzić czterdziestkę… myśleliśmy, że przed nami jeszcze całe lata… że zasługujemy na to jak każdy, kto dobrze żyje…

Jeannie wyjęła z torebki chusteczkę i podała ją Marcy, która zaczęła wycierać oczy powolnymi ruchami, jak w transie.

– Nie wiedziałam, co powinnam… byłam… wiecie, oszołomiona… w głowie mi się nie mieściło, że jego nie ma. Pan Donelli z domu pogrzebowego zasugerował Memorial, bo Hillview jest prawie pełny… a poza tym leży na drugim końcu miasta…

Przerwij jej, Howie, pomyślał Ralph. To bolesne i bezcelowe. Miejsce jego pochówku nie ma znaczenia dla nikogo oprócz Marcy i jej córek.

Jednak i tym razem milczał, cierpliwie znosząc to, co było kolejnym rodzajem bury. Nawet jeśli Marcy Maitland nie w tym celu to mówiła. Powiedział sobie, że to się kiedyś skończy i będzie mógł się zająć czymś innym, przekonać się, że istnieje życie po cholernym Terrym Maitlandzie. Musiał w to wierzyć.

– Wiedziałam o tym innym cmentarzu – ciągnęła Marcy. – Oczywiście, że tak, ale nawet nie pomyślałam, żeby wspomnieć o nim panu Donellemu. Terry raz mnie tam zabrał, ale leży tak daleko za miastem… i tak tam pusto…

– O jakim cmentarzu pani mówi? – spytała Holly.

Przed oczami Ralpha stanął nieproszony obraz – sześciu kowbojów niosących trumnę zbitą z desek. Czuł, że zaraz pojawi się kolejna zbieżność.

– O tym starym, w powiecie Canning – odparła Marcy. – Byłam tam raz z Terrym, wyglądał na dawno nieużywany ani nawet nieodwiedzany. Nie było kwiatów ani pamiątkowych chorągiewek. Tylko rozpadające się nagrobki. Nazwisk na większości nie dało się odczytać.

Ralph z zaskoczeniem zerknął na Yune'a, który skinął głową.

– Dlatego tak się zainteresował książką z hotelowego kiosku – powiedział Bill Samuels zniżonym głosem. – *Historią okręgu Flint,*

okręgu Douree i powiatu Canning w obrazach.

Marcy dalej ocierała oczy chusteczką.

– Oczywiście, że taka książka by go zainteresowała. Maitlandowie mieszkają w tej części stanu od wyścigu po ziemię w tysiąc osiemset osiemdziesiątym dziewiątym. Prapradziadkowie Terry'ego… może nawet praprapradziadkowie… osiedlili się w Canning.

– Nie we Flint City? – spytał Alec.

– W tamtych czasach nie było Flint City. Tylko mała wioska o nazwie Flint, zapadła dziura. Przed włączeniem do Unii, na początku dwudziestego wieku, Canning było największym miastem w okolicy. Nazwanym ku czci największego właściciela ziemskiego. Pod względem posiadanego areału Maitlandowie byli na drugim, może trzecim miejscu. Canning było ważnym ośrodkiem do lat dwudziestych–trzydziestych, kiedy wielkie burze piaskowe zerwały większość urodzajnej warstwy gleby. Dzisiaj jest tam tylko sklep i kościół, do którego prawie nikt nie chodzi.

– I cmentarz – dodał Alec. – Na którym chowano zmarłych, dopóki miasto się nie wyludniło. W tym także przodków Terry'ego.

Marcy uśmiechnęła się słabo.

– Ten cmentarz… wydał mi się okropny. Jak pusty dom, o który nikt nie dba.

– Jeśli ten cały outsider w czasie przemiany przejął myśli i wspomnienia Terry'ego – odezwał się Yune – to na pewno wiedział o tym cmentarzu. – Patrzył na jeden z obrazów na ścianie, ale Ralph był prawie pewien, co mu chodzi po głowie. To samo przyszło na myśl jemu. Stodoła. Porzucone ubrania.

– Według legend o *El Cuco*… w sieci są ich dziesiątki… te istoty lubią miejsca związane ze śmiercią – powiedziała Holly. – Tam czują się najbardziej swojsko.

– Jeśli rzeczywiście istnieją stwory, które karmią się smutkiem, cmentarz byłby dla nich idealną stołówką, nie? – zasugerowała Jeannie.

Ralph głęboko żałował, że przyprowadził żonę. Gdyby nie ona, wyszedłby stąd dziesięć minut temu. Owszem, stodoła, w której znaleziono ubrania, była w pobliżu tego starego, zapuszczonego cmentarza. Owszem, maź, od której sczerniało siano, budziła

zdumienie i owszem, może rzeczywiście istniał jakiś outsider. Taką teorię był gotów zaakceptować, przynajmniej na razie. Wiele wyjaśniała. Gdyby do tego przyjąć, że outsider świadomie wzorował się na meksykańskiej legendzie, wyjaśniłoby to jeszcze więcej… ale nie znikającego człowieka sprzed sądu ani tego, jak Terry Maitland mógł przebywać w dwóch miejscach naraz. Wszystko rozbijało się o te dwa fakty; były jak kamyki, które utkwiły mu w gardle.

– Pokażę wam kilka zdjęć, które zrobiłam na innym cmentarzu – powiedziała Holly. – Może wskażą nowy, bardziej normalny trop. O ile detektyw Anderson albo porucznik Sablo są skłonni porozmawiać z policją z okręgu Montgomery w stanie Ohio.

– Porozmawiałbym z samym papieżem, gdyby to miało pomóc wyjaśnić tę sprawę – stwierdził Yune.

Holly wyświetliła zdjęcia, jedno po drugim: stacja kolejowa, fabryka ze swastyką namazaną sprayem na ścianie, opuszczona myjnia samochodowa.

– Zrobiłam je z parkingu Cmentarza Spokojnego Spoczynku w Regis. Tam leżą Heath Holmes i jego rodzice. – Przewinęła zdjęcia raz jeszcze: stacja, fabryka, myjnia. – Myślę, że outsider pojechał w jedno z tych miejsc vanem skradzionym na parkingu w Dayton. Jeśli zdołacie przekonać policję z okręgu Montgomery, żeby je przeszukała, mogą tam znaleźć ślady tego samochodu. Może nawet ślady outsidera. Tam albo tutaj. – Tym razem wyświetliła zdjęcie samotnych wagonów porzuconych na bocznicy. – Na pewno nie ukrył w żadnym z nich vana, ale w którymś mógł koczować. Stoją jeszcze bliżej cmentarza.

Ralph nareszcie miał coś, czego mógł się uchwycić. Coś rzeczywistego.

– Osłonięte miejsca. Rzeczywiście ślady mogły się zachować. Nawet po trzech miesiącach.

– Odciski opon – dorzucił Yune. – Może kolejne porzucone ubrania.

– Albo coś innego – powiedziała Holly. – Sprawdzicie to? I uprzedźcie ich, że być może będą musieli zrobić badania na obecność kwaśnej fosfatazy.

Plamy spermy, pomyślał Ralph i przypomniał sobie maź w stodole. Co powiedział o niej Yune? Zmaza nocna godna Księgi Rekordów

Guinnessa?

Głos Yune'a był pełen uznania:

– Zna się pani na rzeczy.

Zaczerwieniła się i spuściła oczy.

– Bill Hodges był świetny w swoim fachu. Dużo mnie nauczył.

– Mogę zadzwonić do prokuratora okręgu Montgomery, jeśli pani chce – powiedział Samuels. – Poprosić, żeby kazał komuś z jednostki policji, której rewir obejmuje to miasto… Regis?… koordynować działania ze stanowymi. Zważywszy, co młody Elfman znalazł w tej stodole w powiecie Canning, warto to sprawdzić.

– Co? – Holly wyraźnie się zapaliła. – Znalazł coś jeszcze?

– Nie, tylko tę stertę ubrań – odparł Samuels. – Spodnie, majtki, adidasy. Uwalane mazią, od której siano sczerniało. – Zawiesił głos. – A co z tą brakującą koszulą?

– Tamten poparzony chyba miał ją zawiązaną na głowie jak chustę, kiedy widzieliśmy go przed sądem – powiedział Yune.

– Jak daleko jest ta stodoła od cmentarza? – spytała Holly.

– Kilkaset metrów. Plamy na ubraniach wyglądały jak ślady spermy. Pani też tak myśli, pani Gibney? Dlatego pani chce, żeby policja z Ohio zrobiła badania na obecność kwaśnej fosfatazy?

– To nie mogła być sperma – stwierdził Ralph. – Za dużo tego było.

Yune puścił jego słowa mimo uszu. Patrzył na Holly, jakby był nią zafascynowany.

– Myśli pani, że ta substancja w stodole to jakaś pozostałość jego przemiany? Jej próbki poszły do badania, ale jeszcze nie dostaliśmy wyników.

– Nie wiem, co myślę – powiedziała Holly. – Moja wiedza o *El Cuco* na razie sprowadza się do kilku legend, które przeczytałam w drodze tutaj, a na nich nie można polegać. Były przekazywane ustnie z pokolenia na pokolenie w czasach, kiedy jeszcze nie znano medycyny sądowej. Mówię tylko, że policja z Ohio powinna sprawdzić miejsca z moich zdjęć. Może niczego nie znajdą… ale sądzę, że znajdą. Mam nadzieję. Ślady, jak powiedział detektyw Anderson.

– Skończyła pani, pani Gibney? – spytał Howie.

– Chyba tak. – Usiadła. Ralph pomyślał, że wygląda na wyczerpaną. I co w tym dziwnego? Miała za sobą kilka pracowitych dni. Nie mówiąc o tym, że szaleństwo musi być męczące.

– Panie i panowie, czy ktoś ma pomysł, co teraz powinniśmy zrobić? – zapytał Howie. – Wszelkie sugestie są mile widziane.

– Następny krok wydaje się oczywisty – odezwał się Ralph. – Ten outsider może być tutaj, we Flint City… wskazują na to zeznania mojej żony, a także Grace Maitland… ale ktoś, tak czy owak, musi pojechać do Teksasu i przesłuchać Claude'a Boltona, zobaczyć, co wie. O ile w ogóle cokolwiek. Zgłaszam się na ochotnika.

– Jadę z tobą – powiedział Alec.

– Ja też się na to piszę – rzucił Howie. – Poruczniku Sablo?

– Chciałbym, ale mam dwie sprawy w sądzie. Bez moich zeznań dwa groźne oprychy mogłyby wyjść na wolność. Zadzwonię do zastępcy prokuratora okręgowego, spytam, czy jest szansa na odroczenie, ale wielkiej nadziei nie mam. Przecież mu nie powiem, że jestem na tropie zmiennokształtnego meksykańskiego potwora.

Howie się uśmiechnął.

– Ja myślę. A pani, pani Gibney? Chce się pani wybrać nieco dalej na południe? Oczywiście nadal będzie pani otrzymywać wynagrodzenie.

– Tak, pojadę z wami. Być może dowiemy się od pana Boltona czegoś istotnego. O ile zadamy mu właściwe pytania.

– Bill? – zapytał Howie. – Chcesz doprowadzić to do końca?

Samuels uśmiechnął się blado, pokręcił głową i wstał.

– To wszystko było ciekawe w pewien zwariowany sposób, ale jak dla mnie sprawa jest zamknięta. Zadzwonię do policji w Ohio, jednak na tym mój udział się skończy. Pani Maitland, przykro mi z powodu pani męża.

– I słusznie – rzuciła Marcy.

Skrzywił się, ale mówił dalej:

– Pani Gibney, to było fascynujące. Doceniam pani ciężką pracę i staranność. Przytacza pani zaskakująco mocne argumenty na rzecz istnienia świata fantastycznego, mówię to bez cienia ironii, ale teraz zamierzam wrócić do domu, wyjąć piwo z lodówki i zacząć zapominać o całej tej historii.

Patrzyli, jak zabiera teczkę i wychodzi. Kogut sterczący z jego głowy kiwał na nich jak grożący palec.

Kiedy Samuels wyszedł, Howie zadeklarował, że załatwi wszystkie formalności związane z podróżą.

– Wyczarteruję king aira, z którego czasem korzystam. Piloci będą wiedzieli, gdzie jest najbliższe lotnisko. Zarezerwuję też samochód. Jeśli będzie nas tylko czworo, powinien wystarczyć sedan albo mały SUV.

– Trzymajcie jedno miejsce dla mnie – powiedział Yune. – W razie gdybym jednak się wykręcił od sądu.

– Z chęcią.

– Ktoś jeszcze dzisiaj musi się skontaktować z Boltonem i uprzedzić go, żeby spodziewał się gości – powiedział Alec Pelley.

Yune uniósł rękę.

– Tyle mogę zrobić.

– Daj mu jasno do zrozumienia, że nikt go za nic nie ściga – zastrzegł Howie. – Ostatnie, czego chcemy, to żeby nam nawiał.

– Zadzwoń do mnie, jak już z nim porozmawiasz – Ralph zwrócił się do Yune'a. – Bez względu na porę. Chcę wiedzieć, jak zareaguje.

– Ja też – dodała Jeannie.

– Powinniście powiedzieć mu coś jeszcze – zauważyła Holly. – Przestrzec go, żeby miał się na baczności. Bo jeśli moje podejrzenia są słuszne, jest następny w kolejce.

12

Było już ciemno, kiedy Ralph i pozostali wyszli od Howiego Golda. Howie został na górze ze swoim detektywem, żeby zająć się przygotowaniami do podróży. Ralph był ciekaw, o czym będą rozmawiali na osobności.

– Pani Gibney, gdzie pani nocuje? – spytała Jeannie.

– W motelu Flint Luxury. Zarezerwowałam pokój.

– Och, nie, nie pozwalam! Jedynym luksusem, jaki tam mają, jest szyld. To podła nora.

Holly wyraźnie się stropiła.

– Cóż, na pewno w mieście jest Holiday Inn…

– Zapraszamy do nas – powiedział Ralph, ubiegając Jeannie w nadziei, że dzięki temu zdobędzie u niej kilka punktów. Bóg mu świadkiem, potrzebował tego.

Holly się zawahała. Nie najlepiej się czuła w cudzych domach. Nie najlepiej się czuła nawet w swoim rodzinnym domu, kiedy raz na kwartał przyjeżdżała do matki. Wiedziała, że u tych nieznajomych ludzi długo nie będzie mogła zasnąć i obudzi się wcześnie, że usłyszy każde obce skrzypnięcie ścian lub podłogi, że będzie słuchała szepczących głosów Andersonów i zastanawiała się, czy mówią o niej… a prawie na pewno tak będzie. Że będzie miała nadzieję, że jej nie usłyszą, jeśli w nocy wstanie odcedzić kartofelki. Musiała się wyspać. Spotkanie było dość stresujące, a twardy, niewzruszony sceptycyzm detektywa Andersona, choć zrozumiały, był męczący.

Ale, jak powiedziałby Bill Hodges. Ale.

Sceptycyzm Andersona był tym „ale”. Z jego powodu musiała przyjąć zaproszenie. I zrobiła to.

– Dziękuję, to bardzo miłe z państwa strony, ale najpierw muszę załatwić jedną sprawę. To nie potrwa długo. Proszę podać adres, mój iPad doprowadzi mnie na miejsce.

– Czy jest to coś, w czym mogę pomóc? – spytał Ralph. – Chętnie…

– Nie. Naprawdę. Poradzę sobie. – Uścisnęła dłoń Yune'a. – Proszę pojechać z nami, jeśli będzie pan mógł, poruczniku Sablo. Na pewno pan tego chce.

Uśmiechnął się.

– Pewnie, że chcę, może mi pani wierzyć, ale jak napisał poeta: obietnic mam dotrzymać.

Marcy Maitland stała samotnie, z torebką przyciśniętą do brzucha, wyraźnie oszołomiona. Jeannie bez wahania podeszła do niej. Ralph patrzył z zainteresowaniem, jak Marcy najpierw się odsuwa, jakby wystraszona, a w końcu daje się przytulić. Po chwili nawet położyła głowę na ramieniu jego żony i odwzajemniła uścisk. Wyglądała jak zmęczone dziecko. Kiedy kobiety oderwały się od siebie, obie płakały.

– Tak mi przykro z powodu Terry'ego – powiedziała Jeannie.

– Dziękuję.

– Jeśli jest coś, co możemy zrobić dla ciebie albo twoich dziewczynek, cokolwiek…

– Ty nie, ale on tak. – Skierowała wzrok na Ralpha. Jej oczy, choć jeszcze mokre od łez, były zimne. Taksujące. – Ten outsider… chcę, żebyś go znalazł. Nie pozwól, żeby uciekł tylko dlatego, że w niego nie wierzysz. Możesz to dla mnie zrobić?

– Nie wiem – odparł Ralph – ale spróbuję.

Marcy nic więcej nie powiedziała, tylko przyjęła ramię podane przez Yune'a Sablo i pozwoliła, by odprowadził ją do samochodu.

13

Pół przecznicy dalej, przed dawno porzuconym Woolworth's, Jack siedział w swoim pikapie, pociągał z piersiówki i obserwował grupę na chodniku. Nie znał tylko jednej osoby z tego towarzystwa: szczupłej kobiety w kostiumie upodabniającym ją do bizneswoman na wyjeździe służbowym. Włosy miała krótkie, siwiejąca grzywka była trochę nierówna, jakby sama ją przystrzygła. Torba na ramieniu nieznajomej wydawała się dość duża, by zmieściła się w niej radiostacja krótkofalowa. Kobieta patrzyła, jak Sablo, ten Meksykaniec z policji stanowej, szarmancko odprowadza panią Maitland. Potem poszła do swojego samochodu, na tyle nijakiego, że ani chybi wynajęła go na lotnisku. Hoskinsowi przemknęło przez myśl, żeby za nią pojechać, ale postanowił trzymać się Andersonów. Bądź co bądź to śladem Ralpha tu trafił, a jest chyba takie powiedzenie, że z zabawy powinno się wracać z tą samą dziewczyną, z którą się przyszło.

Poza tym Anderson zasługiwał na baczną uwagę. Hoskins nigdy go nie lubił, a odkąd facet przed rokiem wydał mu tę pogardliwą, złożoną z trzech słów opinię („Nie mam zdania", napisał… jakby sam srał fiołkami), szczerze nim gardził. Ucieszył się jak diabli, kiedy Anderson wyłożył się o własnego fiuta, aresztując Maitlanda, i nie zdziwiło go, że teraz ten świętoszkowaty sukinsyn wtyka nochala w sprawy, które lepiej zostawić w spokoju. Na przykład w zamknięte dochodzenie.

Jack dotknął karku, skrzywił się, po czym zapalił silnik. Mógł zakończyć obserwację, kiedy Andersonowie wrócą do domu, ale pomyślał, że zaparkuje kawałek dalej przy ich ulicy i będzie miał ich

chatę na oku. Zobaczy, co się wydarzy. Miał butelkę po gatorade, do której w razie czego mógł się wyszczać, i może nawet trochę się zdrzemnie, jeśli ciągłe, pulsujące pieczenie karku na to pozwoli. Nie pierwszy raz spałby w aucie; zdarzyło mu się to przy kilku okazjach od czasu, gdy jego ślubna się od niego wyniosła.

Nie był pewien, co zrobi potem, ale najważniejsze zadanie było oczywiste: dopilnować, żeby przestali wtykać nochale w nie swoje sprawy. Co to właściwie za sprawy, tego nie wiedział – ale na pewno wiązało się to jakoś z małym Petersonem. I stodołą w powiecie Canning. To na razie wystarczy, tym bardziej że – pomijając oparzenie słoneczne, pomijając nawet zagrożenie rakiem skóry – robiło się coraz ciekawiej.

Był przekonany, że kiedy przyjdzie pora wykonać następne posunięcie, dostanie jasne instrukcje.

14

Wspomagając się aplikacją nawigacyjną, Holly szybko i bez kłopotów trafiła do Walmarta we Flint City. Uwielbiała Walmarty, ich ogrom, anonimowość, jaką zapewniały. Klienci nie patrzyli na siebie nawzajem jak w innych sklepach; zupełnie jakby każdy był w swojej prywatnej kapsule, kiedy kupowali ubrania, gry wideo czy hurtowe ilości papieru toaletowego. Nie trzeba było nawet rozmawiać z kasjerką, wystarczyło skorzystać z kasy samoobsługowej. Holly zawsze tak robiła. Zakupy załatwiła szybko, bo doskonale wiedziała, czego chce. Odwiedziła trzy działy: najpierw „artykuły biurowe", potem „odzież męska i chłopięca" i wreszcie „części samochodowe". Poszła z koszykiem do kasy samoobsługowej, schowała paragon do portfela. To był wydatek służbowy i oczekiwała, że zostanie jej zwrócony. O ile przeżyje, oczywiście. Miała przeczucie („jedno ze słynnych przeczuć Holly", usłyszała w duchu głos Billa Hodgesa), że jej szanse na to wzrosną, jeśli Ralph Anderson – pod pewnymi względami tak bardzo podobny do Billa, pod innymi tak bardzo się od niego różniący – zdoła przezwyciężyć swoje wewnętrzne rozdarcie.

Wróciła do samochodu i ruszyła do domu Andersonów. Zanim jednak wyjechała z parkingu, zmówiła krótką modlitwę. Za nich wszystkich.

15

Telefon komórkowy Ralpha zadzwonił w chwili, kiedy wchodzili z Jeannie do kuchni. To był Yune. Dostał numer Lovie Bolton od Johna Zellmana, właściciela Gentlemen, Please, i bez trudu dodzwonił się do Claude'a.

– Co mu powiedziałeś? – spytał Ralph.

– W zasadzie to, co uzgodniliśmy w kancelarii Howiego. Że chcemy go przesłuchać, bo mamy wątpliwości co do winy Terry'ego Maitlanda. Podkreśliłem, że samego Boltona o nic nie podejrzewamy i że ludzie, którzy go odwiedzą, badają tę sprawę nieoficjalnie, na własną rękę. Spytał, czy będziesz jednym z nich. Powiedziałem, że tak. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko. On chyba nie miał.

– W porządku. – Kiedy wrócili, Jeannie poszła prosto na górę, i w tej chwili Ralph usłyszał dźwięk towarzyszący uruchomieniu ich wspólnego komputera stacjonarnego. – Co jeszcze?

– Powiedziałem, że jeśli Maitland został wrobiony, Boltonowi może grozić to samo, zwłaszcza że jest notowany.

– Jak zareagował?

– Dobrze. Nie zdenerwował się ani nic w tym rodzaju. Potem jednak powiedział coś ciekawego. Zapytał, czy jestem pewien, że człowiekiem, którego widział w klubie tego wieczoru, kiedy zginął mały Peterson, rzeczywiście był Terry Maitland.

– Tak powiedział? Dlaczego?

– Bo Maitland sprawiał wrażenie, jakby widział go pierwszy raz w życiu, a pytanie, jak idzie drużynie bejsbolowej, zbył jakimś ogólnikiem. Nie podał żadnych szczegółów, mimo że drużyna grała w play-offach. Powiedział mi też, że Maitland miał na nogach drogie

adidasy. „Takie, na które małolaty odkładają pieniądze, bo chcą wyglądać jak gangsterzy", tak je opisał. Bolton mówił, że nigdy przedtem nie widział Maitlanda w takich butach.

– To były te same adidasy, które znaleźliśmy w stodole.

– Nie sposób tego udowodnić, ale jestem pewien, że masz rację.

Z góry dobiegło jękliwe rzężenie starej drukarki Hewlett-Packard; Ralph zaczął się zastanawiać, co Jeannie kombinuje.

– Pamiętasz, jak ta Gibney powiedziała nam o włosach znalezionych w pokoju ojca Maitlanda w domu opieki? Włosach należących do jednej z zamordowanych dziewczynek?

– Pewnie, że tak.

– O co się założysz, że jeśli przejrzymy wyciąg z karty kredytowej Maitlanda, znajdziemy potwierdzenie zakupu tych adidasów? I rachunek z podpisem niczym się nieróżniącym od podpisu Maitlanda?

– Ten hipotetyczny outsider pewnie mógłby zrobić coś takiego – stwierdził Ralph. – Ale najpierw musiałby ukraść jedną z kart kredytowych Terry'ego.

– Niekoniecznie. Pamiętaj, że Maitlandowie mieszkają we Flint City od zawsze. Pewnie mają otwarte rachunki w kilku sklepach w centrum. Facet musiałby tylko pójść do działu sportowego, wybrać te odlotowe adidasy i złożyć podpis. Kto by go o cokolwiek podejrzewał? Całe miasto go zna. To tak jak z tymi włosami i bielizną dziewczynek, rozumiesz? Kradnie ludziom twarze i robi swoją brudną robotę, ale to mu nie wystarcza. Jednocześnie kręci na nich stryczek. Bo karmi się smutkiem. Karmi się smutkiem!

Ralph milczał. Zakrył oczy dłonią, do jednej skroni przycisnął palce, do drugiej kciuk.

– Ralph? Jesteś tam?

– Tak. Ale, Yune… nie jestem jeszcze gotowy na takie wycieczki myślowe.

– Rozumiem. Sam nie jestem do tego w stu procentach przekonany. Ale musisz przynajmniej wziąć pod uwagę taką możliwość.

Tylko że to nie jest możliwość, pomyślał Ralph. To jest niemożliwość.

Zapytał Yune’a, czy przestrzegł Boltona, żeby na siebie uważał.

Yune parsknął śmiechem.

– Tak. Wyśmiał mnie. Powiedział, że w domu są trzy sztuki broni, dwa karabiny i pistolet i że jego matka nawet z rozedmą jest lepszym strzelcem od niego. Kurczę, chciałbym tam z wami pojechać.

– To się postaraj.

– Jasne.

Kiedy się rozłączył, Jeannie zeszła na dół z cienkim plikiem kartek.

– Sprawdziłam Holly Gibney. Trzeba przyznać, że jak na cichą kobietę, która nie ma za grosz gustu do ubrań, sporo w życiu zdziałała.

Ralph wziął od niej wydruki i w tej samej chwili na podjazd padły światła samochodu. Jeannie wyrwała mu cały plik, ledwie zerknął na nagłówek na pierwszej kartce z wierzchu: „Emerytowany policjant i dwie inne osoby ratują tysiące ludzi na koncercie w audytorium Mingo”. Domyślił się, że jedną z tych „innych osób” była Holly Gibney.

– Idź, pomóż jej wnieść bagaż – powiedziała Jeannie. – Przeczytasz to w łóżku.

16

Bagaż Holly składał się z torby na ramię, w której trzymała laptopa, torby podróżnej na tyle małej, by zmieściła się na półce bagażowej w samolocie, i siatki z Walmarta. Pozwoliła Ralphowi wziąć torbę podróżną, ale tej z laptopem i zakupów z Wally World nie chciała oddać.

– Bardzo państwu dziękuję za gościnę – zwróciła się do Jeannie.

– Cała przyjemność po naszej stronie. Czy mogę ci mówić Holly?

– Tak, oczywiście. Tak będzie najlepiej.

– Pokój gościnny jest na piętrze, na końcu korytarza. Masz świeżą pościel i oddzielną łazienkę. Gdybyś w środku nocy wstała za potrzebą, uważaj, żeby się nie potknąć o stolik z moją maszyną do szycia.

Po twarzy Holly przebiegł wyraz niekłamanej ulgi.

– Postaram się – odparła z uśmiechem.

– Napijesz się kakao? Mogę zrobić. Chyba że wolisz coś mocniejszego?

– Łóżko wystarczy, dziękuję. Nie chcę być nieuprzejma, ale miałam ciężki dzień.

– Oczywiście. Odprowadzę cię.

Holly jednak jeszcze przez chwilę nie ruszała się z miejsca. Zajrzała przez łukowe przejście do salonu i pokazała palcem.

– To tam siedział intruz, kiedy zeszłaś na dół?

– Tak. Na jednym z kuchennych krzeseł. – Jeannie wskazała je, po czym skrzyżowała ramiona i objęła łokcie dłońmi. – Początkowo widziałam go tylko od kolan w dół. Potem słowo na jego palcach. „Musi". Na koniec wychylił się do przodu i zobaczyłam jego twarz.

– Twarz Boltona.

– Tak.

Holly zamyśliła się przez chwilę, a potem nagle przywołała na twarz promienny uśmiech, który zaskoczył i Ralpha, i jego żonę. Znacznie ją odmłodził.

– Wybaczcie, ale kraina snów wzywa.

Jeannie zaprowadziła ją na górę, trajkocząc o czymś. Robi wszystko, żeby Gibney czuła się przy niej swobodnie; ja bym tak nie potrafił, pomyślał Ralph. Ma do tego talent, który pewnie się sprawdzi nawet wobec tej niezwykle dziwacznej kobiety.

Dziwacznej, ale przy tym osobliwie sympatycznej, pomimo jej zwariowanych teorii na temat Terry'ego Maitlanda i Heatha Holmesa.

Zwariowanych teorii, które, jak na złość, odpowiadają faktom.

Tyle że to było niemożliwe.

Które pasują do nich jak ulał.

– Ale to i tak niemożliwe – mruknął.

Obie kobiety roześmiały się na górze. Ralph uśmiechnął się na ten dźwięk. Czekał, dopóki nie usłyszał kroków Jeannie kierujących się do ich sypialni, po czym sam też poszedł na górę. Drzwi pokoju gościnnego na końcu korytarza były zamknięte na głucho. Plik kartek – owoce szybkiego dochodzenia Jeannie – leżał na jego poduszce. Rozebrał się, położył i zaczął czytać o pani Holly Gibney, współwłaścicielce firmy detektywistycznej Uczciwi Znalazcy.

17

Kawałek dalej przy tej samej ulicy Jack patrzył, jak kobieta w kostiumie skręca na podjazd Andersonów. Anderson wyszedł i pomógł jej z bagażami. Nie miała ich dużo. Jedna torba była z Walmarta. Czyli to tam pojechała. Może po koszulę nocną i szczoteczkę do zębów. Sądząc z jej wyglądu, koszula była okropna, a włosie szczoteczki na tyle twarde, żeby zedrzeć dziąsła do krwi.

Pociągnął z piersiówki i kiedy zakręcając ją, pomyślał, że w zasadzie może wrócić do domu (bo i czemu nie, skoro wszystkie dzieci grzecznie poszły lulu), uświadomił sobie, że nie jest już sam w samochodzie. Ktoś siedział po stronie pasażera. Pojawił się w tej chwili na skraju jego pola widzenia. To, oczywiście, było niemożliwe, ale przecież nie mógł siedzieć tam niezauważony przez cały czas. Prawda?

Hoskins patrzył prosto przed siebie. Oparzenie na karku, ostatnio względnie nieodczuwalne, znów zaczęło pulsować, i to bardzo boleśnie.

Kątem oka dostrzegł dłoń zawieszoną w powietrzu. Miał wrażenie, że prześwituje przez nią obicie siedzenia. Na palcach widniało wypisane wyblakłym niebieskim tuszem słowo „Musi". Hoskins zamknął oczy i zaczął się modlić, żeby przybysz go nie dotknął.

– Musisz dokądś pojechać – powiedział intruz. – Chyba że chcesz umrzeć tak jak twoja matka. Pamiętasz, jak krzyczała?

Pamiętał. Dopóki nie zabrakło jej sił, żeby krzyczeć.

– Dopóki nie zabrakło jej sił, żeby krzyczeć – powiedział pasażer. Dłoń dotknęła uda Jacka, bardzo lekko, ale Hoskins wiedział, że skóra zaraz zapłonie bólem, tak jak jego kark. Spodnie, które miał na

sobie, nie ochronią go; trucizna przeniknie przez materiał. – Tak, pamiętasz. Jak mógłbyś zapomnieć?

– Dokąd mam jechać?

Pasażer powiedział mu i dotyk strasznej dłoni ustał. Jack otworzył oczy, rozejrzał się. Miejsce obok niego było puste. Światła w domu Andersonów zgaszone. Spojrzał na zegarek: za piętnaście jedenasta. Czyli zasnął. Prawie mógł uwierzyć, że to, co widział, było tylko snem. Bardzo złym snem. Gdyby nie jeden szczegół.

Zapalił silnik i wrzucił bieg. Zatrzyma się po paliwo na stacji Hi przy drodze numer 17 za miastem. Tam będzie najlepiej, bo facet, który pracował na nocnej zmianie – Cody – zawsze miał spory zapas małych białych pigułek. Sprzedawał je tirowcom jadącym na północ do Chicago albo na południe do Teksasu. Dla Jacka Hoskinsa z policji Flint City będą gratis.

Deska rozdzielcza pikapa była zakurzona. Na pierwszym znaku stopu wychylił się w prawo i wytarł ją do czysta, wymazując słowo, które napisał tam palec jego pasażera.

„Musi”.

WSZECHŚWIAT BEZ KOŃCA

26 lipca

1

Sen Ralpha był płytki i przerywany koszmarami. W jednym z nich trzymał w ramionach umierającego Terry'ego Maitlanda; „Okradłeś moje dzieci", powiedział.

Obudził się o wpół do piątej i wiedział, że już nie zaśnie. Miał wrażenie, że znalazł się w jakimś wymiarze rzeczywistości, którego istnienia dotąd nawet nie podejrzewał, ale powiedział sobie, że każdy tak się czuje przed świtem. To wystarczyło, by zwlókł się z łóżka i poszedł do łazienki, gdzie umył zęby.

Jeannie spała w tej samej pozycji co zawsze, zagrzebana pod narzutą naciągniętą tak wysoko, że wystawała spod niej tylko kępka włosów. Włosów, w których, podobnie jak w jego własnych, pojawiła się już siwizna. Na razie niedużo, ale wkrótce jej przybędzie. To nic. Upływ czasu jest zagadką, ale przynajmniej jest to zagadka normalna.

Podmuch z klimatyzatora zrzucił część wydruków Jeannie na podłogę. Ralph położył je z powrotem na stoliku nocnym, podniósł swoje dżinsy, stwierdził, że jeszcze jeden dzień można w nich pochodzić (zwłaszcza w zakurzonym południowym Teksasie), i trzymając je w dłoni, podszedł do okna. Pierwsze szare światło rozlewało się po niebie. Dzisiaj będzie tu upalnie, a tam, dokąd pojadą, jeszcze upalniej.

Zauważył – bez większego zaskoczenia, choć sam nie bardzo wiedział dlaczego – że Holly Gibney jest na dole. Siedziała w dżinsach na tym samym krześle ogrodowym, na którym Ralph siedział nieco ponad tydzień wcześniej, kiedy przyszedł Bill Samuels. Tego wieczoru, kiedy Bill opowiedział historię o znikających śladach

stóp, a on odwzajemnił się mu wspomnieniem o robaczywej kantalupie.

Naciągnął spodnie i koszulkę Oklahoma Thunder, jeszcze raz spojrzał na śpiącą Jeannie i wyszedł ze starymi zdartymi mokasynami, które zastępowały mu kapcie, zwisającymi z dwóch palców lewej dłoni.

2

Pięć minut później wyszedł tylnymi drzwiami. Holly odwróciła się na dźwięk jego kroków, z miną ostrożną, czujną, ale nie nieprzyjazną (taką przynajmniej miał nadzieję). Zobaczyła kubki na starej tacce z logo Coca-Coli i jej drobną twarz rozświetlił ten promienny uśmiech.

– Czy to jest to, na co liczę?

– Tak, jeśli liczysz na kawę. Ja piję czarną, ale przyniosłem wszystkie dodatki, w razie gdybyś ich potrzebowała. Moja żona woli białą i słodką. Taką jak ja, mówi. – Uśmiechnął się.

– Czarna może być. Pięknie dziękuję.

Położył tackę na stole piknikowym. Holly usiadła naprzeciwko niego, wzięła jeden z kubków, upiła łyk.

– Och, jaka dobra. Smaczna i mocna. Nie ma to jak mocna czarna kawa o poranku. Przynajmniej ja tak uważam.

– Dawno wstałaś?

– Mało sypiam – zręcznie uniknęła odpowiedzi. – Bardzo tu przyjemnie. Powietrze jest takie świeże.

– Nie kiedy wiatr wieje z zachodu, możesz mi wierzyć. Wtedy czuć rafinerie z Cap City. Aż głowa boli. – Zawiesił głos i spojrzał na nią.

Holly uciekła wzrokiem, trzymając kubek na wysokości twarzy, jakby się nim osłaniała. Ralph wrócił pamięcią do zeszłego wieczoru, do tego, jak zdawała się zbierać w sobie przed każdym uściskiem dłoni. Miał wrażenie, że wiele codziennych gestów i zachowań sprawia tej kobiecie dużą trudność. A mimo to dokonała niesamowitych rzeczy.

– Wieczorem trochę o tobie poczytałem. Alec Pelley nie kłamał. Masz imponujące CV.

Nie odpowiedziała.

– Oprócz tego, że powstrzymałaś Hartsfielda przed wysadzeniem w powietrze tłumu dzieciaków, ty i twój wspólnik, pan Hodges…

– Detektyw Hodges – uściśliła. – Emerytowany.

Ralph skinął głową.

– Oprócz tego ty i detektyw Hodges uwolniliście dziewczynę z rąk szaleńca nazwiskiem Morris Bellamy. Bellamy zginął, kiedy przyszliście jej na ratunek. Uczestniczyłaś też w strzelaninie z lekarzem, który zszedł na złą drogę i zabił swoją żonę, a w zeszłym roku rozbiłaś szajkę złodziei psów rzadkich ras, którzy żądali za nie okupu i sprzedawali te, których właściciele nie chcieli zapłacić. Nie żartowałaś, mówiąc, że twoja firma zajmuje się poszukiwaniem zaginionych zwierzaków.

Znowu oblała się rumieńcem, od szyi do czoła. Było dość oczywiste, że to wyliczenie jej dokonań jest dla niej więcej niż krępujące; sprawiało jej autentyczny ból.

– Większa w tym wszystkim była zasługa Billa Hodgesa.

– Nie w sprawie złodziei psów. Umarł rok wcześniej.

– Tak, ale wtedy już miałam ze sobą Pete'a Huntleya. Byłego detektywa Huntleya. – Spojrzała mu prosto w twarz. Zmusiła się do tego. Jej oczy były czyste, błękitne. – Pete jest dobry, bez niego nie poradziłabym sobie z prowadzeniem firmy, ale Bill był lepszy. To dzięki niemu jestem tym, kim jestem. Zawdzięczam mu wszystko. Z życiem włącznie. Chciałabym, żeby tu był.

– Zamiast mnie?

Nie odpowiedziała. Co, oczywiście, samo w sobie było odpowiedzią.

– On wierzyłby w tego zmiennokształtnego *El Cuco*?

– O tak. – Nie wahała się ani chwili. – Bo Bill… i ja… i nasz przyjaciel Jerome Robinson, który był z nami… jesteśmy bogatsi o pewne doświadczenia, które panu nie były dane. Choć wkrótce to może się zmienić, zależnie od tego, co się wydarzy w najbliższych dniach. Może jeszcze dziś przed zachodem słońca.

– Mogę do was dołączyć? – To była Jeannie, też z kubkiem kawy.

Ralph gestem zaprosił ją do stołu.

– Strasznie przepraszam, jeśli cię obudziliśmy – powiedziała Holly. – To takie miłe z waszej strony, że udzieliliście mi gościny.

– Obudził mnie Ralph, kiedy wyszedł, stąpając na palcach jak słoń – wyjaśniła Jeannie. – Może i jeszcze bym zasnęła, ale poczułam kawę. A to pokusa nie do odparcia. O, jak dobrze, przynieśliście śmietankę.

– Lekarz nie był winny – powiedziała Holly.

Ralph uniósł brwi.

– Słucham?

– Nazywał się Babineau, nie tyle zszedł na złą drogę, ile został na nią zepchnięty, i nie zabił pani Babineau. Zrobił to Brady Hartsfield.

– Z tego, co czytałem w artykułach, które moja żona znalazła w sieci, Hartsfield umarł w szpitalu, zanim ty i Hodges wytropiliście Babineau.

– Wiem, co pisały gazety, ale się myliły. Powiedzieć wam, jak było naprawdę? Nie lubię opowiadać tej historii, nie chcę nawet pamiętać tamtych spraw, ale może trzeba, żebyście ją poznali. Dlatego że tam, dokąd jedziemy, czyha niebezpieczeństwo i jeśli nadal będzie pan sądził, że ścigamy człowieka, chorego, wynaturzonego, żądnego krwi, ale mimo wszystko tylko człowieka, narazi się pan na jeszcze większe zagrożenie.

– Niebezpieczeństwo czyha tu, na miejscu – zaprotestowała Jeannie. – Ten outsider, który wygląda jak Claude Bolton… widziałam go tutaj. Przecież mówiłam o tym wczoraj wieczorem na spotkaniu!

Holly skinęła głową.

– Myślę, że outsider tu był, może nawet uda mi się to udowodnić, ale nie sądzę, by był tu, że tak powiem, całym sobą. I uważam, że teraz już go tu nie ma. Jest tam, w Teksasie, bo tam jest Bolton, a outsider na pewno chce się trzymać blisko niego. Nawet nie tyle chce, ile musi, bo… – zawiesiła głos i przygryzła wargę – …myślę, że wyczerpują mu się siły. Nie przywykł do tego, że ludzie go ścigają. Że wiedzą, czym jest.

– Nie rozumiem – powiedziała Jeannie.

– Pozwolicie, że opowiem wam o Bradym Hartsfieldzie? To może pomóc. – Holly spojrzała na Ralpha, znów zmuszając się, żeby

napotkać jego wzrok. – Może nie uwierzycie, ale zrozumiecie, dlaczego ja wierzę.

– Proszę bardzo – powiedział.

Zaczęła mówić. Kiedy skończyła, na wschodzie wstawało czerwone słońce.

3

– O rany – sapnął Ralph. Nic innego nie przyszło mu do głowy.

– Czy to prawda? – spytała Jeannie. – Brady Hartsfield… co? Jakoś przeniósł swoją świadomość do tego lekarza?

– Tak. Może dzięki eksperymentalnym lekom, które Babineau mu podawał, ale ja nigdy nie uważałam, że to był jedyny powód. Hartsfield już wcześniej coś w sobie miał i cios w głowę, który mu zadałam, to z niego wyzwolił. Tak przypuszczam. – Holly odwróciła się do Ralpha. – Pan jednak w to nie wierzy, prawda? Mogłabym zadzwonić do Jerome'a, który powiedziałby panu to samo… ale jemu też by pan nie uwierzył.

– Nie wiem, w co wierzyć – przyznał Ralph. – Ta seria samobójstw wywołanych przekazami podprogowymi w grach wideo… czy w prasie było coś na ten temat?

– W prasie, telewizji, internecie. Wszędzie. – Holly spuściła wzrok na swoje dłonie. Paznokcie były niepolakierowane, ale schludne; przestała je ogryzać, zerwała z tym, tak jak z paleniem. Czasami nachodziła ją refleksja, że jej pielgrzymka do stanu przynajmniej zbliżonego do stabilności psychicznej (jeśli nie pełnego zdrowia umysłowego) upływała pod znakiem rytualnego porzucania niezdrowych nawyków. Trudno było się z nimi rozstać. Były jej przyjaciółmi. Po chwili podjęła, nie patrząc na nich, tylko w dal, przed siebie: – W czasie całego zamieszania z Babineau i Hartsfieldem u Billa wykryto raka trzustki. Potem trochę poleżał w szpitalu, ale ostatecznie wrócił do domu. Wtedy już wszyscy wiedzieliśmy, jak to się skończy… on też, choć nigdy nie powiedział tego wprost i walczył z tym pitolonym rakiem do ostatka. Chodziłam

do niego prawie co wieczór, głównie żeby się upewnić, że coś je, ale też po to, żeby z nim posiedzieć. Dotrzymać mu towarzystwa, a przy okazji… sama nie wiem…

– Nasycić się nim? – podsunęła Jeannie. – Dopóki jeszcze go miałaś?

Znów ten uśmiech, promienny, ujmujący Holly lat.

– Właśnie. O to chodziło. Pewnego wieczoru, niedługo przedtem, zanim wrócił do szpitala, w jego części miasta nie było prądu. Drzewo upadło na przewody czy coś. Kiedy poszłam do Billa, siedział na schodkach przed domem i patrzył w gwiazdy. „Przy zapalonych latarniach nie widać ich tak dobrze jak teraz", powiedział. „Zobacz, ile ich jest, jak jasno świecą!". Tamtego wieczoru widać było chyba całą Drogę Mleczną. Siedzieliśmy razem przez jakiś czas, może pięć minut, nic nie mówiliśmy, tylko patrzyliśmy. W końcu powiedział: „Naukowcy zaczynają dochodzić do wniosku, że wszechświat nie ma końca. Pisał o tym »New York Times« z zeszłego tygodnia. A kiedy widzisz wszystkie widoczne gwiazdy i wiesz, że poza zasięgiem wzroku jest ich jeszcze więcej, łatwo w to uwierzyć". Potem, kiedy Bill zachorował, raczej nie rozmawialiśmy o Bradym Hartsfieldzie ani o tym, co zrobił doktorowi Babineau, ale myślę, że właśnie to miał wtedy na myśli.

– Więcej jest rzeczy na ziemi i w niebie, niż się ich śniło waszym filozofom[3] – skwitowała Jeannie.

Holly znów się uśmiechnęła.

– Chyba Szekspir rzeczywiście najlepiej to wyraził. Zresztą, w zasadzie wszystko wyraził najlepiej, moim zdaniem.

– Może Bill nie mówił o Hartsfieldzie i Babineau – powiedział Ralph. – Może próbował się pogodzić ze swoją… sytuacją.

– Oczywiście, że tak – stwierdziła Holly. – Z tym i ze wszystkimi zagadkami. I to właśnie musimy…

Zaćwierkał jej telefon komórkowy. Wyjęła go z tylnej kieszeni i przeczytała wiadomość.

– To od Aleca Pelleya – powiedziała po chwili. – Samolot wyczarterowany przez pana Golda będzie gotowy do startu o wpół do dziesiątej. Nadal zamierza pan polecieć z nami, panie Anderson?

– Oczywiście. A skoro siedzimy w tym razem, cokolwiek to jest, lepiej mów mi Ralph. – Dopił kawę w dwóch łykach i wstał. – Poproszę paru mundurowych, żeby pod moją nieobecność mieli oko na dom, Jeannie. Nie masz nic przeciwko?

Zatrzepotała rzęsami.

– Byleby byli przystojni.

– Zwrócę się do Troya Ramage'a i Toma Yatesa. Żaden nie wygląda jak gwiazdor filmowy, ale to oni aresztowali Terry'ego Maitlanda na stadionie. Wypada, żeby odegrali w tym jakąś rolę.

– Muszę jeszcze coś sprawdzić i chciałabym zrobić to teraz, zanim zrobi się zupełnie widno – powiedziała Holly. – Moglibyśmy wejść do domu?

3 Tłum. Józef Paszkowski.

4

Na prośbę Holly Ralph zaciągnął rolety w kuchni, a Jeannie zasłony w salonie. Holly usiadła przy kuchennym stole z flamastrami i rolką taśmy klejącej, nabytkami z działu artykułów biurowych Walmarta. Oderwała dwa krótkie kawałki taśmy, nakleiła je na flesz swojego iPhone'a i pomalowała na niebiesko. Potem urwała trzeci kawałek, zakleiła nim niebieskie paski i pomalowała fioletowym flamastrem.

Wstała i wskazała na krzesło stojące najbliżej łuku między pomieszczeniami.

– Na tym siedział?

– Tak – odparła Jeannie.

Holly zrobiła dwa zdjęcia siedziska z użyciem flesza, podeszła do łuku i znów pokazała palcem.

– I tam.

– Tak. Dokładnie w tym miejscu. Ale rano na dywanie nie było żadnych śladów. Ralph sprawdził.

Holly uklękła na jedno kolano, zrobiła cztery zdjęcia dywanu i wstała.

– Dobrze. To powinno wystarczyć.

– Ralph? Wiesz, co ona robi? – spytała Jeannie.

– Przerobiła telefon na prowizoryczną lampkę światła czarnego. – Coś, co sam mógłbym zrobić, gdybym naprawdę uwierzył żonie; znam tę sztuczkę od co najmniej pięciu lat. – Szukasz plam, prawda? Tego osadu, który był w stodole.

– Tak, ale jeśli rzeczywiście tu jest, to w znacznie mniejszej ilości, inaczej zobaczylibyście go gołym okiem. W sieci można kupić zestaw do takich badań, nazywa się Check Mate, ale tak też powinno się

udać. Bill mnie tego nauczył. Zobaczmy, co tu mamy. I czy w ogóle cokolwiek.

Stanęli przy niej – jedno z jednej, drugie z drugiej strony – i Holly tym razem nie miała nic przeciwko takiej fizycznej bliskości. Była zbyt zaabsorbowana, zbyt pełna nadziei. Mam hollynadzieję, powiedziała sobie w duchu.

Plamy były tam, gdzie przewidywała. Słabo widoczny żółtawy rozbryzg na siedzisku krzesła, na którym siedział intruz, i kilka innych – przypominających rozchlapane kropelki farby – na dywanie przy łukowym przejściu.

– Jasny gwint – mruknął Ralph.

– Spójrzcie na tę. – Holly rozsunęła palce, powiększając fotografię plamy na dywanie. – Widzicie, tworzy kąt prosty? To ślad nogi krzesła.

Wróciła do krzesła i zrobiła jeszcze jedno zdjęcie z użyciem flesza, tym razem tuż nad podłogą. Znów zebrali się wokół iPhone'a. Holly rozsunęła palce i ekran wypełniła jedna z nóg krzesła.

– Tędy to ściekało. Jak chcecie, możecie już odsłonić okna.

Kiedy kuchnię ponownie zalało światło poranka, Ralph wziął telefon od Holly i raz jeszcze przejrzał zdjęcia, od pierwszego do ostatniego i z powrotem. Czuł, że mur jego niewiary zaczyna kruszeć; koniec końców wystarczyło kilka fotografii na małym ekranie iPhone'a, żeby do tego doprowadzić.

– Co z tego wynika? – spytała Jeannie. – To znaczy w sensie praktycznym? Był tu czy nie?

– Jak już mówiłam, na razie zebrałam zdecydowanie za mało informacji, żeby mieć całkowitą pewność. Ale gdybym musiała zgadywać, powiedziałabym, że… jedno i drugie.

Jeannie potrząsnęła głową, jakby usiłowała oprzytomnieć.

– Nie rozumiem.

Ralph myślał o pozamykanych drzwiach i alarmie przeciwwłamaniowym, który się nie uruchomił.

– Chcesz powiedzieć, że ten człowiek był… – Duchem, to słowo pierwsze przyszło mu do głowy, ale jakoś tu nie pasowało.

– Nic nie chcę powiedzieć – odparła Holly.

Pewnie, że nie. Chcesz, żebym ja to powiedział, pomyślał Ralph.

– Że był projekcją? Albo awatarem jak z gier wideo, w które gra nasz syn?

– Ciekawa myśl. – Oczy kobiety błyszczały. Ralph miał wrażenie (trochę wkurzające), że powstrzymuje się od uśmiechu.

– Osad jest, ale nie ma śladów krzesła na dywanie – powiedziała Jeannie. – Jeśli był tu fizycznie, musiał być… lekki. Nie cięższy od poduszki wypchanej pierzem. I twoim zdaniem to, co robi, ta projekcja, wyczerpuje jego siły?

– To wydaje się logiczne, przynajmniej jak dla mnie – odparła Holly. – Możemy być pewni jednego: że coś rzeczywiście tu było, kiedy wczoraj nad ranem zeszłaś na dół. Zgodzi się pan z tym, detektywie Anderson?

– Tak. Ale jeśli nie zaczniesz mówić mi po imieniu, Holly, będę musiał cię aresztować.

– Jak wróciłam na górę? – spytała Jeannie. – Czy on… proszę, tylko mi nie mów, że zaniósł mnie do łóżka, kiedy zemdlałam.

– Raczej nie.

– Może… – Ralph się zamyślił – …tak tylko zgaduję, ale może… to było coś w rodzaju hipnotycznej sugestii?

– Nie wiem. Wielu szczegółów zapewne nigdy nie poznamy. A teraz chciałabym wziąć szybki prysznic, jeśli nie macie nic przeciwko.

– Proszę bardzo – powiedziała Jeannie. – Ja zrobię jajecznicę. – Na chwilę zamilkła, po czym jęknęła: – O mój Boże…

Holly, która już szła do wyjścia, odwróciła się.

– Lampka nad kuchenką. Była włączona. Ta nad palnikami. Zapala się ją guzikiem. – Oglądając zdjęcia, Jeannie wydawała się podekscytowana. Teraz na jej twarzy malowało się czyste przerażenie. – Trzeba go wcisnąć, żeby światło się włączyło. Czyli był na tyle obecny fizycznie, że mógł to zrobić.

Holly nic nie powiedziała.

Ralph też nie.

5

Po śniadaniu Holly wróciła do pokoju gościnnego, rzekomo po to, by spakować swoje rzeczy. Ralph podejrzewał, że tak naprawdę chciała dać mu trochę czasu i prywatności, żeby mógł pożegnać się z żoną. Holly Gibney miała swoje dziwactwa, ale głupia nie była.

– Ramage i Yates będą bacznie czuwać – powiedział do Jeannie. – Obaj wzięli wolne.

– Zrobili to dla ciebie?

– I chyba dla Terry'ego. Czują się prawie tak podle jak ja z powodu tego, co się stało.

– Masz pistolet?

– Na razie w torbie podróżnej. Po lądowaniu będę go nosił w kaburze u pasa. Alec też. Chcę, żebyś i ty wyjęła swoją broń z sejfu. Trzymaj ją pod ręką.

– Naprawdę myślisz, że…

– Nie wiem, co myśleć. Pod tym względem zgadzam się z Holly. Trzymaj broń pod ręką i tyle. Tylko nie strzelaj do listonosza.

– Słuchaj, może powinnam pojechać z wami.

– To nie jest dobry pomysł.

Nie chciał, żeby dziś byli razem, ale wolał jej nie mówić dlaczego, bo przejęłaby się jeszcze bardziej. Musieli myśleć o swoim synu, tym, który gra w bejsbol, strzela z łuku do celów ustawionych przed belami siana albo robi paski z koralików. O Dereku, który był niewiele starszy od Franka Petersona. Dereku, który przyjmował za pewnik, jak większość dzieci, że jego rodzice są nieśmiertelni.

– Może masz rację – powiedziała. – Ktoś powinien być w domu na wypadek, gdyby zadzwonił D, prawda?

Przytaknął i pocałował ją.

– O tym samym pomyślałem.

– Uważaj na siebie. – Patrzyła na niego z dołu szeroko otwartymi oczami; i nagle przeszyło go wspomnienie obrazu tych samych oczu patrzących na niego z tą samą miłością, nadzieją i niepokojem. To było na ich ślubie, w chwili, kiedy składali przysięgę małżeńską, stojąc przed krewnymi i znajomymi.

– Będę uważał. Jak zawsze.

Próbował oderwać się od niej, ale przyciągnęła go z powrotem. Mocno ściskała jego przedramiona.

– Dobrze, ale pamiętaj, że takiej sprawy jak ta jeszcze nie prowadziłeś. Teraz już oboje to wiemy. Jeśli możesz go dorwać, dorwij go. Jeśli nie… jeśli sytuacja będzie ponad twoje siły… wycofaj się. Wycofaj się i wróć do mnie, do domu, rozumiesz?

– Rozumiem.

– Obiecaj, że to zrobisz.

– Obiecuję. – Znowu przypomniał sobie dzień ślubu.

– Mam nadzieję, że szczerze. – Wciąż to przenikliwe spojrzenie, tak pełne miłości i niepokoju. Spojrzenie, które mówiło: Związałam swój los z tobą, proszę, spraw, abym tego nigdy nie pożałowała. – Muszę ci coś powiedzieć, coś ważnego. Słuchasz mnie?

– Tak.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Ralph. Dobrym człowiekiem, który popełnił koszmarny błąd. Nie ty pierwszy i nie ostatni. To coś, z czym musisz żyć, i ja ci w tym pomogę. Napraw ten błąd, jeśli możesz, ale proszę, postaraj się go nie pogłębić. Proszę.

Holly dość ostentacyjnie schodziła na dół, tak żeby ją usłyszeli. Ralph przez chwilę stał nieruchomo, patrząc z góry w szeroko otwarte oczy żony – równie piękne jak wtedy, wiele lat temu. Potem pocałował ją i cofnął się. Ścisnęła jego dłonie, serdecznie i mocno. A potem puściła.

6

Ralph zabrał Holly na lotnisko swoim samochodem. Trzymała torbę z laptopem na kolanach, plecy miała sztywno wyprostowane, kolana skromnie złączone.

– Czy pańska żona ma broń? – spytała.

– Tak. I bywa na strzelnicy policyjnej. Żonom i córkom wolno w tych stronach. A ty, Holly?

– Oczywiście, że nie. Przyleciałam samolotem, i to nieczarterowym.

– Na pewno możemy ci coś załatwić. W końcu jedziemy do Teksasu, nie do Nowego Jorku.

Pokręciła głową.

– Nie strzelałam od czasu, kiedy Bill jeszcze żył. To było w trakcie naszego ostatniego wspólnego śledztwa. I nie trafiłam w to, w co celowałam.

Zamilkł i milczał dotąd, aż włączyli się w rwącą rzekę samochodów zmierzających płatną autostradą na lotnisko i do Cap City.

– Próbki ze stodoły są w laboratorium policji stanowej – powiedział po wykonaniu niebezpiecznego manewru. – Jak myślisz, co znajdą, kiedy w końcu przepuszczą je przez cały ten nowoczesny sprzęt? Masz jakieś hipotezy?

– Na podstawie tego, co zostało na krześle i dywanie, sądzę, że ta substancja składa się głównie z wody, ale o wysokim pH. Domyślam się, że zawiera śladowe ilości śluzowatego płynu wytwarzanego przez gruczoły opuszkowo-cewkowe, zwane też gruczołami Cowpera od nazwiska anatoma Williama Cowpera, który…

– Czyli jednak uważasz, że to sperma.

– Raczej coś jak preejakulat. – Jej policzki lekko się zarumieniły.

– Znasz się na tych sprawach.

– Po śmierci Billa zrobiłam kurs z patologii sądowej. Właściwie kilka kursów. Chodzenie na kursy… pomagało zabić czas.

– Sperma była na tylnej stronie ud Franka Petersona. Duża, ale nie niespotykana ilość. DNA w niej było zgodne z DNA Terry'ego Maitlanda.

– Te plamy w stodole i w pańskim domu to nie sperma ani preejakulat mimo podobieństw. Kiedy technicy zbadają próbki z Canning, myślę, że wykryją w nich nieznane składniki, które uznają za zanieczyszczenia. Odetchną z ulgą, że nie muszą przedstawić tych wyników w sądzie. Do głowy im nie przyjdzie, że mają do czynienia z zupełnie dotąd nieznaną substancją: taką, którą on wydziela albo zrzuca z siebie w czasie przemiany. Co do spermy na ciele małego Petersona… jestem pewna, że outsider zostawił spermę też w miejscu zabójstwa sióstr Howard. Na ich ubraniach albo ciałach. To tylko jeszcze jedna jego wizytówka, jak kosmyk włosów w łazience pana Maitlanda i wszystkie odciski palców, które znaleźliście.

– Nie zapominaj o naocznych świadkach.

– Fakt. Ta istota lubi świadków. Bo i czemu nie, skoro może nosić cudzą twarz?

Ralph pojechał za strzałkami do terminalu firmy czarterowej, z której usług korzystał Howard Gold.

– Czyli według ciebie to tak naprawdę nie były zabójstwa na tle seksualnym? Tylko miały na takie wyglądać?

– Nie posunęłabym się do takiego stwierdzenia, ale… – Holly spojrzała na niego. – Sperma była na nogach chłopca, ale nie… wie pan… wewnątrz?

– Tak. Został spenetrowany… zgwałcony… gałęzią.

– Uuch. – Holly się skrzywiła. – Sądzę, że sekcja dziewczynek wykazała, że w ich ciałach też nie było spermy. Możliwe, że jego zabójstwa mają jakiś pierwiastek seksualny, ale w rzeczywistości nie jest zdolny do odbycia stosunku.

– Jak większość normalnych seryjnych morderców. – Prawie taki sam oksymoron jak „krewetki jumbo", pomyślał ze śmiechem, ale swoich słów nie cofnął, bowiem jedynym stosownym zamiennikiem,

jaki przyszedł mu do głowy, było określenie „seryjni mordercy – ludzie”.

– Jeśli żywi się smutkiem, musi też żerować na bólu umierających ofiar. – Rumieniec zniknął z policzków kobiety, pozostawiając bladość. – Taki ból pewnie jest niezwykle treściwy, jak wykwintne danie albo dobra stara szkocka. I tak, to może podniecać go seksualnie. Nie lubię myśleć o takich sprawach, ale uważam, że trzeba dobrze poznać wroga. My… detektywie Anderson, chyba musi pan tu skręcić w lewo. – Pokazała palcem.

– Ralph.

– Tak. Skręć w lewo, Ralph. To droga do terminalu Regal Air.

7

Howie i Alec byli już na miejscu.

– Odlot trochę się opóźni – powiedział Howie z uśmiechem. – Sablo jest w drodze.

– Jak to załatwił? – spytał Ralph.

– Nie on, tylko ja. No, częściowo. Sędzia Martinez leży w szpitalu z pękniętym wrzodem, a to robota Pana Boga. A może po prostu skutek przeholowania z pikantnym sosem. Sam jestem fanem texas pete, ale gość lał go tyle, że ciarki mnie przechodziły. Co do drugiej rozprawy, na której porucznik Sablo miał zeznawać, zastępca prokuratora okręgowego był mi winien przysługę.

– Chcę wiedzieć dlaczego?

– Nie. – Howie uśmiechnął się tak szeroko, że widać mu było siódemki.

Mieli jeszcze trochę czasu, więc usiedli we czworo w małej poczekalni – mniej okazałej niż hala odlotów – i patrzyli na startujące i lądujące samoloty.

– Kiedy wczoraj wróciłem do domu – odezwał się znów Howie – odpaliłem internet i poczytałem o sobowtórach. Bo, jak rozumiem, tym właśnie jest ten outsider?

Holly wzruszyła ramionami.

– Określenie równie dobre jak każde inne.

– Najsłynniejszy fikcyjny sobowtór występuje w opowiadaniu Edgara Allana Poego. *William Wilson*, taki ma tytuł.

– Jeannie je zna – powiedział Ralph. – Rozmawialiśmy o nim.

– Ale wielu istniało naprawdę. Setki, jak się wydaje. Jeden taki przypadek odnotowano na pokładzie „Lusitanii”. Wśród pasażerów

pierwszej klasy była niejaka Rachel Withers. W czasie rejsu kilkoro ludzi widziało inną kobietę, łudząco do niej podobną, nawet z identycznym pasmem siwizny we włosach. Według niektórych podróżowała trzecią klasą. Według innych była członkiem załogi. Panna Withers wybrała się ze swoim przyjacielem na jej poszukiwania i rzekomo wypatrzyli ją na kilka sekund, zanim torpeda z niemieckiego U-boota trafiła w prawą burtę statku. Withers zginęła, ale jej towarzysz przeżył. Nazwał jej sobowtóra zwiastunem zguby. Francuski pisarz Guy de Maupassant pewnego dnia spotkał swojego sobowtóra na paryskiej ulicy; ten sam wzrost, ta sama fryzura, te same oczy, identyczny wąs, identyczny akcent.

– Cóż, Francuzi. – Alec wzruszył ramionami. – Co w tym dziwnego? De Maupassant pewnie postawił mu lampkę wina.

– Najgłośniejszy przypadek zdarzył się w tysiąc osiemset czterdziestym piątym roku w łotewskiej szkole dla dziewcząt. Nauczycielka pisała na tablicy, kiedy nagle do klasy weszła jej sobowtórka, stanęła obok i zaczęła naśladować każdy jej ruch, tylko bez kredy w ręku. Potem wyszła. Wszystko na oczach dziewiętnastu uczennic. Niesamowite, co?

Nikt nie odpowiedział. Ralph myślał o robaczywej kantalupie i znikających śladach stóp, a także o czymś, co powiedział nieżyjący przyjaciel Holly: „Wszechświat nie ma końca". Stwierdził, że niektórym ta wizja może się wydać optymistyczna, nawet piękna. W Ralphie, który przez całe życie zawodowe kierował się wyłącznie faktami, budziła przerażenie.

– Cóż, według mnie to niesamowite – mruknął Howie, lekko nadąsany.

– Wytłumacz mi coś, Holly – rzucił Alec. – Skoro ten facet razem z twarzami ofiar przejmuje ich myśli i wspomnienia… jak rozumiem, w wyniku jakiejś mistycznej transfuzji krwi… dlaczego nie wiedział, jak trafić do najbliższej przychodni? No i jest jeszcze sprawa Willow Rainwater, tej taksówkarki. Maitland znał ją z meczów koszykówki dla dzieci w YMCA, ale człowiek, którego zawiozła do Dubrow, odnosił się do niej jak do obcej osoby. Nie nazywał jej Willow ani pani Rainwater. Zwracał się do niej po prostu per „pani".

– Nie wiem. – Holly była wyraźnie poirytowana. – Wiem tyle, ile przeczytałam w locie, dosłownie, na pokładzie samolotów. Mogę jedynie zgadywać, a tego mam już dosyć.

– Może to tak jak z szybkim czytaniem – zasugerował Ralph. – Ci, którzy to potrafią, szczycą się, że mogą pochłonąć grubą książkę od deski do deski za jednym posiedzeniem, ale faktycznie wychwytują tylko ogólny sens. Jeśli zapytać ich o szczegóły, zwykle się gubią. – Zrobił pauzę. – Tak przynajmniej twierdzi moja żona. Należy do klubu książkowego i jest w nim jedna kobieta, która trochę za bardzo lubi się przechwalać swoją umiejętnością szybkiego czytania. Doprowadza tym Jeannie do szału.

Patrzyli, jak załoga naziemna tankuje paliwo do king aira, a dwaj piloci przeprowadzają kontrolę przed startem. Holly wyciągnęła iPada i zaczęła czytać (całkiem szybko jej szło, zauważył Ralph). Za piętnaście dziesiąta na mały parking przed terminalem Regal wjechało subaru forester i wysiadł z niego Yune Sablo. Z telefonem komórkowym przy uchu narzucił na ramię plecak moro. Wchodząc do terminalu, zakończył rozmowę.

– *Amigos! Cómo están*?

– Dobrze. – Ralph wstał. – Ruszajmy.

– Właśnie rozmawiałem z Claude'em Boltonem. Wyjedzie po nas na lotnisko w Plainville. To jakieś sto kilometrów od Marysville, gdzie mieszka.

Alec uniósł brwi.

– Po co?

– Niepokoi się. Mówił, że ostatniej nocy prawie nie spał, to wstawał, to kładł się z powrotem, miał wrażenie, jakby ktoś obserwował dom. Powiedział, że to przypominało mu te dni w więzieniu, kiedy wszyscy czuli, że coś się święci, ale nikt nie wiedział co dokładnie, tylko że będzie to coś złego. Jego matka podobno też zaczyna mieć pietra. Spytał mnie, co tak naprawdę się dzieje, powiedziałem, że wszystkiego się dowie, kiedy przyjedziemy.

Ralph odwrócił się do Holly.

– Jeśli ten outsider istnieje i jest w pobliżu Boltona, czy Bolton może wyczuwać jego obecność?

Zamiast zaprotestować, że znów każą jej zgadywać, odpowiedziała cichym, ale bardzo stanowczym głosem:

– Jestem tego pewna.

BIENVENIDOS A TEJAS

26 lipca

1

Jack Hoskins przekroczył granicę Teksasu około drugiej w nocy dwudziestego szóstego lipca. Kiedy na wschodzie ukazały się pierwsze promienie świtu, zameldował się w obskurnej norze o nazwie Indian Motel. Zapłacił rozespanemu recepcjoniście za tydzień z góry kartą MasterCard – jedyną, której jeszcze do cna nie wyczyścił – i poprosił o pokój na końcu rudery.

W pokoju śmierdziało przetrawioną gorzałą i starym dymem papierosowym. Narzuta była przetarta, poszwa poduszki na zapadającym się łóżku pożółkła ze starości, od potu, a może w wyniku połączenia jednego z drugim. Usiadł na jedynym krześle i szybko, bez większego zainteresowania, przejrzał esemesy i odsłuchał wiadomości nagrane na swoim telefonie (te ostatnie urywały się koło czwartej, kiedy poczta głosowa się zapełniła). Wszystkie z komisariatu, wiele od samego komendanta Gellera. Na West Side doszło do podwójnego zabójstwa. Ponieważ Ralph Anderson i Betsy Riggins byli na urlopach, Hoskins został jedynym detektywem na służbie, gdzie on się podziewa, ma się natychmiast udać na miejsce zdarzenia, bla-bla-bla.

Położył się na łóżku, najpierw na plecach, ale wtedy spalony kark za bardzo bolał. Przewrócił się na bok i sprężyny zajęczały z wyrzutem pod jego pokaźnym ciężarem. Schudnę, kiedy rak dopadnie mnie na dobre, pomyślał. Z mamy na końcu został szkielet owinięty skórą. Szkielet, który krzyczał.

– Ze mną tak nie będzie – powiedział do pustego pokoju. – Muszę tylko trochę się przespać. Wszystko będzie dobrze.

Cztery godziny wystarczą. Pięć, przy odrobinie szczęścia. Cóż, kiedy jego mózg nie chciał się wyłączyć; był jak silnik pracujący na jałowym biegu. Cody, handlujący prochami szczur ze stacji Hi, miał małe, białe pigułki, owszem, a także spory zapas koki, która, jak twierdził, była prawie czysta. Sądząc z tego, jak Jack czuł się teraz, leżąc na tym łóżku od siedmiu boleści (nawet przez myśl mu nie przeszło, żeby się przykryć, Bóg raczy wiedzieć, co żyło w pościeli), gnojek mówił prawdę. Wziął tylko kilka małych niuchów, po północy, kiedy wydawało się, że ta podróż nigdy się nie skończy, a teraz energia go rozpierała, jakby miał nigdy więcej nie zasnąć – ba, czuł, że mógłby pokryć gontem dach, a potem przebiec z dziesięć kilometrów. A jednak sen w końcu nadszedł, choć płytki i wypełniony obrazami matki.

Kiedy się obudził, było po dwunastej, a w pokoju panowała duchota mimo pracującego zdezelowanego klimatyzatora. Poszedł do łazienki, wysikał się i próbował obejrzeć pulsujący bólem kark. Nie udało się, może to i dobrze. Wrócił do pokoju i usiadł na łóżku, żeby włożyć buty, ale znalazł tylko jeden. Gdy zaczął macać podłogę w poszukiwaniu drugiego, ktoś wsunął mu go do ręki.

– Jack.

Zamarł, gęsia skórka obsypała jego ramiona, krótkie włoski na karku stanęły dęba. Człowiek, który był pod jego prysznicem we Flint City, teraz ukrywał się pod łóżkiem, jak potwory, których Jack się bał w dzieciństwie.

– Posłuchaj mnie. Powiem ci, co dokładnie masz zrobić.

Kiedy głos skończył udzielać instrukcji, Jack uświadomił sobie, że ból szyi (w sumie lepszy niż ból dupy, o jaki przyprawiała go ślubna, he, he) ustał. No… prawie. A to, co miał zrobić, wydawało się proste, choć może trochę drastyczne. To nic, bo był prawie pewien, że ujdzie mu to na sucho, a poza tym sprzątnięcie Andersona będzie szczególną przyjemnością. Bądź co bądź był pierwszy do wtykania nosa w nie swoje sprawy; Pan Nie Mam Zdania sam się prosił o taki los. Pozostałych trochę szkoda, ale sumienie Jacka będzie czyste. To Anderson ich w to wciągnął.

– Wicie, rozumicie, takie jest życie – mruknął.

Włożywszy buty, ukląkł na podłodze i zajrzał pod łóżko. Dużo kurzu, miejscami jakby wzburzonego, ale nic poza tym. I dobrze. Ulżyło mu. Przybysz jednak przedtem tam był, Jack nie miał co do tego wątpliwości, nie miał też wątpliwości, co było wytatuowane na palcach, który wcisnęły mu but do ręki: „Nie może".

Teraz, kiedy ból oparzenia zelżał, przeszedł w lekkie ćmienie i Jackowi przejaśniło się w głowie, w sumie mógłby coś zjeść. Stek z jajkami na przykład. Czekało go sporo roboty, musiał dopilnować, żeby wystarczyło mu energii. Nie samą koką i pigułkami na rozruch człowiek żyje. Jeśli niczego nie zje, mógłby zasłabnąć na słońcu, a wtedy to już spaliłby się na amen.

A skoro mowa o słońcu: kiedy wyszedł, uderzyło go w twarz jak pięścią, i kark zapulsował ostrzegawczo. Uświadomił sobie z konsternacją, że skończył mu się krem przeciwsłoneczny, a aloesowego zapomniał. Możliwe, że sprzedawali coś podobnego w kawiarni przyległej do motelu, razem z badziewiem, które zawsze wystawiają przy kasie w takich lokalach: T-shirtami, bejsbolówkami, płytami z muzyką country i wyrobami Indian Nawaho produkowanymi w Kambodży. Oprócz całego tego szmelcu musieli mieć jakieś artykuły pierwszej potrzeby, bo najbliższe miasto było…

Stanął w pół kroku, z ręką wyciągniętą do drzwi kawiarni. Patrzył przez zakurzoną witrynę. Byli w środku. Anderson i jego wesoła kompania palantów, z chudą kobietą o siwiejącej grzywce włącznie. Towarzyszyła im jakaś stara rura na wózku inwalidzkim i przypakowany facet z krótkimi czarnymi włosami i kozią bródką. Starucha zaśmiała się z czegoś, po czym zaczęła kaszleć. Jack słyszał to nawet na zewnątrz; charczała jak cholerna koparka na niskim biegu. Koleś z kozią bródką parę razy klepnął ją w plecy, po czym wszyscy razem wybuchnęli śmiechem.

Zobaczymy, czy będzie wam do śmiechu, kiedy z wami skończę, pomyślał Jack. Ale w sumie to dobrze, że się śmiali. Inaczej mogliby go zauważyć.

Odwrócił się, usiłując zrozumieć to, co zobaczył. Nie że rżeli jak idioci, to mu było obojętne, tylko fakt, że kiedy facet z kozią bródką wyciągnął rękę, żeby przywalić babie na wózku w plecy, Jack dostrzegł na jego palcach tatuaże. Szyba była zakurzona, niebieski

tusz wyblakł, ale wiedział, co to były za słowa: „Nie może”. Jak ten człowiek zdołał tak szybko wydostać się spod jego łóżka i przylecieć do baru, było zagadką, o której Jack Hoskins wolał nie myśleć. Miał robotę do wykonania, to wystarczy, a pozbycie się raka, który rozrastał się w jego skórze, było tylko połową spodziewanego wynagrodzenia. Drugą połową była okazja, by pozbyć się Ralpha Andersona. To będzie prawdziwa przyjemność.

Żegnaj, Panie Nie Mam Zdania.

2

Lotnisko w Plainville leżało wśród skąpo porośniętego pustkowia na obrzeżach znużonego małego miasta, którego mieszkańcom służyło. Jedyny pas startowy wydał się Ralphowi przerażająco krótki. Pilot włączył pełną moc hamowania, kiedy tylko koła dotknęły ziemi, i wszystkie niezabezpieczone przedmioty pospadały. Zatrzymali się na żółtej linii na końcu wąskiego pasa asfaltu, nie więcej niż dziesięć metrów od rowu wypełnionego chwastami, stojącą wodą i puszkami po shinerze.

– Witajcie w szczerym polu – rzucił Alec, kiedy king air potoczył się w stronę terminalu z prefabrykatów, który wyglądał, jakby silniejszy wiatr mógł go zdmuchnąć z powierzchni ziemi. Czekał na nich pokryty kurzem drogi van marki Dodge. Ralph rozpoznał w nim dostosowany do przewozu niepełnosprawnych model companion, jeszcze zanim zauważył znaczek inwalidzki. Obok samochodu stał Claude Bolton, wysoki i muskularny, w wypłowiałych dżinsach, niebieskiej koszuli roboczej, znoszonych kowbojkach i bejsbolówce drużyny Texas Rangers.

Ralph pierwszy wysiadł z samolotu i wyciągnął rękę na powitanie. Po chwili wahania Claude ją uścisnął. Ralph odruchowo spojrzał na wyblakłe litery na jego palcach: „Nie może”.

– Dziękuję, że ułatwiłeś nam zadanie – powiedział. – Nie musiałeś, tym bardziej to doceniam. – Przedstawił pozostałych.

Holly podała Claude’owi dłoń ostatnia.

– Te tatuaże na pańskich palcach… dotyczą picia, prawda? – zapytała.

No tak, pomyślał Ralph. Element układanki, który zapomniałem wyjąć z pudełka.

– Tak jest, szanowna pani. – Bolton mówił tonem nauczyciela prowadzącego lekcję na swój ulubiony temat. – Na spotkaniach AA nazywają to wielkim paradoksem. Pierwszy raz usłyszałem o tym w więzieniu. Człowiek musi pić, ale nie może pić.

– Ja mam tak samo z papierosami – wyznała Holly.

Bolton uśmiechnął się szeroko. Ralph nie mógł się nadziwić, że to właśnie ona, najmniej towarzysko usposobiona z nich wszystkich, sprawiła, że ten człowiek poczuł się swobodnie. Nie żeby Claude wyglądał na zaniepokojonego; był raczej czujny.

– Tak jest, szanowna pani, z papierosami trudno zerwać. Jak pani sobie radzi?

– Od prawie roku nie wypaliłam ani jednego – powiedziała Holly. – Ale liczy się tylko to, żeby wytrzymać bez nich każdy kolejny dzień. Nie może i musi. To mi się podoba.

Czy od początku wiedziała, co znaczą te tatuaże? Ralph nie miał pojęcia.

– Paradoks „nie może i musi" można przezwyciężyć tylko z pomocą siły wyższej, więc taką sobie znalazłem. I zawsze trzymam pod ręką medalion trzeźwości. Nauczono mnie, że jak człowiek chce się napić, musi wziąć medalion do ust. Jeśli się rozpuści, można sobie golnąć.

Holly się uśmiechnęła – znów ten promienny uśmiech, który Ralphowi coraz bardziej się podobał.

Otworzyły się boczne drzwi vana i wysunęła się skrzypiąca, zardzewiała pochylnia. Tęga kobieta z bujną aureolą białych włosów zjechała po niej na wózku. Na kolanach trzymała małą, zieloną butlę tlenową, połączoną plastikową rurką z kaniulą umieszczoną w jej nosie.

– Claude! Co tak stoisz z państwem na upale? Jak mamy jechać, to jedźmy. Już prawie południe.

– To moja mama – powiedział Claude. – Mamo, to detektyw Anderson, który przesłuchiwał mnie w sprawie, o której ci opowiadałem. Pozostałych widzę pierwszy raz w życiu.

Howie, Alec i Yune przedstawili się starszej pani. Holly podeszła do niej ostatnia.

– Bardzo mi miło, pani Bolton.

Lovie się roześmiała.

– Zobaczymy, czy nie zmienisz zdania, kiedy poznasz mnie lepiej.

– Pójdę spytać, czy wynajęty samochód jest gotowy – odezwał się Howie. – To chyba ten zaparkowany przy wejściu. – Wskazał na niedużego ciemnoniebieskiego SUV-a.

– Pojadę przodem – powiedział Claude. – Raczej nie stracicie mnie z oczu; na drodze do Marysville prawie nie ma ruchu.

– Może zabierzesz się z nami, kochana? – Lovie Bolton zwróciła się do Holly. – Dotrzymałabyś towarzystwa starej kobiecie.

Ralph spodziewał się, że Holly odmówi, ale zgodziła się od razu.

– Proszę tylko dać mi chwilę.

Przywołała Andersona wzrokiem i poszedł za nią w stronę king aira, podczas gdy Claude patrzył, jak jego matka obraca wózek i wjeżdża z powrotem na pochylnię. Właśnie startował mały samolot, więc Ralph w pierwszej chwili nie usłyszał, o co Holly go pyta. Nachylił się ku niej.

– Co mam im powiedzieć, Ralph? Na pewno zapytają, co tu robimy.

Zamyślił się.

– Może ograniczysz się do najważniejszych punktów?

– Nie uwierzą mi!

Uśmiechnął się szeroko.

– Holly, myślę, że z niedowiarkami radzisz sobie całkiem nieźle.

3

Jak wielu byłych więźniów (przynajmniej tych, którzy nie chcą się narażać na powrót za kratki) Claude Bolton jechał vanem dodge companion z prędkością równo pięć kilometrów na godzinę niższą od dozwolonej. Po półgodzinie jazdy skręcił do Indian Motel & Café. Zaparkował, wysiadł i podszedł do Howiego, siedzącego za kierownicą wynajętego wozu.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadza wam, że coś przekąsimy – powiedział prawie przepraszającym tonem. – Mama musi regularnie jeść, inaczej źle się z nią dzieje, a rano nie zdążyła zrobić kanapek. Bałem się, że się z wami rozminiemy. – Zniżył głos, jakby wyznawał wstydliwą tajemnicę: – Chodzi o poziom cukru w jej krwi. Kiedy spada za nisko, robi się jej słabo.

– Myślę, że wszyscy chętnie coś przekąsimy – powiedział Howie.

– Historia, którą opowiedziała ta pani…

– Może porozmawiamy o tym, jak już przyjedziemy do waszego domu, Claude – powiedział Ralph.

Claude skinął głową.

– Fakt, może tak będzie lepiej.

W kawiarni pachniało – całkiem przyjemnie – tłuszczem, fasolą i smażonym mięsem. Z szafy grającej leciało *I Am, I Said* Neila Diamonda w wersji hiszpańskiej. Za ladą znajdowała się lista specjalności zakładu (które nie były niczym specjalnym). Nad wejściem do kuchni wisiało pomazane zdjęcie Donalda Trumpa; jego jasne włosy były pomalowane na czarno, dorysowano mu też grzywkę zaczesaną na bok i wąsik. Pod spodem ktoś starannie wykaligrafował „*Yanqui vete a casa*: Jankesie, do domu”. Ralph

w pierwszej chwili był zaskoczony – bądź co bądź Teksas to stan konserwatywny, tak konserwatywny, że bardziej się nie da – przypomniał sobie jednak, że tu, blisko granicy, biali może nie byli mniejszością, ale niewiele do tego brakowało.

Usiedli w głębi sali – Alec i Howie przy dwuosobowym stoliku, pozostali obok, przy większym. Ralph zamówił hamburgera; Holly sałatkę, która, jak się okazało, składała się głównie ze zwiędłej sałaty lodowej; Yune i Boltonowie zdecydowali się na meksykańskie śniadanie złożone z taco, burrito i empanady. Kelnerka bez pytania postawiła na stoliku dzbanek słodkiej mrożonej herbaty.

Lovie Bolton wpatrywała się w Yune'a oczami błyszczącymi jak ptasie ślepia.

– Sablo, tak pan się nazywa? Dziwne.

– Tak, niewielu nas zostało – odparł Yune.

– Przyjechał pan zza Rio Grande czy urodził się tutaj?

– Tutaj, psze pani. – Yune jednym kęsem pożarł połowę swojego obficie nadzianego taco. – Jestem Amerykaninem w drugim pokoleniu.

– No i bardzo dobrze! Wyprodukowany w Ameryce! Znałam kiedyś Augustina Sablo, przed ślubem, jak jeszcze mieszkałam w południowym Teksasie. Rozwoził pieczywo w Laredo i Nuevo Laredo. Kiedy przyjeżdżał, ja i siostry głośno domagałyśmy się *churro éclairs*. To nikt z rodziny, domyślam się?

Oliwkowa cera Yune'a nieco pociemniała – rumieńcem trudno to nazwać – ale posłał Ralphowi rozbawione spojrzenie.

– Owszem, szanowna pani, to mój *papi*.

– Ależ ten świat mały, co? – Lovie zaczęła się śmiać. Jej śmiech przeszedł w kaszel, kaszel w krztuszenie się. Claude trzepnął ją w plecy tak mocno, że kaniula wyleciała jej z nosa i spadła na talerz. – Och, synku, popatrz tylko – powiedziała, kiedy w końcu złapała oddech. – Teraz mam burrito ze smarkami. – Włożyła kaniulę z powrotem na miejsce. – A co tam. Ze mnie wyszło, może do mnie wrócić. Krzywda mi się nie stanie – stwierdziła i wróciła do jedzenia.

Ralph się roześmiał, pozostali mu zawtórowali. Śmiali się nawet Howie i Alec, choć nie wszystko usłyszeli. Ralph zdążył pomyśleć, że

śmiech łączy ludzi, i był zadowolony, że Claude zabrał matkę ze sobą. Była duszą towarzystwa.

– Mały jest ten świat – powtórzyła. – O tak. – Wychyliła się do przodu, popychając talerz wydatnym biustem. Wciąż patrzyła na Yune'a tymi błyszczącymi ptasimi oczami. – Panu też opowiedziała tę historię? – Wskazała spojrzeniem Holly, która z lekko zmarszczonym czołem dłubała w swojej sałatce.

– Tak, psze pani.

– I wierzy pan w to?

– Nie wiem. Ja… – Yune zniżył głos. – Raczej tak.

Lovie skinęła głową i też ściszyła głos:

– Widział pan kiedyś paradę w Nuevo? *Processão dos Passos*? Może w dzieciństwie?

– *Sí, señora*.

Ściszyła głos jeszcze bardziej:

– A jego? *Farnicoco*?

– *Sí* – powiedział Yune i choć Lovie Bolton była tak biała, że bardziej nie można, Ralph miał wrażenie, że Sablo bezwiednie przeszedł na hiszpański.

Jej głos stał się jeszcze cichszy:

– Miał pan potem koszmary?

Yune się zawahał.

– *Sí*. *Muchas pesadillas*.

Odchyliła się do tyłu, usatysfakcjonowana, ale śmiertelnie poważna. Spojrzała na Claude'a.

– Słuchaj tych państwa, synku. Myślę, że masz duży kłopot. – Mrugnęła do Yune'a, ale nie żartobliwie; na jej twarzy nadal malowała się powaga. – *Muchos*.

4

Kiedy mała karawana wjechała z powrotem na główną drogę, Ralph spytał Yune'a o *processão dos Passos*.

– To taka parada w Wielkim Tygodniu – odparł Yune. – Kościół jej nie pochwala, ale patrzy na nią przez palce.

– *Farnicoco*? To jest to samo, co *El Cuco*, o którym mówiła Holly?

– Gorzej – powiedział Yune z ponurą miną. – To ktoś jeszcze gorszy od Człowieka z Worem. *Farnicoco* to Zakapturzony Człowiek. Pan Śmierć.

5

Kiedy dotarli do domu Boltonów w Marysville, była już prawie trzecia i upał walił w nich jak młotem. Wcisnęli się do małego salonu, gdzie klimatyzator – hałaśliwy rzęch, który na oko Ralpha powinien przejść na zasłużoną emeryturę – robił, co w jego mocy, żeby nadążyć z chłodzeniem tylu rozgrzanych ciał. Claude poszedł do kuchni i przyniósł styropianową lodówkę turystyczną z puszkami coli.

– Jeśli ktoś liczył na piwo, ma pecha – powiedział. – Nie trzymam go w domu.

– To nic – stwierdził Howie. – Sądzę, że nikt z nas nie tknie alkoholu, dopóki nie rozwiążemy tej sprawy na miarę naszych możliwości. Opowiedz, co się wydarzyło ostatniej nocy.

Bolton zerknął na matkę. Założyła ramiona na piersi i kiwnęła głową.

– Cóż – powiedział – w gruncie rzeczy nic takiego się nie stało. Po wieczornych wiadomościach poszedłem spać, jak zwykle, i wtedy czułem się normalnie…

– Oj, już nie pleć banialuk – wtrąciła Lovie. – Odkąd przyjechałeś, nie jesteś sobą. Nie może wysiedzieć na miejscu… – rozejrzała się po pozostałych – …mało je… mówi przez sen…

– Ja mam opowiedzieć czy ty, mamo?

Machnęła ręką na znak, żeby mówił dalej, i napiła się coli z puszki.

– Cóż, mama poniekąd ma rację – przyznał Bolton. – Chociaż nie chciałbym, żeby chłopaki z pracy się o tym dowiedziały. Ochroniarze takiego lokalu jak Gentlemen, Please nie powinni się bać byle czego, rozumiecie. A ja ostatnio trochę się bałem. Ale nie tak jak tej nocy. Tej nocy było inaczej. Koło drugiej obudziłem się ze złego snu

i wstałem, żeby zamknąć drzwi wyjściowe na zamek. Będąc tutaj, normalnie ich nie zamykam, ale mamie każę tak robić, kiedy mnie nie ma, i o szóstej, po wyjściu opiekunów z Plainville, zostaje sama.

– Co się panu śniło? – spytała Holly. – Pamięta pan?

– Że ktoś był pod łóżkiem. Leżał i patrzył w górę. Tyle zapamiętałem.

Kiwnęła głową, zachęcając go, żeby kontynuował.

– Zanim zamknąłem drzwi frontowe, wyszedłem na ganek, żeby się rozejrzeć, i zorientowałem się, że kojoty przestały wyć. Zwykle wyją jak szalone, kiedy świeci księżyc.

– Chyba że ktoś jest w pobliżu – powiedział Alec. – Wtedy milkną. Jak świerszcze.

– Jak o tym pomyśleć, ich też nie słyszałem. A w ogródku mamy zazwyczaj jest ich pełno. Wróciłem do łóżka, ale nie mogłem zasnąć. Przypomniało mi się, że nie pozamykałem okien, więc wstałem, żeby to zrobić. Skrzypienie zatrzasków obudziło mamę. Spytała, co robię, kazałem jej iść spać. Poszedłem do łóżka i już prawie zasypiałem… to musiało być przed trzecią… kiedy się zorientowałem, że nie zamknąłem okna w łazience, tego nad wanną. Miałem przeczucie, że ktoś próbuje przez nie wejść, więc wstałem i pobiegłem to sprawdzić. Wiem, że teraz to się wydaje głupie, ale… – Claude spojrzał na nich i zobaczył, że nikt się nie uśmiecha ani nie ma sceptycznej miny. – No dobrze. W porządku. Skoro przejechaliście taki kawał, pewnie wcale nie uważacie, że to głupie. W każdym razie potknąłem się o cholerny puf i mama tym razem nie tylko się obudziła, ale i wstała. Spytała, czy ktoś próbuje się dostać do domu. Odpowiedziałem, że nie, ale żeby została w swoim pokoju.

– Nie posłuchałam – powiedziała Lovie z zadowoleniem. – Jedynym mężczyzną, który mógł mi rozkazywać, był mój mąż, a jego dawno nie ma wśród żywych.

– W łazience nie było nikogo, nikt nie próbował wejść przez okno, ale miałem wrażenie, tak mocne, że słowami tego nie wyrażę, że on nadal gdzieś tam jest, że się ukrywa i czeka na okazję.

– Nie pod twoim łóżkiem? – spytał Ralph.

– Nie, tam zajrzałem najpierw. Obłęd, wiem, ale… – Bolton zawiesił głos. – Zasnąłem dopiero po świcie. Mama mnie obudziła

i powiedziała, że musimy już jechać po was na lotnisko.

– Pozwoliłam mu spać najdłużej, jak się dało – wyjaśniła Lovie. – Dlatego nie zrobiłam kanapek. Chleb leży na lodówce i kiedy próbuję tam sięgać, dostaję zadyszki.

– A jak pan się czuje teraz? – Holly zwróciła się do Claude'a.

Westchnął i przesunął dłonią po policzku. Usłyszeli, jak zarost szura o skórę.

– Nie najlepiej. Przestałem wierzyć w upiory mniej więcej w tym samym czasie, kiedy się dowiedziałem, że Święty Mikołaj nie istnieje, ale jestem spięty, mam jakieś schizy jak w czasach, kiedy brałem kokę. Ten typ chce mnie dopaść? Naprawdę tak uważacie? – Popatrzył po ich twarzach.

Odpowiedziała mu Holly:

– Ja tak uważam.

6

Przez pewien czas milczeli w zamyśleniu.

– *El Cuco*, tak go nazwałaś – wreszcie Lovie zwróciła się do Holly.

– Tak.

Staruszka kiwnęła głową, stukając opuchniętymi od artretyzmu palcami w butlę z tlenem.

– Kiedy byłam mała, meksykańskie dzieciaki nazywały go *Cucuy*, a Anglosi mówili na niego Kookie, Chookie albo po prostu Chook. Miałam nawet książkę z obrazkami o tym skubańcu.

– Założę się, że tę samą, co ja – powiedział Yune. – Dostałem ją od mojej *abuela*. O olbrzymie, co miał duże czerwone ucho?

– *Sí, mi amigo*. – Lovie wyciągnęła papierosy i zapaliła jednego. Wypuściła dym, zakasłała i podjęła: – Bajka opowiada o trzech siostrach. Najmłodsza gotowała, sprzątała i w ogóle robiła wszystko w domu. Dwie starsze nic, tylko się leniły i ją wyśmiewały. Pewnego dnia przyszedł *El Cucuy*. Dom był zamknięty na klucz, ale że przybysz wyglądał jak ich *papi*, dziewczynki go wpuściły. Zabrał złe siostry ze sobą, żeby dać im nauczkę. Zostawił tę dobrą, która tak pracowicie pomagała samodzielnie wychowującemu córki tatusiowi. Pamięta pan?

– Pewnie – odparł Yune. – Nie zapomina się historii usłyszanych w dzieciństwie. Ten baśniowy *El Cucuy* niby był bohaterem pozytywnym, ale ja pamiętam tylko, jak bardzo się bałem, kiedy zabrał dziewczynki do swojej jaskini w górach. *Las niñas lloraban y le rogaban que las soltara.* Dziewczynki płakały i błagały, żeby puścił je wolno.

– Tak – powiedziała Lovie. – I w końcu je uwolnił, a od tej pory niegrzeczne dziewczynki zmieniły się na lepsze. Taka jest wersja baśniowa. Ale prawdziwy *cucuy* nie puszcza dzieci wolno, choćby płakały i błagały bez końca. Wiecie o tym, prawda? Widzieliście, do czego jest zdolny.

– Czyli pani też w niego wierzy – zauważył Howie.

Lovie wzruszyła ramionami.

– Jak to mówią: *quien sabe*? Czy kiedykolwiek wierzyłam w *el chupacabra*? Stwora wysysającego krew z kóz, o którym opowiadają starzy *los indios*? – Prychnęła. – Nie bardziej niż w Wielką Stopę. Ale to nie zmienia faktu, że są na tym świecie rzeczy niewytłumaczalne. Raz, to było w Wielki Piątek, w kościele Najświętszego Sakramentu na Galveston Street widziałam, jak posąg Maryi Dziewicy płakał krwawymi łzami. Wszyscy to widzieliśmy. Ojciec Joaquim później tłumaczył, że to tylko mokra rdza spod okapu ściekała po jej twarzy, ale my wiedzieliśmy swoje. Ojciec też. Widać to było w jego oczach. – Wróciła wzrokiem do Holly. – Mówiłaś, że sama w życiu niejedno widziałaś.

– Tak – powiedziała Holly cicho. – Wierzę, że ktoś taki istnieje. Może nie *El Cuco* z ludowych podań, ale istota, która stała się wzorem dla tych legend? Tak, myślę, że tak.

– Chłopiec i dziewczynki, o których opowiadałaś… on pił ich krew i jadł ich mięso? Ten outsider?

– Niewykluczone – powiedział Alec. – Sądząc z badań przeprowadzonych na miejscach zbrodni, jest taka możliwość.

– A teraz jest mną – stwierdził Bolton. – Tak uważacie. Potrzebował do tego tylko odrobiny mojej krwi. Wypił ją?

Nikt nie odpowiedział, ale Ralph mógł sobie wyobrazić, że istota o wyglądzie Terry'ego Maitlanda tak właśnie postąpiła. Widział to z przerażającą wyrazistością. Oto do jakiego stopnia uległ temu szaleństwu.

– To on kręcił się tu w nocy?

– Możliwe, że nie był tu fizycznie – powiedziała Holly – i że jeszcze nie do końca upodobnił się do pana. Chyba dopiero się panem staje.

– Może przyszedł na przeszpiegi – stwierdził Yune.

Żeby się dowiedzieć czegoś o nas, pomyślał Ralph. Jeśli tak, osiągnął swój cel. Claude wiedział, że przyjedziemy.

– To co się teraz stanie? – spytała Lovie. – Zabije jednego, dwa dzieciaki w Plainville albo w Austin i wrobi w to mojego synka?

– Nie sądzę – stwierdziła Holly. – Na razie chyba jest za słaby. Między Heathem Holmesem a Terrym Maitlandem miał kilka miesięcy przerwy. I ostatnio był… aktywny.

– Jest coś jeszcze – dodał Yune. – Aspekt praktyczny. W tej części kraju jest spalony. Jeśli ma głowę na karku, a to pewne, skoro tak długo przetrwał, będzie chciał się przenieść gdzie indziej.

To brzmiało przekonująco. Ralph mógł sobie wyobrazić, jak outsider pakuje pożyczoną twarz Claude'a Boltona i muskularne ciało Claude'a Boltona do autobusu albo pociągu w Austin i wyrusza do ziemi obiecanej na Zachodzie. Może do Las Vegas. Albo Los Angeles. Gdzie być może dojdzie do kolejnego przypadkowego spotkania z mężczyzną (a może z kobietą – kto wie?), podczas którego poleje się trochę krwi. Następne ogniwo w łańcuchu.

Z kieszeni na piersi Yune'a dobiegły pierwsze dźwięki *Baila Esta Cumbia* Seleny. Zrobił zaskoczoną minę.

Claude uśmiechnął się szeroko.

– O tak. Nawet tutaj mamy zasięg. Dwudziesty pierwszy wiek.

Yune wyjął telefon i spojrzał na ekran.

– Policja okręgu Montgomery – powiedział. – Muszę odebrać. Przepraszam na chwilę. – Wyszedł na ganek, mówiąc do telefonu: – Porucznik Sablo, słucham.

Holly, wyraźnie zaskoczona, wręcz zaniepokojona, przeprosiła pozostałych i ruszyła za nim.

– Może chodzi o… – zaczął Howie.

Ralph pokręcił głową. Sam nie wiedział dlaczego.

– Gdzie jest okręg Montgomery? – spytał Claude.

– W Arizonie – powiedział Ralph, ubiegając Howiego i Aleca. – Chodzi o inną sprawę. Bez związku z tą.

– A w tej sprawie co zrobimy? – spytała Lovie. – Macie pomysł, jak przyskrzynić tego typa? Bo wiecie, syn jest dla mnie wszystkim.

Wróciła Holly. Podeszła do Lovie, schyliła się i szepnęła jej coś na ucho. Kiedy Claude wyciągnął szyję, próbując podsłuchać, matka

odpędziła go:

– Idź no do kuchni, synku, i przynieś czekoladowe ślimaki, jeśli jeszcze się nie rozpuściły na tym upale.

Claude, wyraźnie nauczony posłuszeństwa, wykonał polecenie. Holly dalej szeptała, a Lovie coraz szerzej otwierała oczy. W końcu kiwnęła głową. Claude przyniósł torebkę ciastek w tej samej chwili, kiedy Yune wrócił z ganku, chowając telefon do kieszeni.

– To był… – zaczął i urwał, bo Holly odwróciła się lekko, plecami do Claude'a, położyła palec na ustach i pokręciła głową. – Nic ważnego – dokończył. – Zatrzymali jakiegoś faceta, ale nie tego, którego szukamy.

Claude położył ciastka (niestety, rzeczywiście się rozpuściły w celofanowej torebce) na stole i rozejrzał się podejrzliwie.

– Chyba nie to chciałeś powiedzieć. Co tu jest grane?

Ralph pomyślał, że to dobre pytanie. Wiejską drogą za oknem przejechał pikap; skrzywił się, kiedy od kufra na jego skrzyni odbiły się jasne włócznie słońca.

– Synku – powiedziała Lovie – teraz wsiądziesz do samochodu, pojedziesz do Tippit i kupisz nam wszystkim kurczaki w Highway Heaven. To niezła knajpa. Nakarmimy naszych gości, potem wrócą do Indian Motel i tam przenocują. Warunki takie sobie, ale zawsze to dach nad głową.

– Do Tippit jest sześćdziesiąt kilometrów! – obruszył się Claude. – Dania dla siedmiu osób będą kosztowały fortunę i całkiem wystygną, zanim wrócę!

– Odgrzeję wszystko na kuchence – odparła spokojnie – i będzie jak świeżo usmażone. No już, w drogę.

Ralphowi spodobała się reakcja Claude'a: podparł się pod boki i spojrzał na matkę z rozbawieniem i irytacją jednocześnie.

– Próbujesz się mnie pozbyć!

– Otóż to – przytaknęła, gasząc papierosa w blaszanej popielniczce pełnej petów. – Bo jeśli panna Holly ma rację, on wie wszystko, co wiesz ty. Może to bez znaczenia, może mleko już się rozlało, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże. Dlatego bądź dobrym synkiem i pojedź po te kurczaki.

Howie wyjął swój portfel.

– Ja zapłacę, Claude.

– Nie trzeba – rzucił Bolton, trochę nadąsany. – Stać mnie. Jeszcze się nie spłukałem.

Howie przywołał na twarz szeroki uśmiech adwokata.

– Nalegam!

Claude wziął pieniądze i schował je do portfela przypiętego łańcuszkiem do paska. Popatrzył po twarzach gości, wciąż próbując się dąsać, w końcu jednak parsknął śmiechem.

– Mama zwykle stawia na swoim. Pewnie już zdążyliście to zauważyć.

7

Boczna droga, przy której stał dom Boltonów, Rural Star Route 2, ostatecznie dochodziła do drogi głównej: stodziewięćdziesiątki, która prowadziła tu z Austin. Zanim jednak tam docierała, w prawo odbijała od niej droga gruntowa – szeroka na cztery samochody, ale ostatnio mocno zaniedbana. Przy zjeździe na nią stał billboard, też zaniedbany. Przedstawiał szczęśliwą rodzinę schodzącą po spiralnych schodach. Rodzice i dzieci trzymali w górze lampy gazowe, oświetlające ich zachwycone twarze, wpatrzone w stalaktyty zawieszone wysoko nad nimi. U dołu widniała zachęta: „Odwiedźcie Jamę Marysville, jeden z największych cudów natury". Claude znał ten tekst z dawnych lat, kiedy był niespokojnym nastolatkiem marzącym o tym, by wyrwać się z Marysville, dziś jednak na billboardzie przeczytać można było tylko: „Odwiedźcie Jamę Marysv" i „ych cudów natury". Resztę zasłaniał naklejony szeroki pasek z napisem „Zamknięte do odwołania" (równie wyblakłym).

Lekko zakręciło mu się w głowie, kiedy przejechał obok skrętu na Wjazd do Dziury, jak nazywała tę drogę miejscowa dzieciarnia (z wymownym chichotem), ale uczucie minęło, kiedy podkręcił klimatyzację. Mimo wcześniejszych protestów tak naprawdę był zadowolony, że mógł wyjść z domu. Wrażenie, że jest obserwowany, osłabło. Włączył radio i odszukał stację nadającą outlaw country. Akurat śpiewał Waylon Jennings (nie ma lepszego!) i Claude zaczął nucić razem z nim.

Może kurczaki z Highway Heaven to niegłupi pomysł. Mógłby wziąć sobie całą porcję krążków cebulowych i zjeść je w drodze powrotnej, kiedy jeszcze będą gorące i tłuste.

8

Jack czekał w swoim pokoju w Indian Motel, wyglądając przez szparę między zaciągniętymi zasłonami, aż zobaczył, że van ze znaczkiem inwalidzkim wyjeżdża na drogę. To musiał być wóz tej starej baby. Za nim ruszył niebieski SUV, niewątpliwie pełen natrętów z Flint City.

Kiedy samochody odjechały, poszedł do kawiarni, gdzie coś przekąsił, a potem obejrzał przedmioty na sprzedaż. Nie było kremu z aloesem ani przeciwsłonecznego, kupił więc dwie butelki wody i dwie skandalicznie drogie bandany. Marna ochrona przed palącym teksaskim słońcem, ale lepsze to niż nic. Wsiadł do pikapa i ruszył na południowy zachód, w tym samym kierunku, co natręci, aż dotarł do billboardu i drogi prowadzącej do Jamy Marysville. Skręcił na nią.

Jakieś sześć kilometrów dalej zobaczył zmurszały domek na środku drogi. Pewnie budka biletowa z czasów, kiedy jama była otwarta dla zwiedzających, domyślił się. Farba, dawniej jaskrawoczerwona, teraz przybrała wyblakły różowy odcień krwi rozcieńczonej wodą. Tabliczka na ścianie frontowej informowała: „Zamknięte, prosimy zawrócić". Droga za budką biletową była przegrodzona łańcuchem. Jack ominął go, podskakując na twardej, wyboistej ziemi, miażdżąc biegacze stepowe, lawirując między bylicami. Pikap podskoczył ostatni raz i koła wróciły na drogę… jeśli to nie za duże słowo. Po tej stronie łańcucha tworzyły ją głównie porośnięte chwastami dziury i wymyte wyrwy, których nigdy nie zasypano. Jego ram – z wysokim zawieszeniem i napędem na cztery koła – pokonywał wertepy bez trudu, sypiąc ziemią i kamieniami spod wielkich opon.

Trzy przejechane w ślimaczym tempie kilometry dalej i dziesięć minut później dotarł na może półhektarowy pusty parking z wyblakłymi widmami żółtych linii wyznaczających miejsca postojowe, pokryty popękanym, zrytym uskokami asfaltem. Po lewej, u stóp stromego, porośniętego krzakami wzgórza, stał porzucony sklep z pamiątkami. Leżący do góry nogami szyld głosił: „Pamiątki i autentyczne wyroby indiańskie". Na wprost widział zniszczoną, szeroką cementową ścieżkę prowadzącą do otworu w ścianie wzgórza. Ściśle mówiąc, otwór był tam kiedyś; teraz wejścia do niego broniły przybite w poprzek deski obwieszone tabliczkami „Zakaz wstępu", „Nieupoważnionym wstęp wzbroniony", „Teren prywatny", „Obszar patrolowany przez szeryfa okręgu".

Jasne, pomyślał Jack. Pewnie zaglądają tu każdego dwudziestego dziewiątego lutego.

Inna podniszczona droga odchodziła od parkingu obok sklepu z pamiątkami. Dalej pięła się na zbocze wzgórza i opadała po jego drugiej stronie. Doprowadziła go najpierw do skupiska rozpadających się domków turystycznych (też zabitych deskami), a potem do jakiejś szopy, w której kiedyś pewnie przechowywano pojazdy służbowe i sprzęt. Były na niej kolejne tabliczki „Zakaz wstępu" plus jedna ostrzegająca radośnie: „Uwaga, grzechotniki!".

Jack zaparkował wóz w skąpym cieniu tego budynku. Zanim wysiadł, zawiązał na głowie jedną z bandan (co osobliwie upodobniło go do mężczyzny, którego Ralph widział przed sądem w dniu śmierci Terry'ego). Drugą zarzucił na szyję, żeby jeszcze bardziej nie przypiec pieprzonego oparzenia. Otworzył kluczem kufer na skrzyni pikapa i z czcią wyjął futerał zawierający jego największą chlubę: powtarzalny winchester kaliber 300 z zamkiem ślizgowo-obrotowym, taki sam karabin jak ten, z którego Chris Kyle powystrzelał tych wszystkich brudasów (Jack osiem razy obejrzał *Amerykańskiego snajpera*). Z celownikiem optycznym leupold VX-1 pozwalał trafić w cel z dwóch tysięcy metrów. No, w czterech na sześć prób, kiedy Jack miał dobry dzień i nie było wiatru, ale przewidywał, że nie będzie musiał strzelać z aż takiej odległości, gdy przyjdzie czas. O ile przyjdzie.

Dostrzegł kilka zapomnianych narzędzi leżących w chwastach i zarekwirował zardzewiałe widły do obrony przed grzechotnikami. Za budynkiem ścieżka prowadziła w górę tylnego zbocza wzgórza, w którym znajdowało się wejście do jamy. Ten stok był bardziej skalisty, przypominał urwisko powstałe w wyniku erozji. Przy ścieżce walało się kilka puszek po piwie, na niektórych skałach widniały nagryzmolone napisy typu „Spanky 11" czy „Doo-dad tu był".

W połowie wysokości wzgórza w bok odchodziła kolejna ścieżka, prawdopodobnie prowadząca z powrotem do nieczynnego sklepu z pamiątkami i parkingu. U jej wylotu stała zmurszała, podziurawiona kulami drewniana tablica przedstawiająca indiańskiego wodza w pióropuszu. Zza jego pleców wystawała strzałka z napisem tak wyblakłym, że ledwo go można było odczytać: „Najlepsze piktogramy". Jakiś dowcipniś niedawno dorysował flamastrem komiksowy dymek wychodzący z ust wodza. Tekst w nim głosił: „Carolyn Allen ssie mojego czerwonoskórego kutacha".

Ta ścieżka była szersza, jednak Jack nie przyjechał tu podziwiać twórczości rdzennych Amerykanów, więc ruszył dalej pod górę. Wspinaczka nie była zbyt niebezpieczna, ale że w ostatnich kilku latach ćwiczył głównie podnoszenie drinków do ust w rozmaitych knajpach, w trzech czwartych wysokości wzgórza dostał zadyszki. Jego koszula i obie bandany pociemniały od potu. Położył na ziemi futerał z bronią i widły, po czym schylił się i wsparł dłonie na kolanach. Stał tak, aż mroczki zniknęły sprzed oczu, a tętno prawie wróciło do normy. Przyjechał tu po to, żeby uniknąć strasznej śmierci z powodu żarłocznego, pożerającego skórę raka, który zabił jego matkę. To dopiero byłaby gorzka ironia losu, gdyby zamiast tego wykorkował na zawał mięśnia sercowego.

Zaczął się prostować i znieruchomiał, mrużąc oczy. W cieniu pod nawisem skalnym, osłonięte przed działalnością żywiołów, widniało kolejne graffiti. Jeśli ono też było robotą małolatów, to takich, które nie żyły od setek lat. Jeden rysunek przedstawiał kreskowych ludzików z kreskowymi dzidami otaczających coś, co mogło być antylopą – a przynajmniej miało rogi. Na innym kreskowe ludziki stały przed czymś, co wyglądało jak tipi. Na trzecim – tak

wyblakłym, że prawie niewidocznym – kreskowy ludzik triumfalnie wznosił dzidę nad leżącym ciałem innego kreskowego ludzika.

Piktogramy, pomyślał Jack. I to nawet nie te najlepsze, według wodza z tablicy. Przedszkolak narysowałby ładniejsze, a mimo to będą tutaj, kiedy mnie już dawno nie będzie. Zwłaszcza jeśli załatwi mnie rak.

Ta myśl go rozzłościła. Chwycił ostry odłamek skały i tłukł nim w piktogramy, aż zniknęły.

A macie! Macie, zdechłe skurwysyny. Ślad po was nie został. Wygrałem.

Przyszło mu do głowy, że może traci rozum… albo już stracił. Odegnał tę myśl i wznowił wspinaczkę. Kiedy dotarł na szczyt urwiska, zobaczył, że ma stamtąd dobry widok na parking, sklep z pamiątkami i zabite dechami wejście do Jamy Marysville. Przybysz z tatuażami na palcach nie był pewien, czy natręci się tu zjawią, ale jeśli tak, Jack miał się nimi zająć. I mógł to zrobić przy użyciu swojego winchestera, co do tego nie było wątpliwości. Jeśli się nie pokażą – jeśli po rozmowie z człowiekiem, do którego przyjechali, po prostu wrócą do Flint City – na tym rola Jacka się skończy. Tak czy owak, będzie jak nowo narodzony. Bez raka.

A jeśli on kłamie? Jeśli może go dać, ale nie zabrać? A jeśli rak to tylko złudzenie? I on też? A jeśli po prostu oszalałeś? Te myśli również odpędził. Otworzył futerał, wyjął winchestera, zamontował celownik. Teraz widział parking i wejście do jaskini jak na dłoni. Jeśli się tu zjawią, w celowniku będą rozmiarów budki biletowej, którą mijał po drodze.

Wczołgał się w cień nawisu skalnego (upewniwszy się, że nie ma tam węży, skorpionów ani innej fauny) i napił się wody, razem z nią połykając dwie pigułki na rozruch. Poprawił to odrobiną koki z czterogramowej buteleczki kupionej od Cody'ego (za kolumbijski dopalacz nawet on musiał zapłacić). Teraz pozostawało prowadzić zwyczajną obserwację, jak dziesiątki razy w trakcie jego służby w policji. Czekał, od czasu do czasu przysypiając z winchesterem na kolanach, ale na tyle czujny, by wychwycić każdy ruch. Gdy słońce było już nisko nad horyzontem, wstał i skrzywił się, czując opór zesztywniałych mięśni.

– Nie przyjadą – stwierdził. – Przynajmniej nie dzisiaj.

To prawda, zgodził się człowiek z tatuażami na palcach (a przynajmniej Jack wyobraził sobie, że tak powiedział). Ale jutro będziesz tu znowu, prawda?

Będzie, pewnie, że tak. I przez cały następny tydzień, jeśli będzie trzeba. Nawet przez miesiąc.

Ruszył z powrotem w dół, ostrożnie stawiając nogi; tego tylko brakowało, żeby po całym dniu spędzonym w prażącym słońcu skręcił sobie kostkę. Schował karabin do kufra, wypił trochę wody z butelki, którą zostawił w szoferce pikapa (była ciepława, żeby nie powiedzieć gorąca), i pojechał do drogi głównej. Tym razem skręcił w stronę Tippit, gdzie może uda się kupić parę niezbędnych rzeczy: krem przeciwsłoneczny przede wszystkim. I wódkę. Nie za dużo wódki, miał przecież obowiązki, ot, tyle, żeby mógł się położyć na swoim syfiastym, zapadającym się wyrze i nie myśleć o tym, jak to się stało, że ten but znalazł się w jego ręce. Jezu, po jaką cholerę w ogóle pojechał do tej zasranej stodoły w powiecie Canning?

Po drodze minął wóz Claude’a Boltona zmierzający w przeciwnym kierunku. Nie zauważyli się nawzajem.

9

– No dobrze – powiedziała Lovie Bolton, kiedy Claude zniknął w oddali. – O co chodzi? Czego mój synek miał nie usłyszeć?

Yune ją zignorował; odwrócił się do pozostałych.

– Biuro szeryfa okręgu Montgomery wysłało dwóch ludzi, żeby obejrzeli miejsca sfotografowane przez Holly. W opuszczonej fabryce ze swastyką na ścianie znaleźli stertę zakrwawionych ubrań. Między innymi kitel sanitariusza z naszywką „Własność OLZP".

– Ośrodek Leczenia Zaburzeń Pamięci – powiedział Howie. – O co się założysz, że badania wykażą, iż krew na tych ubraniach pochodzi od jednej lub obu sióstr Howard?

– A wszystkie odciski palców, które znajdą, okażą się Heatha Holmesa – dodał Alec. – Może będą rozmazane, jeśli tam zaczęła się jego przemiana.

– Albo i nie – stwierdziła Holly. – Nie wiemy, jak długo trwa przemiana ani czy zawsze zajmuje tyle samo czasu.

– Tamtejszy szeryf ma pewne pytania – powiedział Yune. – Zbyłem go. Biorąc pod uwagę, z czym możemy mieć do czynienia, postaram się zbywać go jak najdłużej.

– Może byście tak przestali rozmawiać między sobą i wyjaśnili mi, co się dzieje? – wtrąciła Lovie. – Proszę. Boję się o mojego synka. Jest tak samo niewinny jak tamci dwaj, a oni nie żyją.

– Rozumiem pani niepokój – powiedział Ralph. – Proszę jednak o cierpliwość. Holly, czy kiedy w drodze z lotniska przedstawiałaś Boltonom sytuację, powiedziałaś im o cmentarzach? Chyba nie?

– Nie. Mówiłeś, żebym ograniczyła się do najważniejszych punktów. Tak zrobiłam.

– Zaraz, zaraz. – Lovie znów zabrała głos. – Chwila, moment. Kiedy byłam mała, oglądałam w Laredo taki film z zapaśniczkami…

– *Meksykańskie zapaśniczki kontra potwór* – dokończył za nią Howie. – Widzieliśmy go. Przynajmniej fragmenty. Pani Gibney przywiozła nam kopię. Może nie jest to kandydat do Oscara, ale warto zobaczyć.

– Grała w nim Rosita Muñoz – powiedziała Lovie. – *Cholita luchadora*. Ja i wszystkie koleżanki chciałyśmy być takie jak ona. Raz nawet przebrałam się za nią na Halloween. Mama uszyła mi kostium. Ależ się bałam na tym filmie. Był w nim jakiś profesor… profesor albo naukowiec, nie pamiętam, w każdym razie *El Cuco* ukradł mu twarz, a kiedy *luchadoras* w końcu go wytropiły, ukrywał się w krypcie albo grobowcu na miejscowym cmentarzu. Dobrze mówię?

– Tak – powiedziała Holly. – To jest elementem legendy, przynajmniej w jej hiszpańskiej wersji. *El Cuco* śpi z umarłymi. Podobno tak samo jak wampiry.

– Jeśli taka istota rzeczywiście istnieje – odezwał się Alec – w pewnym sensie jest wampirem. Potrzebuje krwi, żeby wytworzyć następne ogniwo w łańcuchu. Odrodzić się na nowo.

Ludzie, czy wy słyszycie samych siebie? – pomyślał Ralph. Bardzo polubił Holly Gibney, ale jednocześnie żałował, że ją poznał. To przez nią w jego głowie toczyła się wojna, a on nade wszystko pragnął zawieszenia broni.

Holly odwróciła się do Lovie.

– Ta pusta fabryka, w której policja z Ohio znalazła zakrwawione ubrania, jest blisko cmentarza, na którym leżą Heath Holmes i jego rodzice. Ubrania znaleziono też w stodole niedaleko starego cmentarza, na którym pochowano przodków Terry’ego Maitlanda. Mam więc pytanie: czy tu, w pobliżu, jest jakiś cmentarz?

Lovie się zastanowiła.

– W Plainville, owszem, ale tutaj, w Marysville? Nie. Kurczę, nawet kościoła nie mamy. Był kiedyś jeden, pod wezwaniem Naszej Pani Miłosierdzia, ale spalił się dwadzieścia lat temu.

– Cholera – mruknął Howie.

– A cmentarz rodzinny? – drążyła Holly. – Niektórzy chowają bliskich na swojej ziemi, prawda?

– Cóż, nie wiem, jak inni, ale myśmy nigdy tak nie robili – powiedziała staruszka. – Moja mama i tata leżą w Laredo, ich rodzice też. Poprzednie pokolenia pewnie były chowane w Indianie, bo tam moi przodkowie osiedli po wojnie secesyjnej.

– A pani mąż? – spytał Howie.

– George? Cała jego rodzina pochodzi z Austin i tam też spoczął, obok swoich rodziców. Dawniej co jakiś czas jeździłam do niego autobusem, zwykle w jego urodziny, zanosiłam mu kwiaty i w ogóle, ale odkąd złapałam tę cholerną obturacyjną chorobę płuc, już nie.

– No to klops – westchnął Yune.

Lovie jakby go nie usłyszała.

– Wiecie, kiedy jeszcze miałam mocne płuca, nieźle śpiewałam. I grałam na gitarze. Jak skończyłam liceum, wyjechałam z Laredo do Austin, bo to miasto muzyki. Nashville Południa, tak je nazywają. Dostałam pracę w papierni na Brazos Street i czekałam na szansę, żeby wystąpić w Carousel, Broken Spoke czy gdzie tam jeszcze. Kleiłam koperty. Wymarzonej szansy nie doczekałam, ale wyszłam za mojego brygadzistę. To był George. Nie żałowałam tego, dopóki nie przeszedł na emeryturę.

– Chyba schodzimy z tematu – zauważył Howie.

– Daj jej mówić – uciął Ralph. Czuł znajome mrowienie, wskazujące, że coś się zbliża. Coś, co na razie było schowane za horyzontem, ale tak, bez wątpienia się zbliżało. – Proszę kontynuować, pani Bolton.

Starsza pani spojrzała z powątpiewaniem na Howiego, ale kiedy Holly kiwnęła głową i uśmiechnęła się, odwzajemniła uśmiech, zapaliła kolejnego papierosa i podjęła:

– Cóż, jak już George przepracował trzydzieści lat i przeszedł na emeryturę, zaproponował, żebyśmy przenieśli się tutaj, na to zadupie. Claude miał wtedy dopiero dwanaście lat, urodziłam go późno, długo po tym, jak już doszliśmy do wniosku, że Bóg nie obdarzy nas dziećmi. Claude'owi nigdy się nie podobało w Marysville, tęsknił do świateł wielkiego miasta i nicponi, z którymi się przyjaźnił… złe towarzystwo zawsze było przekleństwem mojego syna… i ja też początkowo nie byłam zachwycona, choć z czasem polubiłam tę ciszę i spokój. Kiedy człowiek się starzeje, właściwie nie

zależy mu na niczym prócz spokoju. Może na razie trudno wam w to uwierzyć, ale kiedyś sami zobaczycie. A pomysł z cmentarzem rodzinnym w sumie nie jest głupi, jak się nad tym zastanowić. Nie mam nic przeciwko temu, żeby spocząć w ziemi za domem, jest wiele gorszych miejsc, ale pewnie skończy się na tym, że Claude zawlecze moje truchło do Austin, żebym mogła leżeć obok męża, jak za życia. I to pewnie już wkrótce. – Zakasłała, spojrzała z niesmakiem na swojego papierosa i zagrzebała go wśród innych w przepełnionej popielniczce, gdzie tlił się złowrogo. – Wiecie, dlaczego trafiliśmy do Marysville? George wpadł na pomysł, że będzie hodował alpaki. Kiedy wyzdychały, co nastąpiło dość szybko, przerzucił się na goldendoodle. Dla tych, co nie wiedzą, goldendoodle to krzyżówka golden retrievera z pudlem. Myślicie, że eewa-lucja sprzyja takim mieszankom? Szczerze wątpię. Brat go na to namówił. Roger Bolton był cymbałem, jakiego świat nie widział, ale George święcie wierzył, że zbiją fortunę. Roger przeprowadził się tu z rodziną i zostali wspólnikami. W każdym razie szczeniaki goldendoodle wyzdychały, tak jak alpaki. Trochę cienko potem z George'em przędliśmy, ale na życie nam starczało. Roger za to włożył wszystkie oszczędności w ten ich kretyński biznes. Rozglądał się więc za pracą i…

Nagle urwała. Na jej twarz wypłynął wyraz zdumienia.

– Co zrobił Roger? – spytał Ralph.

– A niech mnie… Stara jestem, ale to żadna wymówka. Cały czas miałam to przed nosem.

Ralph wychylił się i wziął ją za rękę.

– O czym mówisz, Lovie? – Mimochodem przeszedł na „ty", manewr, który stosował wobec każdego przesłuchiwanego.

– Roger Bolton i jego dwaj synowie, kuzyni Claude'a, leżą niecałe sześć kilometrów stąd, wraz z czterema innymi ludźmi. Może pięcioma. No i oczywiście z tymi dzieciakami, parą bliźniaków. – Powoli pokręciła głową. – A ja tak się wściekłam, kiedy Claude dostał pół roku w Gatesville za kradzież. I tak się wstydziłam. To wtedy zaczął brać narkotyki, wiecie. Potem jednak zrozumiałam, że to była łaska Boża. Bo gdyby był tutaj, poszedłby tam z nimi. Jego tata nie,

George był po dwóch zawałach i nie mógł, ale Claude… tak, poszedłby tam z nimi.

– Dokąd by poszedł? – spytał Alec, patrząc w skupieniu na staruszkę.

– Do Jamy Marysville. To tam zginęli ci ludzie. I tam zostali.

10

Powiedziała im, że to było tak jak w scenie z *Przygód Tomka Sawyera*, w której Tomek i Becky zabłądzili w pieczarze. Tylko że Tomek i Becky w końcu wydostali się na zewnątrz. Bracia Jamieson, wtedy zaledwie jedenastoletni, nie mieli tyle szczęścia. Podobnie jak ci, którzy próbowali ich uratować. Jama Marysville pochłonęła ich wszystkich.

– To tam twój szwagier znalazł pracę po tym, jak hodowla psów nie wypaliła? – spytał Ralph.

Lovie skinęła głową.

– Wcześniej trochę chodził po tej jaskini, nie w części otwartej do zwiedzania, tylko od strony Ahiga, więc kiedy złożył podanie, od ręki wzięli go na przewodnika. On i inni przewodnicy sprowadzali turystów na dół w grupach po kilkanaście osób. To największa jaskinia w całym Teksasie, ale najbardziej popularną jej częścią, tym, co ludzie przede wszystkim chcieli oglądać, była główna komora. Robiła wrażenie, naprawdę. Wyglądała jak katedra. Nazywali ją Komorą Dźwięków, bo miała taką specyficzną, jak to mówią, akustykę. Przewodnik stawał na samym dole, na głębokości stu, może stu pięćdziesięciu metrów, i szeptem mówił przysięgę na wierność sztandarowi USA, a ludzie na górze słyszeli każde słowo. Echo niosło się praktycznie bez końca. Poza tym ściany były pokryte indiańskimi rysunkami, nie pamiętam, jak się nazywają…

– Piktogramy – podpowiedział Yune.

– O właśnie. Każdy, kto wchodził do środka, dostawał lampę gazową, żeby mógł oglądać te rysunki i stalaktyty zwisające ze stropu. Na dno prowadziły żelazne spiralne schody, czterysta

stopni, może więcej, szły w kółko i w kółko, i w kółko. Nie zdziwię się, jeśli nadal tam są, choć teraz nie odważyłabym się na nie wejść. W jaskini jest wilgotno, a żelazo rdzewieje. Kiedy jeden jedyny raz schodziłam po tych schodach, kołowało mi się w głowie jak diabli, choć nawet nie gapiłam się na stalaktyty jak większość ludzi. Z powrotem na górę wjechałam windą, a co. Zejść na dół to jedno, ale musiałabym mieć nie po kolei, żeby się gramolić po czterystu stopniach, kiedy nie ma takiej potrzeby. Komora na dnie miała dwieście, może trzysta metrów szerokości. Zamontowali tam kolorowe lampy, żeby wyraźnie widać było żyły minerałów w skałach, był też barek z przekąskami i sześć, może osiem korytarzy do zwiedzania. Te korytarze miały swoje nazwy. Nie wszystkie pamiętam, ale była na przykład Galeria Sztuki Nawahów, też z tymi piktogramami, Czarcia Zjeżdżalnia i Brzuch Węża, w którym trzeba było się zgarbić, a miejscami nawet się czołgać. Wyobrażacie sobie?

– Tak. Uuch – sapnęła Holly.

– To były główne korytarze. Od nich odchodziły następne, ale do tych nie było wstępu, bo jama to nie jedna jaskinia, tylko cały system, dziesiątki jaskiń schodzących w głąb ziemi, z których części nigdy nie zbadano.

– Łatwo zabłądzić – skwitował Alec.

– Właśnie. Oto co się wtedy stało. W Brzuchu Węża były wejścia do dwóch, trzech innych korytarzy, których nie zabito deskami ani nie zagrodzono, bo uznano, że są za małe, żeby zawracać sobie nimi głowę.

– Tyle że nie były za małe dla tych bliźniaków – domyślił się Ralph.

– Szanowny pan trafił w samo sedno. Carl i Calvin Jamiesonowie, tak się nazywali. Dwa brzdące, które szukały kłopotów i je, kurczę, znalazły. Byli razem z grupą, która weszła do Brzucha Węża, trzymali się za mamą i tatą na końcu szeregu, ale kiedy grupa wyszła, ich już nie było. Rodzice… cóż, nie muszę wam chyba mówić, w jakim byli szoku, co? Mój szwagier nie prowadził tej grupy, ale przyłączył się do ekipy, która poszła szukać chłopaków. Przewodził jej, jak się domyślam, ale czy tak było, nigdy się nie dowiem.

– Jego synowie też byli w tej ekipie? – spytał Howie. – Kuzyni Claude'a?

– Tak. Pracowali w jamie na pół etatu i przybiegli w te pędy, jak tylko usłyszeli, co się stało. Przyszła masa ludzi, bo wieść rozniosła się lotem błyskawicy. Początkowo sytuacja wyglądała niegroźnie. Ratownicy słyszeli wołania chłopców z głębi korytarzy odchodzących od Brzucha Węża, a wiadomo było, do którego weszli, bo ktoś w świetle latarki zobaczył leżącego na ziemi małego plastikowego wodza Ahigę, którego pan Jamieson kupił jednemu z synków w sklepie z pamiątkami. Musiał mu wypaść z kieszeni, kiedy się wczołgał do środka. Jak powiedziałam, słyszeli ich krzyki, ale żaden z dorosłych nie mógł się wcisnąć w ten otwór. Nawet tej zabawki nie mogli dosięgnąć. Krzyczeli do chłopców, żeby szli za dźwiękiem ich głosów, a jak nie mają dość miejsca, żeby zawrócić, niech po prostu idą tyłem. Świecili w głąb korytarza i machali latarkami, i przez jakiś czas wydawało się, że chłopcy są coraz bliżej, ale potem ich głosy zaczęły cichnąć, cichły i cichły, aż całkiem umilkły. Myślę, że od początku nie byli tak blisko, jak się wydawało.

– Złudzenie akustyczne – powiedział Yune.

– *Sí, señor*. Roger wpadł więc na pomysł, żeby wejść do jaskini od strony Ahiga, którą dobrze poznał, kiedy zwiedzał ją na własną rękę. Był grotołazem amatorem, jak to się mówi. Kiedy już się tam dostali, znów usłyszeli chłopców, głośno i wyraźnie, ich płacz i krzyki, więc przynieśli z magazynu linę i lampy i poszli po nich. Dobry uczynek, który przypłacili życiem.

– Co się stało? – spytał Yune. – Ktoś w ogóle wie?

– Cóż, jak mówiłam, ta jaskinia to cholerny labirynt. Zostawili jednego człowieka przy wejściu, żeby popuszczał linę i przywiązał jej więcej, gdyby była taka potrzeba. To był Ev Brinkley. Niedługo potem wyjechał z miasta; przeniósł się do Austin. Miał złamane serce… ale przynajmniej żył, mógł chodzić w słońcu. Pozostali… – Lovie westchnęła. – Nigdy więcej nie zobaczyli słońca.

Ralph wyobraził sobie koszmar tej sytuacji. Po twarzach pozostałych poznał, że robią to samo.

– Evowi zostało ostatnie kilkadziesiąt metrów liny, kiedy usłyszał, jak potem powiedział, coś jakby wybuch petardy w kiblu z opuszczoną klapą. Pewnie jakiś bałwan strzelił z pistoletu, licząc, że dźwięk doprowadzi chłopców do ekipy ratowniczej, i strop się

zawalił. Roger tego nie zrobił, stawiam tysiaka, że nie. Stary Rog potrafił być głupi, jak wtedy, kiedy wpadł na ten pomysł z hodowlą psów, ale nie aż tak głupi, żeby strzelać w jaskini, gdzie kula może się odbić rykoszetem i pójść Bóg wie gdzie.

– A każdy hałas może spowodować zerwanie się części stropu – dodał Alec. – To musiało być tak, jakby walić ze strzelby w górach, żeby wywołać lawinę.

– Czyli zostali przygnieceni – powiedział Ralph.

Lovie westchnęła i poprawiła przekrzywioną kaniulę.

– Ano nie. Chociaż może tak byłoby lepiej. Przynajmniej szybko byłoby po wszystkim. Ale ludzie w wielkiej pieczarze, Komorze Dźwięków, słyszeli ich wołania o pomoc, tak jak przedtem krzyki tych chłopców. Wtedy zebrało się już sześćdziesięcioro, może siedemdziesięcioro mężczyzn i kobiet, wszyscy rwali się do działania, chcieli zrobić wszystko, co w ich mocy. Oczywiście mój George też musiał tam poleźć, bo przecież wśród zaginionych byli jego brat i bratankowie, no i w końcu przestałam mu bronić. Pojechałam jednak z nim, żeby go przypilnować, w razie gdyby wpadł na jakiś głupi pomysł, postanowił pomóc w poszukiwaniach czy coś. To by go zabiło, bez dwóch zdań.

– Kiedy doszło do tego wypadku, Claude był w poprawczaku? – zapytał Ralph.

– Zdaje się, że oficjalna nazwa brzmiała Ośrodek Wychowawczy w Gatesville, ale tak, to był poprawczak.

Holly jakiś czas wcześniej wyjęła z torby żółty notes i teraz, pochylona nad nim, coś zapisywała.

– Kiedy przyjechałam pod jamę z George'em, było ciemno – kontynuowała Lovie. – Parking jest spory, ale był, kurczę, prawie pełny. Rozstawili na nim mocne reflektory i jak się widziało te wszystkie wozy i ludzi biegających w tę i z powrotem, można było pomyśleć, że kręcą tam hollywoodzki film. Następna ekipa też weszła do środka wejściem Ahiga, mieli mocne latarki, kaski i grube kurtki, takie, co wyglądały jak kamizelki kuloodporne. Szli i szli, miejscami w stojącej wodzie, aż śladem liny dotarli do zawaliska. Było duże. Całą noc i pół poranka usuwali kamienie, zanim przedostali się na

drugą stronę. Wtedy w głównej komorze już nie było słychać głosów zaginionych.

– Rozumiem, że grupa pani szwagra nie czekała na ratunek po drugiej stronie zawaliska – odezwał się Yune.

– Nie, nie było żywej duszy. Możliwe, że Roger albo ktoś z pozostałych stwierdził, że zna drogę do głównej jaskini, a może przestraszyli się, że reszta stropu się zawali. Nigdy się tego nie dowiemy. Ale zostawili po sobie ślady, przynajmniej na początku; znaki na ścianach, śmieci, monety i zwinięte skrawki papieru na ziemi. Była nawet karta z kręgielni Tippit Lanes; jeszcze jedna dziurka i właściciel miałby darmową rozgrywkę. Pisali o tym w gazecie.

– Jak Jaś i Małgosia zostawiający szlak z okruszków – zadumał się Alec.

– I nagle wszystko się urywało. Na samym środku galerii. Znaki, monety, papierowe kulki. Tak po prostu.

Jak ślady stóp w opowieści Billa Samuelsa, pomyślał Ralph.

– Ratownicy jakiś czas szli dalej, wołali, machali latarkami, ale nie było odzewu. Facet z Austin, który potem opisał to w gazecie, zrobił wywiady z kilkoma chłopakami z tej ekipy i wszyscy mówili to samo: było za dużo dróg do wyboru, wszystkie schodziły w dół, niektóre prowadziły w ślepe zaułki, inne do kominów ciemnych jak studnie. Wiedzieli, że nie wolno im hałasować, bo to mogłoby spowodować następny zawał, ale jeden mimo to krzyknął i oczywiście spadł kawałek stropu. Wtedy uznali, że trzeba się stamtąd zbierać w diabły.

– Chyba nie zarzucili poszukiwań po jednej nieudanej próbie? – zapytał Howie.

– Nie, jasne, że nie. – Lovie wyłowiła następną colę z lodówki turystycznej, otworzyła ją i duszkiem wypiła połowę. – Nie przywykłam tyle gadać i zaschło mi w ustach. – Sprawdziła butlę tlenową. – W dodatku to mi się kończy. Zapasowa jest w łazience razem z cholernymi przyborami medycznymi, może ktoś by ją przyniósł?

Alec Pelley zajął się tym, a Ralph odetchnął z ulgą, że gospodyni, zmieniając butle, nie próbowała zapalić papierosa. Kiedy znów

popłynął tlen, wróciła do przerwanej opowieści:

– Przez lata szukało ich z tuzin ekip, aż do trzęsienia ziemi w dwa tysiące siódmym roku. Potem uznano, że to zbyt niebezpieczne. Trzęsienie niby nie było silne, trzy, cztery w skali Richtera, ale jaskinie są kruche, rozumiecie. Komora Dźwięków zachowała się w niezłym stanie, choć część stalaktytów spadła ze stropu. Za to inne korytarze się zawaliły. Na przykład ten, który nazywali Galerią Sztuki, to wiem na pewno. Od trzęsienia Jama Marysville jest zamknięta. Główne wejście zamurowali, Ahigę, zdaje się, też.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Ralph nie wiedział, o czym myślą pozostali, sam jednak próbował sobie wyobrazić, jak to jest umierać powolną śmiercią głęboko pod ziemią, w kompletnym mroku. Nie chciał o tym myśleć, ale nie mógł się powstrzymać.

– Wiecie, co Roger mi kiedyś powiedział? – Lovie przerwała milczenie. – To musiało być nie dalej niż pół roku przed jego śmiercią. Powiedział, że Jama Marysville być może sięga aż do piekła. A w takim miejscu ten wasz outsider czułby się swojsko, nie sądzicie?

– Lepiej o tym nie mówić, kiedy wróci Claude – powiedziała Holly.

– Och, on to wie. To była jego rodzina. Nie przepadał za kuzynami, byli starsi i okrutnie się nad nim znęcali, ale jednak rodzina to rodzina.

Holly uśmiechnęła się, ale tym razem nie promiennie; uśmiech nie sięgnął jej oczu.

– Wie to, na pewno, ale nie wie, że my wiemy. I tak musi pozostać.

11

Lovie, teraz już zmęczona, wręcz wyczerpana, stwierdziła, że kuchnia jest za mała, żeby siedem osób mogło w niej wygodnie zjeść, więc na kolację będą musieli się przenieść na tyły domu, do, jak to określiła, altanusi. Powiedziała im (z dumą), że Claude sam ją zbudował – z zestawu kupionego w Home Depot.

– Na początku może być trochę gorąco, ale o tej porze zwykle zaczyna wiać, no i jest osłonięta od owadów.

Holly zasugerowała, żeby staruszka się położyła, a oni przygotują wszystko do kolacji.

– Przecież nie wiecie, gdzie co jest! – zaoponowała Lovie.

– Bez obaw – odparła Holly. – Znajdowanie rzeczy to mój zawód. Poza tym ci dżentelmeni na pewno mi pomogą.

Staruszka ustąpiła i zniknęła w sypialni. Usłyszeli jej pełne wysiłku stękanie, a potem jęk sprężyn łóżka.

Ralph wyszedł na ganek, żeby zadzwonić do Jeannie. Odebrała po pierwszym sygnale.

– E.T. dzwoni dom – powiedziała wesoło.

– U ciebie cisza i spokój?

– Jeśli nie liczyć włączonego telewizora. Posterunkowi Ramage i Yates oglądają wyścigi NASCAR. Mogę się tylko domyślać, że w grę wchodzą jakieś zakłady. Na pewno wiem tyle, że zjedli wszystkie ciastka czekoladowe.

– Przykro mi.

– Aha, i wpadła Betsy Riggins, żeby pokazać nowo narodzonego potomka. W twarz jej tego nie powiem, ale to wykapany Winston Churchill.

– Mhm… Słuchaj, myślę, że ktoś, Troy albo Tom, powinien zostać z tobą na noc.

– Najlepiej obaj. W łóżku jest dość miejsca. Moglibyśmy się poprzytulać. Może nawet pomigdalić.

– Świetny pomysł. Pamiętaj, żeby zrobić zdjęcia. – Ralph spojrzał na drogę. Claude Bolton wracał z Tippit z kurczakami. – Nie zapomnij pozamykać drzwi i włączyć alarm.

– Zamki i alarm nic nie dały tamtej nocy.

– Mimo wszystko zrób mi tę przyjemność. – Człowiek, który wyglądał dokładnie tak jak nocny gość jego żony, w tej chwili wysiadał ze swojego samochodu. Patrząc na niego, Ralph miał dziwne uczucie, że dwoi mu się w oczach.

– Dobrze. Macie jakieś nowe informacje?

– Trudno powiedzieć. – Mijał się z prawdą; mieli ich sporo, w tym żadnej dobrej. – Spróbuję jeszcze zadzwonić do ciebie później, ale teraz muszę kończyć.

– Dobra. Uważaj na siebie.

– Będę uważał. Kocham cię.

– Ja ciebie też. I mówię poważnie: uważaj na siebie.

Ralph zszedł z ganku, żeby pomóc Claude'owi wnieść do środka pół tuzina foliowych torebek z Highway Heaven.

– Wszystko zimne, tak jak przewidywałem. Ale czy ona mnie słucha? Ani teraz, ani nigdy.

– Poradzimy sobie.

– Odgrzewany kurczak zawsze jest twardy. Wziąłem tłuczone ziemniaki, bo odsmażanych frytek nie da się jeść.

Ruszyli w stronę domu. Claude stanął u podnóża schodów ganku.

– I co, dobrze się rozmawiało z moją mamą?

– Tak. – Ralph zastanawiał się, jak to rozegrać. Na szczęście Claude go wyręczył:

– Nie mów mi. A nuż tamten czyta mi w myślach.

– Czyli w niego wierzysz? – Anderson był tego naprawdę ciekaw.

– Wierzę, że wierzy w niego ta dziewczyna. Holly. I wierzę, że ktoś rzeczywiście tu był ostatniej nocy. Dlatego wolę nie wiedzieć, o czym rozmawialiście.

– Może i słusznie. Ale, Claude… Sądzę, że jeden z nas powinien zostać na noc z tobą i twoją matką. Na przykład porucznik Sablo.

– Myślisz, że na coś się zanosi? Bo ja w tej chwili nie czuję nic oprócz głodu.

– Nie całkiem. Tak tylko pomyślałem, że gdyby w okolicy stało się coś złego i zgłosiłby się świadek, który zeznałby, że sprawca był bardzo podobny do Claude'a Boltona, dobrze, żebyś miał przy sobie gliniarza, który potwierdzi, że nie wychodziłeś z domu mamy.

Claude to przemyślał.

– Fakt, niegłupi pomysł. Tylko że nie mamy pokoju gościnnego ani niczego w tym stylu. Kanapa jest rozkładana, ale mama czasem budzi się w nocy i kiedy nie może znowu zasnąć, siedzi w salonie i ogląda telewizję. Lubi tych beznadziejnych kaznodziejów, którzy nic, tylko wrzeszczą o dary serca. – Nagle się rozpromienił. – Ale przy tylnym wejściu jest zapasowy materac, a noc będzie ciepła. Mógłby spać na zewnątrz.

– W altanusi?

Uśmiechnął się szeroko.

– Właśnie! Sam skubaną postawiłem!

12

Holly włożyła kurczaki na pięć minut do opiekacza i przyrumieniły się, jak trzeba. Jedli w siedmioro w altance – wyposażonej w pochylnię dla wózka Lovie – prowadząc miłą, ożywioną rozmowę. Claude, który okazał się nie lada gawędziarzem, opowiadał o swojej barwnej karierze „pracownika ochrony" Gentlemen, Please. Jego anegdoty były zabawne, ale nie złośliwe ani sprośne. Najgłośniej śmiała się z nich jego matka; aż dostała ataku kaszlu ze śmiechu, kiedy Howie opowiedział o tym, jak jeden z jego klientów, pragnąc udowodnić swoją niepoczytalność, zdjął spodnie w sali rozpraw i machał nimi na sędziego.

Słowem nie wspomnieli o powodzie ich wizyty w Marysville.

Wypoczynek Lovie przed kolacją był krótki, zaraz po posiłku oznajmiła więc, że wraca do łóżka.

– Jedzenie kupione na wynos, to i mało brudnych naczyń – stwierdziła. – A te, co są, pozmywam rano. Wiecie, mogę to robić na wózku, choć muszę uważać na cholerną butlę z tlenem. – Odwróciła się do Yune'a. – Na pewno będzie tu panu dobrze, poruczniku Sablo? A jeśli ktoś się będzie kręcił koło domu, jak zeszłej nocy?

– Jestem uzbrojony, szanowna pani. I bardzo tu ładnie.

– Cóż… jakby co, zapraszam do środka. Po północy może mocno wiać. Tylne drzwi będą zamknięte, ale klucz jest pod tą *olla de barro*. – Wskazała na starą glinianą doniczkę, po czym skrzyżowała dłonie nad swym imponującym biustem i lekko się ukłoniła. – Porządni z was ludzie. Dziękuję, żeście przyjechali i że tak się troszczycie o mojego synka. – Z tymi słowy odjechała na wózku.

Pozostała szóstka jeszcze trochę posiedziała w altance.

– Dobra z niej dusza – stwierdził Alec.

– Tak – powiedziała Holly. – To prawda.

Claude zapalił tiparillo.

– Gliny po mojej stronie – powiedział. – Nowe doświadczenie. Całkiem fajne.

– Panie Bolton, czy w Plainville jest Walmart? – spytała Holly. – Muszę kupić parę drobiazgów, a uwielbiam Walmarty.

– Nie ma. I bardzo dobrze, bo mama też za nimi przepada. Wołami bym jej stamtąd nie wyciągnął. Jedynym podobnym sklepem w okolicy jest Home Depot w Tippit.

– Może być. – Wstała. – Pozmywamy naczynia, żeby Lovie nie musiała tego robić rano, a potem ruszamy w drogę. Jutro wpadniemy po porucznika Sablo i wrócimy do domu. Myślę, że tutaj nic więcej nie zdziałamy. Zgadzasz się, Ralph?

Anderson wyczytał z jej oczu, jak ma odpowiedzieć, i tak odpowiedział:

– Jasne.

– Panie Gold? Panie Pelley?

– Tak, to chyba wszystko – powiedział Howie.

Alec poszedł za ich przykładem.

– W zasadzie zrobiliśmy, co było do zrobienia.

13

Choć do domu weszli może piętnaście minut po Lovie, już słyszeli ciężkie chrapanie dochodzące z jej sypialni. Yune napełnił zlew mydlinami, zakasał rękawy i zaczął zmywać nieliczne naczynia, których używali. Ralph je wycierał; Holly odkładała na miejsce. Mimo późnej pory było jeszcze widno. Claude chodził z Howiem i Alekiem po działce matki, wypatrując śladów intruza… o ile naprawdę tu był zeszłej nocy.

– Nic by mi nie groziło, nawet gdybym zostawił swoją broń w domu – stwierdził Yune. – Żeby dostać się do łazienki, w której pani Bolton trzyma tlen, musiałem przejść przez jej sypialnię, i mówię wam, jest nieźle uzbrojona. Ruger american na komodzie, obok niego zapasowy magazynek, w kącie, razem z elektroluksem, remington kaliber 12. Stary Claudie też na pewno coś ma.

– A nie jest skazanym przestępcą? – spytała Holly.

– Jest, owszem – przytaknął Ralph – ale tu jest Teksas. Poza tym, na moje oko, wydaje się zresocjalizowany.

– Fakt. Sprawia takie wrażenie, prawda?

– Tak sądzę – odparł Yune. – Chyba wyszedł na prostą. Spotkania anonimowych alkoholików i narkomanów czasem tak wpływają na ludzi, nieraz widziałem to na własne oczy. Kiedy to działa, masz wrażenie, że jesteś świadkiem cudu. Mimo wszystko ten outsider nie mógł sobie wybrać lepszego kozła ofiarnego, nie sądzicie? Biorąc pod uwagę przeszłość Claude'a, handel narkotykami, nie wspominając o związkach z gangiem Szatańska Siódemka, kto by mu uwierzył, gdyby próbował tłumaczyć, że jest wrabiany?

– Terry’emu Maitlandowi nikt nie uwierzył – powiedział Ralph ciężko. – A Terry był czysty jak łza.

14

O zmroku przyjechali do Home Depot, a po dziewiątej wrócili do Indian Motel (na oczach Jacka Hoskinsa, który znów wyglądał przez szczelinę między zasłonami w swoim pokoju i obsesyjnie tarł kark).

Zanieśli zakupy do pokoju Ralpha i rozłożyli je na łóżku: pięć małych latarek ultrafioletowych (z zapasem baterii) i pięć żółtych kasków.

Howie wziął do ręki jedną z latarek i skrzywił się, kiedy w oczy uderzył go jasnofioletowy blask.

– To naprawdę wychwyci jego ślady? Jego trop?

– Tak, jeśli tam będą – powiedziała Holly.

– A to dopiero. – Howie upuścił latarkę z powrotem na łóżko, włożył jeden z kasków i poszedł się przejrzeć w lustrze nad komodą. – Wyglądam idiotycznie – stwierdził.

Nikt nie zaprzeczył.

– Naprawdę to zrobimy? A przynajmniej spróbujemy? To nie jest retoryczne pytanie. Po prostu usiłuję się oswoić z tą myślą.

– Raczej ciężko byłoby przekonać teksaskich stanowych, żeby do nas dołączyli – zauważył Alec łagodnym tonem. – Co właściwie mielibyśmy im powiedzieć? Że podejrzewamy, iż w Jamie Marysville ukrywa się potwór?

– Jeśli tam nie pojedziemy, zabije następne dzieci – dodała Holly. – Tak żyje.

Howie spojrzał na nią niemal z wyrzutem.

– Jak wejdziemy do środka? Staruszka mówiła, że trudniej się tam dostać niż do majtek zakonnicy. A nawet jeśli nam się uda, gdzie

lina? W Home Depot jej nie sprzedają? Niemożliwe, żeby w Home Depot nie mieli liny.

– Nie powinna być potrzebna. Jeśli on tam jest, a jestem tego prawie pewna, nie zaszył się głęboko. Po pierwsze, boi się, żeby samemu nie zabłądzić ani nie zostać zasypanym. Po drugie, myślę, że jest osłabiony. Powinien być w hibernacji, a zamiast tego musi się wysilać.

– Żeby przesyłać swój obraz na odległość? – rzucił Ralph.

– Tak. To, co widziała Grace Maitland, co widziała twoja żona… myślę, że to były projekcje. Sądzę, że jakaś część jego fizycznego „ja" była w waszym domu, na tyle duża, żeby zostawić ślady w salonie, przesunąć krzesło i zapalić światło nad kuchenką, ale za mała, żeby powstały odciski na nowym dywanie. Takie działania muszą go kosztować wiele siły. Myślę, że całym sobą obecny był tylko raz, przed sądem w dniu śmierci Terry'ego Maitlanda. Bo był głodny, a wiedział, że tam znajdzie dużo pożywienia.

– Był tam całym sobą, a nie pojawił się w nagraniach telewizyjnych? – spytał Howie. – Jak wampir, który nie odbija się w lustrach? – Mówił takim tonem, jakby się spodziewał, że Holly zaprzeczy, ale tego nie zrobiła.

– Otóż to.

– Czyli uważasz, że jest nadprzyrodzony. Że jest istotą nie z tego świata.

– Nie wiem, czym jest.

Howie zdjął kask i rzucił go na łóżko.

– Domysły. To wszystko, co masz.

Holly wyglądała na zranioną jego słowami i wyraźnie nie wiedziała, co odpowiedzieć. Chyba nie rozumiała też czegoś, co Ralph zauważył i z czego, jak sądził, Alec też zdawał sobie sprawę: Howard Gold był przerażony. Jeśli coś pójdzie nie tak, nie będzie sędziego, któremu mógłby zgłosić sprzeciw. Nie wniesie o unieważnienie procesu.

– Nadal trudno mi uwierzyć w to gadanie o *El Cuco* i zmiennokształtnych upiorach – stwierdził Anderson. – Ale jakiś outsider naprawdę istnieje, teraz już jestem tego pewien. Z uwagi na to, co się wydarzyło w Ohio, i na fakt, że Terry Maitland po prostu nie mógł być w dwóch miejscach jednocześnie.

– W tym przypadku outsider się naciął – stwierdził Alec. – Nie wiedział, że Terry będzie na konwencji w Cap City. Większość wybieranych przez niego kozłów ofiarnych to na pewno ludzie jak Heath Holmes, z alibi jak sito.

– To się nie trzyma kupy – powiedział Ralph.

Alec uniósł brwi.

– Jeśli miał Terry'ego… nie wiem, jak to ująć. Wspomnienia, jasne, ale nie tylko wspomnienia. Coś w rodzaju…

– Topograficznej mapy jego świadomości – powiedziała Holly cicho.

– Dobrze, tak to nazwijmy – zgodził się Ralph. – Owszem, pewne szczegóły mógł przeoczyć, tak jak ci, co szybko czytają, przegapiają detale fabuły, ale przecież ta konwencja na pewno była dla Terry'ego ważnym wydarzeniem.

– To dlaczego *El Cuco* mimo to… – zaczął Alec.

– Może musiał. – Holly wzięła do ręki jedną z latarek ultrafioletowych i poświeciła na ścianę, wychwytując widmowy odcisk dłoni poprzedniego lokatora. Ralph w sumie wolałby tego nie zobaczyć. – Może za bardzo zgłodniał, żeby czekać na lepszą okazję.

– A może miał to gdzieś – powiedział Ralph. – Wielu seryjnych morderców osiąga takie stadium, zwykle tuż przed wpadką. Bundy, Speck, Gacy… każdy z nich w końcu zaczął wierzyć, że wszystko mu wolno. Poczuli się bogami. Przez tę arogancję przeszarżowali. A outsider znów tak bardzo nie przeszarżował, prawda? Pomyślcie: pomimo wszystkiego, co wiedzieliśmy, zamierzaliśmy postawić Terry'ego przed sądem za zabójstwo Franka Petersona. Byliśmy pewni, że jego alibi, choć niby mocne, musi być lewe.

I coś we mnie nadal chce w to wierzyć. Bo inaczej wszystko, co myślałem, że wiem o świecie, wywróci się do góry nogami.

Czuł się, jakby miał gorączkę, lekko go zemdliło. Jak normalny człowiek żyjący w dwudziestym pierwszym wieku mógł uznać istnienie potwora, który potrafi zmieniać swoją postać? Jeśli uwierzyć w outsidera Holly Gibney, jej *El Cuco*, wszystko stawało się możliwe. Wszechświat nie miał końca.

– Teraz już nie jest arogancki – szepnęła Holly. – Po każdym zabójstwie normalnie zaszywa się gdzieś na całe miesiące i przechodzi przemianę. Rusza dalej, dopiero gdy przemiana jest

zakończona albo prawie zakończona. Tak uważam na podstawie materiałów, które przeczytałam, i tego, co ustaliłam w Ohio. Tym razem jego zwykły schemat działania został zakłócony. Musiał uciekać z Flint City, kiedy ten chłopak znalazł jego kryjówkę w stodole. Wiedział, że zjawi się tam policja. Przeniósł się więc tutaj wcześniej, niż planował, żeby być w pobliżu Claude'a Boltona, i znalazł sobie idealne lokum.

– Jamę Marysville – powiedział Alec.

Holly kiwnęła głową.

– Ale nie wie, że o tym wiemy. To daje nam przewagę. Claude wie, że jego wujek i kuzyni są tam pogrzebani, owszem. Nie wie za to, że outsider hibernuje w miejscach związanych ze śmiercią lub w ich pobliżu, najchętniej tam, gdzie leżą przodkowie człowieka, w którego się zmienia albo zmienił się poprzednio. Jestem pewna, że tak to się odbywa. Nie widzę innej możliwości.

Bo nie chcesz zobaczyć, pomyślał Ralph. Mimo to nie dostrzegał luk w jej rozumowaniu. Oczywiście o ile przyjąć za słuszne wyjściowe założenie: że istnieje istota nadprzyrodzona, która musi przestrzegać pewnych reguł, może zgodnie z tradycją, może z jakiegoś nieznanego wewnętrznego przymusu, którego nigdy nie pojmą.

– Czy możemy być pewni, że Lovie nic mu nie powie? – spytał Alec.

– Myślę, że tak – odparł Ralph. – Będzie milczała dla jego dobra.

Howie sięgnął po jedną z latarek i poświecił na klekoczący klimatyzator, tym razem wychwytując skupisko widmowo rozjarzonych odcisków palców. Wyłączył ją.

– A jeśli on ma pomocnika? – rzucił. – Co wtedy? Hrabia Drakula miał tego… jak mu tam… Renfielda. Doktorowi Frankensteinowi pomagał ten garbus, Igor…

– To powszechne nieporozumienie – sprostowała Holly. – W pierwszym filmie o Frankensteinie asystent doktora faktycznie miał na imię Fritz, grał go Dwight Frye. Później Bela Lugosi…

– Sypię głowę popiołem – uciął Howie. – Ale pytanie pozostaje: co, jeśli nasz outsider ma wspólnika? Kogoś, komu kazał mieć nas na oku? Czy to nie byłoby logiczne? Nawet jeśli outsider nie wie, że znamy historię Jamy Marysville, wie, że jesteśmy niebezpiecznie blisko.

– Masz trochę racji, Howie – powiedział Alec. – Ale seryjni mordercy zazwyczaj są samotnikami, a ci, którzy najdłużej zostają na wolności, nigdzie nie zapuszczają korzeni. Są wyjątki, jednak nie sądzę, żeby nasz outsider był jednym z nich. Przeniósł się do Flint City z Dayton. Gdybyśmy sprawdzili, gdzie był przedtem, może trafilibyśmy na informacje o zabójstwach dzieci w Tampie na Florydzie albo w Portland w stanie Maine. Jest takie afrykańskie przysłowie: Ten podróżuje najszybciej, kto podróżuje sam. Poza tym, z praktycznego punktu widzenia, kogo miałby nająć do takiej roboty?

– Świra – odparł Howie.

– No dobrze – powiedział Ralph – ale skąd by go wytrzasnął? Zgłosiłby się do Agencji Wynajmu Świrów i wziął pierwszego z brzegu?

– Niech wam będzie – ustąpił Howie. – Jest sam, przyczaił się w Jamie Marysville i czeka, aż po niego przyjdziemy. Aż wywleczemy go na słońce, przebijemy mu serce kołkiem albo jedno i drugie.

– W powieści Stokera, kiedy złapali Drakulę, odcięli mu głowę i wypchali usta czosnkiem – uściśliła Holly.

Howie cisnął latarkę na łóżko i wyrzucił ręce w górę.

– Też dobrze. Wpadniemy do Shopwella po czosnek. I tasak, bo w Home Depot zapomnieliśmy kupić piłkę do metalu.

– Kulka w łeb powinna wystarczyć – stwierdził Ralph.

Zamyślili się nad tym w milczeniu, po czym Howie oświadczył, że idzie spać.

– Ale przedtem chciałbym się dowiedzieć, jakie mamy plany na jutro.

Ralph czekał, aż Holly oświeci Howiego w tej sprawie, ona jednak milczała. Napotkał jej spojrzenie. Był zaskoczony i wzruszony widokiem jej podkrążonych oczu i zmarszczek w kącikach ust. Sam był zmęczony, wszyscy byli zmęczeni, ale Holly Gibney ledwo żyła – już tylko adrenalina trzymała ją na nogach. A dla osoby tak schowanej za podwójną gardą to musiało być takie uczucie, jakby trzymać się w pionie dzięki deptaniu po cierniach. Albo po potłuczonym szkle.

– Do dziewiątej mamy wolne – powiedział. – Wszyscy potrzebujemy co najmniej ośmiu godzin snu, więcej, jeśli się da.

Potem się spakujemy, wymeldujemy i pojedziemy do Boltonów po Yune'a. A stamtąd do Jamy Marysville.

– Zły kierunek, jeśli chcemy, żeby Claude pomyślał, że wracamy do domu – stwierdził Alec. – Zdziwi się, dlaczego nie jedziemy z powrotem do Plainville.

– No dobra, powiemy Claude'owi i Lovie, że musimy wpaść do Tippit, bo… hm, nie wiem, mamy jeszcze coś do kupienia w Home Depot?

– Kiepskie wytłumaczenie – powiedział Howie.

– Jak się nazywał ten stanowy glina, który był u Claude'a? Pamiętasz? – spytał Alec.

Nazwisko wyleciało Ralphowi z głowy, ale miał swoje notatki na iPadzie. Rutyna to rutyna, nawet kiedy ścigasz potwora.

– Owen Sipe. Starszy posterunkowy Owen Sipe.

– Dobrze. Powiesz Claude'owi i jego mamie, a tym samym outsiderowi, jeśli rzeczywiście czyta myśli Claude'a, że starszy posterunkowy Sipe zadzwonił do ciebie z informacją, iż policja w Tippit chce przesłuchać człowieka odpowiadającego rysopisowi Claude'a w sprawie napadu, kradzieży samochodu czy włamania. Yune może potwierdzić, że Claude przez całą noc był w domu…

– Niekoniecznie, jeśli spał w altanusi – zauważył Ralph.

– Myślisz, że nie usłyszałby, gdyby Claude zapalił swój samochód? Tłumik w tym rzęchu od dwóch lat nadaje się do wymiany.

Ralph się uśmiechnął.

– To prawda.

– No dobra, czyli powiesz, że jedziemy do Tippit to sprawdzić, a jeśli się okaże, że trop prowadzi donikąd, polecimy z powrotem do Flint City. Może być?

– Jasne. Trzeba tylko uważać, żeby Claude nie zobaczył latarek i kasków.

15

Minęła jedenasta. Ralph leżał na zapadającym się łóżku w swoim pokoju. Wiedział, że powinien zgasić światło, a jednak tego nie robił. Wcześniej zadzwonił do Jeannie i rozmawiał z nią prawie pół godziny, trochę o śledztwie, trochę o Dereku, głównie o pierdołach. Potem włączył telewizor w nadziei, że jeden z nocnych kaznodziejów Lovie Bolton zastąpi mu proszek nasenny – a przynajmniej zatrzyma kołowrotek myśli w jego głowie – ale na ekranie ukazał się tylko komunikat: „Brak połączenia z satelitą, dziękujemy za cierpliwość".

Już wyciągał rękę do lampki, kiedy usłyszał lekkie pukanie do drzwi. Przeszedł przez pokój, sięgnął do gałki, rozmyślił się i wyjrzał przez wizjer. Nic z tego. Zalepiony brudem czy cholera wie czym.

– Kto tam?

– Ja. – Głos Holly był tak cichy jak pukanie.

Otworzył drzwi. Koszulkę miała wypuszczoną na wierzch, żakiet, który narzuciła dla osłony przed chłodem nocy, zwisał komicznie z jednej strony. Wzmagający się wiatr rozwiewał jej krótkie włosy. W ręku trzymała iPada. Ralph nagle uświadomił sobie, że jest w samych bokserkach, a niezapinany rozporek pewnie lekko się rozchylił. Przypomniał sobie tekst z dzieciństwa: Kto ci pozwolił handlować hot dogami?

– Obudziłam cię – powiedziała.

– Nie, skąd. Wejdź.

Po chwili wahania przestąpiła próg i usiadła na jedynym krześle w pokoju. Ralph włożył spodnie.

– Musisz się przespać, Holly. Wyglądasz na zmordowaną.

– Bo jestem. Ale czasem mam wrażenie, że im bardziej jestem zmęczona, tym trudniej mi zasnąć. Zwłaszcza jeśli coś mnie martwi albo niepokoi.

– Może ambien by pomógł?

– Nie zaleca się łączyć go z antydepresantami.

– Rozumiem.

– Trochę szperałam w sieci. To czasem pomaga mi usnąć. Zaczęłam od wyszukania artykułów prasowych o tragedii, o której opowiedziała matka Claude'a. Było ich sporo, całkiem szczegółowych. Pomyślałam, że pewnie chciałbyś usłyszeć, co w nich wyczytałam.

– To nam coś da?

– Myślę, że tak.

– Wobec tego zamieniam się w słuch.

Ralph podszedł do łóżka, a Holly wysunęła się na skraj krzesła, ze złączonymi kolanami.

– No dobrze. Lovie mówiła o stronie Ahiga, wspomniała też, że jeden z bliźniaków Jamieson zgubił plastikowego wodza Ahigę. – Włączyła iPada. – To zdjęcie z tysiąc osiemset osiemdziesiątego ósmego roku. – Sepiowa fotografia przedstawiała dostojnie wyglądającego Indianina, uchwyconego z profilu. Na głowie miał pióropusz, który spływał mu do połowy pleców. – Prawdziwy wódz Ahiga przez pewien czas żył z małą grupą Nawahów w rezerwacie Tigua niedaleko El Paso, po czym poślubił białą kobietę i przeniósł się najpierw do Austin, gdzie był źle traktowany, a potem do Marysville, gdzie społeczność zaakceptowała go po tym, jak obciął włosy i się ochrzcił. Jego żona miała trochę pieniędzy i razem otworzyli w Marysville faktorię, później przerobioną na Indian Motel and Café.

– Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej. – Ralph rozejrzał się po obskurnym pokoju.

– Tak. Oto wódz Ahiga w tysiąc dziewięćset dwudziestym szóstym roku, dwa lata przed śmiercią. Wtedy już nosił nazwisko Thomas Higgins. – Holly pokazała drugie zdjęcie.

– Jasny gwint!

Na zdjęciu widniał ten sam szlachetny profil, ale policzek odwrócony do aparatu był mocno zryty zmarszczkami, a pióropusz zniknął. Były wódz Nawahów nosił okulary bez oprawek, białą koszulę i krawat.

– Oprócz tego, że prowadził jedyną dobrze prosperującą placówkę handlową w Marysville, to właśnie wódz Ahiga vel Thomas Higgins odkrył jamę i oprowadzał po niej pierwsze wycieczki. Były dość popularne.

– Tyle że jaskinię nazwano od miasta, zamiast upamiętnić jej odkrywcę – stwierdził Ralph. – W sumie nic dziwnego. Nawet jeśli był chrześcijaninem i dobrze prosperującym biznesmenem, społeczność nadal widziała w nim czerwonoskórego. Z drugiej strony miejscowi pewnie traktowali go lepiej niż chrześcijanie z Austin. Trzeba to docenić. Mów dalej.

Holly wywołała następne zdjęcie. Przedstawiało drewnianą tablicę z namalowanym wodzem Ahigą w pióropuszu i strzałką z napisem: „Najlepsze piktogramy" u dołu. Rozsunęła palce na ekranie, powiększając obraz, i Ralph zobaczył ścieżkę między skałami.

– Jaskinię nazwano od miasta – powiedziała – ale i wódz dostał coś swojego: wejście Ahiga, znacznie mniej efektowne od Komory Dźwięków, ale bezpośrednio z nią połączone. Tędy personel wnosił zaopatrzenie, tędy można było ewakuować jaskinię w razie zagrożenia.

– I tędy wchodziły ekipy ratownicze w nadziei, że dotrą do zaginionych dzieci inną drogą?

– Otóż to. – Wychyliła się do przodu, oczy jej błyszczały. – Główne wejście jest nie tylko zabite deskami, Ralph, ale i zalane cementem. Nie chcieli, żeby zabłądziły tam kolejne dzieci. Wejście Ahiga, to tylne, też zabito deskami, ale w artykułach, które przeczytałam, nie było wzmianki o zalaniu cementem.

– Co nie znaczy, że tego nie zrobili.

Niecierpliwie rzuciła głową.

– Wiem, ale jeśli jednak go nie zalali…

– Wszedł tamtędy. Outsider. Tak uważasz.

– Powinniśmy pójść tam najpierw i jeśli zobaczymy ślady włamania…

– Rozumiem. No to mamy plan. Dobra robota. Kawał detektywa z ciebie, Holly.

Podziękowała ze spuszczonymi oczami, niepewnym głosem kobiety, która nie bardzo wie, jak reagować na komplementy.

– Miło, że tak mówisz.

– To nie przez grzeczność. Jesteś lepsza od Betsy Riggins i dużo lepsza od tego nieroba Jacka Hoskinsa. Niedługo przejdzie na emeryturę i gdyby to ode mnie zależało, przyjąłbym cię na jego miejsce.

Holly pokręciła głową, ale na twarzy miała uśmiech.

– Wystarczą mi zbiegowie, dłużnicy i zaginione psy. Nie chcę nigdy więcej zajmować się zabójstwami.

Ralph wstał.

– Pora, żebyś wróciła do swojego pokoju i trochę się przespała. Jeśli twoje przypuszczenia są słuszne, jutro czeka nas dzień jak z westernu Johna Wayne'a.

– Zaraz. Przyszłam z jeszcze jednego powodu. Lepiej usiądź.

16

Mimo że była znacznie silniejszym człowiekiem niż tego dnia, kiedy jakże szczęśliwym zrządzeniem losu poznała Billa Hodgesa, Holly nie przywykła mówić ludziom, że muszą zmienić swoje zachowanie albo że się mylą. Tamta młodsza kobieta była zahukaną, lękliwą myszką, która czasem myślała, że samobójstwo byłoby najlepszym lekarstwem na dręczący ją strach, poczucie niższości i nieokreślony wstyd. Tego dnia, kiedy Bill przysiadł się do niej na tyłach domu pogrzebowego, do którego nie mogła się przemóc, żeby wejść, przede wszystkim czuła, że utraciła coś istotnego; nie byle torebkę czy kartę kredytową, ale życie, jakie mogłaby prowadzić, gdyby sprawy potoczyły się choć trochę inaczej albo gdyby Bóg uznał za stosowne wprowadzić odrobinę więcej jakiegoś niezbędnego związku chemicznego do jej organizmu.

Chyba to zgubiłaś, tak powiedział Bill, choć nigdy nie ujął tego w słowa. Masz, lepiej schowaj to z powrotem do kieszeni.

A teraz Bill nie żył i tu, z nią, był ten mężczyzna, pod wieloma względami tak bardzo go przypominający: swoją inteligencją, przebłyskami poczucia humoru i – przede wszystkim – żelaznym uporem. Była pewna, że Bill polubiłby go, bo detektyw Ralph Anderson również uważał, że zawsze trzeba dojść po nitce do kłębka.

Istniały też jednak różnice – i nie chodziło tylko o to, że Ralph był trzydzieści lat młodszy niż Bill w chwili swej śmierci. Straszny błąd, jaki popełnił, aresztując Terry'ego Maitlanda w miejscu publicznym, zanim zrozumiał pełny wymiar tej sprawy, był tylko jedną z tych

różnic i prawdopodobnie nie najważniejszą, bez względu na to, jak bardzo się tym gryzł.

Boże, pomóż mi powiedzieć mu to, co muszę mu powiedzieć, bo drugiej takiej szansy nie dostanę. I spraw, żeby mnie wysłuchał. Proszę, Boże, spraw, żeby mnie wysłuchał.

– Kiedy ty i pozostali mówicie o outsiderze, zawsze używacie trybu warunkowego – powiedziała.

– Nie bardzo rozumiem, Holly.

– Myślę, że rozumiesz. Jeśli on istnieje. O ile on istnieje. Zakładając, że on istnieje.

Ralph milczał.

– Pozostali mnie nie obchodzą, ale ty musisz uwierzyć, Ralph. To dla mnie bardzo ważne. Ja wierzę, ale to nie wystarczy.

– Holly…

– Nie – powiedziała ostro. – Nie. Posłuchaj mnie. Wiem, że to obłęd. Ale czy istnienie takiej istoty jak *El Cuco* jest bardziej niewytłumaczalne od niektórych koszmarów, które się dzieją na świecie? Nie mówię o klęskach żywiołowych ani wypadkach, tylko o tym, co ludzie robią sobie nawzajem. Czy Ted Bundy nie był po prostu jednym z wcieleń *El Cuco*, kameleonem, który inną twarz pokazywał znajomym, a inną kobietom, które zabijał? Ostatnią rzeczą, jaką ofiary widziały przed śmiercią, była jego druga twarz, twarz ukryta, twarz *El Cuco*. I są inni tacy jak on. Chodzą wśród nas. Wiesz o tym. Obcy. Potwory, których nie potrafimy pojąć. A mimo to w nich wierzysz. Niektórych wsadziłeś do więzienia, może nawet uczestniczyłeś w ich egzekucjach.

Milczał zamyślony.

– Pozwól, że cię o coś zapytam – ciągnęła. – A gdyby to Terry Maitland zabił to dziecko, rozszarpał jego ciało i wsadził w nie gałąź? Czy to byłoby mniej niewytłumaczalne od istoty, która być może ukrywa się w tej jaskini? Czy byłbyś w stanie powiedzieć: Rozumiem mrok i zło, które skrywało się pod maską trenera chłopców i dobrego obywatela? Doskonale wiem, co go do tego popchnęło?

– Nie. Aresztowałem ludzi, którzy zrobili straszne rzeczy… i kobietę, która utopiła swoją córeczkę w wannie… i nigdy ich nie zrozumiałem. Przeważnie oni sami siebie nie rozumieją.

– Tak jak ja nie rozumiałam, dlaczego Brady Hartsfield postanowił zabić się na koncercie i zabrać ze sobą tysiąc albo więcej niewinnych dzieci. Moja prośba do ciebie jest prosta: uwierz. Chociaż na następne dwadzieścia cztery godziny. Możesz to zrobić?

– Dasz radę zasnąć, jeśli odpowiem, że tak?

Kiwnęła głową, ani na chwilę nie odrywając od niego wzroku.

– Wobec tego wierzę. Przynajmniej przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny *El Cuco* istnieje. Czy jest w Jamie Marysville, czy nie, o tym dopiero się przekonamy, ale istnieje.

Holly wypuściła powietrze i wstała, z rozwianymi wiatrem włosami, żakietem zwisającym z jednej strony, wypuszczoną koszulą. Ralph pomyślał, że wyglądała uroczo, ale potwornie krucho.

– Dobrze. Idę spać.

Odprowadził ją do drzwi.

– Wszechświat nie ma końca – powiedział, kiedy przestąpiła próg.

Spojrzała na niego z powagą.

– To prawda. Nie ma go, pitoleniec. Dobranoc, Ralph.

JAMA MARYSVILLE

27 lipca

1

Jack obudził się o czwartej rano.

Na zewnątrz wiał wiatr, silny wiatr, a jego wszystko bolało. Nie tylko szyja, ale i ręce, nogi, brzuch, tyłek. Zupełnie jakby się spalił na słońcu. Odrzucił pościel, usiadł na skraju łóżka i włączył lampkę nocną, rzucającą ziemisty sześćdziesięciowatowy blask. Spojrzał na siebie. Żadnych śladów na skórze, a jednak bolało. Wewnątrz.

– Zrobię, co chcesz – powiedział do przybysza. – Powstrzymam ich. Obiecuję.

Cisza. Przybysz nie odpowiadał albo go nie było. Przynajmniej teraz. Ale przedtem przy nim był. Tam, w tej cholernej stodole. Tylko jedno delikatne, łaskoczące dotknięcie, niemal pieszczota, ale to wystarczyło. Teraz zżerała go trucizna. Rak. I siedząc tutaj, w tym gównianym pokoju motelowym, długo przed świtem, nie był już pewien, czy przybysz może zabrać to, co mu dał. Ale jaki miał wybór? Musiał spróbować. Jeśli to się nie powiedzie…

– Zastrzelę się? – Na tę myśl poczuł się trochę lepiej. To było wyjście z sytuacji, jakiego nie miała jego matka. Powtórzył raz jeszcze, z większą determinacją: – Zastrzelę się.

Koniec z kacami. Koniec z jazdą do domu z dozwoloną prędkością, z zatrzymywaniem się na każdym czerwonym świetle w obawie, żeby nie wpaść w ręce drogówki, gdy wydmuchałby co najmniej jeden, może nawet 1,2 promila. Koniec z telefonami od byłej, że znów się spóźnia z alimentami. Jakby sam tego nie wiedział. Co by zrobiła, gdyby alimenty przestały wpływać? Musiałaby pójść do pracy, zobaczyć, jak żyje druga połowa, buu, bo się rozpłaczę. Koniec

z przesiadywaniem całymi dniami w domu i oglądaniem Ellen i sędzi Judy. Jaka szkoda.

Ubrał się i wyszedł. Wiatr może nie był zimny, ale chłodny na pewno, i zdawał się przeszywać go na wylot. Kiedy wyjeżdżał z Flint City, był upał i Jack nie pomyślał, żeby wziąć kurtkę. Albo zmianę ubrania. Czy choćby szczoteczkę do zębów.

Cały ty, kochanie, usłyszał w duchu głos ślubnej. Cały ty. O dzień za późno, o dolara za mało.

Samochody, pikapy i kilka kamperów obstawiły budynek motelu jak szczenięta ssące mleko matki. Jack poszedł zewnętrznym korytarzem w miejsce, z którego mógł zobaczyć, czy niebieski SUV natrętów jeszcze stoi. Stał. Byli w swoich pokojach, na pewno śnili miłe, pozbawione bólu sny. Przemknęło mu przez myśl, żeby tu i teraz wszystkich po kolei wystrzelać. Kuszące, ale niedorzeczne. Nie wiedział, w których są pokojach, i prędzej czy później ktoś – niekoniecznie Natręt Numer Jeden – odpowiedziałby ogniem. Bądź co bądź tu był Teksas, gdzie ludzie lubili sobie wmawiać, że wciąż żyją w czasach spędów bydła i rewolwerowców.

Lepiej zaczekać na nich tam, gdzie według przybysza przyjdą. Wtedy będzie ich mógł rozwalić i mieć względną pewność, że ujdzie mu to płazem; w promieniu wielu kilometrów nie będzie żywej duszy. Jeśli po skończonej robocie przybysz usunie truciznę z jego organizmu, wszystko dobrze się skończy. Jeśli nie, Jack wsadzi sobie w usta lufę służbowego glocka i pociągnie za spust. Owszem, aż ciepło się na sercu robiło na myśl, że jego była musiałaby przez następne dwadzieścia lat pracować jako kelnerka albo tyrać w fabryce rękawiczek, ale nie to było rozstrzygającym argumentem. Nie zamierzał skończyć jak jego matka, której skóra pękała przy każdym ruchu. To był najważniejszy argument.

Drżąc, wsiadł do pikapa i ruszył do Jamy Marysville. Księżyc wiszący tuż nad horyzontem przypominał zimny kamień. Drżenie przeszło w dygot, tak silny, że parę razy zjechał na drugą stronę przerywanej białej linii. To nic; wielkie ciężarówki korzystały z drogi numer sto dziewięćdziesiąt albo z autostrady. Na Rural Star o tej nieludzkiej godzinie nie było nikogo oprócz niego.

Kiedy silnik rama się rozgrzał, Jack włączył ogrzewanie na pełną moc. Od razu lepiej. Ból dolnej połowy ciała zelżał. Kark jednak dalej pulsował jak sam sukinsyn, a gdy go potarł, na jego dłoni zostały płatki martwej skóry. Przyszło mu do głowy, że może ból szyi to skutek zwyczajnego oparzenia słonecznego, a reszta jest wytworem jego wyobraźni. Że to psychosomatyczne jak ubzdurane migreny jego ślubnej. Czy ból psychosomatyczny może wybudzić człowieka z twardego snu? Nie miał pojęcia, wiedział za to, że przybysz, który chował się za zasłoną prysznicową w jego łazience, istnieje naprawdę i że z kimś takim lepiej nie zadzierać. Kiedy ktoś taki czegoś żąda, masz to zrobić i już.

No i był jeszcze pieprzony Ralph Anderson, który zawsze się go czepiał. Pan Nie Mam Zdania, przez którego musiał wrócić z ryb wcześniej, niż planował. To dlatego, że Ralphiego zawiesili – bo to było zawieszenie, kto by dał się nabrać na gadkę o urlopie administracyjnym – on, Jack Hoskins, był w powiecie Canning, zamiast siedzieć w domu, oglądać DVD i popijać wódkę z tonikiem.

Kiedy skręcił przy billboardzie („Zamknięte do odwołania”), zelektryzowała go nagła myśl. Pieprzony Ralph Anderson mógł go tam wysłać z premedytacją! Być może wiedział, że przybysz będzie czekał w tej stodole, wiedział, co zrobi. Ralphie chciał się pozbyć Jacka od lat i kiedy uwzględnić ten jeden kluczowy szczegół, wszystko stawało się jasne. Jak dwa a dwa cztery. Jednego Ralphie nie przewidział: że człowiek z tatuażami wystawi go do wiatru.

Co do tego, jak się zakończy ten burdel, Jack widział trzy możliwości. Raz: przybysz usunie truciznę krążącą w jego organizmie. Dwa: choroba jest psychosomatyczna i minie sama z siebie. Trzy: jest rzeczywista i przybysz nie będzie mógł nic na nią poradzić.

Którykolwiek z tych wariantów się urzeczywistni, Pana Nie Mam Zdania nie będzie na tym świecie. Jack obiecał to nie przybyszowi, ale samemu sobie. Anderson pójdzie do piachu, a pozostali razem z nim. On, Jack Hoskins, Amerykański Snajper, zgarnie pełną pulę.

Podjechał do porzuconej budki biletowej i ominął łańcuch. Wiatr pewnie osłabnie, kiedy wzejdzie słońce i temperatura szybko pójdzie w górę, ale na razie wciąż dął, wzbijając kłęby pyłu. To dobrze;

odpadało zagrożenie, że natręci zobaczą ślady kół. O ile przyjadą, oczywiście.

– Jeśli nie, czy mimo to mnie uzdrowisz? – spytał.

Nie spodziewał się odpowiedzi, ale ją otrzymał:

– O tak, będziesz na pełnym chodzie.

Czy to prawdziwy głos, czy tylko jego własny?

Co za różnica?

2

Jack minął walące się domki turystyczne, ciekaw, po co ludzie wydawali spore pieniądze za przywilej pobytu w pobliżu czegoś, co w gruncie rzeczy jest zwyczajną jamą w ziemi (przynajmniej nazwa była zgodna z prawdą). Nie mogli pojechać w jakieś ciekawsze miejsca? Do Yosemite? Wielkiego Kanionu? Nawet Największy Kłębek Włóczki Na Świecie byłby lepszy od dziury w ziemi na tym zakurzonym teksaskim zadupiu.

Zaparkował obok szopy, jak poprzednio, wyjął latarkę ze schowka, wyciągnął winchestera i pudełko amunicji z kufra. Wypchał kieszenie nabojami, ruszył w stronę ścieżki, po czym zawrócił i poświecił latarką przez jedno z zakurzonych okienek w garażowych drzwiach szopy, bo a nuż w środku było coś, co mogłoby się przydać. Niczego takiego nie wypatrzył, ale to, co zobaczył, mimo wszystko przywołało uśmiech na jego twarz: pokryty kurzem mały samochód, prawdopodobnie honda albo toyota. Kalkomania na tylnej szybie głosiła: „Mój syn jest wzorowym uczniem Flint City High!". Zatruty czy nie, Jack nie zatracił swoich szczątkowych umiejętności detektywistycznych. Przybysz był tutaj, a jakże; przyjechał z Flint City tym skradzionym wozem.

Czuł się już lepiej, nawet, o dziwo, był głodny po raz pierwszy od czasu, kiedy dłoń z tatuażami wysunęła się zza prysznicowej zasłony. Wrócił do pikapa i chwilę grzebał w schowku. Dokopał się do paczki krakersów z masłem orzechowym i opróżnionego do połowy opakowania pastylek Tums. Żadne śniadanie mistrzów, ale lepsze to niż nic. Ruszył ścieżką, żując krakersa i niosąc winniego w lewej ręce. Karabin był z paskiem, ale gdyby wziął go na ramię,

obtarłby mu kark. Może do krwi. Obciążone nabojami kieszenie kołysały się i obijały o jego nogi.

Zatrzymał się przy wyblakłej tablicy (na której stary wódz Wahoo oznajmiał, że Carolyn Allen ssała jego czerwonoskórego kutasa), uderzony nagłą myślą. Każdy, kto pojedzie boczną drogą prowadzącą do domków turystycznych, zobaczy jego rama zaparkowanego obok szopy i pomyśli, że coś tu nie gra. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wrócić, żeby go przestawić, ostatecznie jednak stwierdził, że nie ma się czym przejmować. Jeśli natręci przyjadą, zaparkują przy głównym wejściu. Kiedy tylko wysiądą, żeby się rozejrzeć, on da ognia ze stanowiska snajperskiego na szczycie urwiska i zdejmie dwóch, może nawet trzech, zanim zrozumieją, co się dzieje. Pozostali rozpierzchną się jak kury podczas burzy. Załatwi ich, zanim znajdą schronienie. Nie było potrzeby martwić się o to, co zobaczą od strony domków turystycznych, bo Pan Nie Mam Zdania i jego przyjaciele nie wydostaną się z parkingu.

3

Po ciemku ścieżka na szczyt urwiska była zdradliwa nawet przy świetle latarki, dlatego Jack szedł powoli. Miał już wystarczająco dużo problemów, jeszcze tylko tego brakowało, żeby upadł i coś sobie połamał. Kiedy dotarł do swojego punktu obserwacyjnego, pierwsze nieśmiałe światło zaczynało się rozlewać po niebie. Poświecił latarką na widły, które zostawił tu wczoraj, sięgnął po nie, jednak gwałtownie cofnął rękę. Miał nadzieję, że to nie zła wróżba na resztę dnia, ale sytuacja ta miała w sobie pewną ironię, którą mógł docenić nawet w swoim obecnym położeniu.

Przyniósł widły do obrony przed wężami, a teraz wąż leżał na nich. Grzechotnik, i to całkiem spory; prawdziwe monstrum. Strzelać nie było sensu, kula mogłaby skubańca tylko zranić, a wtedy pewnie rzuciłby się do ataku. Szanse Jacka w takim starciu byłyby marne, zwłaszcza że na nogach miał tenisówki, bo w Tippit nie wpadł na pomysł, by kupić grubsze buty. Nie mówiąc o tym, że odbity rykoszetem pocisk mógłby wyrządzić mu poważną krzywdę.

Chwycił karabin za koniec kolby i powoli wyciągnął lufę do przodu, najdalej, jak się dało. Wsunął ją pod drzemiącego grzechotnika i przerzucił go nad swoim ramieniem, zanim ten zdążył odpełznąć. Szkaradny gad wylądował na ścieżce sześć metrów za nim, zwinął się i zaczął wyrażać niezadowolenie dźwiękiem koralików potrząsanych w suchej tykwie. Jack porwał widły, zrobił krok naprzód i dźgnął. Wąż wśliznął się do szczeliny między dwoma przechylonymi głazami i zniknął mu z oczu.

– Bardzo dobrze – powiedział Jack. – I nie wracaj. To moje miejsce.

Położył się i spojrzał przez celownik optyczny. Zobaczył parking z widmami żółtych linii; zobaczył rozpadający się sklep z pamiątkami; zobaczył zabite dechami wejście do jaskini i wyblakły, ale wciąż czytelny napis nad nim: „Witamy w Jamie Marysville”.

Teraz pozostawało czekać.

Jack ułożył się wygodnie.

4

„Do dziewiątej mamy wolne”, powiedział Ralph, ale już kwadrans po ósmej wszyscy czworo byli w motelowej kawiarni. Ralph, Howie i Alec zamówili stek z jajkami. Holly poprosiła o omlet z trzech jaj i frytki w sosie ranczerskim. Ku zadowoleniu Ralpha zjadła wszystko do ostatniego kęsa. Znowu była w żakiecie narzuconym na koszulkę i dżinsy.

– Potem będzie ci w nim gorąco – stwierdził Ralph.

– Tak, a w dodatku jest bardzo wymięty. Ale ma duże kieszenie, w sam raz na moje rzeczy. Torbę z laptopem też wezmę, choć zostawię ją w samochodzie, gdybyśmy musieli pójść gdzieś pieszo. – Wychyliła się do przodu i zniżyła głos: – Pokojówki w takich motelach czasem kradną.

Howie zasłonił usta – może chciał stłumić beknięcie, a może ukryć uśmiech.

5

U Boltonów zastali Yune'a i Claude'a siedzących z kawą na schodkach ganku. Lovie, na wózku inwalidzkim, pieliła chwasty w przydomowym ogródku, z butlą tlenową na kolanach, papierosem w ustach i w wielkim słomkowym kapeluszu na głowie.

– W nocy było spokojnie? – spytał Ralph.

– Tak – powiedział Yune. – Wiatr trochę hałasował, ale jak już zasnąłem, spałem jak niemowlę.

– A tobie jak minęła noc, Claude? Wszystko w porządku?

– Jeśli pytasz o to, czy znów miałem wrażenie, że ktoś węszy koło domu, odpowiedź brzmi: „nie". Mama też nic nie słyszała.

– Cóż, chyba znamy tego powód – powiedział Alec. – Gliny z Tippit dostały wczoraj zgłoszenie o włamaniu. Pan domu usłyszał brzęk tłuczonego szkła, złapał za strzelbę i wypłoszył gościa. Zeznał, że intruz miał czarne włosy, kozią bródkę i mnóstwo tatuaży.

– Całą noc nie wystawiłem nosa z sypialni! – obruszył się Claude.

– Nie wątpimy – zapewnił Ralph. – To mógł być typ, którego szukamy. Jedziemy do Tippit to sprawdzić. Jeśli, jak sądzimy, już go tam nie będzie, polecimy z powrotem do Flint City i zastanowimy się, co dalej.

– Chociaż nie wiem, co jeszcze możemy zrobić – dodał Howie. – Jeśli nie ma go tu ani w Tippit, może być wszędzie.

– Żadnych innych tropów? – spytał Claude.

– Ani jednego – odparł Alec.

Lovie podjechała do nich.

– Jeśli postanowicie wrócić do domu, wpadnijcie do nas w drodze na lotnisko. Zrobię kanapki z resztkami wczorajszego kurczaka. To

znaczy o ile nie macie nic przeciwko temu, żeby znów jeść to samo.

– Wpadniemy, oczywiście – powiedział Howie. – Dziękujemy wam obojgu.

– To ja powinienem wam podziękować – stwierdził Claude.

Podał rękę wszystkim po kolei, a Lovie rozłożyła ramiona, żeby wyściskać Holly. Holly zrobiła zaskoczoną minę, ale pochyliła się i pozwoliła jej na to.

– Wróć tu jeszcze, dobrze? – szepnęła jej na ucho Lovie.

– Wrócę – odparła Holly z nadzieją, że będzie mogła dotrzymać obietnicy.

6

Howie prowadził, Ralph siedział obok niego, pozostała trójka była na tylnym siedzeniu. Słońce wisiało na niebie, zapowiadając kolejny upalny dzień.

– Tak się tylko zastanawiam, jakim cudem gliny z Tippit się z wami skontaktowały – powiedział Yune. – Myślałem, że nikt z władz nie wie, że tu jesteśmy.

– Bo nie wiedzą – odparł Alec. – Jeśli ten outsider naprawdę istnieje, nie chcieliśmy, żeby Boltonowie zaczęli coś podejrzewać, kiedy zobaczą, że jedziemy w niewłaściwym kierunku.

Ralph nie musiał być jasnowidzem, by wiedzieć, co w tej chwili przyszło Holly do głowy: „Kiedy ty i pozostali mówicie o outsiderze, zawsze używacie trybu warunkowego".

Odwrócił się.

– Posłuchajcie mnie. Koniec z „jeśli" i „może". Dzisiaj outsider istnieje. Dzisiaj może czytać w myślach Claude'a Boltona, kiedy chce, i dopóki nie zdobędziemy dowodów temu przeczących, jest w Jamie Marysville. Koniec z przypuszczeniami, od tej pory konieczna jest wiara. Dacie radę?

Chwilę milczeli. W końcu Howie powiedział:

– Jestem adwokatem, synu. Mogę uwierzyć we wszystko.

7

Dojechali do billboardu przedstawiającego zachwyconą rodzinę trzymającą w górze lampy gazowe. Howie powoli ruszył popękaną asfaltową drogą dojazdową, starając się omijać największe dziury. Kiedy wyjeżdżali, było około dziesięciu stopni, teraz temperatura sięgała dwudziestu kilku i miała rosnąć.

– Widzicie ten pagórek? – Holly pokazała palcem. – Główne wejście jest u jego podnóża. A przynajmniej było, dopóki go nie zamurowali. Tam powinniśmy zajrzeć najpierw. Jeśli próbował tamtędy wejść, może zostawił ślady.

– Zgoda. – Yune się rozejrzał. – Jezu, ale pustkowie.

– Śmierć tych chłopców i ludzi, którzy poszli im na ratunek, była tragedią dla ich rodzin, ale i katastrofą dla Marysville – powiedziała Holly. – Jama była jedynym pracodawcą w mieście. Po jej zamknięciu wielu miejscowych wyjechało.

Howie zahamował.

– To musiała być budka biletowa i z tego, co widzę, droga za nią jest przegrodzona łańcuchem.

– Omiń go – poradził Yune. – Wypróbujemy zawieszenie tej fury.

Howie pojechał wokół łańcucha; jego przypięci pasami pasażerowie podskakiwali na każdej nierówności.

– No dobrze, szanowni państwo, w tej chwili oficjalnie wkraczamy na teren prywatny.

Spłoszony dźwiękiem silnika kojot wyskoczył z ukrycia i czmychnął, biegnąc pierś w pierś ze swym smukłym cieniem. Ralph dostrzegł resztki zatartych wiatrem śladów opon i domyślił się, że miejscowe małolaty – co najmniej kilku w Marysville pewnie zostało – rozbijały

się tu swoimi quadami. Skupiony był głównie na skalistym urwisku z przodu, miejscu, które kiedyś było jedyną atrakcją turystyczną Marysville. Jego *raison d'être*, mówiąc szumnie.

– Wszyscy jesteśmy uzbrojeni – powiedział Yune. Sztywno wyprostowany, patrzył przed siebie czujnym wzrokiem. – Mam rację?

Mężczyźni przytaknęli.

Holly Gibney milczała.

8

Jack widział ich ze swojego stanowiska na urwisku długo przed tym, zanim dotarli na półhektarowy parking. Sprawdził broń – naładowana, z jednym pociskiem w komorze. Przedtem na skraju urwiska położył płaski kamień. Teraz leżał wyciągnięty, z opartą na nim lufą. Spojrzał przez celownik i wymierzył w przednią szybę od strony kierowcy. Na chwilę oślepił go odblask słońca. Skrzywił się, cofnął głowę, potarł oko, aż jasna plamka zniknęła, po czym znów zajrzał w celownik.

No, dawajcie, pomyślał. Stańcie na środku parkingu. Tak byłoby idealnie. Zatrzymajcie się tam i wysiądźcie.

Zamiast tego SUV potoczył się na ukos przez parking i stanął przed zabitym dechami wejściem do jaskini. Wszystkie drzwi się otworzyły i wysiadło pięć osób – czterej mężczyźni i jedna kobieta. Pięcioro małych natrętów, wszyscy w rządku, jak miło. Niestety, to byłby cholernie trudny strzał. Przy obecnym położeniu słońca wejście do jaskini ginęło w cieniu. Jack może zaryzykowałby mimo to – celownik optyczny leupold był pierwsza klasa – ale był jeszcze jeden problem: SUV zasłaniał co najmniej troje z tej piątki, w tym Pana Nie Mam Zdania.

Jack leżał z policzkiem przyciśniętym do kolby. Tętno biło wolnym, równym rytmem w jego piersi i gardle. Nie czuł już pulsowania karku; nie interesowało go nic oprócz grupki natrętów pod napisem „Witamy w Jamie Marysville”.

– Wyjdźcie stamtąd – szepnął. – Wyjdźcie, rozejrzyjcie się. Przecież tego właśnie chcecie.

Czekał, aż to zrobią.

9

Łukowe wejście do jamy blokowały dwa tuziny desek przytwierdzonych wielkimi zardzewiałymi śrubami do cementu wypełniającego otwór. Przy takim podwójnym zabezpieczeniu przed grotołazami amatorami tabliczki z zakazem wstępu wydawały się raczej zbędne, a mimo to parę ich wywieszono. Było też kilka wyblakłych tagów grafficiarzy – nabazgranych, jak się domyślał Ralph, przez te same dzieciaki, które jeździły tu quadami.

– I co, myślicie, że ktoś przy tym majstrował? – spytał Yune.

– Nie – odparł Alec. – Nie rozumiem, po co w ogóle te deski. Trzeba by sporego ładunku dynamitu, żeby się przebić przez taką warstwę cementu.

– Co pewnie dokończyłoby dzieła rozpoczętego przez trzęsienie ziemi – dodał Howie.

Holly odwróciła się i pokazała palcem nad maską SUV-a.

– Widzicie drogę za sklepem z pamiątkami? Prowadzi do wejścia Ahiga. Turystom nie wolno było tamtędy wchodzić do jaskini, ale jest tam sporo interesujących piktogramów.

– Skąd to wiesz? – spytał Yune.

– Mapa, którą dawali turystom, nadal jest w sieci. Ostatnimi czasy wszystko jest w sieci.

– To się nazywa praca śledcza, *amigo* – powiedział Ralph. – Spróbuj kiedyś.

Wsiedli z powrotem do SUV-a, Howie znów zajął miejsce za kierownicą, Ralph obok niego. Wóz powoli ruszył przez parking.

– Kiepska ta droga – stwierdził Howie.

– Będzie dobrze – powiedziała Holly. – Za wzniesieniem są domki turystyczne. Prasa pisała, że druga ekipa ratownicza urządziła w nich bazę wypadową. No i kiedy wiadomość o tym, co się stało, poszła w świat, na pewno zebrało się tam mnóstwo dziennikarzy i zaniepokojonych krewnych.

– Nie wspominając o zwyczajnych gapiach – powiedział Yune. – Domyślam się, że…

– Stój, Howie – rzucił Alec. – Prrr. – Przejechali nieco ponad pół parkingu, krótki nos SUV-a skierowany był w stronę drogi prowadzącej do domków. I przypuszczalnie do tylnego wejścia do jamy.

Howie zahamował.

– Co?

– Może niepotrzebnie utrudniamy sobie życie. Outsider nie musi siedzieć w jaskini; poprzednio ukrywał się w stodole w Canning.

– I co z tego?

– To, że powinniśmy sprawdzić sklep z pamiątkami. Zobaczyć, czy nie ma tam śladów włamania.

– Zajmę się tym – powiedział Yune.

Howie otworzył drzwi od strony kierowcy.

– Może pójdziemy wszyscy?

10

Natręci odeszli od zabitego dechami wejścia i wrócili do SUV-a. Jeden z nich, grubawy łysol, okrążył maskę, żeby wrócić za kierownicę. Teraz Jack miał ich jak na widelcu. Wymierzył w twarz faceta, zaczerpnął powietrza, wstrzymał oddech i nacisnął na spust. Nie ustąpił. Przez jedną koszmarną chwilę myślał, że coś jest nie tak z winchesterem, po czym uświadomił sobie, że zapomniał go odbezpieczyć. Dopiero trzeba mieć niedobrze w głowie, co? Próbował zwolnić bezpiecznik, nie odrywając oka od celownika. Za pierwszym podejściem spocony kciuk się ześliznął, a kiedy w końcu się udało, grubawy łysol był już za kierownicą i zamykał drzwi. Pozostali też siedzieli w środku.

– Psiakrew – szepnął Jack. – Psiakrew, psiakrew, psiakrew.

Z narastającym strachem patrzył, jak SUV rusza przez parking w stronę bocznej drogi, która sprowadzi ich z linii ognia. Wjadą na pierwsze wzgórze, zobaczą domki, zobaczą szopę, zobaczą zaparkowanego przy niej pikapa. Czy Ralph Anderson pozna, czyj to wóz? Pewnie, że tak. Jeśli nie po kalkomanii ze skaczącymi rybami z boku, to po naklejce na tylnym zderzaku: „Z tej fury przesiadam się tylko na twoją mamę”.

– Nie możesz pozwolić im wjechać na tę drogę.

Nie wiedział, czy te słowa wypowiedział głos przybysza, czy jego własny, i nie miało to dla niego znaczenia, bo, tak czy owak, była to prawda. Musiał powstrzymać SUV-a, a dwa, trzy trafienia z karabinu o dużym zasięgu w blok silnika pozwolą osiągnąć ten cel. Potem będzie mógł zacząć walić w okna. Pewnie wszystkich nie załatwi, przeszkodzi mu słońce odbijające się w szybach, ale ci, którzy

ocaleją, wyskoczą na pusty parking, może ranni, a na pewno oszołomieni.

Jego palec zacisnął się na spuście, ale zanim Jack zdążył strzelić, SUV zatrzymał się sam z siebie przy porzuconym sklepie z pamiątkami, z którego spadł szyld. Drzwi samochodu znów się otworzyły.

– Dzięki ci, Boże – mruknął.

Ponownie zbliżył oko do celownika i czekał, aż z wozu wysiądzie Pan Nie Mam Zdania. Wszyscy pójdą do piachu, ale naczelny natręt pierwszy.

11

Grzechotnik wysunął się ze szczeliny, w której znalazł schronienie. Podpełzł do rozstawionych nóg Jacka, zatrzymał się, zbadał ruchliwym językiem nagrzewające się powietrze i ruszył dalej. Nie miał zamiaru atakować, robił tylko rozpoznanie terenu, ale na huk pierwszego strzału z karabinu uniósł ogon i zaczął grzechotać. Jack – który zapomniał nie tylko szczoteczki do zębów, ale i zatyczek czy choćby waty do uszu – nie usłyszał go.

12

Howie wysiadł pierwszy. Podparł się pod boki i wbił wzrok w przewrócony szyld z napisem: „Pamiątki i autentyczne wyroby indiańskie”. Alec i Yune wysunęli się z tylnego siedzenia od strony kierowcy. Ralph wysiadł z miejsca pasażera, żeby otworzyć tylne drzwi Holly, która bezskutecznie walczyła z klamką. Kiedy już ją wypuścił, w oczy rzuciło mu się coś leżącego na popękanym asfalcie.

– A niech mnie… Zobaczcie.

– Co tam jest? – spytała Holly, kiedy się pochylił. – Co?

– To chyba grot strza…

Gruchnął strzał, niemal dźwięczny trzask karabinu o dużym zasięgu. Ralph poczuł na czubku głowy podmuch przelatującej kuli, co znaczyło, że chybiła o nie więcej niż dwa, trzy centymetry. Boczne lusterko SUV-a po stronie pasażera rozleciało się na kawałki, które rozsypały się serią oślepiających błysków po spękanym asfalcie.

– Ktoś strzela! – Ralph złapał Holly za ramiona i pociągnął do ziemi. – Kryj się, kryj się, kryj się!

Howie obejrzał się, zaskoczony i zdumiony jednocześnie.

– Że co? Czy ja dobrze sły…

Drugi strzał zerwał mu czubek głowy. Howie chwilę stał nieruchomo, z krwią ściekającą po czole i policzkach. Wreszcie upadł. Alec pobiegł do niego; trzeci wystrzelony pocisk rzucił go na maskę SUV-a. Krew przesiąkła przez jego koszulę powyżej pasa. Yune ruszył ku niemu. Wtedy huknął czwarty strzał. Ralph zobaczył, że kula rozerwała bok szyi Aleca i detektyw osunął się za samochód.

– Na ziemię! – krzyknął Ralph do Yune’a. – Na ziemię! Ktoś strzela z urwiska!

Yune padł na kolana i wycofał się. Rozległy się trzy szybkie strzały. Jedna z opon SUV-a zaczęła syczeć. Przednia szyba, pokryta siatką pęknięć, zapadła się do wewnątrz wokół dziury powstałej nad kierownicą. Trzecia kula przebiła tylny błotnik po stronie kierowcy i wyrwała otwór wylotowy wielkości piłki tenisowej od strony pasażera, blisko miejsca, gdzie, po bokach Holly, przykucnęli Ralph i Yune. Nastąpiła pauza, a potem kanonada rozpoczęła się na nowo: tym razem cztery strzały. Tylne okna roztrzaskały się, rozrzucając na wszystkie strony bryłki szkła. Kolejna poszarpana dziura pojawiła się w tylnej półce.

– Nie możemy tu zostać – powiedziała Holly z niezmąconym spokojem. – Nawet jeśli nas nie trafi, strzeli w bak.

– Racja – stwierdził Yune. – Co z Alekiem i Goldem, jak myślicie? Jest nadzieja?

– Nie – powiedział Ralph. – Już po…

Kolejny dźwięczny trzask. Wszyscy drgnęli. Druga opona zaczęła syczeć.

– Już po nich – dokończył Ralph. – Musimy pobiec za ten sklep z pamiątkami. Wy pierwsi. Będę was osłaniał.

– Nie, zostawcie to mnie – powiedział Yune. – Wy uciekajcie.

Nagle ze stanowiska snajpera dobiegł krzyk. Bólu czy gniewu, tego Ralph nie rozpoznał.

Yune wstał na rozstawionych nogach, trzymając pistolet oburącz, i zaczął strzelać w szczyt pagórka.

– Ruszajcie! – krzyknął. – Już! Szybko, szybko, szybko!

Ralph i Holly się podnieśli. Tak jak tego dnia, kiedy zginął Terry Maitland, Ralph miał wrażenie, że widzi każdy szczegół. Jego ramię obejmowało Holly w pasie. Po niebie krążył ptak z rozpostartymi skrzydłami. Opony syczały. SUV osiadał po stronie pasażera. Na szczycie pagórka coś rzucało migotliwe, ruchome błyski – to na pewno celownik karabinu tego bydlaka. Latał na wszystkie strony, Ralph nie miał pojęcia czemu i nic go to nie obchodziło. Rozległ się drugi, potem trzeci krzyk, ten ostatni zabrzmiał niemal jak pisk.

Holly złapała Yune’a za ramię i szarpnęła. Spojrzał na nią ze zdumieniem, jak brutalnie wyrwany ze snu, i Ralph zrozumiał, że Sablo jest gotów umrzeć. Że oczekuje śmierci. Ile sił pognali

we trójkę za sklep z pamiątkami i choć musiał być nie dalej niż sześćdziesiąt metrów od śmiertelnie rannego SUV-a, zdawali się biec w zwolnionym tempie, jak trójka najlepszych przyjaciół na końcu głupiej komedii romantycznej. Tyle że w takich filmach nikt nie biegnie obok rozerwanych kulami ciał dwóch mężczyzn, którzy raptem półtorej minuty wcześniej byli cali i zdrowi. W takich filmach nikt nie wdeptuje w kałużę świeżej krwi i nie zostawia za sobą jaskrawoczerwonych śladów.

Gruchnął kolejny strzał i Yune krzyknął:

– Dostałem! Skurwiel mnie trafił!

A później upadł.

13

Jack przeładowywał broń, nie słysząc nic prócz dzwonienia w uszach, kiedy grzechotnik uznał, że już dość długo tolerował obecność intruza na swoim terytorium. Ukąsił go w prawą łydkę. Kły węża bez trudu przebiły się przez bawełniane spodnie, a jego gruczoły jadowe były pełne. Jack przewrócił się na bok, trzymając wysoko wzniesiony karabin w prawej dłoni, i krzyknął – nie z bólu, który dopiero zaczynał czuć, lecz na widok grzechotnika pełznącego mu po nodze, wystawiającego rozwidlony język, wpatrzonego w niego świdrującymi czarnymi ślepiami. Oślizły ciężar gada był odrażający. Ukąsił znowu, tym razem w udo, i wił się dalej ku górze, bez przerwy grzechocząc. Jeszcze kawałek i ugryzie go w jaja.

– Zejdź ze mnie! Zejdź, kurwa, ze mnie!

Karabinem nie było szansy go strącić, mógłby się wywinąć, Jack upuścił więc broń i schwycił węża obiema rękami. Wtedy grzechotnik rzucił się do jego prawego nadgarstka, za pierwszym razem chybił, ale za drugim trafił, zostawiając dziury wielkości dwukropka w gazetowym nagłówku, jednak jego gruczoły jadowe były już opróżnione. Jack ani tego nie wiedział, ani o to nie dbał. Wykręcił go w dłoniach, jakby wyżymał ścierkę, i zobaczył, że skóra węża pęka. W dole ktoś raz po raz strzelał – z pistoletu, sądząc z dźwięku – ale przy tej odległości żadna z kul nie miała szans trafić. Jack odrzucił grzechotnika; zobaczył, że gad wylądował na skalnym rumowisku i odpełzł.

– Pozbądź się ich, Jack.

– Tak, dobra, jasne.

Mówił na głos czy tylko myślał? Nie wiedział. Dzwonienie w uszach przeszło w piskliwy szum, jakby stalowego drutu, po którym ktoś jeździ palcem, aż wprawi go w drżenie.

Złapał karabin, przewrócił się na brzuch, położył lufę z powrotem na płaskim kamieniu i spojrzał w celownik. Trójka ocalałych uciekała w stronę sklepu z pamiątkami, kobieta pośrodku. Próbował wymierzyć w Andersona, ale jego dłonie – jedna kilka razy ukąszona przez węża – drżały i zamiast w niego trafił w faceta o oliwkowej skórze, który biegł na końcu. Za drugim razem, ale trafił. Ręka rannego wyleciała w górę, jakby był miotaczem biorącym zamach przed najmocniejszym rzutem w swoim repertuarze, i osunął się na bok. Pozostali dwoje zatrzymali się, żeby mu pomóc. To była jego najlepsza – i być może ostatnia szansa. Jeśli teraz ich nie rozwali, schowają się za budynkiem.

Ból z pierwszego ukąszenia promieniował w górę nogi i Jack czuł, że łydka mu puchnie, ale nie to było najgorsze. Najgorszy był żar rozlewający się po nim jak uderzenie gorączki. Albo oparzenie słoneczne z piekła rodem. Strzelił znowu; wydawało mu się, że trafił kobietę, ale nie, tylko drgnęła. Złapała mężczyznę o oliwkowej skórze za niezranione ramię. Anderson objął go w pasie i dźwignął na nogi. Jack znów nacisnął spust, ale usłyszał jedynie suchy trzask. Wygrzebał naboje z kieszeni, załadował dwa, resztę upuścił. Ręce mu drętwiały. Ukąszona noga drętwiała. Język zdawał się puchnąć w ustach. Krzyknął znowu, tym razem z frustracji. Kiedy zbliżył oko do celownika, już ich nie było. Przez chwilę widział ich cienie, po czym i one zniknęły.

14

Z Holly po jednej stronie i Ralphem po drugiej, Yune zdołał dojść do najeżonej drzazgami bocznej ściany sklepu z pamiątkami. Oparł się plecami o budynek i osunął na ziemię, zdyszany. Jego twarz była szara, krople potu perliły się na czole. Lewy rękaw koszuli przesiąkł krwią aż po nadgarstek.

Jęknął.

– Ależ kurewstwo boli…

Snajper znów strzelił ze szczytu wzgórza. Kula z wizgiem odbiła się od asfaltu.

– Jak to wygląda? – zapytał Ralph. – Pokaż.

Rozpiął mankiet Yune'a i choć podwinął rękaw delikatnie, ranny krzyknął i obnażył zęby. Holly trzymała komórkę przy uchu.

Rana nie wyglądała tak źle, jak Ralph się obawiał; kula najwyraźniej tylko drasnęła mężczyznę. W filmie oznaczałoby to, że Yune może natychmiast wrócić do walki, ale to była rzeczywistość, a w rzeczywistości jest inaczej. Pocisk z karabinu o dużym zasięgu trafił dość mocno, żeby załatwić mu łokieć. Skóra wokół niego już puchła i siniała, jak od uderzenia maczugą.

– Proszę, powiedz, że to tylko zwichnięcie – błagał Yune.

– Dobrze by było, ale łokieć chyba jest złamany – powiedział Ralph. – Mimo wszystko miałeś szczęście, stary. Gdyby kula poszła trochę bardziej w bok, urwałaby ci rękę od łokcia w dół. Nie wiem, z czego facet strzela, ale to coś dużego.

– Ramię na pewno mam zwichnięte. To się stało wtedy, kiedy odrzuciło mi rękę do tyłu. Kurwa mać! Co zrobimy, *amigo*? Trzyma nas w szachu.

– Holly? Masz coś? – spytał Ralph.

Pokręciła głową.

– U Boltonów łapałam cztery kreski, tutaj nie ma nawet jednej. „Zejdź ze mnie”, tak krzyknął? Czy któryś z was też to s…

Snajper znów strzelił. Ciało Aleca Pelleya podskoczyło i znieruchomiało.

– Dorwę cię, Anderson! – padł okrzyk ze szczytu urwiska. – Dorwę cię, Ralphie! Dorwę was wszystkich!

Yune spojrzał na Ralpha, zaskoczony.

– Nawaliliśmy – powiedziała Holly. – Outsider jednak miał swojego Renfielda. I kimkolwiek jest, zna cię, Ralph. Domyślasz się, kto to może być?

Anderson pokręcił głową. Snajper wrzeszczał na całe gardło, prawie wył, jego głos odbijał się echem. To mógł być każdy.

Yune oglądał ranną rękę. Krwawienie osłabło, ale opuchlizna wciąż rosła. Łokcia wkrótce nie będzie widać.

– Boli bardziej niż wtedy, kiedy popsuły mi się zęby mądrości. Powiedz, że masz jakiś pomysł, Ralph.

Ralph pobiegł na koniec budynku, otoczył usta dłońmi i krzyknął:

– Policja jest w drodze, palancie! Stanowa! Oni nie będą cię prosić, żebyś się poddał! Rozwalą cię jak wściekłego psa! Jeśli życie ci miłe, radzę uciekać!

Nastąpiła pauza, po czym znów rozległ się krzyk, pełen bólu, rozbawienia – albo jednego i drugiego. Po nim padły kolejne dwa strzały. Jeden pocisk uderzył w ścianę budynku nad głową Ralpha, odrywając deskę i wzbijając w powietrze chmurę drzazg.

Anderson się cofnął i spojrzał na pozostałą dwójkę.

– To chyba była odmowa.

– Krzyczy, jakby wpadł w histerię – stwierdziła Holly.

– Jak wariat – przytaknął Yune i oparł głowę o ścianę. – Chryste, ale gorąco na tym asfalcie. A w południe będzie jeszcze gorzej. *Muy caliente*. Jeśli wciąż tu będziemy, usmażymy się.

– Strzela pan prawą ręką, poruczniku Sablo? – spytała Holly.

– Tak. A skoro oboje jesteśmy pod ostrzałem wariata z karabinem, może mów mi po prostu Yune, jak nasz *el jefe*?

– Musisz przejść na koniec budynku, tam, gdzie jest Ralph. A ty, Ralph, chodź tu do mnie. Kiedy porucznik Sablo zacznie strzelać, pobiegniemy do drogi, która prowadzi do domków turystycznych i wejścia Ahiga. Szacuję, że mamy do pokonania nie więcej niż pięćdziesiąt metrów odkrytego terenu. Możemy tyle przebiec w piętnaście sekund. Nawet dwanaście.

– Dwanaście sekund wystarczy, żeby załatwił jedno z nas, Holly.

– Myślę, że damy radę. – Wciąż opanowana, chłodna jak podmuch z wentylatora puszczony nad miską pełną kostek lodu. Nadzwyczajne. Kiedy przed dwoma dniami weszła do sali konferencyjnej Howiego, była tak spięta, że gdyby ktoś głośniej kaszlnął, wyskoczyłaby pod sufit.

Nie pierwszy raz jest w takiej sytuacji, pomyślał Ralph. I może właśnie w takich okolicznościach ujawnia się prawdziwa Holly Gibney.

Kolejny wystrzał, a po nim brzęk metalu. I następny.

– Wali w bak SUV-a – stwierdził Yune. – Ludzie z wypożyczalni nie będą zadowoleni.

– Musimy ruszać. – Holly patrzyła Ralphowi prosto w oczy; kolejne zachowanie, na które przedtem trudno jej się było zdobyć. – Pomyśl o wszystkich Frankach Petersonach, których zamorduje, jeśli pozwolimy mu uciec. Pójdą z nim, bo wezmą go za kogoś znajomego. Albo dlatego, że wzbudzi w nich sympatię, jak w siostrach Howard. Nie mówię o facecie tam, na górze, tylko o tym, kogo chroni.

Trzy kolejne strzały, jeden zaraz po drugim. Ralph zobaczył, że u dołu tylnego błotnika SUV-a powstały nowe dziury. Tak, celował w zbiornik paliwa.

– A jeśli pan Renfield zejdzie nam na spotkanie? – spytał.

– Może tego nie zrobi. Może będzie wolał zostać tam, gdzie jest, na wzniesieniu. Musimy tylko dotrzeć do ścieżki, która prowadzi do wejścia Ahiga. Jeśli przedtem do nas zejdzie, możesz go zastrzelić.

– Chętnie, o ile on pierwszy mnie nie rozwali.

– Myślę, że coś mu się stało – powiedziała Holly. – Te krzyki.

Yune skinął głową.

– „Zejdź ze mnie”. Też to słyszałem.

Następny pocisk przebił bak SUV-a i paliwo chlusnęło na asfalt. Nie było wybuchu, ale jeszcze jedno trafienie w bak prawie na pewno wysadzi samochód w powietrze.

– No dobra – zgodził się Ralph. Jedyną alternatywą było siedzieć tu i czekać, aż wspólnik outsidera zacznie walić w sklep z pamiątkami, licząc, że część pocisków przejdzie na wylot i zabije jedno lub więcej z nich. – Yune? Osłaniaj nas na tyle, na ile będziesz mógł.

Yune podkradł się do rogu budynku, sycząc z bólu przy każdym ostrożnym ruchu. Przyciskał glocka do piersi prawą dłonią. Holly i Ralph przesunęli się na drugi koniec ściany. Ralph widział drogę prowadzącą w górę wzgórza, do domków turystycznych. Po jej bokach stały dwa duże głazy. Na jednym namalowana była flaga amerykańska, na drugim flaga Teksasu.

Kiedy dostaniemy się za ten z flagą amerykańską, będziemy bezpieczni, pomyślał.

Prawie na pewno, ale pięćdziesiąt metrów w tej chwili wyglądało raczej jak pięćset. Pomyślał o Jeannie, ćwiczącej jogę w domu albo robiącej zakupy w mieście. Pomyślał o Dereku w obozie, może w sali robót ręcznych, rozmawiającym z nowymi kumplami o serialach, grach wideo albo dziewczynach. Zdążył nawet się zastanowić, o czym może myśleć Holly.

O nim, jak się okazało.

– Gotowy?

Zanim zdążył odpowiedzieć, snajper wypalił znowu. Bak SUV-a eksplodował pomarańczową kulą ognia. Yune wychylił się zza budynku i zaczął strzelać w szczyt wzgórza.

Holly pobiegła sprintem. Ralph ruszył za nią.

15

Kiedy SUV stanął w płomieniach, Jack ryknął triumfalnie, choć nie miało to najmniejszego sensu; przecież w środku i tak nikogo nie było. Kątem oka dostrzegł jakiś ruch i zauważył, że dwoje natrętów biegnie w stronę bocznej drogi. Kobieta na czele, Anderson tuż za nią. Odwrócił karabin w ich stronę i spojrzał w celownik. Zanim mógł pociągnąć za spust, usłyszał wizg nadlatującego pocisku. Odpryski kamienia uderzyły go w ramię. Ten, którego zostawili za budynkiem, strzelał i choć przy tej odległości nie miał szans trafić, zwłaszcza że walił z krótkiej broni, kula przeszła zdecydowanie za blisko. Jack schylił głowę i kiedy przycisnął podbródek do szyi, poczuł, że gruczoły w niej nabrzmiewają i pulsują, jakby były pełne ropy. Głowa go bolała, skóra płonęła, oczy zdawały się wychodzić z orbit.

Spojrzał przez celownik w chwili, kiedy Anderson zniknął za jednym z dużych głazów. Stracił ich z oczu. I to nie wszystko. Z płonącego SUV-a buchał czarny dym, a o tej porze dnia nie było wiatru, który mógłby go rozwiać. A jeśli ktoś to zobaczy i zadzwoni na ochotniczą straż pożarną od siedmiu boleści, jaką zapewne mają w tym zapyziałym grajdole?

Zejdź na dół.

Tym razem nie musiał się zastanawiać, czyj to głos.

Musisz ich dopaść, zanim wejdą na ścieżkę do Ahigi.

Jack nie miał pojęcia, co to jest Ahiga, ale doskonale wiedział, o czym mówi głos w jego głowie: o ścieżce, która zaczyna się przy tablicy z wodzem Wahoo. Skulił się, kiedy kolejna kula wypuszczona przez palanta na dole odłupała kamienne odłamki z pobliskiej skały, po czym ruszył z powrotem w kierunku, z którego przyszedł. Po kilku

krokach upadł. Ból na chwilę zaćmił wszystkie myśli. Jack chwycił się krzaka wystającego spomiędzy dwóch skał i dźwignął na nogi. Spojrzał w dół, po sobie, i przez chwilę nie wierzył własnym oczom. Noga ukąszona przez węża wydawała się dwa razy grubsza od drugiej. Materiał spodni ciasno ją opinał. Co gorsza, w kroczu było duże wybrzuszenie. Wyglądało, jakby wcisnął tam sobie małą poduszkę.

Zejdź na dół, Jack. Załatw ich, a uwolnię cię od raka.

No dobrze, ale w tej chwili miał pilniejsze zmartwienia, prawda? Pęczniał jak nasiąknięta wodą gąbka.

Od jadu węża też. Mogę cię uzdrowić.

Jack nie był pewien, czy może wierzyć Człowiekowi z Tatuażami, ale rozumiał, że nie ma wyboru. Poza tym musiał pamiętać o Andersonie. Pan Nie Mam Zdania nie mógł wyjść z tego cało. Wszystko stało się przez niego i musiał za to zapłacić.

Niezdarnie potruchtał ścieżką w dół, ściskając lufę winchestera i podpierając się kolbą jak laską. Drugi raz wyłożył się w chwili, kiedy skalne odłamki uciekły mu spod lewej nogi, a opuchnięta, tętniąca bólem prawa nie utrzymała równowagi. Przy kolejnym upadku nogawka spodni rozdarła się, odsłaniając sinoczarną, martwiejącą skórę. Drapał rękami kamienie, aż podniósł się z ziemi, zdyszany, ociekający potem. Był prawie pewien, że umrze na tym opuszczonym przez Boga i ludzi skalistym, zachwaszczonym pustkowiu.

Ale nie będzie umierał sam, o nie.

16

Ralph i Holly biegli boczną drogą zgięci wpół, ze spuszczonymi głowami. Na szczycie pierwszego wzgórza przystanęli, żeby złapać oddech. W dole, po lewej stronie, widzieli krąg rozpadających się domków turystycznych. Na prawo był długi budynek, pewnie magazyn sprzętu i zaopatrzenia z czasów, kiedy Jama Marysville była czynna. Obok niego stał pikap. Ralph w pierwszej chwili tylko przelotnie zerknął na ten wóz, ale zaraz pospiesznie wrócił do niego spojrzeniem.

– Chryste Panie…

– Co?

– Nic dziwnego, że mnie zna. To wóz Jacka Hoskinsa.

– Hoskinsa? Tego drugiego detektywa z Flint City?

– Tak.

– Czemu miałby… – Holly pokręciła głową tak gwałtownie, że aż grzywka jej się rozsypała. – Nieważne. Przestał strzelać, a to znaczy, że pewnie idzie nam naprzeciw. Chodźmy.

– Może Yune go trafił – powiedział Ralph, a kiedy spojrzała na niego z powątpiewaniem, dodał: – Dobra, niech ci będzie.

Pospiesznie minęli magazyn sprzętu. Po jego drugiej stronie była następna ścieżka, pnąca się po tylnym zboczu wzgórza.

– Pójdę przodem – powiedział Ralph. – Z nas dwojga to ja mam broń.

Holly nie oponowała.

Potruchtali pod górę wąską, krętą ścieżką. Okruchy skalne usuwały się ze zgrzytem spod nóg, każdy krok groził upadkiem. Po dwóch, trzech minutach wspinaczki Ralph usłyszał stukot spadających

kamieni. Dochodził z góry. Czyli Hoskins rzeczywiście wyszedł im na spotkanie.

Ominęli skałę – Ralph z glockiem w wyciągniętej dłoni, Holly za nim, po jego prawej ręce. Na następnym odcinku ścieżka biegła prosto przez kilkanaście metrów. Dźwięk kroków schodzącego Hoskinsa stał się głośniejszy, ale w labiryncie skał nie sposób było określić, w jakiej jest odległości.

– Gdzie ta cholerna ścieżka do tylnego wejścia? – spytał Ralph. – On jest coraz bliżej. To za bardzo przypomina wyścig cykorów z tego filmu z Jamesem Deanem…

– *Buntownika bez powodu*. Nie wiem, ale na pewno już niedaleko.

– Jeśli nadziejemy się na niego, zanim odbijemy w bok, będzie strzelanina. I rykoszety. Kiedy tylko go zobaczysz, chcę, żebyś padła…

Holly walnęła go w plecy.

– Jeśli skręcimy na boczną ścieżkę przed nim, nie będzie żadnej strzelaniny i nie będę musiała. Rusz się!

Ralph pokonał prosty odcinek biegiem, wmawiając sobie, że złapał drugi oddech. Nie było to prawdą, ale musiał myśleć pozytywnie. Holly trzymała się za nim i raz po raz klepała go w ramię albo żeby go pogonić, albo dać mu znać, że jeszcze tu jest. Dotarli do następnego zakrętu. Ralph wyjrzał zza łuku ścieżki, spodziewając się zobaczyć wylot lufy karabinu Hoskinsa. Zamiast tego jego oczom ukazała się drewniana tablica z wyblakłym portretem wodza Ahigi.

– Chodź – powiedział. – Szybko.

Rzucili się biegiem do tablicy, gdy Ralph usłyszał sapanie nadchodzącego snajpera. Brzmiało prawie jak szloch. Rozległ się turkot kamieni, a potem okrzyk bólu. Hoskins pewnie upadł.

I dobrze! Obyś już nie wstał!

Wtedy jednak znów usłyszał te chrzęszczące, ślizgające się kroki. Były bardzo blisko. Coraz bliżej. Ralph chwycił Holly i wepchnął ją na ścieżkę do wejścia Ahiga. Jej drobna, blada twarz ociekała potem. Wargi miała mocno zaciśnięte, dłonie wcisnęła do kieszeni żakietu, obsypanego skalnym pyłem i zbryzganego krwią.

Ralph położył palec na ustach. Kiwnęła głową. Wszedł za tablicę. Deski nieco się skurczyły na suchym, gorącym teksaskim powietrzu

i wyjrzał przez jedną z powstałych między nimi szczelin. Zobaczył słaniającego się Hoskinsa. W pierwszej chwili pomyślał, że Yune szczęśliwym trafem jednak wpakował mu kulkę, ale to nie tłumaczyło, dlaczego Jack miał rozdarte spodnie i groteskowo spuchniętą prawą nogę. Nic dziwnego, że się przewrócił, pomyślał Ralph. Nadzwyczajne, że z nogą w tym stanie doszedł stromą ścieżką aż tutaj. Wciąż miał karabin, z którego zabił Golda i Pelleya, ale teraz podpierał się nim jak laską i trzymał palce z dala od cyngla. Ralph wątpił, czy trafiłby w cokolwiek, nawet z bliska. Za bardzo drżały mu ręce. Jego przekrwione oczy zapadły się w głąb oczodołów. Pył skalny zmienił twarz Hoskinsa w maskę kabuki, ale w miejscach, gdzie strużki potu wyżłobiły w niej bruzdy, skóra była czerwona, jakby dostał ostrej wysypki.

Ralph wyszedł zza tablicy, trzymając glocka oburącz.

– Stój, Jack. Rzuć karabin.

Hoskins zjechał po kamieniach i chwiejnie wyhamował dziesięć metrów od niego. Dalej trzymał karabin za lufę. Nie takie polecenie dostał, ale co tam, niech mu będzie. Jeśli jednak tylko spróbuje podnieść broń, wyda na siebie wyrok śmierci.

– Nic tu po tobie – powiedział. – Jak mawiał mój dziadek, urodziłeś się głupi czy to przyszło z wiekiem?

– Nie mam ochoty słuchać twojego pieprzenia. Zabiłeś dwóch ludzi i zraniłeś trzeciego. Strzelałeś do nich z ukrycia.

– Nie powinni byli tu przyjeżdżać. Ale skoro już to zrobili, dostali zasłużoną karę za mieszanie się w coś, co ich nie dotyczyło.

– To znaczy w co konkretnie, panie Hoskins? – spytała Holly.

Z wykrzywionych w uśmiechu spękanych warg Hoskinsa pociekły krople krwi.

– W sprawy Człowieka z Tatuażami. Jak pewnie wiesz. Natrętna suko.

– No dobra, powiedziałeś, co ci leży na wątrobie, a teraz odłóż karabin – nakazał Ralph. – Dość już szkód nim narobiłeś. Po prostu rzuć go na ziemię. Jeśli się schylisz, upadniesz na pysk. To wąż cię tak załatwił?

– Wąż to była tylko dodatkowa atrakcja. Musisz stąd odejść, Ralph. Oboje musicie odejść. Inaczej zatruje was tak, jak zatruł mnie.

Dobrze radzę.

Holly podeszła o krok bliżej do Jacka.

– Jak cię zatruł? – Ralph ostrzegawczo położył dłoń na jej ramieniu.

– Dotknął mnie. W kark. To wystarczyło. – Hoskins pokręcił głową, ociężale, z niedowierzaniem. – W tej stodole w powiecie Canning. – Głos mu zadrżał i wezbrał oburzeniem. – Do której ty mnie wysłałeś!

– To komendant musiał cię tam wysłać, Jack – odparł Ralph. – Ja nic o tym nie wiedziałem. Ostatni raz powtarzam: odłóż broń. Dla ciebie to koniec.

Jack się zamyślił… a przynajmniej sprawiał takie wrażenie. Potem bardzo powoli podniósł karabin, schodząc ręka za ręką po lufie coraz niżej, w stronę osłony cyngla.

– Nie skończę tak jak moja matka. O nie. Najpierw zastrzelę twoją przyjaciółkę, Ralph, a potem ciebie. Chyba że mnie powstrzymasz.

– Jack, nie rób tego. Ostatnie ostrzeżenie.

– Wsadź sobie swoje ostrzeżenie do…

Spróbował wymierzyć w Holly. Nawet nie drgnęła. Ralph wszedł przed nią i nacisnął spust, raz, drugi, trzeci. Huk wystrzałów był ogłuszający wśród ciasno stojących skał. Jedna kula za Howiego, jedna za Aleca, jedna za Yune'a. Odległość była trochę za duża na strzał z pistoletu, ale glock to dobra broń, a on nigdy nie miał kłopotów z zaliczeniem egzaminów strzeleckich.

Jack Hoskins upadł.

Ralph miał wrażenie, że na jego twarzy maluje się ulga.

17

Ralph usiadł na wystającej krawędzi skały naprzeciwko tablicy. Ciężko dyszał. Holly podeszła do Hoskinsa, uklękła i obróciła go na plecy. Rzuciła na niego okiem, po czym wróciła.

– Ma ślady kilku ukąszeń.

– Musiał go dopaść grzechotnik, i to duży.

– Wcześniej zatruło go coś innego. Coś gorszego od węża. Istota, którą on nazwał Człowiekiem z Tatuażami, a my nazywamy outsiderem. *El Cuco*. Musimy to zakończyć.

Ralph pomyślał o Howiem i Alecu, martwych po drugiej stronie tej potężnej skały, zapomnianej przez Boga i ludzi. Mieli rodziny. Yune – jeszcze żywy, ale ranny, cierpiący, teraz pewnie już w szoku – też miał rodzinę.

– W sumie prawda. Chcesz pistolet? Ja mogę wziąć jego karabin.

Holly tylko pokręciła głową.

– No dobra – sapnął Ralph. – Do dzieła.

18

Za pierwszym zakrętem ścieżka do wejścia Ahiga rozszerzyła się, by zejść w dół. Po obu stronach widniały piktogramy. Część prastarych rysunków była przyozdobiona lub całkowicie zamazana tagami grafficiarzy.

– Wyczuje, że się zbliżamy – powiedziała Holly.

– Wiem. Szkoda, że nie wzięliśmy jednej z tych latarek.

Sięgnęła do jednej ze swoich obszernych kieszeni – tej najbardziej obciążonej – i wyciągnęła krótką latarkę ultrafioletową z Home Depot.

– Kurczę, jesteś niesamowita – stwierdził Ralph. – Nie masz tam może jeszcze paru kasków?

– Nie obraź się, ale twoje poczucie humoru jest dość słabe. Radzę nad tym popracować.

Za następnym zakrętem ścieżki zobaczyli naturalną wnękę w skale na wysokości mniej więcej metra. Wyblakłe czarne litery wymalowane nad nią głosiły: „Nigdy nie zapomnimy”. We wnęce stał zakurzony wazon, z którego, niczym palce szkieletu, sterczały chude gałązki. Płatki niegdyś zdobiące te gałązki dawno zniknęły, ale zachowało się coś innego. Wokół wazonu leżało kilka zabawkowych figurek wodza Ahigi, takich jak ta, którą zostawili po sobie bliźniacy Jamieson, kiedy na zawsze wczołgali się do trzewi ziemi. Figurki pożółkły ze starości, nagrzany słońcem plastik popękał.

– Ludzie tu przychodzą – powiedziała Holly. – Głównie młodzież, sądząc z graffiti. Ale tego miejsca nigdy nie zbezcześcili.

– Nawet go nie tknęli, jak widać. Chodź. Yune czeka po drugiej stronie, z raną od kuli i rozwalonym łokciem.

– Tak, i na pewno bardzo cierpi. Musimy jednak być ostrożni. Innymi słowy, powinniśmy iść powoli.

Ralph ujął ją za łokieć.

– Jeśli ten typ załatwi nas oboje, Yune zostanie sam. Może lepiej do niego wróć?

Holly wskazała na niebo przesłonięte czarnym dymem z płonącego SUV-a.

– Ktoś to zobaczy i przyjedzie. A jeśli coś nam się stanie, Yune jako jedyny będzie wiedział dlaczego.

Odtrąciła jego rękę i ruszyła w górę ścieżki. Ralph jeszcze raz zerknął na małą kapliczkę, nietkniętą przez wszystkie te lata. A potem poszedł za Holly.

19

Ralph już myślał, że ścieżka zaprowadzi ich z powrotem na tyły sklepu z pamiątkami, jednak ta nagle odbiła ostro w lewo, robiąc zwrot o prawie sto osiemdziesiąt stopni, i urwała się przy konstrukcji do złudzenia przypominającej wejście do szopy mieszkańca przedmieścia. Tyle tylko, że zielona farba na niej złuszczyła się i wyblakła, a zamontowane pośrodku drzwi bez okienek stały uchylone. Po ich bokach rozwieszono ostrzeżenia. Zabezpieczająca je folia z czasem zmatowiała, ale nadal były czytelne: „Kategoryczny zakaz wstępu” po lewej stronie, „Przeznaczone do rozbiórki na mocy decyzji Rady Miasta Marysville” po prawej.

Ruszył naprzód z glockiem gotowym do strzału. Dał Holly znak, żeby stanęła pod skałą z boku ścieżki, po czym otworzył drzwi na oścież, uginając kolana i wyciągając pistolet przed siebie. Zobaczył krótki przedsionek, pusty, nie licząc rozrzuconych desek zerwanych z dwumetrowej szczeliny prowadzącej w ciemność. Najeżone drzazgami końcówki wciąż były przytwierdzone do skały tymi wielkimi śrubami, zardzewiałymi ze starości.

– Ralph, zobacz. To ciekawe.

Holly trzymała drzwi i, pochylona, oglądała zamek, dość skutecznie zdemolowany. Nie wyglądało to na robotę łomu ani łyżki do opon; raczej jakby ktoś walił w niego kamieniem do skutku.

– Co?

– Jest jednostronny, widzisz? Zamykał się tylko dla tych, którzy byli na zewnątrz. Ktoś miał nadzieję, że bliźnięta Jamieson albo członkowie pierwszej ekipy ratowniczej jeszcze żyją. Chciał, żeby w razie gdyby tu dotarli, mogli się wydostać.

– Ale nikt tu nie dotarł.

– Nie. – Podeszła do szczeliny w skale. – Czujesz ten zapach?

Tak, czuł go i wiedział, że stoją u wejścia do innego świata. To był zapach stęchłej wilgoci, ale coś jeszcze – słodki fetor gnijącego mięsa. Słaby, ale wyczuwalny. Pomyślał o kantalupie i wijących się w niej robalach.

Weszli w ciemność. Ralph był wysoki, ale szczelina była na tyle duża, że nie musiał schylić głowy. Holly włączyła latarkę; najpierw poświeciła do przodu, ukazując opadający skalny korytarz, a potem skierowała promień pod ich nogi. Zobaczyli świecące kropelki prowadzące w mrok. Taktownie nie zwróciła uwagi, że to ta sama substancja, którą jej prowizoryczna lampka światła czarnego wychwyciła w salonie Ralpha.

Tylko przez pierwsze dwadzieścia metrów mogli iść obok siebie; dalej korytarz się zwężał. Holly oddała latarkę Ralphowi. Niósł ją w lewej dłoni, a pistolet w prawej. Ściany skrzyły się widmowo żyłkami minerałów, czerwonymi, lawendowymi, zielonożółtymi. Od czasu do czasu świecił w górę, po to tylko, żeby się upewnić, że nie czyha tam *El Cuco*, skradający się po poszarpanym stropie wśród kikutów stalaktytów. Powietrze nie było zimne – gdzieś czytał, że temperatura w jaskiniach jest zbliżona do średniej temperatury regionu, w którym leżą – ale w porównaniu z upałem na zewnątrz wydawało się chłodne, tym bardziej że oboje wciąż oblewał pot wywołany strachem. Z głębi korytarza nadciągał lekki podmuch, owiewający ich twarze i niosący słaby odór zgnilizny.

Ralph stanął w pół kroku i podskoczył, kiedy Holly na niego wpadła.

– Co? – szepnęła.

Zamiast odpowiedzieć, poświecił na szczelinę w skale po ich lewej stronie. Obok niej widniały dwa słowa wypisane sprayem: „Sprawdzone” i „Nic”.

Szli dalej, pomału, krok po kroku. Ralph nie wiedział, co czuje Holly, ale jego samego ogarniał narastający lęk, coraz silniejsze przekonanie, że nigdy więcej nie zobaczy żony ani syna. Ani światła dziennego. Niesamowite, jak szybko można zatęsknić za światłem

dziennym. Czuł, że jeśli się stąd wydostaną, będzie je chłonął jak spragniony wodę.

– Okropnie tu, co? – szepnęła Holly.

– Tak. Powinnaś zawrócić.

W odpowiedzi tylko lekko pchnęła go w plecy.

Minęli kilka następnych otworów w ścianach opadającego korytarza – wszystkie oznaczone tymi samymi dwoma słowami. Jak dawno temu zostały wymalowane? Jeśli Claude Bolton był wtedy nastolatkiem, od tego czasu musiało upłynąć co najmniej piętnaście, może dwadzieścia lat. I kto jeszcze w tym okresie tu wchodził – oprócz outsidera? Czy w ogóle ktokolwiek? A jeśli tak, po co? Holly miała rację, to było okropne miejsce. Z każdym kolejnym krokiem Ralph coraz bardziej czuł się jak grzebany żywcem. Zmusił się, żeby przypomnieć sobie polanę w Figgis Park. I Franka Petersona. I sterczącą gałąź pokrytą krwawymi odciskami palców w miejscu, gdzie zdarła się kora. I Terry'ego Maitlanda pytającego, jak Ralph oczyści swoje sumienie. Pytającego o to na chwilę przed śmiercią.

Szedł dalej.

Korytarz nagle zwęził się jeszcze bardziej, nie dlatego, że ściany były bliżej, tylko ponieważ po bokach leżały sterty kamieni. Ralph poświecił latarką w górę i zobaczył głęboki otwór w skalnym stropie. Skojarzył mu się z wyrwą po usuniętym zębie.

– Holly… to tu zarwał się strop. Druga ekipa ratownicza pewnie wyniosła największe odłamki. Te… – Omiótł światłem latarki stosy kamieni, wychwytując kolejne dwie widmowo świecące plamki.

– Tymi nie zawracali sobie głowy – dokończyła za niego. – Tylko zgarnęli je na boki.

– Tak.

Ruszyli dalej, powoli i ostrożnie. Ralph, dość szeroki w barach, musiał się obrócić bokiem. Podał Holly latarkę i uniósł dłoń z pistoletem do swojego policzka.

– Świeć mi pod pachą. Skieruj promień do przodu. Żeby uniknąć niespodzianek.

– Do-dobrze.

– Zimno ci?

– Tak. Lepiej bądź cicho. On może nas usłyszeć.

– No to co? I tak wie, że tu jesteśmy. Naprawdę uważasz, że kula go zabije? Bo…

– Stój, Ralph! Stój, bo w to wdepniesz!

Zamarł. Serce zabiło mu mocniej. Holly poświeciła latarką na ziemię przed jego nogami. Na ostatniej stercie odłamków skalnych przed miejscem, gdzie korytarz znów się rozszerzał, leżało martwe zwierzę – pies albo kojot. Raczej kojot, ale nie sposób było tego stwierdzić na pewno, bo truchło nie miało głowy. Jego brzuch został rozpruty i wypatroszony.

– Stąd ten smród – powiedziała Holly.

Ralph ostrożnie przestąpił nad ciałem. Trzy metry dalej znów się zatrzymał. To rzeczywiście był kojot; tutaj leżała jego głowa. Zdawała się patrzeć na nich z przerysowanym zaskoczeniem. Początkowo nie mógł zrozumieć dlaczego.

Holly była nieco bardziej spostrzegawcza.

– Nie ma oczu. Zjedzenie wnętrzności mu nie wystarczyło. Wygryzł oczy temu biednemu stworzeniu. Uuch…

– Czyli outsider nie żywi się tylko ludzkim mięsem i krwią. – Ralph zrobił pauzę. – I smutkiem.

Holly odpowiedziała cicho:

– Dzięki nam… to znaczy głównie dzięki tobie i porucznikowi Sablo… jest bardzo aktywny w okresie, w którym normalnie zapadłby w hibernację. I nie ma dostępu do swojego ulubionego pokarmu. Musi być strasznie głodny.

– I słaby. Mówiłaś, że na pewno jest osłabiony.

– Miejmy nadzieję. Koszmarnie tutaj. Naprawdę. Nie znoszę zamkniętych przestrzeni.

– Zawsze możesz…

Znowu lekko trzepnęła go w plecy.

– Idź dalej. I uważaj, gdzie stawiasz nogi.

20

Szlak słabo jarzących się kropelek wiódł dalej w głąb jaskini. Ralph uznał, że są czymś w rodzaju potu tej istoty. Wywołanego strachem, jak ich własny pot? Oby. Miał nadzieję, że skurwiel, idąc tędy, był przerażony i że przerażony jest nadal.

Mijali kolejne szczeliny, ale już bez napisów z boku; wyglądały raczej jak pęknięcia, tak wąskie, że nawet dziecko by się nie przecisnęło. Ani w jedną, ani w drugą stronę. Holly znów mogła iść obok niego, choć było dość ciasno. Z oddali dobiegał odgłos kapiącej wody i Ralph w pewnej chwili poczuł kolejny powiew, tym razem na lewym policzku. Jakby pieściły go widmowe palce. Dobywał się z jednej z tych szczelin, wytwarzając pusty, prawie szklisty jęk, niby dźwięk dmuchnięcia w szyjkę butelki piwa. Okropne miejsce, to prawda. Aż ciężko uwierzyć, że ludzie płacili za możliwość zwiedzania tej kamiennej krypty. No, ale oczywiście oni nie wiedzieli tego, co wiedział on – i w co teraz już wierzył. Niesamowite, jak łatwo, będąc w trzewiach ziemi, uwierzyć w coś, co przedtem wydawało się nie tylko niemożliwe, ale wręcz śmiechu warte.

– Ostrożnie – powiedziała Holly. – Są następne.

Tym razem były to dwa rozszarpane goffery. Za nimi leżały szczątki grzechotnika; zostały z niego tylko strzępy skóry.

Przeszli kawałek dalej i znaleźli się na szczycie stromej pochyłości o nawierzchni gładkiej jak parkiet do tańca. Ralph uznał, że pewnie utworzyła ją prastara podziemna rzeka, która płynęła tędy w czasach dinozaurów i wyschła jeszcze przed pierwszym przyjściem Jezusa. Po jednej stronie była stalowa poręcz, upstrzona różyczkami rdzy. Holly omiotła ją światłem latarki i zobaczyli nie tylko pojedyncze świetliste

plamki, ale też odciski dłoni i palców. Odciski, które na pewno okazałyby się zgodne z odciskami Claude'a Boltona – Ralph nie miał co do tego wątpliwości.

– Sukinsyn był ostrożny, co? Nie chciał się wyłożyć.

Holly kiwnęła głową.

– Myślę, że to jest korytarz, który Lovie nazwała Czarcią Zjeżdżalnią. Uważaj, gdzie stawiasz…

Gdzieś za nimi, w dole, rozległ się krótki ryk skał, a tuż po nim ledwo słyszalne łupnięcie, od którego ziemia zadrżała pod ich nogami. To przypomniało Ralphowi, że nawet twardy lód może się czasem przemieszczać. Holly patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

– Chyba wszystko w porządku. Ta stara jaskinia od dawna tak ze sobą rozmawia.

– Tak, ale idę o zakład, że rozmowa stała się bardziej ożywiona po trzęsieniu ziemi, o którym mówiła Lovie. Tym w dwa tysiące siódmym.

– Zawsze możesz…

– Więcej tego nie powtarzaj. Muszę to doprowadzić do końca.

Pewnie miała rację.

Zeszli po pochyłości, trzymając się poręczy, ale uważając, żeby nie dotknąć śladów dłoni tego, kto schodził tędy przed nimi. Na dole była tabliczka: „Witamy w Czarciej Zjeżdżalni. Zachować ostrożność. Korzystać z poręczy".

Za Czarcią Zjeżdżalnią korytarz rozszerzył się jeszcze bardziej. Zobaczyli kolejne łukowe wejście, ale część drewnianej okładziny odpadła, odsłaniając to, co zostawiła tu natura: poszarpany, ziejący otwór.

Holly otoczyła usta dłońmi i zawołała cicho:

– Halo?

Jej głos wrócił do nich serią nakładających się na siebie ech: Halo… alo… alo…

– Tak myślałam. To Komora Dźwięków. Ta duża, która według Lovie…

– Cześć.

Cześć… eść… eść…

Jedno ciche słowo, a sprawiło, że Ralph zamarł w połowie oddechu. Poczuł, że Holly ścisnęła jego przedramię.

– Skoro już tu jesteście…

Tu… u… jesteście… esteście… eście…

– …i zadaliście sobie tyle trudu, żeby mnie znaleźć, może wejdziecie?

21

Przeszli pod łukiem; Holly trzymała Ralpha za ramię jak stremowana panna młoda. Ona niosła latarkę, on glocka, którego zamierzał użyć, kiedy tylko zobaczy cel. Jeden strzał. Tyle tylko, że celu nie było, przynajmniej nie w pierwszej chwili.

Po drugiej stronie łuku znajdował się kamienny występ, tworzący coś w rodzaju balkonu dwadzieścia metrów nad dnem głównej pieczary. Metalowe schody opadały z niego spiralą. Holly zerknęła w górę i zakręciło się jej w głowie. Schody pięły się co najmniej sześćdziesiąt metrów wyżej, obok otworu w ścianie – pewnie głównego wejścia – do obwieszonego stalaktytami stropu. Uświadomiła sobie, że urwisko jest puste w środku, jak atrapa tortu w witrynie cukierni. Stopnie prowadzące w dół były w przyzwoitym stanie. Część spirali schodów w górze zerwała się ze śrub wielkości pięści, na których się trzymała, i teraz wisiała chwiejnie nad przepaścią.

Na dole, w świetle zwykłej stojącej lampy – takiej, jaką można zobaczyć w każdym względnie dobrze umeblowanym salonie – czekał outsider. Wijący się przewód łączył lampę z cicho buczącą czerwoną skrzynką z napisem „Honda”. Na skraju kręgu światła stało łóżko polowe ze zmiętym kocem na jednym końcu.

Podczas służby w policji Ralph schwytał wielu zbiegów. Istota, za którą tu przyjechali, mogłaby być każdym z nich: zapadnięte oczy, za chuda, mocno zużyta. Outsider miał na sobie dżinsy, kamizelkę z niewyprawionej skóry nałożoną na brudną białą koszulę i zdarte kowbojki. Na pierwszy rzut oka był nieuzbrojony. Z dołu patrzyła na nich twarz Claude’a Boltona: czarne włosy, wydatne kości policzkowe

po odległym indiańskim przodku, kozia bródka. Z miejsca, w którym stał, Ralph nie widział tatuaży na jego palcach, ale wiedział, że tam są.

Człowiek z Tatuażami, tak nazwał go Hoskins.

– Jeśli naprawdę chcecie ze mną porozmawiać, będziecie musieli zaryzykować i zejść po schodach. Mój ciężar utrzymały, ale jeśli mam być szczery, nie są zbyt pewne. – Jego słowa, choć wypowiadane tonem swobodnej rozmowy, nakładały się na siebie, podwajały i potrajały, jakby był tam nie jeden, ale wielu outsiderów, cała ich banda skryta w cieniach i szczelinach, których nie sięgało światło samotnej lampy.

Holly ruszyła do schodów, ale Ralph ją zatrzymał.

– Pójdę pierwszy.

– Lepiej ja. Jestem lżejsza.

– Pójdę pierwszy – powtórzył. – Kiedy będę na samym dole… o ile tam dotrę… pójdziesz za mną. – Mówił cicho, ale domyślał się, że dzięki akustyce jaskini outsider słyszał każde słowo. Przynajmniej taką miał nadzieję. – Ale nie schodź poniżej, powiedzmy, dwunastego stopnia, licząc od dołu. Muszę z nim porozmawiać.

Mówiąc, patrzył na nią twardym wzrokiem. Zerknęła na glocka, a Ralph prawie niezauważalnie skinął głową. Nie, nie będzie rozmowy, żadnej długiej serii pytań i odpowiedzi. Czas na negocjacje minął. Jeden strzał w głowę, a potem wyjdą. Oczywiście o ile strop się na nich nie zwali.

– Dobrze – powiedziała. – Bądź ostrożny.

Na to akurat nie miał wpływu – stare spiralne schody wytrzymają albo nie – ale schodząc, siłą woli próbował ująć sobie kilogramów. Stopnie skrzypiały, jęczały i drżały.

– Na razie nieźle – powiedział outsider. – Trzymaj się blisko ściany, tam chyba jest najbezpieczniej.

Pieczniej… eczniej… eczniej…

W końcu Ralph dotarł na dół. Outsider stał nieruchomo w pobliżu lampy, stwarzającej dziwnie domową atmosferę. Czy kupił ją – razem z generatorem i łóżkiem polowym – w Home Depot w Tippit? Całkiem możliwe. Była to chyba najpopularniejsza placówka tego rodzaju w tym opuszczonym zakątku Teksasu. Nie żeby to miało

jakieś znaczenie. Za jego plecami schody znów zaczęły stękać i jęczeć – to Holly ruszyła w dół.

Teraz, kiedy stał z nim na równi, Ralph przyjrzał się outsiderowi z niemal naukowym zaciekawieniem. Wyglądał jak człowiek, a mimo to osobliwie trudno było objąć go wzrokiem. To było trochę tak, jakby patrzeć na zdjęcie, robiąc lekkiego zeza. Wiesz, co widzisz, ale wszystko jest krzywe i trochę nieostre. Miał rysy Claude'a Boltona, ale podbródek był nie taki, jak trzeba, nie zaokrąglony, tylko kwadratowy, z małym dołkiem. Linia żuchwy, dłuższa po prawej stronie niż po lewej, nadawała całej twarzy nieforemny, niemal groteskowy wygląd. Włosy były Claude'a – czarne i błyszczące jak skrzydło kruka, ale przetykały je jaśniejsze, rudawobrązowe pasemka. Uwagę jednak najbardziej przykuwały oczy. Jedno było brązowe, koloru oczu Claude'a, drugie niebieskie.

Ralph poznał ten dołek w brodzie, wydłużoną szczękę, rudobrązowe włosy. I niebieskie oko – je przede wszystkim. Widział, jak zgasło w nim światło, kiedy Terry Maitland umarł na ulicy w upalny lipcowy poranek całkiem niedawno.

– Jesteś jeszcze w trakcie przemiany, co? Projekcja, którą widziała moja żona, może i była łudząco podobna do Claude'a, ale twoje prawdziwe „ja" tak daleko nie zaszło. Mam rację? Jeszcze trochę ci brakuje.

Chciał, żeby to były ostatnie słowa, jakie usłyszy outsider. Schody przestały wydawać jęki sprzeciwu, co znaczyło, że Holly stała już dość wysoko, że była bezpieczna. Ralph podniósł glocka i objął prawy nadgarstek lewą dłonią.

Outsider rozkrzyżował ramiona, jakby wystawiał się na strzał.

– Chcesz, to mnie zabij, detektywie, ale wtedy zabijesz też siebie i swoją przyjaciółkę. Nie mam dostępu do twoich myśli, znam tylko myśli Claude'a, ale mimo to mogę zgadnąć, co ci chodzi po głowie: że jeden strzał to dopuszczalne ryzyko. Trafiłem?

Ralph nie odpowiedział.

– Jestem pewien, że tak, i muszę ci powiedzieć, że to byłoby wielkie ryzyko. – Podniósł głos i ryknął: – Nazywam się Claude Bolton!

Echo wydawało się jeszcze głośniejsze od jego ryku. Holly krzyknęła z zaskoczenia, kiedy kawałek stalaktytu, może już wcześniej pęknięty, oberwał się ze stropu i runął niczym kamienny sztylet. Nie zagroził żadnemu z nich, wylądował daleko poza kręgiem słabego światła lampy, ale Ralph zrozumiał, co to oznacza.

– Skoro zdobyliście dość informacji, żeby mnie znaleźć, pewnie już to wiecie. – Outsider opuścił ramiona. – Ale jeśli nie, muszę was przestrzec, że dwaj chłopcy zaginęli w jaskiniach i korytarzach położonych pod tą grotą, a kiedy ekipa ratownicza próbowała ich znaleźć…

– Ktoś strzelił z pistoletu i zerwał się kawał stropu – dokończyła Holly ze schodów. – Tak, wiemy.

– To się stało w korytarzu Czarcia Zjeżdżalnia, gdzie huk wystrzału był stłumiony. – Uśmiechnął się. – Kto wie, co się wydarzy, jeśli detektyw Anderson strzeli tutaj? Na pewno spadnie kilka większych stalaktytów. Owszem, może ich unikniecie. Jeśli nie, przygniotą was. Do tego dochodzi zagrożenie, że zawali się na nas cały szczyt urwiska. I co, detektywie, warto zaryzykować? Jestem pewien, że schodząc tu, byłeś przekonany, że tak, ale z góry uprzedzam: szanse powodzenia są marne.

Schody skrzypnęły – znak, że Holly zeszła stopień niżej. Albo dwa.

Trzymaj się z dala, pomyślał Ralph, ale nijak nie mógł jej do tego zmusić. Kobieta miała swój rozum.

– Wiemy też, dlaczego tu jesteś – powiedziała. – Bo są tu wujek i kuzyni Claude'a. Pod ziemią.

– To prawda. – Ten człowiek, ta istota teraz już uśmiechała się szerzej. Złoty ząb w tym uśmiechu był Claude'a, podobnie jak litery na palcach. – Wraz z wieloma innymi, w tym dwójką dzieci, które mieli nadzieję uratować. Wyczuwam ich. Niektórzy są blisko. Roger Bolton i jego synowie leżą tam, niecałe sześć metrów pod Brzuchem Węża. – Pokazał palcem. – Ich czuję najmocniej, nie tylko dzięki temu, że są blisko, ale i dlatego, że krew w moich żyłach staje się ich krwią.

– Chociaż do jedzenia, jak sądzę, się nie nadają. – Ralph patrzył na łóżko polowe. Na kamiennym podłożu przy nim, obok styropianowej

lodówki turystycznej, leżała kolejna ledwo widoczna kupka skóry i kości.

– Nie, oczywiście, że nie. – Outsider spojrzał na niego ze zniecierpliwieniem. – Ale ich szczątki wydzielają pewien blask. Swoisty… nie wiem, jak to ująć, normalnie nie rozmawiam o tych sprawach… swoistą emanację. Wydzielają ją nawet ci głupi chłopcy, choć w ich przypadku jest słaba. Leżą bardzo głęboko. Można rzec, że zginęli, penetrując niezbadane rejony Jamy Marysville. – Uśmiech powrócił na jego usta, obnażając nie tylko złoty ząb, ale i prawie wszystkie pozostałe. Ralph był ciekaw, czy tak samo się uśmiechał, kiedy zabijał Franka Petersona, jadł jego ciało, sycił się krwią i cierpieniem umierającego dziecka.

– Jakby blask lampki nocnej? – spytała Holly. W jej głosie brzmiała autentyczna ciekawość. Schody jęknęły, kiedy zeszła stopień, dwa niżej. Ralph pragnął, by ruszyła w przeciwnym kierunku: do góry, na zewnątrz, z powrotem na gorące teksaskie słońce.

Outsider tylko wzruszył ramionami.

Zawróć, polecił jej w duchu Ralph. Zawróć, wyjdź stąd. Kiedy będę pewien, że miałaś dość czasu, żeby się wydostać tylnym wyjściem, strzelę. Nawet jeśli przez to moja żona zostanie wdową, a syn straci ojca. Jestem to winien Terry'emu i wszystkim, którzy byli przed nim.

– Lampki nocnej – powtórzyła, schodząc stopień niżej. – Wiesz, takiej, którą zapalasz dla dodania sobie otuchy. Miałam taką w dzieciństwie.

Outsider patrzył na nią nad ramieniem Ralpha. Stał odwrócony plecami do lampy, z twarzą w cieniu i dziwnym blaskiem w tych różnobarwnych oczach. Tyle że to nie całkiem było tak. Ten blask nie był wewnątrz nich, lecz z nich wypływał, i teraz Ralph zrozumiał, dlaczego Grace Maitland powiedziała, że istota, którą widziała, miała słomki zamiast oczu.

– Otuchy? – Jakby się zadumał nad tym słowem. – Tak, można tak powiedzieć, choć nigdy nie myślałem o tym w ten sposób. Chodzi też jednak o informacje. Chociaż martwi, są pełni, że tak powiem, boltonowości.

– Masz na myśli wspomnienia? – Kolejny krok w dół. Ralph zdjął lewą rękę z prawego nadgarstka i dał Holly znak, żeby się cofnęła,

wiedział jednak, że nie odpuści.

– Nie, nie to. – Outsider znów zrobił zniecierpliwioną minę, ale w jego twarzy było coś jeszcze. Pewna gorliwość, którą Ralph znał z licznych pokojów przesłuchań. Nie każdy podejrzany chciał mówić, ale większość owszem, bo za długo byli zamknięci w samotni swoich myśli. A ta istota musiała być sama ze swoimi myślami od bardzo dawna. Sama, koniec i kropka. Wystarczyło na nią spojrzeć, żeby to poznać.

– Co w takim razie? – Holly wciąż była w tym samym miejscu. Dobre i to, pomyślał Ralph.

– Spuścizna krwi. Zawiera się w tym coś, co wykracza poza wspomnienia czy fizyczne podobieństwa przekazywane z pokolenia na pokolenie. Pewien sposób bycia. Sposób postrzegania. Nie jest to pożywienie, ale daje siłę. Ich dusze, ich ka, odeszły, ale coś zostało, nawet w martwych mózgach i ciałach.

– Rodzaj DNA – powiedziała. – Może plemiennego, może rasowego.

– Niech będzie. – Zrobił krok w stronę Ralpha, wyciągając przed siebie dłoń z „Musi" wytatuowanym na palcach. – To tak jak z tymi tatuażami. Nie są żywe, ale zawierają pewne info…

– Stój! – krzyknęła Holly.

Chryste, jest bliżej, niż mi się wydawało, pomyślał Ralph. Jak to możliwe, że nie usłyszałem, kiedy podeszła?

Zwielokrotniony echem okrzyk poniósł się po komorze, wypełnił ją i znów coś spadło. Tym razem nie stalaktyt, tylko kawał skały oderwany od jednej z szorstkich ścian.

– Nie rób tak – przestrzegł outsider. – Nie podnoś głosu, jeśli nie chcesz, żeby cały ten majdan zwalił się nam na głowy.

Kiedy Holly znów przemówiła, jej głos był cichszy, ale wciąż przejęty:

– Ralph, pamiętaj, co zrobił detektywowi Hoskinsowi. Jego dotyk jest trujący.

– Tylko kiedy jestem w tym przejściowym stadium – powiedział outsider łagodnym tonem. – To coś w rodzaju naturalnego mechanizmu obronnego i rzadko skutkuje śmiercią. Bardziej jak jad sumaka niż jakieś promieniowanie. Oczywiście detektyw Hoskins

był… powiedzmy, podatny. I jak już kogoś dotknę, często, nie zawsze, ale często, mogę wniknąć w jego myśli. Albo myśli jego najbliższych. Jak to zrobiłem wobec rodziny Franka Petersona. Tylko trochę, żeby popchnąć ich w kierunku, w którym i bez tego zmierzali.

– Radzę, żebyś został tam, gdzie jesteś – powiedział Ralph.

Outsider uniósł pokryte tatuażami dłonie.

– Ależ oczywiście. Jak już mówiłem, to ty masz broń. Ale nie mogę pozwolić wam odejść. Widzicie, jestem zbyt zmęczony na kolejną przeprowadzkę. Musiałem tu przyjechać zdecydowanie za wcześnie, musiałem też zrobić zakupy, co kosztowało mnie jeszcze więcej sił. Wygląda więc na to, że jesteśmy w impasie.

– Sam jesteś sobie winien – zauważył Ralph. – Chyba to rozumiesz, prawda?

Outsider spojrzał na niego w milczeniu. W jego twarzy wciąż można było dostrzec zanikające resztki rysów Terry'ego Maitlanda.

– Heath Holmes, w porządku – ciągnął Anderson. – Ci, którzy byli przed Holmesem, też. Ale Maitland to był błąd.

– Może i racja. – Istota wydawała się zdumiona, ale wciąż zadowolona z siebie. – Z drugiej strony powiodło mi się z wieloma innymi, którzy mieli mocne alibi i nieskazitelną reputację. Alibi i reputacja nic nie znaczą wobec dowodów i zeznań świadków. Ludzie są ślepi na wytłumaczenia niezgodne z ich obrazem rzeczywistości. Nie powinniście byli mnie szukać. Nie powinniście byli nawet mnie wyczuć bez względu na to, jak mocne miał alibi. A jednak wam się udało. Czy to dlatego, że przyszedłem przed sąd?

Ralph nic nie powiedział. Holly zeszła z ostatniego stopnia i stała już u jego boku.

Outsider westchnął.

– To był błąd, powinienem był poważniej wziąć pod uwagę obecność kamer telewizyjnych, ale wciąż byłem głodny. Mimo wszystko nie musiałem się tam pokazywać. Ot, łakomstwo.

– I nadmierna pewność siebie, skoro już o tym mowa – odezwał się Ralph. – A nadmiar pewności siebie rodzi nieostrożność. Gliny często to widzą.

– Cóż, może i tak. Ale myślę, że nawet tamto mogło mi ujść na sucho. – Outsider patrzył w zadumie na bladą, siwowłosą kobietę

obok Ralpha. – To tobie zawdzięczam, że teraz jestem w takiej sytuacji, prawda? Holly. Claude mówi, że na imię masz Holly. Co sprawiło, że uwierzyłaś? Jak ci się udało przekonać grupę nowoczesnych mężczyzn, którzy pewnie nie wierzą w nic, co leży poza zasięgiem ich pięciu zmysłów, żeby tu przyjechali? Czy gdzieś już widziałaś kogoś takiego jak ja? – Nie sposób było nie usłyszeć żarliwości w jego głosie.

– Nie przyszliśmy tu odpowiadać na twoje pytania – powiedziała Holly. Jedną dłoń trzymała w kieszeni wymiętego żakietu. W drugiej miała latarkę ultrafioletową, w tej chwili wyłączoną; wnętrze komory oświetlała tylko stojąca lampa. – Przyszliśmy cię zabić.

– Nie bardzo wiem, jak masz zamiar to zrobić… Holly. Twój przyjaciel może zaryzykowałby i strzelił ze swojego pistoletu, gdybyśmy byli tu sami, ale raczej nie chce narażać twojego życia. I choć jedno z was, lub oboje, może spróbować zaatakować mnie fizycznie, sądzę, że przekonalibyście się, iż jestem nie tylko zaskakująco silny, ale i nieco jadowity. Pomimo osłabienia.

– Na razie mamy impas – stwierdził Ralph – ale niebawem to się zmieni. Hoskins zranił porucznika policji stanowej Yunela Sablo, ale go nie zabił. Sablo na pewno już to zgłosił.

– Nie stąd, przykro mi. Żeby złapać zasięg, musiałby pojechać dziewięć kilometrów na wschód albo dwadzieścia na zachód. Myślisz, że tego nie sprawdziłem?

Ralph miał jednak jeszcze jednego asa w zanadrzu:

– Hoskins wysadził też w powietrze samochód, którym przyjechaliśmy. Bucha z niego dym. Dużo dymu.

Po raz pierwszy zobaczył autentyczny niepokój na twarzy outsidera.

– To zmienia postać rzeczy. Muszę uciekać. W moim obecnym stanie będzie to trudne i bolesne. Jeśli chciałeś mnie rozzłościć, detektywie, osiągnąłeś swój…

– Pytałeś, czy już kiedyś widziałam kogoś takiego jak ty – przerwała mu Holly. – Ja nie, nie całkiem, ale Ralph owszem, jestem tego pewna. Bo choć umiesz zmieniać swoją postać i wysysać cudze wspomnienia, choć masz te twoje świecące oczy, i tak jesteś tylko zwyczajnym sadystą seksualnym i pospolitym pedofilem.

Outsider cofnął się, jakby go uderzyła. Przez chwilę zapomniał o płonącym SUV-ie wysyłającym sygnały dymne z opuszczonego parkingu.

– To obraźliwe, absurdalne i niezgodne z prawdą. Jem, żeby żyć, to wszystko. Wy robicie to samo, kiedy zarzynacie świnie i krowy. Tym właśnie dla mnie jesteście: bydłem.

– Kłamiesz. – Holly zrobiła krok do przodu; kiedy Ralph spróbował chwycić ją za ramię, odtrąciła go. Róże rumieńców rozkwitły na jej bladych policzkach. – Twoja umiejętność upodobnienia się do kogoś, kim nie jesteś… czegoś, czym nie jesteś… pozwala ci zdobywać zaufanie. Mogłeś zabrać każdego z przyjaciół pana Maitlanda. Mogłeś zabrać jego żonę. Ale zabrałeś dziecko. Zawsze zabierasz dzieci.

– Są najmocniejszym, najsłodszym pokarmem! Nigdy nie jadłaś cielęciny? Wątróbki cielęcej?

– Ty nie tylko je jesz, ale na nie ejakulujesz. – Jej usta wykrzywiły się w grymasie obrzydzenia. – Spuszczasz się na ich ciała. Uuch!

– Żeby zostawić DNA! – krzyknął.

– Są inne sposoby! – odkrzyknęła i z kruchego jak skorupka jaja stropu nad ich głowami znów coś spadło. – Ale nie wsadzasz ofiarom swojego interesu, prawda? To dlatego, że jesteś impotentem? – Podniosła palec, po czym powoli go zgięła. – Dlatego, dlatego, dlatego?

– Zamknij się!

– Zabierasz dzieci, bo jesteś pedofilem, który nie może nawet zrobić tego swoim penisem, musisz się posługiwać…

Rzucił się ku niej z twarzą wykrzywioną nienawiścią, która nie miała w sobie nic z Claude'a Boltona ani Terry'ego Maitlanda; to było coś samoistnego, grymas mroczny i okropny jak otchłań, w której bliźnięta Jamieson ostatecznie dokonały żywota. Ralph podniósł pistolet, ale Holly stanęła na jego linii ognia, zanim mógł nacisnąć spust.

– Nie strzelaj, Ralph, nie strzelaj!

Znowu coś spadło, tym razem coś dużego, roztrzaskując łóżko polowe i lodówkę turystyczną outsidera, rozsypując po gładkim podłożu skrzące się minerałami odłamki.

Holly wyjęła jakiś przedmiot z kieszeni po tej stronie żakietu, która zawsze opadała niżej. Był długi, biały, rozciągnięty, jakby zawierał coś ciężkiego. Jednocześnie włączyła latarkę ultrafioletową i poświeciła outsiderowi w twarz. Skrzywił się, warknął i odwrócił wzrok, wciąż wyciągając do niej dłonie z tatuażami Claude'a Boltona. Holly zarzuciła białą rzecz nad swoimi małymi piersiami na przeciwległe ramię i uderzyła z całej siły. Obciążony koniec trafił w skroń outsidera, tuż pod linią włosów.

To, co Ralph zobaczył potem, miało nawiedzać go w koszmarach przez wiele następnych lat. Lewa strona głowy outsidera zapadła się, jakby była z papier mâché, nie z kości. Brązowe oko wyszło na wierzch. Istota upadła na kolana, a jej twarz jakby zaczęła się rozpuszczać. Na oczach Ralpha w raptem kilka sekund przebiegła po niej setka różnych rysów, na przemian pojawiających się i znikających: wysokie i niskie czoła, brwi krzaczaste i tak jasne, że ledwo było je widać, głęboko osadzone i wyłupiaste oczy, szerokie i cienkie wargi. Przednie zęby wystawały, potem znikały; podbródki wysuwały się naprzód i cofały. A jednak ostatnia twarz, ta, która trwała najdłużej, prawie na pewno prawdziwe oblicze outsidera, była zupełnie nijaka. To była twarz człowieka mijanego na ulicy, jaką zapomina się natychmiast po zobaczeniu.

Holly zamachnęła się znowu – tym razem trafiła w kość policzkową; nijaka twarz wgniotła się, przybierając kształt makabrycznego półksiężyca. Wyglądała jak ilustracja z chorej książki dla dzieci.

Koniec końców jest niczym, pomyślał Ralph. Nikim. To, co wyglądało jak Claude, jak Terry, jak Heath Holmes… jest niczym. Sztuczną fasadą. Dekoracją sceniczną.

Czerwonawe, podobne do glist robaki wysypały się z dziury w głowie outsidera, z jego nosa, z ciasnego otworu w kształcie łzy, w który zmieniły się jego rozedrgane usta, spadały na kamienne podłoże Komory Dźwięków wijącym się strumieniem. Ciało Claude'a Boltona najpierw drżało, potem rzucało się w konwulsjach, wreszcie zaczęło się kurczyć pod ubraniem.

Holly upuściła latarkę i wzniosła białą rzecz nad głowę (to skarpeta, zauważył Ralph, męska, długa, biała sportowa skarpeta), teraz

trzymając ją obiema rękami. Zadała ostatni cios – w czubek głowy istoty. Twarz rozłupała się na pół jak przegniła tykwa. Spod niej, zamiast mózgu, wyłoniło się kłębowisko glist, nieuchronnie przypominających Ralphowi larwy, które dawno temu znalazł w kantalupie. Część wyleciała na ziemię i popełzła w stronę stóp Holly.

Cofnęła się przed nimi, wpadła na Ralpha i kolana się pod nią ugięły. Złapał ją i podtrzymał. Cała krew odpłynęła jej z twarzy. Łzy ciekły po policzkach.

– Puść skarpetę – powiedział jej na ucho.

Patrzyła na niego w oszołomieniu.

– Kilka tych robali jest na niej.

Kiedy nadal wpatrywała się w niego z nieprzytomnym zdumieniem, spróbował wyrwać skarpetę z jej zaciśniętej pięści. W pierwszej chwili nie dał rady. Ściskała kurczowo. Zaczął odginać jej palce w nadziei, że nie będzie musiał ich połamać, zrobi to jednak, jeśli będzie trzeba. Jeśli inaczej się nie da. Dotyk tych robali byłby znacznie gorszy od poparzenia sumakiem. A gdyby dostały się pod jej skórę…

Jakby wróciła do siebie – przynajmniej trochę – rozchyliła dłoń. Skarpeta upadła, czubek pacnął o kamienne podłoże. Ralph cofnął się przed glistami, które nadal ślepo szukały (a może wcale nie ślepo; zmierzały prosto ku nim dwojgu), i pociągnął Holly za dłoń, wciąż skuloną w rozluźnionym uścisku. Spojrzała w dół, dostrzegła zagrożenie i wciągnęła powietrze.

– Nie krzycz – powiedział do niej. – Nie możemy ryzykować, że znów coś się zerwie. Po prostu idź w górę.

Wciągnął ją na schody. Po pierwszych czterech, pięciu stopniach zaczęła się wspinać samodzielnie, przez cały czas szli jednak tyłem, żeby mieć na oku glisty, wciąż wylewające się z rozłupanej głowy outsidera. I z ust w kształcie łzy.

– Stój – szepnęła. – Stój, spójrz na nie, kręcą się bez ładu i składu. Nie mogą wpełznąć na schody. I zaczynają umierać.

Rzeczywiście, wiły się coraz wolniej, a te tworzące wielki stos obok outsidera leżały nieruchomo. Sam outsider jednak się ruszał; gdzieś w jego wnętrzu ożywiająca go siła wciąż walczyła o życie. Istota

o wyglądzie Boltona rzucała się, wierzgała nogami, wymachiwała ramionami jak semafor. Na oczach Ralpha i Holly jej szyja się skróciła. Resztki głowy wsunęły się pod kołnierz koszuli. Przez chwilę sterczały spod niego czarne włosy Claude'a Boltona, po czym i one zniknęły.

– Co to jest? – szepnęła Holly. – Czym są te… robale?

– Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi – odparł Ralph. – Wiem tylko, że do końca życia nie będziesz musiała płacić za drinki, przynajmniej kiedy będziesz ze mną.

– Prawie nie piję alkoholu. Gryzie się z moimi lekarstwami. Chyba już ci o tym mó… – Raptownie przechyliła się przez poręcz i zwymiotowała. Przytrzymał ją. – Przepraszam – powiedziała.

– Nie ma za co. Chodźmy…

– …stąd w diabły – dokończyła za niego.

22

Dotyk słońca był czystą rozkoszą.

Doszli do tablicy z wodzem Ahigą, kiedy Holly stwierdziła, że kręci się jej w głowie i musi usiąść. Ralph znalazł płaski kamień, na którym było dość miejsca dla nich obojga, i klapnął obok niej. Zerknęła na leżące bez życia ciało Jacka Hoskinsa, pisnęła z rozpaczą i zaczęła płakać. Początkowo był to zduszony, oporny szloch, łkanie kogoś, komu powiedziano, że pod żadnym pozorem nie należy płakać przy drugiej osobie. Ralph objął jej ramiona, które wydawały się żałośnie chude. Wtedy wtuliła twarz w jego koszulę i rozpłakała się na dobre. Musieli wrócić do Yune'a, który mógł być ranny ciężej, niż się wydawało – pod ostrzałem trudno postawić poprawną diagnozę. W najlepszym razie miał złamany łokieć i zwichnięte ramię. Holly jednak potrzebowała przynajmniej trochę czasu – i zasłużyła na niego, bo zrobiła to, do czego on, ważny detektyw, był niezdolny.

Po czterdziestu pięciu sekundach nawałnica przycichła. Po minucie minęła. Holly była opanowana. Silna. Podniosła na Ralpha czerwone, mokre oczy, ale nie był do końca pewien, czy w pierwszej chwili wiedziała, gdzie jest. I kim jest on.

– Więcej tak nie mogę, Bill. Nigdy. Nigdy, przenigdy! I jeśli ten wróci tak jak Brady, zabiję się. Słyszysz mnie?

Potrząsnął nią delikatnie.

– Nie wróci, Holly. Obiecuję.

Zamrugała.

– Ralph. Chciałam powiedzieć „Ralph". Widziałeś, co wyszło z jego… widziałeś te glisty?

– Tak.

– Uuch! Uuuuch! – Wydała dźwięk, jakby miała wymiotować, i zasłoniła dłonią usta.

– Kto cię nauczył, jak zrobić broń ze skarpety? I że im dłuższa skarpeta, tym mocniejszy cios? Bill Hodges?

Kiwnęła głową.

– Czym była wypełniona?

– Kulkami łożyskowymi, tak jak ta Billa. Kupiłam je w dziale części samochodowych Walmarta we Flint City. Bo nie mogę używać broni palnej. Myślałam, że Happy Slappera też nie będę musiała użyć, to był impuls.

– Albo przeczucie. – Uśmiechnął się, choć ledwo był tego świadom; wciąż czuł się odrętwiały i co rusz zerkał w tył, żeby się upewnić, że glisty nie pełzną za nimi, rozpaczliwie szukając nowego żywiciela. – Tak to nazywasz? Happy Slapper?

– Tak nazywał to Bill. Ralph, musimy iść. Yune…

– Wiem. Ale najpierw muszę coś zrobić. Zostań tutaj.

Ralph podszedł do ciała Hoskinsa i zmusił się, żeby przeszukać jego kieszenie. Znalazł kluczyki od pikapa i wrócił do Holly.

– W porządku.

Ruszyli ścieżką w dół. Holly raz się potknęła i ją złapał. Potem to on omal się nie wywrócił, a ona go przytrzymała.

Jak para cholernych kalek, pomyślał. Ale po tym, co zobaczyliśmy…

– Jest jeszcze tyle niewiadomych – powiedziała. – Skąd on się wziął. Czy te robale to objaw choroby, czy może jakaś pozaziemska forma życia. Kim były jego ofiary, nie tylko dzieci, które zabił, ale i ci, których obwiniono o te morderstwa. Musiało ich być wiele. Bardzo wiele. Widziałeś jego twarz na samym końcu? Jak się zmieniała?

– Tak. – Ralph nigdy tego nie zapomni.

– Nie wiemy, jak długo żył. Jak dokonywał projekcji. Czym był.

– Akurat to wiemy. Był *El Cuco*. Aha, i wiemy coś jeszcze: że sukinsyn nie żyje.

23

Zeszli prawie na sam dół, kiedy usłyszeli krótkie sygnały klaksonu. Holly zatrzymała się, przygryzając wargi, które już i tak były mocno pokancerowane.

– Spokojnie – powiedział Ralph. – To pewnie Yune.

Ścieżka stała się szersza i mniej stroma, więc mogli przyspieszyć kroku. Kiedy wyszli zza dawnego magazynu sprzętu, zobaczyli, że trąbiącym rzeczywiście był Yune. Siedział w pikapie Hoskinsa z nogami wystawionymi na zewnątrz i wciskał klakson prawą ręką. Lewa, spuchnięta i zakrwawiona, leżała mu na kolanach jak kłoda.

– Możesz już przestać – powiedział Ralph. – Mamusia i tatuś wrócili. Jak się czujesz?

– Ramię boli jak skurwysyn, ale poza tym wszystko gra. Załatwiliście go? *El Cuco*?

– Tak. Właściwie to Holly go załatwiła. Nie był człowiekiem, ale umarł. Nie zabije już żadnego dziecka.

– Holly go załatwiła? – Yune spojrzał na nią. – Jak?

– Potem o tym porozmawiamy – odparła. – Na razie bardziej się martwię o ciebie. Straciłeś przytomność? Kręci ci się w głowie?

– Trochę się kręciło, kiedy tu szedłem. Zajęło mi to całą wieczność i musiałem parę razy odpocząć. Miałem nadzieję, że spotkam was po drodze. A raczej modliłem się o to. Potem zobaczyłem ten wóz. Musi należeć do tego, kto do nas strzelał. Johna P. Hoskinsa według dowodu rejestracyjnego. To ten Hoskins, o którym myślę?

Ralph kiwnął głową.

– Z policji Flint City. I był, nie jest. On też nie żyje. Zastrzeliłem go.

Yune otworzył oczy szeroko.

– Co, u licha, tu robił?

– Outsider go przysłał. Pojęcia nie mam jak.

– Myślałem, że może zostawił kluczyki, ale nic z tego. A w schowku nie ma żadnych środków przeciwbólowych. Tylko dowód rejestracyjny, dowód ubezpieczenia i jakieś szpargały.

– Kluczyki mam ja – powiedział Ralph. – Były w jego kieszeni.

– A ja mam coś na ból – dorzuciła Holly. Sięgnęła do jednej z obszernych kieszeni swojego sfatygowanego żakietu i wyjęła dużą brązową buteleczkę bez etykiety.

– Co jeszcze tam nosisz? – spytał Ralph. – Kuchenkę turystyczną? Dzbanek kawy? Radiostację krótkofalową?

– Pracuj dalej nad poczuciem humoru, Ralph.

– To nie był żart, tylko wyraz szczerego uznania.

– Które całkowicie podzielam – powiedział Yune.

Holly otworzyła swoją podróżną apteczkę, wysypała na dłoń mieszankę tabletek i ostrożnie postawiła buteleczkę na desce rozdzielczej.

– To zoloft… to paxil… to valium, którego już prawie nie biorę… i jest jeszcze to. – Starannie zgarnęła resztę pigułek do buteleczki, zostawiając dwie pomarańczowe. – Motrin. Biorę to na napięciowy ból głowy. I na bóle stawów skroniowo-żuchwowych, choć już mi tak nie dokuczają, od kiedy zaczęłam używać szyny relaksacyjnej. Mam model hybrydowy. Jest drogi, ale lepszego nie ma na… – Zauważyła, że na nią patrzą. – Co?

– Nic. Po prostu jeszcze większe uznanie, *querida* – powiedział Yune. – Kocham kobiety przygotowane na każdą ewentualność. – Wziął tabletki, połknął je na sucho i zamknął oczy. – Dziękuję ci. Z całego serca. Oby twoja szyna relaksacyjna nigdy cię nie zawiodła.

Popatrzyła na niego z powątpiewaniem i schowała buteleczkę z powrotem do kieszeni.

– W razie czego zostały jeszcze dwa. Słyszałeś może syreny straży pożarnej?

– Nie. Zaczynam myśleć, że nie przyjadą.

– Przyjadą, bez obaw – zapewnił Ralph. – Ale wtedy ciebie już tu nie będzie. Trzeba cię zabrać do szpitala. Plainville jest trochę bliżej

niż Tippit, poza tym po drodze mija się dom Boltonów. Będziecie musieli do nich wpaść. Holly, dasz radę prowadzić, jeśli tu zostanę?

– Tak, ale po co… – Lekko palnęła się w czoło nasadą dłoni. – Pan Gold i pan Pelley.

– Właśnie. Nie mam zamiaru zostawić ich na widoku.

– Zacieranie śladów na miejscu zbrodni raczej nie jest mile widziane – zauważył Yune. – Jak zapewne wiesz.

– Tak, ale nie pozwolę, żeby dwaj porządni ludzie smażyli się w pełnym słońcu obok płonącego samochodu. Masz jakieś obiekcje?

Yune pokręcił głową. Kropelki potu błyszczały w jego obciętych po wojskowemu włosach.

– *Por supuesto no.*

– Podjedziemy na parking, potem Holly przejmie kierownicę. Motrin pomógł, *amigo*?

– O dziwo, tak. Nie jest rewelacyjnie, ale na pewno lepiej.

– To dobrze. Bo przed odjazdem musimy porozmawiać.

– O czym?

Na to pytanie odpowiedziała Holly:

– O tym, jak wytłumaczymy, co tu się stało.

24

Ralph wysiadł na parkingu. Napotkał idącą wokół maski samochodu Holly i tym razem to ona objęła jego. Uścisk był krótki, ale mocny. Wynajęty SUV już się dopalał, dym rzedniał.

Yune – ostrożnie, krzywiąc się i sycząc z bólu – przesiadł się na miejsce obok kierowcy.

– Jesteś pewien, że on nie żyje? – zapytał, kiedy Ralph zajrzał do środka. – Absolutnie pewien?

Ralph wiedział, że nie chodzi mu o Hoskinsa.

– Tak. Może nie rozpuścił się jak Zła Czarownica z Zachodu, ale prawie. Kiedy rozpęta się tu chryja, nie znajdą nic oprócz jego ubrań i ewentualnie mnóstwa martwych glist.

– Glist? – Yune zmarszczył brwi.

– Sądząc z tego, jak szybko umierały, myślę, że błyskawicznie się rozłożą – powiedziała Holly. – Ale na ubraniach zostaną ślady DNA i gdyby je zbadać, pewnie okazałyby się zgodne z DNA Claude'a.

– Albo wyszłoby, że to mieszanka DNA Claude'a i Terry'ego, bo jego przemiana jeszcze się nie skończyła. Zauważyłaś to, prawda?

Holly skinęła głową.

– A taki dowód byłby bezwartościowy. Myślę, że Claude'owi nic nie grozi. – Ralph wyjął z kieszeni telefon komórkowy i wsunął go do zdrowej ręki Yune'a. – Będziesz w stanie zadzwonić do osób, o których mówiłem, kiedy tylko złapiesz zasięg?

– *Claro*.

– I pamiętasz, w jakiej kolejności masz do nich zadzwonić?

Kiedy Yune zaczął wyliczać, usłyszeli słabe wycie syren od strony Tippit. Wyglądało na to, że ktoś jednak wypatrzył dym.

– Prokurator okręgowy Bill Samuels. Potem twoja żona. Następnie komendant Geller. Na koniec kapitan Horace Kinney z teksaskiej policji stanowej. Wszystkie numery są na twojej liście kontaktów. Z Boltonami porozmawiamy osobiście.

– Ja z nimi porozmawiam – powiedziała Holly. – Ty będziesz siedział cicho i oszczędzał rękę.

– Claude i Lovie koniecznie muszą potwierdzić naszą wersję – przypomniał Ralph. – Jedźcie już. Jeśli strażacy was tu zastaną, nie wyrwiecie się stąd.

Holly wyregulowała siedzenie i lusterko, tak jak jej pasowało, po czym odwróciła się do Yune'a i Ralpha, który wciąż zaglądał przez drzwi od strony pasażera. Wydawała się zmęczona, ale nie wyczerpana. Łzy ustały. Na jej twarzy nie widział teraz nic oprócz skupienia i determinacji.

– Wyjaśnienia muszą być proste – zaznaczyła. – Na tyle proste i bliskie prawdy, na ile to możliwe.

– Już coś takiego przechodziłaś – stwierdził Yune. – Albo coś podobnego. Mam rację?

– Tak. I uwierzą nam, nawet jeśli zostawimy ich z pytaniami, na które nigdy nie poznają odpowiedzi. Obaj wiecie dlaczego. Ralph, syreny są coraz bliżej, musimy jechać.

Ralph zamknął drzwi pasażera. Po chwili patrzył za odjeżdżającym pikapem martwego detektywa z Flint City. Spojrzał na wertepy, które Holly będzie musiała pokonać, żeby ominąć łańcuch, i uznał, że poradzi sobie doskonale, uniknie największych dziur i wymytych wyrw z troski o ranne ramię Yune'a. Myślał, że już bardziej podziwiać jej nie może… a jednak mógł.

Najpierw podszedł do ciała Aleca, bo je trudniej było zabrać. Wrak już dogasał, ale wciąż bił z niego przeraźliwy żar. Twarz i ramiona Aleca były osmalone, jego włosy spłonęły. Kiedy Ralph złapał go za pasek i pociągnął w stronę sklepu z pamiątkami, starał się nie myśleć o spalonych strzępach ciała i roztopionych kawałkach mięsa, które zostawały z tyłu. Ani o tym, jak bardzo Alec teraz przypominał człowieka, który tamtego dnia był przed sądem. Brakuje tylko żółtej koszuli na głowie. Dłużej nie wytrzymał; puścił pasek. Zdołał chwiejnie przejść dwadzieścia kroków, zanim zgiął się wpół, oparł

ręce na kolanach i zwymiotował całą treść żołądka. Kiedy miał to już za sobą, wrócił i dokończył, co zaczął: zawlókł najpierw Aleca, potem Howiego Golda w cień sklepu z pamiątkami.

Odpoczął, złapał oddech, po czym obejrzał drzwi sklepu. Zamknięte na kłódkę, ale rozeschnięte i liche. Za drugim uderzeniem zawiasy ustąpiły. Wewnątrz panowały półmrok i mordercze gorąco. Półki nie były zupełnie puste; zachowało się kilka pamiątkowych koszulek ozdobionych napisem: „Zaliczyłem Jamę Marysville". Wziął dwie i na tyle, na ile się dało, otrzepał je z kurzu. Kiedy wyszedł z powrotem na zewnątrz, syreny były już bardzo blisko. Ralph pomyślał, że strażacy raczej nie będą ryzykować telepania się z drogim sprzętem po wertepach; staną, żeby przeciąć łańcuch. Miał jeszcze trochę czasu.

Ukląkł i przykrył twarze obu mężczyzn. Dobrych ludzi, którzy spodziewali się, że mają przed sobą jeszcze wiele lat życia. Ludzi z rodzinami, które będą po nich rozpaczać. Jedyna pociecha była taka (jeśli można to nazwać pociechą), że ich rozpacz nie stanie się pożywką dla żadnego potwora.

Usiadł obok nich, z przedramionami na kolanach i brodą spuszczoną na pierś. Czy za ich śmierć też był odpowiedzialny? Po części chyba tak, bo cały ciąg wydarzeń uruchomiło katastrofalnie niemądre publiczne aresztowanie Terry'ego Maitlanda. Pomimo swojego wyczerpania czuł jednak, że nie musi brać całej winy na siebie.

„Uwierzą nam", powiedziała Holly. „I obaj wiecie dlaczego".

Tak, wiedział. Uwierzą nawet w nieprzekonujące wyjaśnienia, bo ślady stóp nie mogą nagle się urwać, a larwy nie mogą się zalęgnąć w dojrzałej kantalupie z nienaruszoną twardą łupiną. Uwierzą, bo przyznanie, że istnieje inne możliwe wytłumaczenie, byłoby podaniem w wątpliwość samej rzeczywistości. To ci dopiero ironia: to, co chroniło outsidera przez całe jego długie życie, co pozwalało mu bezkarnie mordować, teraz będzie chroniło ich.

Wszechświat nie ma końca, pomyślał.

A potem czekał w cieniu sklepu z pamiątkami na przyjazd wozów strażackich.

25

Holly jechała do Boltonów wyprostowana, z dłońmi na kierownicy w pozycji „za dziesięć druga”, i słuchała, jak Yune rozmawia przez telefon. Bill Samuels był wstrząśnięty wieścią o śmierci Howiego Golda i Aleca Pelleya, ale Yune uciął jego pytania. Później wszystko mu opowiedzą, teraz nie czas na to. Samuels miał ponownie przesłuchać wszystkich świadków, poczynając od Willow Rainwater. Niech jej powie wprost, że pojawiły się poważne wątpliwości co do tożsamości mężczyzny, którego zawiozła spod klubu striptizowego na dworzec w Dubrow. Czy nadal była pewna, że tym człowiekiem był Terry Maitland?

– Proszę pytać tak, żeby zasiać w niej zwątpienie – powiedział Yune. – Da pan radę?

– Pewnie – odparł Samuels. – Pięć lat robię to przed ławami przysięgłych. A sądząc z jej zeznania, Rainwater, tak czy owak, nie była całkiem pewna swego. Podobnie jak inni świadkowie, zwłaszcza odkąd ujawniono nagranie Terry’ego na konwencji w Cap City. Ma pół miliona odsłon na samym YouTube. A teraz mówże, co się stało z Howiem i Alekiem.

– Potem. Czas nagli, panie Samuels. Proszę porozmawiać ze świadkami, z Rainwater najpierw. Aha, jeszcze jedno: nasze przedwczorajsze spotkanie. To *muy importante*, więc niech pan słucha uważnie.

Samuels posłuchał, Samuels się zgodził i Yune zadzwonił do Jeannie Anderson. Ta rozmowa trwała dłużej, bo żona Ralpha domagała się pełniejszych wyjaśnień, na które zasługiwała. Kiedy skończył mówić, popłynęły łzy, ale chyba głównie ulgi. To okropne,

że zginęli ludzie, że sam Yune został ranny, ale ważne, że jej mąż – i ojciec jej syna – jest cały i zdrowy. Yune poinstruował ją, co ma zrobić, i Jeannie zgodziła się bez wahania.

Szykował się, żeby zadzwonić do trzeciej osoby z listy – komendanta policji Flint City Rodneya Gellera, kiedy usłyszeli kolejne syreny, tym razem nadjeżdżające z naprzeciwka. Dwa radiowozy teksaskiej policji stanowej przemknęły obok nich, kierując się do Jamy Marysville.

– Szczęśliwie by się złożyło, gdyby jednym z tych policjantów był koleś, który rozmawiał z Boltonami – powiedział Yune. – Stape, chyba tak się nazywał.

– Sipe – poprawiła go Holly. – Owen Sipe. Jak ręka?

– Nadal boli jak skurwysyn. Wezmę pozostałe dwa motriny.

– Nie. Za dużo naraz mogłoby uszkodzić ci wątrobę. Zadzwoń, do kogo tam jeszcze miałeś zadzwonić. Ale najpierw wejdź w ostatnie połączenia i wykasuj te do pana Samuelsa i pani Anderson.

– Masz zadatki na niezłego przestępcę, *señorita*.

– Po prostu jestem ostrożna. *Prudente*. – Holly ani na chwilę nie oderwała wzroku od drogi, mimo że była pusta. Takim była typem kierowcy. – Zrób to, a potem zadzwoń do pozostałych osób.

26

Okazało się, że Lovie Bolton miała kilka starych percocetów, które brała na ból pleców. Yune wziął dwa zamiast motrinu, a Claude – który przeszedł kurs pierwszej pomocy w czasie swojej trzeciej, i ostatniej, odsiadki – opatrzył jego ranę. W tym czasie Holly mówiła. Starała się streszczać nie tylko dlatego, że chciała, żeby porucznikiem Sablo zajął się prawdziwy lekarz. Chodziło o to, by Boltonowie zrozumieli swoją rolę, zanim ktoś przyjedzie ich przesłuchać. To zaś nastąpi wkrótce, bo policjanci stanowi będą mieli do Ralpha pytania, na które będzie musiał odpowiedzieć. Dobrze choć, że tym razem obyło się bez niedowierzania; Lovie i Claude wyczuli obecność outsidera dwie noce temu, a Claude był świadom jego bliskości nawet przedtem: stąd brał się dręczący go od pewnego czasu niepokój, poczucie zagubienia, wrażenie, że jest obserwowany.

– Oczywiście, że go wyczuwałeś – stwierdziła Holly ponuro. – Plądrował twój umysł.

– Widziałaś go – powiedział Claude. – Ukrywał się w tej jaskini i go widziałaś.

– Tak.

– I wyglądał tak jak ja.

– Prawie identycznie.

– Poznałabym różnicę? – zapytała nieśmiało Lovie.

Holly się uśmiechnęła.

– Na pierwszy rzut oka. Jestem tego pewna. Poruczniku Sablo… Yune… gotowy do wyjazdu?

– Tak. – Wstał. – Twarde narkotyki mają jedną zaletę: wszystko nadal boli, ale masz to gdzieś.

Claude parsknął śmiechem i wymierzył w niego pistolet ze złożonych palców.

– Święte słowa, bracie – powiedział, a gdy zobaczył zmarszczone czoło Lovie, dodał: – Przepraszam, mamo.

– Rozumiecie, co macie zeznać? – upewniła się Holly.

– Tak jest, szanowna pani – powiedział Claude. – To tak proste, że nie da się tego spaprać. Prokurator okręgowy z Flint City myśli o wznowieniu śledztwa w sprawie Maitlanda, przyjechaliście więc mnie przesłuchać.

– I co powiedziałeś?

– Że im więcej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonany, iż tamtego wieczoru widziałem nie trenera Terry'ego, tylko kogoś do niego podobnego.

– Co jeszcze? – spytał Yune. – To bardzo ważne.

Tym razem odpowiedziała Lovie:

– Dzisiaj rano wpadliście się pożegnać i zapytać, czy jest coś, o czym mogliśmy wczoraj zapomnieć. Kiedy zbieraliście się do wyjścia, zadzwonił telefon.

– Wasz, stacjonarny – dodała Holly z myślą: Dzięki Bogu, że jeszcze taki mają.

– Zgadza się, stacjonarny. Odezwał się jakiś facet i powiedział, że jest kolegą detektywa Andersona z pracy.

– I detektyw Anderson z nim rozmawiał.

– Tak. Facet powiedział detektywowi Andersonowi, że człowiek, którego szukacie, prawdziwy zabójca, ukrywa się w Jamie Marysville.

– Tego się trzymajcie – zakończyła Holly. – I jeszcze raz dziękuję wam obojgu.

– To my powinniśmy podziękować tobie. – Pani Bolton wyciągnęła ramiona. – Chodź tu do mnie, panienko Holly Gibney, uściskaj starą Lovie.

Holly podeszła do wózka inwalidzkiego i schyliła się. Po tym, co przeżyła w Jamie Marysville, tu, w objęciach Lovie Bolton, było jej dobrze. Tak jak trzeba. Została w jej ramionach najdłużej, jak mogła.

27

Od publicznego aresztowania jej męża, o jego publicznej egzekucji nie wspominając, Marcy Maitland wystrzegała się nieproszonych gości, więc kiedy ktoś zapukał do jej drzwi, najpierw podeszła do okna, odchyliła zasłonę i wyjrzała. Na ganku stała żona detektywa Andersona. Wyglądała, jakby niedawno płakała. Marcy pospieszyła do drzwi i otworzyła. Tak, to były łzy, i kiedy tylko Jeannie zobaczyła zatroskaną twarz Marcy, popłynęły na nowo.

– Co? Co się stało? Nic im nie jest?

Jeannie weszła do środka.

– Gdzie twoje dziewczynki?

– Za domem, grają w cribbage pod drzewem, używając tabliczki Terry'ego. Grały cały wieczór, dziś rano znów zaczęły. Co się stało?

Jeannie wzięła ją za ramię i zaprowadziła do salonu.

– Lepiej usiądź.

Marcy ani drgnęła.

– Po prostu powiedz!

– Jedna wiadomość jest dobra, druga fatalna. Ralph i Gibney są cali i zdrowi. Porucznik Sablo został postrzelony, ale rana nie zagraża życiu. Za to Howie Gold i pan Pelley… zginęli. Wpadli w zasadzkę. Zastrzelił ich człowiek, który pracuje z moim mężem. Detektyw. Nazywa się Jack Hoskins.

– Zginęli? Zginęli? Jak to moż… – Marcy ciężko opadła na ulubiony fotel Terry'ego. Inaczej runęłaby na podłogę. Patrzyła na Jeannie w osłupieniu. – To ma być dobra wiadomość? Jak w ogóle może… Jezu, jest gorzej i gorzej. – Schowała twarz w dłoniach.

Jeannie uklękła obok fotela i odciągnęła jej ręce, delikatnie, ale stanowczo.

– Marcy, musisz się pozbierać.

– Nie mogę. Mój mąż nie żyje, a teraz jeszcze to. Chyba nigdy się nie pozbieram. Nawet dla Grace i Sarah.

– Przestań. – Głos Jeannie był cichy, ale Marcy zamrugała, jakby dostała w twarz. – Nic nie przywróci ci Terry'ego, ale dwaj porządni ludzie zginęli, żeby oczyścić jego imię i dać twoim dziewczynkom szansę na normalne życie w tym mieście. Oni też mają rodziny, a ja za chwilę będę musiała porozmawiać z Elaine Gold. To będzie koszmar. Yune jest ranny, mój mąż naraził swoje życie. Wiem, że cierpisz, ale w tej chwili nie ty jesteś najważniejsza. Ralph potrzebuje twojej pomocy. Pozostali też. Weź się więc w garść i słuchaj.

– W porządku. Słucham.

Jeannie uniosła jej dłoń i ścisnęła ją. Marcy miała zimne palce, ale jej własne pewnie nie były dużo cieplejsze.

– Wszystko, co powiedziała nam Holly Gibney, było prawdą. Outsider istniał naprawdę i nie był człowiekiem. Był… czymś innym. Można go nazwać *El Cuco*, Drakulą, Synem Sama lub Szatana, to bez znaczenia. Był tam, w jaskini. Znaleźli go i zabili. Ralph powiedział mi, że wyglądał jak Claude Bolton, choć prawdziwy Claude Bolton był daleko stamtąd. Zanim przyszłam do ciebie, rozmawiałam z Billem Samuelsem. Uważa, że jeśli każde z nas przedstawi tę samą wersję wydarzeń, wszystko będzie dobrze. Terry prawdopodobnie odzyska dobre imię. Ale powtarzam: tylko jeśli wszyscy przedstawimy tę samą wersję. Jesteś w stanie to zrobić?

Widziała, że nadzieja wypełnia oczy Marcy Maitland jak woda wzbierająca w studni.

– Tak. Tak, pewnie, że tak. Ale jaka jest ta wersja wydarzeń?

– Spotkanie u Howiego dotyczyło tylko oczyszczenia imienia Terry'ego. Niczego więcej.

– Tylko oczyszczenia jego imienia.

– Na tym spotkaniu Bill Samuels zgodził się ponownie przesłuchać wszystkich świadków, którzy składali zeznania w sprawie, poczynając od Willow Rainwater. Zgadza się?

– Całkowicie.

– Chciał zacząć od Claude'a Boltona, ale nie mógł, bo pan Bolton jest w Teksasie, gdzie pomaga chorej matce. Howie zaproponował, że pojedzie tam z Alekiem, Holly i moim mężem, żeby go przesłuchać. Yune powiedział, że jeśli będzie mógł, dołączy do nich. Pamiętasz to?

– Tak. – Marcy energicznie pokiwała głową. – Wszyscy uznaliśmy, że to doskonały pomysł. Ale nie pamiętam, dlaczego w spotkaniu uczestniczyła pani Gibney.

– Jest prywatnym detektywem i Alec Pelley zlecił jej, by ustaliła dokładny przebieg pobytu Terry'ego w Ohio. Zainteresowała się sprawą, więc przyjechała zobaczyć, czy może pomóc w czymś jeszcze. Teraz już pamiętasz?

– Tak.

Trzymając Marcy za rękę, patrząc jej w oczy, Jeannie w końcu powiedziała to, co najważniejsze:

– Nie rozmawialiśmy o zmiennokształtnych potworach, o *El Cuco*, widmowych projekcjach ani o niczym, co można by nazwać zjawiskiem nadprzyrodzonym.

– Nie, oczywiście, że nie, nic takiego nam przez myśl nie przeszło, jakżeby mogło?

– Uważaliśmy, że małego Petersona zabił ktoś, kto wyglądał jak Terry i potem próbował go wrobić. Nazwaliśmy tego człowieka outsiderem.

– Tak. – Marcy ścisnęła dłoń Jeannie. – Tak właśnie go nazwaliśmy. Outsiderem.

FLINT CITY

(Potem)

1

Samolot wyczarterowany przez świętej pamięci Howarda Golda wylądował na lotnisku we Flint City kilka minut po jedenastej rano. Na pokładzie nie było Howiego ani Aleca. Kiedy lekarz sądowy skończył pracę, ciała przewiózł do Flint City karawan zakładu pogrzebowego w Plainville. Ralph, Yune i Holly do spółki pokryli wszelkie koszty, włącznie z opłatą za drugi karawan, który przetransportował zwłoki Jacka Hoskinsa. Yune w imieniu ich wszystkich oświadczył, że nie ma mowy, by sukinsyn wrócił do domu razem z ludźmi, których zabił.

Na płycie lotniska czekała Jeannie Anderson, stojąca obok żony i dwóch synów Yune'a. Chłopcy ominęli Jeannie (jeden z nich, dorodny młodzieniec imieniem Hector, omal jej przy tym nie przewrócił) i rzucili się do ojca, który miał rękę w gipsie. Uściskał ich zdrową ręką najlepiej, jak mógł, oderwał się od nich i gestem przywołał żonę. Przybiegła. Jeannie, z rozwianą spódnicą, pobiegła do Ralpha, zarzuciła mu ręce na szyję i mocno go przytuliła.

Rodziny Sablo i Andersonów padały sobie w objęcia przy wejściu do małego prywatnego terminalu, ściskały się i śmiały, aż w końcu Ralph obejrzał się i zobaczył Holly. Stała samotnie obok skrzydła king aira i obserwowała ich. Miała na sobie nowy kostium, który zmuszona była kupić w sklepie z damską odzieżą w Plainville, bo najbliższy Walmart był ponad sześćdziesiąt kilometrów stamtąd, na przedmieściach Austin.

Skinął na nią i podeszła, nieco skrępowana. Zatrzymała się półtora metra od nich, ale Jeannie ani myślała na to pozwolić. Złapała ją za

rękę, przyciągnęła do siebie i wyściskała. Ralph zamknął w ramionach je obie.

– Dziękuję – szepnęła Jeannie. – Dziękuję, że przywiozłaś mi go z powrotem.

– Liczyliśmy, że przyjedziemy od razu po ustaleniu przyczyn zgonu, ale lekarze kazali porucznikowi Sablo… Yune'owi zostać jeszcze jeden dzień – powiedziała Holly. – Miał zakrzep w ramieniu i trzeba go było rozpuścić. – Wysunęła się z objęć Jeannie, zarumieniona, ale wyraźnie zadowolona. Trzy metry od niej Gabriela Sablo zaklinała synów, żeby dali *papi* spokój, bo na nowo złamią mu rękę.

– Co wie Derek? – Ralph zwrócił się do żony.

– Że jego tata uczestniczył w strzelaninie w Teksasie i że nic mu się nie stało. Wie też, że zginęło dwóch ludzi. Chce wrócić przed końcem obozu.

– Co ty na to?

– Zgodziłam się. Będzie w przyszłym tygodniu. Może być?

– Tak. – Dobrze będzie znów zobaczyć syna: opalonego, zdrowego, z nowymi muskułami, wyrobionymi pływaniem, wiosłowaniem, łucznictwem. I po właściwej stronie ziemi. To najważniejsze.

– Dzisiaj zjemy kolację w domu – powiedziała Jeannie do Holly. – I tym razem też u nas zanocujesz. Nawet nie próbuj się sprzeciwiać. Pokój gościnny jest przygotowany.

– Będzie mi miło – odparła Holly z uśmiechem, który przygasł, kiedy odwróciła się do Ralpha. – Byłoby lepiej, gdyby pan Gold i pan Pelley mogli usiąść z nami do tej kolacji. To bardzo nie w porządku, że zginęli. Wydaje się to jakieś…

– Wiem. – Ralph ponownie ją objął. – Wiem, jakie to się wydaje.

2

Ralph upiekł steki na grillu, który, dzięki jego urlopowi administracyjnemu, aż świecił czystością. Były też gotowane kolby kukurydzy, sałatka, a na deser szarlotka z lodami.

– Na wskroś amerykański posiłek, *señor* – zauważył Yune, kiedy żona kroiła mu stek.

– Było przepyszne – powiedziała Holly.

Bill Samuels poklepał się po brzuchu.

– Co najmniej do września jestem najedzony.

– Nie pleć bzdur. – Jeannie wyjęła butelkę piwa z lodówki turystycznej stojącej obok stołu piknikowego, połowę wlała do szklanki Samuelsa, połowę do swojej. – Jesteś za chudy. Trzeba ci żony, od razu by cię podkarmiła.

– Może kiedy otworzę prywatną praktykę, moja była się do mnie przekona. W mieście będzie zapotrzebowanie na dobrego prawnika, skoro Howie… – Nagle Bill uświadomił sobie, co mówi, i odruchowo przygładził koguta (którego, dzięki niedawnej wizycie u fryzjera, już nie było). – Dobry prawnik zawsze znajdzie zajęcie, to chciałem powiedzieć.

Przez chwilę milczeli, po czym Ralph wzniósł butelkę piwa.

– Za nieobecnych przyjaciół.

Wypili toast.

– Życie czasem bywa zupełnie do pupy – powiedziała Holly ledwo słyszalnym głosem. Nikt się nie zaśmiał.

Męczący lipcowy skwar zelżał, owady już nie dokuczały i w ogródku Andersonów przyjemnie się siedziało. Po posiłku dwaj synowie

Yune’a i dwie córki Marcy poszli porzucać piłką do kosza zamontowanego na bocznej ścianie garażu.

– A zatem – chociaż dzieci były dość daleko, zaprzątnięte grą, Marcy zniżyła głos – ustalenie przyczyn zgonu. Czy uwierzyli w naszą wersję?

– Tak – odparł Ralph. – Hoskins zadzwonił do Boltonów i zwabił nas do Jamy Marysville. Tam wpadł w szał, zabił Howiego i Aleca i zranił Yune’a. Wyraziłem przekonanie, że tak naprawdę to na mnie polował. Przez lata było między nami sporo nieporozumień i im więcej pił, tym bardziej go to zżerało. Hipoteza jest taka, że miał dotąd niezidentyfikowanego wspólnika, który zaopatrywał go w gorzałę i narkotyki… sekcja wykazała obecność kokainy w jego organizmie… i podsycał w nim obłęd. Teksascy stanowi weszli do Komory Dźwięków, ale wspólnika nie znaleźli.

– Tylko ubrania – dodała Holly.

– I jesteście pewni, że nie żyje – powiedziała Jeannie. – Outsider. Jesteście absolutnie pewni.

– Tak – odparł Ralph. – Gdybyś to widziała, nie miałabyś wątpliwości.

– Ciesz się, że nie widziałaś – dodała Holly.

– Więc to koniec? – spytała Gabriela Sablo. – Tylko to mnie interesuje. To naprawdę koniec?

– Nie – odparła Marcy. – Nie dla mnie ani dla moich córek. Nie, dopóki Terry nie zostanie oczyszczony z zarzutów. Chociaż czy to w ogóle możliwe? Zginął, zanim mógł wykazać swoją niewinność przed sądem.

– Pracujemy nad tym – zapewnił Samuels.

(1 sierpnia)

3

O świcie pierwszego dnia po powrocie do Flint City Ralph znów stał w oknie swojej sypialni, z rękami założonymi za plecy, i patrzył w dół, na Holly Gibney, która i tym razem siedziała na jednym z krzeseł ogrodowych w ogródku. Odwrócił się i spojrzał na Jeannie – spała, pochrapując cicho – po czym zszedł na dół. Nie był zaskoczony, kiedy w kuchni zobaczył torbę z nielicznymi rzeczami Holly, już spakowaną w przygotowaniu do lotu na Północ. Oprócz tego, że miała swój rozum, była kobietą, która nie zwykła zasypiać gruszek w popiele. Poza tym domyślał się, że odetchnie z ulgą, kiedy wreszcie wyjedzie z Flint City w diabły.

Podczas jego poprzedniej porannej rozmowy z Holly zapach kawy obudził Jeannie, więc tym razem przyniósł sok pomarańczowy. Kochał żonę, cenił jej towarzystwo, ale chciał, żeby tę chwilę mieli tylko dla siebie. Połączyła go z Holly silna więź, której nic nie zerwie, nawet jeśli nigdy więcej się nie zobaczą.

– Dziękuję – powiedziała. – Nie ma to jak sok pomarańczowy o poranku. – Spojrzała z zadowoleniem na szklankę i od razu wypiła połowę. – Kawa może poczekać.

– O której masz samolot?

– Piętnaście po jedenastej. Wyjadę przed ósmą. – Uśmiechnęła się z lekkim wstydem, widząc jego zaskoczoną minę. – Wiem, jestem nałogowym rannym ptaszkiem. Zoloft pomaga na wiele rzeczy, ale na to jakoś nie.

– Spałaś?
– Trochę. A ty?
– Trochę.
Przez pewien czas milczeli. Zaśpiewał pierwszy ptak, czule i słodko. Inny mu odpowiedział.
– Miałaś koszmary?
– Tak. A ty?
– Też. Z tymi glistami.
– Po Bradym Hartsfieldzie też śniły mi się koszmary. Za pierwszym i drugim razem. – Lekko dotknęła jego dłoni, po czym cofnęła palce. – Z początku często, potem coraz rzadziej.
– Myślisz, że kiedykolwiek mijają na dobre?
– Nie. I nie jestem pewna, czy chciałabym, żeby minęły. Sny to nasze połączenie ze światem niewidzialnym, tak uważam. Są szczególnym darem.
– Nawet te złe?
– Nawet te złe.
– Będziesz ze mną w kontakcie?
Zrobiła zdziwioną minę.
– Oczywiście. Będę chciała wiedzieć, jak wszystko się ułoży. Jestem bardzo ciekawska. To czasem przysparza mi kłopotów.
– A czasem cię z nich ratuje.
Uśmiechnęła się.
– Tak sobie wmawiam. – Dopiła resztę soku. – Myślę, że pan Samuels ci pomoże. Trochę przypomina mi Scrooge'a już po spotkaniu z trzema duchami. Ty też, nawiasem mówiąc.
To go rozśmieszyło.
– Bill zrobi dla Marcy i jej córek wszystko, co w jego mocy. A ja mu pomogę. Obaj mamy za co odpokutować.
Kiwnęła głową.
– Zrób wszystko, co możesz, jasne. Ale potem… zapomnij o tej pitolonej sprawie. Jeśli nie zostawisz przeszłości za sobą, błędy, które popełniłeś, zeżrą cię żywcem. – Jak rzadko kiedy spojrzała mu prosto w oczy. – Coś o tym wiem.
Zapaliło się światło w kuchni. Jeannie już nie spała. Wkrótce wypiją we trójkę kawę przy stole piknikowym, ale dopóki byli tu tylko

we dwoje, musiał powiedzieć coś jeszcze, coś naprawdę ważnego:

– Dziękuję ci, Holly. Dziękuję, że przyjechałaś, i dziękuję, że wierzyłaś. Dziękuję, że sprawiłaś, że i ja uwierzyłem. Gdyby nie ty, on nadal byłby gdzieś tam.

Uśmiechnęła się. Tym razem promiennie.

– Proszę bardzo. Ale już nie mogę się doczekać, kiedy wrócę do szukania zbiegów, dłużników i zaginionych zwierzaków.

Od drzwi dobiegło wołanie Jeannie:

– Komu kawy?

– Wszystkim! – odkrzyknął Ralph.

– Już się robi! Zajmijcie mi miejsce!

Holly odezwała się znowu, głosem tak cichym, że musiał się wychylić, żeby ją usłyszeć:

– Był wcielonym złem. Czystym złem.

– Trudno się nie zgodzić.

– Ale jest coś, o czym ciągle myślę: skrawek papieru, który znalazłeś w vanie. Ten z Tommy and Tuppence. Zastanawialiśmy się, skąd się tam wziął, pamiętasz?

– Pewnie.

– Wszystkie możliwe wyjaśnienia, o których rozmawialiśmy, wydają mi się mało przekonujące. Nie powinno było go tam być, a jednak był. I gdyby nie ten skrawek papieru… to jedno jedyne ogniwo łączące z wydarzeniami w Ohio… ta istota mogłaby nadal grasować.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– To proste. Na tym świecie istnieje siła, która działa na rzecz dobra. W to też wierzę. Częściowo chyba po to, żeby nie zwariować na myśl o wszystkich okropnościach, które się dzieją, ale jednocześnie… cóż… dowody zdają się to potwierdzać, nie sądzisz? Nie tylko tutaj, ale wszędzie. Jest jakaś siła, która stara się przywrócić równowagę. Kiedy przyjdą koszmary, Ralph, spróbuj sobie przypomnieć ten mały skrawek papieru.

W pierwszej chwili nie odpowiedział, a gdy zapytała, o czym myśli, trzasnęła siatka przeciw owadom. To Jeannie niosła kawę. Kończył się czas, który mieli tylko dla siebie.

– Myślałem o wszechświecie. Rzeczywiście nie ma końca, co? I nie da się go wytłumaczyć.

– To prawda – odparła Holly. – Nie ma nawet sensu próbować.

(10 sierpnia)

4

Prokurator okręgowy William Samuels z cienką teczką w ręku pomaszerował na mównicę w sali konferencyjnej sądu. Stanął za zasiekami mikrofonów. Zapaliły się reflektory. Dotknął tyłu głowy (koguta nie było) i zaczekał, aż zebrani reporterzy umilkną. Ralph siedział w pierwszym rzędzie. Samuels lekko kiwnął mu głową, zanim zaczął mówić:

– Dzień dobry, panie i panowie. Najpierw pragnę wygłosić krótkie oświadczenie w związku z zabójstwem Franka Petersona, a potem odpowiem na państwa pytania. Jak wielu z państwa wie, istnieje nagranie wideo pokazujące Terence'a Maitlanda na konferencji w Cap City w tym samym czasie, kiedy Frank Peterson został uprowadzony, a następnie zamordowany tutaj, we Flint City. Autentyczność nagrania nie budzi wątpliwości. Nie wątpimy też w prawdziwość zeznań złożonych przez współpracowników pana Maitlanda, którzy razem z nim pojechali na wspomnianą konferencję i poświadczyli, że w niej uczestniczył. W toku śledztwa znaleźliśmy również odciski palców pana Maitlanda w hotelu w Cap City, gdzie odbywała się konferencja, i uzyskane dodatkowe zeznania świadków dowodzą, że odciski te pozostawione zostały w przedziale czasowym zbyt zbliżonym do momentu zabójstwa Franka Petersona, by nadal uważać pana Maitlanda za podejrzanego w tej sprawie.

Wśród reporterów podniósł się szmer. Jeden z nich zawołał:

– To jak wyjaśnicie obecność odcisków palców Maitlanda na miejscu zbrodni?

Samuels posłał dziennikarzowi swoje najlepsze chmurne, prokuratorskie spojrzenie.

– Proszę się wstrzymać z pytaniami; właśnie do tego przechodziłem. Na podstawie wyników dodatkowych badań sądzimy, że odciski palców znalezione w vanie, którym uprowadzono dziecko, i te w Figgis Park zostały podłożone. Nieczęsto się to zdarza, ale nie jest niewykonalne. Opisy różnych technik podkładania odcisków palców dostępne są w internecie, który jest cennym źródłem informacji nie tylko dla organów ścigania, ale i dla przestępców.

– Wskazuje to jednak, że morderca, poza tym, że jest zwyrodniały i niezwykle niebezpieczny, jest też perfidny. Może to również świadczyć o tym, że żywił osobistą urazę do Terry'ego Maitlanda. Zamierzamy dalej badać ten wątek. – Z poważną miną rozejrzał się po publiczności, szczerze zadowolony, że nie będzie musiał się ubiegać o drugą kadencję; pokonałby go pewnie każdy adwokacina z dyplomem ukończenia kursu korespondencyjnego, i to w cuglach. – Macie pełne prawo zapytać, dlaczego w obliczu faktów, które dziś przedstawiłem, dalej prowadziliśmy postępowanie przeciwko panu Maitlandowi. Były dwa powody. Najbardziej oczywisty jest taki, że ani w dniu aresztowania pana Maitlanda, ani w dniu planowanego postawienia go w stan oskarżenia po prostu tych faktów nie znaliśmy.

Może nie wszystkie, ale większość owszem, prawda, Bill? – pomyślał Ralph, siedząc w swoim najlepszym garniturze i patrząc ze swoją najlepszą pokerową, policyjną miną.

– Drugim powodem – ciągnął Samuels – była obecność na miejscu zbrodni śladów DNA zgodnych, przynajmniej pozornie, z DNA pana Maitlanda. Powszechnie uważa się, że badania porównawcze DNA są niezawodne, ale jak wykazała Rada na rzecz Odpowiedzialności w Genetyce w artykule naukowym zatytułowanym *Zagrożenia błędami w kryminalistycznych badaniach DNA*, przekonanie to jest mylne. Na przykład kiedy dojdzie do zmieszania próbek, wyniki badań nie są wiarygodne, a próbki pobrane na miejscu zbrodni w Figgis Park były zmieszane, zawierały DNA sprawcy i ofiary. –

Zaczekał, aż dziennikarze skończą notować, i podjął: – Co więcej, w czasie innego, niepowiązanego badania próbki te zostały wystawione na działanie światła ultrafioletowego. Niestety, w wyniku tego uległy rozkładowi w stopniu, który, zdaniem prokuratury, uniemożliwia włączenie ich do materiału dowodowego. Mówiąc najprościej: próbki te są bezwartościowe. – Zawiesił głos i przerzucił kartkę w teczce. Tylko dla efektu; wszystkie kartki były czyste. – Pragnę krótko nawiązać do wydarzeń, które miały miejsce w Marysville w Teksasie po zabójstwie Terence'a Maitlanda. W naszym przekonaniu detektyw John Hoskins z policji Flint City z jakichś chorych powodów był w zmowie z człowiekiem, który zabił Franka Petersona. Uważamy, że Hoskins pomagał mu się ukrywać i że być może wspólnie planowali kolejną, równie potworną zbrodnię. Dzięki heroicznym wysiłkom detektywa Ralpha Andersona i jego towarzyszy te domniemane plany nie zostały zrealizowane. – Spojrzał na publiczność z powagą. – Howard Gold i Alec Pelley zginęli w Marysville w Teksasie i opłakujemy tę niepowetowaną stratę. Jedynym pocieszeniem dla nas i ich rodzin jest fakt, że gdzieś tam żyje dziecko, które nigdy nie podzieli losu Franka Petersona.

Miły akcent, pomyślał Ralph. Odpowiednia doza patosu bez popadania w ckliwość.

– Jestem pewien, że wielu z państwa ma pytania dotyczące wydarzeń w Marysville, nie jestem jednak upoważniony o tym mówić. Śledztwo w tej sprawie prowadzi policja stanowa Teksasu we współpracy z policją Flint City. Porucznik policji stanowej Yunel Sablo pełni funkcję łącznika z obiema szacownymi organizacjami i na pewno w stosownym czasie przedstawi państwu ich dotychczasowe ustalenia.

Jest w tym świetny, pomyślał Ralph z autentycznym uznaniem. Uderza we wszystkie właściwe struny.

Samuels zamknął teczkę, spuścił głowę, po czym znów ją podniósł.

– Panie i panowie, nie ubiegam się o drugą kadencję, więc mam rzadką okazję być z państwem całkowicie szczery.

Jeszcze lepiej, stwierdził Ralph.

– Gdybyśmy mieli więcej czasu na ocenę dowodów, prokuratura prawie na pewno oddaliłaby zarzuty przeciwko panu Maitlandowi.

Jeślibyśmy zaś mimo wszystko postawili go przed sądem, jestem pewien, że uznano by go za niewinnego. Bo, czego nie muszę chyba dodawać, w chwili śmierci był człowiekiem niewinnym w rozumieniu prawa. A mimo to nad nim, i co za tym idzie, nad jego rodziną, wciąż wisi czarna chmura podejrzeń. Jestem tu dziś po to, aby tę chmurę rozproszyć. W przekonaniu prokuratury, a także moim własnym, Terry Maitland nie miał nic wspólnego ze śmiercią Franka Petersona. W związku z tym oświadczam, że śledztwo w tej sprawie zostało wznowione. Chociaż obecnie skupia się na wydarzeniach w Teksasie, prowadzone są też czynności we Flint City, okręgu Flint i powiecie Canning. A teraz chętnie odpowiem na państwa pytania.

Było ich wiele.

5

Później tego dnia Ralph odwiedził Samuelsa w jego gabinecie. Na biurku przechodzącego w stan spoczynku prokuratora okręgowego stała butelka bushmills. Gospodarz nalał im obu i wzniósł swoją szklankę.

– I oto bitwa owdzie wrząca dociągnęła się do końca[4]. W zasadzie ją przegrałem, ale co tam. Wypijmy za bitwę wrzącą.

Zrobili to.

– Dobrze sobie poradziłeś z pytaniami – stwierdził Ralph. – Zwłaszcza kiedy wziąć pod uwagę, ile musiałeś naściemniać.

Samuels wzruszył ramionami.

– Ściemnianie to chleb powszedni każdego dobrego prawnika. To miasto nigdy do końca nie odpuści Terry'emu, Marcy jest tego świadoma, ale ludzie już powoli zmieniają zdanie. Na przykład jej znajoma, Jamie Mattingly; Marcy zadzwoniła, żeby mi powiedzieć, że przyszła do niej i przeprosiła. Popłakały sobie razem. Kartę odwróciło głównie nagranie Terry'ego w Cap City, ale to, co powiedziałem o odciskach palców i DNA, bardzo pomoże. Marcy spróbuje tu jakoś wytrzymać. Myślę, że da radę.

– Co do tej historii z DNA, próbki badał Ed Bogan z zakładu serologii szpitala ogólnego – powiedział Ralph. – Wydawałoby się, że powinien kłami i pazurami bronić swojej reputacji.

Samuels się uśmiechnął.

– Tak by się wydawało, nie? Tyle tylko, że prawda jest jeszcze bardziej niestrawna, kolejny przypadek nagle urywających się śladów stóp, można powiedzieć. Nie było żadnego wystawiania na działanie światła ultrafioletowego, ale w próbkach pojawiły się białe plamki

nieznanego pochodzenia i ostatecznie DNA uległo całkowitemu rozkładowi. Bogan skontaktował się z laboratorium policji stanowej w Ohio i jak myślisz, co usłyszał? To samo stało się z próbkami pochodzącymi od Heatha Holmesa. Seria zdjęć pokazuje, że w gruncie rzeczy stopniowo się rozpadły. Adwokat miałby pole do popisu, nie sądzisz?

– A co ze świadkami?

Bill Samuels zaśmiał się i nalał sobie następnego drinka. Podał butelkę Ralphowi, który pokręcił głową – zaraz miał usiąść za kółkiem i wrócić do domu.

– Z nimi poszło najłatwiej. Wszyscy uznali, że się pomylili, z dwoma wyjątkami. Arlene Stanhope i June Morris podtrzymują swoje zeznania.

Ralph nie był zaskoczony. Stanhope to staruszka, która widziała, jak outsider zaczepił Franka Petersona na parkingu Gerald's Fine Groceries i z nim odjechał. June Morris to dziecko, które widziało go, kiedy wychodził z Figgis Park w zakrwawionej koszuli. Ludzie bardzo starzy i bardzo młodzi zawsze widzą najwyraźniej.

– Co teraz?

– Dopijemy drinki i pójdziemy każdy w swoją stronę – odparł Samuels. – Mam tylko jedno pytanie.

– Wal.

– On był jedyny? Czy może są jeszcze inni?

Ralph wrócił myślami do ostatecznego starcia w jaskini, do chciwego wyrazu oczu outsidera, kiedy pytał: „Czy gdzieś już widziałaś kogoś takiego jak ja?".

– Nie sądzę. Ale nigdy nie będziemy mieli całkowitej pewności. Wszystko jest na tym świecie możliwe. Teraz już to wiem.

– Jezu Chryste, oby nie!

Ralph nie odpowiedział. W głowie słyszał głos Holly: Wszechświat nie ma końca.

4 Na podstawie tłumaczenia Józefa Paszkowskiego.

(21 września)

6

Ralph wziął kawę i poszedł do łazienki, żeby się ogolić. W czasie wymuszonego odpoczynku od pracy w policji zaniedbał ten codzienny rytuał, ale przed dwoma tygodniami został przywrócony do czynnej służby. Jeannie była na dole, robiła śniadanie. Czuł zapach bekonu i słyszał dźwięk trąbek na otwarcie programu *Today*, który zacznie się codzienną porcją złych wiadomości, po czym przejdzie do wywiadu z celebrytą tygodnia i licznych reklam leków.

Postawił kawę na szafce i nagle zamarł – wpatrzony w czerwoną glistę, która wypełzła spod paznokcia jego kciuka. Spojrzał w lustro i zobaczył, że jego twarz zmienia się w twarz Claude'a Boltona. Otworzył usta do krzyku. Strumień larw i czerwonych glist chlusnął spomiędzy jego warg na koszulę.

7

Usiadł prosto w łóżku, czując mocne bicie serca nie tylko w piersi, ale też w gardle i skroniach. Przyciskał dłonie do ust, jakby powstrzymywał krzyk… albo coś jeszcze gorszego. Jeannie spała spokojnie obok niego, więc nie wrzeszczał przez sen; dobre i to.

Żadna z nich nie wpełzła w ciebie tamtego dnia. Żadna nawet cię nie dotknęła. Wiesz o tym.

Pewnie, że wiedział. Bądź co bądź widział to na własne oczy, a zanim wrócił na służbę, przeszedł pełne (zresztą zaległe) badanie. Pomijając lekką nadwagę i nieco podwyższony poziom cholesterolu, według doktora Elwaya był zdrów jak ryba.

Zerknął na zegar. Za piętnaście czwarta. Położył się i wbił wzrok w sufit. Do świtu jeszcze dużo czasu. Dużo czasu na myślenie.

8

Ralph i Jeannie wstali wcześnie; Derek będzie spał, dopóki nie obudzą go o siódmej, najpóźniej, jak to możliwe, jeśli miał zdążyć na szkolny autobus. Ralph siedział w piżamie przy stole kuchennym, a Jeannie włączyła ekspres Bunn i wyłożyła pudełka płatków, żeby Derek sam sobie wybrał, które chce, kiedy zejdzie na dół. Spytała Ralpha, jak mu się spało. Powiedział, że dobrze. Zapytała, jak idą poszukiwania następcy Jacka Hoskinsa. Odparł, że się skończyły. Za radą jego i Betsy Riggins komendant Geller postanowił awansować posterunkowego Troya Ramage'a i włączyć go do trzyosobowego zespołu detektywów z Flint City.

– Nie jest najjaśniejszą żarówką w żyrandolu, ale przykłada się do pracy i można na nim polegać. Myślę, że się nadaje.

– To dobrze. Cieszę się. – Napełniła jego kubek, po czym pogłaskała go po policzku. – Jakiś ty drapiący. Ogoliłbyś się.

Wziął kawę, poszedł na górę, zamknął drzwi sypialni i odłączył swój telefon od ładowarki. Numer, którego potrzebował, miał na liście kontaktów i choć było jeszcze wcześnie – trąbki otwierające program *Today* zagrają nie szybciej niż za pół godziny – wiedział, że ona już nie śpi. Często odbierała, zanim przebrzmiał pierwszy sygnał. Tak było i dzisiaj.

– Cześć, Ralph.

– Cześć, Holly.

– Jak ci się spało?

– Nie najlepiej. Śniły mi się te glisty. A tobie?

– Tej nocy było całkiem dobrze. Obejrzałam film na komputerze i od razu usnęłam. *Kiedy Harry poznał Sally*. Zawsze mnie

rozśmiesza.

– Dobrze. To dobrze. Co u ciebie? Nad czym pracujesz?

– W zasadzie wszystko po staremu. – Jej głos się ożywił. – Ale znalazłam uciekinierkę z Tampy w schronisku młodzieżowym. Matka pół roku jej szukała. Porozmawiałam z nią, wróci do domu. Obiecała, że da matce jeszcze jedną szansę, choć nie znosi jej faceta.

– Domyślam się, że dałaś jej pieniądze na autobus.

– Cóż…

– Wiesz, że teraz pewnie przepala je na mecie u jakiegoś bałwana?

– Nie zawsze tak robią, Ralph. Musisz…

– Wiem. Muszę wierzyć.

– Tak.

Chwila ciszy na linii łączącej jego i jej miejsce w świecie.

– Ralph…

Czekał.

– Te… te rzeczy, które z niego wylazły… nie dotknęły żadnego z nas. Wiesz o tym, prawda?

– Tak – odparł. – Myślę, że moje sny wiążą się głównie z kantalupą, którą rozkroiłem w dzieciństwie, i z tym, co w niej było. Opowiadałem ci o tym, prawda?

– Tak.

Usłyszał uśmiech w jej głosie i uśmiechnął się w odpowiedzi, jakby była z nim w pokoju.

– Oczywiście, że tak, i to pewnie nie raz. Czasami myślę, że tracę rozum.

– Niesłusznie. Następnym razem to ja zadzwonię do ciebie, bo przyśni mi się, że on jest w mojej szafie i ma twarz Brady'ego Hartsfielda. I wtedy to ty powiesz, że tobie spało się całkiem dobrze.

Wiedział, że ma rację, bo tak już się zdarzyło.

– To, co czujesz… i co czuję ja… jest normalne. Rzeczywistość to cienki lód, po którym jednak większość ludzi ślizga się przez całe życie, ani razu, do samego końca, pod niego nie wpadając. My pod ten lód wpadliśmy, ale pomogliśmy sobie nawzajem. I nadal sobie pomagamy.

Ty pomagasz mi bardziej niż ja tobie, pomyślał Ralph. Może i masz swoje problemy, Holly, ale jesteś w tym lepsza ode mnie. Dużo

lepsza.

– I masz się dobrze? – spytał ją. – To znaczy na serio?

– Tak. Na serio. Ty też kiedyś poczujesz się lepiej.

– Zrozumiano. Zadzwoń, gdybyś usłyszała pod nogami trzask pękającego lodu.

– Oczywiście. Ty też. Tak przetrwamy.

– Śniadanie za dziesięć minut, kochanie! – zawołała Jeannie z dołu.

– Muszę kończyć – powiedział Ralph. – Dzięki, że jesteś.

– Proszę bardzo – odparła Holly. – Uważaj na siebie. Trzymaj się. Czekaj, aż sny przeminą.

– Dobrze.

– Do widzenia, Ralph.

– Do widzenia.

Po krótkiej pauzie dodał:

– Kocham cię, Holly. – Ale dopiero kiedy się rozłączył. Zawsze tak robił, świadom, że gdyby powiedział jej to naprawdę, speszyłaby się i nie mogłaby wykrztusić słowa.

Poszedł do łazienki się ogolić. Był już mężczyzną w średnim wieku i pierwsze placki siwizny pojawiły się w jego zaroście, który pokrył pianką Barbasol, ale w lustrze widział swoją twarz, twarz, którą jego żona i syn znali i kochali. Zawsze będzie jego twarzą, i to dobrze.

To dobrze.

OD AUTORA

Podziękowania należą się Russowi Dorrowi, mojemu zdolnemu asystentowi, a także Warrenowi i Danielowi Silverom, duetowi złożonemu z ojca i syna, którzy objaśnili mi wszelkie zagadnienia prawne związane z wydarzeniami tej powieści. Mieli do tego wyjątkowe kwalifikacje, jako że Warren przez większą część życia pracował jako adwokat w Maine, a jego syn, choć obecnie prowadzi prywatną praktykę, był cenionym nowojorskim prokuratorem. Dziękuję Chrisowi Lottsowi, który słyszał o *El Cuco* i *las luchadoras*; dziękuję mojej córce, Naomi, która zdobyła książkę dla dzieci o *El Cucuy*. Dziękuję Nan Graham, Susan Moldow i Roz Lippel ze Scribner; dziękuję Philippie Pride z Hodder & Stoughton. Szczególne podziękowania dla Katherine „Katie" Monoghan, która przeczytała pierwsze sto kilka stron tej powieści w samolocie wiozącym nas na kolejne spotkanie autorskie i chciała więcej. Pisarz nie może usłyszeć bardziej motywujących słów.

Dziękuję, jak zawsze, mojej żonie. Kocham Cię, Tabby.

Jeszcze słowo o miejscu akcji. Oklahoma to wspaniały stan i spotkałem tam wspaniałych ludzi. Niektórzy z tych wspaniałych ludzi zarzucą mi, że wielu szczegółów nie przedstawiłem, jak należy, i pewnie będą mieli rację; trzeba spędzić wiele lat w jednym miejscu, żeby przekonująco oddać jego atmosferę. Zrobiłem, co w mojej mocy. Resztę musicie mi wybaczyć. Flint City i Cap City są, oczywiście, fikcyjne.

Stephen King

Spis treści

ARESZTOWANIE
- 1
- 2
- 3
- 4
- 5
- 6
- 7
- 8
- 9
- 10
- 11
- 12
- 13
- 14
- 15
- 16
- 17
- 18
- 19
- 20
- 21
- 22
- 23

PRZYKRO
- 1
- 2
- 3
- 4
- 5
- 6
- 7

8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
18
19
20
POSTAWIENIE W STAN OSKARŻENIA
1
2
3
4
KROKI I KANTALUPA
1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17

- 18
- 19
- 20
- 21

ŻÓŁTE

- 1
- 2
- 3
- 4
- 5
- 6
- 7
- 8

HOLLY

- 1
- 2
- 3
- 4
- 5
- 6
- 7
- 8
- 9
- 10
- 11

WIZYTY

- 1
- 2
- 3
- 4
- 5
- 6
- 7
- 8
- 9
- 10

11
12
MACY'S MÓWI GIMBELS WSZYSTKO
1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
WSZECHŚWIAT BEZ KOŃCA
1
2
3
4
5
6
7
BIENVENIDOS A TEJAS
1
2
3
4
5
6
7

8
9
10
11
12
13
14
15
16

JAMA MARYSVILLE

1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
18
19
20
21
22
23
24
25
26

27
FLINT CITY
1
2
3
4
5
6
7
8
OD AUTORA